

JEFFREY ARCHER

DZIENNIKI WIEZIENNE



JEFFREY ARCHER

FF8282

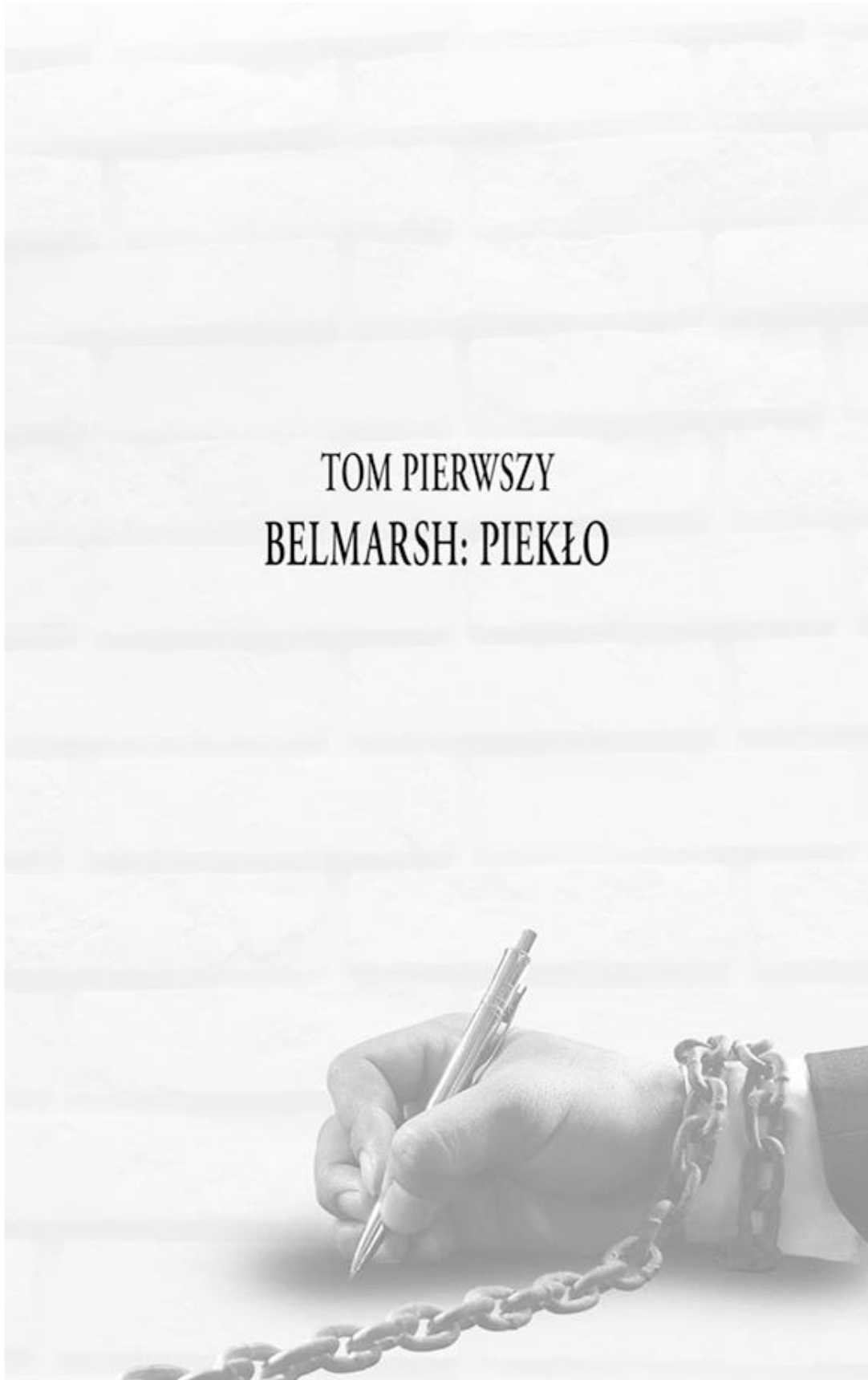
DZIENNIKI WIĘZIENNE

Przełożyli
Danuta Sękalska i Łukasz Praski



DOM WYDAWNICZY REBIS

TOM PIERWSZY
BELMARSH: PIEKŁO



Przyjaciółom na złą pogodę

INVICTUS

Z piekielnej czerni, która trwa wkoło mnie,
Dziękuję bogom, obcym mi z imienia,
Za duszę moją hardą,
Wyciosaną z niepodatnego toporom kamienia.
Że w zdarzeń złych potrzasku
Ni razu nie zapłakałem,
Że głowa moja, choć obficie krwawi,
Przed niczym się nigdy kornie nie pochyli.
Stając nad tymi pagórami złości
I padłem, jak mówią, łez,
Nie lękam się zmór nieodgadnionych dni
Ani sądnych, mrocznych lat.
Nieważne, jak wąską furtką przeciskać się mam,
Co spotka mnie z litanii kar,
Sternikiem swoich losów jestem sam,
Własnej duszy kapitanem.
William Ernest Henley (1849–1903)

(przekład Czesław Sowa Pawłowski)

Dzień 1

Czwartek, 19 lipca 2001

12.07 po południu

– Skazuję pana na cztery lata więzienia. – Sędzia Potts spogląda na mnie z ławy sędziowskiej z nieskrywanym zadowoleniem. Poleca, aby mnie odprowadzono.

Strażnik z agencji ochrony Securicor, siedzący obok mnie podczas odczytywania werdyktu, wskazuje drzwi po lewej stronie, których w trakcie trwającego siedem tygodni procesu nie otwierano ani razu. Odwracam się i patrzę na moją żonę Mary, która z pochyloną głową i pobladłą twarzą siedzi w głębi sali sądowej, z dwoma naszymi synami po bokach.

Sprowadzają mnie po schodach, staję przed urzędnikiem sądowym i tak zaczyna się niekończący się proces wypełniania formularzy. Nazwisko? Archer. Wiek? Sześćdziesiąt jeden lat. Waga? Sto siedemdziesiąt osiem funtów, mówię.

– Ile to będzie w kamieniach¹? – dopytuje się funkcjonariusz więzienny.

– Dwanaście kamieni, dziesięć funtów – odpowiadam. Wiem, bo się ważyłem na sali gimnastycznej dziś rano.

– Dziękuję panu – mówi i prosi, żebym się podpisał u dołu strony.

Inny strażnik Securicoru – więźniowie nazywają ich szczurami wodnymi – prowadzi mnie nie wiadomo dokąd długim, ponurym, pomalowanym na kremowo ceglanym korytarzem.

– Ile panu wlepił? – pyta rzeczowo.

– Cztery lata – odpowiadam.

– Nie tak źle, za dwa lata będzie pan wolny – rzuca lekko, jakby chodziło o dwutygodniowy pobyt na Costa del Sol.

Strażnik przystaje, otwiera kluczem olbrzymie stalowe drzwi i wprowadza mnie do celi. Pomieszczenie ma około dziesięciu stóp na pięć, też kremowe ściany, przy jednej z nich stoi drewniana ławka. Brak zegara, człowiek traci poczucie czasu, nie ma nic do roboty poza rozmyślaniami, nic do czytania oprócz napisów na ścianie:

HARRY TU BYŁ

PIEPRZYĆ WSZYSTKICH SĘDZIÓW

JIM DEXTER JEST NIEWINNY, I JUŻ!

Klucz obraca się w zamku i uchylają się ciężkie drzwi. Strażnik wrócił.

– Ma pan widzenie ze swoimi adwokatami – obwieszcza.

Znowu wędruję długim korytarzem, co kilka kroków otwierają przede mną i zamykają okratowane furty. Zostaję wprowadzony do pomieszczenia tylko trochę większego od tamtej celi, czekają tu na mnie mój obrońca, radca królewski Nicholas Purnell, i jego młodszy wspólnik, Alex Cameron.

Nick tłumaczy, że cztery lata oznaczają dwa i że sędzia Potts orzekł karę pozbawienia wolności, świadom, że nie będę mógł wystąpić do rady penitencjarnej o wcześniejsze zwolnienie. Oczywiście on i Cameron wniosą apelację w moim imieniu, gdyż uważają, że Potts mocno przesadził. Radca królewski Gilly Gray, stary przyjaciel, przestrzegł mnie poprzedniego wieczoru, że ponieważ sędziowie przysięgli byli nieobecni przez pięć dni, a ja nie wystąpiłem w swojej obronie, wniosek o apelację może nie zostać przyjęty życzliwie. Nick dodaje, że tak czy owak nie będzie rozpatrywany przed świętami Bożego Narodzenia, bo tylko wnioski skazanych na niskie wyroki są szybko załatwiane.

Następnie Nick informuje mnie, że najpierw trafię do więzienia Belmarsh w Woolwich.

– Przynajmniej jest to więzienie nowoczesne – zauważa, ale uprzedza mnie, że panuje tam ciągły hałas, i boi się, że przez kilka pierwszych nocy nie będę mógł spać. Jest pewien, że po dwóch tygodniach zostaną przeniesiony do więzienia kategorii D – czyli więzienia otwartego – prawdopodobnie w Ford albo na wyspie Sheppey.

Nick tłumaczy, że musi mnie pożegnać i wrócić na salę sądową numer 7, by złożyć wniosek o zwolnienie okolicznościowe, żebym mógł w sobotę być na pogrzebie mojej matki. Umarła w dniu, kiedy sędziowie przysięgli udali się na naradę, i jestem wdzięczny losowi, że nie dowiedziała się, iż zostałem skazany.

Dziękuję Nickowi i Aleksowi za to, co dla mnie zrobili, i wracam pod eskortą do celi. Zatrząskują się wielkie żelazne drzwi. Strażnicy więzienni nie muszą ich zamykać na klucz, tylko je otwierają, gdyż w środku nie ma klamki. Siadam na ławce i znów się dowiaduję, że „Jim Dexter jest niewinny, i już!”. Usiłuję zrozumieć, co się stało i co mnie czeka, ale w głowie mam dziwną pustkę.

Drzwi otwierają się ponownie – mniej więcej piętnaście minut później, jak mi się zdaje – i zostaję zaprowadzony do pokoju, gdzie wypełniam kolejny zestaw formularzy. Tęgi, przysadzisty funkcjonariusz, który coś burczy pod nosem, odbiera mi klamerkę do banknotów, 120 funtów, kartę kredytową i wieczne pióro. Umieszcza wszystko w plastikowej torbie, która zostaje zapieczętowana, i pyta,

dokąd to odesłać. Podaję imię i nazwisko Mary oraz nasz domowy adres. Podpisawszy jeszcze dwa formularze w trzech egzemplarzach każdy, zostają przykuty kajdankami do otyłej, niewysokiej kobiety z papierosem dyndającym w kąciку ust. Najwyraźniej nie spodziewają się z mojej strony żadnych kłopotów. Kobieta ma na sobie ubiór służb więziennych: białą koszulę, czarny krawat, czarne spodnie, czarne buty i czarne skarpetki.

Wyprowadza mnie z budynku do podługowatej, białej furgonetki przypominającej autobus z zaciemnionymi oknami. Zostaję umieszczony w czymś w rodzaju boksie – recydywiści mówią na to „sauna” – i chociaż ja widzę, co się dzieje na zewnątrz, oczekujący dziennikarze nie mogą mnie zobaczyć i nie mają pojęcia, w którym jestem boksie. Flesze kamer na próżno błyskają przed każdym oknem. Długo czekamy, aż słyszę krzyk jakiegoś więźnia:

– Chyba Archer jest w tym furgonie!

Wreszcie pojazd z szarpnięciem rusza i wyjeżdża wolno z dziedzińca Old Bailey, rozpoczynając długą, okrężną drogę do Więzienia Jej Królewskiej Mości Belmarsh.

Kiedy jedziemy powoli przez ulice City, zauważam billboard „Evening Standard” obwieszczający: „ARCHER SKAZANY NA WIĘZIENIE”. Wygląda na to, że został wydrukowany przed ogłoszeniem wyroku.

Dobrze znam drogę, jaką przemierzamy Londyn, gdyż w każdy piątek wieczorem jedziemy tędy z Mary do domu w Cambridge. Teraz jednak skręcamy nagle z głównej drogi w prawo, w uliczkę, gdzie wita nas kolejna horda dziennikarzy. Podobnie jak tamci na dziedzińcu Old Bailey, mogą sfotografować tylko wielki biały furgon z dziesięcioma ślepyimi okienkami. Zbliżamy się do bramy wjazdowej i widzę napis WIĘZIENIE BELMARSH. Jakiś żartowniś przekreślił literę B i wpisał na jej miejsce H, przeistaczając Piękne Błota w Piekielne. Niezbyt zachęcające powitanie.

Przejeżdżamy przez dwie wysokie, sterowane elektronicznie, okratowane bramy, po czym furgon zatrzymuje się na dziedzińcu okolonym wysokim na trzydzieści stóp murem z czerwonej cegły, zwieńczonym drutem kolczastym. Kiedyś czytałem, że jest to jedyne w Anglii więzienie o zaostrzonym rygorze, z którego nikt nigdy nie uciekł. Zadzieram głowę, spoglądając na mur, i uzmysławiam sobie, że rekord świata w skoku o tyczce wynosi 20 stóp i 2 cale.

Drzwi furgonu otwierają się i wychodzimy pojedynczo, a następnie jesteśmy prowadzeni do rejestracji, po czym gromadzą nas w wielkiej oszklonej celi, mieszczącej około dwudziestu osób. Kierownictwo więzienia nie może ryzykować skupienia tak wielu więźniów w jednym miejscu bez możliwości obserwacji. Często jest to dla oskarżonych pierwsza okazja do rozmowy od chwili, gdy zostali skazani. Siadam na ławce przy ścianie w głębi, przysiada się do mnie wysoki, dobrze ubrany, przystojny młody Pakistańczyk, który wyjaśnia, że nie jest

więźniem, tylko przebywa tutaj w areszcie śledczym. Pytam, o co jest oskarżony.

– O ciężkie uszkodzenie ciała – odpowiada. – Pobiłem żonę, kiedy ją zastałem z innym mężczyzną w łóżku. Zapudłowali mnie w Belmarsh, bo proces nie może się zacząć, dopóki ona nie wróci z Grecji, gdzie oboje są na wakacjach.

Przypominam sobie słowa, które Nick Purnell rzucił mi na pożegnanie: „Nie wierz w nic, co ci będą mówić w więzieniu, i nigdy nie dyskutuj o swojej sprawie ani o apelacji”.

– Archer! – słyszę krzyk.

Wychodzę z oszklonej celi i udaję się do pokoju przyjęć, gdzie każą mi wypełnić jeszcze jeden formularz.

– Nazwisko, wiek, wzrost, waga? – dopytuje się funkcjonariusz więzienny, który siedzi za biurkiem.

– Archer, sześćdziesiąt jeden lat, pięć stóp i dziesięć cali wzrostu, sto siedemdziesiąt osiem funtów wagi – odpowiadam, a on pyta, ile to kamieni, i wpisuje te dane w mały kwadrat.

– Dobra, Archer. Idź pan dalej, tam czeka mój kolega.

Tym razem mam do czynienia z dwoma funkcjonariuszami. Jeden stoi, drugi siedzi za biurkiem. Ten za biurkiem każe mi stanąć pod lampą łukową i się rozebrać. Obydwaj mężczyźni starają się przeprowadzić całą operację w tak ludzki sposób, jak to tylko możliwe. Najpierw zdejmuję marynarkę, potem krawat i koszulę.

– Aquascutum, Hilditch and Key i Yves Saint Laurent – recytuje stojący funkcjonariusz, a drugi wpisuje te informacje w stosowne rubryki.

Następnie pierwszy każe mi podnieść ręce nad głowę i obrócić się wkoło przy akompaniamencie szumu kamery wideo umocowanej na ścianie. Zwracają mi koszulę, ale zatrzymują spinki z Izby Gmin. Oddają mi marynarkę, ale krawata nie. Potem proszą, żebym zdjął buty, skarpetki, spodnie i bokserki.

– Church, Aquascutum i Calvin Klein – obwieszcza funkcjonariusz.

Znów obracam się wkoło i teraz muszę pokazać podeszwy stóp. Mężczyzna objaśnia, że czasem ukrywa się tam pod przylepcem narkotyki. Mówię, że nigdy w życiu nie brałem narkotyków. Nie okazuje zainteresowania. Zwracają mi bokserki, spodnie, skarpetki i buty, ale skórzanej paska nie.

– Czy to jest pańskie? – pyta funkcjonariusz, wskazując żółty plecaczek, który leży obok mnie na stole.

– Nie. Nigdy tego nie widziałem – odpowiadam.

– William Archer – mówi, spojrzawszy na nalepkę.

– O, wobec tego to jest od mojego syna.

Funkcjonariusz odsuwa zamek i ukazują się dwie koszule, dwie pary bokserów, sweter, buty sportowe i kosmetyczka z przyborami toaletowymi, w której znajduje się wszystko, czego mi potrzeba. Kosmetyczkę natychmiast mi

konfiskują, reszta rzeczy natomiast, jedna obok drugiej, zostaje ułożona na blacie biurka. Funkcjonariusz wręcza mi wielką plastikową torbę z wydrukowanym granatowymi literami napisem Więzienie Jej Królewskiej Mości Belmarsh, osadzonym na koronie. Widać w obecnych czasach wszystko musi mieć swój znak firmowy. Kiedy przekładam do torby rzeczy, które pozwolono mi zatrzymać, funkcjonariusz informuje mnie, że żółty plecak zostanie zwrócony mojemu synowi na koszt państwa. Dziękuję mu. Wygląda na zdziwionego. Inny funkcjonariusz odprowadza mnie z powrotem do oszklonej celi. Idę, przyciskając do piersi plastikową torbę.

Teraz siadam koło innego więźnia, który oznajmia, że ma na imię Aszmił; pochodzi z Kosowa, jest w trakcie procesu.

– O co jest pan oskarżony? – pytam.

– Nielegalne sprowadzanie imigrantów – mówi i zanim zdążę coś powiedzieć, ciągnie: – Oni wszyscy są więźniami politycznymi, którzy trafiliby do więzień albo i gorzej, gdyby zostali w swoim kraju. – To brzmi jak dobrze przećwiczona kwestia. – A za co pan oberwał?

– Archer – rozbrzmiewa ten sam służbisty głos.

Zostawiam mojego sąsiada i wracam do punktu przyjęć.

– Teraz obejrzy pana lekarz – oznajmia funkcjonariusz zza biurka, wskazując zielone drzwi za swoimi plecami.

Nie wiem, dlaczego zaskakuje mnie widok młodziutkiego internisty, który wstaje, gdy wchodzę.

– David Haskins – przedstawia się i dodaje: – Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Siadam po drugiej stronie biurka, tymczasem on otwiera szufladę i wyciąga kolejny formularz.

– Czy pan pali?

– Nie.

– Pije?

– Nie, jeśli nie liczyć czasem kieliszka czerwonego wina do kolacji.

– Czy zażywa pan narkotyki?

– Nie.

– Czy próbował pan kiedyś zrobić sobie coś złego?

– Nie.

Zadaje kolejne pytania, jakby zbierał dane do polisy ubezpieczeniowej, a ja odpowiadam: nie, nie, nie. Odznacza ptaszkiem każdy kwadracik.

– Chociaż nie uważam, że to konieczne – powiada, spoglądając na formularz – umieszczę pana na noc na oddziale medycznym, zanim naczelnik zdecyduje, do którego bloku pana skierować.

Uśmiecham się, gdyż wydaje mi się, że oddział medyczny to lepszy wybór.

Lekarz nie odwzajemnia mojego uśmiechu. Wymieniamy uścisk rąk, po czym wracam do szklanej celi. Czekam tylko chwilę, bo wkrótce zjawia się młoda kobieta w mundurze więziennym i prosi, żebym udał się z nią na oddział medyczny. Chwytam w garść moją plastikową torbę i idę za kobietą.

Wchodzimy na trzecie piętro zielonymi żelaznymi schodami, a potem wędrujemy długim korytarzem. Upadam na duchu. Wszyscy, których mijamy, wyglądają na pogrążonych w głębokiej depresji albo chorych psychicznie.

– Dlaczego mnie tu wysłano? – pytam, ale kobieta nie odpowiada. Później się dowiaduję, że większość skazańców trafiających po raz pierwszy za kratki spędza pierwszą noc na oddziale medycznym, ponieważ podczas pierwszej doby w więzieniu odnotowuje się najwięcej prób samobójczych i samobójstw².

Nie zostaję umieszczony, jak się tego spodziewałem, na oddziale szpitalnym, ale w celi. Kiedy zatrzasną się drzwi, zaczynam rozumieć, dlaczego człowiek może myśleć o samobójstwie. Cella ma pięć kroków na trzy, ceglane mury są pomalowane na przygnębiający fioletoworóżowy kolor. W rogu znajduje się wąskie łóżko z twardym jak kamień materacem, niczym z wojskowych odrzutów. Naprzeciw łóżka stoją kwadratowy stalowy stolik i stalowe krzesło. Przy ścianie tuż obok grubych na cal żelaznych drzwi jest stalowa umywalka i pozbawiona pokrywy i spłuczki muszla klozetowa. Jestem zdeterminowany, żeby z niej nie korzystać³. Nad łóżkiem znajduje się okno w okuciu czterech grubych, pomalowanych na czarno żelaznych sztab, pokryte skorupą brudu. Nie ma zasłon ani karnisza. Ponure, zimne, odpychające miejsce – oto jak można najprzychylniej określić tę moją tymczasową kwaterę na oddziale medycznym. Nic dziwnego, że lekarz nie odwzajemnił mojego uśmiechu. Tkwię samotnie w owym posępnym przybytku ponad godzinę i zaczynam wpadać w głęboką depresję.

W końcu obraca się klucz w zamku i do celi wchodzi młoda kobieta. Jest ciemnowłosa, niewysoka i szczupła i ma na sobie sztywny kostium w prążki. Wita się ze mną serdecznym uściskiem dłoni, siada na brzeжку łóżka i przedstawia się jako zastępczyni naczelnika. Nazywa się Roberts i ma nie więcej niż dwadzieścia sześć lat.

– Co ja tu robię? – zapytuję. – Nie jestem seryjnym mordercą.

– Większość więźniów spędza pierwszą noc na oddziale medycznym – tłumaczy – i niestety nie możemy robić żadnych wyjątków, a już szczególnie dla pana.

Nic nie mówię – co tu można powiedzieć?

– Musi pan wypełnić jeszcze jeden formularz – ciągnie – o ile nadal chce pan być na pogrzebie matki w sobotę⁴.

Czuję, że zastępczyni naczelnika stara się być uprzejma i pełna zrozumienia, lecz nie potrafię ukryć udreki.

– Jutro przeprowadzi się pan do bloku przejściowego – zapewnia – a jak

tylko zaliczą pana do kategorii A, B, C albo D, przeniesiemy pana do innego więzienia. Nie wątpię, że to będzie kategoria D – nie był pan nigdy skazany, nie dopuszczał się pan przemocy. – Wstaje. Wszyscy funkcjonariusze noszą wielki pęk kluczy, które pobrzękują przy każdym ruchu. – Zobaczymy się jutro rano. Czy udało się panu zatelefonować? – pyta, uderzając otwartą dłonią w ciężkie drzwi.

– Nie – odpowiadam i w tej chwili wielki Antylczyk o uśmiechu od ucha do ucha otwiera drzwi celi.

– Wobec tego zobaczę, co się da zrobić – obiecuje, wychodzi na korytarz i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Siadam na łóżku i przetrząsam plastikową torbę. Odkrywam, że mój starszy syn, William, dołączył do dozwolonych rzeczy egzemplarz książki Davida Nivena *Księżyc jest balonem*. Otwieram ją i znajduję liścik:

Tatusiu, mamy nadzieję, że nie będziesz musiał tego czytać, a gdyby, to głowa do góry, kochamy Cię i apelacja w drodze.

William, James

Dzięki Bogu za rodzinę, którą uwielbiam i która nadal się o mnie troszczy. Nie wiem, jak bym zniósł bez nich te ostatnie tygodnie. Musieli się zdobyć na wiele poświęceń, żeby być przy mnie co dzień podczas trwającego siedem tygodni procesu.

Rozlega się stukanie do drzwi celi i stalowa krata, przywodząca na myśl dużą ażurową skrzynkę na listy, unosi się, ukazując uśmiechniętego Antylczyka.

– Jestem Lester – oznajmia i wpycha do środka poduszkę – twardą jak kamień, jedną poszewkę – bładofioletową, jedno prześcieradło – zielone i jeden koc – brązowy.

Dziękuję Lesterowi, a potem bardzo długo ścielę łóżko. W końcu nie mam nic innego do roboty.

Po wykonaniu zadania siadam na łóżku i usiłuję czytać *Księżyc jest balonem*, ale nie mogę się skupić. Udaje mi się przebrnąć przez pięćdziesiąt stron; często przerywam lekturę i rozmyślam nad werdyktem przysięgłych, i chociaż jestem zmęczony, a nawet wyczerpany, zupełnie nie chce mi się spać. Nie spełniła się obietnica udostępnienia telefonu, więc w końcu gaszę świecącą nad łóżkiem lampę jarzeniową, układam głowę na twardej poduszce i mimo przejmujących krzyków pacjentów z sąsiednich cel w końcu zasypiam. Godzinę później budzę się, kiedy znowu zapala się światło, otwiera się skrzynka na listy i wpatruje się we mnie dwoje oczu – powtarza się to co sześćdziesiąt minut o pełnej godzinie – żeby się upewnić, czy nie targnąłem się na swoje życie. Warta samobójcza.

Zasypiam znowu i zbudziwszy się tuż po czwartej rano, kładę się na wznak,

bo po godzinach na twardej jak kamień poduszce bolą mnie uszy. Myślę o werdykcie i o tym, że nawet nie przyszło mi do głowy, iż przy tym samym zarzucie sędziowie przysięgli mogliby uznać Francisa za niewinnego, a mnie za winnego. Jakże mogliśmy spiskować, skoro jeden z nas nie wiedział, że to spisek? Uwierzyli również słowom mojej byłej sekretarki, Angie Peppiatt, kobiecie, która ukradła mi tysiące funtów i przez lata oszukiwała mnie i moją rodzinę.

W końcu zwracam się ku przyszłości. Zdecydowany nie tracić ani godziny, postanawiam prowadzić dziennik i spisywać wszystko, czego doświadczę jako więzień.

O 6 rano podnoszę się z mojego legowiska i przetrząsam plastikową torbę. Tak, znajduję w niej, co potrzeba, a w tym wypadku władze więzienne nie uznały, że należy to odesłać nadawcy. Bogu niech będą dzięki za syna, który był tak przewidujący, żeby umieścić, razem z innymi niezbędnymi rzeczami, blok papieru formatu A4 i sześć cienkopisów.

Dwie godziny później kończę pierwszy szkic opisu wszystkiego, co mi się przydarzyło, odkąd wysłano mnie do więzienia.

Dzień 2

Piątek, 20 lipca 2001

8.00 rano

Budzenie oficjalne – unosi się klapka i Antylczyk znowu wita mnie ciepłym uśmiechem, ale zobaczywszy, że siedzę przy stole i piszę, robi zdziwioną minę. Pracuję już blisko dwie godziny.

– Za kilka minut będzie pan mógł wziąć prysznic – obwieszcza.

Zdażyłem się już przekonać, że w więzieniu kilka minut może się przeciągnąć do godziny, więc nie przerywam pisania.

– Potrzebuje pan czegoś? – pyta grzecznie.

– A czy mógłbym dostać trochę papieru do pisania?

– Rzadko mnie o to proszą – przyznaje – ale zobaczę, co się da zrobić.

Lester wraca pół godziny później i teraz nieśmiało się uśmiecha. Odchyła klapkę i wsuwa przez niewielki otwór blok papieru formatu A4, podobnego do tego, którego zwykle używam. W zamian prosi mnie o sześć autografów, przy czym tylko jeden ma być imienny – dla jego córki Michelle. Nie wyjaśnia, dla kogo potrzebuje pozostałych pięciu, żąda tylko, żeby złożyć je na oddzielnych kartkach. Ponieważ w więzieniu obrót pieniężny jest zabroniony, cofamy się do

czasów trzynastowiecznej Anglii i stosujemy handel wymienny.

Nie mam pojęcia, ile jest wartych pięć podpisów Jeffreya Archera: może paczkę papierosów? Dziękuję Bogu za ów handel, gdyż czuję, że możliwość pisania w tej piekielnej dziurze pozwoli mi zachować zdrowe zmysły.

Czekając, aż wróci Lester i zaprowadzi mnie pod prysznic – nawet spacer długim, obskurnym korytarzem wydaje się upragniony – wciąż piszę. W końcu słyszę zgrzyt klucza w zamku i widzę, jak się otwierają masywne drzwi, co daje pewien przedsmak wolności. Lester wręcza mi cienki zielony ręcznik, więzienną szczoteczkę do zębów i tubkę więziennej pasty, po czym znów mnie zamyka. Myję zęby i pierwszy raz od lat krwawią mi dziąsła. Pewno to reakcja fizyczna na przejścia ostatniej doby. Trochę się martwię, bo tej niespokojnej nocy obiecałem sobie, że muszę utrzymać dobrą formę fizyczną i psychiczną. Według informatora więziennego, znajdującego się w każdej celi, ni mniej, ni więcej, tego właśnie wymaga szefostwo⁵.

Co mi się rzuciło w oczy po nocy na oddziale medycznym, to widok wielu odzianych w sztywne, czyste czarne mundury funkcjonariuszy więziennych z uśmiechem na ustach. Teraz siedzę na łóżku i zastanawiam się, co mnie czeka, kiedy z zamyślenia wyrzywa mnie krzyk.

– Dzień dobry, Jeff, założę się, żeś się nie spodziewał, że wylądujesz w tym mamrze!

Spoglądam przez małe okno i po drugiej stronie dziedzińca więziennego dostrzegam twarz wyglądającą zza krat. Ten też się szeroko uśmiecha.

– Jestem Gordon! – krzyczy. – Spotkamy się za godzinę na spacerniaku!

9.00 rano

Zostaję wypuszczony z celi i pod eskortą Lestera, który prowadzi mnie pod prysznic, wędruję wolno korytarzem, rozkoszując się nowo odzyskaną wolnością. Myślę, że powinienem wam powiedzieć, iż w moim mieszkaniu przy Albert Embankment urządzeniem, które napawa mnie chyba największą dumą, jest łazienka z prysznicem. Kiedy wychodzę z niej codziennie rano, czuję się odrodzony, gotów stawić czoło światu. Belmarsh nie oferuje czegoś choć trochę podobnego ani tak miłych wrażeń. W olbrzymim pomieszczeniu z kamienną posadzką znajdują się trzy uruchamiane przyciskiem natryski, z których cienką stróżką cieknie woda, w najlepszym wypadku letnia. Po trzydziestu sekundach trzeba znów nacisnąć przycisk. W rezultacie kąpiel trwa dwa razy dłużej niż normalnie, ale jak sobie uświadamiam, w więzieniu czas to jedyny towar w nadmiarze. Lester prowadzi mnie z powrotem do celi. Idę, ściskając kurczowo mały, przesiąknięty wodą ręcznik; Lester mówi, żebym nie spuszczał go z oka, bo musi mi wystarczyć na cały tydzień.

Zatrząskuje drzwi celi.

10.00 rano

Leżę na łóżku, wpatrując się w biały sufit, gdy z zamyślenia wyrywa mnie zgrzyt klucza w zamku. Nie mam pojęcia, kto mnie nawiedzi tym razem. Okazuje się, że jest to pulchna kobieta w mundurze więziennym, która ma coś wspólnego z obrotnym Antylczykiem, a mianowicie ciepły uśmiech. Przysiada na łóżku i podaje mi formularz więziennej kantyny. Tłumaczy, że jeśli mnie stać, mogę wydać dwanaście funtów i pięćdziesiąt pensów tygodniowo. Mam zaznaczyć w małych rubrykach wybrane produkty, a ona dopilnuje, żeby przyniesiono mi je później do celi. Nie trudzę się, żeby spytać, co znaczy „później”. Kiedy odchodzi, wczytuję się w listę, wyszukując artykuły pierwszej potrzeby.

Z przerażeniem stwierdzam, że w pierwszej rubryczce przeważają różne gatunki tytoniu, a w drugiej baterie – zastanawiające. Studiuję listę przez dłuższy czas i nawet bawi mnie podejmowanie decyzji, jak wydam tych dwanaście funtów i pięćdziesiąt pensów. (Zobacz poniżej).

H.M.P BEL MARSH : PRISONERS CANTEN SERVICE				PRICES EFFECTIVE FROM : 4th June 2001			
PRISONERS NAME		NUMBER		WING AND CELL NUMBER		DATE :	
ARCHER		FF 828L					
TOBACCO				CONFECTIONERY			
CODE	COST	QTY	TOTAL	CODE	COST	QTY	TOTAL
OLDEN VIRGINIA (5g)	1	£ 1.25		FUDGE Bar Cadbury's		£ 0.15	
Red Bull Tobacco 12.5g		£ 1.42		FUSE BAR	45	£ 0.33	
U.M.P LIGHTER	2	£ 0.33		CADS F / N BAR 52g	46	£ 0.35	
	3	£ 0.10		CADS CRUNCHIE	47	£ 0.35	
MATCHES	4	£ 0.10		CADS CHOC ECLAIRS	48	£ 0.65	
I & HEDGES SINGLES	5	£ 0.22		RIFFLE	49	£ 0.33	
I & HEDGES TWENTIES	6	£ 4.35		MALTESER .	50	£ 0.35	
MARLBOROUGH TWENTIES	7	£ 4.35		TOFFO ASSORTED	51	£ 0.28	
MILK CUT KINGSIZE TWENTIES	8	£ 4.35		BOUNTY BAR	52	£ 0.33	
WILSON KINGSIZE 1x18	9	£ 3.20		MARS 65g	53	£ 0.30	
SMILET CIGARS	10	£ 0.59		TWIX BAR 58g	54	£ 0.30	
LAN AROMATIC	11	£ 3.39		TUNES	55	£ 0.42	
OLDEN VIRGINIA 12.5g	12	£ 2.27		MILKY WAY	56	£ 0.16	
OLD HOBORN 12.5g	13	£ 2.27		SNICKERS BAR	57	£ 0.32	
WAZALA RED / GREEN PAPERS	14	£ 0.20		MAYNARD; WINE GUMS	58	£ 0.32	
Red Bull or other brands Cig Paper	15	£ 0.12			59	£ 0.32	
MINTERS	16	£ 0.52		YORKIES	60	£ 0.35	
				FRUIT PASTILLES	61	£ 0.30	
				EXTRA STRONG MINTS	62	£ 0.30	
BATTERIES							
				ROCK NUTS 50g / RAISINS	63	£ 0.45	
EVER READY R20S	19	£ 0.62		CRISPS READY SALTED	64	£ 0.28	
EVER READY R14S	20	£ 0.50		CRISPS CHEESE AND ONION	64	£ 0.28	
EVER READY R6S	21	£ 0.16		CRISPS SALT AND VINEGAR	64	£ 0.28	
ENERGIZER LR20	23	£ 0.80		CRISPS OTHER (PLEASE STATE)	64	£ 0.28	
ENERGIZER LR14	24	£ 0.52		PRINGLES READY SALTED	64	£ 0.55	
ENERGIZER LR6	25	£ 0.28		PRINGLES SOUR CREAM	64	£ 0.55	
EVER READY PP9	26	£ 1.90		PRINGLES SALT AND VINEGAR	64	£ 0.55	
POSTAGE AND PHONECARDS							
				CHEWS ASSTD		£ 0.01	
1ST CLASS STAMPS (SINGLE UNIT)	241	£ 0.27		M & M PEANUTS	65	£ 0.36	
2ND CLASS STAMPS (SINGLE UNIT)	242	£ 0.19		POLO MINTS	66	£ 0.21	
STAMPS SPECIAL (SINGLE UNIT)	243	£ 0.08		KIT KAT 4 FINGER		£ 0.30	
				STARBUST		£ 0.33	
AEROGRAMMES (SINGLE UNIT)	244	£ 0.38		CAD FLAKE		£ 0.36	
PHONECARDS 1 X 20 UNITS	245	£ 2.00		TRACKER / LIONBAR		£ 0.32	
PHONECARDS 1 X 40 UNITS	246	£ 4.00		PICNIC		£ 0.27	
STATIONERY / ELECTRICAL							
				PREDO (SINGLE)		£ 0.15p	
A4 PADS	31	£ 1.25		BOMBAY MIX		£ 0.42	
WRITING PADS	32	0.78		BEVERAGES AND SOFT DRINKS			
ENVELOPES	33	0.75		COFFEE PLASTIC JAR	162	£ 2.35	
3C PENS	34	0.20		QUALITY TEABAGS	163	£ 0.62	
3BU COLOUR PENCILS	35	1.15		TWININGS HERBAL TEAS 1X20s		£1.17	
WETCH PADS A4	36	0.90		TWININGS HERBAL FRUITSTEAS 1X20s		£1.25	MIXED
MELIX RULER 30cm	37	0.40		NESCAFE COFFEE SATCHETS	199	£ 0.09	
SLAYING CARDS	38		99p	CAPACHINO SATCHETS	196	£ 0.30	
MP Radios etc Argos Catalogue Prices Plus 6%	150			OVALTINE	201	£ 1.57	
	152			NESTLE CONDENSED MILK LRG	171	£ 1.65	
FLASK SMALL (ENHANCED PRISONERS ONLY) 1x.05Ltr	281	6.13		DRINKING CHOCOLATE 250g	177	£ 1.36	
REPLACEMENT PRICE LISTS							
		£0.10		MARVEL MILK POWDER	172	£ 1.89	
				UHT WHOLE MILK SEMI SKIN 500ml	76	£ 0.45	
				UHT SOYA MILK UNSWEETENED 500ml		£0.53	
				ROBINSONS APPLE / BLACK	70	£ 1.10	
	85	£0.38		ROBINSONS LEMON	71	£ 1.10	
PEANUTS SALTED	86	£0.42		ROBINSONS ORANGE	72	£ 1.10	
	87			LILT CAN OR 300ml	73	£ 0.50	
KIT KAT CHUNKEY		£0.55		COCA COLA OR DIET COKE 330ml	75	£ 0.50	
MONKEY NUTS		£0.50		S / SPRING BOTTLES	77	£ 0.49	
				T.D.Y. ORANGE JUICE	78	£ 0.68	
TODAYS SEEDLESS RAISINS 375g /SULTANAS		£0.90		WATER 1.5Ltr	79	£ 0.82	
BESAME SNAPS		£0.22		CANS 330ml FANTA	80	£ 0.50	
CRISPO BLACK OLIVES POUCH		£0.65		LUCOZADE	81	£ 2.15	
MESQUICK STRAWBERRYCHOCOLATE 225g		£1.39		CRANBERRY JUICE		£1.16	

PRISONER'S NAME :	NUMBER :	WING & CELL NUMBER :	DATE :
-------------------	----------	----------------------	--------

CARDS	CODE	COST	QTY	TOTAL	GROCERIES	CODE	COST	QTY	TOTAL
SMALL CARDS	83	£0.76			GRANULATED SUGAR 1Kg	160	£0.75		
LARGE CARDS	84	£1.16			T & L SUGAR GRAN 600g	161	£0.65		
XMAS CARDS LARGE	86				GEMERARA SUGAR 600g	164	£0.77		
XMAS CARDS SMALL	86				ROWSE HONEY 12 oz	176	£2.06		
XMAS CARDS BOX	87				ROBINSONS SOZY JAM		£1.26		
CARDS OTHER					FLORA MARGARINE	161	£0.65		

GIVE AS MUCH DETAIL AS POSSIBLE

TOILETRIES / HEALTH PRODUCTS									
NIVEA CREAM 250ml	104	£1.24			POT NOODLE CHIK / MUSH	169	£0.83		
E46 SKIN CREAM	110	£1.36	1.95		POT NOODLE CURRY	169	£0.83		
CHAP STICK / LIPSYL	100	£1.63			POT NOODLE BEEF / TOM	170	£0.83		
COCOA BUTTER NATURAL LOTION 500ml	102	£0.88			KOKA NOODLES 86g ASSTD		£0.32		
COCOA BUTTER PALMERS LOTION 250ml		£3.38			CUPPA SOUP	173	£0.22		
DAX POM green 100g	103	2.07			HEINZ SOZY MAYONNAISE		£1.76		
VITAMINS 60s	106	£1.77			HEINZ SALAD CREAM	176	£2.00		
ODD LIVER OIL CAPSULES	104	£1.50			TOMATO KETCHUP 460g	182	£1.40		
DP 90 VARIOUS	107	£6.30	5.90		BROWN SAUCE	184	£1.86		
GARLIC CAPSULES	108	£1.43			OXO CUBES SINGLE	186	£0.09		
WIPACAPSONAL	110	£1.36			KELLOGS CORNFLAKES 250g	178	£1.14		
CAMAY CHIC - BLACK 100g	112	£0.43			KELLOGS VARIETY 12s	179	£1.33		
FAJRY SOAP WHITE EXTRA CARE 126g	113	£0.46			KELLOGS RICE KRISPIES 260g	181	£1.14		
ZEST 126g		£0.62			ALPEN REGULAR	197	£1.36		
WRIGHT COAL TAR SOAP BATH		£0.86			ALPEN ORIGINAL 7600		£2.60		
WIPACAPSONAL		£1.36			WEETABIX 12s	190	£0.33		
LUX HONEY MILK SOAP	116	£0.62			WEETABIX FAMILY	183	£1.67		
PEARS TRANSPARENT	117	£1.04			KELLOGS CRUNCHY NUT C/FLAKES		£1.83		
COMFORT 1 Lb	118	£1.27			QUAKER SUGAR PUFFS 320g		£1.86		
FLANNEL FACE	119	£0.66			KELLOGS FRUIT & FIBRE		£1.69		
IMPERIAL LEATHER SOAP 126g	120	£0.63			QUAKER SHREDDED WHEAT 320g		£1.36		
JOHNSONS BabyHyvoo 200ml	121	£2.00			KELLOGS NUTRI BARS		£0.32		
JOHNSONS Baby Oil 200ml	122	£2.24			READY BREAK 260g		£0.87		
SOFTKINS BABY OIL 250ml		£0.83			JACOBS CREAM CRACKERS	191	£0.60		
SOFTKINS BABY LOTION 250ml		£0.63			T.D.Y. RICH TEA BISCUITS	187	£0.43		
VOSENE SHAMPOO	123	£1.76			BOURBON CREAMS 200g	188	£0.46		
SHAMPOO TWOTEI 250ml	124	£1.36			RITZ CHEESE 200g	189	£0.83		
COLOATE TOOTH PASTE 60ml	126	£0.81			SHORTCAKE 160g	190	£0.43		
EUCRYL TOOTH POWDER	126	£1.62			CUSTARD CREAMS 200g	191	£0.46		
STERADENT TABLETS X 90	127	£1.36			NICE 160g	192	£0.43		
JORDAN TOOTH BRUSH MED	128	£1.18			RYVITA	193	£0.49		
SENSODYNE TOOTH PASTE	133	£2.86			McVITTIES DIGESTIVE 360g	194	£0.68		
TOOTH PASTE ULTRA BRITE		£0.81			McVITTIES HOMEWHEAT MILK	196	£0.89		
SHAMPOO NATURAL FAMILY 600ml		£0.87			T.D.Y. GINGER NUTS 200g	200	£0.38		
NATURAL FREQ CONDITIONER 600ml		£0.78			McV HOB NOBS PLAIN 300g	203	£0.36		
SHAMPOO B/FINE PRO VIT 260ml		£1.20			McV HOB NOBS MILK/DARK CHOC	204	£0.36		
SHAMPOO B/FINE WIPACAPSONAL 400ml		£1.29			COCONUT RINGS WIPACAPSONAL		£0.48		
WASH N GO SHAMPOO	114	£3.30			TDY FRUIT SHORT CAKE		£0.84		
SHOWER GEL NATURAL 250ml	138	£0.80			McV JAFFA CAKES		£0.83		
HAIR GEL 226g	136	£0.60			McVITTES GINGER CAKE		£0.36		
DEODORANT DOVE SOLID STICK		£2.10			WIPACAPSONAL		£0.36		
GILLETTE DEODORANT GEL STICK	111	£2.99			JOHN WEST TUNA OIL BRINE 200g		£0.39		
GILLETTE AFTER SHAVE BALM	137	£4.75			JOHN WEST CORNED BEEF 196g		£0.36		
TOILET ROLLS TWIN	134	£0.99			GLENNYCKS PILCHARDS 164g		£0.64		
TDY MANS TISSUE	116	£0.76			PRINCESS HAM 200g		£0.37		
PRINCES PEAR HALVES SYRUP		£0.79			HOTDOG'S 400g		£0.60		
PRINCESS PEACHES SLICED		£0.72			HEINZ COLESRAW SALAD		£0.92		
PINEAPPLE CRUSH IN JUICE		£0.96			HEINZ POTATO SALAD		£0.81		
VALFRUTTA FRUIT COCKTAIL		£0.63			VALFRUTTA SWEETCORN		£0.64		
BIRDS R.T.S CUSTARD 426g		£0.99							
AMBROSIA CREAMED RICE		£0.83							

IF THERE IS NOT ENOUGH MONEY IN YOUR ACCOUNT
ORDERS WILL BE ADJUSTED FROM THE BOTTOM UPWARDS

INMATES SIGNATURE.....DATE.....
CHECKED BY.....POSTED BY.....

11.00 rano

Rozbrzmiewa dzwonek, jakby oznajmiał koniec lekcji. Drzwi celi otwierają się i dołączam do współwięźniów, żeby spędzić czterdzieści pięć minut na spacerunku. Jestem pewien, że widzieliście takie sceny w wielu filmach – ale to trochę co innego, kiedy samemu bierze się w tym udział. Zanim zejdziemy na dziedziniec, wszyscy musimy poddać się kolejnej rewizji, nieco podobnej do tej, jaką przechodzi się na lotnisku. Potem sprowadzają nas żelaznymi schodami z trzeciego piętra na spacerunek.

Krążę wokół placu o boku jednego furlonga⁶, otoczonego wysokim murem z czerwonej cegły, z krótko ostrzyżonym, mizernym trawnikiem w środku. Po kilku rundach dołącza do mnie Gordon, który przywitał mnie dziś rano z okna po drugiej stronie dziedzińca. Jest wysoki i szczupły, ma sylwetkę sportowca. Bez zachęty z mojej strony opowiada, że odsiedział już jedenaście lat z czternastoletniego wyroku za morderstwo. To jest piąte więzienie, do którego go przetrzucono. Chyba nie za dobre zachowanie, myślę sobie⁷. Jako pisarz jestem ciekaw jego losów, ale nawet nie muszę zadawać pytań, gdyż mówi bez ustanku, co, jak się później przekonuję, jest wspólną cechą skazanych na dożywocie.

Gordon ma wyjść na wolność za trzy lata i chociaż jest dyslektykiem, ukończył anglistykę na uniwersytecie otwartym, a teraz studiuje prawo. Twierdzi też, że napisał tomik poezji; przypominam sobie, że coś o tym czytałem w „Daily Mail”.

– Nie wspominaj mi o prasie – skrzeczy jak magnetofon, którego nie można wyłączyć. – Oni zawsze wszystko przekręcą. Napisali, że zastrzeliłem chłopaka mojej kochanki, kiedy zastałem ich razem w łóżku, i że on był absolwentem Eton.

– A nie był? – pytam z głupia frant.

– Tak, był – odpowiada Gordon. – Ale ja go wcale nie zastrzeliłem. Dźgnąłem go siedemnaście razy nożem.

Robi mi się niedobrze od tego obojętnego wyznania, wypowiedzianego bez skruchy czy ironii. Gordon dalej opowiada, że miał wtedy dwadzieścia lat i że jako czternastolatek musiał uciec z domu, gdyż był molestowany seksualnie. Dygocę, mimo że słońce pali żarem. Ciekawe, ile upłynie czasu, zanim takie zwierzenia przestaną budzić we mnie odrazę. Kiedy przestanie mnie ogarniać dreszcz? Kiedy się to stanie czymś obojętnym, pospolitym banałem?

Kiedy tak krążymy dookoła dziedzińca, Gordon pokazuje mi Ronniego Biggsa, który siedzi na ławce w przeciwległym rogu pośród pelargonii.

– Dopiero co je posadzili, Jeff – powiada Gordon. – Musieli się tu ciebie spodziewać. – I znów mówi to bez śmiechu.

Spoglądam w stronę chorego, starego człowieka z rurką wystającą z nosa. Nie wygląda, jakby miał długo pożyć.

Jeszcze jedno okrążenie i pytam Gordona o młodego Antylczyka, który stoi

z twarzą zwróconą do muru i nie poruszył się, odkąd wszedłem na dziedziniec.

– Zabił żonę i córeczkę – mówi Gordon. – Od kiedy go zamknęli, trzy razy próbował popełnić samobójstwo i do nikogo się nie odzywa.

Czuję dziwne współczucie dla tego podwójnego mordercy, gdy mijamy go trzeci raz. Kiedy doganiamy innego więźnia, który wygląda na całkiem zagubionego, Gordon szepcze:

– To Barry George, którego właśnie wsadzili za zabicie Jill Dando.

Nie mówię mu, że Jill była moją starą przyjaciółką i że oboje pochodzimy z Weston-super-Mare. Pierwszy raz w życiu chowam swoją opinię dla siebie.

– Tu nikt nie wierzy, że to zrobił – mówi Gordon. – Klawisze też.

Nadal nie komentuję. Jednakże procesy George'a i mój odbywały się w Old Bailey równocześnie i byłem zdziwiony, jak wielu zarówno prawników, jak i osób niezwiązanych z tą profesją mówiło mi, że werdykt nie daje im spokoju.

– Założę się, że zostanie wypuszczony po apelacji⁸ – dodaje Gordon.

Tymczasem znów rozbrzmiewa dzwonek, obwieszczając kres naszej czterdziestopięciominutowej „wolności”.

Zanim opuścimy dziedziniec, znowu nas rewidują, co mnie zdumiewa; jeżeli nic nie mieliśmy, przychodząc tu, jak mogliśmy wejść w posiadanie czegoś, wędrując wkoło? Pewno można ten fakt jakoś prosto wytłumaczyć. Pytam o to Gordona.

– Muszą za każdym razem powtarzać całą procedurę – wyjaśnia, kiedy wchodzimy po schodach. – Takie są przepisy.

Na trzecim pięttrze rozstajemy się i idziemy każdy w inną stronę.

– Do widzenia – mówi Gordon.

Nie zobaczymy się więcej.

Trzy dni później czytam w „The Sun”, że wymieniłem uścisk ręki z Ronaldem Biggsem, kiedy Gordon nas sobie przedstawił.

11.45 rano

Wróciwszy do celi, nadal piszę, ale nie zdążyłem dokończyć strony, a już słyszę, jak klucz przekręca się w zamku. To pani Roberts, zastępczyni naczelnika. Wstaję i wskazuję jej moje małe stalowe krzesło. Uśmiecha się, macha ręką i przysiadła na brzeżku łóżka. Potwierdza, że naczelnik się zgodził, żebym był obecny na pogrzebie matki i na nabożeństwie żałobnym w kościele parafialnym w Grantchester. W komputerze policyjnym w Scotland Yardzie sprawdzono, że nie byłem nigdy skazany i nie mam na koncie przestępstwa z użyciem przemocy, zatem automatycznie zaliczono mnie do więźniów kategorii D⁹. Jak wyjaśnia zastępczyni naczelnika, jest to o tyle ważne, że funkcjonariusze więzienni, którzy będą mi towarzyszyć podczas ceremonii pogrzebowych, nie muszą wystąpić

w mundurach, a ja nie będę zakuty w kajdanki.

Mówię, że sprawię dziennikarzom zawód.

– Z pewnością i tak będą utrzymywać, że miał pan kajdanki – odpowiada zastępczyni naczelnika, po czym informuje mnie, że wkrótce po lunchu zostaną przeniesiony ze skrzydła medycznego do bloku trzeciego.

Nie ma sensu pytać, kiedy dokładnie to nastąpi.

Zamknięty w celi, spędzam czas, który pozostał do południa, pisząc według ustalonego porządku, jakiego się trzymam od dwudziestu pięciu lat: dwie godziny pracy, dwie odpoczynku – choć nigdy jeszcze w takim otoczeniu. Kiedy w normalnych okolicznościach wyjeżdżam z domu, żeby pisać, udaję się tam, skąd widać ocean.

12.00 w południe

Wypuszczają mnie z celi, ustawiam się w kolejce po lunch. Jedno spojrzenie na potrawy i mam dość – rozgotowane mięso, Bóg wie z jakiego zwierzęcia, papkowaty groszek pływający w wodzie i ziemniaki, na jakie by się nie skusił nawet Oliver Twist. Poprzestaję na kromce chleba i blaszanym kubku mleka (ale nie z blaszanej puszki). Siadam przy pobliskim stole, w trzy minuty kończę lunch i wracam do celi.

Nie czekam długo, kiedy zjawia się kolejna strażniczka i mówi, że przenoszą mnie do bloku numer trzy, zwanego przez więźniów Bejrutem. Pakuję moją plastikową torbę, co zajmuje mi znów trzy minuty, tymczasem kobieta tłumaczy, że Bejrut znajduje się po drugiej stronie więzienia.

– Chyba wszystko jest lepsze od oddziału medycznego – ryzykuję opinię.

– Tak, Bejrut jest trochę lepszy – odpowiada kobieta. Waha się. – Ale nie za bardzo – dodaje.

Prowadzi mnie kilkoma łączącymi się korytarzami, po drodze otwierając i zamykając wiele okratowanych furt, aż wreszcie przybywamy do Bejrutu. Więźniowie wiwatują na mój widok. Później się dowiaduję, że szły zakłady o to, w którym bloku mnie osadzą.

Każdy z czterech bloków służy innemu celowi, więc nietrudno było wydedukować, że trafię do trzeciego – przejściowego. Więzień przebywa tam, dopóki nie zostanie sklasyfikowany, niczym samolot krążący nad lotniskiem i czekający na instrukcję, na którym pasie ma ostatecznie wylądować. Więcej na ten temat później.

Okazuje się, że nowa cela jest nieco większa i nieco bardziej ludzka, ale, jak zapowiadała moja konwojentka, tylko trochę. Ściany mają bardziej strawny odcień zieleni, w muszli klozetowej można spuścić wodę. Nie trzeba siusiać do umywalki. Widok jak poprzednio. Patrzyć na inny blok z czerwonej cegły, który odgradza

życie ludzkie od słońca. Długa wędrówka z bloku medycznego przez całe więzienie do bloku trzeciego była sama w sobie miłym interludium, ale robi mi się niedobrze na myśl, że to ma się stać sposobem życia.

Przed celą czeka na mnie roznosiciel herbaty imieniem James, zwany Powiernikiem¹⁰. Ma miłą twarz i przypomina mi starostę klasy witającego nowego ucznia, który pierwszy raz przychodzi do szkoły, z tą różnicą, że jest o dwadzieścia lat młodszy ode mnie. James mówi, że jeżeli będę miał jakieś pytanie, mam się do niego zwrócić bez wahania. Radzi mi, żebym z nikim nie rozmawiał – ani z więźniami, ani z funkcjonariuszami więziennymi – o swoim wyroku czy apelacji i żebym nie poruszał żadnego tematu, jeżeli następnego dnia nie chcę ujrzeć swojej wypowiedzi w ogólnokrajowych gazetach. Uprzedza mnie, że wszyscy więźniowie są przekonani, iż zrobią majątek, jeżeli zatelefonują do redakcji „The Sun” i opowiedzą, co jadłem na lunch. Dziękuję mu za radę, której zresztą udzielił mi już mój adwokat. James wręcza mi kolejną twardą jak kamień poduszkę z zieloną powłóczką, ale tym razem dostaję dwa prześcieradła i dwa koce. Daje mi też plastikowy talerz, plastikową miskę i plastikowy kubek oraz plastikowy nóż i widelec. A potem przekazuje mi złą wiadomość: wszyscy zawodnicy angielscy zostali wyeliminowani przy stanie 187 punktów. Marszczę brwi.

– Ale Australia ma 27 punktów przy dwóch zawodnikach wyeliminowanych – dodaje z uśmiechem. Widać słyszał o mojej miłości do krykieta. – Chciałby pan mieć radio? – pyta. – Mógłby pan wtedy słuchać relacji na żywo z całego meczu.

Wprost nie mogę ukryć radości. James odchodzi, a ja ścielę moje nowe łóżko. Wraca po kilku minutach z wysłużonym czarnym odbiornikiem, który wytrzasnął nie wiadomo skąd.

– Zobaczmy się później – mówi i znika.

Długo ustawiam radio na małym ceglany parapecie, tak żeby antena wystawała poza kraty, i w końcu udaje mi się złowić znajomy głos Christophera Martina-Jenkinsa w *Test Match Special*. Mówi Blowersowi, że powinien się ostrzec. Potem podaje trochę poważniejszą wiadomość, że Australijczycy mają teraz 92 punkty przy dwóch graczach wyeliminowanych i że obaj bracia Waugh grają w swoim zwykłym stylu. Ponieważ akurat nie piszę, leżę na łóżku i słyszę jęk Grahama Goocha, kiedy dwukrotnie, raz za razem, ktoś nie złapał piłki. W chwili gdy rozbrzmiewa dzwonek wzywający na kolację, Australia ma 207 punktów przy czterech zawodnikach wyeliminowanych i podejrzewam, że czeka ją pewne zwycięstwo.

4.00 po południu

I znowu nie tknąłem więziennego wiktu i zastanawiam się, ile potrwa, zanim się poddam.

Wracam do celi i widzę, że na łóżku leżą zamówione przeze mnie produkty z kantyny. Pierwsza myśl, która mi przychodzi do głowy, to że ktoś wszedł i wyszedł z celi bez mojej wiedzy. Nalewam wody mineralnej Buxton do plastikowego kubka i zdejmuję pokrywkę z tubki chipsów Pringles. Jem i piję bardzo wolno.

7.00 wieczorem

Trzy godziny później znów rozbrzmiewa dzwonek. Oddziałowi otwierają drzwi wszystkich cel i więźniowie gromadzą się na parterze, żeby spędzić tak zwaną Godzinę Wspólną. Przez ten czas przebywają ze współwięźniami. Wybieram jak najdłuższą trasę – spacer jest teraz luksusem – i dowiaduję się, jakie są proponowane zajęcia. W jednym rogu sali siedzi czterech czarnych mężczyzn z krzyżami na złotych łańcuchach na szyjach i gra w domino. Potem się dowiaduję, że wszyscy czterej są skazani za morderstwo. Nie robią wrażenia szczególnie agresywnych, kiedy się zastanawiają nad kolejnym rzutem. Idę dalej i widzę dwóch więźniów, którzy grają w bilard, podczas gdy inni siedzą wokół, zagłębieni w lekturze „The Sun” – najbardziej popularnej gazety w więzieniu, sądząc po liczbie jej czytelników. Na drugim końcu sali stoi długa kolejka do dwóch telefonów. Każdy oczekujący ma kartę telefoniczną wartości 2 funtów, z której może skorzystać w dowolnym czasie podczas Godziny Wspólnej. Mam dostać taką kartę jutro. Ciekaw jestem, czy w hiszpańskim więzieniu wszystko dzieje się pojutrze.

Przystaję i gawędzę z kimś, kto przedstawia się imieniem Paul. Mówi mi, że skazano go za oszustwa związane z podatkiem VAT (siedem lat) i wyjaśnia, jak go przyłapano, gdy podchodzi do nas strażnik. Wywiązuje się długa rozmowa, podczas której okazuje się, że on też nie wierzy, że Barry George zabił Jill Dando.

– Dlaczego nie? – pytam.

– Po prostu jest za głupi – odpowiada strażnik. – Zresztą Dando zginęła od jednego strzału, co mnie przekonuje, że morderstwa dokonał zawodowiec. – Potem oznajmia, że od półtora roku pełni służbę w tym skrzydle, gdzie siedzi George, i powtarza: – Mówię wam, to nie na jego rozum.

Dołącza do nas Pat (zabójstwo, złagodzone do nieumyślnego spowodowania śmierci, cztery lata) i powiada, że jest takiego samego zdania. Przypomina sobie incydent, który się zdarzył w „dniu sportu więziennego” w zeszłym roku, kiedy Barry George – wtedy w areszcie śledczym – biegł na dystansie stu jardów i na trzydziestym się przewrócił.

– On jest trochę zboczony – zauważa Pat – i może należałoby go zamknąć w zakładzie, ale nie jest mordercą.

Kiedy ich opuszczam, żeby kontynuować spacer, dostrzegam, że jesteśmy z dwu stron ogrodzeni sięgającą od podłogi do sufitu kurtyną ze stalowej siatki. Wszyscy, których mijam, witają mnie skinieniem głowy albo uśmiechem, niektórzy mnie zatrzymują i chcą rozmawiać o czekającym ich procesie, a ci, którzy wysyłają kartki, pragną się dowiedzieć, jak się pisze Christine albo Suzanne. Większość więźniów jest przyjazna i zwraca się do mnie per lord Jeff, ot, jeszcze jeden nowicjusz. Przybieram wesołą minę. Kiedy pomyślę, że jeśli moja apelacja zostanie odrzucona, będę musiał odsiedzieć co najmniej dwa lata, to wprost sobie nie wyobrażam, jak może sobie radzić ktoś z dożywotnim wyrokiem.

– To jest po prostu pewien sposób życia – mówi Jack, który ma czterdzieści osiem lat, a ostatnie dwadzieścia dwa spędził przeważnie w różnych więzieniach. – Mój problem polega na tym – dodaje – że kiedy opuszczam to miejsce, nic już nie potrafię robić.

Ostatnio podobne słowa usłyszałem od pewnego konserwatywnego członka parlamentu przed wyborami. Przepadł w głosowaniu.

Jack zaprasza mnie, bym obejrzał jego celę na parterze. Zaskakuje mnie widok trzech łóżek w klitce niewiele większej od mojej. Myślałem, że mi powie, jakie to szczęście, że mam pojedynczą celę, ale nie, demonstruje tylko wielki rysunek przyczepiony do ściany.

– Jak myślisz, Jeff, co to jest? – pyta.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. – Czy to wykres, który pokazuje, za ile dni, miesięcy i lat wyjdiesz na wolność?

– Nie – mówi Jack. Pokazuje miejsce pod umywalką, gdzie roi się od mrówek.

Nadal nie rozumiem, w czym rzecz.

– Co wieczór – tłumaczy Jack – cała nasza trójka urządza wyścigi mrówek, a to jest tor wyścigowy. Takie mrówkowe Ascot – dodaje ze śmiechem.

– A o co gracie? – dopytuję się, bo wiem, że w więzieniu nie wolno mieć pieniędzy.

– Ten, kto wygra w tygodniu najwięcej wyścigów, w sobotę wieczór wybiera sobie łóżko, na którym będzie spał przez następnych siedem dni.

Patrzę na trzy łóżka. Z jednej strony celi, przy ścianie, znajduje się pojedyncze łóżko, z drugiej strony natomiast jest piętrowa prycza.

– Które wybiera zwycięzca?

– Ale pieprzony¹¹ głupek z ciebie, Jeff. Jasne, że górną pryczę, bo tam jest najdalej od mrówek i może w nocy spać.

– A co dostają mrówki? – pytam.

– Jak zwyciężę, darujemy im życie do następnych wyścigów.

- A jak przegrają?
 - Wrzucamy je do jutrzejszej zupy.
- Myślę, że to był żart.

Rozlega się dźwięk dzwonka i oddziałowi natychmiast zaganiają nas do cel i zatrzaszczają drzwi. Nie otworzą ich do ósmej rano następnego dnia.

Starszy rangą funkcjonariusz zatrzymuje mnie w drodze do celi i mówi, że naczelnik chce ze mną porozmawiać. Idę za nim, ale muszę co kilka kroków przystawać, kiedy odryglowuje i zaryglowuje niezliczone kraty, zanim wprowadzi mnie do przyjemnie urządzonego pokoju, w którym znajdują się sofa i dwa fotele i wiszą obrazy na ścianach.

Naczelnik bloku trzeciego o nazwisku Peel wstaje, podaje mi rękę i wskazuje fotel. Pyta, jak się adaptuję. Odpowiadam, że ze skrzydłem medycznym nie chciałbym mieć nigdy więcej styczności, natomiast blok trzeci, choć okropny, jest w porównaniu z nim nieco lepszy.

Naczelnik kiwa głową, jakby słyszał to już wcześniej. Wyjaśnia, że w Belmarsh jest pięciu naczelników, on zaś odpowiada za organizację mojego wyjazdu do Grantchester na pogrzeb matki. Zapewnia, że wszystko jest przygotowane, ale uprzedza, że mam wyruszyć nazajutrz o siódmej rano. Chcę spytać, dlaczego o siódmej, skoro ceremonia pogrzebowa rozpoczyna się dopiero o jedenastej, a podróż do Grantchester zazwyczaj trwa około godziny, kiedy naczelnik podnosi się i dodaje:

- Zobaczymy się znowu po pańskim powrocie z Cambridge.

Życzy mi dobrej nocy, ale nie podaje drugi raz ręki. Wychodzę z biura i usiłuję trafić do swojej celi. Idę bez eskorty i błędzę. Jakiś funkcjonariusz śpieszy mi na ratunek i naprowadza mnie na właściwą drogę, najwyraźniej przekonany, że nie próbowałem uciekać. Mam ochotę mu powiedzieć, że nie umiałem znaleźć drogi do celi, a co dopiero poza mury.

9.00 wieczorem

Zamknięty znów w swojej klitce, otwieram *Księżyc jest balonem*. Czytam o pierwszym doświadczeniu seksualnym Davida Nivena i śmieję się, tak, śmieję się, pierwszy raz od wielu dni. O jedenastej gaszę światło. Dwaj Antylezycy na tym samym piętrze wykrzykują coś przez okna, ale nie mogę zrozumieć ich słów¹². Wrzeszczą na siebie niczym małżonkowie, którzy powinni się rozwieść.

Nie wiem, kiedy udaje mi się zasnąć.

Dzień 3

Sobota, 21 lipca 2001

4.07 rano

Budzę się parę minut po czwartej, ale ponieważ wyruszamy dopiero o siódmej, postanawiam dwie godziny pisać. Zauważam, że teraz, kiedy tak mało rzeczy rozprasza moją uwagę, piszę wolniej.

6.00 rano

Strażnik otwiera drzwi mojej celi i przedstawia się imieniem George. Pyta mnie, czy chcę wziąć prysznic. Mój ręcznik wisiał w nogach łóżka przez całą noc i wciąż jest wilgotny, ale za to dostaję maszynkę Bic, więc mogę się pozbyć dwudniowego zarostu. Zastanawiam się, czy nie poderżnąć sobie gardła, ale odechciewa mi się na myśl, że się nie uda i że mnie zabiorą do szpitala więziennego. Pobyt na oddziale medycznym musi odstraszać więźniów od targnięcia się na zdrowie lub życie, gdyż nie jest to łatwy wybór. Jeśli wysyłają człowieka na najwyższe piętro, lepiej, żeby był chory, bo jak już się tam dostanie, to z pewnością się rozchoruje.

Idę pod prysznic. Już się nauczyłem, kiedy nacisnąć guzik, żeby strumień wody nie ustawał.

– Czy jest pan gotowy? – pyta grzecznie George.

– Tak – odpowiadam – tyle że skonfiskowano mi czarny krawat i spinki.

Kolega George'a wręcza mi czarny krawat, pojawiają się także spinki. Widać przewidziano ten problem. Wytykam George'owi, że jego czarny krawat jest w lepszym stylu niż mój.

– Możliwe, ale on jest przypinany – odpowiada – bo inaczej chętnie bym go panu pożyczył.

– Przypinany? – powtarzam z udawaną pogardą.

– Takie są przepisy więzienne – tłumaczy. – Żaden strażnik nie nosi związanego krawata, bo to by go wystawiało na ryzyko uduszenia.

Co kilka minut dowiaduję się czegoś nowego.

Po przebyciu siedmiu podwójnie zaryglowanych, sięgających od podłogi do sufitu okratowanych furt dwaj strażnicy doprowadzają mnie do frontowego holu. Kiedy docieramy do rejestracji, znowu przechodzę rewizję osobistą. Wprawdzie funkcjonariusze przeprowadzają ją jak najdelikatniej, ale i tak jest to przeżycie upokarzające.

Następnie prowadzą mnie na dziedziniec, gdzie czeka biały furgon Transit. Wchodzę do środka i zgodnie z poleceniem zajmuję najdalsze od drzwi miejsce.

George siada przy drzwiach, jego kolega tuż za nim. Małe okna są okratowane i zaciemnione; ja widzę, co się dzieje na zewnątrz, ale z zewnątrz nic nie widać. Mówię George'owi, że dziennikarze będą bardzo sfrustrowani.

– Kręciło się ich tu mnóstwo wcześniej rano, czekali na pana – powiada – ale mniej więcej godzinę temu silnie strzeżona karetka więzienna odjechała stąd na pełnym gazie i wszyscy pomknęli za nią. Dopiero w połowie drogi do Nottingham połapią się, że pana tam nie ma.

Brama sterowana elektronicznie znów się rozsuwa, tym razem, żeby mnie wypuścić. Znam drogę do Cambridge jak własną kieszeń, ponieważ przez ostatnie dwadzieścia lat jeździłem nią raz, czasem dwa razy w tygodniu. Teraz jednak wiozę mnie trasą, o której istnieniu nie wiedziałem, i sądzę, że wybrano ją tylko ze względów bezpieczeństwa. Pamiętam, jak kiedyś szofer Johna Majora mówił mi, że zna dwadzieścia dwie różne drogi z wiejskiej rezydencji premiera do jego siedziby na Downing Street 10 i jeszcze dwadzieścia innych z powrotem do Huntingdon, i żadna nie jest drogą prowadzącą wprost.

W tyle furgonetki jest mi trochę duszno. Nie ma żadnego kontaktu z siedzącym z przodu kierowcą ani z policjantem, który zajmuje miejsce obok niego, gdyż są oddzieleni, niemal jakby znajdowali się w innym pojeździe. Wyczuwam, że George i jego towarzysz są trochę niespokojni – nie wiem dlaczego, bo ani mi w głowie uciekać, gdyż nie cierpię przemocy w żadnej postaci. Później się dowiaduję, że byli zdenerwowani, bo gdyby coś poszło nie tak, ich by obwiniono – a rzeczywiście coś poszło źle.

Na autostradzie M11 furgon jedzie lewym pasem ze stałą prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę i zamknięty w tym opancerzonym przedziale na kołach zaczynam odczuwać mdłości. Pierwszym naszym celem jest krematorium w Cambridge, usytuowane na północy miasta, więc kiedy opuszczamy autostradę zjazdem trzynastym, ze zdziwieniem konstatuje, że kierowca skręca w lewo i obiera zły kierunek. Jedziemy parę mil w stronę Royston, po czym zajeżdżamy na wielki parking przy budynku Siemens.

George wyjaśnia, że uzgodniono, by przed dalszą jazdą w tym miejscu połączyć siły z miejscową policją. Jakiś przedsiębiorczy motocyklista w czarnej skórce (dziennikarz), który spostrzegł furgon opuszczający rondo zjazdem trzynastym, podążył za nami do budynku Siemens. Gwałtownie hamuje i od razu wystukuje numer na aparacie komórkowym. Policjant siedzący z przodu daje jasno do zrozumienia, że powinniśmy ruszać, zanim do motocyklisty dołączą jego towarzysze. Musimy jednak czekać na miejscowych policjantów, więc jesteśmy unieruchomieni.

Kremacja przed nabożeństwem żałobnym to nie jest zwykła kolejność rzeczy, ale tak się złożyło, że krematorium było wolne o dziesiątej, a kościół dopiero w południe. Nazajutrz prasa wymieniła mnóstwo powodów takiego

porządku pogrzebu – poczynawszy od tego, że takie było życzenie policji, a kończąc na tym, że chciałem zmylić dziennikarzy. Jednak nikt nie podał prawdziwego.

W ciągu kilku minut przybywa eskorta policyjna i ruszamy w drogę.

Kiedy zajeżdżamy pod krematorium, za barierą ustawioną przez policję czeka na nas ponad stu dziennikarzy i fotoreporterów. Pewno są zawiedzeni, widząc, że biały furgon znika z tyłu budynku, gdzie zostają dyskretnie wprowadzony wejściem dla duchownych.

Peter Walker, mój stary przyjaciel i dawny biskup Ely, czeka, żeby nas powitać. Wprowadza mnie do małego pomieszczenia, gdzie następnie nałoży szaty, ja zaś przebiorę się w nowy garnitur, przyniesiony przez mojego syna Williama z Old Vicarage. Z radością pozbędę się ubrania, które noszę od kilku dni. Nawet Nicole Kidman nie potrafiłaby przemienić więziennego odoru w modne perfumy.

Biskup objaśnia mi przebieg nabożeństwa i mówi, że potrwa ono tylko około piętnastu minut. Główne nabożeństwo żałobne odbędzie się w kościele parafialnym pod wezwaniem Świętego Andrzeja i Marii Panny w Grantchester o godzinie dwunastej.

Kilka minut później drzwiami frontowymi wchodzi pod ostrzałem aparatów fotograficznych i wywrzaskiwanych pytań moja najbliższa rodzina. Mary ma na sobie elegancką czarną sukienkę, ozdobioną skromną broszką, którą zostawiła jej moja matka. Jest przeraźliwie blada, tak jak ją zapamiętałem ostatnio, kiedy opuszczałem ławę oskarżonych. Zaczynam się godzić z faktem, że ta straszna próba może być jeszcze cięższa dla mojej rodziny, która z wielkim trudem usiłuje prowadzić normalne życie, nie okazując przed światem swych prawdziwych uczuć.

Kiedy Mary podchodzi do mnie, obejmuję ją i długo nie wypuszczam z uścisku. Potem przebieram się w nowy garnitur, przechodzę przez kaplicę i dołączam do reszty rodziny. Witam się z każdym, po czym zajmuję miejsce w pierwszym rzędzie, pomiędzy Mary i Williamem. Z całych sił usiłuję się skupić na tym, że zebraliśmy się tutaj dla uczczenia pamięci mojej matki, Loli, ale trudno zapomnieć, że jestem skazańcem, który za kilka godzin wróci do więzienia.

10.30 rano

Biskup prowadzi ceremonię żałobną ze spokojem i powagą i kiedy w końcu trumnę matki osłaniają zasłony, występujemy z Mary do przodu i kładziemy obok wieńca gałązki wrzосу.

Mary wychodzi frontowymi drzwiami, ja natomiast wracam do pokoiku na zapleczu, gdzie czeka na mnie jeszcze jeden stary przyjaciel. Obydwaj funkcjonariusze więzienni reagują zdziwieniem, gdy inspektor Howell z miejscowej policji wita mnie:

– Halo, Jeffrey, przykro mi, że cię widzę w takich okolicznościach.

Wyjaśniam im, że kiedy byłem prezesem tutejszego klubu rugby, David był kapitanem pierwszej piątnastki i najlepszym młynarzem w hrabstwie.

– Jak chcesz to rozegrać? – pytam go.

David spogląda na zegarek.

– Nabożeństwo żałobne w Grantchester zacznie się dopiero za godzinę, więc proponuję, żebyśmy zaparkowali w Cantalupe Farm i poczekali w Old Vicarage do czasu, kiedy trzeba będzie wyruszyć do kościoła.

Patrzę na George'a, czy się zgadza.

– Chętnie zastosuję się do rady tutejszej policji – mówi.

Zawożą mnie opancerzonym furgonem do Cantalupe Farm, gdzie właściciel, Antony Pemberton, pozwolił nam zaparkować. Mary i chłopcy jadą naszym rodzinnym samochodem. Potem wszyscy idziemy na piechotę do Old Vicarage w towarzystwie tylko dwójki fotoreporterów, gdyż cała reszta dziennikarzy zgromadziła się przed kościołem pod wezwaniem Świętego Andrzeja i Marii Panny, przypuszczając, że przybędziemy prosto tam.

Wszyscy czekamy kilka chwil w kuchni, tymczasem Mary Anne, nasza gospodyni, robi herbatę, nalewa wielką szklanicę mleka i kraje mi kawałek ciasta czekoladowego. Pytam George'a, czy pozwoli mi się przejść po ogrodzie.

W Old Vicarage w Grantchester (*circa* 1680 r.) mieszkał na początku ubiegłego wieku Rupert Brooke. Piękny ogród przez ostatnie piętnaście lat był pielęgnowany przez moją żonę i Rachaela, ogrodnika. Zmienili go z dżungli w raj. Drzewa i klomby są wyjątkowej urody, a spacery nad rzekę i z powrotem cudowne. George i jego kolega idą za nami w odległości kilku kroków, ale poza zasięgiem głosu, więc możemy z Mary porozmawiać o apelacji. Mary mówi mi o zadziwiającym nowym dowodzie dotyczącym sędziego Potts'a – jeżeli ten dowód się potwierdzi, może doprowadzić do ponownego procesu.

Następnie Mary omawia błędy popełnione, jej zdaniem, przez sędziego w trakcie procesu. Jest przekonana, że sędziowie sądu apelacyjnego przynajmniej skrócą mój czteroletni wyrok.

– Ty się chyba nie cieszysz – mówi, kiedy spacerujemy nad brzegiem rzeki Cam.

– Pierwszy raz w życiu spodziewam się najgorszego – odpowiadam – więc jeżeli wydarzy się coś dobrego, będę mile zaskoczony. – Z dnia na dzień stałem się pesymistą.

Wracamy znad rzeki w stronę domu, przechodzimy przez drewniany most nad Jeziolem Oscara – w rzeczywistości jest to duży staw, pełen karpia, nazwany tak na pamiątkę jednego z ulubionych kotów mojej żony, który po pięciu latach czatowania na brzegu nie złowił ani jednej ryby. Nakarmiwszy naszych japońskich i izraelskich imigrantów, wracamy do domu i przygotowujemy się do stawienia czoła dziennikarzom.

David Howell mówi, że nie chce, abym jechał do kościoła w wozie policyjnym, i sugeruje, żebym razem z Mary i rodziną przeszedł te czterysta jardów od Old Vicarage do kościoła parafialnego piechotą. Policja i funkcjonariusze więzienni robią wszystko, co w ich mocy, aby pamiętać, że to jest pogrzeb mojej matki.

11.35 rano

Wychodzimy z domu przez frontowe drzwi, wprost na kłębiący się za furtką tłum dziennikarzy, fotoreporterów i kamerzystów. Oceniam, że jest ich około setki (później George powie naczelnikowi przez telefon komórkowy, że blisko dwustu). Mój młodszy syn James i jego dziewczyna Talita otwierają mały orszak, który wyrusza w ćwierćmilową wędrówkę do kościoła. Za nimi idą William i moja przybrana siostra Liz, a my z Mary zamykamy pochód. Kamerzyści przepychają się między sobą, usiłując nas filmować. Jakiś nieokrzesany gbur wyrzaskuje do nas pytania, więc się odwracam i rozmawiam z Mary. Rezygnuje dopiero wtedy, kiedy do niego dociera, że żadne z nas nie zaszczyci go odpowiedzią. Po raz pierwszy w życiu czuję głęboką urazę.

Przy drzwiach kościoła wita mnie mój kuzyn Peter, który wręcza nam kartki z porządkiem nabożeństwa, a jego żona Pat prowadzi nas do ławki w pierwszym rzędzie. Wzrusza mnie, że tak wielu przyjaciół matki zjechało z całego świata na tę skromną ceremonię – z Ameryki, Kanady, nawet z Australii – nie wspominając licznych przyjaciół z West Country, gdzie matka spędziła większość życia.

Porządek nabożeństwa został ustalony przez Mary i dowodzi, jak dużo namysłu i przygotowań moja żona wkłada we wszystko, co robi. Wybieranie modlitw, pieśni, tekstów czytanych i muzyki musiało jej zająć wiele godzin i utrafiła idealnie. Znów celebrytuje biskup Walker, a mój przyrodni brat David Watson wygłasza wzruszającą mowę, przypominając niespożytą energię matki, jej zamiłowanie do nauki i przewrotne poczucie humoru.

Ja mam czytać ostatnią lekcję z Apokalipsy św. Jana 21, wersy 1-7, i kiedy staję przed zgromadzonymi, nie jestem pewien, czy słowa nie uwięzną mi w gardle. Doznaję ulgi, widząc, że w ostatnich chwilach z matką nie towarzyszą mi dziennikarze, którzy przynajmniej zdobyli się na tyle grzeczności, żeby zostać na zewnątrz.

Nabożeństwo trwa pięćdziesiąt minut i właściwie jest to w tym dniu jedyny czas, kiedy mogę w skupieniu myśleć o matce. Nie pierwszy raz odczuwam wdzięczność wobec losu, że nie dożyła chwili, kiedy mnie skazano, wspominam, jak się poświęcała, żeby mi zapewnić przyzwoite wykształcenie i dobry start, zważywszy na to, że mój ojciec zmarł, pozostawiając około pięciuset funtów długu, i matka musiała podjąć pracę, żeby jakoś związać koniec z końcem.

W późniejszych latach próbowałem uczynić jej życie lżejszym, ale nigdy nie zdołałem odwdziżyć się w pełni.

Nabożeństwo kończy się pieśnią *Jezu, Tyś moją radością* i razem z Mary podążamy nawą za biskupem i chórzystami. W zakrystii natychmiast podchodzi do nas George. Okazuje się, że jeden z dziennikarzy zatelefonował do Belmarsh i spytał, dlaczego pozwolono mi odwiedzić Old Vicarage.

– Niestety, musi się pan tutaj pożegnać z bliskimi – mówi. – Naczelnik zatelefonował i zabronił panu wracać do domu.

Wymieniam uściski rąk ze wszystkimi, którzy uczestniczyli w nabożeństwie, szczególnie jestem wdzięczny za przybycie Donaldowi i Dianie Sindenom, uwielbianym przez moją matkę.

Podziękowawszy biskupowi, wyruszamy z rodziną powolnym krokiem ku furgonowi więziennemu w Cantalupe Farm. Zerkam w lewo, gdy mijamy Old Vicarage. W dziennikarzy jakby diabeł wstąpił. Bombardują mnie pytaniami.

– Czy zachowa pan tytuł lorda?

– Czy sądzi pan, że wygra pan apelację?

– Czy chce pan coś powiedzieć o swojej matce?

– Czy uważa się pan za przestępcę?

Po kilkudziesięciu krokach w końcu rezygnują, więc rozmawiam z Mary o jej niedługim wyjeździe na Uniwersytet Strathclyde, gdzie poprowadzi letni kurs poświęcony energii słonecznej. Planowała ten wyjazd od kilku miesięcy, ale teraz zaofiarowała się, że go odwoła i zostanie w Londynie, żeby mnie odwiedzić w Belmarsh. Nie chcę o tym słyszeć, zależy mi, żeby prowadziła jak najbardziej normalne życie. Wzdycha. Prawdę powiedziawszy, nie chcę, żeby mnie oglądała w Belmarsh.

Zbliżamy się do furgonu. Odwracam się i spoglądam na swój dom, którego, boję się, nie zobaczę przez jakiś czas. Potem ściskam po kolei wszystkich moich bliskich, Mary na ostatku. Spoglądam przed siebie i widzę, że mój kierowca, David Crann, płacze – przez piętnaście lat u tego dawnego żołnierza jednostki antyterrorystycznej SAS nie zauważyłem ani cienia słabości.

Podczas powolnej jazdy do Belmarsh jeszcze raz rozważam, co przyniesie mi przyszłość, i utwierdzam się w przekonaniu, że przede wszystkim muszę zachować bystry umysł i sprawne ciało. Codzienne pisanie dziennika wydaje się najlepszą receptą na to pierwsze, a szybkie wznowienie ćwiczeń fizycznych jedyną nadzieją na drugie.

3.07 po południu

Kilka chwil po przybyciu do Belmarsh przechodzę kolejną rewizję osobistą, po czym prowadzą mnie pod eskortą do mojej celi w bloku trzecim. I znów czeka

na mnie James Powiernik. Skądś skombinował karton mleka, nową maszynkę do golenia¹³ i dwa, tak, dwa ręczniki. Przysiada na łóżku i mówi, że słyszał, iż w poniedziałek przeniosą mnie do innego bloku, bo Bejrut to blok przejściowy.

– Jaka to różnica? – pytam.

– Skoro ma pan być tutaj dwa tygodnie, muszą zdecydować, w którym bloku pana umieścić na czas, kiedy będzie pan czekał na przeniesienie do więzienia kategorii D. Myślę, że pójdzie pan do bloku pierwszego, tam gdzie siedzą dożywotniacy.

– Dożywotniacy? – Ze zdumienia zapało mi dech. – Ale czy to nie oznacza, że będę zamknięty w celi przez cały dzień i noc?

– Nie, nie – odpowiada James. – Oni mają większą swobodę niż więźniowie z innych bloków, bo siedzą cicho i nie chcą być uciążliwi. To młodzi, którzy są w areszcie śledczym albo odsiadują krótkie wyroki, sprawiają najwięcej kłopotów i trzeba ich trzymać pod kluczem.

To fascynujące dowiadywać się, że życie w więzieniu wygląda dokładnie na odwrót, niż to sobie wyobrażaliśmy.

Następnie James wyjawia mi złą wiadomość. Jutro rano przenoszą go do więzienia Whitemoor, czyli że już go nie zobaczę, ale wyznaczył mi na Powiernika innego więźnia, Kevina.

– To dobry chłop – zapewnia mnie – tylko gaduła. Jak się zbyt rozpedzi, niech mu pan powie, żeby się zamknął.

Zanim się rozstaniemy, nie mogę się powstrzymać od zapytania Jamesa, za co siedzi.

– Za szmugiel narkotyków z Holandii – odpowiada rzeczowo.

– I co? Złapali pana?

– Na gorącym uczynku.

– Ile te narkotyki były warte?

– Policja twierdzi, że ich wartość uliczna wyniosłaby trzy miliony trzysta tysięcy funtów. Wyobrażam sobie, że musiałaby to być Harley Street – mówi James z cierpkim uśmiechem.

– Ile pan dostał za tę robotę?

– Pięć tysięcy funtów.

– A jaki wyrok?

– Sześć lat.

– A Kevin? – pytam. – Za co go zamknęli?

– On brał udział w napadzie rabunkowym na wystawę klejnotów w londyńskiej Millennium Dome, prowadził jedną z łodzi, którą mieli zwiać, ale jemu się nie udało. – James milknie. – Przy okazji – mówi – dowiedziałem się, że pan nic nie je.

– Hm, to nie całkiem tak – odpowiadam. – Moja dieta to woda butelkowana,

batoniki KitKat i chrupki od Smitha, ale ponieważ wolno mi wydać tylko dwanaście pięćdziesiąt na tydzień, moje skromne zapasy już się kończą.

– Proszę się nie martwić – mówi. – Jak przeniosą pana do nowego skrzydła, będzie panu przysługiwać następny przydział, więc niech pan wypełni listę dziś wieczór, to Kevin odda ją zaraz rano.

Reaguję uśmiechem na pomysliwość tego faceta i pojmuję, dlaczego kierownictwo więzienia wyznaczyło go na Powiernika. Uznało najwidoczniej, podobnie jak LBJ¹⁴, że lepiej, żeby robił coś na widoku, zamiast knuć po kryjomu.

James zmienia temat i mówi o przywódcach Partii Konserwatywnej. Chciałby, żeby Kenneth Clarke był następnym szefem partii, i jest rozczarowany, że Michael Portillo przegrał jednym głosem, gdyż nigdy nie słyszał o człowieku nazwiskiem Iain Duncan Smith.

– Dlaczego Clarke? – pytam.

– Jego brat był naczelnikiem więzienia Holloway i ma opinię uczciwego i przyzwoitego człowieka. Clarke to chyba też porządny gość.

Muszę się zgodzić z Jamesem; trafnie ocenił Kena.

4.30 po południu

James wychodzi, kiedy przy drzwiach staje oddziałowy Weedon, który chce jak najszybciej zamknąć celę. Uczę się nazwisk strażników. Patrzę na zegarek, jest kilka minut po czwartej. Weedon tłumaczy, że ponieważ jest sobota i brakuje personelu, cela nie będzie otwierana do dziewiątej rano następnego dnia. Kiedy zatrząskują się drzwi, uświadamiam sobie, że przez następne siedemnaście godzin będę pozostawiony sam sobie w klitce dziewięć stóp na sześć.

6.00 wieczorem

Jestem w bardzo kiepskim nastroju. To najgorsza pora dnia. Człowiek myśli o rodzinie i o tym, co by robił o tej godzinie w sobotni wieczór – oglądalibyśmy z Jamesem Otwarte Mistrzostwa Golfowe, odbywające się na polu golfowym Lytham i St. Anne's, mając wbrew wszystkiemu nadzieję, że Colin Montgomery w końcu wygra najważniejszy turniej. William czytałby książkę jakiegoś mało znanego autora, o którym nigdy nie słyszałem. Mary prawdopodobnie pracowałaby w swojej fantazyjnej budowli w głębi ogrodu nad drugim tomem książki *Od fotosyntezy molekularnej do globalnej*, a około siódmej pojechałbym samochodem do Saffron Walden odwiedzić moją matkę i podyskutować z nią o tym, kto powinien stanąć na czele torysów.

Matka nie żyje. James jest w Londynie ze swoją dziewczyną. William wraca do Nowego Jorku. Mary tkwi sama w Old Vicarage, a ja siedzę w więzieniu.

10.00 wieczorem

Na dworze mrok – nie ma czym zasłonić okienka mojej celi. Jestem wyczerpany. Biorę do ręki jeden z nowych ręczników, składam go i przykrywam nim poduszkę. Układam głowę na ręczniku i śpię dziesięć godzin.

Dzień 4

Niedziela, 22 lipca 2001

5.43 rano

Budzę się w małej celi, zalanej światłem poranka. Stawiam stopy na podłodze i czuję woń mojego ciała. Postanawiam, że najpierw się porządnie ogolę, a dopiero potem pomyślę o pisaniu. Jak tylko otworzą drzwi, popędzę pod prysznic.

W umywalce nie ma zatyczki, więc muszę improwizować: nalewam ciepłej wody do plastikowej miski na zupę i zamieniam ją w miskę do golenia¹⁵. W więzieniu dają kawałek mydła do golenia, staromodny pędzel – chyba nie z borsuczego włosia – i plastikową golarkę Bic, podobną do tej, jaką się dostaje w samolotach British Airways (w klasie turystycznej). Po dłuższym czasie udaje mi się wyprodukować trochę piany. Nad umywalką wisi małe lusterko z blachy stalowej, które odbija zamazany obraz zmęczonego, zarośniętego mężczyzny. Ogoliwszy się w letniej wodzie, czuję się o wiele lepiej, choć zaciąłem się kilka razy.

Siadam na krześle przy kwadratowym stoliku tyłem do okna i zabieram się do pisania. Słońce świeci przez cztery szybki, odbijając cień krat na ścianie, którą mam przed sobą – na wypadek gdybym zapomniał, gdzie jestem.

9.01 rano

Klucz obraca się w zamku i otwierają się drzwi celi. Podnoszę oczy na oddziałowego, który ma zdziwioną minę.

– Co się stało z wizytówką z drzwi pańskiej celi? – pyta. Chodzi mu o białą kartkę¹⁶, przyczepioną do drzwi celi, z napisem: Archer, kat. D, data zwolnienia 19 lipca 2005.

– Ktoś zabrał – tłumaczę. – Miałem sześć w ciągu ostatnich dwóch dni.

Przypuszczam, że stały się obiektem kolekcjonerskim.

Mimo braku karty strażnik pozwala mi pójść do łazienki z prysznicami, gdzie dołączam do hałaśliwej grupy więźniów, którzy czekają z utęsknieniem na popołudniowe odwiedziny rodzin. Jeden z nich, czarny chłopak imieniem Pat, niesie wieszak z czystą, świeżo uprasowaną białą koszulą. Pełen podziwu pytam, jak tego dokonał, wyjaśniając przy tym, że za dwa dni odwiedzą mnie moje dzieci i chciałbym jak najlepiej wyglądać.

– Wyślę mojego człowieka do Waszej Lordowskiej Mości – mówi Pat, uśmiechając się od ucha do ucha. – Już on się tym zajmie.

Dziękuję Patowi, niepewny, czy sobie nie kpi. Wziąwszy prysznic – opanowałem niemal do perfekcji sztukę umiejętnego naciskania guzika – i wytarłszy się, wracam na śniadanie do celi. Śniadanie podano mi w plastikowej torebce wczoraj wieczorem, tuż po tym, kiedy odmówiłem zjedzenia kolacji. Wyjmuję z torebki jajko ugotowane na bardzo twardo, resztę wyrzucam do plastikowego wiadra pod zlewem. Jedząc jajko – tylko białko, bez żółtka – patrzę przez okno i obserwuję samoloty podchodzące do lądowania na London City Airport w regularnych, sześćdziesięciosekundowych odstępach. Gołąb siada na występie okiennym i dotrzymuje mi towarzystwa, ale on jest na wolności. Wyciągam kawałek czerstwego chleba z wiadra pod umywalką, drobno go kruszę i rzucam mu. Gardzi poczęstunkiem, grucha i odlatuje.

9.30 rano

Znowu otwierają celę, tym razem ze względu na Godzinę Wspólną, i dyżurny strażnik pyta mnie, czy chcę uczestniczyć w nabożeństwach. Ponieważ nie jestem do końca przekonany o istnieniu Boga, rzadko bywam w kościele w Grantchester, mimo że moja żona przez wiele lat prowadziła tam chór. Jednak teraz oznacza to długi spacer i przebywanie przez czterdzieści pięć minut w pomieszczeniu o wiele większym od mojej celi, więc bez wahania dziękuję Bogu i mówię tak.

– Wyznanie katolickie czy anglikańskie? – pada pytanie.

– Anglikańskie – odpowiadam.

– Wobec tego druga zmiana. Przyjdę do pana około wpół do jedenastej, zaraz po Godzinie Wspólnej.

10.00 rano

Podczas Godziny Wspólnej strażnicy obserwują, kto należy do jakiejś klikki albo bandy i jak więźniowie zachowują się w grupie albo czy są samotnikami. Wychodzę z celi i przed moimi drzwiami widzę kolejkę więźniów. Większość

z nich chce dostać mój autograf, żeby dowieść żonom i dziewczynom, że siedzieli w tym samym bloku co osławiony Jeffrey Archer.

Pod koniec owej sesji składania autografów, całkiem podobnej do tych, jakie zazwyczaj odbywam w księgarni Hatcharda, podchodzi do mnie mój nowy Powiernik, Kevin. Potwierdza, że James odjechał do więzienia Whitemoor wcześniej rano.

– Czego ci potrzeba, Jeffrey? Mogę ci mówić po imieniu?

– Oczywiście. Czego mi potrzeba? Miałbym na przykład ochotę na miskę płatków kukurydzianych z prawdziwym mlekiem, dwa jajka sadzone, bekon, pieczarki i kubek gorącej czekolady.

Kevin wybucha śmiechem.

– Mogę skombinować trochę biszkoptów Weetabix, chude mleko i świeży chleb. Coś jeszcze?

– Porządna maszynka do golenia, szampon, mydło i ręczniki na zmianę.

– To może potrwać dłużej.

Ponieważ każdy wie, za co siedzę, zadaję Kevinowi nieuniknione pytanie.

– Brałem udział w napadzie rabunkowym na wystawę klejnotów w Millennium Dome, no nie? – mówi takim tonem, jakby każdy w tym uczestniczył.

Co za zdanie, wygłoszone przed pisarzem.

– Jak się w to wplątałeś? – pytam.

– Przez dług – odpowiada. – I miałem trochę pecha.

Słowa Nicka Purnella dźwięczą mi w uszach: „Nie wierz niczemu, co ci mówią w więzieniu, i nigdy nie wyjawiaj szczegółów własnej sprawy”.

– Dług? – powtarzam.

– Tak, byłem winien facetowi tysiąc trzysta funtów i choć nie rozmawialiśmy dłużej niż rok, nagle zadzwonił i zażądał spotkania.

Nie przerywam potoku słów Kevina.

– Spotkaliśmy się w pubie w Brighton i on mówi, że potrzebuje na dwie godziny szybkiej łodzi motorowej i sternika, i jak się zgodzę, on zapomni o długu.

– Kiedy miałeś wykonać tę robotę? – pytam.

– Następnego ranka – wyjaśnia Kevin. – Odpowiedziałem mu, że nie mogę się tego podjąć, bo mam już nagraną inną pracę.

– Co takiego? – pytam.

– Mamy z tatą dwie łodzie, łowimy przy wybrzeżu, i obydwie były zamówione do końca tygodnia. Wtedy on zażądał forsy z powrotem, no i nie miałem wyboru. Widzisz, byłem splukany, a zresztą to był twardy gość i chciał tylko, żebym przewiózł czterech facetów z jednego brzegu rzeki na drugi. Cała zabawa miała zająć nie więcej jak dziesięć minut.

– Tysiąc trzysta funtów za dziesięć minut pracy? Chyba się domyślałeś, że

coś musi się za tym kryć?

– Coś podejrzewałem, ale nie miałem pojęcia, co oni kombinują.

– I co było potem?

– Dostarczyłem łódź, jak mi kazano, do Bow Creek, zacumowałem ją blisko moło, kilkaset metrów od Kopyły, i czekałem. Nagle rozpętało się piekło. Podpłynęły do mnie trzy łodzie policyjne i zostałem otoczony przez kilkunastu uzbrojonych policjantów, którzy krzyczeli, żebym się kładł na pokład z rękami nad głową. Jeden z nich powiedział: „Rety, to nie on!”. Potem się dowiedziałem, że zwerbowali mnie w ostatniej chwili na miejsce kogoś innego, kto wystawił szajkę do wiatru.

– Ale wtedy już się chyba połapałeś?

– A skąd – powiada. – Mam trzydzieści pięć lat i pierwszy raz zostałem skazany. Nie jestem kryminalistą i po tym, cośmy przeszli z rodziną, na pewno nie wrócę do więzienia.

Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego chciałem mu wierzyć. Może sprawiło to jego uprzejme zachowanie, a może sposób, w jaki mówił o żonie i czternastoletnim synu. I bez wątplenia zapłaci wysoką cenę za głupi błąd, którego będzie żałował do końca życia¹⁷.

– Archer, Collins, Davies, Edwards! – ryczy nieobdarzony subtelną oddziały King. Kiedy wykrzyczał wszystkie nazwiska, kończąc na Wattsie, dodaje: – Anglikanie, teraz.

– Chyba dokończymy tę rozmowę innym razem – mówię. – Nasz Pan nas wzywa, a jeśli nie On, to z pewnością oddziały King.

Dołączam do więźniów, którzy czekają na środkowym piętrze, żeby ich zaprowadzono na poranne nabożeństwo.

11.00 rano

Sznur więźniów wolno sunie po podłodze pokrytej wyblaszczonym linoleum, po czym zatrzymuje się i wszyscy kolejno są rewidowani i dopiero potem wpuszczani do kaplicy. Dlaczego nas sprawdzają przed wejściem do miejsca kultu? Wchodzimy jeden za drugim do wielkiej sali, gdzie wszyscy wierni dostają Biblię. Zajmuję miejsce w drugim rzędzie obok młodego czarnego mężczyzny, siedzącego z pochyloną głową. Rozglądam się wokół po tłumnie wypełnionej kaplicy.

Staje przed nami kapelan o imieniu David (to imię jest wypisane dużymi literami na naszywce na jego mocno znoszonej marynarce) i prosi o ciszę. Jest to mężczyzna mniej więcej czterdziestopięcioletni, silnie zbudowany, mocno kulejący, o poważnym uśmiechu. Obejmuje wzrokiem zgromadzenie morderców, gwałcicieli, włamywaczy i katów swoich żon. Nic dziwnego, że dopiero po kilku minutach udaje mu się zapanować nad tą trzódką.

Tymczasem rozglądałam się dokoła. Kaplica jest kwadratowa i przypuszczam, że ma mniej więcej dwadzieścia kroków na dwadzieścia. Mury są z czerwonej cegły, wewnątrz mieści się około dwustu plastikowych krzeseł, ustawionych w dwudziestu rzędach. Na ścianach wiszą obrazy przedstawiające Jezusa z uczniami, Jezusa po zdjęciu z krzyża, Zwiastowanie Najświętszej Marii Panny, wskrzeszenie Łazarza i Jezusa uciszającego burzę.

Tuż za kapelanem umieścił się zespół rockowy – liderką jest ładna, ciemnowłosa dziewczyna z gitarą przewieszoną przez ramię. Towarzyszy jej pięciu śpiewaków gospel, wszyscy mają małe mikrofony wpięte w klapy. Twarzą do zespołu muzycznego, a tyłem do zgromadzonych siedzi człowiek obsługujący rzutnik, który wyświetla na zawieszanej przed nim białej płachcie słowa pierwszej pieśni religijnej.

Wymusiwszy w końcu ciszę – groźbą, że każdy przyłapany na rozmowie zostanie natychmiast odstawiony do celi – kapelan na rozpoczęcie nabożeństwa odmawia trzy modlitwy, wszystkie zawierające wyraźne przesłanie czynienia dobra bliźniemu swemu. Zwraca się następnie do dziewczyny z gitarą i daje jej znak głową. Jej delikatny głos intonuje melodię pierwszej pieśni czy raczej ewangelicznej przypowieści, podjętej z zapalem przez czarnych więźniów, którzy stanowią ponad połowę wiernych, pozostali natomiast włączają się z większą rezerwą. W towarzyszącym chórkę śpiewacy są biali i dają z siebie wszystko, nawet kiedy zaczyna się klaskanie. Gdy przebrzmiała ostatnia zwrotka, jesteśmy gotowi wysłuchać kazania. Ale jakie to kazanie!

Kapelan wybrał jako temat morderstwo. Prosi nas, abyśmy wzięli do rąk Biblię i otworzyli na Księdze Rodzaju. Spogląda na mnie i mruga¹⁸.

– I wszystko się zaczęło od Kaina i Abla – powiada – Kain był bowiem pierwszym mordercą. Zazdrosny o powodzenie brata, zemścił się i go zabił. Ale Bóg to widział i ukarał go do końca jego życia.

Następnym przykładem mordercy był Mojżesz, który – jak mówi kapelan – zabił Egipcjanina i też myślał, że mu się upiecze, ale Bóg to widział i też go ukarał na całe życie. Nie pamiętam tego epizodu, gdyż myślałem, że Mojżesz spokojnie umarł w swoim własnym łóżku w wieku stu trzydziestu lat.

– A teraz otwórzcie na Drugiej Księdze Samuela – poleca kapelan. – Nie Pierwszej, ale Drugiej, gdzie występuje król, który był mordercą. Król Dawid. On zabił Uriasza Hetejczyka, bo mu się spodobała jego żona, Batszeba. Kazał Uriasza postawić na przedzie podczas bitwy, tak żeby poległ, a on mógł poślubić Batszebę. Ale Bóg to widział i go ukarał. Albowiem Bóg widzi każde morderstwo i ukarze każdego, kto złamie Jego przykazanie.

– Alleluja! – zawołało kilku wiernych z trzech pierwszych rzędów.

Potem dowiedziałem się od zastępczyni naczelnika, że co najmniej połowa zgromadzonych w kaplicy była mordercami, zatem kapelan dobrze wiedział,

z jakim audytorium ma do czynienia.

Po kazaniu zespół cicho śpiewa jeden z tematów muzycznych, kapelan zaś pyta, czy wszyscy ci, którzy pragną zaufać Bogu, chcieliby podejść do przodu i podpisać ślubowanie, że będą się stosować do nauki Biblii i Kościoła. Przed Davidem formuje się kolejka, a on każdego błogosławi. Kiedy wszyscy wracają na miejsca, śpiewamy ostatnią pieśń i kapelan udziela wiernym ostatniego błogosławieństwa. Wychodząc, dziękuję wielebnemu, po czym znowu mnie rewidują – ale co można by wymieniać podczas nabożeństwa, skoro rewidowano nas przed wejściem do kaplicy? Dowiaduję się tydzień później. Eskortują nas do cel i zamykają.

12.00 w południe

W południe wypuszczają nas na niedzielny lunch. Są cztery dania do wyboru: indyk, wołowina, szynka i potrawka. Ponieważ nie jestem w stanie poznać, co jest czym, decyduję się na tarty ser i dwie kromki chleba nieposmarowane margaryną, wracam do celi, siadam przy moim małym stole i powoli pogryzam kanapkę.

Uporawszy się z lunchem w ciągu pięciu minut, znowu zabieram się do pisania. Piszę bez przerwy przez dwie godziny, do chwili kiedy wraca Kevin, dzierżąc plastikową torbę z różnymi dobrami – dwa opakowania biszkoptów Weetabix, karton mleka, dwa małe zielone jabłka, kostka mydła i – jak do tej pory najcenniejszą zdobycz – dwie torebki Cup a Soup: minestrone i grzybowej. Wyrażam mu gorąco wdzięczność, zasiadając do plastikowej miski weetabiksów namoczonych w mleku. Tej, której rano używałem do golenia.

4.20 po południu

Dopiero po czwartej pozwalają mi opuścić celę i spędzić czterdzieści pięć minut z innymi więźniami na spacerniaku. Szybko się uczę, że trzeba wykorzystywać wszelkie okazje – od religii przez pracę po spacer – żeby wydostać się z celi. I znowu, przed wyjściem na dziedziniec, jesteśmy rewidowani.

Większości więźniów nie chce się spacerować, zbierają się w grupy i opalają, opierając się o ogrodzenie. Tylko kilku chodzi zdecydowanym krokiem wkoło. Ja ruszam się energicznie, bo już odczuwam brak codziennych ćwiczeń na sali gimnastycznej. Spostrzegam, że niektórzy więźniowie mają na nogach najnowsze buty treningowe firm Nike albo Reebok. To jedyna dozwolona manifestacja mody. Jeden z więźniów zbliża się do mnie, nieśmiało wręcza mi dziesięciostronicowy rękopis i pyta, czy zechciałbym go przeczytać. Mówi, że pisze trzy strony dziennie i ma nadzieję, że skończy, zanim go wypuszczą

w grudniu.

Chodząc, czytam tych dziesięć stron. Najwyraźniej autor jest wykształcony, gdyż zdania są poprawne gramatycznie i czuje się swobodę w operowaniu językiem. Gratuluję mu, życzę powodzenia i nawet przyznaję, że sam też się tutaj tym zajmuję. Podchodzi do mnie jeszcze kilku więźniów, którzy opowiadają o swoich problemach prawnych, ale niewiele znam się na prawie i nie umiem odpowiedzieć na ich pytania. Słyszę swoje nazwisko wywoływane przez megafon i zgłaszam się do strażnika przy bramie.

– Pan Peel chce się z panem widzieć – mówi strażnik bez żadnych wyjaśnień.

Tym razem nie rewidują mnie, lecz prowadzą wprost do małego biura, ulokowanego w centralnym punkcie skrzydła. Trzeba wypełnić kolejny formularz, gdyż telefonował mój syn James, by zapytać, czy może mnie odwiedzić w piątek.

– Czy chce go pan zobaczyć? – pyta Peel.

– Oczywiście – odpowiadam.

– Nie wszyscy chcą – zauważa Peel, wypełniając formularz. Skończywszy, pyta, jak się aklimatyzuję.

– Nie za bardzo – przyznaję. – Siedzieć pod kluczem przez siedemnaście godzin... ale jestem pewien, że pan już to słyszał.

Peel opowiada o swojej pracy i o trudnościach, z jakimi się boryka więziennictwo. Jest funkcjonariuszem więziennym od dziesięciu lat i jego podstawowa pensja wynosi tylko 24 000 funtów rocznie, a z nadgodzinami płatnymi 13 funtów 20 pensów za godzinę (dozwolone maksimum wynosi dziewięć godzin w ciągu tygodnia) może wyciągnąć do 31 000 funtów. Nie powiedziałem mu, że to mniej, niż płacę swojej sekretarce. Mówi też, że jego towarzyszka życia również pracuje w więzieniu i również wykorzystuje limit nadgodzin, tak że zarabiają do spółki 60 000 funtów rocznie, ale rzadko się widują. Przekazawszy mi tę informację, zmienia temat i mówi o Belmarsh.

– To tylko więzienie przejściowe – tłumaczy. – Jeżeli ktoś jest skazany, a nie przebywa w areszcie śledczym, przenosimy go jak najszybciej do innego więzienia. Jednak muszę z przykrością powiedzieć, że widzimy wciąż i wciąż te same twarze. Wie pan, oni nie są wszyscy źli, właściwie gdyby nie narkotyki, szczególnie heroina, sześćdziesięciu procent więźniów by tu nie było.

– Sześćdziesięciu procent? – powtarzam.

– Tak, większość siedzi za drobne kradzieże, których dopuścili się, żeby kupić narkotyki, albo też są związani z subkulturą narkotykową.

– Czy tu w więzieniu nadal mają dostęp do narkotyków?

– O tak, chyba pan zauważył, jak pobieżne są rewizje. Przepisy nie pozwalają nam na nic więcej. Wiemy, gdzie ukrywają narkotyki, i znamy każdą metodę, jaką stosują, żeby je tutaj przemycić, ale ze względu na Ustawę o prawach

człowieka nie zawsze możemy przeprowadzić wystarczająco dokładną rewizję. Są wśród nich i tacy desperaci, którzy połykają plastikowe woreczki wypełnione heroiną.

– A jeśli taki woreczek pęknie?

– To umierają w ciągu kilku godzin – odpowiada Peel. – Jeden więzień umarł z tego powodu w zeszłym miesiącu, ale zdziwiłby się pan, jak wielu jest takich, którzy skłonni byłiby zaryzykować. Słyszał pan zeszłej nocy alarm pożarowy?

– Tak, obudził mnie – odparłem.

– To z winy heroinisty, który podpalił swoją celę. Kiedy tam dotarłem, ciął sobie żyły żyłką, bo chciał, żeby jego cierpienie przewyższyło głód narkotykowy. Przenieśliśmy go natychmiast na oddział chorych, ale tam niewiele mogli zrobić, poza tym, że go opatrzyli. Tej nocy będzie przeżywał taki sam koszmar, więc musimy nad nim czuwać i zaglądać do jego celi co piętnaście minut.

Rozlega się sygnał oznajmiający koniec spaceru.

– Myślę, że lepiej, aby wrócił pan do celi – mówi Peel. – Dobrze, że pisze pan książkę, bo doprawdy nie wiem, jaka miałaby być korzyść z pańskiego pobytu tutaj.

5.00 po południu

Wracam do swojej celi i piszę do kolacji. Kiedy ponownie otwierają się drzwi, schodzę na parter do kuchenki. Zadowolam się termosem z gorącą wodą i jabłkiem oraz biorę plastikową torebkę z jutrzejszym śniadaniem. Powróciwszy do celi, zjadam torebkę chrupek i przy użyciu połowy wody z termosu robię sobie zupę grzybową z torebki. Drzwi celi zatrzasują się na głucho o wpół do szóstej i zostaną otwarte dopiero jutro o wpół do dziesiątej rano; zdążę do tej pory, wykorzystując resztę wody z termosu, ogolić się w tej samej misce, w której teraz jem zupę.

Przez następne dwie godziny słucham transmisji z Otwartych Mistrzostw Golfowych w Radiu 5 Live. Amerykanin David Duval wygrywa swoje pierwsze mistrzostwa i jego nazwisko zostaje wyryte na srebrnym pucharze. Colin Montgomery i Ian Woosnam walczą z werwą, ale na finiszu nie mają szans.

Przełączam na Radio 4, gdzie wysłuchuję Steve'a Norrisa (wiceprzewodniczący Partii Konserwatywnej zajmujący się sprawami kobiet), który ogłasza światu, że zawsze wiedział, iż jestem nicponiem. W wyborach wewnątrzpartyjnych na kandydata na burmistrza Londynu zwyciężyłem Norrisa stosunkiem głosów 71 do 29.

Wyłączam odbiornik i czytam dwa rozdziały książki *Księżyc jest balonem*, opisujące, jak Niven znalazł się w Sandhurst, a następnie otrzymał nominację na

oficera Królewskiego Pułku Górali Szkockich. Układam głowę na twardej poduszce i mimo krzyków więźniów i głośniego rapu dobiegającego ze wszystkich stron bloku jakoś udaje mi się zasnąć.

Dzień 5

Poniedziałek, 23 lipca 2001

5.53 rano

Słońce świeci przez okratowane okno, musi być cudowny letni dzień. Jestem zamknięty w celi, która ma pięć kroków na trzy, od dwunastu i pół godziny i nie zostanę wypuszczony do południa; osiemnaście i pół godziny więziennej izolacji. W celi pode mną siedzi siedemnastoletni dzieciak, oskarżony o kradzież w sklepie – jego pierwsze przestępstwo, nawet jeszcze nieosądzone – zamknięty na osiemnaście i pół godziny, niebędący w stanie do nikogo przemówić słowa. To jest Wielka Brytania w dwudziestym pierwszym wieku, nie Turcja, nie Nigeria, nie Kosowo, ale Wielka Brytania.

Już słyszę zapewnienia prawicowców, że to szkoła charakteru i że chłopak będzie miał nauczkę. Co za głupota. O wiele bardziej prawdopodobne, że się nastawi wrogo do władzy i kiedy wróci na wolność, wejdzie na drogę przestępczą. Ten młody człowiek będzie przebywał przynajmniej dwa tygodnie z mordercami, gwałcicielami, włamywaczami i narkomanami. Czy to najlepsi pedagodzy, od których ma pobierać nauki?

12.00 w południe

Odwiedziny czarującej pani, która spostrzegła mnie w niedzielę w kaplicy. Zadaję jej więcej pytań niż ona mnie. Okazuje się, że odwiedza wszystkich więźniów, którzy składają ślubowanie – obawiam się, że tego nie uczyniłem – i tych, którzy byli pierwszy raz w kaplicy. Każdemu więźniowi daje Biblię i godzinami wysłuchuje opowieści o jego problemach. Uprzejmie odpowiada na wszystkie moje pytania. Gdy odchodzi, biorę plastikową tacę, plastikową miskę, plastikowy talerz, plastikowy nóż, widelec i łyżkę i opuszczam celę, żeby zejść do kuchenki po lunch¹⁹.

Jeden rzut oka na oferowane menu i kolejny raz wracam do celi z pustymi rękami. Schodzący z najwyższego piętra recydywista mówi mi, że w Belmarsh jest najgorsze żarcie ze wszystkich więzień w Wielkiej Brytanii. Ponieważ w ciągu

ostatnich dwudziestu lat był pensjonariuszem siedmiu zakładów karnych, nie mam powodu mu nie wierzyć. Oddziałowy zatrzaskuje za mną drzwi celi. Nie otworzą się do czwartej. Miałem dokładnie dwanaście minut wolności podczas ostatnich dwudziestu dwu i pół godzin.

4.00 po południu

Po upływie kolejnych czterech godzin wypuszczają mnie na Godzinę Wspólną. W trakcie tego błogosławionego antraktu przystaję i spoglądam na telewizor na środku sali, otoczony przez kilkunastu więźniów. Oglądają film kowbojski z Rayem Millandem, który gra szeryfa. Normalnie zmieniłbym kanał, ale dziś to wybór większości, więc sterczę tam dziesięć minut, a potem przechodzę do stołu, gdzie grają w domino.

Podchodzi do mnie jakiś Irlandczyk i pyta, czy mogę mu poświęcić chwilę. Jest średniego wzrostu, z twarzą przekreśloną dwiema bliznami – jedną krótszą nad lewą brwią, z wciąż widocznymi szwami, i drugą, długą i czerwoną, na prawym policzku. Podejrzewam, że ta ostatnia jest nowsza. Wprawdzie jest oszpecony, ale mówi z tym typowym dla Irlandczyków miękkim zaśpiewem, który zawsze chwyta mnie za serce.

– W przyszłym tygodniu będą mnie sądzić – mówi.

– Za co? – pytam.

– Lepiej, żeby pan nie wiedział – odpowiada. – Tylko jedno pytanie: czy mam prawo bronić się sam przed sądem?

– Tak – mówię.

– Ale czy nie byłoby lepiej, gdybym naświetlił obrońcy sprawę z mojego punktu widzenia, a on potem ją przedstawił sędziom przysięgłym?

Zastanawiam się przez chwilę, jako że podczas mojego trwającego siedem tygodni procesu zdobyłem pewne doświadczenie w kwestiach prawnych.

– Zasadniczo raczej bym zaufał kompetencji prawnika niż własnemu sprytowi.

Mężczyzna kiwnął głową i odszedł. Nie chciałbym spotkać kiedyś tego bystrego, inteligentnego Irlandczyka i się dowiedzieć, że jego obrońca okazał się głupcem.

Zawracam, żeby zobaczyć, jak się rozwija akcja filmu. Jak to w westernie, zaraz ma się rozpocząć finałowa strzelanina, która położy kres wszystkim innym strzelaninom, kiedy rozlega się krzyk dyżurnego funkcjonariusza.

– Wracać do cel!

Słychać jęk rozczarowania, ale trzeba powiedzieć, że funkcjonariusz siedzi na drugim końcu sali i nie ma pojęcia, że film się skończy za pięć minut.

– Szlachetni faceci zwyciężają, Ray Milland zdobywa dziewczynę, a czarne

charaktery dostają w łeb – informuję zgromadzonych wokół telewizora.

– Widział pan już ten film? – pyta jeden z więźniów.

– Nie, ty głupi dupku – odpowiada mu inny. – My zawsze przegrywamy. Czy kiedy słyszałeś, żeby było inaczej?

Znowu zamknięty w celi po czterdziestopięciominutowej przerwie, nalewam sobie szklankę wody Buxton, zjadam torebkę chrupek od Smitha i pogryzam jabłko. Skończywszy pięciominutowy niewięzienny posiłek, myję zęby i siadam na kolejne dwie godziny do pisania.

Napisałem około tysiąca słów, kiedy słyszę zgrzyt klucza przekręcanego w zamku, co zawsze jest mile widziane, ponieważ, jak wspomniałem, otwarte drzwi dają poczucie wolności, a nawet zwiastują możliwość ucieczki na kilka minut.

Ukazuje się kobieta w cywilnym ubraniu, z nieodłączną plakietką – w tym przypadku z napisem „bibliotekarka”.

– Dzień dobry – mówię z uśmiechem i wstaję.

Wygląda na zaskoczoną.

– Jeżeli jakiś więzień poprosi pana o podpisanie książki, proszę odmówić – powiada, nie zadając sobie trudu, żeby się przedstawić.

Jestem zdziwiony; w końcu ludzie proszą mnie o podpisywanie książek od dwudziestu pięciu lat.

– To są wszystko książki z biblioteki – ciągnie kobieta – które zostały skradzione. Tak samo jak tytoń i karty telefoniczne, stały się towarem wymiennym za narkotyki, a z pańskim podpisem nabierają podwójnej wartości.

Zapewniam ją, że nie podpiszę żadnej więcej książki bibliotecznej. Odpowiada mi skinieniem głowy i zatrzaskuje drzwi.

Piszę dalej, świadom, że następną okazją do przerwy będzie dopiero czterdziestopięciominutowy czas na popołudniowe ćwiczenia fizyczne. Zaczynam już przywykać do rytuału otwierania drzwi, ustawiania się w kolejce do rewizji i wypuszczania na dziedziniec. Napisałem dalsze dwa tysiące słów, zanim drzwi się znowu otworzyły.

Przeszedłszy zwyczajowy rytuał, kroczę dokoła wielkiego placu w towarzystwie Vincenta (włamanie) i innego mężczyzny imieniem Mark (wykroczenie drogowe), kibica Arsenalu. Jedno okrążenie i uzmysławiam sobie, że jedynym wyjściem, żeby Mark nie zanudził mnie na śmierć gadaniną o ulubionej drużynie piłkarskiej, jest przytakiwać mu, że Arsenal, mimo ostatnich sukcesów Manchester United, to najlepszy zespół w Anglii.

Doprowadzony do rozpaczy, wskazuję na smętną postać przed nami, jedyne więźnia, który wygląda starzej ode mnie.

– Biedny stary – mówi Vincent. – Nie powinien tu być, ale on jest bezdomny, nie ma dokąd pójść, no i ląduje w więzieniu.

– Ale co on takiego zrobił? – dopytuję się.
– Prawdę mówiąc – nic. Co kilka tygodni rzuca cegłą w okno wystawowe, a potem kręci się w pobliżu, póki nie przyjedzie policja i go nie aresztuje.
– Czemu to robi? – pytam.
– Bo biedaczysko nie ma się gdzie podziać, a tutaj przynajmniej zapewniają mu łóżko i trzy posiłki dziennie.
– Ale chyba policja już się połapała do tej pory? – zauważam.
– Tak, oczywiście. Policja zwraca się do sędziego pokoju, żeby zobowiązał go do przyzwoitego zachowania. Ale on na to też znalazł sposób, bo jak tylko sędzia go uniewinni, zaczyna wrzeszczeć: „Ty stary pierdoło, już ja ci wrzucę cegłę przez okno i jutro znowu się spotkamy!”. To zapewnia staremu przynajmniej sześć tygodni paki, o co mu właśnie chodzi. W ciągu ostatnich trzydziestu lat skazano go siedemdziesiąt trzy razy, ale nigdy na dłużej niż trzy miesiące. Problem polega na tym, że system penitencjarny nie wie, co z nim zrobić.

Obok mnie przebiega czarny chłopak, obrzucany drwinami przez grupę więźniów podpierających ogrodzenie. Nic sobie z tego nie robi, nawet przyśpiesza. Jest szczupły i wysportowany i wygląda na czterystumetrowca. Obserwuję go i uzmysławiam sobie, że mój planowany wyjazd wakacyjny na Letnie Lekkoatletyczne Mistrzostwa Świata w Edmonton z Michaeliem Beloffem zamienił się w trzytygodniowy pobyt w Belmarsh.

– Pośpieszmy się – szepce Vincent. – Musimy uniknąć tego tam. – Pokazuje samotnego więźnia, który idzie kilka kroków przed nami. Vincent nie odzywa się ani słowem, póki nie wyprzedzimy tamtego i nie oddalimy się poza zasięg głosu. Wtedy odpowiada na pytanie, którego mu nie zadałem. – To podwójny morderca – żony i jej gacha. – Vincent opisuje, w jaki sposób zabił ich oboje. Szczegóły są tak przerażające, że muszę przyznać, iż dopiero pół roku po wyjściu z Belmarsh czułem się na siłach, by przytoczyć słowa Vincenta w tym dzienniku. Jeżeli masz słabe nerwy, czytelniku, opuść trzy następne akapity.

Oto opis Vincenta słowo w słowo:

Ten drań wrócił niespodziewanie w środku dnia do domu i zastał swoją żonę w łóżku z innym mężczyzną. Tamten próbował zwiać przez okno sypialni, ale został powalony jednym ciosem. Potem facet związał ich oboje, jedno przy drugim, na łóżku, a sam poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z nożem do krojenia mięsa o długim, ząbkowanym ostrzu. W ciągu następnej godziny dźgnął kochankę żony jednaście razy, pilnując, żeby żył, kiedy na koniec odcinał mu jądra.

Gdy tamten umarł, wlaź na łóżko i zgwałcił żonę, która wciąż była przywiązana do martwego kochanka. W ostatnim momencie spuścił się na twarz trupa. Zszedł z łóżka i przyglądał się rozhisteryzowanej żonie. Odczekał jakiś czas, po czym ten nóż do krojenia mięsa wbił jej głęboko w waginę. Następnie wolno

kroił ostrzem jej ciała.

Na procesie oznajmił sędziom przysięgłym, że zabił żonę, żeby udowodnić, jak bardzo ją kochał. Został skazany na dożywocie bez szans na zwolnienie warunkowe.

– Pamiętaj, żeby go unikać za wszelką cenę – powtarza Vincent. – Poderżnąłby ci gardło za pół uncji tytoniu, a ponieważ będzie tu siedział do końca życia, nic więcej mu nie grozi, choćby nie wiadomo co zmalował.

Jestem pewien, że to właśnie taki gość, z jakim życzył mi spotkania sędzia Potts.

Włącza się syrena, mało subtelny znak, że nasze czterdzieści pięć minut dobiegło końca. Wołają nas, blok za blokiem, żebyśmy wracali do cel mniejszymi grupami. Jestem w bloku trzecim, więc muszę czekać. Kiedy wzywają więźniów z bloku drugiego, widzę, że podwójny morderca kroczy zdecydowanie w moją stronę. Spuszczam głowę z nadzieją, że nie zwróci uwagi, ale kiedy ją podnoszę, widzę, że patrzy wprost na mnie i ku mnie idzie. Spoglądam na stojących przy bramie czterech funkcjonariuszy, którzy sztywnieją, gdy tymczasem grupa czarnych mężczyzn przy ogrodzeniu patrzy obojętnie. Podwójny morderca staje o kilka kroków przede mną.

– Czy mogę z panem zamienić kilka słów? – pyta.

– Tak, oczywiście – odpowiadam, przybierając taki ton, jakbyśmy byli przygodnymi znajomymi na garden party.

– Chcę tylko powiedzieć, że bardzo mi się podobają pańskie książki, a szczególnie *Córka marnotrawna*. Jestem tu jedenaście lat i przeczytałem wszystko, co pan napisał. Po prostu chciałem, żeby pan wiedział.

Zaniemówiłem.

– Przy okazji – dodaje – gdyby pan chciał sprzątnąć tę sukę sekretarkę, chętnie to panu załatwię.

Naprawdę myślałem, że zwymiotuję, gdy patrzyłem, jak idzie przez bramę. Dzięki Bogu, na inny blok.

6.00 WIECZOREM

Tkwię w zamknięciu tylko przez godzinę, po czym rozlega się dzwonek oznajmiający kolację. Chwytam tacę i puszkę z owocami, którą ofiarował mi James – mój pierwszy Powiernik – w wieczór poprzedzający jego przeniesienie do Whitemoor. Staję w kolejce do kuchenki i pytam Vincenta, czy ma otwieracz do puszek. Pokazuje mi otwieracz przymocowany do ściany w głębi pomieszczenia.

– Ale nie wolno ci go użyć, póki nie odbierzesz swojego żarcia – mówi.

Widzę, że trzyma w ręku puszkę mielonki Shipham's Spam.

– Oddam pół puszki z owocami za połowę twojej – proponuję.

– Zgoda – odpowiada. – Przyniosę ci ją do celi, gdy tylko odbiorę swoją porcję.

I znowu nie mogę znaleźć dla siebie nic, co by chociaż miało jaki taki wygląd, więc zadowolam się dwoma ziemniakami.

– Powinieneś przejść, bracie, na kuchnię wegetariańską – odzywa się głos.

Oglądam się i widzę Pata.

– Mary się zmartwi, jak się dowie, że nic nie jesz, a poza tym potrawy wegetariańskie to jedna z niewielu rzeczy, której nie potrafią do końca zepsuć.

Stosuję się do rady i wybieram jarzyny w cieście. Kiedy docieramy do końca kontuaru, otrzymuję plastikową torbę z jutrzejszym śniadaniem.

– Przy okazji – mówi Pat, wskazując człowieka, który właśnie mnie obsłużył – to jest Peter Żelazko, on ci upierze i uprasuje tę koszulę.

– Dziękuję, Pat – mówię i zwracając się do Petera, dodaję: – Jutro odwiedzą mnie dzieci i chciałbym wyglądać jak najlepiej.

– Postaram się, żeby pan wyglądał tak, jakby pan dopiero co wyszedł od krawca z Savile Row – odpowiada Peter. – Zajrzę do pana celi i zabiorę koszulę, gdy tylko skończę rozdawać śniadania.

Idę dalej i inny więzień wręcza mi termos z gorącą wodą – połowę zużyję na zupę, połowę do golenia. Kiedy wchodzę po żółtych żelaznych schodach, wracając do celi numer 29 na drugim piętrze, słyszę, jak Mark, entuzjasta Arsenalu, rozmawia z dyżurnym funkcjonariuszem nazwiskiem Tuck. Nadzwyczaj grzecznie zwraca uwagę, że wśród osób wybranych na Powierników, roznosiciele herbaty i serwujących posiłki brak przedstawicieli mniejszości etnicznych, mimo że stanowią oni ponad pięćdziesiąt procent populacji więziennej. Tuck, który sprawia wrażenie przyzwoitego faceta, potakuje i obiecuje, że pomówi z naczelnikiem. Nie mam sposobu, żeby się dowiedzieć, czy to zrobił czy nie²⁰.

Kiedy wracam na drugie piętro, Vincent już na mnie czeka. Przelewam połowę kompotu z owoców do jego miski, a on dzieli mielonkę na dwie części i podaje mi tę większą; kładę ją na talerzu obok jarzyn w cieście i dwóch ziemniaków. Daje mi też biały podkoszulek, który mam na sobie, kiedy piszę te słowa.

Drzwi celi przez dziesięć minut są otwarte i w tym czasie przychodzi Peter i zabiera moją brudną białą koszulę, bokserki i skarpetki.

– Zaraz z rana je panu przyniosę, dziedzicu – mówi żartobliwie i znika, nim zdążyłem go zapytać, co by za to chciał.

Moim ostatnim gościem tego dnia jest Kevin, mój Powiernik, który mówi, że podobno jutro zostanie przeniesiony do bloku pierwszego, gdzie panuje nieco łagodniejszy reżim i nie ma takiego hałasu. Zmartwiłem się, bo tu już nawiązałem

kilka przyjaciół – z Kevinem, Jamesem, Patem, Vincentem, Peterem i Markiem – i zacząłem się orientować, jak funkcjonuje blok trzeci. Kevin siedzi na łóżku i trajkocze zgodnie z zapowiedzią Jamesa, ale jest mi miło w jego towarzystwie, nie mówiąc już o tym, że kiedy Powiernik jest w celi, drzwi są otwarte.

Tego popołudnia Kevina odwiedziły żona i dzieci. Opowiada mi, że jego czternastoletni syn jest już wyższy od niego, a dziewięcioletni nie rozumie, dlaczego tata nie wraca na noc do domu.

Oddziałowy Gilford kręci się przy drzwiach celi; sygnał, że mimo pełnionej funkcji Kevin powinien już sobie pójść. Pytam Gilforda, czy mogę wyrzucić resztki kolacji do kosza na podeście schodów – spożyłem tylko jeden kęs wegetariańskiej potrawy. Zgadza się. Gdy tylko wracam, zatrząskuje drzwi.

Siadam na łóżku i przeglądam listy. Pierwsza poczta przyniosła ich ponad sto i ani jeden mnie nie potępia. Zdumiewające, jak Anglicy nie podzielają opinii prasy – zatrzymuję wszystkie listy, na wypadek gdyby moi adwokaci chcieli się z nimi zapoznać: wśród nadawców są trzej członkowie parlamentu: David Faber, John Gummer i Peter Lilley oraz dwaj przedstawiciele Izby Lordów: Bertie Denham i Robin Ferrers. Pewien były minister nie tylko pisze, jak mu przykro, że jestem w więzieniu, ale dodaje, iż mowa końcowa sędziego Potts'a to kpina ze sprawiedliwości, a wydany przez niego wyrok jest niezrozumiały.

Zaczynam układać w pamięci listę moich prawdziwych przyjaciół.

Dzień 6

Wtorek, 24 lipca 2001

5.44 rano

Wygląda na to, że wróciłem do swojego zwykłego rytmu dziennie-nocnego. Budzę się około 5.30 rano i zaczynam pierwszą, dwugodzinną sesję pisania, podobnie jak to czynię w zaciszu mojego domu. Piszę bez przerwy do ósmej.

Sporządzam obszerne notatki o wydarzeniach dnia, a następnego ranka piszę pełny tekst, zwykle liczący około trzech tysięcy słów. Notuję również zasłyszane przypadkiem uwagi albo informacje, które po kilku chwilach mogą mi wylecieć z pamięci.

Właśnie zabieram się do golenia – poświęcam teraz temu zajęciu sporo czasu, nie tylko dlatego, że mam go tak dużo, ale po prostu nie chcę mieć twarzy pokiereszowanej przez więzienną maszynkę – kiedy słyhać uderzenie w drzwi celi. Otwiera się judasz i dobiega mnie krzyk oddziałowej Newsome:

– Archer! Przenosisz się pan do bloku numer jeden, pakuj pan rzeczy!

Powinienem już wiedzieć, że po takiej zapowiedzi następuje przynajmniej dwugodzinne czekanie, ale brak doświadczenia sprawia, że nawet nie próbuję się golić, tylko naprędce zbieram mój dobytek. Martwię się jedynie, że dzieci odwiedzą mnie po południu, a nie chciałbym, żeby zobaczyły ojca nieogolonego.

Gromadzę wszystko i tak jak wtedy, kiedy pod koniec wakacji wracam do domu, stwierdzam, że mam o wiele więcej rzeczy niż na początku. Kiedy już je upchnąłem w mojej wielkiej więziennej plastikowej torbie, zaczynam się niepokoić przeniesieniem z Bejrutu na oddział więźniów skazanych na dożywocie.

10.07 rano

Drzwi mojej celi zostają otwarte i dołączam do kilkunastu więźniów, którzy też przenoszą się do bloku pierwszego. Jednego czy dwóch znam ze spacerniaka.

– Dzień dobry, Jeff! Jak milordowi smakowało śniadanie? To musi być wytrotny blok, skoro wybierasz się tam z nami – wita mnie chór głosów.

Kevin wślizguje się na koniec kolejki, żeby mi powiedzieć, że Peter uprał i uprasował mi białą koszulę i przyśle ją po południu na blok pierwszy, ale że muszę zrobić następną listę prowiantu, bo każdy blok ma własną kantynę.

Wędruję do nowej celi przez kilka długich korytarzy, czemu towarzyszy zwykła ceremonia otwierania i zamykania co kilka kroków podwójnie okratowanych furt, i kiedy w końcu razem z całą grupą przybywam na miejsce, gromadzą nas w przejściówce i – co było do przewidzenia – każą nam czekać. Nigdy nie opanowałem sztuki czekania. Stoimy zaledwie kilka minut, kiedy młody strażnik nazwiskiem Aveling otwiera drzwi i oznajmia:

– Archer, pan Loughnane wzywa pana w sprawie przeniesienia.

Przecież dopiero tu przybyłem.

– Wypuszczają cię! – krzyczy jeden z więźniów.

– Spytaj, kochasiu, czy mogę zamieszkać z tobą w jednej celi! – wrzeszczy drugi.

– Nie płąć więcej, niż wynosi bieżąca stawka! – dorzuca trzeci.

Więzienny humor.

Aveling prowadzi mnie korytarzem do obszernego, bardziej komfortowego pokoju w porównaniu ze standardem, do jakiego przywykłem podczas ostatnich dni, i przedstawia mnie panom Loughnane'owi i Gatesowi. Siadam naprzeciwko nich, po drugiej stronie biurka.

– Niestety, znowu wypełnianie formularzy – mówi niemal przepaszająco Loughnane. – Jak się pan adaptuje? – pyta.

Już się przyzwyczailem, że każdy funkcjonariusz więzienny, którego widzę pierwszy raz, w ten sposób zaczyna rozmowę.

– Czuję się dobrze, tylko z trudem znoszę wielogodzinne zamknięcie w tak ograniczonej przestrzeni.

– Czy chodził pan do szkoły prywatnej? – pyta Gates.

– Tak – odpowiadam, zaskoczony tym pytaniem ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Po prostu zauważyliśmy, że absolwenci szkół prywatnych adaptują się o wiele szybciej niż przeciętni więźniowie.

Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać.

– Szczerze mówiąc – ciągnie – wypełniłem już większość rubryk, zapytujących, czy umie pan czytać i pisać, czy zażywa pan jakieś narkotyki i ile razy siedział pan w więzieniu. Mogę też potwierdzić, że zaliczono pana do kategorii D i że wkrótce zostanie pan przeniesiony do więzienia otwartego. – „Wkrótce”, podobnie jak „natychmiast”, ma w więzieniu inne od potocznego znaczenie. Loughnane tłumaczy, że najpierw będą musieli znaleźć więzienie, w którym jest wolne miejsce, a po uzyskaniu potwierdzenia trzeba będzie rozwiązać problem transportu.

Zdziwiony unoszę brwi.

– To zawsze przysparza nam najwięcej kłopotów – wyjaśnia Loughnane. – Transporty między więzieniami organizuje Grupa 4 i musimy się dostosować do ich terminów. – Następnie pyta: – Czy zna pan jakieś więzienie kategorii D, do którego chciałby pan pójść?

– Słyszałem tylko o więzieniu otwartym w Ford – odpowiadam – a od byłego więźnia wiem, że mają tam dobrą bibliotekę.

– Tak, zgadza się – odzywa się Gates, zajrzawszy do leżącego na stole informatora więziennego, jakby to był przewodnik po winach Relais Châteaux. – Zatelefonujemy tam jeszcze dziś przed południem i sprawdzimy, czy mają coś wolnego.

Dziękuję im obu i wracam pod eskortą do celi przejściowej, gdzie czekają więźniowie.

– Załatwili ci apartament nad brzegiem rzeki? – pyta jeden z więźniów.

– Nie – odpowiadam – ale obiecali, że nie będę musiał siedzieć z tobą w jednej celi.

Ta niezbyt błyskotliwa riposta zostaje przyjęta radosnymi okrzykami i oklaskami, a to dlatego że, jak się później dowiedziałem, postawiłem się facetowi, który rozwalił głowę bratu. Dobrze, że powiedziano mi o tym później, bo, zapewniam was, gdybym to wiedział wtedy, trzymałbym buzię zamkniętą na kłódkę.

Drzwi znowu się otwierają i tym razem Aveling oznajmia, że chce mnie widzieć zwierzchnik bloku. To prowokuje następne kpinki i brawa.

– Uważaj, Jeff, on myśli, że masz chętkę na jego posadę.

Prowadzą mnie do jeszcze okazalszego pokoju, w którym znajdują się

biurko, krzesła i nawet na ścianach wiszą obrazy. Siedzi tam czworo funkcjonariuszy więziennych, trzech mężczyzn i jedna kobieta. Marsland, najwyższy rangą przedstawiciel Służby Więziennej wśród obecnych, z dwiema gwiazdkami na pagonach²¹, potwierdza pogłoskę, że ponieważ nie będę tu długo, umieści mnie na oddziale dla dożywotnich. Najwidoczniej nie potrafiłem ukryć przerażenia, gdyż śpieszy mnie uspokoić:

– Przekona się pan, że to najspokojniejszy oddział w więzieniu, gdyż większość więźniów ma wyroki od dwunastu do dwudziestu pięciu lat i unika ekscesów. Inaczej nie mieliby szans na przeszerogowanie do kategorii B albo C, nie mówiąc o zwolnieniu warunkowym.

I znowu to, co słyszę, całkiem odbiega od tego, co człowiek mógłby sobie wyobrazić.

– Mamy też prośbę – dodaje Marsland, spoglądając na kartkę. – Pani Williamson prowadzi kurs pisania kreatywnego i chciałaby wiedzieć, czy wygłosiłby pan wykład dla uczestników.

– Oczywiście – odpowiadam. – Ile osób bierze zwykle udział w zajęciach?

– Ze względu na pana spodziewamy się rekordowej frekwencji – oznajmia pani Williamson. – Liczę na dwanaście osób.

Nie przemawiałem do dwunastoosobowego audytorium od czasu, gdy byłem kandydatem do Greater London Council z okręgu Romford trzydzieści lat temu.

– Jest pewien problem – ciągnie Marsland. – Niestety, na oddziale dla dożywotnich nie mamy w tej chwili żadnej wolnej pojedynki, więc nie będzie pan sam w celi.

Zmartwiałem. Czy będę skazany na towarzystwo mordercy, gwałciciela albo narkomana lub połączenie wszystkich trzech w jednej osobie?

– Postaramy się jednak znaleźć panu jakiegoś znośnego współlokatora – obiecuje i wstaje na znak, że rozmowa skończona.

Wracam do swojej gromadki więźniów, ale po kilku chwilach zabierają nas do nowych cel. Ponownie zostaję ulokowany na najwyższym piętrze – przypuszczam, że ze względów bezpieczeństwa.

Cela numer 40 jest trochę obszerniejsza od celi numer 29, gdzie ostatnio rezydowałem, ale z pewnością nie dwa razy większa, chociaż musi pomieścić dwóch więźniów. Ma siedem kroków na cztery, a nie jak tamta pięć na trzy, a pod ścianą w głębi, na wprost ubikacji, znajduje się małe łóżko piętrowe, które byłoby bardziej na miejscu w przedszkolu.

Okazuje się, że moim współlokatorem jest Terry. Terry pisarz. To ten, który podszedł do mnie na dziedzińcu i spytał, czy przeczytałbym jego rękopis. Wsadzono go do jednej celi ze mną, bo nie pali, co jest wśród więźniów rzadkością, a przepis więzienny mówi, że jeśli ktoś nie pali, nie może dzielić celi z palaczem. Kierownictwo więzienia przypuszczało, że znam tę zasadę. Nie znałem

jej.

Jak już wspomniałem, Terry ma w połowie gotową powieść i wydaje się zadowolony, że będę jego współtowarzyszem. Później dowiaduję się dlaczego – i wcale nie chodzi o pomoc w szlifowaniu składni. Z pozoru Terry jest grzeczny i przyjacielski i choć wciąż go proszę, żeby mówił mi po imieniu, z uporem tytułuje mnie panem Archerem. Uzgadniamy, że on zajmie górną pryczę, ja zaś dolną ze względu na wiek. Szybko się przekonuję, że jest bardzo schludny, chętnie ścieli obie prycze, zamiata podłogę i regularnie opróżnia plastikowe wiaderko.

Rozpakowuję plastikową torbę i układam moje rzeczy w malutkiej szafce nad łóżkiem. Kiedy obaj kończymy się rozpakowywać, wyjaśniam Terry'emu, że piszę sześć godzin dziennie i mam nadzieję, że nie weźmie mi za złe, jeżeli nie będę się do niego odzywał w trakcie dwugodzinnych sesji. Wydaje się zadowolony z takiego układu i tłumaczy, że sam chce szybko pracować nad swoją powieścią. Zamierzam go zapytać, jak mu idzie, kiedy drzwi się otwierają i do celi wchodzi oddziałowy, który przechwycił moją świeżo uprasowaną białą koszulę. Najpierw przeprosza, a potem oświadcza, że musi skonfiskować koszulę, bo gdybym ją włożył, można by mnie omyłkowo wziąć za członka personelu więziennego. To jest koszula, o której upranie i uprasowanie poprosiłem Petera, żeby dobrze się zaprezentować podczas odwiedzin Williama i Jamesa. Została mi teraz tylko jedna niebieska koszula i jeden (pożyczony) podkoszulek. Strażnik wkłada moją białą koszulę do kolejnej plastikowej torby, a ja muszę wypełnić jeszcze jeden formularz. Zapewnia mnie, że koszula zostanie mi zwrócona, kiedy odsiedzę wyrok.

12.00 w południe

Skończyłem drugą turę pisania, gdy otworzono drzwi i wypuszczono nas na Godzinę Wspólną. Dożywotni więźniowie (23 morderców plus kilku skazanych za rzeczywiste uszkodzenie ciała i ciężkie uszkodzenie ciała), mężczyźni w wieku od dziewiętnastu do pięćdziesięciu lat, patrzą na mnie podejrzliwie. Nie dość, że jestem konserwatystą i milionerem, ale – co o wiele gorsze – będę razem z nimi tylko przez kilka dni, a potem zostaną wyekspediowani do więzienia otwartego. Oni na to nie mają szans przynajmniej przez dziesięć lat. Z tą szczególną grupą więźniów będzie o wiele trudniej przełamać lody niż z młodymi, świeżo opierzonymi kryminalistami z bloku trzeciego.

Spaceruję w kółko i w pewnym momencie przystaję, żeby rzucić okiem na telewizor. Mężczyzna mniej więcej w moim wieku ogląda Errola Flynna i Davida Nivena w czarno-białej wersji *Szarży lekkiej brygady*. Siadam obok niego.

– Jestem David – mówi. – Nie goliłeś się dzisiaj.

Przyznaję się do grzechu i tłumaczę, że właśnie zacząłem, kiedy strażniczka

mi powiedziała, że będę się przeniósł.

– Rozumiem – rzecze David. – Ale wiesz, Jeffrey, jesteś za stary na dwudniową szczecinę. Wszyscy dożywotniacy się golą – mówi. – W tym piekle człowiek musi się starać zachować chociaż elementarną godność – dodaje – a chyba najlepszy sposób na rozpoczęcie dnia to wziąć gorący prysznic i porządnie się ogolić.

W trakcie oglądania filmu David gawędzi, jakby to był jakiś podkład muzyczny. Usprawiedliwia się, że nie czytał żadnej mojej książki, zapewniając mnie, że jego żonie wszystkie się podobały, on zaś ma czas na czytanie tylko wtedy, gdy jest w więzieniu. Powstrzymuję się od zadania mu oczywistego pytania.

– A co teraz czytasz? – pytam.

– *O Dickensie* Ackroyda – odpowiada. I jakby wyczuwając moje niedowierzanie, dodaje: – Ten Micawber, co za typ, ale tak jak mój ojciec zawsze tonie w długach. Przypomnij mi, jak on miał na imię?

– Wilkins – odpowiadam.

– Sprawdzam cię, Jeffrey, tylko sprawdzam. Tak naprawdę próbowałem któregoś dnia pożyczyć jakąś twoją książkę w bibliotece, ale zdjęli je z półek. Szczyt bezczelności! Powiedziałem im, że chcę przeczytać tę cholerną książkę, a nie ukraść.

Zaczyna do mnie docierać, że niewielu więźniów używa w mojej obecności ordynarnych słów. Jeden z oglądających telewizję przechyla się w moją stronę i pyta, czy to prawdziwa opowieść. Przypominam sobie wiersz Tennysona o sześciuset walecznych i jestem pewien, że Errol Flynn nie przedarł się konno przez pierwszą linię nieprzyjaciół i nie zatopił szpady w sercu ich dowódcy.

– Pewnie, że to zrobił – powiada David. – Miał to w kontrakcie.

Tym razem udaje się nam obejrzeć ostatnie sceny, bo pełniący służbę strażnik sprawdził, kiedy film się kończy. Wolał nie mieć do czynienia z trzydziestoma czy czterdziestoma zawiedzionymi więźniami skazanymi na dożywocie.

O pierwszej zaprasza się nas z powrotem do celi. Owo zaproszenie zostaje wykrzywane na cały głos przez strażnika. W celi na dolnej pryczy czeka na mnie 200 nowych listów. Wszystkie są otwarte, zgodnie z regulaminem więziennym, który nakazuje sprawdzić, czy w korespondencji nie kryją się narkotyki, żyłki albo pieniądze. Na czytaniu wszystkich po kolei „zapłombowanemu w celi” człowiekowi mijają niepostrzeżenie dwie godziny. Zaczynam myśleć żargonem więziennym.

Jak się zdaje, ludzie są szczerze zatroskani moim położeniem. Wielu komentuje sędziowskie przemówienie końcowe i surowość wyroku, inni natomiast zauważają, że bandyci napadający na banki, pedofile, a nawet oskarżeni o nieumyślne spowodowanie śmierci często wywijają się dwu- albo trzyletnim

wyrokiem. Często w listach powtarza się pytanie: Czym naraziłeś się sędziemu Pottsowi? Przyznaję, że nie znam na nie odpowiedzi, ale nie przeczę, że trzeciego, czwartego i siódmego dnia procesu prosiłem mojego obrońcę Nicka Purnella, żeby pomówił z sędzią na osobności na temat jego oczywistego uprzedzenia do mnie i poprosił o ponowny proces. Jednak obrońca odradził mi ten krok, argumentując, że w rezultacie proces zamieniłby się w otwartą batalię między nami dwoma. Proszę nie podejrzewać, że zmyśliłem sobie to wszystko po fakcie; w trakcie procesu zwierzyłem się ze swoich obaw również radcom królewskim Michaelowi Belloffowi, Gilbertowi Grayowi i Johnniemu Nuttingowi.

Dopiero w drugiej godzinie czytania natrafiłem na list z żądaniem, żebym przeprosił wszystkich, którym sprawiłem zawód. Następny w sterce list jest od Mary. Czytam go wiele razy. Na początku zauważa, że nie pamięta, kiedy ostatnio do mnie pisała. Przypomina mi, że tego ranka jest na Uniwersytecie Strathclyde, gdzie prowadzi letnią sesję na temat energii słonecznej. Towarzyszy jej prasa światowa i nasz syn Will. Dzięki Ci, Boże, za Willa. Jest naszą opoką. Pod koniec tygodnia Mary leci do Drezna, żeby wziąć udział w następnej konferencji, i ma nadzieję, że zdąży wrócić i odwiedzić mnie w Belmarsh w niedzielę rano. Brak mi jej i dzieci, jeszcze jak mi brak, ale przede wszystkim chciałbym, żeby prasa wkrótce się mną znudziła i pozwoliła Mary prowadzić własne życie.

Kończę czytać listy i Terry pomaga mi je wkładać do czterech wielkich szarych kopert, w których zostaną wysłane do Alison, mojej asystentki, aby każdy, kto zadał sobie trud napisania do mnie, dostał odpowiedź. Pakując listy, Terry zaczyna mi opowiadać historię swojego życia i jak to się stało, że znalazł się w więzieniu. Terry nie odsiadywa dożywocia, co pewno też było argumentem, żeby umieścić nas w jednej celi.

Terry był dwukrotnie w więzieniu, zdobywszy uprzednio ostrogi w zakładzie poprawczym i areszcie śledczym. Zaczął wachać rozpuszczalnik jako dziecko, a kiedy miał dwanaście lat, przeszedł na haszysz. Popełnił pierwsze przestępstwo, kiedy obrabował miejscowy sklepik z gazetami, żeby mieć pieniądze na narkotyki. Skazano go na dwa lata więzienia, z czego odsiedział rok. Drugi wyrok dostał za obrabowanie jubitera w Margate z wyrobów wartości 3000 funtów, za które miał nadzieję dostać 800 od londyńskiego pasera. Policja przyłapała go na gorącym uczynku (jego własne słowa) i został skazany na pięć lat. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata. Odsiedział trzy i pół, po czym go zwolniono.

Terry był na wolności zaledwie siedem miesięcy, kiedy z zakładu optycznego ukradł na zamówienie wyroby znanych projektantów, jak Cartier, Calvin Klein i Christian Dior. Dostał za to 900 funtów gotówką, ale go aresztowano tydzień później. Odciski pozostawione na szybie wystawowej, którą roztrzaskał, zgadzały się z odciskami jego palców i policja miała tylko jednego podejrzanego. Sędzia skazał go znów na pięć lat.

Terry liczy na to, że go zwolnią w grudniu tego roku. Twierdzi, że w więzieniu odzwyczaił się od narkotyków, i cieszy się, że nigdy nie spróbował heroiny. Terry nie jest głupcem i mam nadzieję, że kiedy wyjdzie, już nie wróci trzeci raz. Zaklina się, że nie, ale jeden z funkcjonariuszy powiedział mi, że dwie trzecie recydywistów wraca do więzienia w ciągu roku: „Mamy swoich stałych gości, jak każdy hotel w kurorcie, z tym że my nie pobieramy opłat za nocleg ze śniadaniem”.

Terry opowiada mi o swojej matce, kiedy nagle rozlegają się dzikie wrzaski, rozbrzmiewające rozgłośnym echem w całym bloku. Po raz pierwszy się cieszę, że drzwi mojej celi są zaryglowane. Więźniowie z bloku pierwszego wrzeszczą na mężczyznę prowadzonego na oddział medyczny po drugiej stronie dziedzińca. Nie zapomnę tego oddziału.

– O co chodzi? – pytam, spoglądając przez okienko celi.
– To zbok – tłumaczy Terry.
– Zbok?
– Pedofil. Jakby był w naszym bloku, to już dawno byśmy mu zdefasonowali pysk.

– Jak?
– Do dzbanka wrzątku – tłumaczy Terry – sypie się cukier, żeby zrobić się syrop. Dwóch chłopaków przytrzymuje łobuza, a trzeci oblewa mu tym powoli twarz.

– Boże, to musi być straszne!
– Najpierw schodzi skóra z twarzy, a potem cukier wżera się w ciało, więc taki zbok jest oszpecony do końca życia – na nic innego nie zasługuje.

– Czy byłeś kiedy świadkiem czegoś takiego? – pytam.
– Trzy razy – odpowiada Terry rzeczowo. – Raz, jak załatwiali pedofila, potem handlarza narkotyków i jeszcze przy awanturze z gościem, który nie zwrócił karty telefonicznej za dwa funty. – Po chwili dodaje: – Gdyby tego zboka dali na ten blok, w ciągu dwudziestu czterech godzin byłby martwy.

Jestem przerażony, więc mogę sobie tylko wyobrazić, w jakim strachu żyją tamci. Z chwilą gdy więzień znika w centrum medycznym, krzyki ustają.

4.00 po południu

Drzwi celi w końcu się otwierają i zostajemy wypuszczeni na spacer. Kiedy wykonuję pierwsze okrążenie, około dwustu jardów, podchodzi do mnie młody więzień – jak się zastanowić, to wszyscy oprócz mnie i Davida są młodzi. Ma na imię Nick i gdyby nie krzywy przedni ząb i złamany nos, mógłby uchodzić za przystojnego. Siedzi w więzieniu od czternastu lat, a sam ma ich tylko trzydzieści trzy, ale liczy na to, że wyjdzie na wolność za cztery lata, o ile uda mu

się wymigać od najnowszej pajdy.

– Pajdy? – dziwię się.

– Tak, próbują mnie zrobić w podpalenie, po tym jak narozrabiłem w Durham, ale nie mają żadnego dowodu, że to ja podpaliłem celę, i będą musieli wycofać oskarżenie.

Podchodzi do niego inny więzień, który właśnie skończył odsiadywać cztery z osiemnastu lat.

Więźniów skazanych na dożywocie cechuje całkiem inne nastawienie niż pozostałych. Często mówią: „Nawet nie próbuj liczyć pierwszych sześciu lat”. Pogodzili się z tym, że nie wyjdą na wolność za tydzień, za miesiąc ani za rok, i przygotowali się na długi pobyt w więzieniu. Większość z nich odnosi się do mnie z szacunkiem i nie pozwala sobie na żarty i docinki.

Podczas drugiego okrążenia podchodzi do mnie Mike (rabunek z bronią w ręku), który mi mówi, że wczoraj wieczorem słuchał w radiu Teda Francisa i Maksa Clifforda, i dodaje, że chłopaki nie mogą się wprost doczekać, żeby któryś z nich trafił do kicia.

– Nie lubimy takich, co wrabiają swoich kumpli, zwłaszcza dla forsy – powiada.

Trzymam się wytrwale rady Nicka Purnella i nie komentuję tego ani słowem.

Gdy wracam do celi, Terry akurat wybiera się na kolację. Ja się wzdragam, ale on nalega, żebym mu towarzyszył, bo dziś wieczór jest jego ulubiony pudding ananasowy. Idę z nim i wybieram kilka przypalonych pieczarek po to, żeby dostać przysmak dla Terry’ego.

Zanim zdążyłem dotrzeć do celi, Terry zabrał się do zamiatania podłogi i mycia umywalki. Mam szczęście, że mieszkam pod jednym dachem z kimś, kto jest schludny i pilnuje, żeby wszystko było na swoim miejscu. Terry siada na łóżku i przeżuwa swój posiłek, ja natomiast czytam, co napisałem w tym dniu. Terry kończy kolację i myje swój talerz, nóż, widelec i łyżkę, po czym składa je porządnie w kącie na podłodze. Nadal czytam swój tekst, Terry zaś sięga po Biblię. Wybiera List do Hebrajczyków, którego, przyznaję, nigdy nie czytałem, i zgłębia go w ciszy przez następną godzinę.

Skończywszy pracę na ten dzień, powracam do książki *Księżyc jest balonem*, którą odkładałem tuż po dziesiątej, w momencie wypowiedzenia wojny. Poduszki są trochę bardziej miękkie od tych w bloku trzecim, konstatuje z ulgą.

Dzień 7

Środa, 25 lipca 2001

5.17 rano

– Odepierz się! – budzi mnie głośny krzyk.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że to Terry krzyczy przez sen. Mamrocze jeszcze coś, czego nie mogę zrozumieć, i nagle się budzi. Schodzi z łóżka, jakby nieświadom, że ktoś jest na dolnej pryczy. Leżę bez ruchu, ale oczy mam otwarte i pilnie go obserwuję. Nie boję się, chociaż Terry w przeszłości dopuszczał się przemocy. Nie zauważyłem nic, co by na to wskazywało. W istocie, mimo że używa wulgarnego języka w swojej powieści, nigdy przy mnie nie klnie – w każdym razie nie na jawie.

Terry podchodzi wolno do ściany i wtyka głowę w róg celi jak kot, który czuje nadchodzącą śmierć. Przez pewien czas stoi nieporuszony, potem się odwraca, chwyta ręcznik wiszący przy umywalce, siada na plastikowym krzeselku i ukrywa w ręczniku twarz. Zrozpaczony i nieszczęśliwy. Próbuję sobie wyobrazić, co się dzieje w jego udręczonym umyśle. Podnosi wolno głowę i wpatruje się we mnie, jakby nagle sobie przypomniał, że nie jest sam.

– Przepraszam, panie Archer – mówi. – Czy pana obudziłem?

– Nieważne – odpowiadam. – Czy chce pan ze mną porozmawiać?

– To powracający koszmar – powiada – ale z niewiadomych powodów w ciągu ostatnich dwóch tygodni jeszcze bardziej spotworniał. Kiedy byłem dzieckiem – milknie, niewątpliwie zastanawiając się, czy mi się zwierzyć – ojczym bił mnie i moją mamę skórzanym pasem, i nagle, po tylu latach, zaczęło mi się to śnić.

– Ile miał pan wtedy lat? – pytam.

– Chyba sześć, ale to trwało aż do śmierci mojej mamy, kiedy miałem szesnaście.

– Jak umarła pańska matka? – pytam. – Przecież nie była jeszcze stara.

– To trochę tajemnicza sprawa – mówi Terry cicho. – Na pewno wiem tylko tyle, że jej ciało znaleziono we frontowym pokoju przy kominku, a potem mój ojczym zmył się do Brighton razem z moją przyrodnią siostrą.

Odnoszę wrażenie, że Terry dobrze zna okoliczności śmierci matki i świetnie wie, kto był sprawcą, ale nie chce podzielić się ze mną tą informacją. Skądinąd wie też, że piszę dziennik.

– I co się z panem stało, kiedy on się ulotnił do Brighton?

– Zabrano mnie do sierocińca, potem umieszczono w domu poprawczym, w izbie dla nieletnich, a w końcu posłano do więzienia – to inna edukacja niż pańska.

Jak ci z nas, którzy mieli względnie normalne dzieciństwo, mogą zrozumieć, przez co przeszedł ten młody człowiek – i co teraz przeżywa?

– Przepraszam – powtarza, po czym wchodzi na górną pryczę i błyskawicznie zasypia.

Wstaję z łóżka, myję zęby, ocieram twarz myjką zmoczoną w zimnej wodzie i przystępuję do pierwszej tego dnia tury pisania. O tak wczesnej porze wszyscy więźniowie śpią albo przynajmniej tak mi się wydaje, bo z sąsiednich cel nie dochodzi najlżejszy dźwięk. Nawet poranny obchód patrolu ze szczekającymi wilczurami już mi nie przeszkadza.

W Londynie mieszkam w pobliżu linii kolejowej, która biegnie do stacji Waterloo, ale nocne i wczesnoporanne pociągi nigdy mnie nie budzą. W więzieniu to znów rap, krzyki obrzucających się obelgami więźniów i szczekanie owczarków alzackich nie przerywają snu skazanym na dożywocie. Zakończywszy dwugodzinną sesję pisania, rozpoczynam przydługi proces golenia.

Chociaż moje życie toczy się według bezsensownego porządku, mam nadzieję, że przynajmniej dziś się z niego wyłamie. Zapiisałem się na godzinną sesję między dziesiątą a jedenastą na sali gimnastycznej, ponieważ brak mi moich codziennych ćwiczeń.

9.06 rano

Tuż po dziewiątej drzwi celi się otwierają i kobieta w białym fartuchu podaje mi tygodniowy zestaw prowiantu wartości dwunastu funtów i pięćdziesięciu pensów. Dziękuję jej, ale nie odpowiada. Siadam na łóżku, rozpakowuję po kolei każdą rzecz. Z rozkoszą zabieram się do miski płatków kukurydzianych pływających w świeżym mleku. Taki posiłek spożywam zwykle w kuchni w moim domu, godzinę przed pójściem na salę gimnastyczną. Zawsze prowadziłem zdyscyplinowane, uporządkowane życie, ale teraz to już nie jest samodyscyplina, bo kto inny wydaje rozkazy.

10.00 rano

Chodzę tam i z powrotem po celi, czekając na wezwanie na ćwiczenia, kiedy ktoś z dołu ryczy:

– Ćwiczenia fizyczne odwołane!

Posępnieję i spoglądam w zakratowane okno, zastanawiając się dlaczego. Kiedy w końcu drzwi zostają otwarte, żeby nas wypuścić na Godzinę Wspólną, przed moją celą zjawia się Derek przezwany „Del Boyem”²², który obsługuje kuchenkę i, jak się wydaje, porusza się swobodnie po całym bloku.

– Dlaczego odwołano ćwiczenia fizyczne? – pytam.

– Jakiś więzień wydostał się na dach sali gimnastycznej przez świetlik – wyjaśnia. – Sala będzie zamknięta do odwołania, dopóki się nie sprawdzi każdego

możliwego wyjścia i kierownictwo nie uzna, że jest zabezpieczona. – Szczerzy zęby, zadowolony ze swej roli wyroczni więziennej. – Czy jeszcze w czymś mogę pomóc, dziedzicu? – zapytuje.

– Proszę o gotowaną wodę i blok do pisania formatu A cztery – odpowiadam.

– Już się robi, dziedzicu.

Nauczyłem się, że nie należy pytać, ile trzeba kombinacji, żeby spełnić taką prostą prośbę. James zaznajomił mnie już pierwszego dnia z używanym w więzieniu terminem „dubelt”, oznaczającym, że za niektóre przysługi trzeba odpłacać dwukrotnie. Wczoraj wieczorem podczas Godziny Wspólnej widziałem, jak Derek przecina na pół skręta i podaje połówkę innemu więźniowi. To było w czwartek i biedak wiedział, że będzie mógł zwrócić dług dopiero dziś, kiedy otrzyma nową dostawę z kantyny. Ale tak bardzo pragnął zapalić, że się zgodził, wiedząc, że będzie musiał oddać Derekowi całego papierosa albo nigdy więcej nie ubije z nim żadnego interesu – ani z nikim innym.

11.10 rano

Pewno było kilka minut po jedenastej, kiedy ktoś szarpnął drzwi mojej celi i zobaczyłem, że stoi w nich Loughnane. Już sam jego widok podnosi mnie na duchu. Mówi, że rozmawiał ze swoim odpowiednikiem w więzieniu otwartym w Ford, który przekaże sprawę naczelnikowi, gdyż sam nie jest uprawniony do podjęcia ostatecznej decyzji.

– Jak pan sądzi, ile to potrwa?

– Najwyżej dwa dni. Przypuszczam, że da mi odpowiedź w piątek, a potem skontaktuję się z Grupą 4.

Tę prostą sprawę przeciętny biznesmen załatwiłby w ciągu co najwyżej dwóch godzin. Pierwszy raz od lat muszę się dostosować do cudzego rytmu.

1.00 po południu

Wysyłają nas wszystkich do pracy. Wyznaczono mnie do „warsztatów”, gdzie będę pakował torby ze śniadaniem, które zostaną dostarczone do innych więźni. Moje wynagrodzenie wyniesie 50 pensów za godzinę. Nowa polityka laburzystów w sprawie minimalnej płacy jakoś nie objęła skazanych przestępców. Prawda wygląda tak, że jesteśmy niewolniczą siłą roboczą. Już mam dołączyć do zespołu więźniów, kiedy Young, strażnik, poleca mi czekać, aż więźniowie odejdą do pracy. Wraca kilka minut później i mówi, że dostałem tak dużo przesyłek poleconych, iż postanowiono, żebym sam po nie przyszedł, zamiast przynosić mi całą stertę do celi.

Kolejny długi spacer w innym kierunku, jeszcze więcej otwierania i zamykania krat; w trakcie wędrówki dowiaduję się, że Young pracuje w Służbie Więziennej jedenaście lat i otrzymuje roczną zasadniczą płacę w wysokości 24 000 funtów, za co jest trudno, o ile nie niemożliwe, utrzymać się w Londynie.

Przybywamy do rejestracji, gdzie za kontuarem, przed rzędami niemiłosiernie zatłoczonych drewnianych półek, stoi dwóch funkcjonariuszy. Pearson zdejmuje trzydzieści dwa listy polecone i paczki z półki i kładzie je na ladzie. Otwiera jedną po drugiej przy mnie – zgodnie z przepisami. Potem dwaj funkcjonariusze układają osobno Biblie i książki na małą kupkę i osobno prezenty, a następnie wkładają wszystko do plastikowej torby i, kiedy pokwitowałem, wręczają mi.

– Peach – ogłasza Pearson.

Na to wezwanie zgłasza się inny więzień, w którego obecności zostaje otwarta paczka. Znajdują się w niej najmodniejsze buty treningowe Nike, przysłane mu przez dziewczynę.

Ściskając plastikowe torby, obaj idziemy w towarzystwie Younga do bloku pierwszego. Po drodze przeproszam Peacha – nie udało mi się dowiedzieć, jak ma na imię – że musiał przeze mnie czekać.

– Nic nie szkodzi – odpowiada. – Dzięki panu byłem blisko godzinę poza celą.

Young opowiada nam o różnych bolączkach Służby Więziennej. Jesteśmy właśnie przy dodatkowych świadczeniach i pracy na zmiany, kiedy włącza się alarm i ze wszystkich stron biegną ku nam strażnicy. Young prędko otwiera najbliższą przejściówkę i wpycha tam mnie i Peacha, po czym dokładnie zamyka drzwi. Patrzymy przez okna na przebiegających strażników, ale nie mamy sposobu, żeby się dowiedzieć, skąd to zamieszanie. Kilka chwil później jakiś więzień, którego trzymają trzej strażnicy i otacza kilku innych, jest wleczony korytarzem w przeciwną stronę. Jeden strażnik przyciska mu pochyloną głowę, inny przygina nogi, tak że kiedy przesuwa się koło nas, odnosimy wrażenie, że to marionetka poruszana niewidzialnymi sznurkami. Peach mi mówi, że chodzi o to, żeby „przydusić” i „spętać”, a sam ten proces nazywa się „opanowanie i ujarzmienie”.

– Co takiego?

– Wloką więźnia do „rozbieralni”, nożycami tną na nim ubranie, zakuwają mu ręce, krępują nogi za plecami, a na koniec opasują go wokół bioder pasem z kajdankami po obu stronach, tak żeby nie mógł poruszyć rękami ani nogami.

– I co potem?

– Zabierają go do izolatki – objaśnia Peach. – Wsadzają go do pojedynki, w której są metalowy zlew, metalowy stół i metalowe krzesło, wszystko przymocowane do ściany, tak że niczego nie może zdemolować.

– Jak długo go tam trzymają?

– Około dziesięciu dni – mówi Peach.
– Siedział pan kiedy w takiej celi? – pytam.
– Nie – pada zdecydowana odpowiedź. – To najpewniejszy sposób na przedłużenie wyroku, a ja chcę się stąd jak najszybciej wydostać.

Gdy tylko sytuacja się uspokaja, wraca Young i wypuszcza nas. Idziemy, jakby nic się nie wydarzyło, do naszych cel.

Każdy blok składa się z czterech skrzydeł, które biegną od środka na kształt ramion krzyża maltańskiego. W środku jest ośmiokątne przeszklone biuro, tak zwany bąbel, usytuowane w centralnym punkcie trzech pięter. Stamtąd personel więzienny może dostrzec i opanować wszelkie zagrożenia. Kiedy przechodzimy obok, pytam strażnika pełniącego służbę, co się stało.

– Jeden z więźniów – odpowiada – groził strażniczce i obrzucił ją obelgami.
– Nie dodaje ani słowa więcej do tej skąpej informacji.

Już w celi Terry mówi mi, że jutro rano więzień stanie do raportu przed naczelnikiem. Potwierdza też, że prawdopodobnie spędzi dziesięć dni w odosobnieniu.

– Był pan kiedyś w izolatce? – pytam.

– Trzy razy – przyznaje. – Ale byłem wtedy młodszy i zapewniam pana, że tego nie polecam, nawet jako doświadczenia do opisanego w pańskim dzienniku. Co mi przypomina – dodaje – że właśnie telefonowałem do mojego ojca. „Daily Express” oferuje mi tysiąc kawałków za moją fotografię – kryminalisty, z którym Jeffrey musi siedzieć w jednej celi – i proponuje następny tysiąc, jeżeli im opiszę ze szczegółami moją przestępczą przeszłość. Powiedział im, żeby się odwalili, ale oni depczą mu po piętach. Byli rozczarowani, kiedy im powiedział, że nie jestem mordercą.

– W niedzielnym wydaniu gazety już pan nim będzie – zapewniam go.

2.00 po południu

Jakiś inny strażnik otwiera drzwi i oznajmia, że popołudniowa Godzina Wspólna zostanie skrócona, ponieważ personel więzienny ma zebranie. Terry mówi mi, że zebranie personelu powinno się odbywać, kiedy jesteśmy zaplombowani, a nie podczas Godziny Wspólnej. Ma rację, ale strażnik odpowiada tylko, że to nie jego decyzja, i zatrzaskuje drzwi.

2.02 po południu

Prawie nie do opisanego w całym swoim okropieństwie jest czas, jaki człowiek spędza zamknięty w celi, zaplombowany. Więc proszę nie uważać tego dziennika za relację na żywo, lecz pomyśleć o niekończących się godzinach

pomiędzy. Jeden Bóg wie, jak to oddziałuje na skazanych na dożywocie, którzy nie widzą końca swego uwięzienia i nie mogą wypełnić czasu pisaniem. Ja karmię się nadzieją – to słowo nieustannie gości na ustach więźniów. Mają nadzieję, że wygrają sprawę, że ich wyrok będzie skrócony, że zostaną zwolnieni warunkowo albo chociaż przeniesieni do pojedynczej celi. Ja, jako więzień kategorii D, po prostu mam nadzieję, że przeniosą mnie jak najszybciej do więzienia otwartego w Ford. Jednak tylko Bóg wie, jaką nadzieją żyje więzień skazany na dożywocie. Postanawiam spróbować się tego dowiedzieć w następnych dniach.

4.30 po południu

Godzina Wspólna. Nareszcie drzwi celi otwierają się na dłużej – na czterdzieści pięć minut. Kiedy schodzę na parter, żeby dołączyć do współwięźniów, Paul (morderstwo) wręcza mi karnet znaczków pierwszej klasy i nie żąda nic w zamian. Może nie ma do kogo pisać, a może nie umie.

– Słyszałem, że ma pan problemy z opłatą pocztową – mówi tylko i odchodzi.

Nie tłumaczę mu, że całą moją korespondencję załatwia asystentka, więc nie muszę się tym kłopotać, bo to by tylko umniejszyło jego życzliwy gest.

W czasie Godziny Wspólnej zauważam, że wysoka otwierana krata na końcu sali prowadzi do dalszego, obszerniejszego pomieszczenia, które ma własny telewizor, stół bilardowy i wygodniejsze krzesła. Nie mam wstępu na ten uświęcony teren, bo tylko więzień wyższej kategorii może opuścić obszar ograniczony.

Więźniowie dzielą się według trzech stopni: podstawowego, standardowego i wyższego. Każdy skazaniec zaczyna odsiadywać wyrok ze stopniem standardowym – pośrodku. Z tego poziomu może pójść w górę albo spaść, co zależy wyłącznie od jego zachowania. Ktoś, kto chce wziąć na siebie większą odpowiedzialność, na przykład zostać Powiernikiem, roznosicielem herbaty albo sprzątaczem, szybko awansuje do statusu wyższego i będzie się cieszył związanymi z nim przywilejami. Jednak ten, kto zaatakuje funkcjonariusza więziennego albo zostanie przyłapany na zażywaniu narkotyków, zostanie zdegradowany do stopnia podstawowego. Te sprawy mają wpływ na poziom życia człowieka w więzieniu i liczą się, kiedy władze rozważają sprawę warunkowego albo wcześniejszego zwolnienia.

Terry, mój współtowarzysz, nie znosi władzy i odmawia podporządkowania się systemowi, dlatego żyje, skacząc od stopnia podstawowego do standardowego i z powrotem. Z drugiej strony Derek Del Boy Bicknell umiał skorzystać z systemu i szybko uzyskał wyższy status. Derek jest jednak bystry i chętny do podjęcia obowiązków. Rządzi się na parterze i właściwie nigdy nie siedzi w swojej celi.

Mam nadzieję, że w tej chwili już macie obraz Dereka, wysokiego, potężnej wagi Antylczyka z cienkim złotym łańcuszkiem na szyi, grubszym na prawym przegubie i najmodniejszym zegarkiem drogiej marki na rękę. Nosi też modny dres i buty Nike. Na dobrą sprawę jestem jedynym więźniem, który wciąż chodzi w koszuli, ale gdybym tu został dłużej, też włożyłbym dres.

5.30 po południu

Jest pora kolacji, zwanej tu podwieczorkiem, więc wracam do celi po plastikową tacę i talerz. Dzisiaj w jadłospisie są jajko i bekon, a ja jestem zbyt głodny, żeby powiedzieć „nie”. Żółtko jest zakrzepłe, a bekon tłusty, skręcony i niejadalny. Wypijam kubek wody Highland Spring (dostałem w zamian za dwa autografy na kartkach urodzinowych) i kończę posiłek miską zupy z torebki (minestrone, 24 pensy). Podczas następnych wyborów nikt nie będzie mógł mi wytknąć, że nie znam cen produktów w supermarketach, nie mówiąc o ich prawdziwej wartości.

Terry myje nasze naczynia, a potem wracamy do współwięźniów zgromadzonych na Godzinę Wspólną na parterze. Na końcu sali Derek prowadzi klub karciany. Dlaczego nie jestem zaskoczony? Zaprasza mnie, żebym się dosiadł. Czterech więźniów skazanych na dożywocie gra w kaluki. Przyglądam się grze, starając się nie przeoczyć kolejki do telefonu, gdyż mam nadzieję porozmawiać z Mary. Powinna już wrócić z zajęć na Uniwersytecie Strathclyde i być w hotelu. Jak się zapewne zorientowaliście, ona do mnie nie może dzwonić.

Paul (morderstwo i znaczki) oznajmia, że musi zatelefonować do swojej dziewczyny, i proponuje, żebym go zastąpił w grze, kiedy pójdzie do kolejki.

– Jeff będzie lepszy od ciebie – mówi Derek, kiedy Paul się podnosi, aby odejść.

Przegrywam sromotnie pierwszą partię, z trudem radzę sobie z następną i wygrywam trzecią. Na szczęście przed czwartym rozdaniem Paul wraca.

– Jego Lordowska Mość nie jest zły – powiada Derek. – Można wytrzymać.

Powoli mnie akceptują.

Kolejka do dwóch telefonów wcale się nie skraca, więc wdaję się w rozmowę z młodym dożywotnim, który ma na imię Michael (morderstwo). Jest bardzo blady, chudy jak szczapa i cały w tatuażach, a na rękach od góry do dołu ma ślady igieł. Zaprasza mnie do swojej celi i pokazuje fotografię żony i dziecka. Kiedy Michael wyjdzie z więzienia, jego ośmiomiesięczna córka skończy szkołę, pewno wyjdzie za mąż i będzie mieć dzieci. Kiedy ten dwudziestodwuletni chłopak znajdzie się na wolności, może już być dziadkiem.

Wychodzę z celi Michaela, żeby dołączyć do współwięźniów, i widzę panią Roberts, zastępczynię naczelnika, która mnie odwiedziła, kiedy byłem na oddziale

medycznym. Otacza ją wianuszek więźniów skazanych na dożywocie. Ta kobieta umie kojąco oddziaływać na tych zdesperowanych mężczyzn.

Poddaję się i ustawiam w kolejce do telefonu, świadom, że szybko się zbliża moment, kiedy nas zamkną w celach. Kiedy nareszcie dopadam wolnego telefonu – jednego z dwóch – więzień, który stoi w drugiej kolejce, pochyla się do mnie i uprzedza, że wszystkie rozmowy z tych aparatów są nagrywane przez policję. Dziękuję mu, ale nie mogę sobie wyobrazić, żeby policjantów mogła zainteresować moja pogawędka z żoną. Odzywa się telefonista hotelowy i łączy mnie z pokojem Mary. Telefon dzwoni, dzwoni i dzwoni.

7.00 wieczorem

Wracam do celi, gdzie znowu czeka na mnie góra listów. Terry mi pomaga, wyjmując je z kopert i układając w kupki, kartki po jednej stronie, listy po drugiej, ja natomiast przeglądam tekst, który napisałem tego dnia. Terry pyta, czy może zachować którąś z kartek na pamiątkę.

– Tylko jeżeli nie ma na niej adresu – odpowiadam – bo nadal zamierzam odpowiedzieć wszystkim nadawcom.

Skończywszy poprawianie dziennej porcji tekstu, zabieram się do listów. Podobnie jak moje życie, układają się w samoistny wzór. Jedne zawierają kondolencje z okazji śmierci mojej matki, inne wyrazy życzliwości i poparcia. W wielu nadal znajduję komentarze na temat przemówienia końcowego sędziego Potts'a i surowości wyroku. Muszę przyznać, że te listy przywracają wiarę w bliźnich... rodzaju męskiego i żeńskiego.

Alison, moja asystentka, pisze, że jeszcze więcej korespondencji przychodzi z każdą pocztą do mnie do domu, i potwierdza, że stosunek popierających mnie do tych, którzy mnie potępiają, wynosi trzysta do jednego. Podaję jeden z listów Terry'emu. To od jego kuzyna, który przeczytał w gazetach, że siedzimy w jednej celi. Terry mówi, że kuzyn odsiaduje dożywocie w Parkhurst za morderstwo. Dodaje, że nie rozmawiają ze sobą od lat. I pomyśleć, że ledwie dwie godziny temu byłem w podłym nastroju, bo nie udało mi się dzisiaj porozmawiać z Mary.

Dzień 8

Czwartek, 26 lipca 2001

5.03 rano

Spałem siedem godzin. Budzę się i zaczynam rozmyślać o moim pierwszym tygodniu w więzieniu. Najdłuższym tygodniu w moim życiu. Po raz pierwszy zastanawiam się nad przyszłością i nad tym, co mi niesie. Czy będę musiał pójść w ślady dwojga moich ulubionych bohaterów, Emmy Hamilton i Oscara Wilde'a, i wybrać odosobnione życie za granicą, bez radości przebywania wśród społeczeństwa, które stanowiło tak ważną część mojej egzystencji?

Czy będę mógł odwiedzać dawne ulubione miejsca – Teatr Narodowy, stadion Lorda, Le Caprice, Tate Gallery, kino na Fulham Road – czy choćby chodzić ulicami, nie budząc u ludzi tylko jednego skojarzenia: „To jest ten, co poszedł do więzienia za krzywoprzysięstwo”? Nie mogę tłumaczyć każdemu z osobna, że nie miałem uczciwego procesu. To do mnie tak niepodobne – zagłębiać się w sobie i być pesymistą, ale kiedy człowiek przez wiele godzin dzień po dniu jest zamknięty w celi, która ma siedem kroków na cztery, to zaczyna się zastanawiać, czy ktoś w ogóle wie, że jeszcze żyje.

10.00 rano

Młody strażnik nazwiskiem Highland otwiera drzwi celi i informuje mnie, że o wpół do jedenastej będę miał wizytę prawników.

Pytam, czy mógłbym wziąć prysznic i umyć włosy.

– Nie – pada odpowiedź. – Masz pan umywalkę.

To dopiero drugi opryskliwy funkcjonariusz więzienny, z jakim mam do czynienia, od kiedy tu jestem. Tłumaczę, że trudno wziąć prysznic w umywalce. Odpowiada, że mam „niewłaściwą postawę” i że jeżeli będę się tak dalej zachowywał, to zgłosi mnie do raportu. Mam takie uczucie, jakby film mojego życia nagle się cofnął i jakbym się znalazł z powrotem w szkole.

Gołę się i myję w umywalce najlepiej, jak umiem, po czym idę pod eskortą do innej części budynku na spotkanie z prawnikami. Zostaję ulokowany w pomieszczeniu, które ma na oko osiem kroków na osiem i okna we wszystkich czterech ścianach; zdarza się, że nawet adwokaci przynoszą narkotyki swoim klientom. W środku pokoju stoi wielki podłużny stół, wokół niego sześć krzeseł.

Parę chwil później do pokoju wchodzi radca królewski Nick Purnell ze swoim młodszym współnikiem Alekssem Cameronem i moja adwokatka Ramona Mehta. Nick objaśnia mi procedurę odwołania od skazania i wyroku. Nie wierzy w pomyślny wynik apelacji w sprawie skazania mimo mnóstwa dowodów uprzedzeń sędziego podczas jego mowy końcowej i dodaje, że tylko obecni na sali sądowej będą pamiętać, jak Potts akcentował i z jakim przesadnym naciskiem wymawiał niektóre słowa, zwracając się do ławy przysięgłych. Sędzia bez przerwy przypominał przysięgłym, że nie złożyłem zeznań, i trzymając w górze mały terminarz Angie Peppiatt, a nie mój duży biurowy, kilkakrotnie zauważył, że „nikt nie przeczy, iż to jest prawdziwy terminarz”. Jednakże nie zwrócił uwagi przysięgłych na to, że nawet gdyby ten terminarz został okazany podczas pierwotnego procesu, nie stanowiłby żadnego istotnego dowodu.

W sprawie wyroku Nick Purnell jest większym optymistą, gdyż kilku wybitnych przedstawicieli palestry wyraźnie dało do zrozumienia, że uważają cztery lata za karę nie tylko surową, lecz również niesprawiedliwą. Także szeroki ogół zdaje się powszechnie zgadzać z profesjonalistami. Zmniejszenie wyroku może stanowić wielką różnicę, ponieważ wyrok czteroletni lub dłuższy wymaga uchylającej decyzji rady penitencjarnej. Wyrok krótszy, choćby nawet o jeden dzień, niż cztery lata oznacza, że skazany może być automatycznie zwolniony po odsiedzeniu połowy, jeżeli był wzorowym więźniem. Może również ubiegać się o założenie lokalizatora, co oznacza zyskanie kolejnych dwóch miesięcy, kiedy człowiek przebywa w wybranym miejscu zamieszkania między siódmą wieczór a siódmą rano następnego dnia²³.

Zastanawiamy się wspólnie, czy to odpowiedni moment, żeby wystąpić z pozwem przeciwko Emmie Nicholson za to, iż sugerowała, że miliony funtów, które pomogłem zebrać dla Kurdów, nie dotarły do nich, nie wprost dając do zrozumienia, że trafiły do mojej kieszeni. Nick podkreśla, że sir Nicholas Young, dyrektor naczelny Czerwonego Krzyża, stanął w mojej obronie, a nawet „Evening Standard” stwierdził, że nie muszę dowodzić słuszności swojej sprawy. Alex mówi, że ukazało się kilka artykułów z poparciem dla mnie, między innymi autorstwa Trevora Kavanagha w „The Sun”. Zwraca też uwagę, że „Daily Telegraph” zaatakował Maksa Hastingsa.

Mówię Nickowi, że chcę wystąpić z powództwem przeciwko Tedowi Francisowi o zwrot 12 000 funtów, które mi jest winien, i odwołanie jego twierdzenia, że ponad dwadzieścia lat temu widział, jak nigeryjska prostytutka wychodziła przez okno z mojej sypialni. Byłby to prawdziwy wyczyn, gdyż Francis i ja mieszkaliśmy wtedy w innych hotelach, a mój pokój znajdował się na najwyższym piętrze. Mam też nadzieję, że nieszczęsna dziewczyna była członkinią ekipy ratownictwa górskiego w Lagos.

Prawnicy rozumieją mój gniew, ale chcą czekać, aż sytuacja się uspokoi.

Niechętnie się zgadzam, ale nie jestem przekonany. Nie mogę zapomnieć, że kiedy skarżyłem się Nickowi na pełną uprzedzeń postawę sędziego Potts'a przed rozprawą i w jej trakcie, odradził poruszanie tego tematu z sędzią w cztery oczy, uważając, że to tylko zaogni sytuację.

O pełnej godzinie zostawiam ich, aby powrócili do swojego świata, ja zaś wracam pod eskortą do mojego.

12.00 w południe

Rzuciwszy okiem na to, co podano na lunch, wracam do celi z pustym plastikowym talerzem. Wsypuję torebkę chrupek do otwartej puszkii mielonki, nalewam do kubka sok żurawinowy i rozcieńczam go wodą Highland Spring. Moje zapasy się kończą.

2.00 po południu

Do celi przychodzi funkcjonariusz Weedon i zawiadamia mnie, iż o trzeciej mam prywatne odwiedziny.

– Czyje? – pytam.

Sprawdza listę.

– Williama i Jamesa Archerów.

Już chcę powiedzieć, że szkoda, że nikt nie uprzedził mnie wczoraj, a nie tuż przed przyjściem moich synów. Jednak skoro Highland już mi groził, że za taką bezczelność zgłosi mnie do raportu, postanawiam siedzieć cicho.

3.00 po południu

Strumień ponad osiemdziesięciu więźniów z wszystkich czterech bloków płynie w kierunku sali widzeń. W trakcie długiej wędrówki na drugą stronę budynku natykam się na więźniów, których poznałem podczas mojego krótkiego pobytu w bloku trzecim. Przypomina to spotkania starych szkolnych kumpli.

– Co słychać?

– Co porabiasz?

– Czy spotkałeś...?

Kiedy docieramy przed salę widzeń, poddają nas o wiele bardziej drobiazgowej rewizji niż zwykle. Del Boy już mnie uprzedził, że personel obawia się przekazywania przy tej okazji pieniędzy, narkotyków, żyłek, noży, nawet broni i czegokolwiek, co może podać więźniowi krewny lub przyjaciel rodziny. Z przyjemnością się przekonuję, że mnie rewidują pobieżnie. Po rewizji proszą, żebym założył przez ramię żółtą szarfę, niczym dziecko, które wybiera się na

rower. To znak, że jestem więźniem i nie będę mógł wyjść razem z synami po skończonych odwiedzinach. Muszę powiedzieć, że czuję się tą drobnostką upokorzony.

Wprowadzają mnie do pomieszczenia wielkości dużej sali gimnastycznej. Krzesła są ustawione w pięciu długich rzędach oznaczonych literami od A do E. Zgłaszam się do biurka stojącego na podwyższeniu, gdzie strażnik sprawdza listę, po czym każe mi iść do C11. Wszyscy więźniowie siedzą po prawej stronie, naprzeciw odwiedzających, którzy zajmują miejsca po lewej. Pomiędzy nimi znajduje się niewielki, niski stół, przyśrubowany do podłogi, który ma oddzielać jednych od drugich. Górą biegnie balkon, z którego widać całą salę; rozmieszczeni na nim strażnicy pilnują, czy obie strony nie podają sobie czegoś przez stół. W obserwacji pomagają im kilka kamer wideo. Ogłoszenie na ścianie oznajmia, że nagrania mogą zostać użyte jako materiał dowodowy w dalszym postępowaniu sądowym, i dużymi literami głosi: **TO ODNOSI SIĘ ZARÓWNO DO WIĘŹNIÓW, JAK I DO ODWIEDZAJĄCYCH.**

Mijam trzy rzędy i spostrzegam Williama, który siedzi sam. Zrywa się i miażdży mnie w uścisku, co mi uświadamia, jak bardzo za nim tęskniłem. James, jak mi mówi, jest w kantynie i kupuje moje ulubione napoje. Pojawia się kilka minut później, niosąc tacę z dietetyczną colą i batonikami KitKat. Chłopcy wybuchają śmiechem, kiedy przysuwam wszystkie trzy butelki coli w swoją stronę i nie częstuję ich nawet kawałkiem batonika.

Will najpierw opowiada o wizycie Mary na Uniwersytecie Strathclyde, gdzie przed wykładem zwróciła się do dziennikarzy z krótkim oświadczeniem. Rozpoczęła uwagę, że jeszcze nigdy nie udało się jej uzyskać tak dużej frekwencji na wykładzie o konwersji energii słonecznej.

Will nie jest zdziwiony, że dostałem ponad tysiąc listów i kartek w pierwszych dniach w Belmarsh, i mówi mi, że w mieszkaniu jest ich prawie trzy razy tyle. James dodaje, że wyrazy poparcia słyhać ze wszystkich stron, również John Major i George Carey wydali życzliwe oświadczenia.

– Alison wypisała całą listę – ciągnie młodszy syn – ale nie wolno mi tu było nic wnieść, więc jutro wyślę ci ją pocztą.

Ta wiadomość bardzo podnosi mnie na duchu i budzi we mnie poczucie winy, że zwątpiłem, czy moi przyjaciele będą przy mnie trwać.

Uświadamiam chłopców, że piszę dziennik i będę się musiał zobaczyć z moim agentem Jonathanem Lloydem, wydawczynią Victorią Barnsley i redaktorem Robertem Laceyem, i to niedługo, ale zważywszy, że odwiedziny prywatne wolno mi przyjmować tylko raz na dwa tygodnie, nie chcę widywać nikogo poza rodziną, dopóki mnie nie przeniosą do więzienia otwartego.

Will mówi mi, że już się zapisał na następne odwiedziny za dwa tygodnie, ale ma nadzieję, że do tej pory przeniosą mnie do więzienia otwartego. Ponieważ

nie czytam gazet ani nie słucham radia, bo mam serdecznie dość nieścisłych historii o sobie i o tym, co wyprawiam w Belmarsh, więc Jamie przekazuje mi najnowsze wiadomości na temat walki o przywództwo torysów. Relacjonuje, że badania opinii publicznej wyraźnie wskazują, iż ci, którzy opuścili szeregi konserwatystów w ostatnich wyborach, są za Kenem Clarkiem, faworytem członków partii natomiast jest Iain Duncan Smith. Lubię i podziwiam ich obu, chociaż żaden z nich nie jest moim bliskim przyjacielem. Jednak nie trzeba być geniuszem, żeby wykoncypować, że jeśli chcemy wygrać następne wybory albo przynajmniej na tyle znacząco osłabić większość rządową, by kręgi opiniotwórcze uznały, iż możemy wygrać kolejne, to należałoby wziąć pod uwagę zdanie elektoratu o tym, kto powinien być naszym przywódcą.

Zastanawiam się, czy nie wysłać Kenowi kilku słów, ale uświadamiam sobie, że to by nie pomogło jego sprawie.

Will opowiada mi, że radcy królewscy Michael Beloff, Gilbert Gray i Johnnie Nutting są w stałym kontakcie z moimi prawnikami. Gilly się zastanawia, czy to nie Nick Purnell budzi niechęć Potts'a, bo w adwokaturze mówi się, że kilka razy podczas rozprawy wstępnej i potem w trakcie samego procesu rozżłościł się na Nick'a i stracił panowanie nad sobą, ale nigdy w obecności przysięgłych.

– Nie – odpowiadam. – To nie miało nic wspólnego z Nickiem. To było czysto osobiste.

Atrakcyjna młoda kobieta siedząca tuż na wprost mnie w rządzie B zwraca na moment moją uwagę. Więzień odwrócony do mnie plecami pochyła się nad stołem i całuje ją. Przypominam sobie słowa Kevina, który mówił, że to najpospolitszy sposób przekazywania narkotyków. Patrzę uważniej i dochodzę do wniosku, że tu chodzi o seks, czysto fizyczny seks, i nie ma to nic wspólnego z narkotykami.

James opowiada mi o filmie *Rush Hour 2*, który wraz z Nodem (Nadhimem Zahawim, kurdyjskim przyjacielem) widział w niedzielę wieczorem i który w normalnych okolicznościach oglądałbym z nimi.

– Nie martw się – dodaje. – Odnotowujemy wszystkie filmy, które by ci się podobały, tak że będziesz je mógł ostatecznie obejrzeć na wideo.

Słowo „ostatecznie” zazgrzytało mi w uszach.

Rozmawiamy z Willem o tym, kiedy zamierza wrócić do Ameryki i kontynuować pracę operatora dokumentalisty. Mówi, że na razie, póki matka jest tak rozstrojona i potrzebuje jego obecności, pozostanie w Anglii. Mam szczęście, że Bóg mnie obdarzył taką rodziną.

Przez megafon ogłaszają komunikat, że odwiedzający muszą wyjść. Czy naprawdę spędziliśmy razem godzinę? Wszyscy dokoła wymieniają pożegnalne pocałunki, po czym przyjaciele i krewni z ociąganiem odchodzą. Więźniowie muszą pozostać na swoich miejscach, dopóki ostatni gość nie podpisze listy i nie

opuści sali. Czekaając, rozglądam się wokół. Mężczyzna, którego pocałunek był tak naładowany erotyzmem, siedzi teraz z twarzą ukrytą w dłoniach. Myślę o tym, jaki ma wyrok i ile będą mieli lat on i jego dziewczyna, kiedy wyjdzie na wolność.

Kiedy za ostatnim gościem zamykają się drzwi, gęsiego opuszczamy salę; i znów jestem tylko pobieżnie sprawdzany. Nie mam okazji się przekonać, przez co przechodzą inni więźniowie, chociaż Del Boy mówi mi później, że jeśli kamery wideo zarejestrują coś podejrzanego, więźnia poddaje się rewizji osobistej w asyście psów wykrywających narkotyki.

W drodze powrotnej do celi rozmawiam z więźniem z bloku trzeciego, który oznajmia, że w przyszłym miesiącu kończy mu się odsiadka i wraca do domu. Dodaje, że odwiedziła go żona, która trwa przy nim, ale dała mu wyraźnie do zrozumienia, że porzuci go, jeśli znów trafił do więzienia.

Pozostało mi jeszcze tylko kilka kroków do drzwi celi, kiedy Weedon zatrzymuje mnie i informuje, że chce się ze mną widzieć funkcjonariusz oświatowy. Wykonuję w tył zwrot i pod eskortą Weedona idę na środkowe piętro.

Funkcjonariusz oświatowy ma na sobie szykowny brązowy garnitur. Wstaje, gdy wchodzi do pokoju, i ściska mi dłoń.

– Peter Farrell – przedstawia się. – Zauważyłem, że zgłosił się pan na zajęcia edukacyjne.

– Tak – potwierdzam. – Miałem nadzieję, że dzięki temu będę mógł korzystać z biblioteki.

– Owszem – potwierdza Farrell. – Ale chciałbym pana zapytać, czy pomoże nam pan uczyć więźniów czytać i pisać, bo w tej chwili mamy mało nauczycieli.

– Oczywiście – odpowiadam.

– Dostanie pan funta za godzinę – dodaje z szerokim uśmiechem.

Rozmawiamy przez pewien czas o tym, że wśród więźniów, zwłaszcza tych odsiadujących dożywocie, jest kilku takich, którzy śmiało mogliby uzyskać dyplom uniwersytetu otwartego.

– Mój największy kłopot – tłumaczy Farrell – to ten, że w warsztatach więźniowie mogą zarobić od dziesięciu do dwunastu funtów tygodniowo, wkładając torebki herbaciane, dżem i cukier do plastikowych pojemników, za zajęcia edukacyjne natomiast dostają tylko sześć funtów i pięćdziesiąt pensów. No i często tracę zdolnych uczniów, bo zabrakłoby im pieniędzy na tytoń.

Mój Boże, jakież to materiały do przemówień, które wygłoszę, jeżeli jeszcze kiedyś powrócę do Izby Lordów.

Słychać pukanie do drzwi i do środka zagląda wysokiej rangi funkcjonariusz, Marsland, który przypomina, że za chwilę mam dla więźniów skazanych na dożywocie pogadankę na temat kreatywnego pisanie.

4.30 po południu

Wykład odbywa się w jednej z cel przejściowych. Obecnych jest dwunastu więźniów odsiadujących wyrok dożywocia oraz dwóch strażników, którzy mają na nich oko. Są dwa rodzaje wyroków dożywotnich: obligatoryjny i uznaniowy, ale najważniejsze jest, jaki sędzia ustali minimalny wymiar kary podczas procesu.

Zaczynam od tego, że pisaniem nie zajmowałem się do trzydziestego czwartego roku życia, kiedy odszedłem z parlamentu i stanąłem przed perspektywą bankructwa. Próbuję ich w ten sposób przekonać, że można zacząć robić coś nowego w każdym wieku. Powołuję się na Prousta, który powiedział, że ostatecznie wszyscy robimy nie to, w czym jesteśmy najlepsi.

Ledwo skończyłem, padają dwa pytania o pisanie powieści, ale prędko się przekonuję, że innych więźniów najbardziej ciekawi, co sądzę o życiu za kratami i jakich zmian bym dokonał.

– Jestem tutaj tylko osiem dni – przypominam.

Próbuję mężnie odpowiadać na ich pytania, ale Marsland i jego zastępca muszą wkrótce pośpieszyć mi w sukurs, kiedy rozpala się dyskusja o tym, jak zarządzane są więzienia, a zwłaszcza gdy zaczynają się skargi na czas zamknięcia w celach, na wyżywienie, na to, że w celach brak gniazdek do włączenia telewizora, wreszcie na wysokość zarobków.

Są to słuszne pytania, chociaż nie mają nic wspólnego z pisaniem. Funkcjonariusze więzienni starają się na nie odpowiadać bez uników i widać, że obaj poświęcają wiele uwagi problemom więźniów. Często im współczują, ale mają ręce związane przepisami, biurokracją i brakiem pieniędzy.

Tony, więzień, który nie dość, że jest bystry, to jeszcze doskonale liczy, analizuje drobiazgowo 27-milionowy budżet Belmarsh i zadaje pytanie, ile kosztuje całodzienne wyżywienie więźnia. Nigdy nie zapomnę odpowiedzi na to pytanie – na trzy posiłki dziennie dla jednego więźnia przeznaczają się 1 funt 27 pensów.

– Czyli że firma gastronomiczna zarabia funta dziennie na każdym z nas – konstatuje z sarkazmem Tony.

Spotkanie przeciąga się sporo ponad planowaną godzinę i mija trochę czasu, zanim pochodzący z Glasgow Billy Little zadaje pytanie dotyczące pisania. Czy wykorzystuję moje powieści jako wykładnię jakichś szczególnych uprzedzeń politycznych? Nie, odpowiadam stanowczo, w przeciwnym wypadku miałbym bardzo niewielu czytelników. Billy jest lewicowcem z tradycji domowej i z przekonania i umiejętnie dowodzi słuszności swojej sprawy. Sprawia mu przyjemność przypieranie mnie do muru i robi wszystko, żebym nie czuł się swobodnie z innymi więźniami. Pod koniec zajadłej dyskusji już przynajmniej słucha, gdy przedstawiam swój punkt widzenia.

W drodze powrotnej do cel Billy mówi, że napisał nowelkę i kilka wierszy.

Pyta, czy chciałbym to przeczytać i wyrazić swoją opinię – na takie pytanie zwykle reaguję paniką. Billy wbiega do swojej celi na parterze, wyjmując z teczek plik kartek i wręcza mi. Rozstaję się z nim i natykam się na Dereka Del Boya Bicknella, który na mnie czeka. Ostrzega mnie, że Terry, mój kolega z celi, rozmawiał z prasą i że powinienem mieć się przed nim na baczności i nic mu o sobie nie mówić.

– Rozmawiał z prasą?

– Tak, klawisze go nakryli, jak telefonował do „The Sun”. Podobno za wywiad na wyłączność z więźniem, który siedzi w jednej celi z panem, płacą teraz pięć patoli.

Dziękuję Derekowi i zapewniam go, że nie rozmawiałem z Terryem ani o mojej sprawie, ani o niczym ważnym i że nigdy bym tego nie zrobił.

Wracam do celi i widzę, że Terry ma skruszoną minę. Przyznaje się, że rozmawiał z dziennikarzem „The Sun”, który bardzo chciał się dowiedzieć, kiedy mnie przeniosą do więzienia w Ford.

– Jutro znajdzie się pan na pierwszej stronie – ostrzegam go.

– Nie, nie – broni się. – Nic takiego im nie powiedziałem.

Tłumię śmiech i siadam do czytania kolejnych trzech setek listów, które zostały otwarte przez cenzora i pozostawione na moim łóżku. Nie wierzę, żeby miał czas przeczytać ich wiele, jeśli w ogóle.

Odkładam ostatni, wyciągam się na łóżku i niechętnie sięgam po dwunastostronicowy esej Billy’ego Little’a. Przewracam pierwszą kartkę. Jestem po prostu zaskoczony. Billy tak doskonale włada językiem, jest tak wnikliwy i ma tak rzadki dar interesującego przedstawiania spraw przyziemnych, że chłonę każde słowo, zanim kilka minut po dziesiątej zgaszę światło. Mam wrażenie, że usłyszycie dużo więcej o Billym, i to nie tylko ode mnie.

Dzień 9

Piątek, 27 lipca 2001

2.11 w nocy

W środku nocy budzą mnie ogłuszające dźwięki rapu, dobiegające z drugiej strony bloku. Nie mogę sobie wyobrazić, jak się czuje usiłujący zasnąć lokator sąsiedniej celi albo – co gorsza – ten na pryczy poniżej. Podobno z powodu rapu wybucha w więzieniu najwięcej bójek. Wcale się nie dziwię. Dopiero kiedy ucichł, mogłem ponownie zasnąć. Obudziłem się osiem minut po szóstej. Zdumiewające, ale Terry może spać, choćby się waliło i paliło.

6.08 rano

Piszę przez dwie godziny i zaraz po ukończeniu pierwszej wersji opisu wczorajszych zdarzeń rozbieram się do slipów, okręcam się w pasie jednym ręcznikiem, a drugi wraz z mydłem i szamponem kładę na łóżku.

Drzwi celi otwierają się dwadzieścia trzy po ósmej. Wybiegam rącho niby rumak pełnej krwi, pędzę korytarzem i wpadam do pomieszczenia z prysznicami. Trzy z czterech już są zajęte przez szybszych ode mnie. Jednak udaje mi się dopaść czwartej kabiny i po długim natrysku pierwszy raz od wielu dni czuję się domyty.

Kiedy wracam do celi, Terry nadal mocno śpi i nie budzi się nawet wtedy, gdy zostają otwarte drzwi. Nowy funkcjonariusz przedstawia się jako Ray Marcus, tłumaczy, że jest cenzorem i odpowiednikiem June Stelfox, która zajmowała się moją korespondencją w bloku trzecim. Jego praca polega na sprawdzaniu poczty otrzymywanej przez więźniów i upewnianiu się, że nie zawiera nic niedozwolonego: żyłek, narkotyków, pieniędzy, nawet żywności. Trzeba powiedzieć, że chociaż cenzorzy otwierają wszystkie listy, to ich nie czytają. Ray ma ze sobą poleconą paczkę, którą otwiera w mojej obecności i wyjmuje z niej Biblię. To jedenasta w ciągu dziewięciu dni. Ofiarowuję ją, jak pozostałe, kaplicy. Potem Ray pyta, czy mógłby mi być w jakiś sposób pomocny w sprawach poczty. Proponuje, żeby mówić mu po imieniu, jest uprzejmy i wydaje się niemal zakłopotany tym, że nie wolno mi otwierać moich listów. Mówię mu, żeby się nie przejmował, bo już od wielu lat nie otwieram sam mojej korespondencji.

Wręczam mu trzy duże szare koperty zawierające wszystkie listy, które otrzymałem poprzedniego dnia, oraz mój rękopis z pierwszego tygodnia (70 stron) w więzieniu, a także dwanaście znaczków na listy pierwszej klasy i pytam, czy mógłby to wszystko odesłać mojej asystentce Alison, aby się tym zajęła, tak jakbym był na wakacjach albo za granicą. Chętnie się zgadza, ale zauważa, że jako główny cenzor jest uprawniony do czytania wszystkiego, co wysyłam.

– Proszę bardzo – mówię.

– Wolę poczekać, aż będzie opublikowane – odpowiada z szerokim uśmiechem. – W końcu czytałem wszystko, co pan napisał.

Wychodząc, nie domyka drzwi, jakby wiedział, jaką taki prosty gest czyni różnicę człowiekowi, który co dzień siedzi pod kluczem przez dwadzieścia dwie godziny. Cieszę się tym przywilejem zaledwie kilka minut, gdyż jakiś inny funkcjonariusz, przechodząc obok, zatrząskuje drzwiami. Niemniej jednak czuję wdzięczność.

9.00 rano

Śniadanie. Miska płatków kukurydzianych z mlekiem UHT z kartonu, który stał otwarty przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny i nie zaznajomił się z lodówką. Coś wspaniałego...

10.09 rano

Przychodzi inny funkcjonariusz więzienny i oznajmia, że chce się ze mną zobaczyć kapelan. Wybawienie z celi. Funkcjonariusz eskortuje mnie do kaplicy – tym razem nie jestem rewidowany – gdzie czeka na mnie David Powe. Ma na sobie tę samą jasnobezową marynarkę, spodnie z szarej flaneli i prawdopodobnie tę samą koloratkę, co podczas niedzielnego nabożeństwa – widać jest biedny jak mysz kościelna. Gawędzimy o tym, jak się tutaj adaptuję – w końcu każdy się przyzwyczaja, czyż nie? – a potem komentujemy fakt, że jego kazanie o Kainie i Ablu trafiło do „Private Eye”. Chichocze, najwyraźniej zadowolony z rozgłosu.

Potem David opowiada mi o swojej żonie, która jest dyrektorką lokalnej szkoły podstawowej i napisała dwie książki na temat religii, wydane przez HarperaCollinsa. Mają dwójkę dzieci, trzynasto- i szesnastoletnie. Kiedy mówi o swojej parafii – czyli o więźniach – prędko dochodzę do wniosku, że jest gorliwym chrześcijaninem, mimo że jego wąpiąca i wąpliwa trzódka składa się z morderców, gwałcicieli i narkomanów. Na wieść, że Terry, mój współlokator, codziennie czyta Biblię, David się rozpromienia. Wyznaję, że nie czytałem Listu do Hebrajczyków.

David pyta, czy jestem człowiekiem wierzącym, na co odpowiadam, że kiedy z ramienia Partii Konserwatywnej kandydowałem na burmistrza Londynu, dowiedziałem się, jak liczne religie są praktykowane w stolicy, i że jeżeli Bóg istnieje, to na Ziemi reprezentuje Go bardzo wiele bardzo różnych grup. David zauważa, że w Belmarsh jest ponad stu muzułmanów, stu katolików, ale jednak większość więźniów to anglikanie.

– A żydzi? – zapytuję.

– Jeden czy dwóch, o których wiem – odpowiada. – Tradycja rodzinna i poczucie wspólnoty są u nich tak silne, że rzadko trafiają do sądu czy za kratki.

Kiedy mija godzina – tu na wszystko jest wyznaczony czas – udziela mi błogosławieństwa i mówi, że ma nadzieję ujrzeć mnie znowu w niedzielę w kaplicy.

Ponieważ to największa cela w więzieniu, z całą pewnością się nie zawiedzie.

11.10 rano

Weedon czeka przy drzwiach kaplicy – przepraszam, przy okratowanej

furcie – żeby odprowadzić mnie do celi. Mówi, że Marsland znowu chce mnie widzieć. Czy to znaczy, że wie, kiedy opuszczę Belmarsh i dokąd zostaną przeniesiony? Pytam Weedona, ale nie otrzymuję odpowiedzi. W biurze Marslanda są również Loughnane i Gates. Mają ponure miny. Ogarnia mnie lęk i pojmuję, dlaczego Weedon nie odpowiedział na moje pytanie.

Marsland mówi, że więzienie otwarte w Ford odrzuciło mój wniosek, bojąc się zainteresowania prasy moją osobą, i sprawa została przekazana na wyższy szczebel. Na moment ogarnia mnie zwątpienie, czy w ogóle wydostanę się z tego piekła. Marsland dodaje na osłodę, że przeniesie mnie do pojedynki, gdyż Fossett (Terry) został przyłapany na telefonowaniu do „The Sun”.

– Widzę, że jest pan rozczarowany odmową więzienia w Ford – dodaje – ale jak tylko będziemy wiedzieli, damy panu znać, gdzie i kiedy będzie pan przeniesiony.

Wstaję, żeby odejść.

– Czy zechciałby pan wygłosić jeszcze jedną pogadankę o kreatywnym pisaniu? – pyta Marsland. – Po pańskim ostatnim wystąpieniu inni więźniowie zgłosili chęć posłuchania pana.

– Czemu nie miałbym poprowadzić ośmiotygodniowego kursu – mówię na to – skoro i tak w najbliższej przyszłości jesteśmy na siebie skazani? – Od razu żałuję swego sarkazmu. Przecież to nie ich wina, że naczelnikowi więzienia w Ford zabrakło odwagi, żeby się zmierzyć z trudnym problemem. Powinien albo powinna przeczytać sobie ustawę o prawach człowieka i dowiedzieć się, że to nie jest słuszny powód, żeby odrzucić moją prośbę.

2.00 po południu

Oddziałowa otwiera drzwi i nie wyjmując papierosa z ust²⁴, powiadamia Terry’ego, że ma gościa. Terry’emu trudno w to uwierzyć i zastanawia się, kto to może być. Ojciec rzadko z nim rozmawia, matka nie żyje, brat umiera na AIDS, z siostrą stracił kontakt, a kuzyn siedzi w więzieniu skazany za morderstwo. Schodzi z górnej pryczy, uśmiecha się pierwszy raz od dawna i zadowolony drepcze na korytarz. Drzwi celi znów się zamykają. Korzystam z nieobecności Terry’ego i zabieram się do drugiej wersji wczorajszych notatek.

3.07 po południu

Terry wraca do celi po godzinie. Jest przybity. Musiała zajść pomyłka, bo okazało się, że nie ma żadnego gościa. Cekał w osobnej celi ponad godzinę, podczas gdy inni więźniowie cieszyli się bliskością rodziny i przyjaciół.

Czasami zapominam, jaki jestem szczęśliwy.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. Opuszczam celę i wędruję górnym podestem. Derek Jones, młody recydywista, mówi, że chce mi coś pokazać, i zaprasza mnie do swojej celi. Jest jednym z więźniów skazanych na czas nieokreślony i chociaż jego sprawa zostanie rozpatrzona przez komisję penitencjarną w 2005 roku, nie jest pewien, czy wyjdzie na wolność.

– Słyszałem, Jeff, że piszesz książkę – mówi. – Czy interesują cię sprawy, o których nie wiedzą ludzie z tamtej strony murów? – pyta, spoglądając przez okratowane okno.

Potakuję skinieniem głowy.

– Wobec tego powiem ci o czymś, o czym nawet tutaj nie mają pojęcia. – Pokazuje stojące w kącie wielkie radio – przypuszczalnie to, którego ryk obudził mnie poprzedniej nocy. Przypomina pojazd kosmiczny. – To mój największy skarb – mówi; nie przerywam mu. – Ale mam pewien problem. – Nadal się nie odzywam. – Chodzi na baterie, bo nie mam tu gniazdka.

– Rozumiem.

– Czy masz pojęcie, ile kosztują baterie? – pyta.

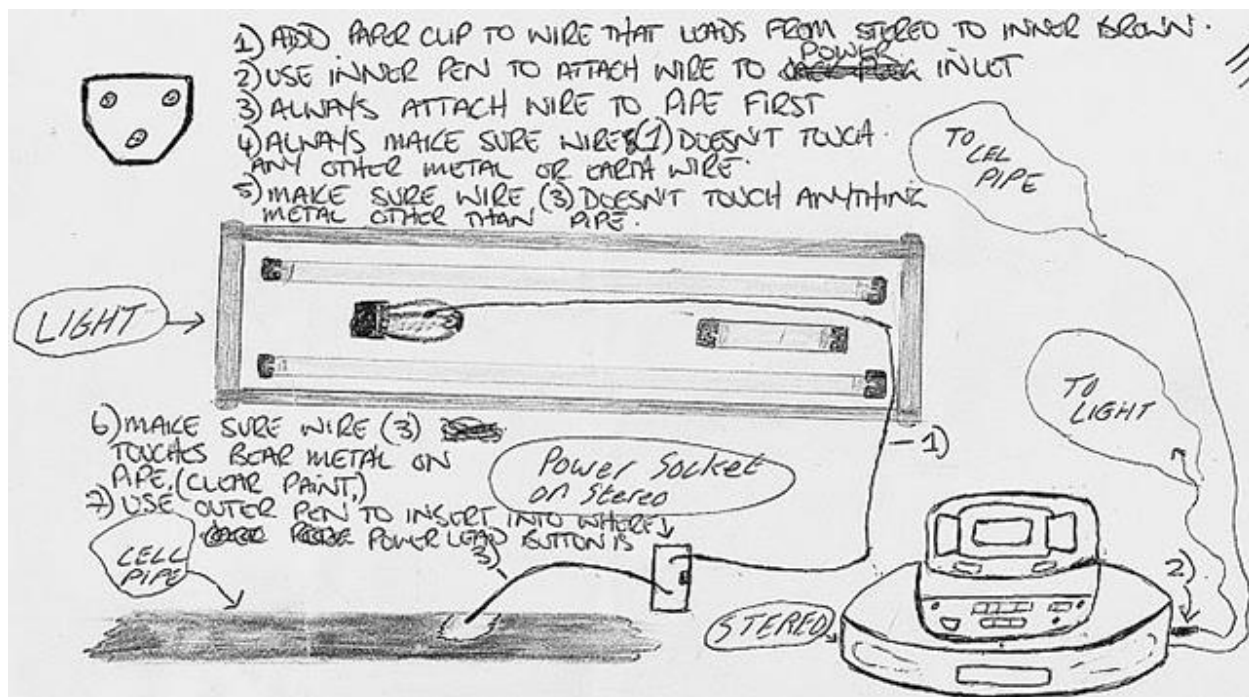
– Nie – odpowiadam.

– Sześć funtów czterdzieści pensów jednorazowo i starczą tylko na dwanaście godzin. Gdybym musiał co tydzień kupować nowe baterie, nie byłoby mnie stać na tytoń. – Wciąż nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. – Ale ja nie muszę kupować baterii, no nie?

– Nie?

– Nie – odpowiada, podchodzi do półki za łóżkiem i bierze długopis. Zdejmuje nasadkę i wyciąga wkład okręcony zwojem cienkiego drucika. – Najpierw – mówi – odskrobuję trochę farby z rury wodnej za moim łóżkiem, żeby było uziemienie, potem zdejmuję plastikową osłonkę z łączówki do gniazdka lampy na suficie i podłączam koniec przewodu do kostki przyłączającej lampę. – Derek widzi, że z trudem pojmuję jego sprytną sztuczkę, i dodaje: – O detale się nie martw, Jeff. Narysowałem ci schemat. W ten sposób – mówi – mam nieprzerwaną dostawę energii elektrycznej na koszt Jej Królewskiej Mości.

Schemat połączeń autorstwa Dereka Jonesa
(zamieszczony poniżej):



Nałóż osłonkę z papieru na przewód, który prowadzi od radia do brązowego kabelka przy oświetleniu.

Użyj wkładu długopisu do połączenia tegoż przewodu z instalacją elektryczną.

Pamiętaj, aby najpierw przyłączyć (drugi) przewód do rury.

Upewnij się, czy przewód (1) nie dotyka żadnego metalu ani innego przewodu.

Upewnij się też, czy przewód (3) nie dotyka innego metalu poza rurą.

Sprawdź, czy przewód (3) zamocowany jest do odcinka rury oczyszczonego z farby.

Użyj zewnętrznej części długopisu jako wtyku do gniazdka sieciowego radia.

Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to pytanie, dlaczego Derek nie jest na wolności i nie robi tego, na czym się zna. Dziękuję mu i zapewniam, że w swoim dzienniku wspomnę o tym, co mi opowiedział.

– A co ja będę z tego miał? – pyta. – Bo jak stąd wyjdę, całym moim dobytkiem będzie tylko to radio i dziewięćdziesiąt funtów wypisowego²⁵.

Zapewniam Dereka, że moi wydawcy zapłacą mu za zamieszczenie schematu, jeżeli ukaże się w książce. Tak oto dobijamy targu.

5.05 po południu

Wraca Weedon i powiadamia mnie, że zostaję przeniesiony do pojedynczej celi. Terry z miejsca się unosi i krzyczy, że obiecano mu pojedynkę, jeszcze zanim

się tu pojawiłem.

– I dostałbyś ją, Fossett – replikuje Weedon – gdybyś nie telefonował do gazety i nie kablował na kolegę z celi za parę marnych funciaków.

Terry nie przestaje pyskować, a ja myślę sobie, czy długo przetrwa na wolności, skoro taki z niego narwaniec.

Zbieram swoje rzeczy i przeprowadzam się z celi numer 40 do celi 30 po drugiej stronie korytarza. To moje czwarte przenosiny w ciągu dziewięciu dni. Taal, potężnego wzrostu Ghańczyk, który został skazany za zamordowanie mężczyzny w Peckham, mimo że twierdzi, iż w tym czasie przebywał w Brighton z dziewczyną, wraca na swoją dawną pryczę w celi numer 40. Czuję się podle, że pozbawiłem Taala jego celi, i tym bardziej chciałbym jak najszybciej się przenieść do więzienia kategorii D, żeby on mógł wrócić do swojej pojedynki.

Spędzam godzinę, pakując moją plastikową torbę, wypakowując ją i na nowo układając rzeczy w celi numer 30. Właśnie kończę te czynności, kiedy drzwi celi zostają otwarte i dostaję polecenie, żeby zejść na dół do kuchenki po kolację.

6.00 wieczorem

Znowu chcę wybrać zestaw wegetariański, ale Paul (morderstwo i znaczki), który odznacza każde nazwisko na swojej tabliczce, mówi mi, że kurczak jest jadalny. Ryzykuję. Paul znów się myli. Trzeci raz go nie posłucham.

Podczas Godziny Wspólnej spędzam trzydzieści minut w celi Billy’ego Little’a (morderstwo), omawiając z nim jego pracę. Billy mówi, że musi odsiedzieć jeszcze co najmniej dwadzieścia lat, bo nie ma ustalonej górnej granicy wyroku, więc radzę mu, żeby zaczął pisać powieść, najlepiej trylogię. Robi powątpiewającą minę. Nie jest człowiekiem, który by ufał słowom konserwatysty.

Ktoś puka do drzwi i do celi wchodzi wolnym krokiem istny olbrzym, jak napastnik z tyłów rwący się do młyna w meczu rugby. Dostrzegłem go pierwszego dnia, gdy stał sam w kącie w głębi sali, w milczeniu świdrując mnie wzrokiem. Trudno było nie zauważyć kogoś tak potężnej postury. Od kiedy przybyłem na oddział, nie odezwał się do mnie ani słowem i przyznaję, że jego widok napawa mnie lękiem. Nazywają go Fletch.

Przyszedł, żeby mnie „powiadomić”, iż Terry już nie narzeka, że przeniesiono mnie do pojedynki, ponieważ przyznaje, że dzwoniąc do „The Sun” był „nie w porządku”, ale tymczasem ostrzeżono go, że jedna z gazet niedzielnych zamierza zamieścić artykuł o tym, jak uderzył kobietę w głowę bilą wpuszczoną do skarpetki. Fletch mówi, że Terry się boi, że współwięźniowie spuszczą mu manto, kiedy artykuł się ukáže²⁶. Fletch rozpowiada, że nie życzy sobie żadnych kłopotów, „choć zgadza się, że chłopak był głupi, że w ogóle gadał z prasą”. Potem Fletch patrzy na mnie i mówi:

– Pewno jestem jedynym człowiekiem w tym skrzydle, który z panem nie zamienił słowa, ale ja nienawidzę wszystkiego, co pan reprezentuje. Proszę nie brać tego do siebie – dodaje i wychodzi.

Billy mówi, że Fletch jest jednym z najbardziej szanowanych więźniów w skrzydle i, ku mojemu zdumieniu, pełni funkcję Powiernika.

– Niech się pan nim nie przejmuje – dodaje. – Powiem panu, że mamy w tym skrzydle tak mało kłopotów między innymi dzięki temu, że Fletch, zanim tu trafił, był wykidajką w londyńskim nocnym klubie. W tamtym roku poradził sobie sam z buntem więźniów, którzy domagali się lepszego wyżywienia. Klawisze nigdy by się z tym sami nie uporali i wiedzą o tym.

Zostawiam Billy’ego i wracam do współwięźniów, żeby rozegrać dwie partie kaluki z Del Boyem (morderstwo), Colinem (ciężkie uszkodzenie ciała) i Paulem (morderstwo). Wszyscy trzej łącznie skazani na siedemdziesiąt pięć lat więzienia. Najpierw wygrywam, potem przegrywam 124 punktami. Taki dzień.

Już mam wracać do celi pod klucz, kiedy pojawia się pani Roberts. Terry podbiega do niej i zaczyna coś mówić ze wzburzeniem. Kobieta stara się go ułagodzić. Kiedy się uspokaja i może odejść, pytam ją, czy kontaktował się z nią mój adwokat.

– Tak – odpowiada. – Porozumiem się z panem z samego rana. Mam nadzieję, że ucieszy pana to, co mam do przekazania.

Nie nalegam, żeby zastępczyni naczelnika powiedziała mi coś więcej, bo kilku więźniów ustawiło się w kolejce, żeby również zamienić z nią parę słów, nim zamkną ich w celach.

9.00 wieczorem

To był, jak wspomniałem, trochę nerwowy dzień, ale słowa zastępczyni naczelnika dodały mi otuchy. Co mi powie jutro?

Przez następne dwie godziny czytam kolejną setkę listów, które cenzor zostawił mi na łóżku. Wszystkie układają się według pewnego wzoru, ale jeden list szczególnie mnie rozbawił: *Piszę, żeby wyrazić panu moje pełne poparcie, bo podejrzewam, że nikt więcej nie zadaje sobie trudu, żeby to uczynić w obecnym czasie.* Uśmiecham się, bo pani Buxton z Northamptonshire uświadamia mi, jakie mam szczęście, że tak wielu ludzi staje w mojej obronie. Wystarczy pomyśleć o widmowym gościu Terry’ego, żeby sobie zdać sprawę, że los mi sprzyja.

Dzień 10

Sobota, 28 lipca 2001

5.42 rano

Budzę się zlany zimnym potem z dziwnego snu. Jestem znowu w Oksfordzie w latach sześćdziesiątych, gdzie wygrywam uniwersyteckie zawody kwalifikacyjne w biegu przełajowym, co automatycznie zapewnia mi udział w reprezentacji uniwersytetu i uczestnictwo w drużynie przeciw Cambridge. W młodości biegałem na dystansie stu jardów, więc ten scenariusz wydaje się mało prawdopodobny. Dzieje się jednak coś gorszego. Zostaję zdyskwalifikowany i pierwsze miejsce zdobywa zawodnik drugi na mecie. Kiedy otrzymuje puchar, ponoszą mnie nerwy i sprzeciwiam się sędziom. Są nimi David Coleman i nieżyjący Ron Pickering – dwóch najprzystojniejszych ludzi, jakich nosiła ziemia. Mówią mi, że musieli mnie zdyskwalifikować, bo po prostu nie wierzyli, że mógłbym zwyciężyć. Bez wątplenia psychiatra więzienny miałby tu jakąś swoją teorię.

6.11 rano

Nie siadam od razu do pisania, ponieważ rozmyślałem nad zadaniem, jakie sobie postawiłem w ostatnich dniach: dogłębne studia nad więźniami skazanymi na dożywocie.

W pierwszym skrzydle przebywa pięćdziesięciu dwóch mężczyzn odsiadujących dożywocie²⁷. Odbylem długie rozmowy z około dwudziestoma i doszedłem do wniosku, że z grubsza biorąc, dzielą się oni na dwie kategorie. Oczywiście jest to uproszczenie, gdyż każdy człowiek jest skomplikowany i wyjątkowy. Pierwsza grupa składa się z tych, którzy z uporem twierdzą: „To nie ja, szefie, zrobili mnie. Nie znaleźli nawet narzędzia zbrodni, ale że byłem już notowany, no to w sam raz pasowałem policji”.

Ci z drugiej grupy wznoszą ręce i przyznają się do chwili szaleństwa, której będą na wieki żałować, i godzą się z tym, że muszą ponieść karę wymaganą przez prawo. Niektórzy nawet czasem mówią: „Na nic lepszego nie zasłużyłem”.

Instynktowne poczucie sprawiedliwości każe mi się martwić o tych pierwszych: czy oni wszyscy kłamią, czy też w tym skrzydle odsiaduje dożywocie ktoś niewinny? Więcej o tym później.

9.00 rano

Soboty różnią się od wszystkich innych dni tygodnia, gdyż więźniowie nie dostają plastikowej torby ze śniadaniem poprzedniego wieczoru, kiedy stoją

w kolejce po kolację. O 9 rano drzwi celi się otwierają i schodzi się do kantyny na gorące śniadanie – jajka, fasolka i frytki. Akceptuję jajka i fasolkę i zastanawiam się, ile minie sobót, zanim skuszę się na frytki.

10.00 rano

Mam do wyboru: albo zażyć ruchu na dziedzińcu, albo siedzieć pod kluczem w celi. Wybieram to pierwsze.

Kiedy robię dwa pierwsze okrążenia, podchodzą do mnie handlarze narkotyków i pytają, czy nie potrzebuję marihuany, cracku bądź heroiny. Dopiero po dłuższej chwili dociera do nich, że nigdy w życiu nie brałem narkotyków i nie zamierzam teraz zaczynać.

– Dużo handlujemy z ludźmi pańskiej profesji – rzuca od niechcienia jeden z nich.

Chętnie bym na to odpowiedział: „I życzę wam, żebyście gnili za to w więzieniu do końca życia” – ale brak mi odwagi.

Następny więzień, który do mnie podchodzi, to nawiedzony kaznodzieja, który ma nadzieję, że w Belmarsh odnajdę Chrystusa. Tłumaczę, że – moim zdaniem – religia jest sprawą osobistą, ale dziękuję mu za okazaną troskę. Nie tak łatwo się go pozbyć, tkwi przy mnie przez następnych pięć okrążeń; niestety, nie można, jak w przypadku wizyty świadka Jehowy, po prostu zatrzaskać drzwi.

Chciałbym zrobić kilka okrążeń sam, żeby móc zebrać myśli, ale nic z tego, bo przyczepia się do mnie dwójka łobuziaków z East Endu, którzy chcą zasięgnąć mojej opinii w sprawie czekającego ich wkrótce procesu. Mówię im, że moja wiedza prawnicza jest bardzo powierzchowna i że może lepiej byłoby spytać kogo innego. Jeden z nich zaczyna zachowywać się wobec mnie agresywnie i pierwszy raz odkąd znalazłem się w Belmarsh, jestem przestraszony i lękam się o swoje bezpieczeństwo. Paul mnie przestrzegł, że może się znaleźć w więzieniu jakiś cudak, który zechce mi wbić nóż w plecy, żeby trafić na pierwsze strony gazet i zaimponować swojej dziewczynie.

Nie mija kilka chwil, a już Billy Little i Fletch, którzy najwyraźniej wyczuli niebezpieczeństwo, idą krok w krok za mną, i choć dwaj łobuziaczy nie są z naszego oddziału, widok Fletcha studzi ich zapędy. Odczepiają się, ale czuję, że będą się pętać i czekać na właściwy moment. Może lepiej, żebym przez dwa dni unikał spacerniaka.

Na koniec podchodzi do mnie uroczy, młody czarny więzień, który chce mi opowiedzieć, jaki ma problem z grą na bębnie. Dopiero po dwóch okrążeniach pojmuję, że chłopak nie gra w zespole rockowym; bębnienie to po prostu slangowe określenie włamania. To szczególne doświadczenie otwiera mi oczy. Jeżeli ktoś nie wiedział, co znaczy „bębnienie”, zanim zaczął czytać ten dziennik, jest

prawdopodobnie równie naiwny jak ja. A jeżeli wiedział, to tę pisaninę może uznać za banał.

12.00 w południe

Jestem teraz pełnoprawnym wegetarianinem. Na wolności utworzyłem klub pod nazwą WNB albo WWS, którego członkami zostało wielu moich przyjaciół po wysłaniu darowizny do Szpitala Brompton²⁸. WNB znaczy „wegetarianin na bankiecie”. Od dawna uważam, że jest niemożliwe, nawet w najlepszych restauracjach, przygotować trzysta steków, bo każdy klient będzie chciał, aby były świeżo przyrządzone, dlatego zawsze zamawiam potrawę wegetariańską, gdyż wiem, że będzie indywidualnie wykonana. WWS oznacza „wegetarianin w samolocie”. Przypuszczam, że wielu z was jest już członkami tego klubu, a jeśli tak, to wysupłajcie, proszę, pięć funtów i natychmiast wyślijcie do Szpitala Brompton. Teraz dołączam do tej listy WWW i mam nadzieję, że nikt z was nigdy nie zakwalifikuje się na członka tego klubu.

2.00 po południu

Otwierają się drzwi celi i dowiaduję się, że czeka na mnie pani Roberts. Serce bije mi mocno, gdy usiłuję sobie przypomnieć, co dokładnie powiedziała wczoraj wieczorem.

Kiedy wchodzę do pokoju tuż przy „bąblu”, gdzie urzęduje, od razu oznajmia, że moi adwokaci się z nią kontaktowali i że powiedziała im, iż chce, abym jak najszybciej wyszedł z Belmarsh. Dodaje, że dziś rano przeniesiono Barry’ego George’a (morderstwo Jill Dando) i że teraz moja kolej. Jednakże przed chwilą dzwonił do niej główny inspektor policji londyńskiej i uprzedził, że otrzymał list od baronessy Emmy Nicholson z żądaniem wszczęcia śledztwa, żeby wyjaśnić, co się stało z 57 milionami funtów, które zebrałem na rzecz Kurdów.

Zapewniam panią Roberts, że nie miałem nic wspólnego z przyjmowaniem i rozdzielaniem pieniędzy dla Kurdów, gdyż zajmował się tym wyłącznie Czerwony Krzyż. Moja rozmówczyni potakująco kiwa głową.

– Jeżeli policja potwierdzi, że nie podejmie śledztwa sugerowanego przez panią Nicholson, to przeniesiemy pana z Belmarsh do zakładu kategorii D z końcem tygodnia.

Ponieważ zawsze w przeszłości wierzyłem w sprawiedliwość, zakładam, że policja prędko potwierdzi, iż w nie jestem w tę sprawę w żaden sposób zamieszany.

Zastępczyni naczelnika powiadamia również, że więzienie w Ford, które na początku wybrałem, nie jest skłonne mnie przyjąć ze względu na rozgłos wokół mojej osoby, ale ma nadzieję, że w poniedziałek przedyskutujemy inne możliwości.

Sugeruje też, że skoro mój następny wykład ma się odbyć w czwartek, powinienem być zwolniony z celi od dziewiątej rano do piątej po południu, aby móc się przygotować w bibliotece, gdzie będę miał dostęp do odpowiednich publikacji. Pani Roberts dobrze wie, że mogę wygłosić ten wykład bez żadnego przygotowania, ale w odróżnieniu od baronessy Nicholson obchodzi ją to, co przeżywam.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. W sobotniej przerwie popołudniowej schodzę na parter, mając nadzieję, że obejrzę krykieta w telewizji, ale muszę się zadowolić wyścigami konnymi, gdyż liczne audytorium już obsiadło odbiornik z zamiarem oglądania wyścigu o nagrodę króla Jerzego i królowej Elżbiety w Epsom. Sport monarchów nigdy nie był rozrywką, która by budziła moje największe zainteresowanie. Od dawna zgadzałem się z maksymą George'a Bernarda Shawa o wyścigach konnych, że „to tylko spisek między klasą wyższą i niższą, żeby oskubać klasę średnią”. Odwracam się od telewizora i widzę drobnego, dość anemicznego młodzieńca, który stoi samotnie w kącie. Ma na sobie dres w kolorze malinowym, oficjalny strój więźniów, którzy nie mają własnego ubrania. Nie natknąłem się na niego wcześniej, ale absolutnie nie wygląda na mordercę. Podchodzę do Fletcha, który, jestem tego pewien, będzie wiedział, kto to taki.

– Dostał dwadzieścia jeden dni za kradzież w sklepie – mówi Fletch – a ma umysł jedenastolatka. – Milknie, a po chwili dodaje: – Przede wszystkim nie powinni go wysyłać do Belmarsh.

– To dlaczego umieścili go w skrzydle dla dożywotnich? – zapytuję.

– Dla jego bezpieczeństwa – mówi Fletch. – Został zaatakowany na spacerniaku dzisiaj po południu, a potem jacyś więźniowie znęcali się nad nim, kiedy wrócił do bloku drugiego. Ma jeszcze tylko dziewięć dni do odsiadki, więc dali go do mojej celi.

Teraz rozumiem, dlaczego w celi Fletcha są dwa łóżka; podejrzewam, że nie jest to rozwiązanie wyjątkowe w przypadku kogoś, komu grozi niebezpieczeństwo.

Jeden z aparatów telefonicznych jest wolny – rzadki przypadek – więc korzystam z okazji i dzwonię do Mary do Grantchester. Ma mnóstwo nowin, w tym taką, że były dyrektor Służby Więziennej, sir David Ramsbotham, napisał do dziennika „The Times”, że wysłanie mnie do więzienia było rzeczą niewłaściwą – praca na rzecz społeczności lokalnej byłaby o wiele pożyteczniejsza. Mówi mi, że także ma góry listów krytykujących sędziowską mowę końcową – nie wspominając o wyroku – jako niesprawiedliwą i że zastanawia się, czy nie byłby możliwy ponowny proces. Moim zdaniem nie. Sędzia Potts przeszedł na emeryturę i stawianie go w kłopotliwej sytuacji byłoby ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął

establishment.

Po trzydziestu siedmiu latach małżeństwa znam Mary tak dobrze, że słyszę w jej głosie ślad przeżyć ostatnich tygodni. Przypominam sobie słowa pani Roberts, jakie wypowiedziała przy naszym pierwszym spotkaniu: „To może być tak samo rujnujące psychicznie dla pańskiej najbliższej rodziny na wolności, jak dla pana w więzieniu”. Moja karta telefoniczna wartości dwóch funtów już się kończy, ale przedtem mówię Mary, że z niej prawdziwa Porcja, a ja nie jestem Brutusem.

Odkładałam słuchawkę i widzę, że stoi przy mnie inny więzień, odsiadujący dożywocie Colin (ciężkie uszkodzenie ciała). Chce pomówić ze mną o swoim podaniu o przyjęcie na studia eksternistyczne w Ruskin College w Oksfordzie. Rozmawiałem już kilka razy z Colinem; to ciekawy przypadek. W młodości (ma teraz trzydzieści pięć lat) był skończonym nicponiem i łobuzem – a w pewnym okresie notorycznym chuliganem na stadionach piłkarskich. Napisał na ten temat fascynujący tekst, w którym przyznaje, że jest mu wstyd za to, co wyprawiał. Swoje dorosłe życie Colin spędza przeważnie w więzieniu, a kiedy tam jest, to uważa, że ma obowiązek od czasu do czasu przyłożyć jakiemuś funkcjonariuszowi. To zawsze się kończy pobytem w izolatce i przedłużeniem wyroku. Kiedyś nawet stracił dwa zęby, co widać, kiedy się śmieje.

– To już historia – mówi, ponieważ teraz ma przed sobą cel. Chce wyjść z więzienia z dyplomem wyższej uczelni i kwalifikacjami, które zapewnią mu przyzwoitą pracę.

Colin jest zdolny, elokwentny i bystry i nie wątpię – przeczytawszy jego eseje i krytyki literackie – że jeżeli zechce zrobić dyplom, to potrafi. I pomyśleć, że ten człowiek nie umiał czytać ani pisać, zanim znalazł się w więzieniu. Przypuszczam na niego atak, zapewniając, że jest wystarczająco zdolny, żeby podjąć studia i dać sobie na nich radę. Grzmocę pięściami w jego pierś, jakby to był worek treningowy. Colin zwraca się z uśmiechem do dyżurnego, który siedzi za biurkiem po drugiej stronie sali.

– Panie King, ten więzień się nade mną znęca – mówi płaczącym głosem.

– Archer, coś mu pan powiedział? – pyta funkcjonariusz, szczerząc zęby.

Powtarzam naszą rozmowę słowo w słowo.

– Archer, masz pan rację – mówi i wraca do czytania „The Sun”.

6.00 wieczorem

Kolacja. Paluszki wegetariańskie, rozgotowane i tłuste, kleisty groszek i plastikowy kubek wody Highland Spring (49 pensów).

8.00 wieczorem

Właśnie skończyłem czytać moje notatki z tego dnia, kiedy oddziałowy otwiera drzwi celi i staje w nich Fletch. Pyta, czy może do mnie wstąpić na chwilę, co przyjmuję z radością. Siada na brzegu łóżka, a ja częstuję go sokiem z czarnej porzeczki. Fletch przypomina mi, że jest Powiernikiem, i dodaje, żebym się do niego zwracał w razie potrzeby.

Następnie wyjaśnia, na czym polega rola Powiernika, i opowiada, że powołano tę instytucję do życia, kiedy piętnastoletni chłopak powiesił się w więzieniu w Cardiff około dziesięciu lat temu. Wręcza mi kartkę, na której znajduje się opis tej funkcji (zobacz poniżej). Do obowiązków Fletcha należy między innymi rozpoznanie potencjalnych dręczycieli i – co chyba ważniejsze – potencjalnych ofiar, które przeważnie nie skarżą się ze strachu przed późniejszą zemstą w więzieniu albo poza nim. Proszę go, żeby mi podał jakieś przykłady. Mówi, że w naszym skrzydle jest dwóch narkomanów uzależnionych od heroiny, i chociaż nie wymienia ich nazwisk, nietrudno zauważyć, że dwójka młodszych więźniów z parteru, odsiadujących dożywocie, ma całe ramiona upstrzone śladami po igłach. Jeden z nich ma zaledwie dziewiętnaście lat i dwukrotnie próbował odebrać sobie życie; pierwszy raz przyjmując za dużą dawkę narkotyku, drugi raz tnąc sobie żyły żyłką.

POWIERNICY

Kto to taki?

Jak się z nimi skontaktować?

Dlaczego mogę im zaufać?

Powiernicy, tak jak ty, są więźniami, którzy zostali przeszkoleni przez organizację **Samarytan** zarówno w dziedzinie wiedzy o samobójstwach, jak i umiejętności nawiązywania przyjaźni.

Możesz mówić Powiernikowi o wszystkim z całkowitym zaufaniem, tak jak Samarytaninowi. **Wszystko, co powiesz, jest traktowane jako poufne.**

Powierników trudno zaszokować i **nie musisz mieć skłonności samobójczych**, żeby z którymś z nich rozmawiać. Jeżeli masz jakieś zmartwienia czy obawy, czy to duże, czy małe, **oni są tutaj dla ciebie**. Jeżeli niepokoisz się o przyjaciela albo współtowarzysza z celi i nie jesteś w stanie zwrócić się do

funkcjonariusza oddziałowego albo do personelu lekarskiego, to zwiierz się Powiernikowi. **To nie jest donosicielstwo i może uratować komuś życie.**

Z Powiernikami łatwo nawiązać kontakt. Ich nazwiska są wypisane na pomarańczowych kartkach na drzwiach ich cel i na większości tablic z ogłoszeniami w bloku, można też zapytać każdego oddziałowego.

Wszystkich Powierników wiąże kodeks **zachowania tajemnicy**, który obowiązuje nie tylko w budynku więziennym, ale także w wielu więzieniach w całym kraju. Wszelkie naruszenie tajemnicy zniweczyłoby osiągnięte korzyści i dzięki temu kodeksowi pozycja Powierników jest obecnie tak niewzruszona jak drzwi waszej celi.

– Zdążyliśmy w samą porę – oznajmia Fletch. – A potem chłopaka na pięć tygodni zakwaterowano u mnie.

Zdaniem Fletcha, ważna jest dobra współpraca z personelem więziennym – nie nazywa funkcjonariuszy klawiszami ani kangurami – bo w przeciwnym wypadku system nie będzie działał. Przyznaje, że zawsze będzie istnieć nieprzekraczalna bariera, którą określa mianem żelaznych drzwi, ale zrobił, co mógł, żeby ją obalić, zakładając komitet więzienny, składający się z trzech więźniów i trzech funkcjonariuszy, który się spotyka raz w miesiącu, żeby dyskutować o wspólnych problemach. Mówi z wyraźną dumą, że w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy w jego skrzydle nie zdarzył się żaden poważny incydent.

Potem opowiada mi o zdarzeniu, do którego doszło, kiedy przed laty został zwolniony z więzienia po odsiedzeniu kary za poprzednie przestępstwo. Postanowił zajść do banku i zrealizować czek. Wszedł po schodach, stanął przed bankiem i czekał, aż ktoś otworzy mu drzwi. Fletch spogląda na zamknięte drzwi celi.

– Widzisz – zauważa – one od naszej strony nie mają klamki, więc zawsze musisz czekać, aż ktoś je otworzy. Byłem tak długo w więzieniu, że po prostu zapomniałem, jak się otwiera drzwi.

Następnie Fletch mówi, że dzięki temu, że jest Powiernikiem, ma powód, aby co rano wstać z łóżka. Ale jak my wszyscy, ma swoje problemy. Ma trzydzieści siedem lat i będzie w moim wieku – sześćdziesięciu jeden lat – kiedy w końcu wyjdzie na wolność.

– Ja już nie zobaczę wolnego świata. – Milknie. – Umrę w więzieniu. – Milknie znów. – Tylko jeszcze nie zdecydowałem kiedy.

Fletch bezwiednie uczynił mnie swoim Powiernikiem.

Dzień 11

Niedziela, 29 lipca 2001

6.27 rano

Niedziela w więzieniu nie jest dobrym dniem, bo człowiek spędza bardzo dużo czasu zamknięty w celi. Kiedy pada pytanie dlaczego, funkcjonariusze po prostu odpowiadają:

– Dlatego, że jest za mało personelu.

Ja przynajmniej mogę zająć sześć godzin pisaniem.

Wielu więźniów dożywotnich ma dalekosiężne plany, o niektórych już wspominałem. Jeden pisze książkę, drugi podejmuje studia, trzeci jest oddanym swojej misji Powiernikiem. I chociaż ja prawie cały dzisiejszy dzień spędzę zamknięty w celi, to Fletch, Billy, Tony, Paul, Andy i Del Boy dzięki odpowiedzialnym funkcjom, które pełnią, mogą się poruszać po całym bloku właściwie bez ograniczeń. Jest to sensowne, bo więzień odsiadujący długoletni wyrok może uważać, że sprawiając kłopoty, i tak nie ma nic do stracenia, ale jeśli dać mu przywileje – a nieprzebywanie w celi przez cały dzień jest niewątpliwie przywilejem – nie zechce tak łatwo wyrzec się tej swobody.

8.03 rano

Gołę się maszynką Bic, dostarczoną przez więzienie Jej Królewskiej Mości. Codziennie dostaje się nową, ale trzymanie w celi dwóch jest karalne, więc co wieczór, tuż przed zaryglowaniem drzwi, trzeba wymienić starą na nową.

Kiedy otwierają się drzwi celi, rzucam się biegiem do łazienki, ale uprzedza mnie czterech młodych Antylczyków. Jeden z nich, Dennis (ciężkie uszkodzenie ciała), ma największą torbę z przyborami toaletowymi, jaką w życiu widziałem. Wypełniają ją różnego rodzaju dezodoranty i płyny po goleniu. Dennis to wysoki, dobrze zbudowany facet, który rzadko opuszcza ćwiczenia fizyczne. Kiedy sobie pokpiwam z jego torby, odpowiada po prostu:

– Trzeba długo siedzieć, Jeff, żeby za dwanaście pięćdziesiąt tygodniowo dorobić się takiej kolekcji.

Inny Antylczyk w końcu wychodzi z kabiny i zauważa, że jestem boso.

– To najszybszy sposób, żeby się nabawić kurzajek – ostrzega. – Niech ci Mary prędko przyśle japonki.

Wielokrotne naciskanie dłonią jednej ręki guzika uruchamiającego prysznic i równoczesne namydlenie się drugą jest nową umiejętnością, którą już prawie opanowałem. Jednak do umycia głowy przydałaby się trzecia. Żałuję, że nie jestem ośmiornicą.

Kiedy w końcu udaje mi się osuszyć, trzy cienkie zielone ręczniczki więzienne są kompletnie mokre – powinienem mieć tylko jeden, ale dzięki Del

Boyowi... Wracam do celi i poniewaz jestem taki czysty, dotkliwie czuje więzienny zapach. Jezeli kiedyś przez dwanaście godzin jechaliście pociągiem, a potem jeszcze przez osiem spaliście w poczekalni dworcowej, możecie mieć jego połowiczne wyobrazenie. Włożywszy od wczoraj noszone rzeczy, wsypuję do miski płatki kukurydziane. Myślę, że jedno opakowanie (1 funt 47 pensów) wystarczy mi na siedem porcji. Słyszę, jak strażnik ze stanowiska na parterze wykrzykuje moje nazwisko, ale postanawiam najpierw zjeść płatki i dopiero potem się do niego zgłosić – czy to początki buntu?

Kiedy się melduję, strażnik Bentley informuje, że w rejestracji mam odebrać paczkę. Nikt tym razem mnie nie eskortuje, gdy tam idę, ani nie rewiduje, kiedy przybywam na miejsce. Okazuje się, że paczka to plastikowa torba, pełna ubrań przysłanych przez Mary: dwie koszule, pięć podkoszulków, siedem par bokserek, siedem par skarpetek, dwie pary szortów, dres i dwa swetry. Dokładnie tyle, na ile pozwala regulamin więzienny. Wróciwszy do celi, zrzucam od dwóch dni noszone bokserki i skarpetki, wkładam świeżą odzież i teraz czuję się nie tylko czysty, ale prawie jak człowiek.

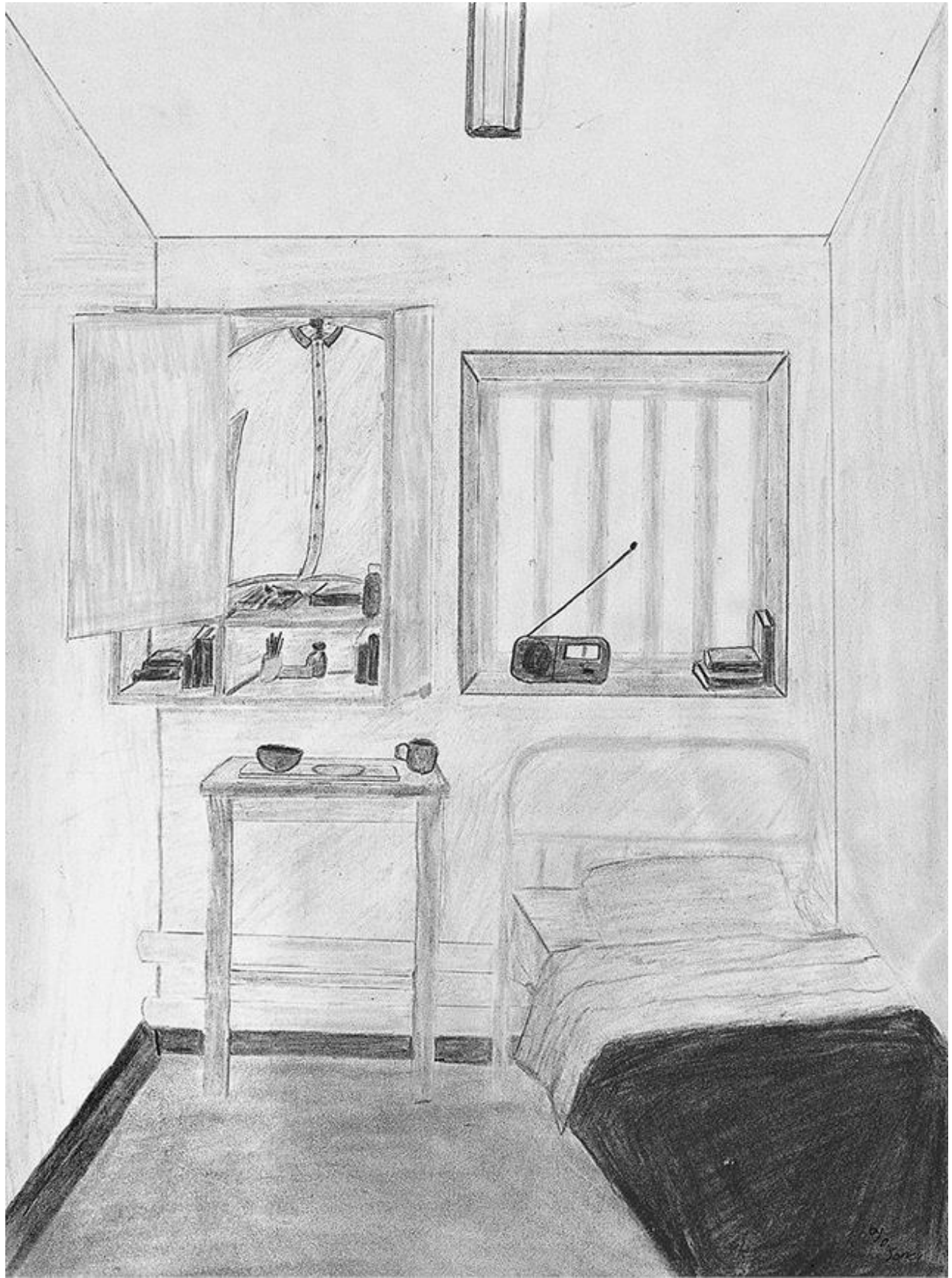
Poświęcam sporo czasu, żeby ułożyć resztę rzeczy w małej szafce nad łóżkiem, a poniewaz brak w niej półek, zadanie jest dość karkołomne²⁹. Uporawszy się z tym, siadam na łóżku i czekam, aż mnie zawołają do kościoła.

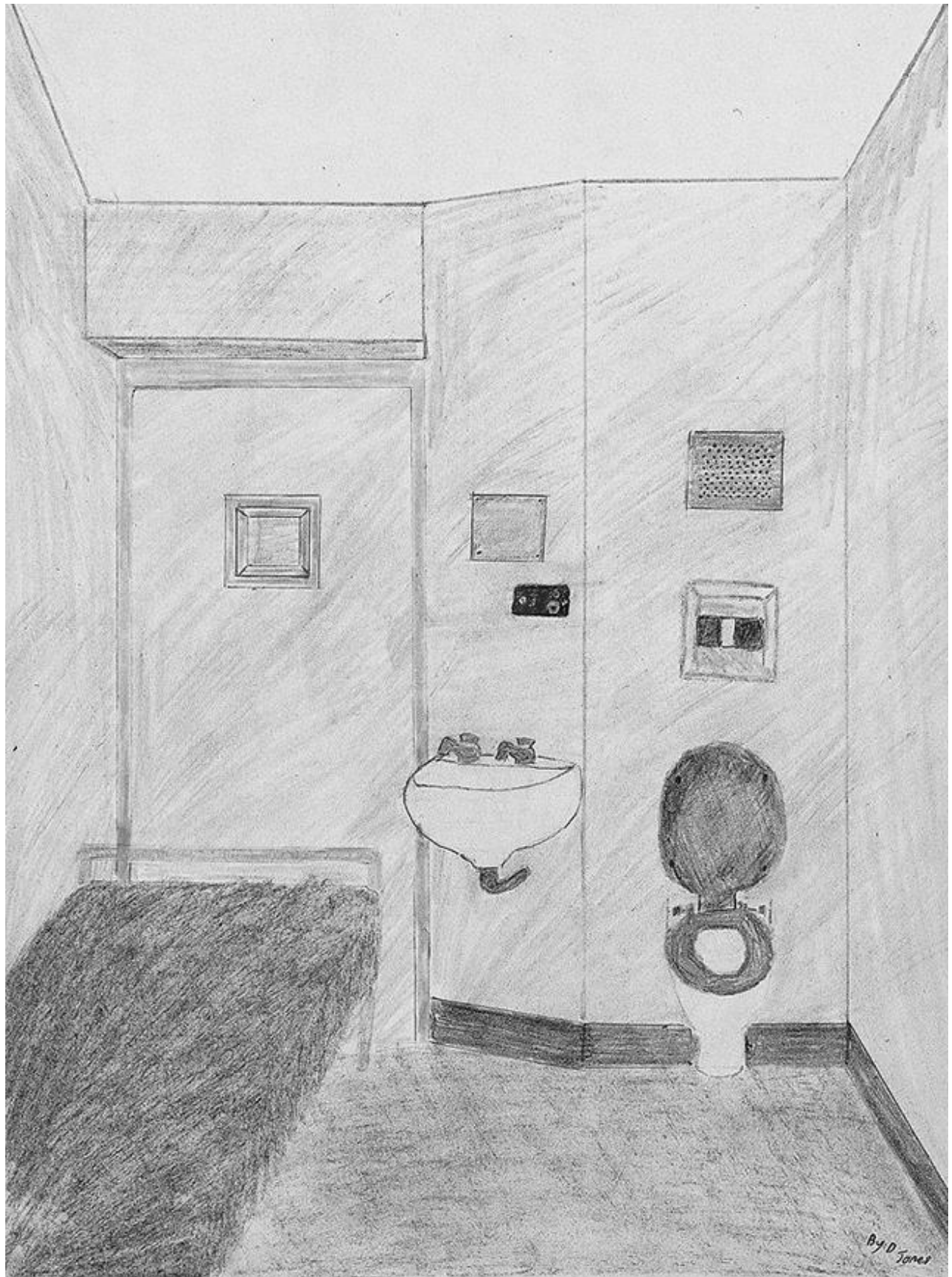
10.39 rano

Strażnik z parteru wykrzykuje moje nazwisko pośród kilku innych, po czym dodaje jedno słowo: „kościół”. Wszyscy, którzy chcą uczestniczyć w nabożeństwie, meldują się na drugim piętrze i czekają przy otwieranej kracie koło „bąbla”. Czekanie w więzieniu na następne zajęcia to trochę jak wypatrywanie autobusu. Może nadszednąć za kilka minut albo za pół godziny. Zwykle to drugie.

Kiedy tam stoję, podchodzi do mnie Fletch i ostrzega, że w „News of the World” ukazał się artykuł sugerujący, iż „wynoszę się” nad innych więźniów. Przechadzam się swobodnie po strefie, w której nie obowiązują żadne ograniczenia, w białej koszuli i oglądam telewizję, podczas kiedy inni więźniowie siedzą pod kluczem. Mówi, że chociaż wszyscy w skrzydle wiedzą, że to żart, to reszta bloku (trzy skrzydła) nie zdaje sobie z tego sprawy. Radzi, żebym dzisiaj unikał spacerniaka, bo a nuż ktoś będzie chciał „jakoś to zinterpretować”.

POWRÓT





Uważniejsi czytelnicy przypomną sobie, że biała koszula została mi odebrana w zeszłym tygodniu, aby mnie nie pomyłono z funkcjonariuszem więziennym, że moje nieudolne próby obejrzenia krykieta w telewizji skończyły się na śledzeniu wyścigu o nagrodę króla Jerzego i królowej Elżbiety, i wszyscy z was już wiedzą, jak wiele godzin przesiedziałem zamknięty w celi. Że „News of the World” tak potrafi przekręcić każdy fakt, nawet mnie wprawia w zdumienie.

Ciężka, okratowana furta na drugim piętrze w końcu się otwiera i dołączam do więźniów z pozostałych trzech skrzydeł, którzy chcą uczestniczyć w porannym nabożeństwie. Chociaż każdy jest poddawany rewizji, mnie sprawdzają pobieżnie. Przypomina to trochę kontrolę celną na Heathrow. Tego przedpołudnia pełni służbę dwoje funkcjonariuszy przeprowadzających rewizję, mężczyzna i kobieta. Widzę, że kolejka do kobiety jest dłuższa niż ta do mężczyzny.

– Oni nie mogą zwiększyć człowiekowi wyroku za jego myśli – szepce jeden z więźniów.

Wchodzę do kaplicy i zajmuję, jak przedtem, miejsce w drugim rzędzie. Dzisiaj czarni stanowią prawie 80 procent wiernych, chociaż proporcja w więzieniu kształtuje się mniej więcej jak pół na pół. Nabożeństwo odprawia biały oficer Armii Zbawienia, a prawie cały chórek towarzyszący też jest biały. Kiedy następnym razem będę widział się z Powe'em, muszę pamiętać, żeby mu powiedzieć, jak wiele kościołów, wcale nie tak daleko od Belmarsh, ma wspaniałe czarne chóry i niezwykłych kaznodziejów, którzy zachęcają wiernych do okrzyków „Alleluja!”. To jeszcze jedna rzecz, jakiej się dowiedziałem, kiedy byłem kandydatem na burmistrza.

W tym tygodniu zgromadzeni w kaplicy dzielą się na dwie grupy, przy czym linia rozgraniczająca przebiega mniej więcej w połowie. Więźniowie siedzący w ośmiu pierwszych rzędach przyszli tu tylko w jednym celu – żeby słuchać każdego wersu Biblii, na który powołuje się kapelan, śpiewać pełną mocą głosu i w pełni uczestniczyć duchowo w nabożeństwie. Dziewięć tylnych rzędów wykazuje niewielkie zainteresowanie przebiegiem nabożeństwa i, jak zauważyłem, ludzie tam siedzący skupiają się w małe, dwu-, trzy- i czteroosobowe grupki i z pochylonymi głowami o czymś rozprawiają. Przypuszczam, że są przyjaciółmi z różnych oddziałów, dla których nabożeństwo stanowi jedną z niewielu okazji, żeby się spotkać, pogawędzić i przekazać wiadomości. Możliwe, że również narkotyki – jeżeli nie wzdragają się przed upokarzającymi czynnościami³⁰.

Kapelan wybrał na tę niedzielę fragment Ewangelii według św. Jana i skoncentrował się szczególnie na synu marnotrawnym. W zeszłym tygodniu tematem kazania byli Kain i Abel. Zatem mogę przypuszczać, że w przyszłym będzie złodziejski honor³¹.

Kapelan oznajmia swojej trzódce, że jego kazanie będzie trwało tylko pięć

minut, po czym mówi przez dwanaście, ale trzeba zauważyć, że regularnie przerywają mu okrzyki „Alleluja!” i „Błogosław nas, Panie!”. Przewodnim wątkiem kazania jest przesłanie, że jeżeli opuścisz łono swej rodziny, spróbujesz żyć na własną ręką i coś się nie uda, to nie znaczy, że twój ojciec nie przyjmie cię z powrotem, jeśli przyznasz, że popełniłeś błędy. Liczni wierni z pierwszych czterech rzędów zaczynają podskakiwać i wznosić radosne okrzyki.

Nabożeństwo skończone, wszystkich znowu rewidują, wracam pod eskortą do bloku pierwszego, ale przedtem kilku współwięźniów z bloku trzeciego podchodzi do mnie, żeby się przywitać. Pamiętacie Marka, Kevina i Dave’a? Opowiadają mi o swoich najnowszych nadziejach i oczekiwaniach, gdy powoli rozchodzimy się do innych bloków. W więzieniu nikt się nie porusza prędko, bo jest to jeszcze jeden sposób, żeby spędzić więcej czasu poza celą. Przechodząc obok stanowiska strażnika na końcu mojego skrzydła, spostrzegam na biurku stertę niedzielnych gazet. Jeżeli chodzi o popularność, to prym wiedzie „News of the World”. W następnej kolejności jest „Sunday Mirror”, ale całkiem duże zapotrzebowanie jest również na „Sunday Timesa”.

Zastaję moją celę zamiecioną i uporządkowaną, na łóżku leży świeża pościel. Jestem zaskoczony, bo w informatorze więziennym nie było żadnej wzmianki o sprzątaniu cel. Później się dowiedziałem, że Taal (Ghańczyk, morderstwo, dożywocie) chciał mi podziękować za pomoc w napisaniu listu do matki. Odwdzięczanie się za przysługi jest w więzieniu bardziej powszechne niż na wolności.

12.00 w południe

Lunch: tarty ser, pomidor, zielone jabłko i kubek wody mineralnej Highland Spring. Kończy mi się woda i w przyszłości będę musiał zamawiać w kantynie więziennej więcej butelek Highland Spring, a mniej czekolady.

Po lunchu siadam do pisania drugiej wersji porannego tekstu, ponieważ wypuszczą mnie z celi dopiero po czwartej, i to tylko na czterdzieści pięć minut. Przecieram okulary i łapię się na tym, że bezwiednie zacząłem rozdzielać podwójną chusteczkę higieniczną na dwie pojedyncze części, żeby ją jak najlepiej wykorzystać.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. Podczas godzinnej przerwy nie dołączam do innych więźniów na spacerniaku ze względu na artykuł w „News of the World”, co znaczy, że będę tkwił wewnątrz murów przez cały dzień. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przez całą dobę nie wychodziłem z domu.

Jestem w celi Fletcha (morderstwo) wraz z Billym (morderstwo) i Tonym (tylko marihuana, ucieczka do Paryża). Dyskutują, roztrząsając wszelkie szczegóły, o artykule o pedofilach zamieszczonym w „Sunday Timesie”, czemu uważnie się przysłuchuję. Zarówno przy tym temacie, jak i przy innych dotyczących tego, co dzieje się w więzieniu, przychodzą mi na myśl słowa lorda Longforda: „Nie sądzę, że wszyscy więźniowie mają ustalone poglądy”. Czuję się pewniej, kiedy dyskusja schodzi na przywództwo partii torysowskiej. Tylko Tony, który czytuje dziennik „The Times”, może być uznany za zaangażowanego liberała. Większość innych, jeżeli można ich gdziekolwiek przypisać, to Nowi Laburzyści³².

Wszyscy obecni się zgadzają, że Ken Clarke to porządny gość – piwko w pubie i tak dalej – i nie przywiązuje wagi do swojego wyglądu, ale wiedzą bardzo mało na temat Iaina Duncana Smitha poza tym, że wywodzi się z prawego skrzydła partii, a zatem musi być ich wrogiem. Sugeruję, że to nigdy nie jest takie proste. IDS ma wyraźne poglądy na większość zagadnień i nie powinno się go szufladkować tak stereotypowo. To skomplikowany i rozumny człowiek – jego ojciec, przypominam im, był bohaterem drugiej wojny światowej, jako pilot spitfire’a walczył z Niemcami i zdobył Distinguished Service Order z galonem. To im się podoba. Przypuszczam, że gdybyśmy teraz toczyli wojnę, jego syn robiłby dokładnie to samo.

– Ale on ma takie same odruchy jak Ann Widdecombe – mówi Fletch. – Zapudłować ich i wyrzucić klucz.

– Może masz rację, ale nie zapominaj, że Ann popiera Kena Clarke’a mimo jego poglądów na Europę.

– To się nie trzyma kupy – powiada Billy.

– Polityka jest jak więzienie – mówię. – Nie wolno niczego przyjmować za pewnik, bo często rzeczywistość okazuje się całkiem inna od tego, co się nam wydaje.

5.00 po południu

– Wracać do cel! – huczy głos.

Rozstaję się z dożywotnimi i wracam do swojej celi na najwyższym piętrze, gdzie będę zamknięty do jutra rano do dziewiątej – szesnaście godzin. Tylko pomyśleć, szesnaście godzin. To czas, jaki człowiek spędza między wstaniem rano a położeniem się do łóżka wieczorem.

W chwili gdy staję przed drzwiami celi, inny więzień skazany na dożywocie (Doug) podaje mi kopertę.

– To od więźnia z bloku drugiego – wyjaśnia. – On ci powiedział o tym wszystko wczoraj na spacerniaku.

Rzucam kopertę na łóżko i włączam radio, które przypomina, że dziś mamy

najgorętszy dzień w roku (+33°C). Otwieram małe okno na całą szerokość (sześć cali), żeby wpuścić choć najłżejszy powiew wiatru, ale i tak czuję, że się pocę, kiedy siadam przy stole, żeby sprawdzić dzisiejsze zapiski. Spoglądam w górę na szafkę za łóżkiem, wdzięczny za czyste ubrania, przysłane mi przez Mary tego ranka.

6.00 wieczorem

Kolacja. Nie mogę patrzeć na potrawy w kuchence, mimo że Tony zachwala krokiet z mięsem, więc znów pożywiam się tartym serem, otwieram małą puszkę z surówką z białej kapusty (41 pensów) i – katastrofa – wypijam do ostatniej kropli ostatnią butelkę wody Highland Spring. Całe szczęście, że jutro wypada dzień zamówień w kantynie i będę mógł znów wydać 12 funtów 50 pensów.

Wczesnym wieczorem przeglądam swój rękopis, a ponieważ nie mam żadnych listów, którymi powinienem się zająć, zwracam uwagę na kopertę, wręczoną na spacerniaku Dougowi. Okazuje się, że w środku jest scenariusz telewizyjny trzydziestominutowego odcinka pilotowego serialu z akcją w więzieniu kobiecym. W jakiś sposób przeszmuglowano go z Holloway do Belmarsh (nic dziwnego, że łatwo zaopatrzyć się w narkotyki). Autor zręcznie podchwycił język więzienny i daje interesujący wgląd w życie w więzieniu kobiecym, ale boję się, że ten temat wyeksploatowały do znudzenia *Blok więzienny H* i *Oddział dla trudnych więźniarek*. To fascynujące śledzić bezpośrednie różnice między więzieniem kobiecym a Belmarsh. Szczególnie metody przeprowadzania rewizji, fakt, że miłość lesbijska jest o wiele powszechniejsza w więzieniach kobiecych niż homoseksualizm w męskich i, choć trudno w to uwierzyć, poziom przemocy wyższy. One nie czekają z zadaniem pierwszego ciosu, aż ofiara znajdzie się w łazience. Dopadną gdziekolwiek, kiedykolwiek.

Jest długi, upalny wieczór i przychodzą do mnie w odwiedziny Del Boy, Paul, Fletch i na koniec Tony.

Tony (kuchenka, tylko marihuana, ucieczka do Paryża) rozpoczął życie kryminalisty jako więzień kategorii B i po upływie trzech i pół roku został przeniesiony do więzienia otwartego w Ford (pierwsze przestępstwo, nienotowany za użycie przemocy). Po ośmiu miesiącach sprawowania bez zarzutu pozwolono mu odwiedzić dowolne miasto, więc wybrał się ochoczo do Bognor Regis. Jednakże zwiedziwszy czterokrotnie ten nadmorski kurort w ciągu następnych czterech miesięcy, trochę się znudził zimną, opuszczoną plażą i ubogim centrum handlowym. Pomyślał wtedy, że chciałby też zobaczyć inne miasta.

Kiedy wypuszczono go w następnym miesiącu, wsiadł do pociągu kursującego do portu promowego i wysiadł w Paryżu.

Władze więzienne nie były zachwycone. Dopiero kiedy dwa lata później przeniósł się do Hiszpanii, wytropiono go i aresztowano. Spędziwszy rok i cztery miesiące w więzieniu hiszpańskim (kantyna, pięćdziesiąt funtów tygodniowo i żadnego zamykania w celi aż do dziewiątej), został odesłany do Anglii. Tony obecnie przebywa w tym przeznaczonym dla szczególnie niebezpiecznych przestępców więzieniu o zaostrowym rygorze, z którego nikt nigdy nie uciekł, i zostanie tu, dopóki nie odsiedzi całego wyroku (dwanaście lat). Nie podwyższono mu wyroku, ale nie zostanie umorzony (zwykle do połowy za dobre zachowanie) i z pewnością Tony nie ma szans na więzienie otwarte. Jednak ten pięćdziesięcioczeroletni mężczyzna uśmiecha się i nawet potrafi opowiadać swoją historię, pokpiwając z siebie.

Tony zostawia mi „Sunday Mirror”. Wprawdzie nie jest to gazeta, którą normalnie czytuję, ale przynajmniej mogę się na bieżąco zorientować w wynikach rozgrywek krykietowych między hrabstwami, nie mówiąc już o tym, że się dowiaduję, który z zawodników atakujących znajdzie się w składzie narodowej drużyny angielskiej w trzecim meczu przeciw reprezentacji Australii w czwartek. Moje ukochane Somerset jest na drugim miejscu w mistrzostwach hrabstw i osiąga dobre wyniki w odbywających się właśnie zawodach przeciwko Glamorgan. Jeżeli chodzi o reprezentację narodową, to sprawozdawca krykietowy „Mirror” sugeruje, że czas przywrócić Tufnella. Prowadziłem aukcję na rzecz Phila jednego roku pod koniec jego kariery i chociaż nie zawsze cieszy się on powodzeniem u selekcyjnerów, to tłumnie wypełniona sala bankietowa hotelu Dorchester była najlepszym dowodem na to, jaką estymą darzą go kibice z Middleseksu. Jak się wydaje, Thorpe, Hussain, Vaughan i Croft są kontuzjowani i nie będą mogli stanąć na linii startowej, podczas gdy Atherton, który się wcale do tego nie pali, jeszcze raz zostanie wezwany, żeby dowodzić drużyną. To chyba nie wpłynie na poprawę jego umiejętności rozgrywającego.

Wreszcie kończę *Księżyc jest balonem*; po przeczytaniu książki ma się wrażenie, że Niven prowadził czarowne życie. Spotkałem go tylko raz, podczas uroczystego literackiego lunchu w Yorkshire, gdzie był na tournée autorskim z *Bring on the Empty Horses*, kontynuacją książki, którą dopiero co skończyłem czytać. Nigdy tego nie zapomnę, bo drugim autorem był James Herriot, któremu sławę przyniosła książka *To nie powinno się zdarzyć*. Ja tam się znalazłem, żeby promować swoją debiutancką powieść *Co do grosza*, i oczywiście cieszyłem się, że jestem w tak świetnym towarzystwie. Kiedy zakończyły się przemówienia, autorów odprowadzono do stołu, gdzie mieli podpisywać książki.

Kolejka do Nivena ciągnęła się przez całą salę jadalną i wystawała na zewnątrz, wielbicieli Herriota było prawie tyle samo. Do mnie – psa z kulawą nogą. Skończywszy podpisywać, Niven podszedł łaskawie do mojego stołu, zakupił egzemplarz *Co do grosza* i powiedział, że przeczyta książkę nazajutrz

w samolocie do Los Angeles. Był jedną z trzech osób, które zapłaciły za książkę. Hojny gest, typowy dla niego, jak mi potem mówiło wielu ludzi. Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy kilka dni później dostałem odręcznie napisany list z Bel Air Hotel.

Drogi Jeffreyu!

Bardzo mi się podobało Co do grosza i nie wątpię, że do czasu, kiedy będziesz w moim wieku, sprzeda się jeszcze więcej egzemplarzy tej książki niż moich Horses.

*Twój oddany
David*

10.00 wieczorem

Punkt dziesiąta zaczyna się ryk rapu.
Cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel
Cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel
Cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel
Cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel
Cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel
Cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel...

Czy zdarzyło wam się kiedyś stanąć na światłach ulicznych przy otwartym samochodzie z radiem włączonym na cały regulator? Czyż nie pozwalacie wtedy hałaśliwemu kierowcy odjechać na pełnym gazie? Wyobraźcie sobie, że jesteście w celi, z której obu stron ryczy muzyka, ale wy nie możecie nacisnąć na pedał gazu i odjechać.

Dzień 12

Poniedziałek, 30 lipca 2001

6.03 rano

Zaspałem, ale zbudziły mnie wilczury na porannym obchodzie. Są równie niezawodne jak budzik, ale nie tak radosne i nastrajające optymistycznie jak kogut.

Wkładam dres, siadam przy stole i piszę przez dwie godziny.

8.10 rano

Miska płatków kukurydzianych z mlekiem UHT plus luksusowy dodatek banana przeschmuglowanego przez Del Boya ze sklepiku. Siedzę na skraju łóżka i czekam, co los przyniesie.

10.00 rano

Mówią mi, że muszę się zgłosić do warsztatów, chociaż zapisałem się na edukację. Znowu długa wędrówka do innej części budynku. Tym razem prowadzą nas do wielkiej kwadratowej sali, rozmiarami zbliżonej do kaplicy, ale z bielonymi, nagimi ścianami z cegieł. Pierwszą osobą, jaką rozpoznaję, jest Fletch, który siedzi w głębi sali obok strażnika za stołem na koziołkach. Najwyraźniej jest tu szefem.

W pracowni stoi pięć rzędów stołów długości trzydziestu stóp i po obu ich stronach siedzą więźniowie w zwartym kręgu. Moja grupa składa się z czterech osób, których praca polega na napełnianiu plastikowych woreczków wszelkimi ingrediencjami potrzebnymi do zaparzenia filiżanki herbaty. Na środku stołu stoją wielkie plastikowe kubły, w których piętują się małe pakiety. Na końcu stołu siedzi milczący Serb, który wkłada cztery saszetki z cukrem do każdego woreczka i następnie posyła swoje dzieło przez stół Libańczykowi, który dodaje trzy saszetki z mlekiem, po czym przesuwając woreczek do faceta z Esseksu, który dorzuca trzy torebki herbaciane i przekazuje woreczek mnie. Moje zadanie polega na zamknięciu woreczka i wrzuceniu go do wielkiego otwartego kubła z mojej strony stołu.

Mniej więcej co piętnaście minut przychodzi inny więzień, którego imienia nie udało mi się poznać, i opróżnia kubek. To otepiałe zajęcie ciągnie się około dwóch godzin, za co na rachunku w kantine dopiszają mi dwa funty.

Serb (cukier), który siedzi po przeciwnej stronie stołu, ma, jak przypuszczam, około trzydziestki. Nie interesuje go żaden temat oprócz losu byłego prezydenta Miloševicia i tego, że nie współpracuje on z Trybunałem Europejskim w Hadze. Nie chce mówić, za co się tu znalazł i jaki ma wyrok.

Ali, Libańczyk (mleko w proszku), który siedzi naprzeciwko mnie, jest bardziej przystępny. Skazano go za „nadużycie zaufania”. Ali mówi mi, że pracował w znanej firmie specjalizującej się w kartach kredytowych i po kilku latach dostał awans na kierownika oddziału londyńskiego. Zadzurzył się wtedy w pewnej Amerykance z kosztownymi wymaganiami, która przywykła do stylu życia, na jaki nie było go stać. Ali zaczął co wieczór pożyczyc (jego słowa) pieniądze z firmowego sejfu. Zabierał kobietę do kasyna, gdzie jedli darmowy

posiłek, po czym przystępował do gry. Jeżeli wygrywał, następnego ranka wkładał pieniądze z powrotem do sejfu. Jeżeli przegrywał, następnego wieczoru pożyczal więcej. Kiedyś wygrał 5000 funtów i nazajutrz oddał wszystko co do pensa.

Do chwili kiedy dziewczyna go rzuciła i odleciała do Stanów, Ali zdążył „pożyczyć” 28 000 funtów. Postanowił wyznać prawdę i opowiedzieć o wszystkim szefowi, zapewniając firmę, że ma zamiar zwrócić dług co do pensa.

Ali sprzedał dom, spieniężył polisę ubezpieczeniową, zastawił wartościowe rzeczy i zwrócił firmie wszystkie pieniądze. Został później aresztowany, oskarżony o nadużycie zaufania i w zeszły piątek skazany na półtora roku. Prawdopodobnie odsiedzi siedem miesięcy, a w przyszłym tygodniu mają go przenieść do więzienia otwartego w Ford. Ma pięćdziesiąt trzy lata, jest inteligentnym i potrafiącym się wysłowić mężczyzną, który godzi się z tym, że już nigdy nie będzie mógł pracować w tym kraju. Zamierza wyjechać do Ameryki albo wrócić do Libanu, gdzie ma nadzieję zacząć nowe życie.

Moja była sekretarka, Angie Peppiatt, główny świadek oskarżenia w mojej sprawie, przyznała się do tego samego przestępstwa – nadużycia zaufania – składając zeznanie w trakcie procesu. Nie potrafiła wytłumaczyć, gdzie się podziały tysiące funtów, uśmiechnęła się tylko do sędziego i powiedziała: „Robiłam rzeczy, których się teraz wstydzę, ale taka była poetyka tego czasu”. Ostatnio poprosiłem mojego adwokata, żeby przekazał policji tę sprawę ze wszystkimi szczegółami i sprawdził, czy zostanie poddana tak surowemu śledztwu jak ja. Możliwe, że do czasu opublikowania tej książki poznamy odpowiedź.

Facet z Esseksu (torebki herbaciane), siedzący koło Alego, chełpi się przed każdym, kto go słucha, że jest zawodowym gangsterem, specjalizującym się w rabowaniu banków. Gang składa się z jego szwagra, przyjaciela i jego samego. Mówi, że bardzo dobrze im się powodzi, ale się spodziewają, że przynajmniej połowę swoich lat aktywności zawodowej spędzą w więzieniu. Trudno spotkać dwóch tak różnych ludzi, jak facet z Esseksu i Ali.

Więzień, który się pojawia co piętnaście minut, aby opróżnić wielki kubek na krańcu stołu, zaraz odchodzi, więc nie mogę się o nim wiele dowiedzieć oprócz tego, że ma dwadzieścia trzy lata, po raz pierwszy poróżnił się z prawem, jego proces jeszcze się nie odbył i ma nadzieję, że wyjdzie na wolność. A gdyby nie, mówi, to wykorzysta czas w więzieniu na studia historyczne na otwartym uniwersytecie. Pewno nie zdaje sobie sprawy, iż właśnie się przyznał, że jest winny.

Syrena wyje na znak, że dwie godziny dobiegły końca, i wszyscy zostajemy zaprowadzeni na swoje oddziały i zamknięci w celach aż do lunchu.

12.00 w południe

Lunch. Potrawy są beznadziejne, więc muszę się zadowolić puszczką sałatki ziemniaczanej Heinza (61 pensów) i herbatnikami McVitie's (17 pensów). Kiedy wracam z kuchenki, widzę Andy'ego przy ogrodzeniu odgraniczającym oddział od kantyny. Przez otwór w drucianej siatce przeciska butelkę wody mineralnej Highland Spring – mój radosny akcent tego dnia.

2.00 po południu

Odwiedza mnie niespodziewanie kapelan David Powe. Jest w koloratce, tej samej beżowej marynarce, tych samych ciemnoszarych spodniach i tych samych butach co poprzednio. Mogę z tego tylko wnioskować, że ma jeszcze niższą pensję niż funkcjonariusze więzienni. Kapelan dotrzymał obietnicy i zdobył papier rysunkowy dla Dereka Jonesa, który nie może sobie pozwolić na więcej niż jeden blok tygodniowo.

Kapelan oznajmia, że na najbliższe trzy tygodnie wyjeżdża wraz z rodziną na wakacje i na wypadek, gdyby mnie już nie zobaczył, życzy mi, żeby mi się poszczęściło z apelacją, i ma nadzieję, że wkrótce zostaną przeniesiony do mniej odstręczającego miejsca niż Belmarsh. Czytam mu mój opis nabożeństwa, które odprawiał w zeszłym tygodniu. Chichocze na wzmiankę o Kainie i Ablu – jest więc człowiekiem umiejącym się śmiać z samego siebie. Po chwili odchodzi, żeby poszukać Dereka i wręczyć mu blok rysunkowy.

Dopiero kilka godzin później przyszło mi do głowy, że pewno zapłacił za papier ze swojej kieszeni, i ogarnęło mnie poczucie winy.

2.48 po południu

Drzwi celi otwiera funkcjonariuszka Taylor i wchodzi do środka z przyrządem przypominającym kamerton. Podchodzi do okienka i opukuje po kolei każdy z czterech prętów krat.

– Chcę się upewnić, czy pan ich nie poluzował albo czegoś nie podmienił – wyjaśnia. – Lepiej, żeby pan nam nie uciekł, no nie?

Zdumiewają mnie jej słowa, ponieważ trzecie piętro dzieli od dziedzińca więziennego, bagatela, siedemdziesiąt stóp, a stamtąd trzeba by wleźć na mur wysoki na trzydzieści pięć stóp, zwieńczony zasiekami z drutu kolczastego. Magik Houdini musiałby się dobrze natężyć, żeby dokonać takiego wyczynu. Jak się potem dowiedziałem, za tym murem jest następny, równie wysoki, nie wspominając już o sforze wilczurów, które nie reagują na komendę „Siad, Reks!”.

Mogę tylko przypuszczać, że ta czynność jest ujęta w instrukcji więziennej w rozdziale pod tytułem „Zadania do wykonania, raz na dzień, raz na tydzień, raz w roku, raz w życiu”³³.

4.00 po południu

Zgłosiłem się znowu na salę gimnastyczną, bo odczuwam dotkliwie brak ćwiczeń fizycznych. Kiedy funkcjonariusz wykrzykuje: „Gimnastyka!”, staję pierwszy w kolejce, która się ustawia na środkowym piętrze. Kiedy otwiera się furta, dyżurny instruktor mnie informuje, że w zajęciach może uczestniczyć tylko ośmiu więźniów z jednego skrzydła, a ja zapisałem się jako dwunasty. Dla mnie to najgorsza chwila tego dnia.

Wracam na parter i oglądam pierwszą część czarno-białego filmu z Humphreym Bogartem, w którym aktor występuje w charakterze wilka morskiego odgrywającego ważną rolę w wygraniu wojny na północnym Atlantyku. Jednak o piątej odsyłają nas wszystkich do cel, tak że nigdy już się nie dowiem, czy to Niemcy, czy Amerykanie wygrali ostatnią wojnę.

5.20 po południu

Mam niezapowiedzianą wizytę dwóch starszych rangą funkcjonariuszy, Scanella i Greena. Trzeba powiedzieć, że większość spotkań w więzieniu jest niezapowiedziana; nikt tu nie telefonuje z góry, żeby umówić termin przez sekretarkę. Panowie są zaniepokojeni, że przestałem wychodzić po południu na spacerki, aby przez czterdzieści pięć minut zaczerpnąć świeżego powietrza i się rozruszać. Dotarła do nich pogłoska, że ostatnim razem groził mi więzień i dlatego zostaję w celi. Opowiadam im, co się zdarzyło na dziedzińcu, ale dodaję, że nie powiem, jak się nazywa ani jak wygląda młody łobuz. Wychodzą dwadzieścia minut później z pustymi kartkami, bez sprawozdania.

Pytam Tony'ego, co by się stało, gdybym im podał nazwiska dwóch winowajców.

– Jeszcze dzisiaj zostaliby przeniesieni do innego więzienia – odpowiada Tony.

– Czy nie łatwiej byłoby mnie przenieść? – sugeruję.

– Na Boga, nie – rzecze Tony. – To by wymagało odrobiny wyobraźni, nie mówiąc o zdrowym rozsądku.

6.00 wieczorem

Kolacja. Duszone jarzyny i lody owocowe na patyku. Lody pyszne.

6.43 wieczorem

Do mojej celi przychodzi Fletch i próbuje mnie przekonać, że moim obowiązkiem jest podać nazwiska chuliganów, którzy grozili mi na spacerunku, bo jeżeli tego nie zrobię, to wkrótce powtórzą to samo wobec kogoś innego, kto nie potrafi się obronić. To słuszny argument, ale odpowiadam, że gdybym podał Scanellowi i Greenowi nazwiska tamtych, to nazajutrz tytuły w gazetach by oznajmiały: „Archer pobity na spacerunku”, „Archer domaga się superochrony”, „Szcupły personel więzienny pracuje w nadgodzinach, żeby ochronić Archera”, „Archer donosi klawiszowi na więźnia”. Nie, dziękuję, mówię Fletchowi, raczej posiedzę w celi i popiszę. Wzdycha i wychodząc, zostawia mi swój egzemplarz „Daily Telegraph”. Co za luksus zagłębić się w gazecie liczącej siedemdziesiąt dwie strony, choćby wczorajszej. Pożeram każdą stronę.

Tematem dnia są wyniki sondażu przeprowadzonego na zlecenie „Telegraph” przez youGov.com, świadczące o tym, że chociaż Iain Duncan Smith plasuje się za Kenem Clarkiem od 40 do 60 punktów w ogólnokrajowych badaniach opinii publicznej, to ma znaczną przewagę wśród członków partii. Wydaje się, że sytuacja konserwatystów jest bez wyjścia. Jedyna osoba, która może podążać do urny wyborczej, śmiejąc się do rozpuku, to na pewno Tony Blair.

7.08 wieczorem

Odwiedza mnie Paul, roznosiciel herbaty – dzięki tej funkcji może się włóczyć po więzieniu, podczas gdy reszta nas „siedzi pod celą”. Oznajmia, że ma mi coś do powiedzenia, więc biorę do ręki notes, siadam na brzegu łóżka i słucham.

Paul jest słusznego wzrostu i dobrej wagi i wygląda na faceta, który dałby sobie radę w bójkę. Zaczyna od tego, że dopiero co skończył kurację odwykową dla narkomanów w ośrodku księżnej Diany w Norfolk. Leczone go z uzależnienia od heroiny osiem miesięcy. Od razu pytam, czy uważa się za w pełni wyleczonego. Paul siedzi, milcząc, i nie odpowiada na moje pytanie. Najwyraźniej nie po to przyszedł do mnie, żeby o tym mówić. Potem tłumaczy, że w trakcie kuracji polecono mu napisać obszerną samoocenę, i pyta, czy zechcę ją przeczytać, lecz nalega, żeby nikt na oddziale nie dowiedział się, co zawiera.

– Nie zawracałbym ci tym głowy – dodaje – gdyby nie to, że kilku więźniów na tym oddziale miało podobne doświadczenia, i wcale nie są to ci, po których byś się tego spodziewał. – Nie mówi nic więcej i wychodzi.

Gdybyście się natknęli na Paula w pobliskim pubie, pomyślelibyście, że to dobrze prosperujący biznesmen z klasy średniej (znalazł się w więzieniu za oszustwa z kartami kredytowymi). Jest inteligentny, elokwentny i pełen wdzięku. W gruncie rzeczy nie wygląda na innego niż my wszyscy, ale niby dlaczego miałyby wyglądać inaczej? Nie chce, żeby ktoś znał jego przeszłość; nie mówię o jego „przeszłości kryminalnej”.

Ledwo zamykają się za nim drzwi celi, zaczynam czytać spisaną jego własną ręką relację. Miał szczęśliwe dzieciństwo do szóstego roku życia, kiedy jego rodzice się rozwiedli. Dwa lata później matka wyszła powtórnie za mąż. Potem on i jego bracia dostawali regularnie w skórę od ojczyma. Jediną osobą, do której miał zaufanie, był wujek, który się z nim zaprzyjaźnił i okazał się pedofilem. Tej drugiej rewelacji nie włączyłbym do fabuły powieści, gdyż okazuje się, że ów wujek siedzi obecnie w bloku drugim, skazany za czyn lubieżny na młodocianym. Obaj mężczyźni widują się przez siatkę ogrodzenia przedzielającego dziedziniec podczas popołudniowych spacerów. Paul nie wie, co by zrobił, gdyby kiedyś stanął twarzą twarz z wujem. W swojej spowiedzi ani razu nie eksponuje tego jako usprawiedliwienia własnego przestępstwa, ale zauważa, że syndrom molestowanego dziecka często występuje u więźniów odsiadujących długoletnie wyroki. Trudno mi się z tą myślą pogodzić, gdyż sam miałem beztróskie dzieciństwo. Jednak postanawiam spytać Fletcha, czy Paul: a) mówi prawdę, b) czy jego ogólna ocena jest słuszna.

Kiedy w końcu zapytałem o to Fletcha, jego odpowiedź mnie zaszokowała³⁴.

10.00 wieczorem

Przeczytawszy dwukrotnie relację Paula, zabieram się do sterty najnowszej korespondencji – trochę ponad sto listów – która dodaje mi otuchy, topniejącej w momencie, gdy włączam program czwarty na wiadomości o dziewiątej i dowiaduję się, że na razie nie zanoszą się na przeniesienie mnie z tej piekielnej dziury.

11.00 wieczorem

Otwieram książkę Johna Grishama *Wspólnik* i udaje mi się przeczytać siedem rozdziałów do momentu zgaszenia światła tuż po północy. Trudno uwierzyć, ale nie ma rapu.

Dzień 13

Wtorek, 31 lipca 2001

5.55 rano

Dziś budzę się jeszcze przed wilczurami. Wreszcie wpadłem na to, dlaczego

tak głośno ujadają. Bo jedzą to samo co więźniowie. Piszę przez dwie godziny.

8.00 rano

Kończę pudełko płatków kukurydzianych i wypijam do ostatniej kropli mleko, z nadzieją, że moje zamówienie w kantynie zmaterializuje się za kilka godzin. Ubieram się. Mogę zapiąć pasek o jedną dziurkę ciaśniej – pewno schudłem kilka funtów, ale nie mam żadnego innego sposobu, żeby to sprawdzić.

9.00 rano

Otwierają się drzwi mojej celi, ale nie idę razem z innymi więźniami do warsztatów, gdyż mam spotkanie z biegłą do spraw edukacji, zwaną przez więźniów Niedobiegłą – żart, którego musi mieć serdecznie dość.

Widać już jest, bo funkcjonariusz z rejestracji wzywa mnie, a dokładniej mówiąc, wywrzaskuje moje nazwisko, gdyż ja jestem na najwyższym piętrze, a urzędujący na parterze funkcjonariusze więzienni nigdy się stamtąd nie ruszają, jeśli nie muszą. Idę na dół. Judy jest niską blondynką przy kości, ma około czterdziestki i miło, optymistycznie się uśmiecha. Biorę dwa krzesła ze sterty przy telewizorze i stawiam je pod oknem na drugim końcu sali. Chyba jest zdziwiona, że niosę jej krzesło. Siadamy, po czym ona zapoznaje mnie z programem nauczania, począwszy od nauki czytania i pisania, a na dyplomie wyższej uczelni kończąc. Sądząc z jej entuzjazmu, jest jednym z tych urzędników, którzy są oddani swojej pracy. Podsuwa mi myśl, że mógłbym się uczyć gotować, rysować, a nawet, po tych wszystkich latach, kiedy się przed tym broniłem – opanować komputer. To by zaimponowało Mary.

Mówię Judy, że prawdopodobnie zostanę w Belmarsh jeszcze tylko kilka dni i chciałbym spożytkować ten czas, ucząc więźniów czytania i pisania. Rozważa tę propozycję, ale wolałaby, żebym poprowadził kurs kreatywnego pisania, ponieważ kilku więźniów pisze książki, wiersze i eseje i mają sporo pytań. Zgadzam się, a ona, wiedząc, że chcę stąd jak najszybciej uciec, proponuje, żebym jutro poprowadził pierwszą lekcję. Milknie, jakby trochę zakłopotana.

– Ale najpierw – mówi – muszę pana zapisać do działu edukacji. – Podaje mi kilka formularzy. – Czy mógłby pan wypełnić te testy i zwrócić mi je dzisiaj, tak żebym w kilka godzin załatwiła formalności?

– Postaram się, żeby do południa były gotowe.

– To nie zajmie panu tyle czasu – odpowiada ze śmiechem.

Wracam do celi, a ponieważ mam wolne pół godziny przed lunchem, wypełniam rubryczki na arkuszu zatytułowanym „Test edukacyjny”. Oto kilka wyrywkowych przykładów:

Ortografia – napisz prawidłowo następujące słowa: beł, wuos, pszedtem, gry!, muc, affera.

Matematyka – a. $13 + 34$, $125 + 386$? b. Ile reszty dostaniesz z 5 funtów, jeżeli wydasz 1,20 funta?

Co to znaczy 7.15 wieczorem na zegarze z oznaczeniami dwudziestu czterech godzin?

Ile upłynie czasu między 4.30 a 6.15?

Ile wyniesie 25% od 300?

Jeżeli jedno ciastko kosztuje 25 pensów, sześć – 1,38 funta, dwanaście – 2,64 funta, dwadzieścia cztery – 6 funtów, to ile najbardziej się opłaca kupić?

Odpowiedziałem na pytania na sześciu stronach i przekazałem je Judy przez Billy'ego Little'a (morderstwo), który ma lekcję po południu.

12.00 w południe

Lunch. Prowiant zamówiony w kantine jeszcze nie nadszedł. Pół porcji makaronu zapiekanego z serem i kubek wody mineralnej Highland Spring. Czy zauważyliście, że zaczynam jeść więzienne potrawy?

1.40 po południu

Otwierają się drzwi mojej celi i zostaję powiadomiony, że chce się ze mną widzieć pani Roberts. Wędruję do biura naczelnika eskortowany przez Weedona. Nie pytam go o powód wezwania, gdyż go nie zna, a nawet gdyby znał, to nie powie. Już za moment dowiaduję się, że zastępczyni naczelnika ma dla mnie złą wiadomość i że Belmarsh nie ma z tym nic wspólnego. Zmieniono mój status z kategorii D na C, ponieważ policja twierdzi, że nie ma innego wyjścia, niż wziąć pod uwagę zarzuty baronessy Nicholson i wszcząć śledztwo w sprawie losu pieniędzy zebranych na rzecz Kurdów. Nie dość tego, więzienie dla skazanych kategorii C, do którego mam być przeniesiony, znajduje się na wyspie Wight. Czy chodzi o to, żeby mnie odsunąć jak najdalej od rodziny?

Zmiana mojego statusu, tłumaczy pani Roberts, wynika z obawy, żebym w trakcie dalszego śledztwa nie próbował uciec. Nie ma co, Scotland Yard ma poczucie humoru! Jak daleko mógłbym dotrzeć, nimby mnie rozpoznano?

Zastępczyni naczelnika informuje mnie jeszcze, że mogę się odwołać od obu decyzji i jeżeli to zrobię, moje odwołanie zostanie rozpatrzone do czwartku. Zwraca uwagę, że wyspa Wight jest odległa od mego miejsca zamieszkania w Cambridge, a obowiązkiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jest umieścić więźnia jak najbliżej domu. Jeżeli tak, to dziwię się, że nie wysyłają mnie na Szetlandy. Obiecuję, że porozmawia z moimi adwokatami i poinformuje ich

o prawach, jakie mi przysługują. Gdyby nie pani Roberts i Ramona Mehta, prawdopodobnie utkwilibym na wieki w więziennej izolatce.

Wprost nie umiem wyrazić gniewu na Emmę Nicholson, szczególnie po tylu latach mojej pracy na rzecz Kurdów. Wystarczyłby jeden telefon do sir Nicholasa Younga z Czerwonego Krzyża i otrzymałaby odpowiedź na wszystkie pytania co do roli, jaką odegrałem w kampanii Simple Truth. Ale ona wolała zwrócić się do prasy.

Pani Roberts zwraca uwagę, że moi adwokaci mają mnie odwiedzić o drugiej, więc pora się rozstać. Dziękuję jej. Baronessa Nicholson mogłaby się wiele nauczyć od tej dwudziestosześcioletniej kobiety.

2.00 po południu

Spotykam się z Alekssem Cameronem i Ramoną Mehtą w strefie odwiedzin. Dzisiaj wyznaczono nam salkę niewiele większą od mojej celi. Jest pewna różnica – z trzech stron są duże okna. Jeżeli człowiek dniem i nocą przebywa za kratami, dostrzega okna.

Zanim adwokaci poruszą sprawę mojej apelacji od skazania i od wyroku, podnoszę trzy kwestie, w których potrzebuję opinii prawnej. Po pierwsze, czy baronessa się nie zagalopowała. Prawnicy się obawiają, że dobrała tak ostrożne sformułowania, żeby zapewnić sobie maksimum rozgłosu, przy tym o nic w szczególności mnie nie oskarżając. Podkreślam, że chętnie będę współpracował z policją, jeżeli podejmie śledztwo, a im szybciej to uczyni, tym lepiej. Kampania Simple Truth została zorganizowana przez Czerwony Krzyż i ówczesny skarbnik potwierdzi, że nie miałem nic wspólnego ze zbieraniem i rozdzielaniem pieniędzy. Ramona zauważa, że kilka osób z dawnego i obecnego kierownictwa Czerwonego Krzyża już wystąpiło publicznie z takim potwierdzeniem.

Potem opowiadam prawnikom historię Alego (ukradł i zwrócił 28 000 funtów, ale teraz odsiada półtoraroczny wyrok za nadużycie zaufania). Proszę, aby przypomnieć policji, że Angie Peppiatt, składając w sądzie zeznania w charakterze świadka, przyznała się do wystawiania podwójnych rachunków, kradzieży samochodu, zabierania dzieci na darmowe wakacje na Korfu, kupowania prezentów dla kochanek, których nie było, i żądania zwrotu wydatków za posiłki z nieistniejącymi osobami. Czy mogę mieć nadzieję, że prokuratura podda ją równie surowemu śledztwu jak Alego i mnie?

Po trzecie, przypominam im, że Ted Francis, człowiek, który sprzedał swoją opowieść gazecie „News of the World” za czternaście tysięcy funtów, wciąż jest mi winien dwanaście tysięcy. Chcę, żeby mi je oddał.

Adwokaci obiecują zająć się tymi sprawami. Jednakże uważają, że w tej chwili najważniejsze jest przywrócenie mi kategorii D i niedopuszczenie do tego,

żeby mnie przeniesiono na wyspę Wight.

Proszę Ramonę, żeby zabrała moje notatki z kolejnych pięciu dni i doręczyła rękopis Alison do przepisania. Ramona opuszcza salkę, żeby zapytać dyżurnego funkcjonariusza, czy na to zezwoli, lecz on odmawia. Alex doradza mi, żebym zatrzymał rękopis do momentu, kiedy będą mnie przenosić do więzienia niestosującego tak ostrych środków bezpieczeństwa. Sugeruje też, że byłoby nierozsądnie myśleć o opublikowaniu czegokolwiek przed rozpatrzeniem apelacji. Ostrzegam moich prawników, że jeśli apelacja zostanie odrzucona, a ja zachowam nadal taką wydajność do końca wyroku, to spłodzę milion słów.

O pełnej godzinie pojawia się funkcjonariusz i oznajmia, że widzenie skończone. Ramona odchodzi, obiecując natychmiast zająć się sprawą kategorii D i wyspy Wight.

Kiedy czekam na odprowadzenie do bloku pierwszego, wdaję się w pogawędkę z Grekiem z Cypru imieniem Nazraf, który czeka w areszcie śledczym na proces. Jest oskarżony o „przetrzymywanie żony w samochodzie osobowym” — nie miałem pojęcia, że takie oskarżenie jest możliwe. Przytaczam tutaj jego historię, jak zwykle z prośbą o zachowanie dystansu. Nazraf mówi, że zamknął żonę w samochodzie dla jej bezpieczeństwa, ponieważ przewoził wtedy dużą gotówkę z miejsca pracy do banku. Prowadzi restaurację i przez kilka lat bardzo dobrze mu się powodziło, osiągał roczny dochód blisko 200 000 funtów. Dodaje z pasją, że wciąż kocha żonę i chciałby się z nią pogodzić, ale ona już wystąpiła o rozwód.

Nazraf sprawia wrażenie bystrego, inteligentnego człowieka, więc pytam go, dlaczego się nie postara o zwolnienie za kaucją. Wyjaśnia, że sąd zażądał sumy 40 000 funtów, którą miałyby wyłożyć co najmniej cztery różne osoby, a on nie chce, żeby jego przyjaciele albo partnerzy od interesów dowiedzieli się, że wpadł w tarapaty. Od początku zakładał, że kiedy go wyślą do więzienia, jego żona odzyska zdrowy rozsądek i odstąpi od oskarżenia. To się stało pięć tygodni temu, a ona do tej pory się nie złamała. Sprawa odbędzie się w połowie września...

To wszystko, czego się zdążyłem dowiedzieć, zanim rozeszliśmy się w różne strony – ja do bloku pierwszego, Nazraf do czwartego. To mnie zresztą zastanawia, ponieważ w bloku czwartym zwykle przebywają terroryści albo więźniowie o wysokim stopniu zagrożenia. Chciałbym jeszcze kiedyś spotkać Nazrafa, ale mam przeczucie, że to się nigdy nie zdarzy.

6.00 wieczorem

Kolacja. Dostarczono prowiant z kantyny i zostawiono go w plastikowej torbie na skraju łóżka. Zjadam konserwową mielonkę, kawałek czekolady Cadbury z rodzynkami i orzechami, dwa pełnoziarniste herbatniki McVitie's i pijam

sokiem z czarnej porzeczki z wodą Evian. Czego jeszcze można chcieć?

8.00 wieczorem

Godzina Wspólna. Proszę mnie, żebym dołączył do grupy „bardziej dojrzałych” więźniów – mając sześćdziesiąt jeden lat, jestem tu najstarszy, jeśli nie najdojrzalszy – i wziął udział w cotygodniowym zebraniu ich komitetu w celi Fletcha. Wśród uczestników znajdują się też Tony (tylko marihuana), Billy (morderstwo), Colin (ciężkie uszkodzenie ciała) i Paul (morderstwo).

Jak podczas dobrze prowadzonego zebrania zarządu jakiejś firmy mamy przewodniczącego, którym jest Fletch, a także porządek obrad. Najpierw mówimy o czasie, jaki nam wolno spędzać poza celami, i o tym, że od kiedy Marsland awansował, warunki stały się bardziej znośne. Fletch uważa, że stosunki pomiędzy obiema grupami, które żyją po dwóch stronach „żelaznej bariery”, są poprawniejsze – a nawet bardziej przyjazne – niż w przeszłości. Colin nadal się uskarża na jednego ze strażników, na którego jeszcze się nie natknąłem. Według Colina odnosi się on do więźniów jak do wyrzutków i za byle co podaje ich do raportu. Najwyraźniej szczyli się tym, że odesłał do raportu więcej ludzi niż inni, co, zdaniem Colina, mówi o nim wszystko.

Postanawiam poobserwować faceta z daleka i przekonać się, czy Colin ma rację. Przeważnie służby więzienne starają się panować nad sytuacją i wolą atmosferę spokoju, gdyż są świadome, że ludzie skazani na dożywocie mają zmienne nastroje i w ciągu paru chwil potrafią przerzucić się z rozpaczki do nadziei i znowu wpaść w rozpacz. W tej sytuacji bezmyślny funkcjonariusz mógłby doprowadzić do wybuchu zamieszek. Boję się, że Colin jest w gorącej wodzie kąpany i nie potrafi się zdobyć na moment zastanowienia, kiedy sprawy toczą się po jego myśli.

Następny punkt dyskusji to finanse więzienne. Tony informuje, że naczelniczka Hazel Banks otrzymała premię, 24 000 funtów, za obniżenie o czterysta tysięcy kosztów prowadzenia więzienia Belmarsh. Jako zwolennik wolnej przedsiębiorczości z pewnością bym na to nie narzekał. Jednak Paul uważa, że lepiej byłoby przeznaczyć te pieniądze na edukację więźniów i na założenie gniazdek elektrycznych w celach. Nie mam pojęcia, czy te liczby są ścisłe, ale Tony mówi, że sprawdził je w rocznym sprawozdaniu sir Davida Ramsbothama (dyrektor generalny Służby Więziennej).

Po spotkaniu Derek Del Boy Bicknell (morderstwo) – ciekawe, że go nie zaproszono na zebranie komitetu – pyta, czy może zamienić ze mną kilka słów na osobności.

– Mam dla ciebie coś do czytania – mówi.

Przechodzę z celi 9 do celi 6, też mieszczącej się na parterze. Derek

proponuje mi kilka książek w papierowych okładkach, po czym dowiaduję się, dlaczego naprawdę chciał się ze mną zobaczyć.

Pragnie porozmawiać ze mną o swojej apelacji i pokazuje mi list od swego adwokata. Głównym uzasadnieniem apelacji ma być fakt, że poprzedni adwokat odradził mu wystąpienie w charakterze świadka, kiedy chciał to zrobić. Później rozstał się z doradcą prawnym i obrońcą i wybrał nowych doradców prawnych, ale jeszcze nie zdecydował się na obrońcę. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy się dowiedziałem, że jednym z podanych przez niego powodów wniesienia apelacji jest brak umiejętności czytania i pisania, co sprawiało, że nigdy nie rozumiał właściwie, jakie są jego prawa. Spoglądałam na pełną książkę półkę nad jego głową.

– Nie umiesz czytać?

– Nie, ale nikomu nie mów. Widzisz, właściwie nigdy nie było mi to potrzebne jako sprzedawcy samochodów.

Ten więzień sprawuje wiele obowiązków na oddziale. Jest Powiernikiem i rządzi kuchenką. Wcześniej określiłem go jako człowieka, który mógłby prowadzić prywatną firmę, i nie zmieniam tej opinii. Del Boy przywodzi na myśl poruszające opowiadanie Somerseta Maughama *The Bell Ringer*. Jednak fakt, że nie może się zapoznać z własnymi dokumentami prawnymi, pogarsza jego sytuację. Zastanawiam się, jak wielu innych więźniów ma podobny problem i, co gorsza, nie przyznaje się do tego. Omawiam z Derekiem linijka po linijce tekst odwołania. Przysłuchuje się uważnie, ale nie może robić notatek.

8.45 wieczorem

Ogłaszają powrót do cel, więc idę do swojej i widzę – ku wielkiej radości – stos listów, jakie na łóżku zostawił cenzor Ray. Przychodzi mi do głowy, że ten stos będzie jeszcze większy jutro, kiedy gazety poinformują czytelników, że nie zostanę przeniesiony do otwartego więzienia, skoro Emma Nicholson dołała oliwy do ognia słówkami: „Spełniłam tylko swój obowiązek”.

Mam teraz ustalony porządek dnia, podobnie jak na wolności. Jednak wielka różnica polega na tym, że nie sam, albo tylko w niewielkim stopniu, decyduję, kiedy mogę, a kiedy nie mogę pisać, więc dopasowuję swój plan do więziennego rozkładu zajęć. Czas tuż po wieczornym zamknięciu celi przeznaczam na czytanie listów, potem robię przerwę, następnie poprawiam rękopis – przerwa, czytam książkę tygodnia – przerwa, rozbieram się, kładę się do łóżka – przerwa, usiłuję nie zwracać uwagi na nieuchronny rap. Ale to niemożliwe.

Za każdym razem, kiedy kończę codzienne notatki, zastanawiam się, czy jutro będzie coś nowego do powiedzenia. Wciąż jednak pnę się pod stromą górę wiedzy, ale jeszcze nie dosięgłem szczytu. Pragnę opuścić Belmarsh dla nowych podbojów, a podboje są tu słowem kluczowym. Marzę o przechadzkach wśród

zielonych pól, tęsknię za świeżym powietrzem.

Billy (dożywocie, pisarz, student) mówi mi, że będzie lepiej, jak już gdzieś osiadę na dłużej i nie będę wydatkował energii na zastanawianie się, kiedy i gdzie spędzę czas do końca wyroku. Billy siedzi w Belmarsh dwa lata i siedem miesięcy i wciąż nie wie, dokąd go wyślą. Tony (tylko marihuana, ucieczka z otwartego więzienia) przestrzega mnie, że niezależnie od tego, dokąd trafię, szybko się znudzę, jeżeli nie będę miał jakiegoś projektu na tapecie. Na szczęście pisanie tego dziennika rozwiązało problem. Ale na jak długo?

Dzień 14

Środa, 1 sierpnia 2001

6.21 rano

Długa, upalna, bezsenna noc. Rap grzmiał do około czwartej nad ranem, tak że tylko od czasu do czasu drzemałem przez kilka minut. Kiedy w końcu muzyka ucichła, rozgorzała kłótnia między jakimś Mitchellem, którego cela jest chyba nad źródłem dźwięku, i więźniem o imieniu Vaz, właścicielem radia stereo, który siedzi w celi poniżej. Wkrótce można się było dowiedzieć, co Mitchell robi Vazowi, gdy tylko zostaną otwarte drzwi jego celi. Ich język trochę przypominał dialogi z powieści Martina Amisa, ale pozbawione jego stylu i polotu.

8.37 rano

Śniadanie. Między produktami ze sklepu więziennego jest opakowanie płatków zbożowych o nazwie Variety, w którym znajduje się osiem różnych ich rodzajów w małych pudełkach. Na początek próbuję Coco Pops. Niezłe, ale dobre stare płatki kukurydziane Kellogga są nie do pobicia.

9.31 rano

Dyżurny strażnik przynosi poranne gazety. Pełno w nich relacji o tym, że zmieniono mi kategorię D na C z powodu oskarżeń Emmy Nicholson.

9.50 rano

Pani Labersham grzecznie puka do drzwi mojej celi, tak jakbym mógł je

otworzyć. Odryglowuje „żelazną barierę” i oznajmia, że przychodzi, aby mnie zaprowadzić na zajęcia z kreatywnego pisania.

Znalazłem się w salce pełnej dymu papierosowego, bez krzeseł, tylko ze stołem. Cóż, dobry sposób na zapewnienie owacji na stojąco. Po chwili zaczynają się schodzić więźniowie, każdy niesie plastikowe krzesło. Jest ich dziewięciu. Wszyscy siadają, po czym pani Labersham przypomina, że spotkanie potrwa dwie godziny. Proponuje, żebym mówił godzinę, a potem zainicjował dyskusję.

Nigdy w życiu nie przemawiałem godzinę; zwykle mówię przez trzydzieści, najwyżej czterdzieści minut, a potem odpowiadam na pytania. Teraz przez ponad czterdzieści minut opowiadam, jak w wieku trzydziestu czterech lat, po odejściu z parlamentu, z długami w wysokości 427 000 funtów i zagrożony bankructwem, zacząłem pisać książki. Ostatni raz wygłosiłem taką mowę na konferencji w Las Vegas jako główny gość amerykańskiej grupy hotelowej. Zafundowali mi lot pierwszą klasą, umieścili mnie w hotelowym apartamencie i na odjeźdźnym wręczyli czek na 50 000 dolarów.

Dziś mam przed sobą audytorium dziewięciu współwięźniów w Belmarsh, a funkcjonariuszka Labersham potwierdza, że mój rachunek więzienny zostanie zasilony 2 funtami (równowartość butelki Highland Spring i tubki pasty do zębów).

Kończę mówić i zaczyna się zadziwiająco ożywiona dyskusja. Jeden z więźniów, Michael (21 lat, morderstwo), chce mówić o pisaniu piosenek, ale ja na ten temat wiem bardzo niewiele. Przecież mu nie powiem, że autor tekstów piosenek tak się różni od autora powieści, jak neurochirurg od ginekologa. Michael chce, żebym przeczytał jego ostatni utwór. Liczy on aż czterdzieści zwrotek. Oto jedna:

*Nie ma wyjścia, trzeba odejść
Wzywasz mnie
żebym wrócił
ale słyszysz tylko swój głos
powtarzający moje imię*

Wczoraj Michael się dowiedział, że sędzia ustalił mu minimalny wymiar kary na osiemnaście lat.

- Przynajmniej nie jest to numer telefonu – mówi.
- Co takiego?
- Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć lat – odpowiada.

Odczytałem cały tekst piosenki Michaela i grupa go ocenia, a potem Terry (włamanie, mój były współlokator) czyta trzy strony swojej powieści, którą ma nadzieję skończyć, zanim w grudniu wyjdzie z więzienia.

Rozwija się dyskusja na temat użycia w powieści wulgarnego języka. Czy mówi on coś o postaci opisywanej przez autora? Czy odwraca uwagę od narracji?

Następnie grupa omawia mocne i słabe strony opowieści Terry'ego. Dyskutanci nie oszczędzają autora.

Z kolei Tony (tylko marihuana) oznajmia, że pisze podręcznik mechaniki kwantowej, która od lat jest jego konikiem. Tłumaczy, że jego interpretacje nie wniosą nic nowego do tej dziedziny – to słowa Tony'ego – ale dzięki pracy nad podręcznikiem ma zajęcie na wiele godzin.

Ostatni utwór to jeden z wierszy Billy'ego Little'a. Różni się klasą od wszystkiego, co słyszeliśmy do tej pory, i każdy w tym pokoju o tym wie.

Łomot, huk, trzask

Pogardzany koleś, pohulał łomem,
złamany, zraniony, wciąż łomotany,
ukryty, zamknięty, w stanie izolacji,
popychadło rodziców, ofiara sędziów.

Pozbawiony racji.

Złoczone kajdanki, srebrne łańcuchy,
pozory poprawy – fałsz akomodacji,
brylantowe skazy, szafirowe krzyki,
cegła, stal, sklezione skarbczyki.

Uran, pluton – nuklearny kielich,
trujące reżimy, polityczne wybryki,
plugawa ciemność, czyhający grzech,
rozbite na atomy, zdruzgotane dusze.

Czerwony duplikat religii – ułuda mas,
pozór sprawiedliwości, proletariacki gniew,
rujnąca bieda, razy upokorzeń,
zapowiedź równości, barbarzyński bóg.

Świętokradczy kapitaliści, pokalana ziemia,
wojowniczy ogień, niecierpliwe pragnienie
– kres ludzkiego więzienia.

Billy Little (BX7974)

Pod sam koniec więźniowie rozmawiają o tym, kiedy się znowu spotkamy. Najbardziej ich interesuje, czy powinno to być podczas Godziny Wspólnej, czy też w ramach zajęć edukacyjnych. W tej sprawie poglądy są podzielone i zastanawiam się, czy w ogóle dojdzie jeszcze do spotkania.

12.00 w południe

Lunch. Otwieram puszkę z szynką (67 pensów), wyjmuję połowę zawartości,

dodaję do tego dwa niedogotowane ziemniaki (przydział więzienny). W trakcie popołudnia pochłaniam trzy pełnoziarniste herbatniki i wypijam prawie całą butelkę wody Evian. Jak tak dalej pójdzie, do soboty zabraknie mi wody i, podobnie jak wielu więźniów, będę się musiał zdecydować na „dubelt”. Przypominacie sobie, jak Del Boy przeciął papierosa na pół, żeby nazajutrz dostać całego?

1.07 po południu

Przynoszą mi do podpisu odwołanie w sprawie zmiany mojego statusu i wysłania mnie na wyspę Wight. Funkcjonariuszka Taylor informuje mnie, że zastępczyni naczelnika prosi, aby formularze jak najszybciej zwrócić jej do biura. Powoli czytam dwustronicowy dokument prawny i dokonuję tylko jednej drobnej poprawki. Podpisuję na wykropkowanej linii, ale jestem pewien, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych już podjęło decyzję i że nic na to nie poradzę. Przyjęto jako zasadę: nie można stwarzać wrażenia, że Archer jest traktowany wyjątkowo, nawet jeżeli traktuje się go niesprawiedliwie.

2.24 po południu

Oddziałowy Bentley otwiera drzwi i poleca mi zgłosić się do rejestracji, gdzie czeka na mnie kilka paczek.

Przy opuszczaniu skrzydła po raz pierwszy mnie nie rewidują, dyżurny strażnik tylko wskazuje na koniec korytarza i mówi, że kolega pokaże mi drogę. Dopiero po dwóch tygodniach nabrali pewności, że nie będę uciekał ani handlował narkotykami. W istocie, gdyby ktoś chciał uciec z Belmarsh – a najdalej komuś się udało dostać na dach – musiałby mieć plan architekta; ten budynek to labirynt. Wyobrażam sobie, że nawet ci, którzy tu przychodzą do pracy, dopiero po kilku tygodniach zaczynają się orientować, jak się poruszać. Czasem się dziwię, w jaki sposób funkcjonariusze trafiają do wyjścia nocą.

Na końcu kolejnych korytarzy otwierają się kraty i jestem przepuszczany dalej. Żaden strażnik pilnujący okratowanych furt nie dziwi się, że jestem sam. Wreszcie staję przed kłitką o nazwie Rejestracja. Otwierają się drzwi, ukazując dwóch funkcjonariuszy – Pearsona i Leecha.

– Dzień dobry panu – wita mnie Pearson i zaraz się poprawia – Archer. W tym tygodniu – ciągnie – dostałeś pan tylko czternaście przesyłek poleconych. – Zdejmuje je po kolei z półek za sobą.

Pół godziny później jestem dumnym posiadaczem kolejnych czterech Biblii, trzech egzemplarzy Nowego Testamentu i książeczki do nabożeństwa. Zatrzymuję sobie jeden Nowy Testament oprawny w skórę, bo czuję, że ucieszę nim Terry’ego.

Proponuję Leechowi, żeby całą resztę przekazano kapelanowi. W pozostałych przesyłkach znajduję trzy powieści, dwa rękopisy oraz propozycję małżeństwa od blondynki około pięćdziesiątki, która zaznacza, że gdyby nie była w moim guście, to ma dwudziestoczteroletnią córkę (fotografia załączona).

Chciałem zamieścić jej list, zatytułowany „Drogi Geoffreyu” (sic!), oraz zdjęcie, ale adwokaci mi odradzili.

Kiedy strażnicy otwierają ostatnią paczkę, pokazuję pudełko jednorazowych chusteczek i pytam:

– Czy przypadkiem to też jest moje?

– Myślę, że tak – odpowiada Pearson, spoglądając na Leecha.

Podsuwa mi dwa pudełka chusteczek, dzięki czemu moja wyprawa nabiera sensu.

Pearson towarzyszy mi – używam tego słowa, bo nie czuję, że jestem eskortowany – do mojej celi. Mówi, że więzienie zostało zbudowane dziesięć lat temu przez kanadyjskiego architekta, który wszędzie zastosował kąty proste.

– Byłby większy pożytek – mruczy pod nosem – gdyby skonsultowano się ze Służbą Więzienną, bo wtedy zwrócilibyśmy uwagę na problemy, wobec których co dzień stają personel i więźniowie.

Zanim zdążyłem wyrazić swoje zdanie, zamknięto mnie w celi.

2.57 po południu

Jestem w celi dopiero od kilku minut, kiedy pojawia się Weedon z jakimś świstkiem w ręku. Jest to dokument przeniesienia, potwierdzający moje najgorsze obawy. Zostanę przeniesiony na wyspę Wight w ciągu tygodnia, licząc od 6 sierpnia 2001 roku. Jest tak, jak myślałem; Ministerstwo Spraw Wewnętrznych podjęło decyzję i nie ma ochoty zważać na względy osobiste. Przygnębiony opadam na łóżko. Jestem bezradny. (Zobacz poniżej).

ZAWIADOMIENIE O PRZENIESIENIU 1-1-30

Nazwisko: ARCHER

Numer: FF8282

Zawiadamiamy o tymczasowym przeniesieniu
do Więzienia Jej Królewskiej Mości:

.....

CAMP HILL

Przeniesienie odbędzie się w ciągu tygodnia,
licząc od: 06-08-01

Jeżeli ma pan istotne powody, które, pana zdaniem,
uniemożliwiają przeniesienie, proszę omówić ten
problem ze zwierzchnikiem swojego bloku więziennego.

3.14 po południu

Piszę drugą wersję dzisiejszych notatek, kiedy rozlega się dzwonek alarmowy. Słyszę odgłosy bieganiny, podniesione głosy i tupot nóg strażników. Wyglądam przez zakratowane okienko celi, ale nie widzę nic oprócz pustego dziedzińca. Patrząc przez otwór w drzwiach o wymiarach 4 na 9 cali i uświadamiam sobie, że to dzieje się w innym skrzydle. Dopiero podczas Godziny Wspólnej czegoś się dowiem.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. Znowu nie udaje mi się dostać na zajęcia gimnastyczne i podejrzewam, że codziennie typowana jest ta sama ósemka więźniów, a ja nie należę do tego klubu wystarczająco długo, żeby mnie zakwalifikowano. Miejmy nadzieję, że na wyspie Wight jest większa sala gimnastyczna.

Kiedy docieram na parter, widzę, że Fletch ulokował się strategicznie w rogu sali, jak zawsze na początku Godziny Wspólnej, na wypadek gdyby ktoś potrzebował jego pomocy albo rady. Podchodzę do niego, żeby zamienić kilka słów.

– Co to był za hałas? – pytam.

– W drugim bloku była bójka.

– Wiesz coś bliżej?

– Tak, jeden taki, Vaz, puszczał przez całą noc rap i facet w celi nad nim trzy dni nie spał.

– Współczuję mu – mówię Fletchowi.

– Dopiero dzisiaj po południu spotkali się twarzą w twarz – ciągnie Fletch – i Mitchell, ten z celi na górze, nie dość, że załatwił Vaza jednym ciosem, ale jeszcze podpalił mu celę i na koniec podeptał jego stereo. – Fletch zawiesza głos. – To była jedna z tych rzadkich okazji, kiedy personel więzienny specjalnie się nie śpieszył na miejsce przestępstwa; w końcu więźniowie kilkakrotnie w ciągu tygodnia skarżyli się na „niewłaściwą postawę” Vaza.

– A co się stało z tym drugim?

– Z Mitchellem? Oficjalnie zaplombowany w izolatce, ale jutro przeniosą go do innego skrzydła. Ostatecznie, jak wyjaśniłem Marslandowi, facet tylko wyraził poglądy większości współwięźniów. – Oto przykład dający wyobrażenie o polityce więziennej, z Fletchem występującym jako rzecznik tutejszych pensjonariuszy.

Billy Little (morderstwo) pyta, czy mógłbym wpaść do jego celi, żeby porozmawiać o pracy, którą pisze na temat globalizacji. Chce omówić rolę

i odpowiedzialność BBC jako publicznego środka przekazu. Przedstawia wykres, ilustrujący fakt, że między 1990 a 1995 rokiem oglądalność spadła o 4 procent i o następne 4 procent w latach 1995–2000. Zauważam, że Greg Dyke, nowy dyrektor generalny BBC, który spędził większość życia w telewizji komercyjnej, zechce odwrócić ten trend. Skorzystały na tym, mówi Billy, Sky Digital i inne stacje telewizji cyfrowej, i przytacza szczegółowe dane statystyczne. Oglądalność ich programów ciągle rośnie.

Pytam Billy'ego, kiedy kończy studia.

– We wrześniu – odpowiada, wyjąwszy wpierw kartkę z teczki pod oknem.

– I co potem?

– Może posłucham twojej rady i napiszę powieść. Nie mam pojęcia, czy potrafię, ale sędzia dał mi dość czasu, żebym mógł się dowiedzieć.

Nie zawsze chwytam każde słowo wypowiedziane przez tego chłopaka z Glasgow, ale co dzień rozszyfrowuję parę sylab więcej. Postanowiłem, że poproszę Alison, żeby wysłała mu egzemplarz książki Vikrama Setha *Pretendent do ręki*. Myślę, że jest to akurat coś dla Billy'ego, zwłaszcza że to pierwsza powieść Setha, więc zorientuje się, z czym będzie się musiał mierzyć.

Kiedy wychodzę od Billy'ego, stół bilardowy jest zajęty, kolejka do telefonów tasiemcowa, a w telewizji pokazują film *Cała naprzód: Wakacje! Do dzieła!* Wracam do mojej celi i piszę przy otwartych drzwiach.

6.00 wieczorem

Kolacja. Ryzykuję jarzyny zapiekane w cieście i dwa więzienne kartofle (trzy błędy). Nadal piję butelkowaną wodę, jakbym miał jej wielką obfitość (dziś jest upał). Groźba „dubeltu” jest bliska i jeżeli mam przeżyć, muszę prędko zobaczyć się z Del Boyem. W kuchence Andy (morderstwo) kładzie mi na tacę dwa opakowania lodów czekoladowych.

– Schowaj jedno do kieszeni – szepcze.

Teraz dopiero wiem, co to znaczy komuś dogodzić.

Del Boy stoi na końcu lady w charakterze pierwszego kuchennego. To oficjalny tytuł. Przechodząc obok tarty z kremem, pytam go, czy moglibyśmy później się spotkać. Potakuje ruchem głowy. Wyczuwa, jeżeli ktoś ma kłopoty. Jest Powiernikiem i wolno mu odwiedzać każdą celę, jeżeli więzień chce porozmawiać o problemach osobistych. A ja mam taki problem: kończy mi się woda.

7.00 wieczorem

Siadam, żeby przejrzeć dzisiejszy tekst, a potem zabieram się do poczty. Ton korespondencji taki jak zwykle, ale, o dziwo, niewiele wzmianek o Kurdach. Kiedy

staliśmy w kolejce w kantynie, Paul (oszustwa z kartami kredytowymi) powiedział, że „The Times” wyraźnie napisał, iż nie miałem do czynienia ze zbieraniem ani rozdzielaniem pieniędzy. Tym się zajmował Czerwony Krzyż. Jednakże w stosie listów jest taki jeden, którego nie sposób zasufladkować.

Od dwóch tygodni siedzę zamknięty w więzieniu o zaostrzonym rygorze dla niebezpiecznych przestępców razem z trzydziestoma dwoma mordercami i siedemnastoma innymi więźniami skazanymi na dożywocie, głównie za usiłowanie morderstwa albo za nieumyślne spowodowanie śmierci; straciłem matkę, którą uwielbiałem; wysłano mnie do więzienia, wierząc słowu mężczyzny, który w zмовie z „News of the World” zastawił na mnie pułapkę, i kobiety, która jest zdeklarowaną złodziejką; mam być wysłany na wyspę Wight do więzienia kategorii C z powodu wypowiedzi baronessy Nicholson. Przyznam więc, że ogarnął mnie pusty śmiech, kiedy przeczytałem ten liścik (zobacz poniżej).



OPTYK CHAN

Mr J. Archer
Belmarsh House
Belmarsh
South East London

Mr Kenneth Chan BSc.MCOptom
90 High Street
Lee-on-Solent
Hampshire PO13 9DA
31/7/2001

Drogi Panie,

przepraszam, że Pana niepokoję. Piszę do Pana, ponieważ jednemu z moich pacjentów spodobały się Pańskie okulary (te ze szklami bez oprawek, w których był Pan na pogrzebie). Bylbym niezmiernie zobowiązany, gdyby zechciał mi Pan podać markę, numer modelu, kolor i rozmiar ramek. Te informacje są podane na wewnętrznej stronie zauszniaków. Będę wdzięczny za odpowiedź. Dziękuję za Pańską łaskawą uwagę!

Z poważaniem



K. Chan

8.40 wieczorem

Oddziałowy otwiera drzwi i wpuszcza do celi Del Boya. Ten jak zwykle wkracza z szerokim uśmiechem na twarzy i z miną gospodarza, który przychodzi po czynsz do lokatora nie zawsze płacącego na czas. Siada w nogach łóżka. Przez pewien czas rozmawiamy na temat jego apelacji, która zostanie niedługo wniesiona, i o tym, że nie umie czytać ani pisać. Okazuje się, że czasem zdoła odcyfrować jakieś słowo, ale potrafi się tylko podpisać.

– Nigdy nie potrzebowałem nic więcej – oznajmia. – Jestem straganiarzem, nie bankierem.

Ma rację, ale gdyby zamknąć oczy i słuchać, jak mówi, to choć nie wyzbył się do końca akcentu cockneya, z pewnością nie można by poznać, że jest czarny. Obiecuje, że będzie się uczył czytać, jak tylko wyjadę stąd na wyspę Wight. Nie jestem przekonany, że trafi kiedyś na piętro, gdzie odbywają się lekcje, jeśli do programu nauczania nie zostanie włączony „dubelt”.

– Jak mogę ci pomóc? – pyta. – Bo jestem człowiekiem.

– Bądź człowiekiem, Derek, bo mnie się kończy woda, nie licząc innych rzeczy

– Nie ma problemu – odpowiada. – A co to za inne rzeczy?

– Potrzebne mi są trzy butelki Highland Spring, dwie paczki czekoladowych herbatników McVitie’s i pasta do zębów.

– Nie ma problemu – powtarza. – Będziesz to miał rano w celi, dziedzicu.

– Bez „dubeltu”?

– Zgoda. – Waha się. – Ale nikomu nie mów, bo jakby się rozniosło, miałbym zepsutą opinię.

– Nie ma problemu – słyszę swój głos.

Na swobodzie, w świecie, który opuściłem, garstka ludzi trzęsie wszystkim. Tajemnica polega na tym, żeby znać tę garstkę. Tu jest podobnie. Derek Del Boy Bicknell jest naganiaczem, Fletch przywódcą opozycji, Billy ministrem oświaty, Tony kanclerzem skarbu i Colin ministrem obrony. Gdziekolwiek, w jakichkolwiek okolicznościach są ludzie, zawsze wyłonią przywództwo. W bloku pierwszym, na pierwszym oddziale, jest trzydziestu dwóch morderców, siedemnastu więźniów dożywotnich, i ta społeczność, nieświadomie, utworzyła własny gabinet rządowy. Nieoficjalnie, bez formalności, ale działający.

Derek wychodzi, a ja wyciągam się na łóżku i kończę książkę Johna Grishama *Wspólnik*. Jest za długa, ale z jakim talentem napisana.

10.07 wieczorem

Składam głowę na poduszkę. Trudno uwierzyć, ale nie słyszę rapu. Dobra robota, Mitchell.

Dzień 15

Czwartek, 2 sierpnia 2001

5.51 rano

Spałem całą noc. Pierwszy raz słyszę samochody w oddali. Piszę dwie godziny, tylko od czasu do czasu nasłuchuję szczekania wilczura.

8.00 rano

Śniadanie. Słodkie płatki kukurydziane i mleko o przedłużonej trwałości (drugi dzień).

9.00 rano

Godzina Wspólna. Przypominam Derekowi, że kończy mi się woda. W tej chwili mam ledwo pół butelki. Załatwi się, obiecuje.

Ustawiam się z innymi więźniami w kolejce na zajęcia gimnastyczne.

Derek Jones (ciężkie uszkodzenie ciała, artysta) wypatrzył mnie na środku korytarza i mówi mi, że przez pewien czas siedział w więzieniu na wyspie Wight. Wypytyuję go i dowiaduję się, że jest tam dobrze wyposażona sala gimnastyczna, jedna z najlepszych w kraju (ma na myśli więzienia), ale nagle Derek przekazuje niepokojącą wiadomość:

– Pełno tam gnojków i mętów. Młodzi narwańcy, którym się zdaje, że są gangsterami, bo obrabowali jakąś staruszkę. Nikt na oddziale nie rozumie, dlaczego tam cię posyłają.

Wpadam w panikę, opuszczam kolejkę do sali gimnastycznej, pędzę na piętro, łapię kartę telefoniczną, zbiegam na dół i dzwonię do Alison.

Najpierw ją uprzedzam (nie czas na uprzejmości, kiedy na tygodniowej karcie telefonicznej zostało tylko dwadzieścia jednostek), że tekst z kolejnych pięciu dni jest w drodze i żeby, kiedy go otrzyma, dała znać Ramonie, by mogła mi to potwierdzić podczas najbliższej wizyty. Następnie proszę, żeby przełączyła mnie do Jamesa. Mój młodszy syn zarządza w pojedynkę domowymi finansami, podczas

gdy William opiekuje się matką. Ani przez moment nie wątpię, że sobie poradzą. Szybko mówię Jamiemu o wyspie Wight i o tym, że utraciłem kategorię D.

– Uspokój się, tato – mówi. – Przez dwie ostatnie doby niczym innym się nie zajmujemy. Wiem, jak się musisz czuć odcięty od świata, ale my trzymamy rękę na pulsie. Wczoraj wieczorem Ramona kontaktowała się z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, gdzie dano jej do zrozumienia, że jest mało prawdopodobne, aby wszczęto śledztwo w sprawie kurdyjskiej. Nikt nie bierze poważnie oskarżeń Nicholson, nawet brukowce ją ignorują.

– Tak, ale to wszystko trwa, a tymczasem dostałem nakaz przeniesienia.

– Ten sam rozmówca napomyka – ciągnie James – że raczej przeniosą cię gdzieś bliżej domu, ale to jeszcze nie jest ustalone.

Sprawdzam kartę. Zużyłem już sześć jednostek.

– Jeszcze coś? – Chcę zachować jak najwięcej jednostek na niedzielną rozmowę z Mary.

– Tak. Potrzebuję twojego upoważnienia na transfer pewnej kwoty dolarów na twoje konto szterlingowe. Od dwóch dni funt słabo stoi.

– Nie mam nic przeciwko temu – mówię.

– Tato, przy okazji – dorzuca James – mnóstwo ludzi komentuje końcową mowę sędziego, więc się rozchmurz.

Odkładam słuchawkę i stwierdzam, że wykorzystałem siedem z dwudziestu jednostek na mojej karcie. Niech James się martwi o rynek walutowy, a ja się zajmę zdobyciem butelki wody mineralnej.

Patrzę na zegarek. Nie ma sensu wracać do kolejki do sali gimnastycznej, więc postanawiam wziąć prysznic. Człowiek zapomina, że jest brudny, póki nie odkryje, jaki może być czysty.

11.00 rano

Strażnik z parteru woła: „Spacer!”, którego znowu unikam. Jest upał, a na dziedzińcu ani krzty cienia. Postanawiam siedzieć w celi i pisać przy jak najszerzej otwartym mikroskopijnym okienku. Napisawszy dziesięć stron, włączam relację z meczu krykieta. Mecz trwa dopiero od godziny, a Anglia ma 47 zdobytych punktów przy dwóch zawodnikach wyeliminowanych.

12.00 w południe

Lunch. Biorę tacę i schodzę do kuchenki, ale nie znajduję nic, co mógłbym dać choćby wygłodniałemu psu. Wychodzę z kawałkiem chleba z masłem i z jabłkiem. W celi wcinam resztę szynki Prince's z puszki, kolejne dwa pełnoziarniste herbatniki McVitie's i popijam kubkiem wody. Przekonuję siebie, że

Del Boy jest człowiekiem i dostarczy wodę – lada chwila – bo w butelce zostało jej już tylko na dwa palce. Czy musieliście kiedy sprawdzać, ile wody zostało w butelce?

2.00 po południu

Przed celą pojawia się strażnik i nakazuje mi zgłosić się do warsztatów, do czego się nie palę. W końcu moje podanie o włączenie do zajęć edukacyjnych chyba już zostało rozpatrzone. Kiedy przybywam do „bąbla” na środkowe piętro i dołączam do innych więźniów, zostaję zrewidowany, a moje nazwisko odfajkowane. Udajemy się pod eskortą długim korytarzem do dwóch różnych miejsc przeznaczenia – do warsztatów i na lekcje. Na końcu korytarza ci do warsztatów skręcają w lewo, a ci, którzy mierzą wyżej, w prawo. Ja skręcam w prawo.

Docieram do części edukacyjnej i przechodzę obok zespołu klas z sześcioma lub siedmioma więźniami w każdej; dwójka funkcjonariuszy próżnuje w jednym kącie, kobieta za biurkiem natomiast zaznacza nazwiska więźniów, których kieruje do różnych klas. Podchodzę do niej.

– Archer – mówię.

Sprawdza listę, ale nie znajduje mojego nazwiska. Zdziwiona podnosi słuchawkę telefonu i prędko się dowiaduje, że powinienem być w warsztatach.

– Ale biegła do spraw edukacji powiedziała mi, że zostanę natychmiast przyjęty do tego działu.

– Dziwne słowo „natychmiast” – odpowiada. – Chyba nikt w Belmarsh nie szukał w słowniku jego znaczenia i obawiam się, że dopóki go nie sprawdzimy, musi się pan zgłosić do warsztatów.

Nie mam pojęcia, jak rozumieć słowa „dopóki go nie sprawdzimy”. Wracam, którędy przyszedłem, i jak najwolniej idę w kierunku warsztatów. Przychodzę ostatni.

Tym razem zostaję usadowiony na końcu zespołu więźniów – kara za to, że zjawiłem się ostatni. Moje nowe, intelektualnie pobudzające zadanie polega na umieszczeniu dwóch pojemniczków margaryny, jednej saszetki dżemu malinowego i jednej kawy w plastikowym woreczku, który zostaje zapieczętowany i zabrany do innego więzienia. Młody człowiek naprzeciw mnie, który zamyka woreczki i układa je w wielkim tekturowym pudle, wygląda jak zapaśnik. Jest średniego wzrostu, ma dwadzieścia kilka lat, jest ubrany w nieskazitelnie biały podkoszulek i markowe dżinsy. Jego silnie umięśnione ramiona są opalone na brąz, więc nietrudno wydedukować, że w Belmarsh jest od niedawna. Okazuje się, że trzy tygodnie. Mówi mi, że na imię mu Peter. Jest żonaty, ma jedno dziecko i prowadzi własną firmę.

– Czym się zajmujesz? – pytam.

– Jestem przedsiębiorcą budowlanym – odpowiada.

Kiedy więzień mówi, że „jest” tym i tym, a nie, że „był”, to można być prawie pewnym, iż ma krótki wyrok albo że siedzi w areszcie śledczym. Peter mi opowiada, że razem z bratem prowadzą małą firmę budowlaną, która się specjalizuje w kupowaniu zniszczonych domów w rokujących rozwój regionach Esseksu. Odnawiają domy i potem je sprzedają. W zeszłym roku zarabiali do spółki około dwóch tysięcy funtów miesięcznie. To było, zanim Peter został aresztowany. Widać, że to pracowity, przyzwoity człowiek. Więc co robi w Belmarsh? – zapytuję siebie. Kogo mógł zabić? Swojego brata? Odpowiada, zanim zdążyłem go spytać.

– Złapali mnie, jak prowadziłem furgonetkę brata bez prawa jazdy. Zwykle jeździ brat, ale tego dnia był chory, więc zabrałem jego narzędzia z budowy do domu, i za to sędzia skazał mnie na sześć tygodni więzienia.

Powiem wyraźnie. Nie protestuję przeciwko samemu wyrokowi, ale uważam za szaleństwo wysłanie tego człowieka do Belmarsh. Mam nadzieję, że minister spraw wewnętrznych, pan Blunkett – którego poznałem osobiście za czasów, kiedy John Major był premierem, i wiem, że jest porządnym, wrażliwym na los innych człowiekiem – przeczyta uważnie następne strony.

– Jesteś sam w celi? – pytam.

– Nie, jeszcze z dwoma innymi.

– Za co siedzą?

– Jeden jest oskarżony o morderstwo i czeka na proces, a drugi został skazany za handel narkotykami.

– To chyba żadna przyjemność – staram się zbagatelizować sprawę.

Panie ministrze, czy pan to czyta?

– To piekło – odpowiada Peter. – Odkąd tu jestem, nie spałem dłużej niż kilka minut. Po prostu nie wiem, co jeden albo drugi kombinuje. Z sobą radzę sobie, ale ci dwaj, z którymi dzielę celę, to zawodowi przestępcy.

Panie ministrze, czy pana to interesuje?

– Co gorsza – dodaje – jeden z nich zaproponował mi tysiąc funtów, jeżeli pobiję świadka, zanim rozpocznie się jego proces.

– O Boże! – wyrywa mi się mimo woli.

– Co dzień coraz bardziej na mnie naciska. Oczywiście coś takiego nie wchodzi w grę, ale mam jeszcze do odsiedzenia trzy tygodnie i zaczynam się bać, że nawet gdy stąd wyjdę, nie będę bezpieczny.

Panie ministrze spraw wewnętrznych, ten pracowity ojciec rodziny obawia się o własne bezpieczeństwo. Czy tego życzy pan komuś, kogo przyłapano na jeździe samochodem bez prawa jazdy?

Odkąd jestem w Belmarsh, dostałem ponad tysiąc listów z wyrazami

poparcia, ale nawet w wieku sześćdziesięciu jeden lat pobyt w więzieniu jest dla mnie ciężkim doświadczeniem. Peter ma dwadzieścia trzy lata i całe życie przed sobą. Setki ludzi, którzy nigdy nie powinni tu trafić, wysłała się do tego więzienia dla wyjątkowo niebezpiecznych przestępców.

Ale co mogę na to poradzić? – słyszę, jak minister spraw wewnętrznych pyta jednego ze swoich urzędników.

Proszę zaklasyfikować aresztowanych do kategorii A, B, C lub D przed, a nie po ich procesie. Następnie, jeżeli zostaną zaliczeni do kategorii D jako ci, którzy popełnili pierwsze przestępstwo i nie stosowali przemocy – po skazaniu powinni zostać wysłani prosto do więzienia otwartego. Nie będą wtedy musieli siedzieć w jednej celi z mordercami, handlarzami narkotyków i zawodowymi przestępcami. I proszę nie słuchać urzędników, jeżeli będą mówili, że tego się nie da zrobić. Niech pan ich wyrzuci. Otrzymałem status więźnia kategorii D w ciągu dwudziestu czterech godzin z powodu pogrzebu mojej matki, więc wiem, że to jest możliwe.

Panie ministrze spraw wewnętrznych, pan wyrządza nieodwracalną krzywdę przyzwoitym ludziom i pan nie ma prawa tego robić.

W czasie kiedy próbowałem się wczuć w sytuację Petera, urosła przede mną góra plastikowych woreczków. Inny więzień, którego dotychczas nie zauważałem, widać recydywista, szybko przywraca porządek, tak że zespół więźniów znów pracuje rytmicznie.

– To miejsce ma więcej wspólnego z karą niż z resocjalizacją, nie sądzisz, Jeffrey?

Co takiego jest w Irlandczykach, że człowiek zawsze się przy nich czuje swobodnie, jakby ich znał całe życie? Przytakuję skinieniem głowy, a on się uśmiecha i przedstawia się jako William Keane.

Nim powtórzę, co William opowiedział mi w ciągu następnych dwóch godzin, muszę was przestrzec, że nie mam najmniejszego pojęcia, jak dalece wiarygodna to opowieść, ale jeżeli choć w połowie jest prawdą, niech Bóg ma w swojej opiece premiera, ministra spraw wewnętrznych, ministra zdrowia i ministra oświaty.

William urodził się w Limerick, gdzie znajduje się Blarney Stone, jako syn boksera (Irlandia to pewno ostatni kraj świata, gdzie są jeszcze prawdziwi bokserzy) i miejscowej piękności – William jest przystojnym mężczyzną. Pani Keane wydała na świat siedmiu synów i pięć córek.

Mam trudności ze zrozumieniem Williama ze względu na jego wymowę i często muszę go prosić o powtarzanie całych zdań. Obecnie jego dom jest blisko więzienia, więc odwiedziny rodziny nie są problemem. Problem stanowi sama rodzina. Jeden z braci, dzieciak, jak mówi o nim William, siedzi dalej – pakuje dżem i marmoladę w saszetki – a był taki moment, powiada William, że wszystkich

siedmiu braci i jedna siostra byli w więzieniu w tym samym czasie, odsiadując łączny wyrok stu dwunastu lat. Mogę tylko współczuć ich matce.

William kończy odsiadanie dziesięcioletniego wyroku za handel narkotykami i zostało mu jeszcze tylko dwanaście tygodni. Zauważcie, że nie mówi trzy miesiące, bo to by znaczyło trzynaście tygodni.

W istocie jest pełen obaw, jaki świat zastanie w październiku, kiedy wyjdzie z więzienia pierwszy raz po tylu latach. Pochlebia mi, co naturalne u Irlandczyków, mówiąc, że zna wszystkie moje książki; jak się zresztą wydaje, przeczytała je połowa czołowych angielskich kryminalistów.

Podczas pobytu w sześciu więzieniach (ma dużą wiedzę na temat tych instytucji) podjął studia i przeczytał ponad czterysta książek – mówię o tym tylko dlatego, żeby było wiadomo, iż nie mamy do czynienia z głupcem. Składa mi kondolencje z powodu śmierci mojej matki i pyta, jak zachowywała się policja i personel więzienny podczas pogrzebu. Odpowiadam, że nadzwyczaj życzliwie i taktownie.

– Inaczej niż na pogrzebie mojego brata – mówi. – Nie dość, że cała rodzina była w kajdankach, to jeszcze nad głowami krążył nam helikopter. Przy grobie było więcej policjantów niż żałobników.

– Ale w moim przypadku – zauważam – nikt nie sądził, że będę próbował uciekać.

– Sam Houdini nie uciekłby tej zgrai – odcina się William.

Dziwię się, bo jeżeli rodzina Williama jest równie inteligentna i pełna wdzięku jak on, to dlaczego wszyscy nie połączą swojej energii i talentów i nie robią czegoś sensownego, tylko prowadzą żywot przestępczy.

– Narkotyki – odpowiada rzeczowo William. – Jak już się uzależnisz, nigdy nie zarobisz tyle, żeby zaspokoić głód narkotykowy, więc kończysz albo jako złodziej, albo diler. Poza tym muszę przyznać – dodaje – że jestem leniwy.

Od początku bacznie go obserwowałem i jedno, co mogę powiedzieć, to że nie jest leniwy. Napełnił więcej plastikowych torebek niż ja do spółki z Peterem. Zwracam mu na to uwagę.

– Jeffrey, ja jestem za leniwy, żeby chodzić do pracy od dziewiątej rano do piątej po południu, kiedy na sprzedaży narkotyków można wyciągnąć kilka patyków tygodniowo.

– Czyli że wrócisz do narkotyków, jak cię zwolnią?

– Nie chcę tego – odpowiada. – Mam trzydzieści pięć lat i jedno jest pewne – nie chcę tu wrócić. – Waha się. – Ale nie wiem, czy wystarczy mi silnej woli, żeby trzymać się z daleka od narkotyków albo oprzeć się pokusie szybkiego zarobku, gwarantowanego przy ich sprzedaży.

– O jak duże pieniądze chodzi – pytam – i jaki narkotyk w szczególności?

– Heroina – mówi – to najlepsza maszyna do robienia pieniędzy. „Joey” –

mimo wyjaśnienia nadal nie jestem pewien, co to znaczy – spadł w cenie ze stu funtów na czterdzieści, odkąd jestem w więzieniu (dziesięć lat), co wyraźnie pokazuje, jak rynek się rozrósł. A niektórzy potrzebują nawet dziesięć działek na dzień. Kiedy pierwszy raz trafiłem do więzienia, kokaina wiodła prym. Dziś jest heroina i często używają jej ludzie z twojego środowiska – informuje, patrząc na mnie.

– Ale ja nigdy w życiu nie brałem narkotyku. Nawet nie palę papierosów.

– Poznałem to, jak tylko wszedłeś – mówi.

– Skąd możesz być taki pewien?

– Pierwsza rzecz, na jaką zwracam uwagę, to koloryt skóry twarzy – niezły u ciebie, jak na sześćdziesiąt jeden lat – wyjaśnia, znowu przejawiając ten irlandzki wdzięk. – Potem patrzę na nos, na usta i wreszcie na ramiona, i od razu wiem, że nie jesteś potencjalnym klientem. Ale na pewno czegoś ci potrzeba od Del Boya.

– Tak, butelkowanej wody, najchętniej Highland Spring.

– Ile butelek zamawiasz w sklepiku?

– Cztery, może pięć na tydzień.

– Lepiej, żeby klawisze się o tym nie dowiedzieli.

– Dlaczego? Przecież płacę.

– Bo podczas gdy marihuana i kokaina utrzymują się we krwi przez miesiąc, to heroinę można wypłukać z organizmu w ciągu dwudziestu czterech godzin. Kogo innego niż ty, Jeffrey, klawisze by podejrzewali, że jest heroinistą, który nie chce wpaść podczas obowiązkowego testu narkotykowego. To wszystko wina Ann Widdecombe.

– Niby dlaczego?

– Bo ona pierwsza wprowadziła ten test. Tylko ta jedna decyzja sprawiła, że część palaczy marihuany przestawiła się na heroinę.

– To wielki przeskok – mówię – i poważny zarzut.

– Nie – odpowiada William – to było nieuniknione, a stało się tak dlatego, że Widdecombe nic nie wie o więziennej narkokulturze. Skąd mogłaby wiedzieć? Ty też nie miałeś pojęcia, póki się nie znalazłeś w Belmarsh. Gorzej, że nikt nie przedstawił problemu Blunkettowi, gdyż oni oboje są pośrednio odpowiedzialni za wzrost liczby uzależnionych od heroiny, a nawet w niektórych przypadkach za ich śmierć.

– Chwileczkę – mityguję go. – Oskarżasz Blunketta i Widdecombe o nieumyślne morderstwo, a to nie jest ani sprawiedliwe, ani słuszne.

– Kiedy cię poddają obowiązkowemu testowi, sprawdzają cię pod kątem marihuany (kanabinoli), kokainy, cracku i heroiny – ciągnie William, nie zwracając uwagi na moje słowa. – Test polega na analizie moczu, próbkę bada niezależne laboratorium, które po tygodniu przysyła wyniki.

– Tak, rozumiem.

– Marihuana jest wykrywalna w moczu przez dwadzieścia osiem dni. Mogłeś zapalić jointa trzy tygodnie wcześniej i o tym zapomnieć, ale wynik testu będzie pozytywny, a w przypadku heroiny – nie. Jeżeli napijesz się dużo wody zaraz po jej użyciu, wypłuczesz z organizmu wszelki jej ślad, po dwudziestu czterech godzinach będziesz czysty i wynik testu okaże się ujemny.

Panie ministrze spraw wewnętrznych, proszę natężyć uwagę.

– Jeżeli test wykaże obecność marihuany, naczelnik więzienia może ci dołożyć do wyroku dwadzieścia osiem dni mamra i odebrać wszystkie ulgi. Dwadzieścia osiem dni za wypalenie jednego skręta – powtarza William. – Toteż niektórzy palacze trawki, ci z krótkimi wyrokami, przechodzą na heroinę, bo wtedy nie grozi im przedłużenie wyroku. Rezultat? Często opuszczają więzienie uzależnieni od heroiny, chociaż na wolności nigdy nie tknęli twardego narkotyku. Pewien ich odsetek umiera po kilku tygodniach od wyjścia z więzienia, co jest faktem. Dlaczego umierają? Ponieważ heroina rozprowadzana w więzieniu jest o wiele słabsza od tej na wolności, tak więc jeśli wezmą tyle samo co w więzieniu, przedawkują.

– Jak byś temu zaradził? – pytam.

– Test obowiązkowy powinien obejmować tylko narkotyki klasy A i B, a nie marihuanę³⁵. Ta prosta decyzja zniechęciłaby do eksperymentowania z heroiną dwadzieścia procent więźniów i uratowałaby wielu ludziom życie.

Jeżeli któryś z pańskich urzędników, panie ministrze spraw wewnętrznych, jest tak głupi, żeby twierdzić, że to nieprawda, proszę mu powiedzieć, żeby nie kierował się statystyką, tylko spędził kilka tygodni w więzieniu, gdzie szybko się dowie, jak jest naprawdę.

– Jednak to chyba prawda, że narkotyki są bezpośrednim powodem, iż nasze więzienia są tak przepełnione – mówię.

– Tak, ale to mit, że heroina jest główną przyczyną przestępstw ulicznych. Crack przysparza policji tak samo dużo kłopotów. – Nie przerywam mu. – Crack – ciągnie William – jest dla narwańców i jest o wiele niebezpieczniejszy od heroiny. Jeśli zażywasz kokainę, czujesz się natychmiast zaspokojony i już po jednej dawce możesz być na haju, a jak przestaje działać, to zasypiasz. Jeżeli bierzesz crack, to jak ci zabraknie, zrobisz wszystko, żeby zdobyć więcej i przedłużyć stan euforii. To ci, którzy biorą crack, wrywają torebki staruszkom i telefony komórkowe dziewczynkom, a nie heroiniści; oni raczej zebrzą, pożyczają albo kradną w sklepach. Rząd nie widzi tego, że obecnie Anglia jest europejską stolicą cracku. Gdybyś chciał ufundować nagrodę dla europejskiego narkotykowego miasta roku, nie musiałbyś szukać poza Bradford. To miasto wygrywałoby pierwszą nagrodę rok w rok.

– Masz pomysł, jak rozwiązać ten problem? – pytam.

– Powinniśmy wziąć przykład ze Szwajcarów – odpowiada William. – Oni

rejestrują narkomanów, którzy jeśli się zgłoszą do lekarza, zostają natychmiast objęci programem odwykowym i dostają odpowiednią dawkę metadonu albo subiteksu. Szwajcarzy niedawno przeprowadzili referendum w tej sprawie i społeczeństwo wypowiedziało się znaczącą większością głosów za tym, żeby stawić czoło problemowi i rejestrować narkomanów. Rezultat: spadek przestępstw ulicznych o sześćdziesiąt osiem procent.

Kto by pomyślał, prawda, panie Blunkett?

– Czy chciałbyś się czegoś dowiedzieć o programie odwykowym naszej służby zdrowia? – pyta William.

Potakująco kiwam głową.

– Jeśli jesteś heroinistą na wolności i zgłosisz to swojemu lekarzowi pierwszego kontaktu, zarejestrują cię nie wcześniej niż za osiem do dziesięciu tygodni. Jednak jeśli popełnisz przestępstwo i pošlę cię do więzienia, nie będziesz czekał, bo już następnego dnia rano wezmą cię na detoks. – William milknie na chwilę. – Znam narkomanów, którzy popełnili przestępstwo tylko dlatego, żeby ich wsadzono do więzienia i z dnia na dzień włączono do programu odwykowego.

I co pan na to, panie ministrze spraw wewnętrznych?

– Co gorsza – ciągnie William – większość tych narkomanów na wolności, którzy się zgłosili do lekarza, po dziesięciu tygodniach nie podejmuje leczenia, bo do tej pory albo stracili zainteresowanie, albo zbyt się uzależnili, żeby chcieć coś z tym zrobić.

Prosimy na scenę ministra zdrowia.

William rozgląda się wokół, obejmując wzrokiem pięćdziesięciu pracowników pakujących produkty do plastikowych woreczków.

– Mogę ci wskazać każdego w tej sali, kto bierze prochy, i nawet powiedzieć jakie. Czasem wystarczy jedno spojrzenie. I byłbyś zdziwiony, gdybyś się dowiedział, ilu twoich przyjaciół na wolności jest uzależnionych, a nawet jeden albo dwóch z tych, co cię ostatnio potępiali.

– Palenia haszyszu nie można uważać za poważne przestępstwo – zauważam. – Założyłbym się, że w niedalekiej przyszłości to zostanie zalegalizowane.

– Jeffrey, ja nie mówię o haszyszu. Obecnie największy kryzys, z jakim musi się uporać rząd, to gwałtowny wzrost uzależnionych od heroiny. Mogę wymienić trzech lordów, dwóch członków parlamentu i dwie znakomitości telewizyjne, biorących narkotyki klasy A. Wiem o tym, bo ktoś z mojej rodziny jest ich dostawcą od wielu lat. – Wymienia wszystkie nazwiska; o dwóch już wiem, ale pozostała piątka to dla mnie niespodzianka. – Teoretycznie oni wszyscy powinni siedzieć teraz z tobą w więzieniu – dodaje. – Przyjrzyj się młodym kryminalistom trafiającym do więzienia, a uświadomisz sobie, że to problem, którym niewielu ludzi, zwłaszcza polityków, skłonnych jest się zająć. Tylko w twoim skrzydle

pięciu dożywotnich jest na heroinie i co tydzień dostaje towar.

– W jaki sposób? – pytam.

– Głównie podczas wizyt – mówi. – Ukryty w ustach, w tyłku, w uszach, nawet w kobiecych włosach. Ze względu na Ustawę o prawach człowieka rewizje więzienne są dość pobieżne.

– Ale to jest więzienie o zaostrzonym rygorze dla niebezpiecznych przestępców – przypominam mu.

– To żadna przeszkoda dla desperata, a nikt nie jest większym desperatem niż narkoman, nawet jeżeli siedzi zamknięty w izolatce.

– Ale jak? – nalegam.

– Nie zapominaj, że w większości zakładów kategorii A umieszcza się aresztowanych tymczasowo, więc więźniowie przychodzą i odchodzą każdego dnia. Nowi młodzi kryminaliści raz-dwa przyswajają sobie prawo podaży i popytu – jeśli go jeszcze nie znają – zwłaszcza że w grę wchodzi duże pieniądze. Gram heroiny (joey) na ulicy jest wart czterdzieści funtów, ale tutaj można go rozdzielić do pięciu woreczków i sprzedać za dwie setki. Za taką cenę niektórzy więźniowie ryzykują połknięcie woreczka z heroiną tuż przed zatrzymaniem, potem po prostu muszą odczekać, żeby go odzyskać; w końcu toaleta jest w każdej celi. A mój brat Rory – dodaje William – potrafi połknąć kulkę heroiny wielkości gumki do wycierania o wartości pięciuset funtów, przetrzymać ją w gardle i rozmawiać, jakby nigdy nic. Wykrztusza ją po powrocie do celi.

– Ale – zauważam – pomnąwszy nadzwyczajne umiejętności twojego brata, to skoro, jak twierdzisz, sześćdziesiąt procent więźniów bierze narkotyki, nie wystarczy paru facetów gotowych połknąć pakiecik z heroiną, żeby zaspokoić popyt.

– To prawda – przyznaje William. – Więc rozejrzyj się, Jeffrey, podczas odwiedzin, to zauważysz, ile narkotyków przekazuje się przy pocałunkach. A jak zobaczysz niemowlę na kolanach matki, bądź pewien, że w pieluszcze maleństwa jest pełno narkotyków. W ten sposób osoba odwiedzająca wnosi je do więzienia. Natomiast przy pocałunku przekazuje je więźniowi. Są jeszcze dziesiątki albo i więcej sposobów przemykania prochów w zależności od tego, w jakim siedzisz więzieniu. Jeżeli zobaczysz, że ktoś przyszedł do więzienia w dresie Adidasa, przyjrzyj się trzem paskom. Jak odprujesz jeden, możesz go napełnić heroiną wartą pięćset funtów.

Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że w celi mam taki dres.

– Mój brat Michael – kontynuuje William – odkrył, że w niektórych więzieniach koncesję na książki ma Waterstone's, więc przyjaciel brata wybiera mniej znane tytuły, pakuje w grzbiety narkotyki, a potem prosi tę firmę, żeby ofiarowała książkę bibliotece więziennej. Kiedy książka znajdzie się na półce, Michael ją zabiera. Niesamowite, ile heroiny mieści się w grzbiecie *Ulissesa*

Joyce'a. W moim ostatnim mamrze, póki klawiszę się nie połapali, najpopularniejszy był sposób z dziewczyną z trzeciej strony „The Sun”.

– Dziewczyną z trzeciej strony?

– Przecież wiesz, Jeffrey, co to takiego dziewczyna z trzeciej strony, prawda?

Potakuję skinieniem głowy.

– W większości więzień kategorii A i B pozwala się więźniowi zamawiać poranną gazetę u lokalnego kioskarza – opowiada William – a ponieważ jesteś zatrzaśnięty przez dwadzieścia dwie godziny na dobę, pozwalają nawet dostarczyć ją do twojej celi. Jeden przedsiębiorczy diler na wolności zaspokajał potrzeby całego więzienia, posypując prochami dziewczynę na trzeciej stronie „The Sun”. Potem wycinał z innego egzemplarza gazety tę samą fotografię i naklejał ją precyzyjnie na pierwszą. Tak się wprawił, że dostarczał codziennie do jednego więźnia heroinę wartości tysiąca funtów, a klawisz, o niczym nie wiedząc, przekazywał ją wprost jego klientowi. Handlarz zarabiał o wiele więcej forsy na swoich zapudłowanych klientach, niżby mógł wyciągnąć na wolności.

– Ale w jaki sposób mu płacili?

– Och, Jeffrey, aleś ty zielony. Na każdym oddziale, w każdym bloku, w każdym więzieniu spotkasz handlarza, który ma dostawcę za murami i który w kilka godzin po twoim przybyciu już wie, czego ci trzeba.

– Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Zamawiasz u oddziałowego handlarza, powiedzmy, gram heroiny dziennie. On ci podaje nazwisko i adres dostawcy, wtedy ty wyznaczasz kogoś z tamtej strony murów do regulowania płatności. Rozumiesz, żadnych stałych zleceń, tylko gotówka. Tobie mogliby dostarczać narkotyki pod karykaturą Scarfe'a w „Sunday Timesie”.

Śmieję się.

– Albo pod znaczkami tych dużych szarych kopert, które codziennie dostajesz. Zdziwiłbyś się, ile kokainy może się zmieścić pod czterema znaczkami pocztowymi. Przyjrzyj się klawiszom, kiedy rano przychodzi poczta. Zawsze macają kciukiem znaczki, ale dużo więcej można napchać do koperty.

– Przecież oni zawsze otwierają koperty i zagląдают do środka.

– Nie mówię, że w środku – odpowiada William. – Może zauważyłeś, że z prawej strony większości tych szarych kopert jest skrzydełko, które można delikatnie podważyć i napełnić heroiną, a potem zakleić. Znam faceta, któremu przysyłają co tydzień „Motor Magazine”, ale swoją tygodniową działkę dostaje w szarej kopercie.

– Kiedy zadzwoni dzwonek, muszę pędzić do celi i to wszystko zapisać – mówię Williamowi.

– Czym piszesz swoje książki? – pyta.

– Cienkopisem.

– Jak sięgniesz zatyczkę z końca, będziesz mógł tam upchnąć crack o wartości pięćdziesięciu funtów, dlatego klawisze każą kupować przybory do pisania w kantynie.

– Mów dalej – proszę.

Już dawno zarzuciłem pracę przy plastikowych woreczkach, ale William uwija się za mnie.

– Najbardziej niesamowity szmugiel, jaki widziałem, wymyślił pewien monstualny grubas, który ukrywał narkotyki pod fałdami skóry, bo wiedział, że tam żaden funkcjonariusz więzienny nie zajrzy.

– Ale oni mają chyba jakieś urządzenia do sprawdzania?

– Owszem. Wydają dużo pieniędzy na skomplikowane urządzenia, które wykrywają żyłki, broń, noże, nawet amunicję, ale nie substancje organiczne. W tej sprawie muszą polegać na psach, a wystarczy zasiusiana pieluszka, żeby nawet najbardziej zażarty pies gończy zgubił trop.

– A więc to podczas odwiedzin przemycą się najwięcej narkotyków?

– Tak, ale nie myśl, że prawnicy, księża i funkcjonariusze więzienni są ponad to; osoby przychodzące z poradami prawnymi, z pociechą religijną i pracownicy więzienia rzadko bywają sprawdzani. Czasem honoraria adwokatów są pokrywane z pieniędzy uzyskanych za narkotyki, które ci dostarczają klientom. W przypadku listów, jeżeli są to dokumenty prawne, koperta musi być otwarta w obecności adresata i klawiszom nie wolno czytać znajdującej się w środku korespondencji. A kiedy stoisz przed klawiszem, raczej nie będzie sprawdzał, czy nie ma czegoś pod znaczkami albo z boku koperty. Aha, na Fleet Street jest sklep dla prawników, który sprzedaje koperty z napisem w lewym górnym rogu: „Dokument prawny, ściśle poufne i prywatne”. Kilku handlarzy narkotyków otrzymuje co miesiąc takie koperty, a jedyny kontakt z sądem mają wtedy, kiedy stają na ławie oskarżonych.

– Wspomniałeś też o duchownych?

– Tak, znałem sikhijskiego gianiego w Gartree, który raz w tygodniu udzielał błogosławieństwa w celi więziennej, skąd zaopatrywał całą społeczność sikhów w narkotyki.

– Jak mu się to udawało?

– Chował je w turbanie. Czy masz pojęcie, ile na taki turban wychodzi materiału? Możesz tam upchnąć mnóstwo narkotyków. – William milknie. – Ale – dodaje po chwili – jedna z jego owieczek go sypnęła i poszedł na siedem lat do kicia.

– A funkcjonariusze więzienni?

– Klawisze zarabiają około trzystu funtów tygodniowo i mogą dorobić po trzynaście funtów za nadgodzinę. Tylko pomyśl. Kilka gramów heroiny – i mają

dwa razy tyle. W moim ostatnim więzieniu był kucharz, który przynosił towar raz w tygodniu w plecaku.

– Ale przecież w każdej chwili mogli go skontrolować.

– To prawda – odpowiada William. – Regularnie sprawdzali jego plecak, ale nie oglądali pasków.

– A jeśli takiego pracownika więzienia złapią?

– To wsadzają go za kratki na długi czas. Siedzi tutaj dwóch takich, ale zostaną przeniesieni do więzień kategorii D, zanim sprawa się rozniesie. – Milknie na moment. – Dla ich bezpieczeństwa. Ale absolutny rekord – ciągnie William, który jak każdy dobry gawędziarz zostawia najlepszy kęs na sam koniec – należy do Harry’ego, amatorskiego sędziego z Devonu.

W tej chwili Williama słucha już całe audytorium, bo wszyscy przy naszym stole przestali pakować produkty do małych plastikowych torebek i chłoną każde jego słowo.

– Harry – mówi William – odwiedzał raz w tygodniu miejscowe więzienie, żeby sędziować w meczu piłki nożnej. Jego łącznikiem był bramkarz. Po każdym meczu obaj szli do szatni, zdejmowali buty piłkarskie, wkładali adidas i każdy wychodził z butami drugiego. We wgłębieniach na korki w butach sędziego mieściło się tyle heroiny, że Harry kupił sobie dom na wsi już po dwóch sezonach. Pamiętaj, że więźniowie muszą wszystkie mecze rozgrywać na miejscu. Nie ma dla nich imprez wyjazdowych. Ale ten głupek zrobił się zachłanny i zaczął pchać narkotyki do piłki. Teraz odsiaduje dziesięcioletni wyrok w Bristolu.

– A kto zaopatruje handlarzy? – pytam Williama. Dochodzi dwunasta i boję się, że możemy się już więcej nie spotkać.

– Korzystają z pomocy mułów.

– Mułów?

– Handlarz często rekrutuje studentów, którzy już się uzależnili – prawdopodobnie przy jego pomocy. Funduje im potem wakacje w Tajlandii, Pakistanie albo nawet w Kolumbii i daje im dodatkowo tysiąc funtów, jeżeli przemycą kilogram heroiny przez kontrolę celną.

– Jakie to jest duże objętościowo?

– Jak torebka cukru.

– Ile jest warte?

– Handlarz przekazuje ten kilogram za mniej więcej dwadzieścia osiem do trzydziestu pięciu tysięcy funtów sprzedawcom zwanym żołnierzami. Ci dodają do niego proszek do pieczenia i proszek ceglany i uzyskują cztery kilogramy, które sprzedają klientom po czterdzieści funtów za gram albo „joey”³⁶. Najlepsi żołnierze osiągają dochód rzędu siedemdziesięciu do stu tysięcy funtów miesięcznie. I nie zapominaj, Jeffrey, że to gotówka, więc nie zapłacą od tego podatku, a przy takich profitach jest mnóstwo osób, które chcą ryzykować. Heroina sprzedawana na

King's Cross albo na Piccadilly ma czystość od czterech do siedmiu procent. Heroina, którą przywożą muły z opłaconych wakacji, może mieć nawet dziewięćdziesiąt dwa procent. Zapomniałbym powiedzieć – dodaje William – że gdyby żołnierze nie rozrzedzali towaru, to w tydzień uśmierciliby większość swoich klientów.

– Jak wielu jest heroinistów w naszym kraju? – pytam.

– Mniej więcej ćwierć miliona – odpowiada William. – Więc to jest wielki biznes.

– A ilu z tych...

Rozlega się dzwonek oznajmiający więźniom, że praca skończona i że za chwilę zostaniemy odprowadzeni do cel.

– Miło było cię poznać, Jeffrey – mówi William. – Przekaż ode mnie ukłony żonie – to niezwykła kobieta. Przykro mi z powodu tego sędziego. Dziwne, że wolał uwierzyć komuś, kto w sądzie przyznał się do złodziejstwa. Ale pamiętaj, pisz książki, bo choćbyś nie wiem jak długo żył, zawsze jakiś Keane będzie siedział w więzieniu!

Przed rozstaniem William udziela mi jeszcze jednej rady.

– Wiem – mówi – że chodzisz w niedzielę do kaplicy, ale w tym tygodniu idź na mszę katolicką. Ojciec Kevin wygłasza świetne kazania i spodoba ci się.

Wracam do celi zadowolony, że nie byłem na zajęciach edukacyjnych, ale przez dwie godziny pobierałem nauki.

Po drodze dołącza do mnie Ali (nadużycie zaufania, skradł 28 000 funtów pracodawcy, oddał wszystko), który też dostał nakaz przeniesienia. W poniedziałek jedzie do Spring Hill, do więzienia kategorii D. Pyta, dokąd ja się wybieram.

– Nie jestem pewien – odpowiadam. – Kierują mnie na wyspę Wight w przyszłym tygodniu, ale złożyłem odwołanie.

– Wcale się nie dziwię. Przy okazji, czy zauważyłeś, jaki spokój panował dziś w warsztatach? – zapytuje.

– Nie dostrzegłem różnicy w porównaniu z ostatnim razem.

– Nie, atmosfera się zmieniła w chwili, kiedy wszedłeś. Strażnicy, a nawet więźniowie przestają kląć i robota wszystkim pali się w rękach.

– Nie wierzę.

– Ależ tak – upiera się Ali. – Oni wszyscy wiedzą, że piszesz książkę i możesz wymienić ich nazwiska.

– Ale nie twoje – przypominam mu. – O tobie piszę jako o Alim. Ty jesteś dopiero drugą osobą, która chce zachować swoją tożsamość w tajemnicy.

Docieramy do granicy między blokiem pierwszym a drugim i rozchodzimy się w swoje strony. Życzę mu powodzenia.

Znalazłszy się w celi, chwytam herbatnik McVitie's i nalewam sobie ostatni kubek wody, zostawiając parę kropel na dnie butelki. Wkrótce się przekonam, czy

Del Boy jest człowiekiem.

Włączam radio. Anglia ma 185 punktów przy wszystkich graczach wyeliminowanych. Topię smutki w resztkę wody, po czym przystępuję do dłuższej niż zwykle tury pisania. Nie chciałbym zapomnieć nawet słowa z monologu Williama Keane'a.

4.30 po południu

Kolacja. Paszteciki z jarzynami i fasolka. Włączam znów relację z krykieta. Australia ma 46 punktów bez straty zawodnika i dąży do zgromadzenia 185 punktów. Czy mam dalej pisać, czy zabawić się w masochistę? Postanawiam jeszcze kilka minut posłuchać. W następnej serii Slater zostaje wyeliminowany i do chwili, kiedy cela zostaje otwarta na Godzinę Wspólną, Australia ma 105 punktów przy 7 wyeliminowanych graczach, tylko z Gilchristem z renomowanych zawodników pozostałym przy linii.

7.00 wieczorem

Godzina Wspólna. Idę na poszukiwania Del Boya niczym narkoman rozpaczliwie spragniony swojej działki. Siedzi na łóżku ze zwieszoną głową, z posępną miną. Schyla się, powoli wyciąga spod łóżka wielką papierową torbę i jak iluzjonista wyczarowuje trzy butelki wody Highland Spring i dwie paczki czekoladowych – powtarzam, czekoladowych – herbatników McVitie's. Nie ulega wątpliwości – jest człowiekiem. Przytulam go.

– Daj spokój – mówi i odpycha mnie. – Gdyby ktoś to zobaczył, nie mógłbym się więcej pokazać na East Endzie.

Śmieję się, dziękuję mu i zanoszę zdobycz do swojej celi.

Nalewam sobie kubek wody i przeżuвам herbatnik, kiedy słyszę stukanie. Podnoszę głowę i widzę stojącego w drzwiach mojego sąsiada, Richarda. Świdruje mnie wzrokiem.

– Ten pieprzony „Mirror” – prawie krzyczy – kręci się koło naszego pieprzonego domu i nęka moją pieprzoną mamuszkę!

– Przykro mi to słyszeć – mówię. – Ale dlaczego?

– Bo siedzę w tej pieprzonej celi obok ciebie – wyjaśnia płaczliwie. Kiwam głową, że rozumiem. – Mówią, że mnie opiszesz w swojej pieprzonej książce, że jestem bestialskim przestępcą, i boją się o twoje pieprzone bezpieczeństwo. Czy ty masz mnie za bestię?

– Nie dałeś mi po temu żadnego powodu – odpowiadam.

– A oni grożą mojej pieprzonej mamuni, że jak im nie da mojej pieprzonej fotografii, to dopiero mi pokażą!

- Co zrobią? – pytam.
- Powiedzą swoim pieprzonym czytelnikom, co narozrabiałem.
- Powinieneś zatelefonować do matki i wytłumaczyć jej, że i tak to zrobią.

A za co ty właściwie siedzisz?

- Za morderstwo – mówi. – Ale to nie moja pieprzona wina.
- Dlaczego? Co się stało?
- Piłem z chłopakami w tym moim pieprzonym pubie, a jakeśmy stamtąd wyszli, natknęliśmy się na zgraję pieprzonych australijskich turystów, którzy nas oskarżyli, żeśmy im zwinęli pieprzone portfele. Jeff, mówię ci, nigdy w życiu nie widziałem tych pieprzonych drani.

– I co było potem?

– No, jeden z nich miał pieprzony nóż i jak mój kumpel mu przywalił, to go upuścił na pieprzony chodnik. Złapałem nóż i jak ten drugi rzucił się na mnie, to go, pieprzonego, dziabnąłem. Ale to było tylko w pieprzonej samoobronie.

– I umarł od jednego ciosu nożem?

– No, nie. – Waha się. – Koroner naliczył siedem, ale ja nie byłem taki zalany, żebym nie pamiętał żadnego pieprzonego detalu. – Milknie na chwilę. – To nie zapomnij, napisz tym swoim pieprzonym czytelnikom, że nie jestem żaden bestialski kryminalista³⁷.

Richard idzie do swojej celi, a ja wracam jeszcze do monologu Williama Keane'a, a potem zabieram się do ostatniej porcji listów, których nadal napływa ponad sto dziennie. Przeczytawszy je, zaczynam nową książkę pod tytułem *Pojutrze*, poleconą mi przez Del Boya – co zakrawa na żart. Ma siedemset stron – tak gruba książka normalnie by mnie odstręczyła, ale nie w obecnej sytuacji. Zdążyłem przeczytać tylko kilka stron, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. To Paul (oszustwa z kartami kredytowymi). Jutro rano przenoszą go do ośrodka rehabilitacji narkomanów w Norfolk, więc możemy się już nigdy nie spotkać. Wymienia ze mną uścisk dłoni, jakbyśmy byli współnikami w interesach, po czym odchodzi bez słowa.

Kładę głowę na poduszce, która nie wydaje mi się już tak twarda jak kamień, i rozmyślam o dzisiejszym dniu. Nie mogę się powstrzymać od refleksji, że lepiej ciskać w Australijczyków piłkami, niż dźgać ich nożem.

Dzień 16

Piątek, 3 sierpnia 2001

6.07 rano

Cicha noc. O 6 obudziło mnie szczekanie wilczurów. Zresztą i tak powinienem wstać. Piszę dwie godziny.

8.00 rano

Śniadanie. Rice Krispies, mleko o przedłużonej trwałości i pomarańcza.

10.00 rano

Opuszczam warsztaty. Tylko trzy sesje tygodniowo są obowiązkowe. Dalej piszę.

12.00 w południe

Włączam krykieta. Christopher Martin-Jenkins mówi, że Australia ma 190 punktów przy wszystkich graczach wyeliminowanych, co jej daje przewagę tylko pięciu punktów w pierwszej rundzie. Anglia ma wciąż duże szanse.

12.15 po południu

Lunch. Reguła obowiązująca przy lunchu i kolacji – które tu się zważy obiadem i podwieczorkiem – jest taka, że poprzedniego dnia wypisuje się karteczkę z wybranym zestawem i wrzuca do plastikowej skrzynki na parterze. Jadłospisy na cały tydzień są wywieszane na tablicy, tak że zawsze można wybrać z góry. Jeśli się zapomni wypełnić karteczkę – co mnie zdarza się regularnie – automatycznie dostaje się „A”, czyli potrawy wegetariańskie. Dzisiaj w zestawie „B” jest smażona ryba – która dłużej pływała w oleju niż w morzu, „C” to mięso i cynadkerki zapiekane w cieście – nie można zajrzeć do środka, więc lepiej tego unikać. Pudding: z kaszy manny lub jabłkowy. Może pora przypomnieć, że na trzy posiłki dla więźnia wydaje się 1 funta 27 pensów dziennie³⁸.

POWRÓT

WEEK 1

EVENING MENU

CHOICE	MONDAY	DIET
A	VEGETABLE SPRING ROLL	ALL DIETS (VEG)
B	BBQ CHICKEN	ORD/MOS/H
C	MIXED GRILL	ORD
	TUESDAY	
A	TOMATO AND ONION PASTA BAKE	ALL DIETS (VEG)
B	SPICY BEEF RIB	ORD/MOS
C	HAM AND CHEESE PASTA BAKE	ORD/H
	WEDNESDAY	
A	FRIED RICE AND VEGETABLES	ALL DIETS
B	POACHED EGG	ORD/MOS/H/VEG
C	FRIED EGG	ORD/MOS/VEG
	THURSDAY	
A	VEGETABLE PATTIE	ALL DIETS
B	ROAST PORK	ORD/H
C	ROAST BEEF	ORD/MOS/H
	FRIDAY	
A	VEGETABLE SAUSAGE ROLL	ALL DIETS
B	CHICKEN FRIED RICE	ORD/MOS/H
C	BAKED SAUSAGE ROLL	ORD
	SATURDAY	
A	CREAMY VEGETABLE PIE	ALL DIETS
B	COTTAGE PIE	ORD/MOS/H
C	-	
	SUNDAY	
A	SPICY VEGETABLE BAKE	ALL DIETS
B	ROAST BEEF • YORKSHIRE PUDDING	ORD/MOS
C	ROAST TURKEY • STUFFING	ORD/MOS/H

WEEK 1

LUNCH MENU

CHOICE	MONDAY	DIET
A	VEGETABLE FINGERS	ALL DIETS
B	FISH CAKES & TOMATO SAUCE	VEG/MOS/ORD
C	BEEF CHOW MEIN	MOS/ORD/H
	TUESDAY	
A	RATATOUILLE & MUSHROOMS	ALL DIETS
B	FISH IN TOMATO & BASIL SAUCE	VEG/MOS/ORD/H
C	LAMB STIFFADO	MOS/ORD
	WEDNESDAY	
A	SPICY VEGETABLE CURRY	ALL DIETS
B	CHICKEN TIKKA MASALA	MOS/ORD/H
C	PORK & APPLE SAUCE	ORD/H
	THURSDAY	
A	SWEET & SOUR VEGETABLES	ALL DIETS
B	CHICKEN STEAK IN BATTER	MOS/ORD/H
C	SWEET AND SOUR PORK	ORD/H
	FRIDAY	
A	VEGETABLE GRILL	ALL DIETS
B	OVEN BAKED FISH	VEG/MOS/ORD/H
C	CORNISH PASTIE	MOS/ORD
	SATURDAY	
A	VEGETABLE CUTLET	ALL DIETS
B	ROAST CHICKEN	MOS/ORD/H
C	-	
	SUNDAY	
A	CURRIED BEANS	ALL DIETS
B	CHEESE AND FRUIT	VEG/MOS/ORD/H
C	CHEESE AND CORNED BEEF	ORD

WEEK 5

LUNCH MENU

CHOICE	MONDAY	DIET
A	VEGETABLE CURRY	ORD VG V MOS H
B	CHICKEN STEAK	ORD MOS H
C	CURRIED LAMB	ORD MOS
TUESDAY		
A	SOYA BOLOGNAISE	ORD VG V MOS H
B	SASAAGES IN ONION GRAVY	ORD MOS
C	SPAGHETTI BOLOGNAISE	ORD MOS H
WEDNESDAY		
A	GARLIC AND VEGETABLE STEAK	ORD VG V MOS H
B	PANE PORK CHOP	ORD
C	POACHED FISH IN PEPPER & TOM	ORD VG MOS H
THURSDAY		
A	JERK VEGETABLES RICE & COCONUT	ORD VG V MOS H
B	CHEESE AND ONION FLAN	ORD VG MOS
C	JERK CHICKEN RICE & PEAS	ORD MOS H
FRIDAY		
A	CREAMY VEGETABLE PIE	ORD VG V MOS H
B	PAN FRIED FISH	ORD VG MOS
C	STEAK AND KIDNEY PIE	ORD MOS
SATURDAY		
A	VEGETABLE BURGER AND ROLL	ORD VG V MOS H
B	BEEF BURGER AND ROLL	ORD MOS
C	- - - -	
SUNDAY		
A	BOMBAY POTATOES	ORD VG V MOS
B	CHEESE AND FRUIT	ORD VG MOS H
C	CORNER BEEF & CHEESE	ORD MOS

ORD = ORDINARY MOS = MOSLEM
 V = VEGAN H = HEALTHY OPTION
 VG = VEGETARIAN

Opuszczam celę i z plastikową tacą i plastikowym talerzem w ręku ustawiam się w kuchence w kolejce liczącej sześć osób. Następne sześć musi czekać przed kuchenką, aż pierwsza szóstka zostanie obsłużona. Chodzi o niedopuszczenie do długiej kolejki i bijatyki o jedzenie. W kuchence, z prawej strony płyty do podgrzewania potraw, siedzi Paul (zabójstwo), który sprawdza nazwiska i ogłasza: Fossett – C, Pugh – B, Clarke – B, i tak dalej. Kiedy odfajkowuje moje nazwisko, sześciu mężczyzn za ladą, odzianych w białe fartuchy, białe czepki i w cienkich gumowych rękawiczkach na rękach, żeby móc podawać ziemniaki i chleb, zbija się w gromadkę, gdyż już wiedzą, że prawdopodobnie niczego nie wybiorę i wrócę do celi z pustymi rękami.

Ostatnio Tony (tylko marihuana, uciekł do Paryża) wybiera za mnie posiłki. Dziś poleca mięso i cynaderki, lekko niedopieczzone, kalafior z tartą bułką podsmażany na maśle i ziemniaki duchesse albo:

– Milordzie, czy zadowolony się pan jarzynami zapiekanymi w cieście? – pyta.

Tak bardzo bawi go sytuacja, że dzieli kartofel na cztery części, ozdabia go marchewką pokrojoną w kostkę i układa na środku mojego talerza. Proszę pamiętać, że jeżeli podają lody czekoladowe albo owocowe, Del Boy zawsze dopilnuje, żebym dostał dwie porcje. Nigdy nie jadałem deserów, póki nie trafiłem do więzienia.

Dziś, mówi mi Tony, jest coś specjalnego w menu: zapiekanka pasterska. A ja jestem światowym ekspertem od tej zapiekanki z mięsa i ziemniaków, która od dwudziestu lat jest głównym daniem na moich przyjęciach, wydawanych z okazji świąt Bożego Narodzenia. Jadłem tę zapiekankę w Ivy, Savoyu, a nawet w nowojorskim Club 21, ale nigdy nie widziałem czegoś podobnego do tej potrawy w wydaniu Belmarsh. Mięso, jeśli to mięso, sklejone z ziemniakami i w postaci wielkiej kluchy chlapnięte na plastikowy talerz, przypomina awangardową pracę plastyczną, zgłoszoną do Turner Prize. Jestem pewien, że zdobyłaby jedno z pierwszych miejsc.

– Proszę wybaczyć, milordzie – dodaje Tony – ale zabrakło nam szampana Krug. Jednakże Belmarsh dysponuje wyborną wodą z kranu, rocznik 2001, z dodatkiem bromu.

Decyduję się na jarzyny zapiekane w cieście, niedojrzałe jabłko i szklanekę wody Highland Spring (49 pensów).

3.18 po południu

Przybywa strażnik i prowadzi mnie do biura zastępcy naczelnika. I znów się czuję jak krnąbrny uczeń wzywany przez dyrektora. Znowu dyrektor jest ode mnie o połowę młodszy.

Zastępca naczelnika, Leader, przedstawia się i informuje mnie, że ma dobrą i złą wiadomość. Zaczyna od tego, że ponieważ Emma Nicholson napisała do Scotland Yardu, domagając się przeprowadzenia śledztwa w sprawie zbiórki i rozdziału funduszy dla Kurdów, dopóki policja nie skończy dochodzenia, muszę zostać więźniem kategorii C i nie będzie mi przywrócona kategoria D. Wystarczyło słowo jednej mściwej kobiety, żebyśmy cierpiał kolejną niesprawiedliwość.

Dobra wiadomość to ta, że nie zostaną przeniesiony do więzienia Camphill na wyspie Wight, ale do Elmer w hrabstwie Kent, a zaraz po przywróceniu mi kategorii D – do Spring Hill. Gorzko się żalę na pierwszą decyzję, ale szybko pojmuję, że Leader nie zmieni stanowiska. Oskarża mnie nawet o „niewłaściwą postawę”, kiedy próbuję dyskutować na ten temat. W Izbie Gmin długo by się nie utrzymał.

– To nie moja wina – twierdzi. – To policja zdecydowała, żeby wszcząć śledztwo.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. David (dożywocie, nielegalne posiadanie broni) jest jedyną osobą, która ogląda krykieta w telewizji. Biorę krzesło i siadam obok. Pada deszcz, więc pokazywane są tylko najważniejsze fragmenty dwu pierwszych rund. Prawie zapominam o swoich zmartwieniach, mimo że gdybym był na wolności, nie oglądałbym migawek telewizyjnych, tylko bym siedział na stadionie pod parasolem.

6.00 wieczorem

Rezygnuję z kolacji i piszę, co wywołuje zamęt. Nie zdawałem sobie sprawy, że Paul musi odfajkować wszystkie nazwiska z czterech skrzydeł i jeżeli stawiane przez niego znaczki nie zgadzają się z liczbą więźniów, kierownictwo przypuszcza, że ktoś uciekł. W moim przypadku to była tylko próba ucieczki przed kolacją.

Przed moją celę przybywa funkcjonariusz Weedon. Podnoszę oczy znad stołu i odkładam pióro.

– Archer, nie jadłeś pan kolacji – powiada.

– Nie, nie mogłem się na to zdobyć.

– To wykroczenie, za które stajes się do raportu.

– Za co? Za niejedzenie? – pytam z niedowierzaniem.

– Tak, naczelnik będzie się chciał dowiedzieć, czy prowadzisz pan strajk głodowy.

– Nigdy o tym nie myślałem – mówię. – Czy wtedy byście mnie wypuścili?

- Nie, trafiłbyś pan z powrotem na oddział medyczny.
- Wszystko, tylko nie to. Co mam zrobić?
- Coś zjeść.

Biorę mój plastikowy talerz i idę na dół. Paul i cała obsada kuchenna czeka i wita mnie oklaskami oraz okrzykiem: „Dobry wieczór, milordzie, prosimy do pańskiego ulubionego stolika”. Wybieram jeden gotowany ziemniak, proszę o odpajkowanie mojego nazwiska i wracam do celi. Buntownik się przystosował.

7.00 wieczorem

Odwiedza mnie Tony (tylko marihuana, uciekł do Paryża) i pyta, czy chciałbym wpaść do jego celi na drugim piętrze, tak jakby zapraszał kolegę do biura na pogawędkę o osiągniętej ostatnio wielkości obrotów.

Kiedy się wchodzi do celi jakiegoś więźnia, od razu można się zorientować, jaki to typ człowieka. U Fletcha wszędzie leży mnóstwo porzucanych książek i broszur, które pomagają nowemu więźniowi przetrwać pierwsze dni. Del Boy ma tytoń, karty telefoniczne, produkty żywnościowe i tylko on jeden wie, co pod łóżkiem, gdyż jest „człowiekiem wtajemniczonym” w naszym skrzydle. U Billy’ego półki są pełne podręczników akademickich i teczek z materiałami o tematyce jego studiów. U Paula na ścianach widnieją akty, głównie chińskie, a Michael ma tylko zdjęcia rodzinne, przede wszystkim żony i sześciomiesięcznego dziecka.

Tony jest pięćdziesięcioletnim, dojrzałym mężczyzną, na półkach w jego celi piętrzą się książki o mechanice kwantowej, jego życiowym hobby. Na łóżku leży dzisiejszy „Times”, gdy go przeczyta, odda Billy’emu; komuś z wyrokiem osiemnastu lat czytanie gazety z jednodniowym opóźnieniem nie robi specjalnej różnicy. W kącie celi leży stos starych „Financial Timesów”. Ogarnia mnie uczucie, że historia Tony’ego będzie trochę inna od wszystkich.

Mówi mi, że pochodzi z rodziny należącej do klasy średniej, odebrał dobre wychowanie i miał szczęśliwe dzieciństwo. Jego ojciec był na wysokim stanowisku w jednym z największych funduszy ubezpieczeniowych, matka prowadziła dom. Uczęszczał do miejscowej szkoły średniej, którą ukończył z wynikiem celującym, po czym zaproponowano mu miejsce na Uniwersytecie Londyńskim, ale ojciec chciał, żeby został rachmistrzem ubezpieczeniowym. Po rocznym stażu pojął, że to nie dla niego, i postanowił otworzyć ze szkolnym przyjacielem sklep mięsny. Poślubił siostrę przyjaciela, urodziło im się dwoje dzieci (córka, która niedawno ukończyła w Bristolu studia z wyróżnieniem, i syn, obecnie szesnastoletni, który w chwili gdy to piszę, uczy się w znanej prywatnej szkole z internatem).

Kiedy Tony dobiegł trzydziestki, miał dość godzin pracy rzeźnika: dzień w dzień musiał być w ubojni o trzeciej nad ranem, a potem tkwić w sklepie do

szóstej wieczorem. W wieku trzydziestu pięciu lat sprzedał sklep i mając pieniędzy jak lodu, postanowił pędzić żywot emeryta. Po kilku tygodniach znudziło mu się, więc otworzył firmę samochodową handlującą jaguarami i zbił drugą fortunę w latach rządów Thatcher. Ponownie sprzedał interes i znowu postanowił odpocząć, bo prawie nie widywał rodziny, a żona groziła, że od niego odejdzie. Wkrótce uznał, że musi się czymś zająć, więc kupił podupadły pub na East Endzie. Sądził, że to będzie jego hobby, ale skończyło się na czternastu pubach i rozłące z żoną.

Jeszcze raz wszystko sprzedał i rozszedłszy się z żoną, znalazł sobie nową partnerkę, kobietę trzydziestosiedmioletnią, która prowadziła biznes rodzinny. Tony miał wtedy czterdzieści pięć lat. Zamieszkał z nią i prędko się zorientował, że ten biznes to narkotyki. Rodzina handlowała marihuaną i stroniła od twardych narkotyków. Tony zapewnia mnie, że nie ma potrzeby zawracać sobie nimi głowy, gdyż rynek narkotykowy i tak jest olbrzymi. Tony na początku się zastrzegł, że nie interesują go narkotyki i że jest wystarczająco bogaty, żeby się nie angażować w rodzinny biznes.

Życie z nową partnerką miało ten minus, że Tony, który prędko się połapał, iż firma prowadzona jest nieudolnie, zaczął uczyć partnerkę prostych zasad handlowych. W miarę jak mijały miesiące, coraz bardziej się udzielał, aż w końcu został tytularnym dyrektorem firmy. W następnym roku firma potroiła dochody.

– Mięso, samochody, puby czy marihuana, nie ma różnicy, Jeffrey – mówi. – Dla mnie liczyło się tylko, żeby interesy były prowadzone jak należy. Nie powinienem był się w to mieszać, ale nudziło mi się i irytowała mnie niekompetencja mojej partnerki i jej rodziny. Muszę też przyznać, że kobieta była dobra w łóżku.

A teraz prawdziwa bomba: otóż Tony został skazany na dwanaście lat za przestępstwo, którego nie popełnił. Ale, jak otwarcie przyznaje, na podobnym mógł być przyłapany niejeden raz. Najwyraźniej odwiedził wtedy dom, którego był właścicielem, żeby pobrać czynsz od lokatora, który przez pół roku nie zapłacił ani pensa, kiedy wpadła tam policja. Znaleźli pięćdziesięciokilową paczkę marihuany, schowaną w szafce pod schodami, i oskarżyli go, że jest dostawcą. Tony nic nie wiedział o tym akurat pakunku i nie był winien przedstawionego mu zarzutu, ale miał na koncie podobne przestępstwa. Więc się nie skarży i uważa swoją karę za słuszną. To bardzo brytyjskie.

Kiedy Tony odsiedział trzy i pół roku, przeniesiono go do więzienia otwartego kategorii D w Ford, skąd wybrał się z wizytą do Paryża, jak już odnotowałem w tym dzienniku. Następnie pojechał do Mijas w Hiszpanii, gdzie pracował jako mechanik, ale zrobił go przyjaciel – ktoś w rodzaju Teda Francisa, zauważa.

– Zostałem aresztowany – mówi – i siedziałem rok i cztery miesiące

w hiszpańskim więzieniu, dopóki nie załatwiono formalności związanych z ekstradycją. Ostatecznie odesłano mnie do Belmarsh, gdzie pozostanę do końca wyroku. – Tony przypomina mi, że jeszcze nikt stąd nie uciekł.

– A co z dziewczyną? – pytam.

– Ma dom, wszystkie moje pieniądze i nigdy o nic jej nie oskarżono. – Uśmiecha się i nie wygląda na to, żeby miał żal. – Pieniądze zawsze mogę zarobić – mówi. – To nie problem, poza tym jestem pewien, że będą inne kobiety.

Rozważa się obecnie sprawę zwolnienia warunkowego Tony'ego, ale nie układa mu się dobrze z kuratorką sądową. Twierdzi, że ona nie poznaje się na jego poczuciu humoru. Przestrzega mnie, żebym traktował z szacunkiem osobę, która z urzędu będzie się zajmować moją sprawą, gdyż może mieć decydujący wpływ na to, czy mnie zwolnią, czy też zostanę w więzieniu.

– I co będziesz robił, jak cię wypuszczą? – pytam.

Uśmiecha się i wyciąga teczkę schowaną w głębi szafki.

– Zamierzam sprzedawać maszyny rolnicze Senegalczykom – odpowiada. Pokazuje arkusz za arkuszem prognoz finansowych na temat potrzeb rolnictwa w Senegalu, łącznie z subwencjami rządu brytyjskiego na rozwój tej dziedziny gospodarki.

– Nie zdziwiłbym się, gdybyś czwarty raz zbił majątek – zauważam, przestudiowałeś papiery.

– Tylko kobiety mogą mi przeszkodzić – mówi. – Uwielbiam je.

– Wracać do cel! – słyszymy krzyk strażnika z parteru.

Dziękuję Tony'emu za towarzystwo, opuszczam jego biuro i idę do mojej celi.

8.00 wieczorem

Poprawiam moje zapiski z tego dnia, a potem przez dwie godziny czytam listy. Jeżeli ludzie dalej będą mi przysyłać Biblie i książeczki do nabożeństwa, to będę mógł otworzyć sklep z dewocjonaliami.

Próbuję się dowiedzieć, jakie są ostateczne wyniki rozgrywek krykietowych, ale muszę się zadowolić audycją *Odpowiedź na każde pytanie*. Ken Clarke mówi bez ogródek, jak krzywdzący jest mój wyrok, co jest odważne, zważywszy, że przystępuje do rywalizacji o przywództwo partii torysowskiej.

10.00 wieczorem

Nadal żadnego rapu, więc drugą noc z rzędu śpię spokojnie.

Dzień 17

Sobota, 4 sierpnia 2001

6.18 rano

Budziłem się kilka razy w nocy, ale nie z powodu hałasu, tylko dlatego, że wczoraj wypłem za dużo płynów. Cup a Soup (rosół z kury, 22 pensy), bulion Oxo (9 pensów) i butelkę wody Highland Spring (69 pensów). Na szczęście nie mam daleko do toalety.

Szczekanie wilczurów budzi mnie znowu tuż po szóstej. Piszę przez dwie godziny.

8.30 rano

W sobotę rano człowiekowi nie tylko pozwalają wyjść z celi, ale jeszcze dają mu ciepłe śniadanie. Jajka, fasolka i frytki. Wciąż nie jem frytek. Tony wybiera mi dwa usmażone jajka i świeżo podgrzaną fasolkę. Smaczne.

9.00 rano

Godzina Wspólna. Szukam Fletcha, żeby sprawdził tekst, który wczoraj napisałem o narkotykach. Potwierdza wszystko, co powiedział William Keane, a potem dodaje:

– Czy słyszałeś o Białej Porcelanie?

– Nie – odpowiadam, zastanawiając się, czy chodzi mu o porcelanę Wedgwood czy Royal Doulton.

– Biała Porcelana to był ładunek czystej heroiny ze Złotego Trójkąta. Do Glasgow dotarł dwa lata temu. Heroina miała taką czystość (97 procent), że piętnastu zarejestrowanych narkomanów umarło w kilka dni po jej wstrzyknięciu, a potem towar zaczął się rozprzestrzeniać na południe, uśmiercając narkomanów w całym kraju. Wszyscy naczelnicy więzień wystosowali oficjalne ostrzeżenia pod adresem więźniów, polecając im osłabiać dawki ostatnio dostarczonej heroiny. – (Zobacz poniżej). – Chodź, to ci pokażę literaturę na ten temat.

HMP BELMARSH

GOVERNOR'S NOTICE TO INMATES NO: 64/2001

POSSIBLE BATCH OF CONTAMINATED HEROIN AT RISK OF CAUSING SEVERE SYSTEMIC SEPSIS IN INJECTING DRUG USERS

All inmates will be aware that possession, or use, of any controlled drug is an offence against prison discipline. However, any inmate who chooses to ignore this should be aware of possible health risks associated with injecting drugs.

It is possible that parts of a batch of heroin, which may have been responsible for a number of deaths in Scotland, Ireland and various parts of England last year, may be circulating on the drugs market again.

Any inmate who injects drugs is therefore placing himself at extreme risk.

GOVERNOR

A handwritten signature in black ink, consisting of a large, stylized initial 'G' followed by a wavy line that tapers to the right.

W celi Fletch przerzuca papiery w teczce z napisem „narkotyki” i podaje mi kilka broszurek i kartek pocztowych, jakie wręcza się podejrzanym o branie narkotyków w dniu, kiedy znajdą się w więzieniu. Pierwszy raz widzę tego rodzaju materiały. Są to: *Podręcznik detoksykacji*, *Poradnik użytkownika: jak odstawić opiaty* (drugie wydanie), *Jak stosować metadon* (piąte wydanie), *Kanabinole* (dziewiąte wydanie), broszurka na temat HIV, żółtaczkę typu B i C oraz sześć kolorowych kartek: Wstrzykiwanie i infekcje (z ilustracjami):

Kanabinole – marihuana, puff, blow, ziele, grass, trawa, trawka, marycha, huana, skun, ziółka, shit, hasz, spliff, tackle, wacky, gandzia.

Kwasy i grzyby halucynogenne – kwas, kwach, grzyby, grzybki (LSD).

Amfetaminy – speed, wizz, billy, amfa, feta, dopalacz, sulfa, amfetka.

Ecstasy – pixle, ecstasy, E, doves, disco biscuits, echoes, hug drug, burgers, fantasy.

Kokaina – koka, charlie, snow, C, biała dama, biała śmierć, biała trucizna, biała wróżka, koks.

Heroina – smack, prochy, brown sugar, brown, horse, hera, scag, jack.

Każdy narkotyk ma kilka slangowych nazw w zależności od regionu kraju. Ustawa antynarkotykowa dzieli nielegalne narkotyki na trzy grupy i ustanawia maksymalne kary pozbawienia wolności od dwóch do czternastu lat.

Rodzaj narkotyku	Maksymalne kary	KLASA
Amfetaminy (Speed)		A

jeśli gotowe do wstrzyknięcia

Kokaina i crack

Ecstasy

(i podobne narkotyki)

Heroina

LSD (kwas)

Grzyby halucynogenne

jeśli gotowe do użytku

Posiadanie:

7 lat kary pozbawienia wolności i/lub kara grzywny

Posiadanie z zamiarem rozprowadzania lub rozprowadzanie:
kara dożywocia i/lub kara grzywny
KLASA B *Amfetaminy (Speed)*

Kanabinole³⁹

Posiadanie:
5 lat kary pozbawienia wolności i/albo kara grzywny
Posiadanie z zamiarem rozprowadzania lub rozprowadzanie:
14 lat więzienia i/lub kara grzywny
KLASA C *Sterydy anaboliczne*

Benzodiazepiny
(np. temazepam, flunitrazepam, Valium)

Posiadanie:
2 lata kary pozbawienia wolności i/ lub kara grzywny
Posiadanie z zamiarem rozprowadzania albo rozprowadzanie:
5 lat kary pozbawienia wolności i/lub kara grzywny

Fletch mówi mi, że w naszym skrzydle mamy własnego dilerę heroiny i że wie, jakich on ma klientów. Jest tu pięćdziesięciu ośmiu więźniów i jedenastu z nich jest lub było uzależnionych od heroiny, a czterdziestu jeden obecnie bierze narkotyki.

Już mam wyjść, ale spostrzegam pięć róż na parapecie. Widać Fletch lubi mieć w celi kwiaty. Przyglądam się bliżej małemu bukietowi. Fletch lepi płatki z chleba, a kryształki cukru osadzone na czerwonych płatkach udają krople deszczu. Maluje kwiat pędzelkiem wykonanym z włosia, które wypadło z pędzla do golenia. Przymocował je do ołówka za pomocą gumki. Kolor uzyskuje, rozpuszczając koniuszek czerwonej kredki wilgotnym pędzelkiem. Ulepił kilka takich chlebowych róż i posadził je w bułce, bo nie wolno mu mieć doniczki, gdyż rozbita może służyć jako broń.

– Ale dlaczego nie masz pudełka z farbami? – pytam.

– W Belmarsh zakazane jest posiadanie wszelkich pudełek i puszek – tłumaczy – bo można z nich zrobić broń, a to jest dla klawiszy poważny problem. Muszą nam dostarczyć codziennie nową maszynkę do golenia, bo inaczej więźniowie chodziliby zarośnięci. W zeszłym miesiącu jeden więzień przykleił dwa nożyki Bic do rączki szczoteczki do zębów, dopadł kogoś pod prysznicem i tak rozharatał mu twarz, że żaden chirurg plastyczny nie zdoła zlikwidować blizny. Ile razy otworzysz jakąś puszkę – ciągnie Fletch – musisz wyrzucić jej

zawartość na talerz i oddać pustą strażnikowi, bo mógłbyś komuś poderżnąć gardło wyszczerbioną krawędzią pokrywki. Jednak – dodaje – więzień, któremu na tym zależy, może sobie zrobić broń na wiele innych sposobów.

Nie przerywam Fletchowi wykładu.

– Na przykład – mówi – możesz uderzyć kogoś w głowę stalowym termosem. Możesz oblać wrzątkiem z termosu innego więźnia; możesz wyrwać żelazny pręt z łóżka i masz prymitywny nóż; widziałem nawet człowieka z gardłem poderżniętym zaostrzoną kartą telefoniczną. – Fletch bierze do ręki plastikową szczotkę do szorowania ubikacji. – Jeden więzień ogolił ostatnio dostarczonymi mu maszynkami rączkę (długości 9 cali) szczotki do kibla i zrobił z niej bagnet, a potem w środku nocy zadźgał nim współwięźnia.

– Ale to mu tylko zapewni pobyt w więzieniu do końca życia – zauważam.

– I tak już miał dożywocie – oznajmia Fletch obojętnie. – Jeśli więzień naprawdę chce zabić kolegę z tej samej celi albo nawet jakiegoś innego więźnia, może to zrobić z łatwością, bo klawisze nie są w stanie przez całą noc sprawdzać, co się dzieje z drugiej strony żelaznych drzwi.

Zaledwie dwa tygodnie temu byłbym zbulwersowany, wstrząśnięty, pełen odrazy po takiej pozbawionej emocji rozmowie. Czy już się robię odrętwiały, nieczuły na wszystko inne poza najgorszym koszmarem?

Wychodzę od Fletcha i widzę Colina (kibic-chuligan), który na mnie czeka. Wręcza mi napisaną na nowo ocenę ostatniej książki Franka McCourta *I rzeczywiście* oraz wiersz swojego autorstwa. Ofiarowuje mi banana, niezwykle honorarium za redagowanie tekstu, ale w tych okolicznościach godziwa zapłata.

Wracam do celi i od razu przenoszę na papier wszystko, co mi powiedział Fletch.

12.00 w południe

Lunch. Tony wybrał dla mnie ziemniaka w mundurku, zapieczonego z tartym serem. Jem powoli ten smakołyk, słuchając w radiu relacji z krykieta. Wszyscy zawodnicy angielscy zostali szybko wyeliminowani w drugiej rundzie, przy stanie 161 punktów, i reprezentacji Australii pozostało do zdobycia tylko 156 punktów, żeby wygrać mecz i utrzymać tytułu zwycięzców rozgrywek Ashes. Zostawiam radio włączone, łudząc się, że jeżeli Gough i Caddick dokonają przełomu w początkowej fazie rundy, to będziemy jeszcze mieli możliwość dalszej walki. Znowu się myślę.

3.00 po południu

Spacer. Od trzech dni nie wychodziłem z budynku i czuję, że brak mi

świeżego powietrza. Poddaję się rewizji, po czym wychodzę na dziedziniec i od razu spostrzegam dwóch łobuzów, którzy mi grozili, kiedy ostatnio byłem na spacerniaku. Czają się, wsparci na siatce po drugiej stronie dziedzińca. Zerkam do tyłu i widzę, że Billy i Colin idą za mną krok w krok.

– Jeffrey, powinieneś się ostrzec – rzuca mi Billy, żeby podtrzymać mnie na duchu. Ma rację.

Dołącza do mnie Peter Fabri, cały w uśmiechach. Wychodzi w poniedziałek i wraca do żony i sześciotygodniowego dziecka. Ponieważ dziś rano o nim pisałem, chcę jeszcze raz sprawdzić fakty.

– Proponowano ci tysiąc funtów za pobicie świadka, który ma niedługo wystąpić w procesie w Old Bailey? – pytam.

– To się zmieniło, odkąd się ostatnio widzieliśmy – mówi Peter. – Teraz ten gość proponuje mi czterdzieści tysięcy za sprzątnięcie świadka. Mówi, że on zarobił dwieście tysięcy na przestępstwie, o które jest oskarżony, więc uważa, że za usunięcie jedyne go świadka warto dać czterdzieści. Gdybym był z nim jeszcze dwa tygodnie w jednej celi, pewnie by mi zaproponował sto patyków.

Panie ministrze spraw wewnętrznych, czy pana to interesuje?

Robimy razem trzy okrażenia, a potem Peter wraca do przyjaciół – trzech więźniów z wyrokami sześciu tygodni lub krótszymi. Kontynuuję spacer i widzę, że Billy'ego i Colina zastąpili Paul i „Del Boy”. Dostrzegam Fletcha stojącego w jednym z rogów, w głębi. To jego ulubione miejsca, gdyż ma stamtąd doskonały widok na swoje włości. Rzecz jasna, że ustalił kolejność ochrony mojej osoby, i jestem pewien, że strażnicy objijający się po drugiej stronie dziedzińca zdają sobie z tego sprawę.

Mijam Williama Keane'a, który wsparty o siatkę gawędzi ze swoim bratem. Podrywa się i biegnie w moją stronę. Paul i Del Boy natychmiast robią krok do przodu, ale odprężają się, kiedy obejmuję Williama ramieniem. W końcu nikomu nie powiedziałem, który z więźniów podpierających ogrodzenie mi zagraża.

I znowu wykorzystuję czas, żeby sprawdzić fakty, o których William opowiadał w warsztatach. Poprawia parę pomyłek co do ceny kokainy i jeszcze raz tłumaczy, jak rozrzedza się czystą heroinę, a potem porcuje na jednogramowe działki i pakuje w torebki. Pytam go, co zamierza robić, gdy za dwanaście tygodni wyjdzie z więzienia.

– Zajmę się ratownictwem – mówi.

– Ratownictwem? – powtarzam, myśląc, że to ma coś wspólnego z żegluga.

– Tak, będę skupował stare samochody, naprawiał je, załatwiał przegląd techniczny i potem je sprzedawał na tutejszych osiedlach.

– Czy będziesz mógł z tego przyzwoicie wyżyć? – pytam.

– Mam nadzieję, Jeffrey – odpowiada – bo robię się za stary (ma trzydzieści pięć lat) na tę zabawę. Zresztą i tak wystarczająco dużo członków mojej rodziny

naraża państwo na wydatek tysiąca funtów tygodniowo, żebym jeszcze ja był ciężarem dla podatników. A wiesz – dodaje – gdyby mnie wypuścili w zeszłym tygodniu, to pewnie bym kogoś zamordował. – Staję w miejscu i niewiele brakuje, żeby Paul i Del Boy na mnie wpadli. – Brat mi przed chwilą powiedział – wskazuje wysokiego, ciemnowłosego młodego człowieka przy siatce – że Brinie, naszą siostrę, porwano w ubiegłym tygodniu i wielokrotnie zgwałcono, a ponieważ prawie cała rodzina siedzi w więzieniu, nic nie mogliśmy zrobić. – Odebrało mi mowę. – Ten drań został aresztowany, więc miejmy nadzieję, że tym razem sędzia wyda właściwy wyrok. – Milknie na chwilę. – Ale lepiej byłoby dla niego, żeby nie trafił do więzienia, w którym siedzi jeden z moich braci. Chociaż ma duże szanse – dodaje po chwili.

Kiedy zakręcamy, pokazuje mi wieżowiec w oddali.

– Stamtąd Patrick, inny mój brat, spadł i się zabił. – (Czy zauważyliście, że pani Keane wszystkim synom nadała imiona świętych i królów?) – Właśnie wtedy na jego pogrzebie była cała nasza rodzina i połowa londyńskiej policji, o czym ci mówiłem. – Milknie i po chwili ciągnie dalej: – Teraz mówią, że może go wypchnięto. Dowiem się czegoś więcej, jak tylko stąd wyjdę, a jeżeli tak...

Jaką można mieć nadzieję, że ten człowiek wytrwa na wolności? – zadaję sobie pytanie. Dowiedziałem się kilka miesięcy później, kiedy spotkałem jeszcze innego z jego braci⁴⁰.

Kiedy William odchodzi do brata, spostrzegam, że Del Boy i Paul zostali zastąpieni przez Tony'ego i Davida. David (pięćdziesiąt pięć lat, posiadanie broni) ma nadwagę, jest bez kondycji i z trudem za mną nadąża. Następną osobą, która do mnie podchodzi, jest młody, bystry, pełen życia Antylczyk, którego historii nie przytoczę, gdyż jest ona lustrzanym odbiciem przypadku Petera Fabriego. On też nie ma najmniejszego zamiaru ryzykować, gdy wyjdzie z Belmarsh. Przyznaje jednak, że wie teraz o wiele więcej o przestępstwach niż przed pobytem w więzieniu. Zapoznał się też z narkotykami w celi, którą dzieli z dwoma innymi więźniami.

– Jestem czysty, człowieku – mówi, zacierając dłonie. – Ale jeden chłopak w mojej celi, który wychodzi w przyszłym tygodniu, pierwszy raz spróbował heroiny. Wpadł, człowieku, mówię ci, jak śliwka w kompot.

Panie ministrze spraw wewnętrznych, co pan na to?

Przechodzę obok łobuzów, którzy ani drgnęli w ciągu ostatnich czterdziestu minut i posyłają mi tylko złe spojrzenia. Jestem pewien, że tym razem nie odważą się na żadne ryzyko.

O czwartej wzywają nas do powrotu blok za blokiem. Kilku więźniów, którzy wychodzą w przyszłym tygodniu, w tym Peter (któremu zaproponowano czterdzieści tysięcy funtów za zabicie świadka), Denzil (przyjdź i zobacz mnie, jak będę gwiazdą) i Liam (czy potrzebuję obrońcy, czy mam reprezentować sam

siebie?), podchodzi do mnie, żeby uścisnąć mi rękę i życzyć szczęścia. Modłę się w duchu, żeby nigdy więcej nie zobaczyli Belmarsh od środka.

4.00 po południu

W celi zastaję kolejną stertę listów czekającą na łóżku, a właściwie trzy sterty. Zabieram się do czytania. To bardzo pożyteczne, że cenzor musi otworzyć każdą kopertę. Jestem szczególnie wzruszony listem, który Freddie Forsyth wysłał do gazety „Daily Telegraph” i w którym pisze o tym, jak wysoki dostałem wyrok, i o kwotach, jakie zebrałem na cele dobroczynne. Redaktor listu nie zamieścił.

5.49 po południu

Ostatnie wezwanie na kolację. Pierwsze skrzydło zawsze wypuszczają najpierw i wzywają do powrotu na końcu, gdyż najczęściej jest tu więźniów skazanych na dożywocie, którzy spędzą więcej czasu w zamknięciu niż inni z tego bloku. To logika więzienna, o tyle mająca sens, że fluktuacja więźniów w pozostałych trzech skrzydłach waha się od 10 do 20 procent tygodniowo, więc nikt nie ma zamiaru się skarżyć.

Schodzę do kuchenki, ale tylko po to, żeby odfajkowano moje nazwisko, zabieram termos z gorącą wodą i przyrządzam sobie Cup a Soup (pomidorowa, 22 pensy), po czym zjadam batonik Mars (31 pensów) i pogryzam przydzielone więzienne jabłko, kontynuując czytanie dzisiejszych listów.

6.30 wieczorem

Biorę do ręki esej krytyczny Colina o książce Franka McCourta *I rzeczywiście*. Znaczna poprawa w porównaniu z pierwszą próbą. Rozwiązał kwestię, ile należy wyjawiać treści, zanim się wyrazi opinię krytyczną. Widać jest człowiekiem, który natychmiast bierze sobie do serca wskazówki, jakich mu się udzieli. Czytam teraz jego wiersz.

Uniwersytet Belmarsh

Otwórz labirynt czasu
przepędź mrok
przekreśl minione zbrodnie
umysł napelnięny wiedzą
to istny cud
Można go kształcić, można giąć i prostować
rozwijać ze wszech miar
jak otwarty na całe życie problem

Chociaż zamknięty, możesz widzieć szerokie przestrzenie
Ciało w pułapce
ale umysł wolny
zdumiewać się może wszechświatem
i wzrastać jak drzewo zieloną nadzieją
No to idę do biblioteki
biorę książkę do ręki.
Nie powstrzymają mnie
kose spojrzenia spod celi
ani taksujący mój zamiar bibliotekarz,
który ochoczo zachęca:
kształć się, rozwijaj ciemność.
Colin Kitto, maj 2001

Blok 1, Belmarsh, Więzienie Jej Królewskiej Mości

Ten wiersz mówi dużo o jego autorze, wyjawia, dokąd zmierza i skąd przychodzi. Jestem pewien, że nim odsiedzi wyrok, zdobędzie upragniony dyplom Ruskin College. I trzeba pamiętać, że ten człowiek nie umiał czytać ani pisać, zanim trafił do więzienia.

Ktoś delikatnie puka do drzwi. Podnoszę głowę i widzę, że jakiś strażnik zagląda przez podłużne okienko w drzwiach celi. Prosi mnie o autografy dla swoich córek, Joanny i Stephanie.

– Obie przepadają za pańskimi książkami – tłumaczy i po chwili dodaje: – Chociaż muszę przyznać, że ja nie czytałem ani jednej.

Nie otwiera drzwi celi, wsuwa tylko pod spód dwie kartki. Dziwi mnie to. Potem się dowiaduję, że funkcjonariuszowi więziennemu nie wolno otwierać drzwi celi, jeżeli nie jest na służbie.

– Na początku tygodnia będę miał wolne – mówi mężczyzna, podniósłszy kartki z moimi podpisami – więc gdybym pana już nie zobaczył, życzę pomyślnego wyniku apelacji.

7.30 wieczorem

Otwieram zbiorek opowiadań, który ktoś zostawił na stoliku koło telewizora na parterze. Nosi tytuł: *The Fallen*, a autor, John MacKenna, jest mi nieznany. Nie jest gawędziarzem, jak często bywają Irlandczycy, ale życzylbym sobie takiej siły lirycznej, z jaką pisze.

9.50 wieczorem

Przeczytałem cały tomik Johna MacKenny za jednym posiedzeniem (na brzegu łóżka) – co za śmiała, pewnie zarysowana proza, pełna czułego zrozumienia dla rodaków autora i dla jego kraju. Dochodzę do wniosku, że Bóg dał Irlandczykom dar pięknego języka i po namyśle dorzucił ziemniak.

Dzień 18

Niedziela, 5 sierpnia 2001

6.00 rano

Znowu dobrze przespana noc.

Wczoraj pisałem sześć godzin, trzy posiedzenia po dwie godziny, czytałem trzy – z listami łącznie – i spałem osiem. Na wolności, tam gdzie jesteście, zawsze mi wystarczało pięć godzin snu. Prawdę mówiąc, pisanie jest próbą wypełnienia dnia i wieczoru nieustanną aktywnością. Żal mi więźniów, którzy muszą jakoś zająć sobie te godziny i nie umieją czytać ani pisać.

8.00 rano

Śniadanie. Jajko i fasolka na toście, drugi dzień z rzędu. Nie narzekam. Zawsze lubiłem jajka i fasolkę.

9.30 rano

Słyszę, jak dyżurny strażnik ze stanowiska na parterze wzywa krzykiem katolików.

Naciskam przycisk, który zapala czerwone światło na zewnątrz drzwi celi – zwane „obsługą pokojów” – żeby zasygnalizować, iż chcę pójść do kaplicy. Nikt nie otwiera drzwi. Kiedy wołają drugi raz, ponownie naciskam brzęczyk, ale nadal nie ma odpowiedzi. Gdy znowu wołają, walę w drzwi, ale bezskutecznie. Wprawdzie nie jestem katolikiem, ale za radą Williama Keane’a chciałbym posłuchać kazania ojca Kevina.

10.03 rano

W końcu zjawia się Cousins i tłumaczy, że ponieważ nie jestem katolikiem,

dyżurny doszedł do wniosku, iż moje nazwisko pomyłkowo znalazło się na innej liście, i z powrotem wpisał mnie na listę wyznawców anglikanizmu. Klnę pod nosem, bo nie chcę stanąć do raportu. Moje przekleństwa to „cholera” albo „do diabła”.

– Możesz pan iść do katolików w przyszłym tygodniu – mówi Cousins. – Tylko trzeba nas odpowiednio wcześniej uprzedzić.

– Mam nadzieję, że nie będzie mnie tutaj w przyszłym tygodniu – zauważam.

Uśmiecha się. Widzę, że przyznaje, iż jego kolega się pomylił, więc dochodzę do wniosku, że może jest to okazja, aby zapytać, jak problem narkotyków jest widziany z drugiej strony żelaznej bariery. Ku mojemu zaskoczeniu Cousins szczerze, niemal entuzjastycznie przedstawia swoje poglądy.

Cousins nie próbuje udawać, że w więzieniu nie istnieje problem narkotyków. Tylko głupiec by udawał. Przyznaje, że ponieważ kontrole są z konieczności pobieżne, nie jest wcale trudno przekazywać narkotyki z oddziału na oddział, z bloku na blok, a nawet podać przez stół podczas odwiedzin rodziny.

– Niewielu z nas – mówi – sprawiłoby przyjemność zakładanie gumowych rękawiczek i grzebanie więźniom w tyłkach kilka razy dziennie. A nawet gdybyśmy posunęli się do takiej ostateczności, więźniowie by po prostu połykali narkotyki, co by przysporzyło jeszcze więcej problemów. Ale – ciągnie – i tak robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zapobiegać i leczyć, i nawet mamy sukcesy. – Milknie na chwilę. – Ale niewielkie – dodaje.

Więzień, który przychodzi do Belmarsh, zostaje poddany testowi na narkotyki. Przeprowadza się analizę moczu, która wykrywa obecność narkotyków, ale gorzej jest z heroiną, którą można wyplukać z organizmu w ciągu dwudziestu czterech godzin. Większość innych narkotyków pozostawia ślad w krwi lub moczu przez co najmniej cztery tygodnie. Badania więźniów w dniu przyjęcia do więzienia u 70 procent wykrywają obecność narkotyków, w tym u 20 procent – heroiny, nawet z poprawką na te dwadzieścia cztery godziny. Gdyby Cousins podał mi owe liczby zaledwie trzy tygodnie temu, ogrom problemu by mnie oszołomił. Teraz przyjmuję takie rewelacje jako część codzienności więziennej.

– Najwięcej sukcesów – ciągnie Cousins – mamy wśród więźniów wychodzących na zwolnienie warunkowe, bo kiedy kończy się im wyrok, muszą się regularnie zgłaszać do ośrodka dobrowolnych testów narkotykowych – znajdują się takie w każdym więzieniu – aby udowodnić, że nie są już uzależnieni, co wpisze się im do dokumentów i co może wpłynąć na skrócenie wyroku. Nie wiemy jednak – dodaje – ilu znowu zaczyna brać narkotyki zaraz po wyjściu na wolność. Ale w ciągu ostatnich lat zrobili krok, który może w większym stopniu pomóc w rozwiązaniu problemu.

W 1994 roku założyliśmy specjalistyczny zespół zajmujący się

przeszukiwaniami, zwany łowcami duchów, który może przeprowadzić nagłą rewizję pod kątem narkotyków w poszczególnych celach, a nawet na całych oddziałach czy blokach. Ten zespół funkcjonariuszy służb więziennych został utworzony po ucieczce członków IRA z Whitemoor w 1993 roku, ale po tym, jak wszystkich terrorystów odesłano do Ulsteru po zawarciu porozumienia wielkanocnego, zespół przeniósł swoje zainteresowania z terroryzmu na nadużywanie nielegalnych substancji odurzających. Odniósł duży sukces, odkrywając wielkie ilości narkotyków i stawiając przestępców w stan oskarżenia. Ale – dorzucą Cousins po chwili namysłu – muszę przyznać, że odsetek narkomanów nie maleje, a mówię to jako dawny członek tego zespołu. Możliwe, że fakt, iż ten odsetek nie rośnie, jest już osiągnięciem.

Słyszę, że po raz pierwszy wzywają z parteru na nabożeństwo anglikańskie, więc dziękuję Cousinsowi za wykład i za szczerość.

10.30 rano

Zgłaszam się na środkowe piętro i dołączam do grupy więźniów pragnących uczestniczyć w porannym nabożeństwie. Ustawiamy się w kolejce i jak zwykle zostajemy zrewidowani, po czym prowadzą nas do kaplicy. Malcolm (oficer Armii Zbawienia) dziwi się na mój widok, bo wczoraj mu powiedziałem, że wybieram się na mszę katolicką, aby posłuchać kazania ojca Kevina. Opisuję mu ze szczegółami, w jaki sposób trafiłem z powrotem do jego trzódki, a potem zajmuję swoje miejsce w drugim rzędzie.

Żadnej grupy śpiewaczej w tym tygodniu, tylko muzyka z taśmy, co utrudnia Malcolmowi zadanie, szczególnie jeżeli chodzi o uciszenie roztrajkotanych tylnych sześciu rzędów. Mój wzrok zatrzymuje się na dwóch Libańczykach, handlarzach narkotyków, siedzących z tyłu w najdalszym kącie. Są pogrążeni w rozmowie. Wiem, że przebywają w innych skrzydłach, a zatem wykorzystują cotygodniowe okazje, żeby wymienić się informacjami o swoich klientach. Ile razy odwracam się i na nich patrzę, mają głowy pochylone, ale bynajmniej nie w modlitwie.

Kazanie w tym tygodniu opiera się na Ewangelii według św. Łukasza. Jest to przypowieść o dziewięćdziesięciu dziewięciu owieczkach, które są bezpieczne w zagrodzie, podczas gdy pasterz idzie na poszukiwania tej jednej zbłąkanej. Malcolm stoi przed zgromadzeniem ponad dwu setek zbłąkanych, z których większość nie ma najmniejszego zamiaru powrócić do zagrody.

Ale się nie poddaje, wytrwale przemawiając do serc wiernych w pierwszych sześciu rzędach, i odnosi pewien sukces. Pod koniec nabożeństwa jego żona czyta lekcję, a po udzieleniu błogosławieństwa Malcolm zwraca się do wiernych, aby wystąpili do przodu i złożyli ślubowanie. Co najmniej czterdziestu więźniów wstaje z miejsc i podąża do przodu. Każdy otrzymuje błogosławieństwo, po czym

składa podpis w księdze.

Wyglądają mi na tych samych co tydzień temu czterdziestu kandydatów do zbawienia.

12.00 w południe

Lunch. Zadowolam się fasolką z tostem, jabłkiem i kubkiem wody. Powiniennem w jakimś momencie napisać rzecz oczywistą, mianowicie, że alkohol jest zakazany, co nie jest dla mnie dotkliwą stratą, gdyż rzadko piję więcej niż kieliszek czerwonego wina wieczorem.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. Pędzę na dół, ściskając kartę telefoniczną z trzynastoma jednostkami zaoszczędzonymi dla Mary. Przed obydwoma automatami ustawily się już długie kolejki. To jedna z wad najwyższego piętra.

Patrzę w stronę wielkiego telewizora na środku sali. Kilku więźniów ogląda popołudniowy film z Tomem Hanksem i Geeną Davis. To historia żeńskiej drużyny baseballowej, utworzonej w 1942 roku, kiedy po wybuchu drugiej wojny światowej męskie zespoły musiały się rozwiązać.

Co chwilę odwracam głowę, ale kolejka zdaje się nie skracać, więc dalej patrzę na film. W tym czasie podchodzi do mnie kilku więźniów.

Del Boy (morderstwo), aby mi powiedzieć, że skądś wytrzasnął tygodniowe menu do mojego dziennika.

Fletch (morderstwo) chce przyjść do mnie do celi o szóstej i coś mi przeczytać. Pytam, czy nie mógłby przyjść o siódmej, bo o szóstej będę jeszcze pisał.

– Jak najbardziej – mówi. – Nigdzie się nie wybieram. – Więzienny humor.

Tony (tylko marihuana, uciekł do Paryża) pochyla się do mnie i pyta, czy mógłbym z wczorajszego tekstu wykreślić imię jednej z jego dziewczyn. Zgadzam się i odnotowuję tę prośbę.

Widzę Billy'ego (morderstwo) i polecam mu zbiór opowiadań Johna MacKenny, ale on mija mnie bez słowa. Chyba już nic nie powinno mnie dziwić.

Dennis (ciężkie uszkodzenie ciała, wielka torba z przyborami toaletowymi) poklepuje mnie po ramieniu. Opowiada o odwiedzinach swego synka z okazji jego pierwszych urodzin i jak nie może się doczekać, kiedy stąd wyjdzie i będzie z żoną i dziećmi. Witam w klubie!

Miah (morderstwo), oddziałowy fryzjer – zwany demonicznym golibrodą – obiecuje, że może wpaść do mnie jutro o siódmej wieczorem. Dziękuję mu i tłumaczę, że muszę być ostrzyżony przed wizytą Mary i chłopców w czwartek.

Rozglądam się i widzę, że kolejka do telefonu stopniała do trzech osób. Opuszczam Toma Hanksa i Geenę Davis i staję na końcu.

Kiedy nadchodzi moja kolej, jakiś więzień wpycha się przede mnie. Ponieważ jest podwójnym mordercą i na czterech palcach prawej ręki ma wytatuowany wyraz NIENAWIŚĆ, postanawiam nic nie mówić. Dziesięć minut później rzuca z trzaskiem słuchawkę telefonu i odchodzi, klnąc. Wolno wykręcam numer Cambridge i słyszę przypomnienie, że na mojej karcie pozostało tylko trzynaście jednostek. Mary podnosi słuchawkę. Ma pogodny głos i dużo nowin. Podróż do Drezna była udana i za granicą Mary poczuła się wreszcie normalnie. Może dlatego, że niemieckie brukowce nie mają takiej obsesji jak angielskie na punkcie mego uwięzienia. Towarzyszył jej William, służąc jako oparcie, podczas gdy James został w domu i pilnował gospodarstwa.

Pozostało dziesięć jednostek.

Mary mi mówi, że policja napomyka, iż może w ogóle nie będzie wszczynać śledztwa w związku z listem Emmy Nicholson. Tłumaczę, że mimo to zmieniono mi status, zaliczając mnie do kategorii C, i że chciałbym jak najszybciej wrócić do D. Zapewnia mnie, że Ramona i James się o to starają.

Pozostało siedem jednostek.

Mówię Mary, jak wiele listów dostaję każdego dnia, na co słyszę, że do domu i do Londynu przychodzi tyle, że brakuje godzin, aby na wszystkie odpowiedzieć. Ułożyła uniwersalną odpowiedź, żeby móc się zająć swoją pracą.

Pozostało pięć jednostek.

Mary dodaje, że nie dość, iż moi przyjaciele wykazali się stałością, to jeszcze otrzymuje od nich mnóstwo zaproszeń, a to na jacht, a to do ich domów wakacyjnych, a nawet jedno na safari. Zawsze wiedziałem, że mamy przyjaciół i na złą pogodę, ale obydwójce jesteśmy wzruszeni ogromnym poparciem ogółu społeczeństwa.

Pozostały trzy jednostki.

Powiadam Mary, że napisałem już ponad czterdzieści tysięcy słów dziennika, ale nie jestem pewien, jak go przyjmą moi stali czytelnicy. Na to Mary, że nie może się doczekać, kiedy przeczyta pierwszy szkic, i wtedy szczerze mi powie, jaka jest jej opinia. Nic więcej nie może zrobić.

Pozostała jedna jednostka.

Zaczynamy się żegnać i Mary jeszcze mi przypomina, że w czwartek zobaczę ją i chłopców. Będę czekał z utęsknieniem.

– Czy wiesz, jak bardzo...

Wszystkie jednostki zostały wykorzystane. Słyszę trzask i telefon milknie.

Odchodząc, słyszę za plecami okrzyk: „Wracać do cel!”. Niezawodny jak Big Ben, choć nie tak melodyjny. Musi być piąta.

6.05 wieczorem

Kolacja. Schodzę do kuchenki, zgłaszam się do Paula, który stawia ptaszek przy moim nazwisku – więźniowie pracują siedem dni w tygodniu, bez dni wolnych i świąt – i zabieram termos z gorącą wodą i lody czekoladowe. Po powrocie do celi przyrządzam Cup a Soup (grzybowa, 22 pensy), zjadam następnym batonik Mars (31 pensów) i rozkoszuję się lodami czekoladowymi (przydział więzienny).

7.00 wieczorem

Myję swój plastikowy talerz w zlewie, kiedy rozlega się pukanie. Oddziałowy otwiera drzwi celi i moim oczom ukazuje się potężna postać Fletcha. Całkiem zapomniałem, że miał do mnie przyjść, żeby mi coś przeczytać.

Uśmiecham się.

– Witam, witam – mówię niczym pajak do muchy.

Widzę, że ściska w rękę zielony zeszytek, trochę podobny do tych, w jakich pisaliśmy wypracowania szkolne. Rozmawiamy krótko o tym, do jakiego więzienia zostaną prawdopodobnie wysłani, Fletch dzieli się ze mną swoją opinią na temat zastępcy naczelnika, Leadera, po czym przystępuje do rzeczy.

– Czy chciałbyś, żebym ci coś przeczytał? – pyta.

– Oczywiście – odpowiadam, ciekaw, co to będzie: jakiś szkic, wiersz czy może pierwszy rozdział powieści.

Siadam na łóżku, a Fletch na plastikowym krześle (więźniom pozwala się na jedno krzesło w celi). Kładzie mały zeszytek w linię na moim stole, otwiera na pierwszej stronie i zaczyna czytać.

Choćbym miał dar opisu Greene’a i talent narracyjny Hemingwaya, i tak nie potrafiłbym oddać uczuć, jakie mną targały podczas następnych dwudziestu minut: odraza, gniew, współczucie, niedowierzanie i w końcu bezradność. Fletch odwraca kolejną stroniczkę, oczy ma pełne łez, kiedy wskrzesza demony swej przeszłości. Gdy dociera do ostatniej strony, ten olbrzym jest rozdygotanym wrakiem, a we mnie aż się gotuje od gniewu. Fletch zamyka zielony zeszytek, po czym obaj milczymy dłuższą chwilę.

Kiedy już mogę mówić, dziękuję mu za zaufanie, jakie mi okazał, dzieląc się ze mną tak okrutną tajemnicą.

– Nikomu w Belmarsh nie pozwoliłem tego czytać – mówi, stukając palcami w zeszytek. – Ale może teraz zrozumiesz, dlaczego nie będę składał apelacji od wyroku. Nie chcę, żeby cały świat dowiedział się o moich przeżyciach – szepcze. – Zabiorę tę tajemnicę do grobu.

Kiwam głową ze zrozumieniem i obiecuję dyskrecję.

10.00 wieczorem

Nie mogę spać. To, co Fletch czytał, nie może być zmyślane. Jest tak potworne, że musi być prawdziwe. Zasypiam na kilka minut i znów się budzę. Fletch usiłuje zapomnieć o przeszłości, poświęcając czas i energię na pełnienie obowiązków Powiernika, pomagając innym, dzieląc celę z zastraszanym więźniem, narkomanem albo może kimś, kto był ofiarą molestowania seksualnego.

Zapadam w sen. Budzę się. Za okienkiem mojej celi jest smolista ciemność, a ja czuję, że Fletch mógłby być jeszcze bardziej użyteczny bliźnim, gdyby jego historia była szerzej znana i prawda wyszła na jaw. Wtedy takim naiwnym jak ja, którzy wiedli życie pod kloszem, bielmo spadłoby z oczu.

Postanawiam, że jak tylko wypuszczą mnie z celi, powiem mu, że zmieniłem zdanie. Zasugeruję mu, że zrobi o wiele więcej dobrego, ujawniając, co mu się przydarzyło, niż zachowując milczenie. Budziłem się w nocy pięć albo sześć razy, wciąż wracając myślami do Fletcha. Ale szczególnie jedna jego uwaga nie daje mi spokoju: *Pięćdziesiąt procent więźniów w Belmarsh może ci opowiedzieć podobną historię. Jeffrey, mój przypadek nie jest wyjątkowy.*

Decyduję, że użyję całej siły przekonywania, żeby go nakłonić do zgody na opublikowanie wszystkiego, bez przemilczeń, co zawiera zielony zeszytik.

Dzień 19

Poniedziałek, 6 sierpnia 2001

5.17 rano

Mam za sobą bezsenną noc. Wczesnie wstaję i piszę przez dwie godziny. Skończywszy, krążę po celi, i myślę, że gdybym dostał do rąk zielony zeszytik Fletcha, mógłbym głębiej zastanowić się nad jego treścią.

8.00 rano

Wiem, że zjadłem miskę Corn Pops z zestawu Variety, bo widzę puste pudełko w koszu od śmieci, ale nie pamiętam kiedy. Dalej krążę po celi.

9.00 rano

Oddziałowy otwiera drzwi celi. Zbiegam na parter, gdzie się dowiaduję, że Fletcha zawsze wypuszczają o ósmej, aby mógł pójść do warsztatów i przygotować wszystko przed przybyciem innych więźniów. Ponieważ ma długoletni wyrok, traktuje to jak prawdziwą pracę. Jest majstrem i zarabia do czterdziestu funtów miesięcznie. Mógłbym tam pójść, ale trudno byłoby swobodnie rozmawiać z Fletchem przy siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu więźniach kręcących się wokół. Tony mówi, że Fletch przyjdzie na obiad o dwunastej i będzie miał godzinę przerwy do pierwszej. Muszę czekać.

Wracam do celi, gdzie znajduję list wsunięty pod drzwi. Od Billy'ego Little'a (morderstwo). Przeprasza za swoje bezceremonialne zachowanie podczas Godziny Wspólnej poprzedniego wieczoru. Sierpień zawsze jest dla niego pechowy, tłumaczy, i nie jest wtedy dobrym towarzyszem z kilku powodów:

Widziałem ostatnio mojego syna w sierpniu 1998 roku, moja ukochana babcia umarła w sierpniu, potworny mord popełniłem 22 sierpnia 1998 roku. Możesz sobie wyobrazić, jaką mam skołataną głowę.

Nawet nie próbuję sobie tego wyobrazić, co przyznaję, odpowiadając na jego list. Dalej Billy pisze:

W tym okresie spędzam dużo czasu sam ze sobą. Ci, którzy mnie nie znają, mogą odnieść wrażenie, że jestem nieokrzesany i nieprzystępny. Za co przepraszam.

Jutro o tej porze będziesz się plawił w słońcu nad basenem, a przynajmniej tak się poczujesz w Spring Hill w porównaniu z Piekielnymi Błotami. W pewnym sensie masz szczęście, że spędziłeś tutaj tylko krótki czas, czas, w którym w bezruchu więzienny tchnąłeś życie.

W ciągu ostatnich trzech tygodni odczuleś niechęć innych więźniów, którzy wierzą mocno, że równość powinna być praktykowana nawet w więzieniach. Niewątpliwie pamiętasz słowa z operetki Gondolierzy Gilberta i Sullivana: kiedy każdy jest kimś, to nikt nie jest byle kim.

Próbuję powiedzieć, że Twoja pozycja, życzliwość i gotowość pomocy i radzenia innym nie przeszła niezauważona przez tych, którym jest przeznaczone spędzić o wiele więcej czasu za murami.

Za to i za Twoją zachętę, abym poważnie pomyślał o pisaniu, dziękuję Ci. Chciałbym skorzystać z Twojej propozycji utrzymania kontaktu, a szczególnie ocenienia mojej pierwszej powieści.

Będę tu mieszkańcem jeszcze przez miesiąc albo dwa, albo trzy, a potem mnie przeniosą do głównego ośrodka dla dożywotnich pierwszego stopnia⁴¹ (Billy jest w Belmarsh dwa lata i siedem miesięcy). Podam Ci swój adres, jak tam osiądę. Mój numer jest na końcu tego listu.

Jesteś Primus inter pares.

*Twój Billy
(BX7974)*

Siadam przy stole i od razu odpisuję.
12.00 w południe

Fletch wraca z warsztatów i zastaje mnie pod drzwiami swojej celi. Wchodzi do środka i mnie zaprasza⁴². Pytam, czy mógłby mi wypożyczyć zielony zeszyt, bo chciałbym się dokładniej zapoznać z relacją, którą mi czytał wczoraj wieczorem. Waha się chwilę, po czym kieruje się do półki nad łóżkiem, przeszukuje ją i wyciąga zielony zeszyt. Podaje mi go bez słowa.

Chwytam jabłko na lunch i wracam do celi. Czytanie historii Fletcha jest nie mniej bolesne niż jej słuchanie. Czytam ją trzy razy, a potem znowu krążę po celi. Jakoś będę musiał go nakłonić, żeby się zgodził zamieścić ją w tym dzienniku.

3.37 po południu

Drzwi celi otwiera Bentley i zawiadamia, że chce mnie widzieć zastępca naczelnika. Kiedy wędruję pod eskortą do biura Leadera, zastanawiam się, jaką złą wiadomość ma dziś dla mnie w zanadrzu. Czy zostaną wysłany do Parkhurst, czy do Brixton, a może zdecydowali się na Dartmoor? Już od samych drzwi wita mnie miły uśmiech Leadera. Jego zachowanie i stosunek do mnie całkiem się zmieniły. Jest serdeczny i przyjacielski, co napawa mnie nadzieją, że będzie zwiastunem lepszych wieści.

Jak mówi, właśnie dostał wiadomość z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, że nie przeniosą mnie do Camphill na wyspie Wight ani do Elmer w Kencie, lecz do więzienia Wayland. Marszczę brwi. Nigdy nie słyszałem o Wayland.

– To w Norfolk – objaśnia. – Kategoria C, duża swoboda. Rozmawiałem już z naczelnikiem – dodaje – i tylko jeszcze jedna osoba z personelu wie, dokąd pan się uda.

Traktuję to jako wskazówkę, że nie należy mówić nikomu na oddziale

o miejscu mojego przeznaczenia, jeżeli nie chcę odbywać podróży w towarzystwie dziennikarzy ze wszystkich gazet. Potakuję skinieniem głowy i pojmuję, dlaczego podjął tak niezwykajny krok i spotkał się ze mną sam na sam. Już chcę zadać mu pytanie, kiedy słyszę odpowiedź:

– Zamierzamy przenieść pana w czwartek.

Jeszcze tylko trzy dni w Piekielnych Błotach, to moja pierwsza myśl. Zadaję kilka pytań, dziękuję i wracam do celi bez eskorty. Przez całą następną godzinę zastanawiam się nad każdym słowem Leadera. Przypominam sobie, że gdy go spytałem, co by wybrał, Wayland czy wyspę Wight, odpowiedział bez wahania, że Wayland.

W więzieniu należy co dzień podejmować walkę, żeby ostatecznie wygrać wojnę. Pierwszym krokiem było dla mnie wyrwanie się z oddziału medycznego i przejście do bloku trzeciego. Drugim – wydostanie się z bloku trzeciego (Bejrutu) i przeniesienie do bloku pierwszego, gdzie przebywa się wśród bardziej dojrzałych więźniów. Następnym będzie przeprowadzka z Belmarsh do więzienia kategorii C. Potem będę naciskał, żeby przywrócono mi status więźnia kategorii D i jak najszybciej pozwolono zamienić Wayland na więzienie otwarte. Ale to jutrzejsza walka. Kilku więźniów wypisało na ścianie: „Przyjmij każdy dzień, jaki jest”.

4.00 po południu

Próbuję pisać, ale tyle się dziś wydarzyło, że trudno mi się skupić. Zjadam tabliczkę czekolady Cadbury z rodzynekami i orzechami (32 pensy) i wypijam kubek Evian (49 pensów) z dodatkiem soku z czarnej porzeczki Robinson's (97 pensów).

6.00 wieczorem

Kolacja. Łapię Fletcha w kolejce do kuchenki, zgadza się przyjść do mnie o siódmej.

– Miah (morderstwo) będzie mnie strzygł o siódmej – mówię mu – więc może umówmy się na piętnaście po siódmej.

Nie mogę odwołać spotkania z fryzjerem, bo ciągle mam nadzieję, że w czwartek odwiedzi mnie żona.

7.00 wieczorem

Godzina Wspólna. Siedzę cierpliwie na krześle na podeście drugiego piętra i czekam, kiedy przyjdzie Miah. Nie pojawia się o umówionym czasie, więc wracam do celi i czekam na Fletcha. Przychodzi punktualnie i przysiadła na łóżku.

Nie bawi się w żaden wstęp.

– Jak chcesz, możesz zamieścić ten mój kawałek w swojej książce – mówi. – I miejmy nadzieję, że będzie z tego jakiś pożytek.

Wyjaśniam mu, że jeżeli jakaś gazeta krajowa opublikuje mój dziennik w odcinkach, to jego słowa przeczytają miliony ludzi i politycy będą musieli w końcu przestać udawać, że to się nie zdarza, albo po prostu zostaną uznani za współwinnych.

Czytamy tekst linijka po linijce, uzupełniając takie szczegóły, jak nazwiska, daty i miejsca, żeby przygodny czytelnik mógł się zorientować w kolejności wydarzeń. Tony (tylko marihuana) dołącza do nas kilka minut później. Okazuje się, że jest jedyną poza mną osobą, która czytała relację Fletcha, i staje się jasne, że to za jego radą Fletch zdecydował się nie tylko opisać swoje przeżycia, ale także udostępnić je szerszej publiczności.

Ktoś puka do drzwi. To Miah (morderstwo). Przeprasza, że nie przyszedł, jak się umawialiśmy, ale dopiero co skończył dyżur w kuchence. Wyjaśnia, że nie znajdzie dla mnie czasu jutro, bo ma mnóstwo zajęć, ale może mnie ostrzec podczas Godziny Wspólnej we środę. Grożę mu, że jeśli mnie zawiedzie w środę, to go zabiję, bo w czwartek ma mnie odwiedzić żona i muszę jak najlepiej wyglądać. Miah się śmieje, kłania się i wychodzi. Zabiję go. Powiedziałem to bezmyślnie do człowieka skazanego za morderstwo. Miah jest nieduży i drobny, mężczyzna, którego zamordował, miał posturę boksera wagi ciężkiej. W dziwnym świecie żyję.

Fletch, Tony i ja kontynuujemy pracę nad tekstem, a gdy kończymy, Fletch wstaje i podaje mi rękę na znak, że umowa zawarta.

8.00 wieczorem

Przez następne dwie godziny przepisuję słowa Fletcha, uzupełniając tekst, tylko jeżeli podał mi konkretne szczegóły, tło albo nazwiska. Kiedy zapisuję ostatnie zdanie, przepełnia mnie jeszcze większy gniew niż wczorajszego wieczoru, gdy Fletch czytał mi swoje wyznanie.

10.00 wieczorem

Leżę, nie śpiąc, na wąskim, twardym więziennym materacu, z głową wspartą na jeszcze cieńszej, twardszej więziennej poduszce i myślę o tym, jak przyzwoici, normalni ludzie zareagują na opowieść Fletcha. Bo każdy z nas może powiedzieć: dzięki ci Boże, że to nie ja.

Oto słowa więźnia zwanego Fletchem (morderstwo, wyrok dożywocia, minimalny wymiar kary dwadzieścia dwa lata).

Nazywam się ...⁴³. Mam trzydzieści osiem lat i odsiaduję karę dożywotniego więzienia za morderstwo, którego nie popełniłem, czego żałuję. Całe moje życie było od początku spięprzone. Urodziłem się w Morryston w Walii i chociaż kochałem moją rodzinę, to tylko z sześcioma osobami w życiu łączyły mnie prawdziwe więzi, to znaczy prawdziwe w moim pojęciu. Takie więzi, że człowiekowi chce się wracać do domu i żał mu wychodzić rano do pracy.

Poznałem moją żonę, kiedy miałem osiemnaście lat, i jeszcze dziś gotów byłbym dla niej umrzeć. Byliśmy razem dwadzieścia lat, choć każde z nas miało w tym czasie kochanków. Z tych sześciu związków, jakie miałem w życiu, dwa były z mężczyznami, i tu zaczynają się komplikacje. Ponieważ w dzieciństwie przez lata wykorzystywano mnie seksualnie, nigdy naprawdę seks, czy to z mężczyzną, czy z kobietą, nie sprawiał mi przyjemności.

Nawet dziś nie znoszę kontaktu seksualnego i przyznaję, że to był powód rozpadu moich związków. Zawsze dobrze się spisywałem seksualnie, ale nie ponadto, i prawdę mówiąc, był to obowiązek niedający mi żadnej satysfakcji.

Nie mogłem się zdobyć, żeby wyznać mojej żonie prawdę o swojej przeszłości, mimo razem przeżytych dwudziestu lat. Łatwo powiedzieć, że byłeś molestowany, i zrzucić winę na kogoś innego. Łatwo mówić, że nie można było nic na to poradzić, i praktycznie niemożliwe, aby tego dowieść.

To prawda, że nie miałem pojęcia, że to, czego doświadczam, nie jest normą. Czyż nie każde dziecko przez to przechodzi? Moje dzieciństwo skończyło się w wieku dziewięciu lat, kiedy wysłano mnie do domu dziecka. Z dnia na dzień stałem się zabawką w rękach tych, którzy byli powołani, żeby się mną opiekować, tych, którzy sprawowali władzę. Załatwili nawet nakaz sądowy, żeby nie można było mnie przenieść gdzie indziej i żeby nadal mogli mnie wykorzystywać.

W latach siedemdziesiątych kara cielesna była powszechnie stosowana w domach dziecka. Dla części personelu to był po prostu sposób na sprawianie sobie frajdy. Najpierw bili małych chłopców trzcina, aż ci krzyczeli z bólu, a potem ich pieprzyli do utraty przytomności. Dziewięciu mężczyzn, którzy jako dzieci przebywali w tym domu, może to potwierdzić; dwóch ma żony i dzieci, dwóch jest gejami, pięciu siedzi w więzieniu.

Dwóch z tych pięciu odsiaduje dożywotni wyrok za morderstwo.

Po jakimś czasie wykorzystywanie seksualne staje się formą miłości i czułości, bo jeśli nie chcesz, żeby cię bito trzcina albo pasem, poddajesz się i prędko się godzisz, żeby cię gwałcono. Jako dwunastoletni chłopak wiedziałem więcej o perwersji i przemocy, niż ktokolwiek z was czytał albo oglądał w kinie, a co dopiero doświadczył.

Zanim skończyłem dwanaście lat, byłem wykorzystywany seksualnie przez personel mojego domu dziecka w ..., lokalnych pracowników opieki społecznej, opiekunów i kuratora sądowego. Wszystkie te profesje przyciągają pedofilów

i chociaż stanowią oni mniejszość (20%), wiedzą o sobie i nawiązują kontakty oraz, co najbardziej przerażające, wzajemnie się ochraniają.

Znałem dzieciaka, który w wieku czternastu lat był na tyle wygadany, że poskarżył się zwierzchnikom, do czego go przymuszano, więc po prostu przenosili go z miejsca na miejsce, żeby uniemożliwić dochodzenie, a tymczasem inni pedofile wciąż go molestowali.

Kiedy miałem trzynaście lat, uciekłem i skierowałem się do Kiedy dotarłem do ..., sypiałem pod gołym niebem w Tam pierwszy raz spotkałem mężczyznę nazwiskiem ..., który ofiarował mi miejsce do spania. Wieczorem mnie upił, co nie jest trudne, gdy się ma do czynienia z trzynastolatkiem. Zgwałcił mnie, a potem zaczął mnie stręczyć innym pedofilem. Ilekroć czytacie w prasie brukowej o męskich prostytutkach, nie sądzcie, że chłopcy robią to z własnego wyboru albo że dostają za to pieniądze. Często bywają zamknięci i pilnowani jak inne prostytutki i mają mało albo nic do powiedzenia o swoim życiu. W łapach ... pozostawałem przez pół roku. Sprowadzał do mieszkania sędziów, dyrektorów szkół, policjantów i innych szacownych obywateli, którzy są trzonem naszego społeczeństwa (mogę opowiedzieć o znamionach, zranieniach i cechach szczególnych prawie wszystkich tych mężczyzn). Pewnego wieczoru na East Endzie, kiedy ... stręczył mnie, wciąż trzynastolatka, klientowi, zostałem aresztowany przez policję. Z komisariatu zabrał mnie pracownik opieki społecznej, po czym oddał do domu dziecka w Dom był pod nadzorem sędziego pokoju Przez następne dwa tygodnie sędzia pieprzył mnie dzień i noc, a potem wydał nakaz sądowy, żeby mnie umieszczono z powrotem w [pierwszym domu dziecka], gdzie znów byłem bity i wykorzystywany seksualnie. Po dwóch miesiącach zostałem przeniesiony do ... i umieszczony w szpitalu dla dzieci upośledzonych emocjonalnie. I znowu personel mnie molestował, z tym że ci ludzie mieli o wiele bardziej skuteczną broń niż chłosta. Grozili, że zaaplikują mi wstrząsy elektryczne, jeśli będę się opierał. Znów uciekłem, wróciłem do ... i od tamtej pory tam żyłem. Miałem wtedy zaledwie czternaście lat i ... szybko mnie odnalazł. Tym razem zainstalował mnie w mieszkaniu przyjaciela, gdzie dymało mnie siedmiu albo ośmiu facetów dziennie. Niektórzy okładali mnie pasem, inni zadawali mi ciosy pięściami; robili to przed, w trakcie albo po stosunku. Kiedy było po wszystkim, zostawiali mi drobny prezent (pieniądze albo upominek) na poduszce. Nie na wiele się to przydawało, bo nigdy nie opuszczałem mieszkania, chyba że w towarzystwie

Mając piętnaście lat, wachałem klej, regularnie się upijałem i uprawiałem seks z tabunami facetów. Ale to już nie raniło. Nic nie czułem, taka po prostu była moja codzienność.

Tak żyłem, jeżeli można to nazwać życiem, jeszcze przez cztery lata, w którym to czasie pozowałem do zdjęć w pismach pornograficznych

i występowałem w pornograficznych filmach.

Kiedy skończyłem osiemnaście lat, ci faceci nie mieli już ze mnie pożytku, więc wyrzucili mnie na ulicę i zostawili samemu sobie. To wtedy popełniłem pierwsze w życiu przestępstwo. Włamałem się do domu towarowego Lillywhites. Zostałem aresztowany i wysłany do poprawczaka na sześć miesięcy. Kiedy mnie wypuścili, dalej prowadziłem życie przestępcze, do niczego innego nie byłem przygotowany.

Miałem już wtedy ponad sześć stóp wzrostu i ważyłem sto dziewięćdziesiąt funtów, więc nie było mi trudno znaleźć pracę w ochronie, która często ma powiązania z przestępczością.

W 1980 roku, w wieku osiemnastu lat, poznałem swoją przyszłą żonę, która nie miała pojęcia, gdzie naprawdę pracuję ani że przez dwanaście lat byłem obiektem seksualnym. W ciągu następnych pięciu lat urodziło się nam dwóch synów, a dwanaście lat później, w 1997 roku, postanowiliśmy się pobrać.

Zarabiałem już wtedy nieźle jako przestępca i wiodło mi się dobrze do chwili, kiedy zostałem aresztowany w 1997 roku za wyłudzenie świadczeń pieniężnych z Ministerstwa Spraw Społecznych. Przez kilka lat występowałem pod kilkoma nazwiskami z fałszywymi roszczeniami i wyłudziłem 2,8 miliona funtów, za co skazano mnie na trzy lata więzienia. Musieliśmy odłożyć ślub.

Przebywając w więzieniu, zacząłem listownie i telefonicznie uświadamiać żonę, że od pewnego czasu prowadziłem życie przestępcze. Ale dopiero gdy mnie zwolniono, zdradziłem jej trochę szczegółów z mojego nieszczęsnego dzieciństwa. Zareagowała natychmiast, z wrogością i odrazą. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie poskarżyłem się władzom na tych mężczyzn. Jakim władzom miałem się poskarżyć? Powiedziałem jej, że kiedy się to zaczęło, miałem dziewięć lat. W końcu to przedstawiciele władz mnie molestowali. A gdy skończyłem osiemnaście lat i nie mogli mieć już ze mnie żadnego pożytku, wyrzucili mnie na bruk. Nie mogła się z tym pogodzić. I tak znowu zostałem odepchnięty, ale tym razem przez kogoś, kto był dla mnie ważny, co tym bardziej bolało. Nazwała mnie plugawym facetem, który pozwalał się gwałcić sprośnym staruchom, bo pragnął miłości i czułości. W żaden sposób nie mogłem jej wytłumaczyć, jak było naprawdę.

Przez to, że byłem otwarty i szczerzy, straciłem jedyną osobę, którą naprawdę kocham. Ci złoczyńcy zrujnowali mi życie, a teraz pozbawili mnie żony i dwojga dzieci.

Chciałem tylko jednego: zabić tych pięciu diabłów, sprawców wszystkiego, a potem umrzeć w rękach policji.

Pięciu pedofilów zniszczyło moje życie, więc postanowiłem, że teraz pomogę im rozstać się z ich własnym. Szybko się dowiedziałem, że dwóch nie żyje, więc zostało mi tylko trzech. Oto ich nazwiska: ... , ... i Dokładnie

zaplanowałem, jak ich zabiję, a potem oddam się w ręce policji i umrę.

Pojechałem do ... , porwałem ... i przywiozłem do ... , zostawiając go w rękach trzech moich przyjaciół, którzy zgodzili się go pilnować w czasie, kiedy pojedę na wybrzeże po Potem miałem wybrać się do ... porwać ... i przywieźć ich obu do

Wróciłem do ... o wpół do drugiej po południu i sąsiad ... powiedział mi, że rozminąłem się z nim o parę minut. Zatelefonowałem do ... i uprzedziłem przyjaciół, że wrócę późno, bo nie mogę ryzykować i porwać faceta w biały dzień. Wtedy oni przekazali mi nowinę. Że już zabili Zalała mnie krew. Nigdy nie ulegałem emocjom, ale w drodze powrotnej do Londynu płakałem, bo chciałem sam zabić Pragnąłem raz na zawsze uwolnić się od tych drani, a oto co mi zostało: trup i trzech wystraszonych współsprawców.

Pognałem z powrotem do Na miejscu usunąłem wszystkie odciski palców w moim mieszkaniu i powiedziałem kumplom, że z ... i ... policzę się sam. Wtedy do mieszkania wdarła się policja; dwudziestu czterech uzbrojonych policjantów przydusiło nas trzech do podłogi, skuło kajdankami i aresztowało mnie.

Potem się dowiedziałem, że ... zatelefonował na policję i powiedział, że boi się o swoje życie. Opowiedziałem wszystko ze szczegółami mojemu adwokatowi, a on orzekł, że skoro byłem w Hastings, kiedy zginął ... , nie zostanę oskarżony o morderstwo, lecz prawdopodobnie o współudział w jego przygotowaniu. Oskarżono mnie o morderstwo i ustalono minimalny wymiar kary na dwadzieścia dwa lata.

Tak, odsiaduję wyrok dwudziestu dwóch lat więzienia za zbrodnię, której nie popełniłem. Żałuję, że tego nie zrobiłem, i żałuję, że nie zabiłem jednocześnie ... i

Teraz jestem Powiernikiem w Belmarsh i pierwszy raz w życiu czuję się użyteczny. Wiem, że ocaliłem jedno życie i że pomogłem wielu ludziom. Moje demony wciąż mnie prześladują, jasne, że tak, ale jakoś udaje mi się trzymać je na uwięzi. Nie doczekam końca dwudziestodwuletniego wyroku, lecz sam wybiorę czas i sposób, w jaki umrę⁴⁴.

Tylko wstyd wstrzymuje mnie przed kontaktowaniem się z kimkolwiek, kogo znam. Uczucie bezwartościowości; ot, plugawy, mały chłopiec na sprzedaż, który pozwalał starszym mężczyznom wykorzystywać się, bić i pieprzyć, bo chciał być kochany i już nie dbał o to, co mu wyrządzają. Jakże się mogę spodziewać, że moja żona, moje dzieci czy moja rodzina kiedykolwiek mnie zrozumieją?

Mam nadzieję, że być może ta moja opowieść ocali kogoś przed koszmarem, jaki przeżyłem, że nie będą go nawiedzać te same demony i że, co byłoby najgorsze, nie skończy w więzieniu oskarżony o morderstwo.

11.23 w nocy

Kładę się do łóżka, zadając sobie pytanie, czy człowiek zwany Fletchem musi spędzić resztę życia w więzieniu. Jeżeli odpowiedź jest twierdząca, to czy przypadkiem nie ponosimy odpowiedzialności wobec przyszłego pokolenia, czy nie powinniśmy zadbać, żeby życie innych dzieci nie kończyło się w wieku dziewięciu lat?

Dzień 20

Wtorek, 7 sierpnia 2001

6.16 rano

Tej nocy lepiej spałem. Może pomogła zgoda Fletcha na spisanie jego historii. Piszę dwie godziny.

8.00 rano

Śniadanie. Słodkie płatki kukurydziane i resztką mleka o przedłużonej trwałości z drugiego kartonu. Nie starczyło, żeby zamoczyć płatki. Dostawa z kantyny będzie dzisiaj, a ponieważ opuszczam Belmarsh w czwartek, będę mógł zwrócić wszystkie długi: Del Boyowi (woda i herbatniki), Tony'emu (batonik Mars) i Colinowi (dwanaście znaczków pierwszej klasy).

10.00 rano

Godzina Wspólna. Spaceruję wokół sali i widzę, że jeden z więźniów, Joseph (morderstwo), gra w bilard. Jest zdecydowanie najlepszym graczem w naszym skrzydle i od czasu do czasu wbija wszystkie bile. Dziś rano nie wychodzą mu najprostsze uderzenia, z jakimi nawet ja bym sobie poradził. Opieram się o ścianę i przypatruję się mu. Ma nieobecny minę, tak częstą u więźniów odsiadujących dożywocie.

Kiedy partia jest skończona i kije bilardowe zostają przekazane kolejnym graczom, rzucam uwagę na temat poziomu gry Josepha. Zdaje się, że użyłem przymiotnika „nędzny”.

– Jeff, ja mam głowę zajętą czym innym – mówi, ciągle z nieobecny miną.

– Czy mógłbym w czymś pomóc? – pytam.

– Nie, dziękuję, to sprawa rodzinna.

11.00 rano

Widzę na tablicy wypisane swoje nazwisko i zapowiedź, że odwiedzi mnie mój adwokat, Tony Morton-Hooper.

Na przestrzeni wielu lat zauważyłem, że znajomości zawodowe dzielą się na dwa rodzaje. Te, które pozostają zawodowe, i te, które przekształcają się w przyjaźń. Tony zdecydowanie należy do tego drugiego. Obaj darzymy miłością lekkoatletykę – Tony reprezentował wiele gwiazd bieżni – i mimo znacznej różnicy lat czujemy się ze sobą swobodnie.

Spotykamy się w jednym z niewielkich pomieszczeń: ja wchodzę z jednej strony i zostaję zamknięty, a po chwili przez drzwi z drugiej strony wchodzi on i też go zamykają. Pierwsze, co mi się rzuca w oczy, to gruba żółta opaska z gumy, jaką ma na przegubie; pozwoli mu odejść stąd po spotkaniu, ale przez godzinę też będzie zaplombowany.

Na początek Tony oznajmia, że w Wayland obowiązuje o wiele łagodniejszy reżim niż w Belmarsh i że to najlepsze możliwe miejsce na razie, dopóki nie zostanie mi przywrócony status więźnia kategorii D. Pytam, co nowego w tej sprawie.

– Same dobre wiadomości – mówi Tony. – Środki przekazu uznały, że nie musisz odpowiadać na zarzuty, my natomiast przejrzelismy twoje dokumenty, z których wynika, że sprawa została podniesiona w parlamencie w 1991 roku, kiedy Lynda Chalker była ministrem ds. pomocy krajom rozwijającym się i udzieliła wtedy zdecydowanej odpowiedzi. Napisała też do ciebie długi list na ten temat. – Tony kładzie na stół list i odpowiedź Lyndy Chalker.

– Czy Emma Nicholson była wówczas członkiem parlamentu? – pytam.

– Niewątpliwie – odpowiada Tony. – Co ważniejsze, Ministerstwo Spraw Zagranicznych przeprowadziło szczegółowe dochodzenie, więc wysyłamy policji wszystkie stosowne dokumenty i podkreślamy, że drugie śledztwo byłoby nieodpowiedzialnym marnotrawstwem publicznych pieniędzy.

– Zatem mogę pozwać Nicholson o zniesławienie? – zapytuję.

– Jeszcze nie. Wczoraj rozmawiałem z policją i wprawdzie nie ujawnią listu, który do nich wysłała, ale wyraźnie dali do zrozumienia, że oskarżenia są tego rodzaju, iż nie mają wyjścia i będą musieli je rozpatrzyć.

– Czy gdybyśmy wystosowali pozew, musiałyby wtedy ujawnić list?

– Tak. Automatycznie stałby się częścią materiału dowodowego.

– Wobec tego mamy podstawy, żeby ją pozwać.

– Jeszcze nie – powtarza Tony. – Poczekajmy, aż policja zaniecha śledztwa, zanim podejmiemy dalsze działania. To może nastąpić prędko, gdyż *Codzienny*

program Radia 4 zwrócił się do Mary. Ich zespół reporterów też jest przekonany, że nie musisz dowodzić słuszności swojej sprawy, i chcą, żeby Mary wystąpiła w ich programie.

– Naturalnie, że chcą – mówię na to – ponieważ zależy im tylko na tym, żeby mówiła o mojej apelacji.

– Jeżeli nie będzie się wypowiadać o sprawie, póki apelacja jest w toku, jestem za tym, żeby się zgodziła na rozmowę.

– Mogłaby przytoczyć fragmenty listu Lyndy Chalker i jej odpowiedzi ogłoszonej w parlamencie – podsuwam.

– Czemu nie? – zgadza się Tony. – Ale działajmy powoli, małymi krokami.

– Nie jestem dobry w te klocki – przyznaję. – Wolę działać szybko, skokami.

Teraz Tony wyciąga z teczki jakieś papiery i informuje mnie, że apelacja zostanie wniesiona jutro. Mam podpisać dokumenty niezbędne do złożenia apelacji od wyroku i od skazania.

Tony uważa, że gdyby nie „casus Archera”, mielibyśmy pięćdziesiąt procent szans na uchylene wyroku.

– Jednak gdyby nie chodziło o ciebie, apelacja zostałaby bez wahania odrzucona. Nie byłoby nawet rozprawy sądowej. – Tony daje mi nawet więcej szans na obniżenie kary. Wypowiedź sędziego Potts, że mój przypadek jest najjaskrawszym przykładem krzywoprzysięstwa w całej jego praktyce zawodowej, została przyjęta przez przedstawicieli palestry ze zdumieniem⁴⁵.

Przechodzimy do tematu dziennika. Napisałem już pięćdziesiąt tysięcy słów i uprzedzam Tony’ego, że moi stali czytelnicy będą zaszokowani. Pyta, w jaki sposób przekazuję rękopis Alison, skoro siedzę w najsilniej strzeżonym więzieniu w Europie. Przypominam mu, że wciąż dostaję dwieście do trzystu listów dziennie i cenzorzy pozwalają mi je odebrać i następnego dnia odesłać do mojego biura, więc dodatkowe, zapisane ręcznym pismem dziesięć stron nie robi im różnicy.

– Aha – mówię – proszę, powiedz Jamesowi, żeby następnym razem, jak mnie odwiedzi, założył jakiś tani zegarek, to zamienię na niego mojego longines’a.

Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że znajdę się w więzieniu, i w dniu ogłoszenia wyroku miałem na ręku mój ulubiony zegarek. Byłoby mi przykro, gdyby mi zginął po dwudziestu latach noszenia. James od dłuższego czasu ma na niego chrapkę i nawet mnie poprosił, żebym mu go zapisał w testamencie (wyrachowany smarkacz). „Will może mieć cały majątek, bylebym dostał ten zegarek” – powiedział mi. Longines przestał już wytwarzać modele o tak wąskim kształcie. Jednak William się zgadza, bo uważa, że to dla niego dobry interes.

– Myślę, że z zamianą zegarków lepiej poczekać, aż opuścisz Belmarsh – radzi Tony. – I wpiers się upewnij, czy przepisy są mniej rygorystyczne.

Kończymy omawiać problemy prawne, a ponieważ Tony nie może stąd umknąć przed upływem godziny, poruszamy temat lekkoatletycznych mistrzostw

świata w Edmonton, które zamierzałem obejrzeć podczas letnich wakacji z Michaeliem Beloffem⁴⁶. Tony przekazuje mi fantastyczną nowinę, że Jonathan Edwards zdobył złoty medal w trójskoku.

– Wygrał z łatwością – dodaje – uzyskując prawie osiemnaście metrów. Od czasu, kiedy zdobył złoto w Sydney, ma tak dobre samopoczucie, że wątpię, żeby ktoś z nim wygrał przed następną olimpiadą w Atenach w 2004 roku, a nawet sędzia Potts nie zdoła ci przeszkodzić w jej obejrzeniu.

Kiedy pojawia się strażnik, by otworzyć Tony'emu drzwi, jeszcze raz przypominam, że przede wszystkim należy wyjaśnić sprawę kurdyjską, abym jak najszybciej odzyskał status więźnia kategorii D. Dodaję też, że nie ma potrzeby, by prawnicy jeździli do Norfolku, powiększając znacznie koszty. Mogą przekazywać wiadomości za pośrednictwem Mary, która bystrością nie ustępuje żadnemu z nich. Tony się uśmiecha, potakuje i ściska mi dłoń. Ma ręce jak bokser wagi ciężkiej i myślę, że dobrze by sobie radził w więzieniu. Wypuszczają go, ale ja nie mam na ręku żółtej opaski, więc opadam na krzesło po drugiej stronie stołu i czekam.

12.00 w południe

W kolejce po lunch – to zawsze dobra sposobność do zapoznania się z plotkami – Fletch mówi mi o zmartwieniu Josepha. Teraz rozumiem, dlaczego dziś rano nie mógł wbić ani jednej bili do luzy. Kiedy docieram do kuchenki, Tony mi poleca „spaghetti po wegetariańsku” udające „spaghetti bolognese”.

– *Au gratin?* – pytam.

– Oczywiście, milordzie. Liamie, podaj parmezan Jego Lordowskiej Mości.

Mały plastikowy woreczek z tartym serem zostaje wyczarowany spod lady, otwarty na oczach dyżurnego funkcjonariusza i opróżniony nad moim spaghetti. Więźniowie reagują oklaskami, funkcjonariusze wybuchają śmiechem. W życiu dożywotniaka to wydarzenie.

Wracam do celi i jem potrawę ze smakiem, ale przecież to mój dwudziesty dzień w więzieniu. Mogę zapiąć pasek o jedną dziurkę ciaśniej. Schudłem około siedmiu funtów.

2.00 po południu

Kiedy drzwi celi zostają otwarte ponownie, zbiegam na środkowe piętro, już przebrany w kostium gimnastyczny, i truchtam przy okratowanej furcie. Tym razem znajduję się na liście ośmiu wybrańców z naszego skrzydła. Po rewizji i dotarciu marszobiegiem do innej części budynku, w której jeszcze nie byłem, przybywamy do szatni, gdzie wszyscy dostajemy jasnoniebieskie koszulki i ciemnoniebieskie szorty. To pewno na wypadek, gdyby któryś z więźniów

studiował i w Oksfordzie, i w Cambridge.

Sala gimnastyczna dzieli się na dwie części. Większe pomieszczenie jest wielkości boiska do koszykówki; dwunastu więźniów gra tam w szóstki piłkarskie. W tej chwili rezyduje w Belmarsh były zawodnik klubów Arsenal i Brentford. Jest też salka z urządzeniami do podnoszenia ciężarów o powierzchni mniej więcej jednej trzeciej pierwszego pomieszczenia. Czterdziestu siedmiu spoconych, wytatuowanych młodych mężczyzn o naprężonych mięśniach ćwiczy z ciężarkami i gdy stąd wyjdą, będą mieć jeszcze lepsze predyspozycje do zadawania ciężkich uszkodzeń ciała.

Salka jest tak zatłoczona, że nie można zrobić nawet paru kroków, nie wpadając na kogoś. Znajdują się tam dwie stacjonarne bieżnie, dwa ergometry wioślarskie i dwa steppery, na które młodszy więźniowie nie zwracają większej uwagi. Zaczynam od sześciominutowej rozgrzewki na bieżni, poruszając się z prędkością pięciu mil na godzinę, i przy okazji obserwuję, co się dzieje na środku sali. Czterdziestu siedmiu młodych osiłków ćwiczy podnoszenie ciężarów, co nie jest widokiem miłym dla oka, zwłaszcza że większość z nich chce sobie tylko podbić bębenka i zaimponować współwięźniom z bloku. Ciekaw jestem, ilu wpadło na to, że Fletch, Tony, Billy i Del Boy mają najwięcej do powiedzenia w całym skrzydle, chociaż żaden z nich nie umiałby nawet wskazać, gdzie jest sala gimnastyczna.

Ukończywszy dystans 2000 metrów w ciągu dziewięciu minut na ergometrze wioślarskim, ćwiczę na przyrządzie do ćwiczeń siłowych z małym obciążeniem, a potem przez dziesięć minut biegnę na stacjonarnej bieżni z prędkością ośmiu mil na godzinę. Zauważam, że wielu dożywotnych więźniów ma nieprawidłową postawę. Nie trzymają się prosto i przy podnoszeniu sztangi nie uruchamiają właściwej grupy mięśni. Dwaj funkcjonariusze więzienni, którzy nadzorują ćwiczących, mogą tylko baczyć na to, co się dzieje w obydwu salach. Byłoby o wiele sensowniej zorganizować trzy treningi gimnastyczne na dzień, z mniejszą liczbą ćwiczących, a wtedy trener mógłby odgrywać bardziej pożyteczną rolę i nie być tylko biernym obserwatorem. Podsuwam tę myśl jednemu z funkcjonariuszy, ale znów słyszę o „braku personelu”.

Po dziesięciu minutach na bieżni znowu ćwiczę z ciężarami, po czym przechodzę na stepper. Kiedy rozlega się krzyk funkcjonariusza: „Ostatnie pięć minut!”, robię ćwiczenia rozciągające i w ciągu godziny realizuję taki sam program, jak w podziemnej sali gimnastycznej mojego londyńskiego mieszkania. Jedyna różnica to ta, że tam nie miałbym na widoku żadnego mordercy.

Idę do szatni zadowolony, że dobrze się spisałem, kiedy podchodzi do mnie Dennis (były zawodnik klubów Arsenal i Brentford) i chwali się, że strzelił sześć goli. Gratuluję mu i pytam, czy to prawda, że wyznaczono go na kapitana reprezentacji Belmarsh w dorocznym turnieju przeciw Holloway. Moje pytanie

budzi o wiele więcej śmiechu i okrzyków radości, niż na to zasługuje, choć połowa więźniów natychmiast zgłasza się na bramkarza.

– Nie, dziękuję – odpowiada Dennis. – Mam dosyć kłopotów z kobietami.

– Ale przecież mi mówiłeś, że miałaś miłą wizytę w niedzielę, kiedy odwiedziła cię żona z dzieckiem?

– Jedna z moich żon – prostuje Dennis. – Z jednym z moich dzieci.

– To ile jeszcze ich masz? – pytam.

– Trzy żony i troje dzieci.

– Ale to bigamia – mówię. – A nawet trigamia, jeśli można tak to nazwać.

– Zlituj się, Jeff! Z żadną nie brałem ślubu. To nie te czasy, kiedy ojcowie chodzili ze strzelbami. Te kobiety to partnerki, a nie żony. Tak jak prezes firmy, mam kilka udziałowczyń. Dzięki Bogu, że akurat siedzę w mamrze – dodaje – bo gdyby zwołano doroczne walne zgromadzenie akcjonariuszy, nie chciałbym się tłumaczyć, dlaczego w tym roku nie dostaną żadnej dywidendy.

Widać, że żaden z więźniów przysłuchujących się tej rozmowie nie widzi w słowach Dennisa nic niezwykłego ani nawet naganego. Jeden Bóg wie, jak będzie wyglądać za pięćdziesiąt lat Wielka Brytania, jeżeli każdy będzie miał trzy „żony”, ale z żadną z nich się nie ożeni.

Wracam do celi i widzę na łóżku prowiant zamówiony w kantynie. Piję wodę kubek za kubkiem, pochłaniam dwa batony KitKat, po czym idę wziąć prysznic.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. Moim pierwszym zadaniem jest zwrócenie butelki wody (Highland Spring) Del Boyowi, potem muszę poszukać Tony’ego, żeby mu dać batonik Mars, a następnie Colina (dwanaście znaczków pierwszej klasy). Oddawszy długi – nikt nie żąda ode mnie „dubeltu” – przysiadam się do więźniów otaczających telewizor. Oglądają mistrzostwa świata w lekkoatletyce. Funkcjonariusz nazwiskiem Hughes podaje mi dotychczasowe wyniki. Po pierwszym dniu dziesięcioboju Macey prowadzi jednym punktem i przygotowuje się do biegu na 110 metrów przez płotki, który jest pierwszą konkurencją drugiego dnia. Mówię Hughesowi, że zamierzałem spędzić letnie wakacje właśnie w Edmonton.

– Widzę, że jest mnóstwo pustych miejsc na trybunach – Hughes na to – ale trudno mi uwierzyć, że ci wszyscy, którzy tam nie siedzą, siedzą w tej chwili w więzieniu.

W chwili gdy Macey ustawia się w blokach startowych, widzę w kącie sali Josepha – człowieka, który zwykle zajmuje miejsce na środku. Przerywam oglądanie mistrzostw i podchodzę do niego.

– Są jakieś wiadomości o synu? – pytam.

– Nie. – Wygląda na zdziwionego, że wiem o jego zmartwieniu. – Telefonowałem do żony, która mówi, że chłopak jest aresztowany, a ona próbuje się porozumieć z konsulem brytyjskim. Zapuścili go w lokalnym więzieniu. Jakie są więzienia na Cyprze?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. – Dopóki nie trafiłem do Belmarsh, nie wiedziałem, jak wyglądają więzienia angielskie. Ciesz się, że to nie Turcja. O co go oskarżają?

– O nic. Znaleźli go śpiącego w domu, w którym jacyś miejscowi palili marihuanę, ale grożą chłopakowi, że może dostać siedem lat więzienia.

– Jeżeli spał, to z pewnością nic mu nie grozi – pocieszam. – Ile on ma lat?

– Osiemnaście. Najgorsze jest to, że nic nie mogę zrobić, póki tu tkwię. Żona powiedziała, że jak tylko czegoś się dowie, zadzwoni do naczelnika.

– Życzę powodzenia – mówię i idę oglądać transmisję.

Hughes mi mówi, że szkoda, że nie widziałem Maceya. Przybiegł drugi w swojej serii, ustanawiając nowy rekord życiowy.

– Dla każdego lekkoatlety ustanowienie rekordu życiowego jest dużym osiągnięciem – mówi Roger Black, sprawozdawca BBC, i dodaje: – Zostańcie z nami, bo dzisiaj czeka nas w Edmonton dużo emocji.

– Wracać do cel! – krzyczy funkcjonariusz zza biurka na drugim końcu sali.

Grzecznie zwracam mu uwagę, iż Roger Black nalega, żebyśmy zostali.

– Black jest tam, a tutaj jestem ja – pada natychmiastowa odpowiedź. – Wracaj pan do celi, Archer.

6.00 wieczorem

Kolacja. Mam teraz dwie puszki szynki Prince's (49 pensów) i zabieram jedną, żeby ją otworzyć, do kuchenki. Tony dodaje mi dwa starannie wybrane ziemniaki, więc kiedy to zjadam, popijając sokiem z czarnej porzeczki, mam prawdziwą ucztę.

Po kolacji zabieram się do pisania, gdy nagle otwierają się drzwi i wchodzi nieznany mi strażnik.

– Dobry wieczór – mówi. – Wiem, że wkrótce pana stąd zabiorą, więc chciałbym prosić, żeby pan podpisał tę książkę mojej żonie. W księgarni mi powiedzieli, że to najnowsza rzecz pana autorstwa.

– Chętnie bym podpisał – odpowiadam – ale to nie moja książka. Napisał ją Geoffrey Archer. Moje imię pisane jest przez „J”. Od wielu lat ludzie nas mylą.

– Wobec tego – mówi lekko zdziwiony – pójdę i wymienię tę książkę. Wpadnę do pana jutro o tej samej porze.

Kończę dzisiejsze notatki i zabieram się do trzech listów, które przekazał mi od Alison Tony Morton-Hooper. Victoria Barnsley, prezeska mojego wydawnictwa

HarperCollins, pisze, że nie może się doczekać, kiedy przeczyta *Na łasce bogów*⁴⁷, i dalej zawiadamia mnie, że Adrian Bourne, który miał nade mną pieczę, odkąd Eddie Bell, poprzedni prezes, odszedł z firmy, przechodzi na wcześniejszą emeryturę. Będzie mi ich obu brakowało, gdyż odegrali ważną rolę w mojej karierze pisarskiej.

Drugi list jest od mojego młodego archiwisty, Johanna Hariego, który pisze, że prawie skończył sprawdzanie realiów do książki *Na łasce bogów*. Przy czym podkreśla, że bardziej mu się podoba pierwotny tytuł *Zrządzeniem losu*.

Autorem ostatniego listu jest Stephan Shakespeare, który był moim szefem personelu, kiedy z ramienia Partii Konserwatywnej kandydowałem na burmistrza Londynu. Jego lojalność, którą zachowuje od dnia mojej rezygnacji, przywodzi na myśl ten cudowny wiersz Kiplinga *Jeden z Tysiąca*. Jedną z opinii, jaką Stephan z przekonaniem prezentuje, brzmi, że Iain Duncan Smith wyprzedzi o milę innych kandydatów w wyborach na stanowisko przywódcy konserwatystów.

Nie trzeba będzie długo czekać, żeby się przekonać, że ma rację.

Dzień 21

Środa, 8 sierpnia 2001

6.03 rano

To będzie mój ostatni pełny dzień w Belmarsh. Nie mogę o tym trąbić na lewo i na prawo, bo inaczej dziennikarze będą czekać pod więzieniem i potem pojedą za nami aż do Norfolkku. Siadam przy stole i piszę przez dwie godziny.

8.07 rano

Śniadanie. Chrupki Shreddies, mleko UHT i jabłko. Zużywam pudełko Shreddies, ledwo wystarczające na dwie porcje.

9.00 rano

Stoję w stroju gimnastycznym, gotowy do ostatnich zajęć, kiedy funkcjonariuszka Williamson otwiera drzwi celi i pyta, czy mogę poprowadzić następną lekcję z kreatywnego pisania.

– A na kiedy jest zaplanowana? – pytam, nie chcąc zdradzić, że to mój ostatni dzień w Belmarsh i że udało mi się jakoś wcisnąć do grafiku zajęć

gimnastycznych.

– Za mniej więcej pół godziny – odpowiada funkcjonariuszka, spoglądając na zegarek.

Klnę pod nosem, przebieram się w spodnie i bardziej odpowiednią trykotową koszulkę Tiger, którą Will mi zapakował w dniu, w którym zostałem skazany. Po drodze do klasy mijam Josepha, który stoi przy stole bilardowym. Uderza we wszystko, co ma na widoku, i wygląda na zadowolonego z siebie.

– Są jakieś wieści o Justinie? – pytam.

– Deportowali go – odpowiada z uśmiechem. Patrzy na zegarek. – Wyląduję na Heathrow za jakąś godzinę. – Wbija czerwoną bilę do luzu. – Matka będzie na niego czekała, kazałem jej dobrze go wytargać za uszy. – Wbija żółtą. – Oczywiście ona tego nie robi – dodaje, szczerząc zęby.

– To dobra wiadomość – mówię i kontynuuję moją wędrówkę bez eskorty do klasy.

Kiedy tam przybywam, zastaję nauczyciela nazwiskiem Anders, który na mnie czeka. Wygląda na trochę poirytowanego, więc z miejsca pytam, jak sobie wyobraża tę lekcję.

– Czy pan coś zaplanował? – odpowiada pytaniem.

– Nic szczególnego – informuję. – W tamtym tygodniu uzgodniliśmy, że grupa przyniesie swoje prace do odczytania na zajęciach, a potem będziemy na ten temat dyskutować. Ale może pan wolałby coś innego?

– Nie, nie. To zapowiada się ciekawie.

W tym tygodniu jest obecnych dziewięciu więźniów i troje przedstawicieli personelu więziennego. Czterech uczestników pamiętało, żeby przynieść prace pisemne: Colin odczytuje napisaną przez siebie krytykę najnowszej książki Franka McCourta, Tony prezentuje nam pracę na temat reformy więziennej, mającą związek z programem jego studiów w Ruskin College w Oksfordzie. Terry czyta rozdział swej powieści, a na koniec Billy zaznajamia nas z utworem, w którym opisuje swoją reakcję, kiedy usłyszał, że jest skazany na dożywocie, i z najskrytszymi myślami, jakie go nurtowały podczas następnych godzin. Wybieram pracę Billy'ego na koniec, gdyż, podobnie jak ostatnio, różni się klasą od innych wypracowań. Kończę lekcję krótką przemową na temat dyscypliny pisania, świadom, że jutro o tej porze nie będę już z nimi. Jestem przekonany, że co najmniej trzy osoby z grupy będą realizowały swoje plany, gdy odejdę, i że z czasem utwory Billy'ego doczekają się publikacji. Pierwszy stanę w kolejce po autograf.

Po drodze do celi wpadam na Liama, który, kiedy ma dyżur w kuchence, zawsze próbuje mi wsunąć drugie opakowanie lodów.

– Chcę się pożegnać – mówi, wyciągając rękę.

Robię się czerwony; nie powiedziałem nikomu słowa po spotkaniu

z Leaderem, więc skąd Liam wie?

– Kto ci powiedział? – pytam.

– Policja – odpowiada. – Zgodzili się wypuścić mnie za kaucją i wychodzę dziś przed południem. Mój adwokat twierdzi, że prawdopodobnie odstąpią od wszystkich zarzutów.

– To bardzo się cieszę – mówię mu. – Ale jak długo byłeś w więzieniu?

– Trzy i pół miesiąca.

Przez trzy i pół miesiąca Liam siedział w Belmarsh, po czym się okazuje, że policja prawdopodobnie wycofa się ze wszystkich zarzutów. Życzę mu powodzenia i Liam idzie dalej, żeby następnemu sympatykowi uścisnąć dłoń. O co był oskarżony? O udaremnianie prawidłowego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Głównym dowodem była taśma z nagraniem rozmowy telefoniczną, ale sąd orzekł, iż to dowód niedopuszczalny.

Wracam do swojego skrzydła i telefonuję do Alison, powiadamiając ją, że dalsza część dziennika, obejmująca dziesięć kolejnych dni, jest w drodze. Alison mówi mi, że listy wciąż napływają i że prześle mi do Wayland te od bliskich przyjaciół. Uprzedzam ją, że kończy mi się papier do pisania, i proszę, żeby przysłała do Wayland tuzin bloków papieru i dwa pudełka cienkopisów. Ciekawe, że automatycznie wypowiadam słowo „tuzin”, mimo że od ponad trzydziestu lat mamy system dziesiętny. Czy za następnych trzydzieści lat moje wnuki będą traktować euro jako rzecz normalną i trudno im będzie zrozumieć, czemu było wokół tego tyle zamieszania?

12.00 w południe

Lunch. Jajko i fasolka, moje ulubione więzienne potrawy, ale tym razem dostaję tylko jedno jajko, gdyż na miejscu Paula siedzi funkcjonariusz. Jednak Tony dorzuca mi na talerz trochę więcej fasolki.

2.00 po południu

Zabieram się do pisania, kiedy do mojej celi wkracza trzech funkcjonariuszy: Weedon w towarzystwie Abbotta i Cooka, którzy, co niepokojące, mają na rękach gumowe rękawiczki. Weedon tłumaczy, że to rewizja celi – w żargonie więziennym kipsisz – i z oczywistych powodów przeprowadza się ją bez uprzedzenia.

– Czego szukacie? – pytam.

– Broni, noży, żyletek, narkotyków i tego wszystkiego, czego przepisy nie pozwalają trzymać w celi. Ja nadzoruję, a Cook i Abbott zdają egzamin państwowy uprawniający do wykonywania zawodu i ta rewizja jest jednym z testów.

Zaczynamy od rewizji osobistej – informuje z całą powagą.

Staję na środku maleńkiej celi i ściągam trykotową koszulkę. Podnoszę ręce wysoko, a potem, zgodnie z poleceniem, okręcam się, zataczając pełne koło. Abbott każe mi energicznie przeczesać włosy rękami, co wykonuję – sprawdzanie, czy nie ukryłem tam narkotyków, co wyjaśniam, na wypadek gdybyście na to nie wpadli. Pozwalają mi z powrotem włożyć koszulkę. Teraz Cook żąda, żebym zdjął buty, skarpetki, spodnie i bokserki, co po kolei zostaje starannie sprawdzone przez obydwu młodszych funkcjonariuszy w gumowych rękawiczkach. I znowu jestem proszony, żeby się obrócić w koło, a następnie unieść stopy dla skontrolowania, czy przypadkiem nie ukryłem tam narkotyków. Nie widać żadnych plastrów, więc mogę się ubrać.

– Teraz zaprowadzę pana do przejściówki, a pańska cela zostanie zrewidowana – oznajmia Weedon. – Ale najpierw muszę pana zapytać, czy znajduje się tutaj coś, co jest własnością innego więźnia, na przykład broń palna, noże albo narkotyki.

– Tak, mam tu esej napisany przez Tony’ego Crofta i wiersz Billy’ego Little’a. – Przetrzęsam szufladę i podaję Weedonowi kartki z tymi utworami. – Mam też książkę z biblioteki – mówię, hamując uśmiech.

Oni usiłują nie dać się wyprowadzić z równowagi, jednakże przerzucają kartki książki i potrząsają nią (tym razem chodzi o narkotyki i pieniądze).

– O, widzę, że dziś upływa termin zwrotu książki do biblioteki, to lepiej oddaj ją pan jak najprędzej, bo po co płacić karę. – Weedonowi udaje się zdobyć jeden punkt.

– To uprzejmie z pańskiej strony, że mi pan przypomina – powiadam.

– Przed przystąpieniem do dokładnej rewizji pańskiej celi – odzywa się Abbott – muszę spytać, czy nie ma tu jakichś dokumentów prawnych, których pan sobie nie życzy, żebyśmy czytali?

– Nie – mówię.

– Dziękujemy – rzecze Weedon. – Na tym koniec tej części całej procedury. Teraz cela zostanie przeszukana przez dwie inne funkcjonariuszki.

Potem mi powiedziano, że postępują tak, żeby się zabezpieczyć, bo jeżeli znajdą coś niedozwolonego, to wobec czterech funkcjonariuszy, którzy kontrolują celę dwójkami, więźniowi będzie o wiele trudniej się wykręcić, twierdząc, że „wrabiają mnie, szefie”, i że to, co znaleziono, zostało podrzucone.

– Włamywacze! – słyszę krzyk, który, jak mi się zdaje, dobiega z pobliskiej celi. Patrzą na funkcjonariuszy zdziwiony, że nie wybiegają w pośpiechu na korytarz.

– To o nas – mówi Weedon z uśmiechem. – Jakiś więzień się pokapował i teraz ostrzega kolegów o naszej wyprawie, żeby zdążyli się pozbyć obciążających rzeczy. W ciągu najbliższych kilku minut będzie słychać szum spuszczonej wody

w toaletach, a przez okna wylecą różne pakieciki.

Abbott i Cook wychodzą, na ich miejsce pojawiają się funkcjonariuszki Taylor i Lynn, które przystępują do rewizji.

Weedon eskortuje mnie do celi przejściowej na drugim końcu korytarza i zamyka drzwi. Znudzony podchodzę do okna i patrzę w dół na dobrze utrzymany ogród. Kilkunastu więźniów sadzi, podcina i pielę za funta na godzinę. Wszyscy są w żółtych odblaskowych kurtkach, tylko nadzorujący jest w dżinsach i rozpiętej pod szyją koszuli. To uporządkowany, zadbany ogród, co nie jest niczym dziwnym, skoro zajmuję się nim kilkunastu ogrodników płatnych po funcie za godzinę.

Z rozbawieniem obserwuję, jak jeden z więźniów przycina żywoptot wielkim sekatorem, najbardziej zabójczą bronią, jaką do tej pory widziałem w Belmarsh. Mam nadzieję, że cela tego więźnia jest regularnie sprawdzana.

Dwadzieścia minut później wypuszczają mnie i prowadzą pod eskortą do celi 30. Moje ubrania są równo ułożone, kosz opróżniony, a w celi panuje nadzwyczajny porządek. Niestety, zabrano mi drugą poduszkę i proszek do czyszczenia muszli klozetowej, który Del Boy zapobiegliwie dostarczył mi pierwszego dnia, kiedy przybyłem do bloku numer jeden⁴⁸.

6.00 wieczorem

Kolacja. Zabieram drugą puszkę szynki (49 pensów), żeby mi ją otworzono w kuchence. Tony podaje mi dwa ziemniaki i łyżkę groszku, niezupełnie sklejonego. Posiliwszy się, zmywam moje plastikowe naczynia, a potem wracam na parter i dołączam do innych więźniów, zgromadzonych na Godzinie Wspólnej. Postanawiam, że powiem tylko Fletchowi, Tony'emu i Billy'emu, że rano opuszczam Belmarsh. Fletch mi mówi, że wiedział o moim rychłym wyjeździe, ale nie zdawał sobie sprawy, że nastąpi aż tak szybko.

Siedzę wraz z innymi w jego celi i czuję się trochę jak ostatniego dnia przed wakacjami w szkole, kiedy spakowawszy kuferek, snujesz się po wspólnej sypialni, dumając nad tym, z iloma też rówieśnikami utrzymasz kontakt.

Fletch mówi nam, że właśnie rozmawiał godzinę z panią Roberts i postanowił złożyć apelację od wyroku i skazania. Jestem zachwycony, ale ogarniają mnie wątpliwości, czy to nie zmieni jego decyzji o publikacji zawartości zielonego zeszytiku.

– Wręcz przeciwnie – mówi Fletch. – Chcę, żeby cały świat się dowiedział, kim są i co robią ci podli ludzie.

– A jeżeli ci każą podać nazwiska tych sędziów, dyrektorów szkół, policjantów i polityków?

– To je podam.

– A co z tamtymi dziesięcioma, którzy jako dzieci przeżyli taki sam

koszmar? Jak myślisz, jak oni zareagują? – pyta Tony. – Wszyscy muszą mieć teraz pod czterdziestkę.

Fletch zdejmuje z półki teczkę i wyciąga z niej kartkę z dziesięcioma nazwiskami, wypisanymi jedno pod drugim.

– Mam zamiar w ciągu najbliższych tygodni napisać do każdego z tej listy i spytać, czy zgodzą się na rozmowę z moim adwokatem. Dwóch jest żonatych i być może nie zechcą mówić o tym wszystkim żonom i rodzinom, jednego czy dwóch nie będzie tak łatwo odszukać, ale jestem pewien, że kilku mnie poprze i będzie chciało, żeby prawda wyszła na jaw.

– A co z ... , ... i ... ?

– Wymienię ich z nazwisk w sądzie – odpowiada zdecydowanie Fletch. – ... nie żyje, ale ... i ... cieszą się doskonałym zdrowiem.

Tony klaszcze, natomiast Billy, niezwyczajny okazywać emocji, energicznie kiwa głową.

– Wracać do cel! – wykrzykuje ktoś ze stanowiska na parterze.

Wymieniam uściski ręki z trzema mężczyznami; jeszcze miesiąc temu nie miałem pojęcia, że ich spotkam, a teraz nie wiem, czy jeszcze kiedy ich zobaczę⁴⁹. Wracam do celi.

Dotarłszy na najwyższe piętro, pod drzwiami zastaję Weedona.

– Gdy pan stąd wyjdzie – powiada – niech pan napisze tak, jak jest. Niech pan opowie o problemach, z jakimi borykają się obie strony, więźniowie i funkcjonariusze, i niech pan wyrąbie prawdę.

Jestem zaskoczony pasją, z jaką to mówi.

– Ale teraz powiem panu coś, czego pan nie mógł zaobserwować w ciągu trzech tygodni tu spędzonych. Największym problemem Służby Więziennej jest obecnie fluktuacja personelu, i to wcale nie z powodu cen nieruchomości w Londynie. W ubiegłym tygodniu straciłem pierwszorzędnego funkcjonariusza, który odszedł, żeby pracować jako motorniczy metra. Taka sama pensja, ale mniej zawracania głowy – oto powód, jaki podał. Życzę szczęścia szanownemu panu – mówi na koniec i zamyka mnie w celi.

9.00 wieczorem

Przygotowuję się do rychłego odjazdu. Fletch już mi powiedział, że nikt mnie nie uprzedzi, tylko około wpół do siódmej rano rozlegnie się stukanie do drzwi i usłyszę słowa: „Archer, zostajesz pan przeniesiony, pakuj pan rzeczy”.

– Jedno tylko mogę ci obiecać – dodał Fletch. – Jak już się znajdziesz w rejestracji, będziesz musiał czekać co najmniej godzinę, aż funkcjonariusz wypełni wszystkie papiery.

9.30 wieczorem

Czytam ostatnią partię listów, w tym list od Mary i Willa, a także od Geordiego Greiga, wydawcy „Tatlera”, który kończy się słowami: „W Le Caprice czeka na Ciebie stolik zarezerwowany na lunch, kiedy tylko wyjdiesz na wolność”. To jest przyjaciel nie tylko na dobrą pogodę.

Jeszcze przeglądam dzisiejsze zapiski i postanawiam wcześniej położyć się spać.

10.14 wieczorem

Ostatni raz gaszę światło w Belmarsh.

Dzień 22

Czwartek, 9 sierpnia 2001

4.40 rano

Budzę się po niespokojnie przespanej nocy, ze świadomością, że w każdej chwili mogę być wezwany. Postanawiam, że wstanę i będę przez dwie godziny pisał.

6.43 rano

Patrzę na zegarek. Jest szósta czterdzieści trzy i śladu życia na pustych korytarzach, więc robię sobie śniadanie. Sugar Puffs, ostatnie pudełko z zestawu Variety, mleko o przedłużonej trwałości i pomarańcza.

6.51 rano

Golę się, myję i ubieram. Przez pewien czas chodzę w kółko po celi, mającej pięć kroków na trzy, a potem się pakuję. Kiedy mówię, że się pakuję, muszę to uściślić: nie wolno tu mieć walizki ani torby podręcznej, wszystko trzeba włożyć do jednej z plastikowych toreb więziennych.

7.14 rano

Skończyłem się pakować, ale nadal panuje cisza. Czy moje przeniesienie zostanie opóźnione, a może nawet odwołane? Czy zostanę w Belmarsh do końca życia? Liczę każdą minutę, spacerując tam i z powrotem, czekając na chwilę, kiedy będę mógł stąd oficjalnie uciec. Co czuje człowiek, który czeka na powieszenie?

7.40 rano

Wlewam ostatnie krople mleka UHT do plastikowego kubka, zjadam herbatnik McVitie's i zastanawiam się, czy tam na zewnątrz ktoś w ogóle jest. Czytam jeszcze raz listy od Mary i Williama. Podnoszą mnie na duchu.

8.15 rano

Nareszcie drzwi celi zostają otwarte przez strażnika Knowlesa.

– Dzień dobry – mówi wesoło. – Zajmiemy się pańskim przeniesieniem, jak odstawimy do Bailey wszystkich więźniów, którzy są w areszcie śledczym. – Patrzy na zegarek. – Wrócę po pana około wpół do dziesiątej. Gdyby chciał pan wziąć prysznic albo jeszcze coś zrobić, to zostawiam drzwi otwarte.

Proszę wybaczyć banał, ale uzyskawszy potwierdzenie, że naprawdę stąd odjeżdżam, odetchnąłem z ulgą. Biorę prysznic – już opanowałem technikę na przemian wciskania dłonią guzika i namydlania się.

W następnej godzinie do mojej celi zachodzi kilku więźniów, żeby się pożegnać, gdyż już się rozniosło, że opuszczam Belmarsh. Del Boy uwalnia mnie od ostatniej butelki wody, tłumacząc, że się przyzwyczaiał. Kiedy odchodzi, mówię strażnikowi, że chciałbym zostawić radio jednemu z więźniów, którego nikt nigdy nie odwiedza. Otrzymuję odpowiedź, że to jest wbrew przepisom.

– Dać coś komuś, kto jest w potrzebie, jest wbrew przepisom? – dopytuję się.

– Tak – odpowiada. – Może go pan próbować przekupić albo odwdzińczyć się za dostarczanie narkotyków. Gdyby widziano, jak daje pan radio innemu więźniowi, postawiono by pana do raportu i może nawet przedłużono by panu karę więzienia o dwadzieścia osiem dni.

Mój problem polega na tym, że nie myślę jak przestępca.

Czekam, aż strażnik się oddali, po czym zbiegam na dół i zostawiam radio i trochę smakołyków na łóżku Fletcha. On będzie wiedział, komu to się najbardziej przyda.

9.36 rano

Wraca Knowles i prowadzi mnie do rejestracji, gdzie pierwszy raz się

pojawiłem trzy długie tygodnie temu. Umieszczają mnie w kabinie i poddają rewizji osobistej, tak jak w dniu przybycia. Ledwo się ubrałem, zakładają mi kajdanki – dopiero drugi raz – i prowadzą mnie z budynku do furgonu Transit. Wewnątrz, z lewej strony, są cztery pojedyncze siedzenia, jedno za drugim. Z prawej strony jest boks, gdzie umieszcza się więźnia niczym nieposkromionego lwa. Zamykają mnie w środku, przez dłuższy czas wyglądam przez okienko, gdy nagle szerokie, elektronicznie sterowane, okratowane wrota wolno się rozsuwają.

Kiedy czarny furgon Transit wytacza się z Belmarsh, targają mną sprzeczne uczucia. Wprawdzie jestem uszczęśliwiony i odczuwam ulgę, że stąd odjeżdżam, zarazem jednak odczuwam niepokój i lękam się tego innego świata, w którym będę musiał zaczynać wszystko od początku i nawiązywać nowe znajomości.

Mój pobyt w Piekło trwał trzy tygodnie. Czy teraz podążam do Czyścica?

1 Kamień – ang. jednostka wagi – 14 funtów – 6,35 kg (przyp. tłum.).

2 W 2001 roku w więzieniach angielskich samobójstwo popełniły 73 osoby – 22 z nich były skazane pierwszy raz. W roku 2000 próby powieszenia się lub uduszenia podejmowało ponad 1500 więźniów, co stanowi wzrost o 50 procent w porównaniu z rokiem 1999.

3 W celi nie ma nic z drewna, gdyż więźniowie spędzający pierwszą noc w zamknięciu często wszystko rozbijają.

4 Radca królewski Nick Purnell zwrócił się do sędziego Potts'a z pytaniem, czy mógłbym zostać zwolniony z sądu, żeby być z matką. Sędzia odmówił naszej prośbie. Po raz drugi został o to poproszony na początku sesji popołudniowej i wtedy niechętnie się zgodził. Przy łóżu mojej matki znalazłem się na godzinę przed jej śmiercią.

5 W tymże informatorze podkreśla się też, że w Belmarsh nie toleruje się żadnej formy zastraszania, gdyż przestrzega się tu surowo zasady niestosowania rasowej, etnicznej ani religijnej dyskryminacji.

6 Furlong – $\frac{1}{8}$ mili – 201,167 m (przyp. tłum.).

7 Nierzadko się zdarza, że więźniowie skazani na dożywocie są przenoszeni z więzienia do więzienia, żeby nigdy się nie zadomowić i nie podporządkować sobie innych.

8 2 lipca 2002 roku apelacja Barry'ego George'a została odrzucona.

9 Są cztery kategorie więźniów: A, B, C i D. Do kategorii A zalicza się agresywnych i niebezpiecznych więźniów, dysponujących środkami, np. pieniędzmi, umożliwiającymi ucieczkę; do kategorii B należą agresywni i niebezpieczni, ale nie zawsze mordercy (np. skazani za ciężkie uszkodzenie ciała, rzeczywiste uszkodzenie ciała, nieumyślne spowodowanie śmierci lub gwałt); kategoria C, która obejmuje większość więźniów, grupuje recydywistów bądź skazanych za poważne przestępstwa bez użycia siły, np. handlarzy narkotyków; kategoria D zwykle dotyczy osób, które pierwszy raz popełniły przestępstwo, nie mają na swoim koncie czynów gwałtownych, często z krótkimi wyrokami, i takich, które prawdopodobnie dostosują się do systemu, gdyż pragną jak najszybciej powrócić do społeczeństwa.

10 Wybranim więźniom proponuje się, żeby zostali Powiernikami. Następnie szkolą ich Samarytanie (Samaritans), towarzystwo dobroczynne, pomagające ludziom w nieszczęściu, zwłaszcza tym, którzy zamierzają popełnić samobójstwo. Towarzystwo powołano do życia w 1953 roku (przyp. tłum.).

11 Będę używał wulgaryzmów tylko wtedy, kiedy przytaczam czyjeś słowa. Większość więźniów okrasza nimi każde zdanie. „Pieprzony” to jedyny przymiotnik, jakim się posługują.

12 Zdarza się to w większości więzień i może trwać przez całą noc. Mówi się na nich „pyskacze okienni”.

13 Więzień ma prawo do jednej maszynki Bic dziennie, ale otrzymuje nową dopiero po oddaniu starej. Uplłynęło kilka dni, zanim odkryłem dlaczego.

14 Lyndon Baines Johnson, trzydziesty szósty prezydent Stanów Zjednoczonych.

15 Później się dowiedziałem, że w kantynie można kupić zatyczkę za dwadzieścia pięć pensów, ale jeżeli się zostawi drzwi celi otwarte na dłużej niż minutę, znika bez śladu.

16 Białe kartki oznaczają wyznanie anglikańskie, czerwone katolickie, żółte muzułmańskie, zielone mojżeszowe. Są one wskazówką co do diety i sygnalizują, czy więzień jest na nabożeństwie.

17 Kevin Meredith został osądzony w Old Bailey 18 lutego 2002 roku i uznany za winnego zмовy w przygotowywaniu kradzieży. Dostał wyrok pięciu

lat więzienia.

18 Jeffrey Archer jest autorem głośnego bestsellera pt. *Kane i Abel* (przyp. tłum.).

19 W więzieniu posiłek poranny, śniadanie, spożywa się zwykle między 7.30 a 8.00, posiłek w środku dnia nazywa się obiadem, a wieczorny podwieczorkiem. W Belmarsh śniadanie na następny dzień dostaje się w plastikowym worku, gdy się schodzi do kuchni wieczorem.

20 Mark dlatego tak nalegał, że roznosiciele herbaty, Powiernicy i serwujący posiłki w kuchence spędzają o wiele więcej czasu niż reszta więźniów poza swoimi celami, co jest prawdziwym przywilejem.

21 Jedna gwiazdka oznacza starszego funkcjonariusza Służby Więziennej, dwie – przełożonego.

22 Del Boy razem ze swoim bratem Rodneyem to para sympatycznych kombinatorów i cwaniaków, bohaterów niezwykle popularnej komedii BBC *Only Fools and Horses* (przyp. tłum.).

23 Na przykład gdyby mój wyrok zmniejszono o rok, z czterech do trzech lat, wtedy odsiedziałbym tylko szesnaście miesięcy i zostałbym zwolniony 19 listopada 2002 r., natomiast przy wyroku czteroletnim mogę być zwolniony najwcześniej 19 lipca 2003 r.

24 Później Martin Narey, dyrektor generalny więziennictwa, wydał zalecenie, żeby strażnicy podczas służby nie palili papierosów.

25 Więźniowie niemający stałego miejsca zamieszkania, wychodząc na wolność, otrzymują 90 funtów, a 45 funtów, jeżeli mają gdzie mieszkać. Po dwóch tygodniach mogą pójść na zasiłek.

26 Bicie (lanie, łomot) zwykle odbywa się w pomieszczeniu z prysznicami, co powoduje, że niektórzy więźniowie latami unikają kąpeli. Pomieszczenie to dlatego jest ulubionym miejscem wymierzania kar, że znajduje się na najwyższym piętrze na końcu długiego korytarza, wolno tam przebywać więcej niż czterem więźniom naraz, a nadmierne hałasy kładzie się na karb ich żywiołowości.

27 W dniu 30 czerwca 1990 roku wyrok dożywocia odsiadywało 1725

więźniów. 30 czerwca 2000 roku ta liczba była wyższa o 163 procent i wynosiła 4540 osób, przy czym 97 procent stanowili mężczyźni, z których 3405 skazano za morderstwo. Ważne jest, aby pamiętać, że mordercy są inni niż pozostali przestępcy. W przypadku ponad 50 procent morderców jest to ich pierwsze przestępstwo i kiedy zostaną zwolnieni, nigdy nie popełniają następnego. Prawdą jest też, że pozostałe 50 procent to zawodowi kryminaliści, którzy nie zasługują na najmniejszy odruch współczucia.

28 Jestem wielbicielem wybitnego kardiochirurga sir Magdiego Yacouba, a wszelkie darowizny pomogą w prowadzonych przez niego badaniach.

29 Ten rysunek mojej celi wykonał Derek Jones. Nie pozwolono mi jej sfotografować (TUTAJ).

30 Narkotyki są często pakowane do kondomu i wpychane do odbytu. Przekazywanie ich w tylnej ławce kaplicy nie należy do przyjemności.

31 *Córka marnotrawna* i *Złodziejski honor* – to tytuły kolejnych bestsellerów Jeffreya Archera (przyp. tłum.).

32 Skazani na karę więzienia, członkowie Izby Lordów oraz uznani sądownie za obłąkanych nie mają prawa głosu. Ja obecnie należę do dwu z tych kategorii.

33 Sprawdziłem później. To jest w przepisach więziennych pod nagłówkiem „Zamki, rygle i kraty”.

34 To zdanie zostało dodane w dwa tygodnie po napisaniu pierwotnego tekstu.

35 Już po napisaniu powyższego minister spraw wewnętrznych zmienił klasyfikację kanabinoli/marihuany na kategorię C.

36 „Joey” ma wielkość dwu aspiryn.

37 Prawie wszyscy więźniowie przestali kłać w mojej obecności.

38 Większości potraw figurujących w jadłospisie więziennym z pewnością nie można by znaleźć w książkach kucharskich dla eleganckich pań domu, a nawet jeżeli niektóre z nich noszą wyszukane nazwy, to kryją się pod nimi zazwyczaj

rozgotowane, niejadalne, niedbale przyrządzone dania, tak malowniczo opisane przez autora. Oto kilka przykładów, wrywkowo zaczerpniętych z opublikowanego jadłospisu (zobacz TUTAJ), zdominowanego przez różnego rodzaju paszteciki i zapiekanki: Kolacja – sajgonka z warzywami, ryż smażony z warzywami, pasztecik warzywny, zapiekany hot dog, warzywa zapiekane w cieście pod beszamelem. Lunch – paluszki warzywne, warzywa słodko-kwaśne, stek z kurczaka, pasztecik mięsno-warzywny, fasolka w sosie curry, ryba gotowana w sosie paprykowo-pomidorowym, kotlet wołowy w bułce, wołowina z puszki (przyp. tłum.).

39 Ostatnio przeniesione do klasy C.

40 To zdanie dodałem w trakcie redakcji tomu pierwszego, kiedy ostatecznie zostałem przeniesiony do więzienia kategorii D. W dniu dzisiejszym (1 października 2002) William Keane jest wciąż na wolności.

41 Więzienie (albo część więzienia), gdzie umieszcza się więźniów rozpoczynających odsiadywanie początkowej fazy kary dożywocia. Są to ciężkie więzienia o zaostrzonym rygorze. Po odsiedzeniu przez więźnia kilku lat zasądzonej kary (i pod warunkiem że dobrze się zachowywał) może on zostać przeniesiony do więzienia o lżejszym rygorze (przyp. tłum.).

42 Nigdy się nie wchodzi do czyjejś celi bez zaproszenia.

43 Przedłożyłem wydawcy pełny oryginalny tekst Fletcha: nazwiska i nazwy miejscowości zostały z konieczności opuszczone w ostatecznej wersji.

44 Fletch usiłował popełnić samobójstwo 7 stycznia 2002 roku.

45 Po rozprawie dr Susan Edwards, prodziekan wydziału prawa Uniwersytetu Buckingham, przebadła wszystkie sprawy o krzywoprzysięstwo w ostatnich dziesięciu latach.

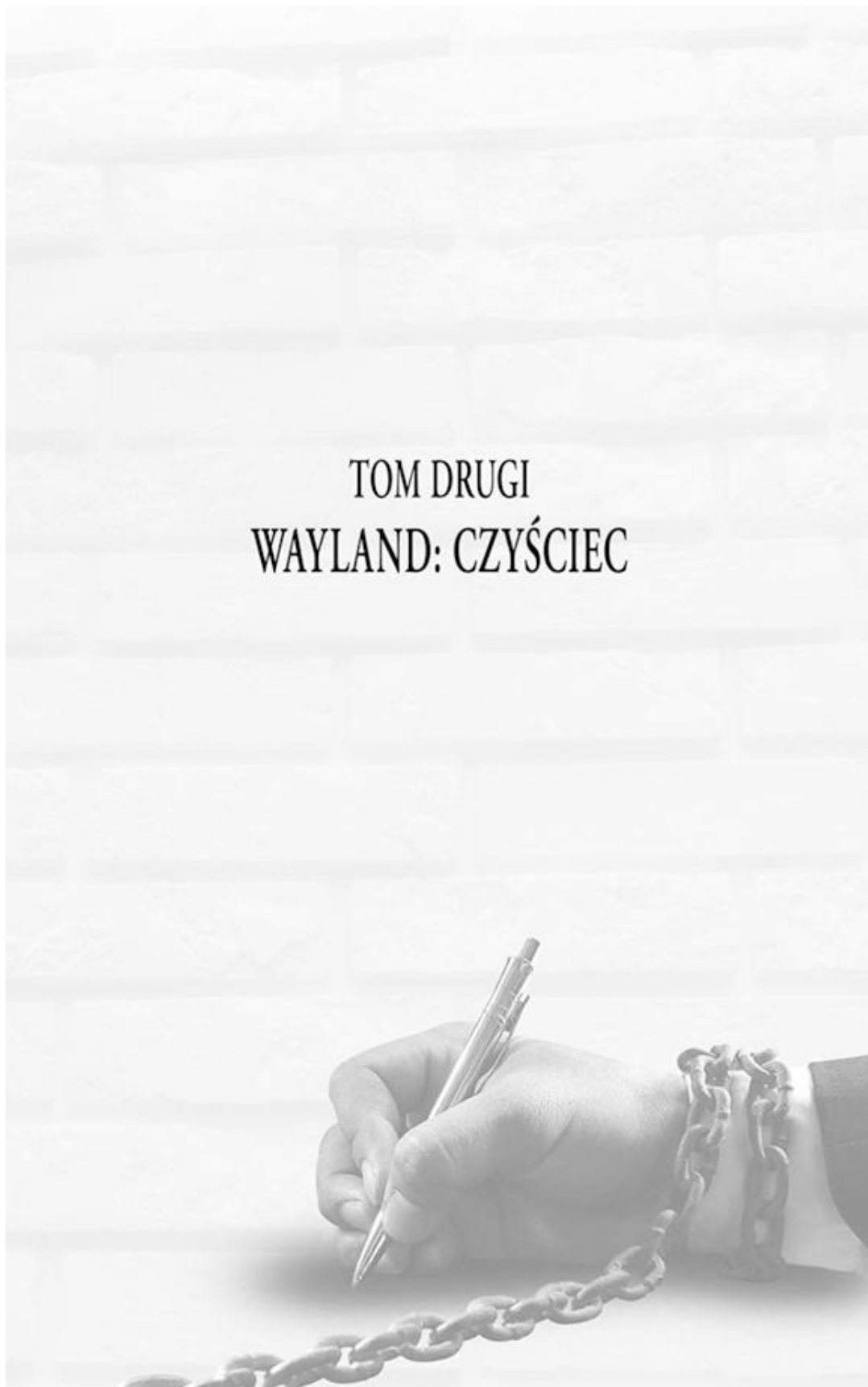
46 Adwokat królewski Michael Beloff jako sędzia olimpijski ma prawo zaprosić jednego gościa na mistrzostwa świata. Jego żona Judith nigdy nie wykazywała zainteresowania widokiem półnagich mężczyzn na bieżni, toteż od trzydziestu lat stanowimy z Michaeliem nierozłączną parę na takich zawodach. Na stadionach lekkoatletycznych zwą nas Jack Lemmon i Walter Matthau.

47 Ostatecznie tytuł powieści brzmi *Synowie fortuny*.

48 Taki proszek można dodawać do czystej heroiny, osłabiając jej siłę i zapewniając większy zysk dilerowi. Przepisy więzienne nie zezwalają na posiadanie dwóch poduszek.

49 Już postanowiłem, że kiedy wyjdę na wolność, odwiedzę Billy'ego (jeszcze 14 lat odsiadki) i Fletcha (jeszcze 19 lat), jeżeli mi pozwolą.

TOM DRUGI
WAYLAND: CZYŚCIEC



*Dla Mary
Jedynej z tysiąca*

JEDEN Z TYSIĄCA

Jeden na tysiąc, jak mędrzec naucza,
Stokroć ci bliższy będzie niż brat.
By go odnaleźć, w drogę wyruszaj,
Choćbyś zwędrować miał wokół świat.
Dziesiątki i setki zobaczą w tobie
Obraz stworzony z podłych słów,
Ale z Tysiąca Jeden człowiek
Spojrzy wraz z tobą w oczy złu.
Próżne przysięgi, modlitwy i prośby;
Wszak trudno w sprawie własnej być świadkiem,
Dziesiątkom i setkom łatwiej cię sądzić
po gestach, czynach i mowie gładkiej.
Lecz gdy cię spotka na morzu wzburzonym
Jeden z Tysiąca i ujmie twą dłoń,
To koniec męki, toś już ocalony
Gotów przepłynąć najgłębszą toń.
Groszem podzieli się z tobą bez słowa,
A twoim nie wzgardzi w potrzebie.
W zgodzie będziecie dalej wędrować,
Za całe bogactwo mając siebie.
Dziesiątki i setki zapragną złota
i srebra, lecz ty wiedz, że więcej
Wart Jeden z Tysiąca, bo on w kłopotach
Nie kiesę otworzy, lecz serce.
Na dobre i złe swój los z twoim złączy
Na czasy chwały i klęsk.
Spojrzenia ludzi, co jad w duszę sączą,
Nie będą mu straszne – o nie!
Dziesiątkom i setkom odbierze spokój
Stek szyderstw, potwarzy i obelg,
Lecz Jeden z Tysiąca u twego boku
Wytrwa do śmierci – i po niej!
Rudyard Kipling (1865–1936)

Dzień 22

Czwartek, 9 sierpnia 2001

10.21 rano

Cudowny dzień, doskonały na to, by obejrzeć mecz krykieta, rozkoszować się szklaneczką pimma, budować zamki z piasku albo skosić trawnik. Ale nie jechać 120 mil duszną „sauną”.

Odsiedziawszy dwadzieścia jeden dni i czternaście godzin w Belmarsh, mam zostać przetransportowany do Wayland, Więzienia Jej Królewskiej Mości w hrabstwie Norfolk, zakładu kategorii C. Mam do dyspozycji auto z kierowcą – furgon Grupy 4 z dwoma boksami przeznaczonymi dla dwóch więźniów. Siedzę zamknięty przez piętnaście minut, czekając na drugiego więźnia. Słyszę go, ale nie widzę. Czy on także jedzie do Wayland?

Wreszcie otwierana elektronicznie brama Belmarsh się rozsuwa i wyruszamy w podróż na wschód. Moim tymczasowym ruchomym domem staje się klitka długości czterech i szerokości trzech stóp, wyposażona w plastikowe siedzenie. Po dziesięciu minutach zaczynam odczuwać mdłości, a po piętnastu jestem już zlany potem.

Podróż do więzienia Wayland w Norfolkku trwa nieco ponad trzy godziny. Spoglądam przez maleńkie okno i od czasu do czasu rozpoznaję jakiś charakterystyczny punkt przy drodze do Cambridge. Gdy zostawiamy za sobą miasto uniwersyteckie, orientuję się, gdzie jesteśmy, tylko na podstawie drogowskazów, które udaje mi się dostrzec, ilekroć furgonetka zwalnia na rondach: Newmarket, Bury St Edmunds, Thetford. A więc podczas rozpoczynającego się właśnie etapu mojego życia w parlamencie będzie mnie reprezentować wyjątkowa kobieta, Gillian Shephard.

Im dalej na wschód, tym drogi stają się węższe, a drzewa wyższe. Kiedy w końcu docieramy do Wayland, moim oczom ukazuje się brama będąca zupełnym przeciwieństwem wjazdu do Belmarsh, gdzie przyjezdnych witał złowrogi wysoki mur i otwierana elektronicznie furta. Najbardziej cieszy mnie jednak to, że nigdzie nie widać żadnego dziennikarza. Wjeżdżamy na dziedziniec i zatrzymujemy się przed recepcją. Od razu wyczuwam zupełnie inną atmosferę i znacznie swobodniejszy stosunek funkcjonariuszy do więźniów. Ostatecznie nie mają na co dzień do czynienia z zawodowymi mordercami, terrorystami z IRA, gwałcicielami i baronami narkotykowymi.

Pierwszy funkcjonariusz, którego spotykam po wejściu do recepcji, nazywa się Knowles. Kończy wypełniać papiery i składa podpis, po czym przekazuje mnie niejakiemu Brownowi, jakbym był przesyłką poleconą. Zostaję poddany rewizji osobistej, następnie funkcjonariusz wysypuje na blat zawartość mojej plastikowej torby z nadrukiem Więzienie Jej Królewskiej Mości Belmarsh i przegląda mój dobytek. Odkłada na bok szlafrok, dwa duże niebieskie ręczniki dostarczone przez troskliwego Williama oraz niebieski dres. Oznajmia mi, że otrzymam te rzeczy z powrotem, gdy tylko uzyskam wyższy status¹.

– Kiedy to się stanie? – pytam.

– Zwykle trwa to około trzech miesięcy – odpowiada beztrąsko, jak gdyby chodziło o chwilę odmierzoną przez kilka ziarenek piasku w klepsydrze.

Nie wspominam Brownowi, że mam nadzieję na przeniesienie do więzienia otwartego w ciągu kilku dni, kiedy policja się przekona, że dalsze dochodzenie w sprawie zarzutów baronessy Nicholson przeciw mnie w związku z kampanią Simple Truth jest bezcelowe².

Następnie Brown odkłada na bok moje beżowe spodnie i niebieską koszulę, wyjaśniając, że zwrócą mi je dopiero wtedy, gdy zostanę zwolniony lub przeniesiony. W zamian dostaję więzienną niebieską koszulę w paski oraz parę dżinsów. Po załatwieniu formalności z moimi rzeczami robią mi zdjęcie, trzymając mi pod brodą tabliczkę z wypisanym kredą numerem FF8282, zupełnie jak w filmach.

Kolejny funkcjonariusz eskortuje mnie do czegoś w rodzaju magazynu kwatermistrzostwa, gdzie wręczają mi ręcznik (zielony), szczoteczkę do zębów (czerwoną), tubkę pasty do zębów, grzebień, dwie maszynki do golenia Bic oraz plastikowy talerz, plastikową miskę i plastikowe sztućce.

Włożywszy do plastikowej torby mój nowy ekwipunek więzienny wraz z resztką rzeczy, które pozwolono mi zatrzymać, wędruję pod eskortą do skrzydła przejściowego. Szef bloku przejściowego, Thompson, zaprasza mnie do swojego biura. Na początku oznajmia, że pracuje w Służbie Więziennej od dziesięciu lat, dlatego ma nadzieję, że odpowie na wszystkie moje pytania.

– Rozpoczyna pan okres przystosowawczy w skrzydle przejściowym – wyjaśnia – gdzie będzie pan dzielił celę z innym więźniem.

Ogarnia mnie niepokój, ponieważ przypominają mi się doświadczenia z Belmarsh. Ostrzegam funkcjonariusza, że mój współlokator poinformuje o wszystkim brukowce. Thompson wybucha śmiechem. Jak szybko się przekona? Więzienie byłoby o wiele znośniejsze, gdyby można dzielić celę z kimś, kogo się zna. Przychodzi mi na myśl kilkanaście osób, z którymi chętnie zamieszkałbym w jednej celi – i znacznie więcej, które powinny się znaleźć za kratkami.

Po słowie wstępnym Thompson zapewnia mnie, że zostanę przeniesiony ze skrzydła przejściowego do pojedynczej celi w innym bloku, gdy zakończę okres

przystosowawczy³.

– Czyli kiedy? – pytam.

– W tej chwili mamy takie przepełnienie, że może to potrwać nawet do miesiąca – przyznaje i milknie na chwilę. – Ale mam nadzieję, że jeśli chodzi o pana, uda się już za kilka dni.

Następnie Thompson opisuje typowy dzień w Wayland, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że więźniowie spędzają zamknięci w celach znacznie mniej czasu niż w Belmarsh, co przyjmuję z niejaką ulgą. Potem wylicza zajęcia do wyboru: edukację, ogrodnictwo, pracę w kuchni, warsztat lub sprzątanie skrzydła. Ostrzega mnie jednak, że upłynie kilka dni, zanim uda się załatwić tę sprawę. W więziennictwie niczego nie robi się „dziś”, rzadko nawet „jutro”. Wyjaśnia, jak pracuje kantyna, i potwierdza, że będę mógł wydać w niej 12 funtów 50 pensów tygodniowo. Modlę się, by jedzenie było tu lepsze niż w Belmarsh. Bo gorsze na pewno być nie może.

Thompson kończy prelekcję, oznajmiając, że wybrał mi na towarzysza spokojnego więźnia, który nie powinien sprawiać żadnych kłopotów. Nie mam więcej pytań, wyprowadza więc mnie z biura na zatłoczony korytarz pełen młodych ludzi w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, którzy stoją i po prostu mi się przyglądają.

Gdy oddziałowy otwiera drzwi celi, truchleję. Cella jest tak ohydna, że gdyby zamknięto w niej jakieś zwierzę, Królewskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami niewątpliwie wystąpiłoby na drogę sądową. Okno i parapet lepią się od narosłej w ciągu wielu miesięcy grubej warstwy brudu, natomiast toaletę i umywalkę pokrywa nie brud, lecz skorupa ekskrementów. Muszę się stąd jak najszybciej wydostać. Najwyraźniej Thompson nie dostrzega nieczystości i zupełnie nie zważa na okropny stan celi. Wychodzi, lecz zostaję sam tylko na kilka chwil, bo zaraz potem pojawia się mój współlokator. Przedstawia się, ale mówi z silnym akcentem z Yorkshire, więc nie udaje mi się dosłyszeć jego imienia i nazwiska, dlatego muszę je odczytać z kartki na drzwiach celi.

Chris⁴ jest mniej więcej mojego wzrostu, ale mocniej zbudowany. Nie przestaje mówić, lecz rozumiem tylko co trzecie słowo. Kiedy wreszcie milknie, siada na górnym łóżku, by przeczytać list od matki, tymczasem ja zaczynam słać dolne łóżko. Chris chichocze i czyta na głos jedno zdanie z listu: „Jeżeli nie dostałeś tego listu, daj mi znać, to przyślę ci drugi”. Zanim wypuszczają nas po kolację, dowiaduję się, że odsiaduje wyrok pięciu lat za ciężkie uszkodzenie ciała – dźgnął ofiarę nożem Stanley. Oto spokojna osoba, która zdaniem Thompsona nie powinna mi sprawiać żadnych kłopotów.

6.00 wieczorem

Wszystkie posiłki podaje się w kuchence piętro niżej. Cierpliwie czekam w długiej kolejce tylko po to, by się przekonać, że jedzenie jest równie złe jak w Belmarsh. Wracam do celi z pustymi rękami, pocieszając się, że w Wayland zamówienia w kantynie składa się w piątek (jutro). Wydobywam z torby pudełko Sugar Puffs i sypię płatki do miski, dolewając mleko o przedłużonej trwałości. Chrupię jabłko z Belmarsh, dziękując w duchu Del Boyowi.

6.30 wieczorem

Spacer: po wyjściu na spacerniak natychmiast dostrzegam kilka różnic między Belmarsh a Wayland. Po pierwsze, nie ma rewizji, po drugie, dystans, jaki można pokonać, nie idąc ponownie tą samą drogą, jest pięciokrotnie dłuższy – około ćwierci mili, po trzecie, stosunek liczby czarnych więźniów do białych wynosi 30 do 70 – w porównaniu z odwrotną proporcją w Belmarsh, i po czwarte, mój widok częściej prowokuje więźniów Wayland do wytykania palcami, chichotów i chamskich uwag, co zmusza mnie do skrócenia przechadzki o piętnaście minut. Chciałbym, żeby sędzia Potts przeżył choć jeden taki dzień.

Podczas pierwszego długiego okrążenia dziedzińca obok mnie zjawiają się więzienni handlarze.

– Czegoś ci trzeba, Jeff? Prochy, tytoń, karty telefoniczne?

Wszyscy chętnie się zgodzą, by otrzymać zapłatę za murami, czekiem lub gotówką⁵. Wyjaśniam stanowczo, że nie jestem zainteresowany, ale widzę, iż musi upłynąć parę dni, zanim zrozumieją, że mówię serio.

Gdy więzienni przekupnie i handlarze starzyzną odchodzą z kwitkiem, dołącza do mnie skazany na dożywocie, który mi oznajmia, że tak jak ja ma sześćdziesiąt jeden lat, ale różnica między nami polega na tym, że on odsiedział już dwadzieścia siedem lat i wciąż nie wie, czy kiedykolwiek zostanie zwolniony. Kiedy pytam, za co dostał wyrok, przyznaje, że zabił policjanta. Zaczynam rozmawiać z czarnoskórym więźniem idącym po mojej drugiej ręce, a dożywotniak szybko się ulatnia.

Dowiaduję się, że kilku spośród dojrzałych więźniów ma na koncie przestępstwa urzędnicze: oszukiwali ministerstwa Spraw Społecznych oraz Przemysłu i Handlu, a także Urząd Ceł Jej Królewskiej Mości. Podchodzi do mnie jeden z nich, David, i natychmiast mi mówi, że odsiaduje pięć lat.

– Za co? – pytam.

– Przemyt.

– Narkotyków?

– Nie, alkoholu – wyznaje.

– Nie sądziłem, że to nielegalne. Wydawało mi się, że każdy może skoczyć przez Kanał do Calais i...

– Owszem, może, ale nie sześćdziesiąt pięć razy w ciągu sześćdziesięciu pięciu dni dwutonową ciężarówką z ładunkiem whisky wartym dwadzieścia milionów funtów. – Milknie na chwilę. – Kiedy zapomnisz wybulić ośmiu melonów cła, urząd celny ma prawo trochę się zdenerwować.

Miejsce zabójcy policjanta po mojej drugiej ręce zajmuje młody mężczyzna pod trzydziestkę. Przechwala się, że w ciągu dziesięciu lat zaliczył sześć więzień, więc jeśli potrzebuję przewodnika, nie znajdę nikogo z lepszymi kwalifikacjami.

– Dlaczego wysyłano cię do sześciu więzień w ciągu dziesięciu lat? – indaguję.

– Nikt mnie nie chce – przyznaje. – Odkąd skończyłem dziewiętnaście lat, zrobiłem dwa tysiące włamań i kiedy mnie wypuszczają, zaraz zaczynam od nowa.

– Może pora z tym skończyć i znaleźć bardziej interesujące zajęcie? – sugeruję naiwnie.

– Nie da rady – odpowiada. – Przynajmniej dopóki mam z tego dwieście kawalków rocznie, Jeff.

Po jakimś czasie mam serdecznie dość gwizdów, więc opuszczam spacerniak i wracam do celi, coraz bardziej rozczarowany i coraz bardziej sceptyczny. Nie sądzę, by młodych ludzi, którzy zostali skazani pierwszy raz za drobne przestępstwa, powinno się wysyłać do takiego zakładu, gdzie co trzeci z nich zostanie narkomanem, a co trzeci dopuści się znacznie poważniejszych przestępstw po przeszkoleniu przez więziennych profesorów.

Muszę wytrzymać jeszcze jedno upokorzenie – kolejkę więźniów, którzy tłoczą się w milczeniu przed moją celą, aby na mnie popatrzeć. Nie słyszę żadnych przyjaznych „Hej, Jeff, jak się masz?”. Tylko się gapią i pokazują mi palcami, jakbym był egzotycznym zwierzęciem w zoo. Siedzę w klatce do ósmej, gdy wreszcie oddziałowy zatrzaskuje drzwi i mogę z ulgą odetchnąć.

8.00 wieczorem

Właśnie zasiadam, żeby spisać wszystko, co mi się dziś przydarzyło, lecz w tym momencie Chris włącza telewizor. Najpierw przez pół godziny oglądamy odcinek *EastEnders*, potem magazyn *Top Gear*, a później program dokumentalny o Robbiem Williamsie. Chris wyraźnie przyznaje sobie wyłączne prawo wybierania kanału i ustawienia głośności według własnego upodobania. Ciekawe, czy pozwoli mi jutro obejrzeć *Frasiera*?

Leżę na cienkim materacu z głową na twardej jak kamień poduszce i rozmyślam o Mary i chłopcach, przypuszczając, że oni także muszą przechodzić piekło. Czuję się tak samo przygnębiony jak podczas pierwszej nocy w Belmarsh. Nie mam pojęcia, o której wreszcie udaje mi się zasnąć. Sądziłem, że uciekłem z piekła.

No i mam swój czyściec.
Dzień 23

Piątek, 10 sierpnia 2001

5.49 rano

Niespokojny, przerywany sen, w którym nie pomaga twarda jak kamień poduszka i współlokator, pochrapujący i od czasu do czasu mówiący przez sen; niestety, nic interesującego pod względem literackim. Wstaję i przez dwie godziny piszę.

7.33 rano

Współlokator budzi się i stęka. Nie przerywam pisania. Zeskakuje z górnego łóżka i podchodzi do toalety w kącie celi. Nie krępuje się moją obecnością, ale w końcu jest w więzieniu już pięć lat. Postanawiam nie korzystać z ubikacji w kącie, dopóki siedzę we wspólnej celi, chyba że mój towarzysz wyjdzie⁶. Pracuję dalej, jak gdyby nigdy nic. Trudno mnie zdekoncentrować, gdy piszę, ale spoglądam na Chrisa, który stoi nago nad muszlą. Prawie całą pierś pokrywa mu tatuaż wyobrażający orła unoszącego się nad węzem – jak z dumą mówi, sam go wykonał. Na kostkach palców obu dłoni ma kolory karciane: karo, kiery, piki i trefle, natomiast na ramionach pajęczą sieć sięgającą aż na plecy. Na jego ciele zostało niewiele czystej, niewytatuowanej skóry. Chris to chodzący obraz.

8.00 rano

Otwierają się drzwi celi i możemy iść na śniadanie; godzinę wcześniej niż w Belmarsh. Schodzimy z Chrisem do kuchenki. Przynajmniej jajka zostały ugotowane niedawno – chyba nawet dziś. Dostajemy także po pół kartonu półtłustego mleka, co oznacza, że z listy moich zakupów mogę usunąć mleko o przedłużonej trwałości, przeznaczając dodatkowe 79 pensów na inny luksusowy towar, na przykład dżem.

9.40 rano

Do celi zagląda Newport, by oznajmić mi, że przełożony funkcjonariuszy,

Tinkler, chciałby ze mną zamienić dwa słowa. Nawet język w Wayland jest łagodniejszy. Kiedy wychodzę z celi, dodaje:

– Tym korytarzem, drugie drzwi po lewej.

Tinkler wstaje, gdy wkraczam do jego gabinetu, i prowadzi mnie do krzesła po drugiej stronie biurka, jak gdyby był kierownikiem mojego banku. Jego nazwisko tworzą srebrne litery na trójkątnym kawałku drewna, na wypadek gdyby ktoś zapomniał, jak się nazywa. Nie przypomina funkcjonariusza Służby Więziennej, raczej starszego kapitana statku handlowego. Ma ogorzałą, pokrytą siatką zmarszczek skórę i starannie przystrzyżoną siwą brodę. Pracuje w więziennictwie już ponad dwadzieścia lat, a w sierpniu przyszłego roku zamierza odejść na emeryturę. Zadaje mi najczęstsze pytanie, jakie można usłyszeć od funkcjonariusza przy pierwszym spotkaniu z więźniem – jak się aklimatyzuję. Mówię mu o opłakanym stanie mojej celi oraz skłonnościach mojego współlokatora. Słucha z uwagą, a ponieważ jest między nami niewielka różnica wieku, wyczuwam u niego pewną dozę współczucia dla mojego położenia. Zapewnia mnie, że gdy tylko zakończy się mój okres przystosowawczy, zamierza mnie przenieść do pojedynczej celi w bloku C, zajmowanym głównie przez skazanych na dożywocie. Tinkler wierzy, że bardziej będzie mi odpowiadać panująca tam stabilna atmosfera i poczuję się lepiej wśród więźniów zbliżonych do mnie wiekiem. Opuszczam gabinet w znacznie lepszym nastroju.

10.01 rano

Zaledwie kilka minut po moim powrocie do celi zza drzwi znów ukazuje się głowa Newporta.

– Przenosimy pana do innej celi w tym samym korytarzu. Proszę spakować swoje rzeczy i pójść za mną.

Właściwie jeszcze się nie rozpakowałem, toteż potrzebuję niewiele czasu. Okazuje się, że nowa cela jest także dwuosobowa, lecz gdy wchodzę do środka, Newport szepcze:

– Mamy nadzieję, że nikogo nie będziemy musieli dokwaterować.

Współczucie Tinklera przełożyło się na coś bardziej namacalnego od słów.

Po raz siódmy w ciągu trzech tygodni powoli wypakowuję swój dobytek z regulaminowej plastikowej torby.

Mam do dyspozycji aż dwie szafki: w pierwszej układam więzienne ubrania, czyli koszule, skarpety, slipy, strój gimnastyczny i tak dalej, natomiast w drugiej rzeczy osobiste. Długo porządkuję mój nowy dom, odczuwając przy tym coś w rodzaju przyjemności.

11.36 rano

Znów pojawia się Newport. Robi obchód wszystkich cel, roznosząc listy zamówień do kantyny. Zdążył mnie już przestrzec, że jeśli komputer nie przeniósł moich niewykorzystanych funduszy z Belmarsh, w tym tygodniu dostanę tylko zaliczkę w wysokości 5 funtów. Szybko spoglądam na nagłówek karty i stwierdzam, że mam do dyspozycji 20 funtów 46 pensów. Kwota jest sumą mojego tygodniowego przydziału (12,50) oraz dwóch wypłat z działu edukacji w Belmarsh za wykład z kreatywnego pisanie oraz dwóch tur pracy w warsztacie. Przez pełne trzydzieści minut obmyślam, na co wydać tę nieoczekiwaną fortunę. Pozwalam sobie zamówić tak luksusowe dobra, jak pianka do golenia Gillette, dżem Robertsona i cztery butelki wody Evian.

12.00 w południe

Lunch. W piątki w Wayland lunch dostaje się w plastikowych torebkach: paczka chrupek, tabliczka czekolady, bułka plus listek sałaty i saszetka sosu majonezowego. Zastanawiam się, w którym więzieniu i kiedy zapakowano ten posiłek, ponieważ na więziennym jedzeniu rzadko można znaleźć datę ważności. Po powrocie do celi znajduję kolejną plastikową torbę – z produktami zamówionymi w kantynie – którą położono na łóżku. Przystępuję do uczyty, rozrywając bułkę palcami i smarując ją dżemem Golden Shred za pomocą uchwyty szczoteczki do zębów. Nalewam do kubka wody Evian. Świat od razu wydaje się lepszy.

12.40 po południu

Do programu przystosowawczego należy prywatne spotkanie z więziennym kapłanem. John Framlington wygląda, jak gdyby już od paru dobrych lat zarządzał własną parafią. Wyjaśnia, że jest tu „w zastępstwie”, gdyż dzieli obowiązki z młodszym pastorem. Zapewniam go, że zamierzam uczestniczyć w niedzielnym nabożeństwie, pragnę jednak wiedzieć, czy godzina nie koliduje z porą mszy katolickiej. Wygląda na zaskoczonego.

– Nie, korzystamy z tej samej kaplicy. Ojciec Christopher w niedzielę musi obsłużyć tyle parafii, że w więzieniu odprawia mszę już w sobotę o wpół do jedenastej rano.

Framlingtona ciekawi, dlaczego chcę być na obu nabożeństwach. Mówię o prowadzonym przez siebie dzienniku i o tym, że podczas pobytu w Belmarsh nie udało mi się wysłuchać kazania ojca Kevina. Kapelan wzdycha.

– Szybko się pan przekona, że ojciec Christopher wygłasza kazania o niebo lepsze od moich.

2.40 po południu

Pierwsze niepowodzenie dnia. Wraca Newport, zwiastun złych wiadomości. Po południu przyjęto sześciu nowych więźniów, a więc znów będę miał w celi towarzysza. Później się dowiaduję, że istotnie w skrzydle przejściowym przybyło sześć osób, ale więzienie dysponuje taką liczbą miejsc, że wcale nie musiałem dostawać towarzystwa. Pod bramami więzienia zaczęło się jednak kręcić kilku dziennikarzy, a administracja nie chce dawać prasie żadnych powodów do przypuszczeń, iż jestem traktowany jak więzień specjalnej kategorii. Newport twierdzi, że wybrał dla mnie odpowiedniejszego współlokatora. Może tym razem nie będzie to nożownik, tylko morderca preferujący maczetę.

Wyciągam z jednej szafki swoje rzeczy osobiste i upycham w drugiej wraz z więziennym ubraniem.

3.18 po południu

Zjawia się mój współtowarzysz z plastikową torbą. Przedstawia się jako Jules (zobacz rozdział „Ilustracje”). Ma trzydzieści pięć lat i został skazany na pięć lat za handel narkotykami. Poinformowano go już, że nie palę.

Przyglądam mu się uważnie, gdy zaczyna się rozpakowywać, i powoli się rozluźniam. Jules ma niezwykle dużo książek oraz elektroniczne szachy. Nabieram pewności, że wieczorem nie będziemy oglądać powtórek *Top of the Pops* ani transmisji wyścigów motokrosowych. Za pięć czwarta zostawiam go, by się w spokoju rozpakował, i ruszam do sali gimnastycznej na kolejny punkt programu przystosowawczego.

3.55 po południu

Do sali gimnastycznej przybywa pod eskortą dwudziestu nowych więźniów. Choć maszerujemy na drugi koniec budynku, po drodze nie napotykamy ani jednych zamykanych na klucz drzwi. Zauważam również, że mijamy bibliotekę. W Belmarsh nie udało mi się nawet znaleźć biblioteki.

Sala gimnastyczna wywołuje jeszcze większe zaskoczenie. Jest naprawdę wspaniała. Wayland dysponuje pełnowymiarowym boiskiem do koszykówki, w pełni przystosowanym do badmintonu i tenisa. Instruktor gimnastyki prosi, abyśmy usiedli na ławce, po czym wręcza nam formularze do wypełnienia, w których mamy podać swój wiek, wagę i wzrost oraz napisać, jakimi sportami się interesujemy.

– Nazywam się John Maiden – mówi – i nie mam nic przeciwko temu,

żebyście mówili mi John.

Nigdy nie poznałem imienia żadnego z funkcjonariuszy w Belmarsh. Instruktor wymienia zajęcia do wyboru: krykiet, koszykówka, badminton, piłka nożna, rugby i, jakżeby inaczej, trening w siłowni. Następnie prowadzi nas do drugiego pomieszczenia zapchanego sztangami, hantlami i ciężarkami. Znów z rozczarowaniem konstatuje, że znajdują się tu tylko jedna stacjonarna bieżnia i trzy ergometry wioślarskie, nie ma za to steppera. Spostrzegam natomiast dziwne rowery, jakich jeszcze nigdy nie widziałem.

Oprowadza nas dyżurny sali (więzień, najprawdopodobniej przeszkolony przez Maidena), tłumacząc, jak korzystać z każdego przyrządu. Wypełnia swoje zadanie niezwykle profesjonalnie, nie powinien więc mieć kłopotów ze znalezieniem pracy po wyjściu z więzienia. Słucham pilnie instrukcji na temat wyciskania sztangi w pozycji leżącej, gdy dostrzegam stojącego obok mnie Maidena.

– Jest pan jeszcze sędzią rugby? – pyta.

– Nie. Zrezygnowałem dziesięć lat temu. Przestałem nadążać za zmieniającymi się co sezon przepisami. W każdym razie stwierdziłem, że gdybym nawet miał sędziować mecz oldbojów, dosłownie nie potrafiłbym nadążyć.

– Proszę się nie przejmować przepisami – mówi Maiden. – Być może pana wykorzystamy.

Spotkanie kończy się rzutem oka na przebieralnię, prysznic oraz, co ważniejsze, czyste toalety. Otrzymuję plastikową kartę upoważniającą do wstępu na salę gimnastyczną i z utęsknieniem czekam na powrót do swego żelaznego programu ćwiczeń.

5.00 po południu

Po powrocie do celi zastaję Julesa siedzącego na górnym łóżku z nosem w książce. Przed wyjściem na kolację zasiadam do kolejnej tury pisania.

6.00 wieczorem

Wybieram zapiekankę wegetariańską z frytkami i dostaję obowiązkowy żółty lizak, taki sam jak w Belmarsh. Jeśli tylko jedna firma produkuje je i dostarcza do wszystkich więzień Jej Królewskiej Mości, to trafił się jej wyjątkowo lukratywny kontrakt. Mimo że to dopiero mój trzeci posiłek w Wayland, odnoszę wrażenie, że udało mi się ustalić, kto sprawuje władzę w kuchence. To mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, ma sześć stóp i trzy cale wzrostu i waży mniej więcej trzysta osiemdziesiąt funtów. Mijając go, pytam, czy moglibyśmy się później spotkać. Kiwa głową z miną człowieka, który

wie, że w królestwie ślepców... Mam tylko nadzieję, że odnalazłem w Wayland odpowiednik Del Boya.

Po kolacji wolno nam przez dwie godziny nie wracać do cel (Godzina Wspólna), ponieważ plombują nas dopiero o ósmej. Cóż za kontrast w porównaniu z Belmarsh. Wykorzystuję czas, wędrując po korytarzach, aby poznać rozkład budynku. Na pierwszym piętrze znajduje się główne biuro stanowiące centrum całego skrzydła. Stąd odchodzą wszystkie odnogi. Sprawdzam też, gdzie są usytuowane telefony, gdy od jednego z aparatów odchodzi jakiś więzień i ostrzega mnie:

– Nie korzystaj z telefonów na przejściówce, Jeff. Wszystkie rozmowy są nagrywane. Dzwon z tego. To linia bezklawiszowa.

Dziękuję mu i dzwonię do Mary do Cambridge. Mój telefon sprawia jej ulgę, ponieważ sama nie miała jak się ze mną skontaktować, nie może też mnie odwiedzić, dopóki nie dostanie pocztą zezwolenia. Obiecuję wysłać jej dokument jutro, aby mogła przyjechać już w przyszły wtorek lub środę. Przypominam jej, by zabrała ze sobą jakiś dowód tożsamości i że nie wolno jej niczego mi przekazywać, nawet listu.

Mary mówi, że przyjęła zaproszenie Johna Humphrysa do programu *Today*. Zamierza prosić baronessę Nicholson o wycofanie oskarżenia – według którego rzekomo ukradłem pieniądze Kurdów – co umożliwiłoby mi odzyskanie kategorii D i szybkie przeniesienie do więzienia otwartego. Dzielę się z Mary przypuszczeniem, że to mało prawdopodobny scenariusz.

– Nie liczyłbym na taki gest chrześcijańskiego miłosierdzia z jej strony – przestrzegam żonę.

– Z pewnością masz rację – odpowiada Mary – ale będę mogła wspomnieć o wypowiedzi Lyndy Chalker w parlamencie i spytam, dlaczego pani Nicholson była tego dnia nieobecna w Izbie, skoro tak bardzo troszczy się o sprawę kurdyjską, albo dlaczego nazajutrz rano nie przeczytała relacji z obrad w „Hansardzie”. – Mary dodaje, że usłyszała od ludzi z BBC, iż ich zdaniem zarzuty wobec mnie są bezpodstawne.

– Kiedy masz wystąpić w programie?

– W przyszłą środę albo w czwartek, dlatego koniecznie muszę się z tobą wcześniej zobaczyć.

Godzę się pospiesznie, ponieważ kończą mi się impulsy na karcie. Proszę jeszcze Mary, aby uprzedziła Jamesa, że zadzwonię do jego biura jutro o jedenastej przed południem, i obiecuję zatelefonować do niej w niedzielę wieczorem. Zostało mi dziesięć jednostek, dlatego szybko się żegnam⁷.

Kontynuuję zwiedzanie skrzydła i odkrywam, że główna sala wspólna oraz kuchenka z ladą do wydawania posiłków mieszczą się w jednym pomieszczeniu o wymiarach trzydzieści na dwadzieścia kroków. Stoi tu pełnowymiarowy stół do

snookera, który jest tak popularny, że trzeba go sobie rezerwować z tygodniowym wyprzedzeniem. Znajduje się tu także stół do poola i tenisa stołowego, lecz nie ma telewizora, który i tak byłby zbędny, bo odbiornik jest w każdej celi.

Wracając na górę, natykam się na tamtego mężczyznę z kuchni. Przedstawia mi się jako Dale⁸ i zaprasza do swojej celi, informując mnie po drodze, że odsiaduje osiem lat za rozmyślne okaleczenie z zagrożeniem życia. Prowadzi mnie po kamiennych schodach do przyziemia. Nigdy bym tu nie trafił, gdyż ta część jest zarezerwowana wyłącznie dla więźniów o wyższym statusie wybrańców, którzy mają porządną pracę i cieszą się zaufaniem funkcjonariuszy. Ze względu na fakt, że wyższy status można uzyskać co najmniej po trzech miesiącach, nie dane mi będzie zaznać tego luksusu, ponieważ mam nadzieję na szybkie przeniesienie do zakładu kategorii D.

Cela Dale'a ma dokładnie takie same wymiary jak moja, ale na tym podobieństwo się kończy. Ceglane ściany pomalowano na błękit w dwóch odcieniach, a nad umywalką jest dziewięć stalowych lusterek o boku długości pięciu cali, ułożonych w kształcie dużego trójkąta. W naszej celi mamy razem z Julesem tylko jedno lustro. Dale ma także dwie poduszki – miękkie – i dodatkowy koc. Na ścianach wiszą zdjęcia jego synów bliźniaków, lecz nie widać fotografii żony – tylko rozkładówka z dwiema Chinkami przyczepiona pinezkami nad łóżkiem. Dale nalewa mi coca-cola (pierwszy kubek od odwiedzin Williama i Jamesa w Belmarsh), po czym pyta, w czym mógłby mi pomóc.

– Chyba we wszystkim. Chciałbym miękką poduszkę, codziennie czysty ręcznik i wyprane rzeczy.

– Nie ma sprawy – mówi tonem bankiera, który naciskając jeden guzik, potrafi błyskawicznie przelać drogą elektroniczną milion dolarów do Nowego Jorku, pod warunkiem że dysponuje się milionem dolarów. – Coś jeszcze? Karty telefoniczne, jedzenie, picie?

– Przydałoby mi się kilka kart i parę rzeczy z kantyny.

– To też mogę załatwić – powiada Dale. – Zrób listę i wszystko dostarczę ci do celi.

– Ale jak ci zapłacę?

– Z tym będzie najmniejszy kłopot. Przyślesz przekaz pocztowy z prośbą, żeby pieniądze zostały zapisane na mój rachunek. Ale pamiętaj, żeby nie wymieniać nigdzie nazwiska Archer, bo inaczej na pewno będzie jakieś dochodzenie. Nie policzę ci dubeltowo, tylko półdubeltowo.

Do celi Dale'a wchodzi kilku więźniów i gospodarz natychmiast zmienia temat.

Wszyscy czują się niezwykle swobodnie w swoim towarzystwie, toteż po paru minutach atmosfera przywodzi na myśl raczej klub niż więzienie. Jimmy, były kurier narkotykowy (roznosił po klubach paczuski ecstasy), odsiadujący wyrok

trzech lat, dopytuje się, czy gram w krykieta.

– Od czasu do czasu mecz na cele dobroczynne, mniej więcej dwa razy do roku – przyznaję.

– Dobrze. Wobec tego w przyszłym tygodniu w meczu z blokiem D będziesz wybijającym numer trzy.

– Ale zwykle wchodzę jedenasty – protestuję. – I wybijałem najwyżej jako dziesiąty.

– W takim razie w Wayland zaczniesz w pierwszej kolejce – oświadcza Jimmy. – Nawiasem mówiąc, w tym roku jeszcze nie wygraliśmy meczu. Nasi dwaj najlepsi wybijający na początku sezonu dostali kategorię D i zostali przeniesieni do Latchmere House w Richmond.

Mniej więcej po godzinie spędzonej w ich towarzystwie zaczynam zdawać sobie sprawę, czym jeszcze skrzydło dla więźniów o wyższym statusie różni się od reszty bloku – dźwiękami, a raczej brakiem dźwięków. Nie słysząc tu nieustannego jazgotu odtwarzaczy stereo usiłujących się nawzajem zagłuszyć.

Za pięć ósma wracam do celi i na schodach spotykam strażnika, który mnie poucza, że nie mogę więcej odwiedzać tej części bloku, ponieważ jest to zabronione.

– I jeżeli to zrobisz, Archer – dodaje – zgłoszę cię do raportu i do twojego wyroku dodadzą dwa tygodnie.

Zawsze znajdzie się ktoś, kto musi udowodnić innym swoją przewagę, zwłaszcza jeśli może się pochwalić władzą przed więźniami. „Pokazałem Archerowi, gdzie jego miejsce, nie?” W Belmarsh był to młody funkcjonariusz, który przy każdej okazji groził mi konsekwencjami. Odnoszę wrażenie, że właśnie poznałem jego odpowiednik w Wayland.

W celi Jules gra w elektroniczne szachy z niewidzialnym przeciwnikiem. Zasiadam do spisania relacji z minionego dnia. Nie nadeszły żadne listy, gdyż nikt się jeszcze nie dowiedział, że jestem w Wayland.

8.15 wieczorem

Zjawia się Dale z miękką poduszką i dodatkowym kocem. Nie udaje mi się podziękować, bo zaraz znika.

Dzień 24

Sobota, 11 sierpnia 2001

5.07 rano

Udało mi się przespać sześć godzin tylko dzięki temu, że Jules zsunął z górnego łóżka brzeg koca, zasłaniając wpadający przez kraty blask jarzeniówek, które palą się całą noc⁹. O 5.40 spuszczam stopy na linoleum i czekam. Jules ani drgnie. Do tej pory nie zachrapał ani niczego nie mówił przez sen. Wczoraj wieczorem podzielił się ze mną ciekawym spostrzeżeniem na temat snu: to jedyny czas, kiedy człowiek nie jest w więzieniu i może dzięki niemu skrócić sobie wyrok o jedną trzecią. Czy dlatego tak wielu więźniów spędza tyle czasu w łóżku? Dale dodaje, że niektórzy leżą zamroczeni heroiną. Dzięki temu mogą spać dwanaście do czternastu godzin, zabijając weekendowy czas – i samych siebie.

8.15 rano

Drzwi celi zostają otwarte w chwili, gdy kończę pierwszą turę pracy. Udało mi się napisać nieco ponad dwa tysiące słów.

Schodzę do kuchenki w nadziei, że zdobędę karton mleka, lecz dowiaduję się od Dale'a, że w weekendy nie można go dostać.

9.00 rano

Jestem pierwszy w kolejce do biura po odbiór zezwolenia na odwiedziny dla Mary. W więzieniu kategorii C przysługuje jedno widzenie na dwa tygodnie. Więzień może zaprosić najwyżej trzy dorosłe osoby i dwoje dzieci poniżej szesnastego roku życia. Większość więźniów ma od dziewiętnastu do trzydziestu lat, toteż najczęściej przyjeżdżają do nich żony lub partnerki z dwójką małych dzieci. Ponieważ moje dzieci mają dwadzieścia dziewięć i dwadzieścia siedem lat, będę się regularnie widywał tylko z Mary i chłopcami.

10.00 rano

Idę na pierwsze zajęcia do sali gimnastycznej. Każdemu skrzydłu pozwala się przysyłać na ćwiczenia po dwudziestu więźniów, dlatego po wielu bezskutecznych próbach znalezienia się w grupie wybrańców w Belmarsh staram się stanąć w blokach startowych na czas.

W głównej sali trwają cztery mecze badmintonu – podobnie jak snooker jest to tak popularny sport, że trzeba rezerwować kort z tygodniowym wyprzedzeniem. W siłowni obok tłoczy się gromada posapujących i wyężdżających mięśnie osiłków, a kiedy wchodzę do salki, widzę, że ktoś zajął już bieżnię. Zaczynam od lekkich ćwiczeń rozciągających, po czym zasiadam na wioślarzu. Licznik pokazuje, że

w ciągu dziesięciu minut udaje mi się pokonać 1800 metrów – dla porównania, w moim mieszkaniu przy Albert Embankment osiągałem 2000. Przynajmniej mam przed sobą jakiś cel. Potem ćwiczę, podnosząc lekkie ciężary i czekając na zwolnienie bieżni. Wreszcie zaczynam sześciominutową rozgrzewkę, poruszając się z szybkością pięciu mil na godzinę, po czym zwiększam tempo do ośmiu mil na godzinę i utrzymuję je przez następne dziesięć minut. Aby się przekonać, jak marny to wyczyn, wystarczy wspomnieć, że Roger Bannister w 1952 roku przebiegł milę w cztery minuty z prędkością piętnastu mil na godzinę, a kiedyś widziałem Sebastiana Coe, który przez dziesięć minut utrzymywał tempo dwunastu mil na godzinę, mając wówczas – uwaga – czterdzieści lat. Zresztą rozgrzewał się tylko przed treningiem judo. Na koniec aplikuję sobie jeszcze dziesięciominutową porcję ćwiczeń rozciągających i rozluźniających. Większość więźniów wpada do siłowni i od razu łapie największe ciężary, nie zawracając sobie głowy rozgrzewką. Potem nie rozumieją, dlaczego naciągają mięśnie i nie mogą się ruszać przez następne tygodnie.

Wracam do celi i postanawiam wypróbować prysznic w naszym skrzydle. W umywalni znajdują się cztery natryski, z których płynie dwa razy więcej wody niż w Belmarsh. Prysznic uruchamia się przyciskiem, a po upływie co najmniej trzydziestu sekund trzeba go nacisnąć ponownie. W umywalni jest jeszcze dwóch czarnoskórych chłopaków, którzy, jak zauważam, kąpią się w bokserkach (później się dowiaduję, że nie zdejmują pod prysznicem bielizny, ponieważ są muzułmanami). Mam jednak kłopot polegający na tym, że tygodniowo przysługują mi tylko dwa cienkie i małe ręczniki (trzy stopy na jedną). Jeżeli zamierzam chodzić na gimnastykę pięć dni w tygodniu i za każdym razem brać później prysznic... będę musiał wspomnieć o swoim kłopotcie Dale'owi.

11.30 rano

Dzwonię do mieszkania Jamesa i proszę go o przysłanie do Wayland 100 funtów przekazem dla Dale'a, abym mógł kupić maszynkę do golenia, szampon, tuzin kart telefonicznych i dodatkowy prowiant. Proszę go także, żeby zadzwonił na pocztę w Griston i zamówił codzienną dostawę „Timesa” i „Telegraph” włącznie z wydaniem niedzielny. James mówi, że poprosi Alison o załatwienie tej sprawy w poniedziałek rano, ponieważ sam wyjeżdża na urlop i nie będzie go przez dwa tygodnie. Będzie mi go brakowało, nawet przez telefon, a William też niedługo będzie musiał wrócić do Ameryki.

12.00 w południe

Nie jem lunchu, gdyż muszę zacząć poprawiać dzisiejsze zapiski, a poza tym

wszystko, co oferują w kuchence, wydaje się niejadalne. Otwieram paczkę chrupek i gryząc jabłko, kontynuuję pisanie.

2.00 po południu

Kiedy o drugiej ponownie otwierają się drzwi celi, stoi za nimi Dale, który przynosi mi wiadomość, że dostał zezwolenie, aby mnie zaprosić na dół do skrzydła dla więźniów o wyższym statusie. Widocznie funkcjonariusz, na którego wczoraj wpadłem, nie jest dziś na służbie.

Mam wrażenie, jakbym wkraczał do innego świata. Idziemy prosto do celi Dale'a, który na samym wstępie pyta mnie, czy gram w tryktraka. Wyciąga wspaniałą skórzaną planszę i duże pionki z kości słoniowej. Podczas gdy się zastanawiam, co począć z szóstką i trójką, kiepskim pierwszym rzutem, gospodarz wskazuje torbę foliową stojącą pod łóżkiem. Zaglądam do środka: maszynka do golenia Gillette Mach3, dwa opakowania nożyków, mydło Cusson's, pianka do golenia, kiść bananów, paczka płatków kukurydzianych i pięć kart telefonicznych. Rozsądek nakazuje mi nie zadawać żadnych pytań. Dziękuję Dale'owi i wręczam mu następną listę zakupów. Zapewniam go, że pieniądze są już w drodze. Pieczętujemy transakcję uściskiem dłoni, ustalając cenę na pół dubeltu. Dale zgadza się dostarczyć mi z kantyny wszystko, czego będę potrzebował, z pięćdziesięcioprocentową dopłatą. Drugą możliwością jest przymieranie głodem i rezygnacja z golenia lub kaleczenie się więzienną maszynką. Usługa obejmuje także dodatkowe ręczniki, pranie co czwartek oraz miękką poduszkę, wszystko za cenę około 30 funtów tygodniowo.

Dołącza do nas dwóch współwięźniów, Darren (zobacz rozdział „Ilustracje”) i Jimmy (transport ecstasy). W ciągu popołudnia gram w tryktraka z jednym i drugim, raz wygrywając i raz przegrywając, co chyba zadowala wszystkich obecnych. Dale wychodzi, by zameldować się przy kuchence, gdzie jest szefem, więc przenosimy się do celi Darrena. Podczas gry w tryktraka dowiaduję się, że Darrena przyłapano na handlu marihuaną, którym dorabiał sobie po godzinach, był bowiem przedsiębiorcą budowlanym. Pytam go, co zamierza robić, kiedy za rok wyjdzie na wolność po odsiedzeniu trzech z zasądzonych sześciu lat. Przyznaje, że jeszcze nie jest pewien. Podejrzewam, że jak wielu więźniom, którzy na handlu narkotykami mogą zarobić od pięćdziesięciu do stu tysięcy funtów rocznie, trudno mu będzie zadowolić się normalną pracą po osiem godzin dziennie.

Ilekcóż zastanawia się nad następnym ruchem, staram się przyjrzeć otoczeniu. Wygląd celi dużo mówi o jej lokatorze. Na półkach stoją mały słownik oksfordzki (dwa tomy), *Oksfordzka księga cytatów* (Darren mówi, że codziennie stara się nauczyć jednego) oraz kilkanaście powieści, najwyraźniej nie pochodzących z biblioteki. W trakcie gry pyta mnie, czy Rupert Brooke był

właścicielem Old Vicarage, czy tylko tam mieszkał. Uświadamiam mu, że wielki poeta wojenny zamieszkiwał tam, pracując nad rozprawą doktorską i starając się o etat w King's College¹⁰.

Jimmy informuje mnie, że knują spisek, abym został przeniesiony do części dla więźniów o wyższym statusie, gdy tylko zakończę okres przystosowawczy. To najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem od dnia przyjazdu do Wayland. Drzwi celi uchylają się i wygląda zza nich Thompson.

– Ach, jest pan – mówi. – Naczelnik chce z panem zamienić słowo¹¹.

Idę w towarzystwie Thompsona do gabinetu Carltona-Boyce'a. Naczelnik ma czterdzieści, może czterdzieści pięć lat. Wita mnie serdecznym uśmiechem i przedstawia starszemu funkcjonariuszowi z bloku C, gdzie, jak mówi, zamierzają mnie przenieść. Pytam, czy rozważali możliwość umieszczenia mnie w skrzydle dla więźniów o wyższym statusie, lecz słyszę, że decyzja została już podjęta. Dochodzę do przekonania, że kiedy ta maszyna coś już postanowi, to łatwiej byłoby zawrócić transatlantyk *Queen Elizabeth II*, niż próbować ich przekonać, by zmienili zdanie.

Carlton-Boyce tłumaczy, że chętnie przeniósłby mnie do bloku C jeszcze dziś, ale za murami węszy wielu dziennikarzy, którym nie może dawać powodów do podejrzeń, że jestem traktowany w szczególny sposób, dlatego też zostanę przeniesiony jako ostatni z więźniów przyjętych wraz ze mną do skrzydła przejściowego. Doskonale zdaje sobie sprawę z problemów w rodzaju głośnego rapu i krzyków młodych więźniów wrzeszczących do siebie przez okna całą noc¹², ale – jak powtarza – zainteresowanie prasy krępuje mu ręce.

4.00 po południu

Wracam do celi i ponownie zasiadam do pisania. Ledwie zdążyłem wprowadzić poprawki na kilku stronach, rozlega się pukanie do drzwi. Wchodzi młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna zajmujący celę naprzeciwko.

– Możesz mi napisać list? – pyta.

Nikt się tu nie przedstawia i nie zawraca sobie głowy uprzejmościami.

– Tak, oczywiście. Do kogo ma być list i co mam napisać? – odpowiadam, otwierając blok na nowej stronie.

– Chcę zostać przeniesiony do innego więzienia – oznajmia.

– Chyba wszyscy chcemy.

– Co?

– Nic takiego. Ale dlaczego w ogóle miałiby cię przenosić?

– Chcę być bliżej matki, która cierpi na depresję.

Kiwam potakująco głową. Mój gość mówi, że ma na imię Naz, i podaje nazwisko funkcjonariusza, do którego pragnie wysłać list. Prosi mnie, abym podał

przyczynę, dla której adresat powinien potraktować jego prośbę poważnie. Piszę, czytając głośno każde ukończone zdanie. Naz składa pod spodem zamaszysty podpis. Nie potrafię odczytać nazwiska, więc proszę, żeby mi je przeliterował, bym mógł zanotować je u dołu drukowanymi literami – tłumaczę mu, że wówczas funkcjonariusz będzie wiedział, kto jest nadawcą. Wkładam pismo do koperty, którą adresuję, a mój gość ją zakleja. Następnie bierze list i z uśmiechem mówi:

– Dziękuję. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, daj mi znać.

Odpowiadam, że potrzebuję pary japoniek pod prysznic, ponieważ boję się dostać kurzajek. Spogląda na mnie z troską.

– Żartowałem – uspokajam go i życzę mu powodzenia.

5.00 po południu

Kolacja. Wybieram kawałek kapusty i pół porcji frytek, która w znanym czytelnikowi świecie stanowi normalną porcję. Widok pływającej w wodzie kapusty przywodzi na myśl posiłki w szkole i uświadamia mi, dlaczego nigdy nie lubiłem tego warzywa. Gdy czekam w kolejce, Jimmy wyznaje, że nie podobała mu się praca przy wydawaniu posiłków.

– Dlaczego? – pytam.

– Więźniowie ciągle narzekali.

– Na jakość jedzenia?

– Nie, na to, że dostają za małe porcje, zwłaszcza kiedy nakładałem im frytki.

Po powrocie do celi zastaję na łóżku ponad setkę listów. Jules przypomina, że w weekend plombują nas około wpół do szóstej i siedzimy pod kluczem do ósmej piętnaście rano następnego dnia. Wobec tego z pewnością będę miał dość czasu, aby przeczytać wszystkie listy. Czternaście godzin w zamknięciu – znów uzasadniane brakiem personelu. Niemiała niespodzianka, choć i tak znacznie lepiej niż w Belmarsh. Niemiała, ponieważ po skończonym posiłku brudne i cuchnące naczynia zostają w mikroskopijnej celi na całą noc. Rozsądniej byłoby nie zamykać drzwi jeszcze przez dwadzieścia minut, aby więźniowie mogli wyrzucić niedojedzone resztki do kubłów stojących na końcu każdego korytarza i umyć naczynia w zlewie. Należy pamiętać, że w wielu więzieniach na jedną celę z jedną toaletą przypada trzech skazańców.

Idę na kompromis, zgarniając jedzenie z talerza do plastikowej torebki, którą zawiązuję i wrzucam do pojemnika obok toalety. Spoglądając przez okno, zauważam, że kilku więźniów wyrzuca resztki posiłku przez kraty prosto na trawę.

Jules mówi, że pisze podanie do przełożonego funkcjonariuszy (Tinklera) w sprawie zmiany swojej kategorii z C na D. Prosi, abym przejrzał list. Nie zdradzam mu, że sam stoję przed podobnym kłopotem.

Jules jest wzorowym więźniem i w pełni zasługuje na wyższy status, który otrzymał w Bedford, gdzie został Powiernikiem. Zachowuje się cicho i respektuje mój żelazny harmonogram pracy. Wyraźnie żałuje, iż wplątał się w handel narkotykami, i jest jednym z niewielu znanych mi więźniów, o których jestem przekonany, że już nigdy nie wrócą za kraty. Wprowadzam w liście kilka poprawek, proponując, żebyśmy jutro sporządzili ostateczną wersję. Później przez parę godzin czytam korespondencję, w której znajduję podobne wyrazy poparcia jak w listach otrzymywanych w Belmarsh. Wśród nich trafiam jednak na wiadomość odmienną od pozostałych, którą, jak sędzę, powinienem tu przytoczyć.

*University College Hospital
Londyn 1/8/01 16.30*

Szanowny Lordzie Archer,

Wielu pisarzy i poetów stworzyło swoje największe dzieła w więzieniu, żeby wspomnieć choćby Oscara Wilde'a. Nie potrafię sobie jednak wyobrazić Pana tkwiącego przez cztery ponure lata w pilnie strzeżonym więzieniu. Sam spędziłem 60 dni w podobnym przybytku w Kanadzie pod sfingowanym zarzutem zakłócania spokoju. Dzięki niezwyklej przebiegłości udało mi się uciec.

Mogę pomóc Panu jak najprędzej wyrwać się z niewoli, ale pod warunkiem że zechce Pan wpłacić 15 mln funtów na konto mojej fundacji dobroczynnej.

Proszę się ze mną skontaktować bez względu na porę pod numerem 020 7... Jeśli zechce Pan wziąć sobie kogoś do towarzystwa, proszę wybrać trzy osoby skazane za mniej groźne przewinienia albo przestępstwa urzędnicze – za odpowiednio wyższą kwotę.

*Łączę wyrazy szacunku.
Wielbiciel Pańskiego talentu,*

Nie potrafię odczytać podpisu. W kolejnej kopercie znajduję drugi list i poznaję to samo czerwone, zamaszyste pismo.
1/8/01 17.05

Drogi Geofreyu (sic!)

Po zaklejeniu koperty z poprzednim listem uświadomiłem sobie, że napisałem „15 mln funtów” zamiast „1,5 mln funtów”. Pragnę Cię zapewnić, że nie jestem idiotą i ponawiam propozycję wydostania Cię z pudła wraz z kilkoma godnymi zaufania towarzyszami!

Ku chwale wielkiej sztuki,

Tu następuje podpis, znów absolutnie nieczytelny.

Dzień 25

Niedziela, 12 sierpnia 2001

5.56 rano

Budzą mnie dobiegające z korytarza głosy dwóch strażników. Jeden mówi do walkie-talkie. Otwierają drzwi jakiejś celi i wyprowadzają więźnia. Poznam szczegóły tego zdarzenia, gdy za dwie godziny otworzą się drzwi mojej celi.

6.05 rano

Piszę przez dwie godziny.

8.15 rano

Śniadanie. Płatki Sugar Puffs (przydział więzienny), mleko o przedłużonej trwałości (moje, bo jest niedziela). Przypalona grzanka z fasolką (więzienna).

10.00 rano

Idę się zapisać do biblioteki. Jednorazowo można tu wypożyczyć dwie książki, a osobom uczestniczącym w zajęciach edukacyjnych przysługuje prawo do trzeciej. Biblioteka ma podobne rozmiary jak siłownia i trzeba przyznać, że jest równie dobrze wyposażona. Mają tu wszystko od Grahama Greene'a do Stephena Kinga, od powieści *Ja, Klaudiusz* do *Harry'ego Pottera*. Ale chociaż dostrzegam sporo tomów z nazwiskami Forsytha, Grishama, Folletta i Jilly Cooper, nie znajduję na półkach ani jednej swojej książki. Mam nadzieję, że wszystkie są

wypożyczone. Skazani na dożywocie często mi mówią, że czytali je wszystkie – powoli – i nieraz kilkakrotnie.

Wybieram *Grę szklanych paciorków* Hermanna Hessego, którą ostatni raz czytałem wiele lat temu, i *Famous Trials* w wyborze Johna Mortimera. Rzecz jasna znów muszę wypełnić formularz, po czym więzień pełniący obowiązki bibliotekarza przybija na mojej karcie pieczętkę, zgodnie z którą mam zwrócić książki do 26 sierpnia. Mam nadzieję, że do tego dnia już mnie tu nie będzie.

Bibliotekarz, Kevin, wyjaśnia mi, że w dniu, gdy dowiedziano się o moim przeniesieniu do Wayland, kazano usunąć z półek wszystkie moje książki.

– Dlaczego? – pytam.

– Na osobisty rozkaz głównej naczelniczki. Podobno dowiedziała się od ludzi z Belmarsh, że więźniowie kradli pana książki, a gdyby udało im się zdobyć pana autograf, każda byłaby warta na czarnym rynku tysiąc funtów.

Wierzę we wszystko z wyjątkiem ceny tysiąca funtów. Brzmi jak kwota wzięta prosto z brukowców.

10.30 rano

Patrzę na zegarek i szybko wychodzę z biblioteki, aby zdążyć do kaplicy znajdującej się na przeciwległym końcu korytarza. Przy wejściu nie ma żadnego funkcjonariusza. Nagle sobie uświadamiam, że od dnia przyjazdu do Wayland ani razu nie poddano mnie rewizji. Spóźniam się dwie minuty i w pierwszej chwili odnoszę wrażenie, że zabłądziłem, ponieważ w ławkach siedzi zaledwie trzech więźniów w towarzystwie kapelana. John Framlington, ubrany w długą czarną szatę oraz czarną pelerynkę z karmazynową lamówką, wita mnie z otwartymi ramionami.

Kaplica jest imponująca. Na wyłożonych drewnem ścianach wiszą obrazy olejne przedstawiające sceny z życia Chrystusa. Prosty ołtarz przykrywa tkanina z wizerunkiem białego krzyża zdobionego gdzieniegdzie złotem. Za ołtarzem także widnieje duży drewniany krzyż. Sześć rzędów krzesełek ustawiono w półkolu, co przywodzi na myśl niewielki amfiteatr. Siadam w trzecim rzędzie, gdy tymczasem drugimi drzwiami do kaplicy wchodzi grupa ludzi ubranych w czerwone koszulki. Układają na stojakach nuty, dwie osoby przewieszają sobie gitary przez ramię, a flecistka próbuje kilka dźwięków. Jest bardzo ładna. Ciekawe, czy dochodzę do tego wniosku tylko dlatego, że jestem w więzieniu dwudziesty piąty dzień. Ale byłaby to nader nieelegancka myśl. Dziewczyna jest naprawdę ładna.

O dziesiątej czterdzieści pięć trzódka wiernych rośnie do siedmiu osób, mimo to jesteśmy w mniejszości wobec dziewięcioosobowego chóru. Wszyscy więźniowie zasiadają z prawej strony ołtarza, a chór stoi z lewej. Mężczyzna, który jest chyba liderem grupy, proponuje, abyśmy usiedli bliżej po drugiej stronie

kaplicy. Cała siódemka posłusznie spełnia jego prośbę. Domyślam się, dlaczego w Belmarsh na mszę przychodziło tydzień w tydzień dwustu skazańców, podczas gdy w Wayland zjawia się zaledwie siedmiu. Tu wolno przez długi czas swobodnie wędrować po całym budynku i kiedy ktoś ma ochotę skontaktować się ze współwięźniem z innego skrzydła, nie jest to wcale takie trudne. W Belmarsh wizyta w kaplicy stanowiła rzadką okazję, żeby spotkać się z kolegą z innego bloku, podzielić się wiadomościami, przekazać narkotyki, nawet od czasu do czasu się pomodlić.

Kapelan wychodzi na środek i wita nas wszystkich. Potem przedstawia miejscowy zespół Shine, który występuje w kilku kościołach w diecezji.

Wszyscy podejmujemy pierwszą pieśń *He Who Would Valiant Be*, a grupa Shine okazuje się całkiem dobra. Mimo że w nabożeństwie uczestniczy tylko garstka wiernych, wszystko toczy się jak należy. Kapelan odmawia na początku modlitwę, a potem zasiada wśród nas. Nie prowadzi już żadnej części nabożeństwa, pozostawiając przewodnictwo w rękach kompetentnego lidera Shine. Potem śpiewamy *Amazing Grace*, a następnie inny członek zespołu czyta lekcję z Ewangelii według św. Łukasza. Po kolejnej pieśni przemawia do nas lider Shine. Tekst jego kazania jest związany z odczytaną wcześniej przypowieścią o Samarytaninie. Mówi o ludziach, którzy mijają nas obojętnie, kiedy mamy kłopoty. Dziękuję Bogu za rodzinę i przyjaciół, gdyż niewielu z nich minęło mnie obojętnie.

Nabożeństwo kończy się błogosławieństwem kapelana, który dziękuje zespołowi za poświęcenie nam swego czasu. Wracam do celi i sporządzam notatki ze wszystkiego, co dziś przeżyłem.

12.09 po południu

Dzwonię do Mary do Grantchester. Bardzo mi brakuje weekendów w jej towarzystwie; tęsknię za spacerami po ogrodzie w Old Vicarage, za zapachem kwiatów i trawy, za karmieniem ryb i widokiem studentów w łodziach pływających leniwie po rzece Cam. Mary przedstawia mi zarys taktyki, jaką zamierza przyjąć w programie *Today* wobec faktu, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Kurdyjska Partia Demokratyczna wyjaśniły, w jaki sposób zebrano i rozdzielono pieniądze dla Kurdów. Próbuję sobie wyobrazić, jak pani Nicholson wybrnie z tej sytuacji.

Mary przypomina mi, że nie może do mnie przyjechać, dopóki nie dostanie zezwolenia na odwiedzin. Uspokajam ją, że już je wysłałem. Potem mówi, że jej książka *Czysta energia elektryczna z fotoogniw*, wydana jako pierwszy tom serii *Fotokonwersja* (przedsprzedaż 1229 egzemplarzy, cena 110 funtów), została bardzo dobrze przyjęta przez środowisko akademickie.

Na koniec rozmawiamy o sprawach rodzinnych. Mimo że zużyłem prawie wszystkie dwadzieścia jednostek, nie zdradzam Mary, iż mam jeszcze dwie karty, obawiając się, że mógłbym ściągnąć kłopoty na głowę Dale'a, zwłaszcza gdyby rozmowa była nagrywana. Obiecuję zadzwonić we wtorek i uzgadniamy godzinę. Przypominam, że dzwonić mogę tylko ja.

Następnie wybieram numer Jamesa, który podejmuje lunchem przyjaciół w naszym londyńskim mieszkaniu. Brakuje mi jego wspaniałej kuchni. Wylicza, kto siedzi przy stole i co się na nim zjawilo: roquefort, sałatka z fig i orzechów włoskich, spaghetti i lody, a potem do wyboru brie, stilton lub cheddar. Z win podano zapewne czerwone australijskie i białe kalifornijskie. Zaczyna mi lecieć ślinka.

– Obiad! – krzyczy strażnik i szybko wracam do rzeczywistości.

12.20 po południu

Lunch: smażone warzywa po chińsku (mimo mieszania są sklezione w zbitą masę) i jabłko. Posiłek uzupełniam batonikiem Mars (30 pensów) i szklanką wody Evian. Towarzystwo: doborowe.

1.00 po południu

Odwiedzam Dale'a w skrzydle dla więźniów o wyższym statusie. Dale i Jimmy grają w tryktraka, sięgam więc po należący do Darrena numer „Sunday Timesa” i bardzo wolno czytam. Na pierwszej stronie jest artykuł o rzekomym gwałcie dokonany przez Neila i Christine Hamiltonów na pewnej dziewczynie w Esseksie. Wydarzenie bardziej obrazowo przedstawia „News of the World” Dale'a, a z całej mało prawdopodobnej historii warto zapamiętać uwagę wygłoszoną przez Christine Hamilton: „Gdybym chciała coś takiego zrobić, wybrałabym Kensington albo Chelsea, ale nie Essex”.

Rozgrywamy kilka partyjek tryktraka, podczas których towarzystwo wypytuje mnie o wyścig do fotela przewodniczącego partii torysów. Darren (tylko marihuana) jest zwolennikiem Michaela Portilla i pyta mnie o opinię. Oświadczam, że moim zdaniem parlamentarna reprezentacja konserwatystów postąpiłaby rozsądnie, gdyby poddała osądowi członków partii wszystkich trzech kandydatów, którzy przeszli do drugiej rundy – Clarke'a z 59 głosami, Duncana Smitha z 54 i Portilla z 53. Wyeliminowanie Michaela pozostawiłoby złe wrażenie, a w przyszłości mogłoby wywołać kłopoty. Niewykluczone, że partia mimo wszystko odrzuciłaby Portilla, lecz sądzę, że należy dać jej możliwość wyboru.

Dale (rozmyślne okaleczenie) jest gorącym zwolennikiem Margaret Thatcher, natomiast Jimmy (kurier ecstasy) głosował na Johna Majora.

– Porządny gość – mówi.

Czasem łatwo zapomnieć, że siedzę w jednym pomieszczeniu ze sprawcą napadu z bronią w ręku, handlarzem narkotyków, oszustem, który mógł wyłudzić milion funtów, i Bóg jeden wie, kim jeszcze. Warto także wspomnieć, że w mojej obecności nigdy nie rozmawiają o sprawach ze swojego „innego świata”.

3.00 po południu

Spacer. Przechadzam się wokół więziennego dziedzińca – około pół mili – i kilku współwięźniów pozdrawia mnie trochę przyjaźniej niż w dniu mego pierwszego pojawienia się na spacerniaku. Pierwszy u mego boku zjawia się człowiek wyraźnie będący pod wpływem narkotyków. W przeciwieństwie do Williama Keane’a – czytelnicy pamiętają zapewne tę postać z Belmarsh – nie potrafię odgadnąć z wyglądu jego skóry, jaki narkotyk zażył. Ma na imię Darrell i informuje mnie, że pierwotnie skazano go na dziesięć lat. Powód: poharatał kogoś w pubie rozbitą butelką. Miał wówczas dziewiętnaście lat. Patrzę na niego uważniej. Wygląda na jakieś czterdzieści.

– Dlaczego więc ciągle tu jesteś? – pytam, zakładając, że zaraz usłyszę o drugim czy trzecim wyroku za następne przestępstwo.

– Kiedy trafiłem do pudła, uzależniłem się od prochów.

– Tak?

– Aha. Za murami zawsze trzymałem się od nich z daleka. Ale kiedy dostajesz dziesięć lat i przez dwadzieścia dwie godziny dziennie siedzisz zaplombowany z facetami, którzy nie mogą już żyć bez hery, musisz się dostosować, nie? Najpierw przyłapali mnie na paleniu trawki, więc naczelnik dodał mi do wyroku dwadzieścia osiem dni.

– Dwadzieścia osiem dni za palenie trawy? Ależ...

– Potem spróbowałem kokainy i wreszcie wziąłem heroinę. Za każdym razem, gdy mnie przyłapywali, przedłużali mi wyrok. Musisz wiedzieć, Jeff, że od więcej niż roku jestem czysty. Musiałem odstawić to świństwo, bo inaczej nigdy w życiu nie wyrwę się z tej pieprzonej nory.

– Jak długo tu siedzisz?

– Dwadzieścia jeden lat. Mam czterdzieści jeden i ponad połowę wyroku zarobiłem za to, że dałem się złapać na prochach.

Staram się objąć to umysłem, gdy tymczasem podchodzi do nas krzepki starszy mężczyzna, mniej więcej mojego wzrostu, o wyglądzie wskazującym na bliskowschodnie pochodzenie. Darrell znika bez słowa, co, jak się obawiam, oznacza kłopoty. Nowo przybyły nie zawraca sobie głowy nawiązywaniem towarzyskiej pogawędki.

– Chciałbyś zarobić pięćdziesiąt kawałków w tydzień, nie wychodząc

z więzienia?

– Co masz na myśli? – pytam niewinnie, ponieważ nie wygląda na wydawcę.

– Mam ciężarówkę prochów, która utknęła na belgijskiej granicy, ale w tej chwili krucho u mnie z forszą. Wyłożysz pięćdziesiąt kawałków i za tydzień od dziś będziesz miał sto.

Przyspieszam kroku, chcąc od niego uciec, ale dogania mnie po kilku sekundach.

– Nic nie ryzykujesz – dodaje nieco zdyszany głosem. – Całe ryzyko bierzemy na siebie. Zresztą dopóki siedzisz w pudle, nikt nie będzie cię podejrzewał.

Zatrzymuję się i odwracam do niego.

– Nie cierpię narkotyków, a jeszcze bardziej nie znoszę ludzi, którzy nimi handlują. Jeżeli jeszcze raz spróbujesz się do mnie odezwać, powtórzę całą rozmowę najpierw mojemu adwokatowi, a potem naczelnikowi. Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby mi grozić, bo chętnie się zgodzą, kiedy poproszę o przeniesienie do innego więzienia, a ty pewnie zarobisz dwa razy dłuższy wyrok. Czy wyraziłem się jasno?

Nigdy w życiu nie widziałem nikogo bardziej przerażonego. Mężczyzna nie wiedział jednak, że ja bałem się jeszcze bardziej. Nie mogłem zapomnieć o karze, jaką w Belmarsh wymierzano kapusiom – oblewano im twarz wrzątkiem z rozpuszczonym cukrem – ani o człowieku z czterema bliznami po ranach, które zadano mu pod prysznicem maszynką do golenia. Wybiegam z dziedzińca, wracam do celi, zamykam drzwi i siadam na łóżku, dygocząc.

4.00 po południu

Gdy wraca Jules, nadal się trzęsę. Idę poszukać Dale'a.

– Znam tego drania – mówi Dale. – Zostaw go mnie.

– Co to znaczy?

– Nie pytaj.

– Muszę. Staram się unikać kłopotów.

– Mogę ci zaręczyć, że z nim nie będziesz miał już żadnych. – Podnosi z łóżka trzysta osiemdziesiąt funtów swego ciała i wychodzi.

4.30 po południu

Godzina Wspólna. Z dwoma batonikami Mars w kieszeni opuszczam skrzydło dla więźniów o wyższym statusie, gdzie rozegrałem dwie partyjki tryktraka z Darrenem. Słyszę niewiarygodną wrzawę dochodzącą z sali gier. Czyżbym miał być świadkiem pierwszego buntu? Zaniepokojony wyglądam zza

drzwi, widzę grupę Antylczyków grających w domino. Ilekroć z rozmachem kładą na stole kostkę, rozlega się łomot, jak gdyby sędzia próbował przywołać do porządku niesforną publiczność na sali sądowej. Potem następuje wrzask radości, który mógłby wydać Brian Charles Lara po zdobyciu stu punktów na stadionie Sabina Park. Dyżurny strażnik, Nutbourne, a także inni więźniowie grający w snookera, poola i ping-ponga sprawiają wrażenie, jakby hałas w ogóle im nie przeszkadzał. Zbliżam się do kilkunastu Antylczyków i obserwuję kilka kolejek gry. Jeden z nich podnosi wzrok znad stołu i krzyczy:

– Chcesz spróbować szczęścia, stary?

– Dziękuję – odpowiadam, zajmując miejsce zwolnione przez jednego z graczy.

Szpakowaty Antylczyk rozdaje kostki między nas czterech i każdy dostaje siedem. Gracz po mojej prawej ma kamień z dwiema szóstkami, a więc on rozpoczyna. Z hukiem kładzie swój skarb pośrodku stołu, czemu towarzyszą triumfalne wrzaski zgromadzonych. W ciągu czterech kolejek każdy dokłada po jednej kostce do łańcucha. W piątej gracz siedzący po mojej lewej ręce pasuje, ponieważ nie ma ani trójki, ani szóstki, ja natomiast bezgłośnie kładę na blacie kamień z szóstką. Zauważam, że współtowarzysze nieco cichną. Wokół stołu zbija się już gęsty tłum, tymczasem w grze zostaje nas tylko dwóch i każdy ma po jednej kostce; mam piątkę i czwórkę, ale ruch należy do mojego przeciwnika. Jeżeli ma wygrać, musi uderzyć teraz. Współtowarzysze niemal zupełnie milkną. Czy gracz po lewej pokrzyżuje mi szyki i wygra? Modlę się po raz drugi tego dnia. Mój przeciwnik nie ma ani czwórki, ani jedynek, toteż z pomrukiem niezadowolenia pasuje. Starając się ze wszystkich sił zachować pokerową twarz, obracam ostatni kamień w dłoni. Wpatruje się we mnie wiele par czarnych oczu. Cicho kładę czwórkę obok czwórki z prawej strony i w tym momencie wybucha taki harmider, że nawet Nutbourne postanawia sprawdzić, co się dzieje. Wstaję od stołu.

– Chcesz zagrać jeszcze raz? Chcesz? – pytają jeden przez drugiego.

– To bardzo uprzejmie z waszej strony – mówię – ale muszę wracać do pisania. Miło było z wami zagrać.

Rozlegają się rześiste brawa. Wycofuję się pospiesznie, zdając sobie sprawę, że gdybym został na jeszcze jednej partyjce, runąłby mit. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia o subtelnościach tej gry, co potwierdza starą prawdę, że „szczęście sprzyja żółtodziobom”.

5.45 po południu

Kolacja. Kiedy podchodzę do płyty, Dale bierze mój plastikowy talerz i podobnie jak Tony w Belmarsh decyduje, co będzie mi wolno zjeść. Nakłada kawałek quiche’a z jarzynami, starannie wybiera z dużej miski parę liści sałaty

i dodaje pomidor. Dopóki Dale rządzi w kuchence, nie będę musiał się zastanawiać, co zjeść.

6.00 wieczorem

Razem z Julesem znów zostajemy zaplombowani do ósmej rano następnego dnia. Czternaście godzin w celi, przypominam, siedem na sześć kroków. Jest niedziela, nie czeka na mnie żadna korespondencja, poprawiam więc dzisiejsze zapiski, a potem wracam do Hermanna Hessego.

9.00 wieczorem

Oglądamy z Julesem Meg Ryan i Kevina Kline'a w filmie *Francuski pocałunek*, obaj świetnie się bawiąc, ale z drugiej strony nie możemy odejść od ekranu, nawet gdybyśmy chcieli.

10.54 wieczorem

Kładę głowę na nowej miękkiej poduszce. Nie jest wypchana gęsim ani kaczym puchem – w środku jest guma piankowa – ale potrafię docenić ten luksus.

Dzień 26

Poniedziałek, 13 sierpnia 2001

6.03 rano

Okazało się, że wczorajsze zamieszanie wczesnym rankiem na korytarzu wywołał więzień, który potrzebował leków i pomocy Powiernika. Wcisnął przycisk alarmowy. Taki przycisk, znajdujący się przy drzwiach w każdej celi, włącza czerwoną lampkę na korytarzu i podobne światelko alarmowe w głównym biurze. Więźniowie nazywają go „obsługą pokojów”, choć według przepisów więziennych należy go używać tylko w nagłych wypadkach. W przeciwnym razie skazaniec może być zgłoszony do raportu. Nie dowiedziałem się, dlaczego więzień z przeciwka potrzebował Powiernika, lecz ponieważ była to jego pierwsza noc w Wayland, mógł mieć wiele powodów. Gdy przypominam sobie swoją pierwszą noc, mogę mu jedynie współczuć.

Piszę przez dwie godziny.

8.15 rano

Śniadanie. Płatki Sugar Puffs (moje), mleko (od nich). Jajko na grzance (od nich) i druga grzanka (od nich) z dżemem (moim).

10.00 rano

Zostajemy zaplombowani na dwie godziny, które zamierzam przeznaczyć na pracę nad poprawianiem dzisiejszej porcji tekstu. Oczywiście przy założeniu, że nikt nie będzie mi przeszkadzał. Przerwywają mi dwa razy.

10.49 rano

Drzwi celi otwiera Newport, który chce porozmawiać z Julesem na temat jego podania w sprawie zmiany kategorii C na D. Jules wyjaśnia, że wymienił w liście powody przemawiające na jego korzyść, aby władze miały wszystkie istotne szczegóły na piśmie. Newport przegląda dwie strony podania i obiecuje załatwić rozmowę ze Stainthorpe'em, funkcjonariuszem klasyfikacyjnym. Potem wychodzi, zatrzymując drzwi celi.

11.09 rano

Ponownie obraca się klucz w zamku. Tym razem wchodzi Nutbourne i zwraca się do mnie:

- Powiedz mi, Jeffrey – (po raz pierwszy funkcjonariusz więzienny zwraca się do mnie po imieniu) – czy najpierw chcesz usłyszeć dobrą czy złą wiadomość?
- Niech pan sam zdecyduje – proponuję.
- W końcu jednak nie trafisz do bloku C, bo zamierzamy cię przenieść do twoich znajomych w korytarzu dla więźniów o wyższym statusie.
- A zła wiadomość? – pytam.
- Niestety, będziemy mieli wolną celę dopiero dwudziestego dziewiątego sierpnia, gdy następny więzień z korytarza skończy odsiadywać wyrok.
- Przecież moglibyście mnie przenieść do pojedynczej celi w innej części bloku.
- Nie przeciągaj struny – ostrzega z uśmiechem, po czym zamyka z hukiem drzwi.

12.00 w południe

Lunch. Zupa (minestrone) i kromka ciemnego chleba (świeżego). Brak mi odwagi, by spróbować mięsa zapiekanego w cieście. Bóg jeden wie, jakie zwierzę kryje w środku.

2.00 po południu

Gimnastyka. Wkraczam do sali pierwszy, ale dowiaduję się, że ruchoma bieżnia jest zepsuta. Niech to wszyscy diabli.

Po kilkuminutowej rozgrzewce i rozciągnięciu mięśni siadam na ergometrze wioślarskim. W ciągu dziesięciu minut udaje mi się pokonać 1909 metrów, znacznie więcej niż wczoraj. Następnie przez chwilę podnoszę lekkie ciężary i decyduję się na rower, jakiego nigdy przedtem nie widziałem. Nie rozumiem za dobrze zasady jego działania, ale na ratunek spieszy mi Maiden, który tłumaczy, że po ustawieniu prędkości pedały kręcą się, dopóki się ich nie zatrzyma. Ustawia tempo na trzydzieści kilometrów na godzinę i zostawia mnie sam na sam z maszyną. Pocę się przez dziesięć minut i nagle zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, jak ją wyłączyć. Wołam na pomoc Everetta (ciężkie uszkodzenie ciała) – czarnoskórego więźnia, obok którego siedziałem podczas wczorajszej partii domina – ale tylko się uśmiecha albo nie rozumie mego rozpaczliwego położenia. Gdy moje wrzaski przybierają na sile, w końcu zjawia się Maiden i wybawia mnie z opresji. Nie może powstrzymać śmiechu, pokazując mi, którym przyciskiem zatrzymuje się urządzenie. Widnieje na nim czerwony napis STOP. Zsuwam się wyczerpany z roweru, wzbudzając żywą wesołość współwięźniów, w szczególności amatorów gry w domino. Resztę czasu przeznaczanego na gimnastykę spędzam, leżąc na gumowej macie i dochodząc do siebie.

Kiedy więźniowie zaczynają wracać do cel – żadnych okratowanych furt i rewizji – zostają wezwany do biura Maidena. Instruktor zamyka drzwi, by nikt nie mógł nas słyszeć, i pyta:

– Chciałby pan dołączyć do trenerów w piątek rano, żeby pomóc w ćwiczeniach dla grupy niepełnosprawnych z Ośrodka Szkoleniowego dla Dorosłych w Dereham?

– Oczywiście – odpowiadam bez namysłu.

– Grupie pomaga obecnie Jimmy, więc może powinien pan z nim zamienić parę słów.

Dziękuję Maidenowi i wracam do celi. Nie maszeruję od razu pod prysznic, gdyż wciąż jestem zlany potem po doświadczeniu z rowerem, toteż postanawiam zatelefonować do mojej asystentki Alison. Informuję ją, że potrzebuję więcej bloków formatu A4 i cienkopisów, ponieważ obecnie piszę dwa do trzech tysięcy słów dziennie. Potrzebuję również kopert ze znaczkami adresowanych na jej nazwisko – dużych formatu A4 na rękopis i nieco mniejszych, abym mógł

odpowiadać na codzienną korespondencję¹³. Alison skarży się, że z powodu worków listów, jakie przychodzą do więzienia i do biura, a także dlatego, że musi przepisywać równocześnie dwa teksty, pracuje teraz dłużej niż wówczas, gdy byłem na wolności.

– A martwiłaś się, że stracisz pracę, gdybym miał trafić do więzienia – przypominam jej. – Zaczekaj, aż zabiorę się znowu do pracy nad powieścią¹⁴. Nie będziesz miała nawet wolnych weekendów.

Alison potwierdza odbiór ostatnich pięciu rozdziałów *Belmarsh*, które dotarły do niej dzięki życzliwości Roya, cenzora. W Wayland nie ma podobnych kłopotów, bo wystarczy wrzucić przesyłkę do skrzynki. Przypominam jej, że chcę jak najszybciej dostać z powrotem tekst *Belmarsh* i jeszcze raz go przejrzeć, zanim dam go do przeczytania Jonathanowi Lloydowi (mojemu agentowi). Na koniec proszę, by połączyła mnie z Willem.

– Jest z Mary w Cambridge.

Choć odruchowo sprawdzam, ile jednostek pozostało na karcie telefonicznej, nie muszę się już martwić o stan konta, gdyż Dale ma chyba dostęp do nieprzebranych zasobów kart.

Dzwonię do Cambridge i zastaję w domu Mary, która właśnie wychodzi na zebranie do Szpitala Addenbrooke'a, gdzie jest wiceprzewodniczącą zarządu. Zamienia ze mną zaledwie kilka słów i zaraz podaje słuchawkę Willowi, który ma dla mnie mnóstwo wiadomości. Mówi, że mama jak zwykle bardzo skrupulatnie przygotowuje się do wywiadu w programie *Today*. Po naszej ostatniej rozmowie odezwał się do niego Andy Bearpark, który w trakcie kampanii Simple Truth zajmował się problemami kurdyjskimi w ODA, Organizacji ds. Pomocy Krajom Rozwijającym Się, i potwierdził, że kontaktowała się z nim prowadząca audyt firma KPMG. Will sądzi, że policji nie pozostaje nic innego, jak tylko szybko zakończyć raport wstępny i przywrócić mi kategorię D. Dziękuję mu, zwłaszcza za to, że zawsze jest dla matki niezawodną podporą. Następnie oznajmiam, że ukończyłem część dziennika traktującą o pobycie w Belmarsh, i pytam, czy znalazł czas, by przeczytać parę rozdziałów.

– Nie potrafię się zmusić, tato. Już i tak ciężko mi znieść myśl, że tam jesteś.

Mówię mu, że już postanowiłem napisać trzy części dziennika więziennego: *Piekło*, *Czyściec* i *Niebo* oraz epilog zatytułowany *Powrót na ziemię*. Udaje mi się go rozbawić. W tym momencie korytarzem przechodzi Jimmy, odwracam się więc do niego, pytając, czy poświęci mi chwilę. Kiwa głową i czeka, aż skończę rozmawiać z Willem.

Jimmy słyszał już, że być może trafię do skrzydła dla więźniów o wyższym statusie, ale nie wie, czy informacje Nutbourne'a pochodzą od kogoś ważnego.

– Też się nad tym zastanawiałem – odpowiadam. Wspominam, że Maiden poprosił mnie, abym się zjawił w sali gimnastycznej w piątek rano i pomógł

w pracy z grupą niepełnosprawnych.

Reakcja Jimmy'ego jest zaskakująca.

– Cholerny farciarzu – mówi. – Ja musiałem na tę fuchę czekać dwa lata, a ciebie zapraszają już po czterech dniach.

Zabawne, ale nie uważałem propozycji Maidena za przywilej. Chciałem po prostu zrobić coś pożytecznego.

Jimmy zaprasza mnie do swojej celi – to jedyna okazja, by napić się dietetycznej coli. Dołącza do nas Jason, który dostrzegł mnie w korytarzu. Jason wręcza mi parę pantofli i kosmetyczkę, które przysługują tylko więźniom o wyższym statusie.

– Cholerny farciarz – powtarza Jimmy, a potem zaczyna się rozwodzić na temat swojej masy. Jimmy ma sześć stóp i cal wzrostu, jest szczupły i wysportowany (zobacz rozdział „Ilustracje”). Codziennie ćwiczy na sali, a współwięźniowie mówią o nim Brad Pitt.

– Raczej Brat Git – zauważa Jason.

Jimmy kwituje to uśmiechem i dalej marudzi.

– Muszę nabrać trochę ciała.

– Właśnie taki mi się podobasz, skarbie – odpowiada Jason.

Uznaję, że to doskonała okazja, aby wypytać ich o sposoby przemytu narkotyków do więzienia. W odpowiedzi na grad moich pytań obaj sypią żartami, ale dzięki nim pogłębiam swoją wiedzę.

Spośród sześciu głównych typów narkotyków – kanabinoli, amfetaminy, ecstasy, kokainy, cracku i heroiny – największym popytem w więzieniach cieszy się heroina. Każdy blok ma swojego dilerę dysponującego z kolei grupą gońców, których wysyła do wszystkich nowych więźniów przechodzących program przystosowawczy. Nazywa się to Narkoprogram Przystosowawczy. Odbywa się zazwyczaj na dziedzińcu podczas porannego długiego spaceru. W zależności od podaży i popytu ceny wahają się od podwójnej taryfy obowiązującej na ulicy po kwoty przekraczające zwyczajowe stawki czasem aż dziesięciokrotnie; nawet w więzieniu panują zasady wolnorynkowe. Stosuje się kilka sposobów zapłaty. Najpowszechniejszą walutą są karty telefoniczne oraz tytoń. Można także wysłać pieniądze, które zapisuje się na więziennym rachunku dilerę, lecz większości handlarzy nie podoba się ta metoda, gdyż nawet najgłupszy funkcjonariusz potrafiłby się domyślić, czym się zajmują. Najczęściej odbiorca narkotyków umawia się z kolegą zza krat, aby ten wysłał pieniądze łącznikowi dilerę przebywającemu na wolności – zwykle jest to jego dziewczyna, żona lub partnerka. W więzieniu funkcjonuje lista dostępnych narkotyków podobna do wywieszanej przed głównym biurem listy towarów oferowanych w kantynie (choć w przeciwieństwie do niej nie jest wydrukowana). Na przykład za pięć skrętów marihuany trzeba zapłacić 10 funtów albo pięć kart telefonicznych; niewielka

działka kokainy kosztuje około 10 funtów, natomiast torebka lub „joey” heroiny może kosztować nawet 20.

Następnie rozmawiamy o trudniejszej sprawie, jaką jest transport towaru do więzienia. Jason wyjaśnia, że jest kilka sposobów. Najbardziej oczywisty to przekazywanie narkotyków podczas odwiedzin, ale rzadko korzysta się z tej drogi, ponieważ w razie przyłapania i więźniowi, i gościowi grozi surowa kara. Jeśli skazaniec zostaje przyłapany, automatycznie traci prawo do odwiedzin i korzystania z kart telefonicznych. Dla większości więźniów to jedyny kontakt ze światem za murami. Z wyjątkiem najbardziej uzależnionych od heroiny niewielu jest gotowych poświęcić dla nałogu możliwość spotykania co dwa tygodnie rodziny i przyjaciół oraz regularnego rozmawiania przez telefon. Dlatego większość dilerów ucieka się do bezpieczniejszych metod, bo gdyby przyłapano ich dwa razy, nie tylko straciliby karty telefoniczne i prawo do odwiedzin, ale też zostaliby oskarżeni o przestępstwo, co pociągnęłoby za sobą przedłużenie wyroku.

– Jakie są inne metody? – pytam.

– Można się umówić, że w oznaczonym czasie ktoś podrzuci towar przez mur i odbierze go ogrodnik albo sprzątac. Dorobią sobie trochę, bo dostają siedem funtów tygodniowo – tłumaczy Jason. – Ale najczęściej narkotyki przynoszą ludzie wracający z miasta albo z przepustek do domu. Sprytny kurier potrafi zarobić trochę grosza jeszcze przed zwolnieniem.

– Musisz pamiętać – dodaje Jimmy – że jak cię złapią z towarem, nie tylko stracisz wszystkie przywileje, ale mogą cię przenieść do kategorii A i przedłużyć wyrok.

– A co z pocztą? – pytam.

– Zwykle przysyła się towar w długopisie – mówi Jason. – Wkład do połowy wypełnia się heroiną, zostawiając tusz w dolnej połowie, kiedy więc klawisze zdejmą dolną nasadkę, zobaczą tusz. Mogą wprawdzie złamać wkład na pół, ale wtedy musieliby wymieniać setkę długopisów na tydzień. Najpopularniejszą metodą są jednak ciągle szare koperty i znaczki.

– Koperty?

– U dołu większości dużych szarych kopert jest skrzydełko. Jeśli się je delikatnie podważy, można tam ukryć działkę heroiny i starannie zakleić z powrotem. Przesyłka wygląda jak jakiś folder albo druk reklamowy, ale może zawierać prochy wartości stu funtów.

– Jeden więzień niedawno trochę przesadził – mówi Jimmy. – Dostał wyższy status i przenieśli go do skrzydła dla uprzywilejowanych. Mamy prawo wieszać w celach firanki. Kiedy dostał zamówione firanki, strażnicy odkryli, że w szwach jest mnóstwo heroiny. Facet natychmiast trafił do izolatki i stracił wszystkie przywileje.

– Przedłużyli mu także wyrok?

– Nie – odpowiada Jason. – Utrzymał, że firanki przysłał mu współoskarżony w tym samym procesie, żeby go zrobić. Że niby uszył mu buty. – Wyrażenie bardzo mi się podoba w tym kontekście.

– I nie tylko mu się upiekło – ciągnie Jimmy – ale na dodatek tamten współoskarżony został skazany na pięć lat. Obaj byli winni, ale żaden nie trafił do kicia za przestępstwo, które popełnił. – Nie po raz pierwszy słyszę coś takiego.

– Można też stracić przywileje i dostać przedłużenie wyroku, jeżeli cię przyłapią na braniu narkotyków – przypomina mi Jason.

– To prawda – przytakuje Jimmy. – Ale nawet na to są sposoby. W 1994 roku rząd wprowadził obowiązkowy test narkotykowy, żeby przyłapywać więźniów na zażywaniu nielegalnych substancji. Kiedy jednak ktoś bierze heroinę, wystarczy kupić w kantynie tubkę pasty do zębów dla palaczy i połknąć trochę zaraz po zażyciu narkotyku.

– I jak to działa? – pytam.

– Jeżeli poproszą cię o próbkę moczu – tłumaczy Jason – pasta do zębów zafałszuje wynik badania i będą musieli odczekać dwadzieścia cztery godziny przed następnym testem. Przed drugim testem trzeba wypić dwa galony wody, które wypłuczają z organizmu wszystkie ślady heroiny. Będziesz sikał przez całą noc, ale nie stracisz przywilejów i nie przedłużysz sobie odsiadki¹⁵.

– Ale to niemożliwe w przypadku kanabinoli?

– Nie, ślady trawki zostają we krwi co najmniej przez miesiąc. Mimo wszystko to naprawdę niezły interes, bez względu na ryzyko. Możesz też być pewien, że dilerzy nigdy sami nie tykają żadnych narkotyków. Wszyscy mają swoje muły i własną sieć handlarzy. Uchodzi im prawie na sucho, rzadko ich łapią.

– A niektórym udaje się zrobić większą forszę w więzieniu niż na wolności – dorzuca Jason.

Funkcjonariusz na korytarzu woła nas na podwieczorek. Zamykam notatnik, dziękuję Jasonowi za pantofle i kosmetyczkę, nie wspominając o pouczającej lekcji, i wracam do celi.

5.00 po południu

Kolacja. Wegetariańska zapiekanka i dwa ziemniaki. Kiedy otrzymam wyższy status, będę mógł poprosić o przysłanie mi własnego talerza i kubka albo filiżanki, a także firanek.

6.00 wieczorem

Piszę przez ponad godzinę.

7.15 wieczorem

Oglądam Sue Barker i Rogera Blacka podsumowujących lekkoatletyczne mistrzostwa świata, które okazały się katastrofą dla Wielkiej Brytanii. Złoty medal dla Jonathana Edwardsa w trójskoku i brąz dla Deana Maceya w dziesięcioboju. Najgorszy wynik od pierwszych mistrzostw w 1983 roku, i to po tak wspaniałej dla nas olimpiadzie w Sydney. Prawie udaje mi się przekonać samego siebie, iż wcale nie żałuję, że nie mogłem oglądać zawodów.

8.00 wieczorem

Czytam listy. Dziś przyszło ponad sto.

9.00 wieczorem

Oglądam z Julesem współczesną wersję *Wielkich nadziei* z Robertem De Niro i Gwyneth Paltrow. Gdybym nie siedział w więzieniu, wyszedłbym po kwadransie.

Zaczynam czytać *Famous Trials* w wyborze Johna Mortimera. Najpierw sprawa Rattenbury–Stones, historia młodego mężczyzny, który zakochuje się w starszej kobiecie. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Zasypiam około jedenastej.

Dzień 27

Wtorek, 14 sierpnia 2001

6.18 rano

Zaspałem. Po całonocnym deszczu przez cztery pręty krat w moim oknie przeziiera słońce. Piszę przez dwie godziny.

8.20 rano

Śniadanie. Dwa weetabiksy, jajko na twardo i grzanka.

10.56 rano

Piszę od godziny, gdy otwierają się drzwi; Clarke przynosi mi wiadomość, że w okresie przystosowawczym muszę odbyć spotkanie z reprezentantem RIW (Rady Inspektorów Więzień). Dziś wszystko jest opatrzone akronimem.

W poczekalni naprzeciw biura Newporta zbiera się dziewięciu więźniów. Pośrodku pomieszczenia znajduje się niski stół otoczony wygodnymi krzesłami ustawionymi w półkole. Gdyby na stole leżało kilka starych numerów czasopism, można by odnieść wrażenie, że to poczekalnia u lekarza. Spędzamy tu kilka minut i wreszcie zjawia się mężczyzna pod sześćdziesiątkę, przypominający wyglądem emerytowanego adwokata lub dyrektora banku. Ma pięć stóp i dziewięć cali wzrostu, szpakowate włosy i serdecznie się do nas uśmiecha. Jest ubrany w szare flanelowe spodnie oraz koszulę rozpiętą pod szyją. Podejrzewam, że nie licząc dzisiejszej okazji, równie swobodnie ubiera się tylko w niedzielne popołudnie.

Przedstawia się jako Keith Flintcroft i wyjaśnia, że w skład rady wchodzi szesnaście osób wybranych spośród okolicznych mieszkańców i mianowanych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Inspektorzy nie pobierają wynagrodzenia, dzięki czemu zachowują niezależność.

– Możemy w każdej chwili poprosić o spotkanie z naczelnikiem i każdym funkcjonariuszem i choć nie dysponujemy realną władzą, mamy znaczne wpływy. Zajmujemy się przede wszystkim skargami więźniów – ciągnie. – Nie potrafimy jednak zmieniać rozkazów naczelnika. Na przykład nie możemy zapobiec umieszczeniu więźnia w izolatce, ale możemy zażądać, aby w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin przekazano nam szczegółowe informacje o popełnionym przez niego wykroczeniu¹⁶. Możemy także czytać wszystkie pisma urzędowe na temat więźnia, z wyjątkiem dokumentacji prawnej i medycznej.

Flintcroft wydaje się bardzo przyzwoitym człowiekiem, który wierzy w sens służenia swojej społeczności. Jediną nagrodą, jakiej się spodziewa – podobnie jak wiele tysięcy obywateli w całym kraju – jest satysfakcja z pożytecznej pracy. Dochodzę do wniosku, że gdyby uznał, iż jakiegoś więźnia traktuje się zbyt brutalnie, na pewno w miarę swoich możliwości próbowałby jakoś zareagować.

Po dziesięciominutowej pogadance dodaje:

– Będziecie nas często spotykać na korytarzach więzienia. Łatwo nas zauważyć, bo wszyscy nosimy charakterystyczne szare plakietki z nazwiskami. W każdej chwili możecie do nas podejść i porozmawiać – oczywiście gwarantujemy całkowitą dyskrecję. Czy są jakieś pytania?

Ku memu zdziwieniu nie ma żadnych. Dlaczego nikt nie wspomniał o oplakanyim stanie cel w skrzydle przejściowym w porównaniu z resztą więzienia? Dlaczego, skoro co dzień widzę przy pracy jakiegoś malarza w każdym skrzydle, żaden nie wpadnie do przejściówki i trochę jej nie odświeży? Czyżby pozostawiono ją w tak fatalnym stanie, żeby po przeniesieniu do innej części więzienia skazańcy docenili różnicę, czy może po prostu władze nie dają sobie rady

z tempem przepływu więźniów? Tak czy inaczej chciałbym powiedzieć naczelnik Kate Cawley (znalazłem jej nazwisko na tablicy ogłoszeń, ale nie dane mi jeszcze było jej poznać), że to poniżej więźniów i stanowi rażący mankament w skądinąd sprawnie zarządzanym zakładzie. Dlaczego ludzie w przejściówce siedzą zamknięci przez tyle godzin, a pozostali cieszą się znacznie większą wolnością? I dlaczego... I nagle zdaję sobie sprawę, że jestem w tej sali jedyną osobą, która dotąd nie została poddana tej procedurze, a innych albo to guzik obchodzi, albo nie widzą sensu poruszać tematu. To w większości recydywiści, którzy po prostu chcą spokojnie odsiedzieć swoje i wrócić na drogę przestępstwa. Uważają, że tacy jak Flintcroft nic nie zmieniają w ich życiu. Podejrzewam, że takim jak Flintcroft w ciągu wielu lat udało się dokonać ogromnych zmian w ich życiu, czego nie potrafią docenić i z czego nie zdają sobie nawet sprawy.

Flintcroft przekonuje się, że nie ma żadnych pytań, i wychodzimy gęsiego, zmierzając do cel. Przystaję, aby mu podziękować za niewdzięczną pracę.

12.00 w południe

Chapman mówi, że w recepcji czeka na mnie spora paczka, którą będę mógł odebrać po obiedzie (lunchu).

12.15 po południu

Lunch. Zapiekana w cieście mielonka, dwa ziemniaki i szklanka wody Evian. RATUNKU! Kończy mi się woda.

12.35 po południu

Zgłaszam się w recepcji po paczkę, a raczej to, co z niej zostało. Pierwotnie znajdowały się w niej dwie książki, *Diaries* Alana Clarka i *Skafander i motyl* Jeana-Dominique'a Bauby'ego, które przysłał mi Anton, jeden z najlepszych przyjaciół Jamesa. Do książek dołączony jest długi list, w którym Anton opisuje zerwanie ze swoją ostatnią dziewczyną (uwielbiam młodych – uważają, że ich kłopoty są najważniejsze), a także tuzin bloków do pisania, dwie paczki cienkopisów i sześć karnetów znaczków pierwszej klasy od Alison. Chapman wyjaśnia, że mogę zatrzymać list od Antona, ale resztę złożą w pudle z moimi rzeczami i dostanę wszystko, kiedy zostaną przeniesiony lub zwolniony.

3.15 po południu

Do tego stopnia przyzwyczałem się do więziennego życia, że wychodząc na

popołudniowe ćwiczenia, nie tylko pamiętam o zabraniu karty wstępu do sali gimnastycznej, ale łapię też ręcznik i butelkę wody. Bieżnia nadal nie działa, więc znów zaczynam od dziesięciminutowej rundy na ergometrze wioślarskim (1837 metrów – niezbyt imponujący wynik), potem podnoszę lekkie ciężarki i dziesięć minut ćwiczę na rowerze, który umiem już uruchomić i, co ważniejsze, zatrzymać.

Everett (ciężkie uszkodzenie ciała) podnosi się z ławeczki, na której wyciskał 240 funtów, i pyta, czy mógłby pociągnąć łyk mojej wody. Kiwam potakująco głową, uznając, że nie mam innego wyjścia. Chwilę później podchodzi do mnie jego czarnoskóry kolega ciężarowiec – wyższy i szerszy w barach – i popija bez pytania. Gdy kończę ćwiczenia rozciągające, butelka jest już pusta.

Po powrocie do swojego skrzydła próbuję wziąć prysznic, ale drzwi do umywalni są zamknięte na klucz. Zaglądam przez okienko. W pomieszczeniu unoszą się kłęby pary, a w drzwi łomocze dwóch więźniów, próbując się wydostać. Nie sądzę, aby zamykanie ich w środku i uniemożliwienie mi wejścia do umywalni były zgodne z więziennymi przepisami. Czekam pod drzwiami z dwójką innych więźniów i po dziesięciu minutach wreszcie zjawia się strażnik. Mówię mu, że chciałbym wziąć prysznic.

- Przegapiłeś okazję.
- Nie miałem okazji – protestuję. – Drzwi są zamknięte od dziesięciu minut.
- Nie było mnie minutę, góra dwie – mówi strażnik.
- Stoję tu prawie od dziesięciu minut – zauważam uprzejmie.
- Jeżeli mówię, że minutę, to minutę – ucina.

Wracam do celi. Jestem spocony i robi mi się zimno. Zasiadam do pisania.

6.00 wieczorem

Kolacja. Mogę przełknąć jedynie gęstą, oleistą zupę. W celi nalewam sobie pół kubka soku z czarnych porzeczek. Ostatni luksus, jaki mi pozostał. Przynajmniej nadal chudnę.

6.30 wieczorem

Spacer. Maszeruję wzdłuż ogrodzenia w towarzystwie Jimmy'ego i Darrena. Wystarczy ich obecność, by powstrzymać współwięźniów od prowokujących uwag pod moim adresem.

7.00 wieczorem

Nareszcie udaje mi się wziąć prysznic. Potem wkładam na siebie więzienny dres, szary i powyciągany, ale wygodny. Postanawiam zadzwonić do Mary. Do

telefonu ustawiła się już kolejka, gdyż większość więźniów korzysta z niego właśnie o tej porze. Kiedy w końcu dzwonię do Old Vicarage, numer jest zajęty.

Dostrzegam snującego się po korytarzu Dale'a, który wyraźnie chce ze mną porozmawiać. Mówi, że pieniądze jeszcze nie przyszły. Zapewniam go, że jeśli nie dostanie ich jutro z poranną pocztą, upomnę się o nie. Znów próbuję zadzwonić do Mary – nadal zajęte. Wracam do celi i przygotowuję stolik do wieczornej tury pisania. Zerkam na zegarek. Jest 7.55. Mam ostatnią okazję. Idę do telefonu. Dzwonię do Cambridge. Wciąż zajęte. Wycofuję się do celi, a pod drzwiami czeka już oddziałowy. Zostaję zaplombowany na dwanaście godzin.

8.00 wieczorem

Czytam dzisiejsze zapiski, po czym przygotowuję notatki na pierwszą poranną turę pracy przy akompaniamencie krzyku dwóch Antylczyków, którzy ryczą do siebie z cel po dwóch stronach skrzydła. Dzielę się z Julesem spostrzeżeniem, że wrzeszczą jeszcze głośniej niż zwykle. Odpowiada zrezygnowany, że na pyskaczy okiennych nie ma rady. Zastanawiam się przez chwilę. Czy powinienem kusić los? Podchodzę do okna i uprzejmie, lecz stanowczo sugeruję, że nie muszą do siebie wrzeszczeć. W oknie naprzeciwko ukazuje się czarna twarz. Czekam na zwykły w takich sytuacjach potok inwektyw.

– Przepraszam, Jeff – mówi Antylczyk i normalnym głosem kontynuuje rozmowę z kolegą.

Cóż, czasem wystarczy poprosić.

Dzień 28

Środa, 15 sierpnia 2001

6.04 rano

Budzę się i przypominam sobie, gdzie jestem.

8.15 rano

Śniadanie. Kiedy schodzę do kuchni po posiłek, Dale skinieniem głowy daje mi znać, że pieniądze przyszły.

8.30 rano

Telefonuję do Mary i słyszę od niej, że jutro rano bierze udział w programie *Today* Johna Humphrysa, a w piątek zamierza mnie odwiedzić z Willem. Ponieważ James wyjechał na urlop, proponuje, aby trzecią osobą na widzeniu był Jonathan Lloyd, który chciałby porozmawiać o mojej nowej powieści *Synowie fortuny* i postępkach w pisaniu dziennika. Przysługuje mi jedna wizyta na dwa tygodnie, toteż dochodzę do wniosku, że takie połączenie interesów i spraw rodzinnych jest rozsądnym wyjściem, choć żałuję, że nie zobaczę Jamesa.

Dzwonię do Alison, która mnie informuje, że do środy powinna skończyć przepisywanie tomu pierwszego – *Belmarsh: Piekło* (70 000 słów) i niezwłocznie przysłać mi maszynopis. Przypomina mi także, że w poniedziałek wyjeżdża na dwutygodniowy urlop. Rzeczywiście, trzeba mi przypominać o wielu rzeczach. W więzieniu się nie pamięta, że normalni ludzie wyjeżdżają na urlop.

Wracając do celi, natykam się na Davida (przemytnika whisky), który zamiata korytarz. Mówię mu o moim kurczącym się zapasie wody. David proponuje dużą butelkę dietetycznej lemoniady i dietetyczny sok z czarnej porzeczki Robinsona w zamian za wartą 2 funty kartę telefoniczną. Zyska na tym 43 pensy. Zgadzam się i idziemy do jego celi, by dokonać transakcji. Jest tylko jeden kłopot: w handlu więziennym nie wolno wykorzystywać kart telefonicznych, ponieważ mogłoby to nasunąć podejrzenia, że rozprowadza się narkotyki. Każda karta jest opatrzona podpisem więźnia na odwrocie, podobnie jak karta kredytowa (zobacz rozdział „Ilustracje”)¹⁷.

– Nie ma sprawy – mówi David (nigdy nie przeklina). – Usunę twoje nazwisko płynem Fairy i wstawię w tym miejscu swoje.

– Gdzie chcesz zdobyć płyn Fairy?

– Sprzątam w tym skrzydle.

Głupie pytanie.

10.00 rano

Mój współlokator Jules zaczął dziś zajęcia edukacyjne (praktyczne umiejętności życiowe i społeczne), tak więc mam celę tylko dla siebie. Zasiadam do pisania, lecz po trzydziestu minutach otwierają się drzwi i oddziałowy oznajmia mi, że chce się ze mną widzieć kurator więzienny. Przypominam sobie słowa Tony’ego (ucieczka z więzienia otwartego Ford), który powiedział mi w Belmarsh: „Nie wymądrzaj się, bo możesz kuratorowi nadepnąć na odcisk, a on ma duży wpływ na termin twojego zwolnienia warunkowego”.

Pod eskortą wędruję do prywatnego gabinetu oddalonego zaledwie o dwoje drzwi od biura Tinklera na podeście pierwszego piętra. Podaję rękę młodej jasnowłosej kobiecie, która przedstawia się jako Lisa Dada. Ma mniej więcej

trzydzieści lat i jest ubrana w sweter z wycięciem w serek, które pozwala zauważyć, że właśnie wróciła z wakacji albo spędziła długi weekend, siedząc na słońcu. Tak jak wszyscy pyta, jak się aklimatyzuję. Oświadczam, że właściwie na nic się nie uskarżam, z wyjątkiem brudu w celi, gwałtownego ataku rapu na moje uszy i okiennych pyskaczy.

Lisa wyjaśnia, że musi rozmawiać ze wszystkimi więźniami, lecz nasze spotkanie jest właściwie bezcelowe, ponieważ miałyby coś do powiedzenia w mojej sprawie dopiero pół roku przed moim warunkiem¹⁸.

– Za jakieś dwa miesiące wyjeżdżam do Surrey – ciągnie – żeby być bliżej męża, który jest funkcjonariuszem więziennym, i całkiem prawdopodobne, że zostanie pan już wówczas przeniesiony do innego zakładu. Dlatego mogę jedynie odpowiedzieć na wszelkie pańskie pytania.

– Jak pani poznała męża? – pytam.

– Miałam na myśli pytania zupełnie innego rodzaju – odpowiada z uśmiechem.

– Musi być Nigeryjczykiem.

– Dlaczego tak pan sądzi?

– Dada. To nazwa plemienia Ibo, ludu przywódców i wojowników.

Lisa kiwa głową i mówi:

– Poznaliśmy się w więzieniu, i to w okolicznościach jakby wziętych z jednej z pańskich powieści. – Nie przerywam jej. – Przebywał u nas więzień, który rano miał zostać zwolniony. Poprzedniego dnia wieczorem telefonował do żony, aby się z nią umówić, o której ma po niego przyjechać, ale w ogóle nie słyszał jej głosu w słuchawce z powodu hałasu, jaki dobiegał z telewizora w sąsiedniej celi. Zajrzał tam i poprosił kolegę, żeby ściszył, a ten kazał mu „się odpieprzyć”. Wtedy poniosły go nerwy, rzucił słuchawkę, wpadł do celi i uderzył złośliwego więźnia, który upadł na kamienną podłogę, doznał pęknięcia czaszki i zmarł, zanim zdążyli go zabrać do szpitala. Pierwszy funkcjonariusz, który pojawił się na miejscu, wezwał kuratora opiekującego się napastnikiem, i tak się złożyło, że to byłam ja. Pobraliśmy się z tym funkcjonariuszem rok później.

– A co się stało z więźniem?

– Postawiono mu zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci, przyznał się do winy i został skazany na trzy lata. Odsiedział osiemnaście miesięcy. Było jasne, że nie zamierzał zabić. Wiem, że to brzmi głupio – dodała – ale aż do tego feralnego wieczoru miał nieposzlakowaną opinię.

– A więc pani mąż jest czarny. Chyba nie jest przez to pani łatwiej, zwłaszcza w więzieniu.

– Rzeczywiście, ale dzięki temu łatwiej mi znaleźć wspólny język z dredami.

– Jak więc wygląda życie trzydziestokilkuletniej jasnowłosej kuratorki? – pytam.

– Nie zawsze jest łatwo – przyznaje. – Sześćdziesiąt procent więźniów na mnie krzyczy i uważa, że nie ma ze mnie żadnego pożytku, a pozostałe czterdzieści wybucha płaczem.

– Wybuchają płaczem? Oni? – pytam, wskazując kciukiem na drzwi.

– Och, tak. Przypuszczam, że pana ten problem nie dotyczy, ale oni na ogół przez całe życie muszą udowadniać, jacy z nich macho, kiedy więc przychodzą do mnie, mają jedyną okazję ujawnić swoje prawdziwe uczucia. Gdy tylko zaczynają mówić o swoich rodzinach, partnerkach, dzieciach i przyjaciółach, często się załamują, gdyż zdają sobie nagle sprawę, że ci, których pozostawili na wolności, mogą przeżywać jeszcze trudniejsze chwile niż oni w więzieniu.

– Co w takim razie usiłują osiągnąć krzykacze?

– Wyrzucają z siebie wściekłość. Tak surowa dyscyplina tłumi emocje, które często skrupiają się na mnie. Doświadczyłam już wszystkiego, słyszałam steki wulgarnych wyzwisk i dosłowne opisy tego, co niektórzy mieliby ochotę ze mną zrobić. Wygłaszali to, nie odrywając wzroku od moich piersi. Jeden z więźniów posunął się nawet do tego, że rozpiął dżinsy i zaczął się onanizować. Za to wszystko mam dwadzieścia jeden tysięcy rocznie.

– Dlaczego więc pani to robi?

– Od czasu do czasu odnoszę sukces, może w jednym na dziesięć przypadków, ale właśnie dlatego, wracając wieczorem do domu, utwierdzam się w przekonaniu, że warto.

– Co jest najgorsze w pani pracy?

Milknie, zastanawiając się przez moment.

– Chwile, gdy tuż przed planowanym zwolnieniem muszę powiedzieć więźniowi, że jego żona czy partnerka nie chce go przyjąć z powrotem.

– Chyba nie bardzo rozumiem.

– Wielu przestępców z wysokim wyrokiem dzwoni dwa razy w tygodniu do żon, które odwiedzają ich nawet raz na dwa tygodnie. Ale krótko przed terminem zwolnienia kurator ma obowiązek odwiedzić dom więźnia i często dopiero wtedy żona wyznaje, że nie chce powrotu męża. Zwykle zdążyły już ułożyć sobie życie z innym mężczyzną – czasem jest to najlepszy przyjaciel męża.

– I oczekują, że to pani przekaże im tę wiadomość?

– Tak. Ponieważ same nie mają odwagi tego zrobić, nawet przez telefon.

– Czy jest jakiś rodzaj przestępców, z którymi nie lubi pani pracować? Na przykład pedofile, mordercy, gwałciciele, handlarze narkotyków?

– Nie, z nimi sobie radzę – mówi. – Ale nie znoszę złodziei.

– Złodziei?

– Nie wykazują ani skruchy, ani wyrzutów sumienia. Nawet kiedy ukradli jakąś cenną pamiątkę rodzinną, oświadczają, że nic się nie stało, bo ofiara może się starać o odszkodowanie z ubezpieczenia. – Lisa zerka na zegarek. – Właściwie

powinam panu zadać kilka pytań. – Po chwili dodaje: – Choć nie przypuszczam, żeby te typowe mogły pana dotyczyć.

– Proszę spróbować – proponuję.

Lisa wyciąga z teczki arkusz i czyta listę pytań:

– Czy jest pan żonaty? Czy mieszka pan ze swoją żoną? Czy mają państwo dzieci? Czy ma pan dzieci z innego związku? Czy któreś z nich potrzebuje pomocy lub wsparcia finansowego? Czy po zwolnieniu wróci pan do rodziny? Czy po zwolnieniu będzie pan miał jakieś dochody poza sumą dziewięćdziesięciu funtów zapewnioną przez państwo? Czy ma pan gdzie spać w pierwszą noc po zwolnieniu z więzienia? Czy ma pan pracę gwarantującą stałe źródło dochodów? – Spogląda na mnie. – Ostatnie pytanie ma na celu ocenę prawdopodobieństwa, czy w ciągu kilku godzin po opuszczeniu więzienia zwolniony popełni przestępstwo.

– Dlaczego ktoś miałby to zrobić? – pytam.

– Bo dla niektórych więzienie to jedyne miejsce, gdzie mają zapewnione trzy posiłki dziennie i łóżko, gdzie mają z kim porozmawiać. W pańskim skrzydle jest ktoś taki. Wyszedł w zeszłym miesiącu, a w tym wrócił. Ukradł staruszce torebkę i natychmiast ją oddał. Potem czekał na policję, żeby go aresztowała.

Wydaje mi się, że znam więźnia, o którym mówi Lisa, i odnotowuję w pamięci, aby z nim później zamienić słowo. Nasze godzinne spotkanie zbliża się do końca, pytam więc Lisę, czy nadal zamierza pełnić swoją funkcję.

– Tak. Jestem w Służbie Więziennej od dziesięciu lat i mimo wszystko praca daje mi niemałą satysfakcję. Proszę zauważyć, jak dużo się w niej zmieniło w ciągu tej dekady. Gdy zaczynałam, motto na naszym papierze firmowym brzmiało „Porada, pomoc, życzliwość”. Dziś brzmi „Egzekwowanie prawa, resocjalizacja, ochrona publiczna”. To wynik ogromnych zmian w społeczeństwie, nowego pojęcia wolności i potrzeby bezpieczeństwa. Obywatele nie rozumieją jeszcze, że trzydziestu procent ludzi osadzonych w więzieniach w ogóle nie powinno się zamykać, a siedemdziesiąt procent to zawodowi przestępcy, którzy przez całe życie będą regularnie trafiać za kraty.

Rozlega się pukanie do drzwi. Godzina minęła, a w ogóle nie poruszyliśmy sprawy narkotyków. Wchodzi Chapman, niosąc dwa grube pliki listów. Lisa wygląda na zaskoczoną.

– To dopiero pierwsza poczta – mówi do niej Chapman.

– Aż trudno uwierzyć – oświadcza. – Moi rodzice przesyłają pozdrowienia. Mój ojciec chce, żeby podpisał pan dla niego książkę, ale powiedziałam mu, że byłoby to bardzo nieprofesjonalne.

Wstaję z krzesła.

– Powodzenia w apelacji – dodaje Lisa, gdy zegnamy się uściskiem ręki.

Dziękuję jej i wracam do celi.

12.00 w południe

Lunch. Makaron zapiekany z serem i dietetyczna lemoniada. Nie cierpię lemoniady, dlatego przez nieskończenie długi czas potrząsam butelką, usiłując się pozbyć bąbelków. Mam nieskończenie dużo czasu.

1.45 po południu

Chapman uprzedza mnie, że nie będę mógł po południu iść do sali gimnastycznej, ponieważ muszę uczestniczyć w spotkaniu z przedstawicielem organizacji CARAT¹⁹ na temat narkotyków. To kolejny punkt programu mojego okresu przystosowawczego. Mimo że nigdy w życiu nie tknąłem narkotyków, nie mogę nie iść na spotkanie. W przeciwnym razie nigdy nie opuszczę tego brudnego, wilgotnego i hałaśliwego skrzydła. Naturalnie podporządkowuję się przepisom.

2.00 po południu

Próbuję zabrać z recepcji moje książki i bloki do pisania, ale słyszę od Meanwella (który regularnie mi przypomina, że jego nazwisko wyjątkowo trafnie oddaje jego charakter²⁰), że nie mogę ich odzyskać, gdyż jest to wbrew regulaminowi więziennemu. Papier i przybory do pisania należy kupować w sklepiku, a książki zamawiać w bibliotece, która zaopatruje się bezpośrednio w sieci Waterstone.

– Ależ w Belmarsh dostałem pozwolenie na przysłanie mi pocztą dwóch bloków, dwóch paczek cienkopisów i tylu książek, ile potrzebowałem, a było to więzienie o najostrzejszym rygorze.

– Wiem – odpowiada z uśmiechem Meanwell. – To bardzo głupi przepis, ale nic nie mogę poradzić.

Dziękuję mu. Wielu starszych rangą funkcjonariuszy więziennych doskonale odróżnia rozsądne przepisy od nierozsądnych, lecz obawiają się, by nie spotkało mnie nic, co mogłoby zostać zinterpretowane jako „specjalne traktowanie”, ponieważ nazajutrz rozpisywałyby się o tym wszystkie brukowce. Przyczyną wprowadzenia tego punktu do regulaminu jest fakt, że w książkach, blokach i długopisach można przemycać narkotyki. Jeżeli jednak zamierzam dalej prowadzić dziennik, będę się musiał zaopatrzyć w potrzebne rzeczy w kantynie, co oznacza konieczność oszczędzania na puszkach z mielonką i weatabiksach.

2.40 po południu

Po godzinie pisania zostaję wezwany na spotkanie zorganizowane przez

CARAT. Nasza jedenastka ponownie gromadzi się w sali z wygodnymi krzesłami. CARAT reprezentuje młoda kobieta imieniem Leah, która nas informuje, że jeśli mamy problemy z narkotykami, to powinniśmy się zwrócić do niej o pomoc i poradę. Leah przypomina mi Flintcrofta, chociaż jej zadanie jest znacznie trudniejsze.

Spoglądam na pozostałych więźniów w sali. Na ich twarzach maluje się obojętność i rezygnacja. Prawdopodobnie jestem tu jedyną osobą, która nigdy nie próbowała narkotyków. Ożywiają się tylko, słysząc uwagę Leah, że gdyby spędzili pewien okres w skrzydle D (bloku bez narkotyków), mogłoby to korzystnie wpłynąć na decyzję o zwolnieniu warunkowym. Zanim jednak Leah zdążyła skończyć zdanie, wybucha śmiech. Leah przyznaje, że w skrzydle D krąży prawdopodobnie więcej narkotyków niż w A, B i C. W większości więzień bloki bez narkotyków mają podobną opinię²¹.

Po ośmiominutowym wykładzie Leah zachęca do zadawania pytań, lecz zapada cisza, taka sama jak podczas spotkania z Flintcroftem.

Wychodzę jeszcze bardziej sceptycznie nastawiony do podobnych przedsięwzięć. Narkotyki to obecnie największy kłopot więziennictwa, ale żaden ze skazańców nie ma ani jednego pytania do reprezentantki organizacji CARAT, nie mówiąc o próbach nawiązania poważnej dyskusji. Zauważam jednak z ulgą, że dwóch więźniów zostaje w sali, aby porozmawiać z Leah na osobności.

6.00 wieczorem

Wymiana bielizny. Raz na tydzień należy się zgłosić na zmianę prześcieradeł, poszewek, ręczników i stroju gimnastycznego. Mam teraz sześć ręczników i do wymiany niosę cztery. Dostaję cztery czyste, choć każdemu więźniowi przysługują tylko dwa. Natomiast drugiej poszewki na poduszkę nie chcą mi zmienić, bo przysługuje jedna. Nie potrafię zrozumieć tej logiki.

Każdy ma sam prac swoje rzeczy osobiste, ale ja scedowałem już ten obowiązek na Darrena, który jest szefem pralni w skrzydle dla więźniów z wyższym statusem. W każdy czwartek zabiera torbę z moim praniem i oddaje tego samego dnia wieczorem. Nie prosi o żadną rekompensatę. Muszę przyznać, że perspektywa prania moich slipów w zlewie, gdzie pływają czyjeś brudne sztućce, nie jest zbyt nęcąca.

6.30 wieczorem

Kolacja. Niewarta wzmianki.

7.00 wieczorem

Spacer. Chodzę wokół dziedzińca z Darrenem i drugim więźniem, Steve'em. Steve został skazany za współudział w planowaniu morderstwa. Z zawodu jest księgowym i okazuje się elokwentnym, inteligentnym i interesującym towarzyszem. Opowiada mi swą naprawdę niezwykłą historię. Był starszym wspólnikiem w małej, lecz nieźle prosperującej firmie rachunkowej. Zakochał się we wspólniczce, żonie kolegi. Pewnego wieczoru w drodze do domu Steve wstąpił do pubu, gdzie był stałym klientem. Dobrze znał barmana i powiedział mu, że przy pierwszej nadarzającej się okazji byłby gotów zabić drania (czyli męża swojej dziewczyny). Potem Steve o wszystkim zapomniał, aż kiedyś barman do niego zadzwonił i powiedział, że za odpowiednią cenę sprawę da się załatwić. Rozmowę nagrywała policja, podobnie jak kilka następnych. Później w sądzie wyszło na jaw, że barman miał już kłopoty z prawem i doniósł na Steve'a w nadziei, że dzięki temu policja odstąpi od zarzutów przeciw niemu. Kluczowe okazało się kilkakrotnie powtórzone pytanie: „Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?”. Steve za każdym razem odpowiadał: „Tak”.

Steve'a i jego dziewczynę aresztowano. Oboje przyznali się do winy i zostali skazani na siedem lat. Dziewczyna przebywa teraz w Highpoint, natomiast mój towarzysz awansował z kategorii A do B, a potem C w ciągu dwóch lat (rekordowy czas) i z kategorią D mieszka w Wayland w skrzydle dla więźniów z wyższym statusem. Nie zależy mu na przeniesieniu do zakładu otwartego, bo z Wayland ma bliżej do domu. Jest także głównym bibliotekarzem w więzieniu. Odnoszę wrażenie, że w przyszłości jeszcze usłyszymy o Stevie.

W trakcie naszej rundy dookoła dziedzińca podchodzi do nas więzień, z którym dzieliłem celę pierwszej nocy, Chris (uszkodzenie ciała nożem Stanley). Mówi, że z jego matką kontaktowała się gazeta „News of the World”, która w niedzielę zamieści jakiś artykuł. Zapewnia mnie, że sam w ogóle z nimi nie rozmawiał, a matka nic im nie powiedziała.

– W takim razie będą tylko trzy strony – mówię.

W celi zastaję strapionego Julesa. On także słyszał, że w niedzielę „News of the World” napisze o Chrisie. Chris powiedział mu, że wielu jego kolegów i wspólników nie ma pojęcia, że siedzi w więzieniu, a on nie ma ochoty, aby się o tym dowiedzieli. Dwa razy w tygodniu chodzi na zajęcia edukacyjne i chce mieć szansę na rozpoczęcie nowego życia po zwolnieniu. Nie mam serca mu uświadamiać, że ludzi z „News of the World” w ogóle nie interesuje jego przyszłość.

10.00 wieczorem

Oglądamy wiadomości. Znów sierpniowe burze. O 10.30 Jules przełącza na

Ally McBeal, natomiast ja bez powodzenia próbuję zasnąć. Nie jestem pewien, czy bardziej przeszkadza mi telewizor w celi, czy rap łomoczący po drugiej stronie bloku.

Dzień 29

Czwartek, 16 sierpnia 2001

5.50 rano

Budzę się ze snu, w którym rozmawiam z Mary, używając przeraźliwie ordynarnych słów. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Piszę przez dwie godziny.

8.00 rano

Włączam radio Julesa, aby posłuchać wywiadu, jaki ma przeprowadzić z Mary John Humphrys. Gołę się przy wiadomościach i coraz bardziej się denerwuję. Zawsze odczuwam to samo. Ogarnia mnie niepokój przed emisją programu dokumentalnego, nad którym pracował William, kiedy James startuje na 800 metrów, a zwłaszcza gdy Mary musi przemówić do laików. Wywiad rozpoczyna się zaraz po wiadomościach. Mary odpowiada na wszystkie pytania Humphrysa z opanowaniem naukowca, które zwykle wywiera korzystne wrażenie na inteligentnym słuchaczu. Wyczuwam jednak już po pierwszym zdaniu, jak bardzo się denerwuje. Wypytawszy ją o Kurdów i baronesę Nicholson, Humphrys porusza temat mojej sytuacji w więzieniu. Wtedy właśnie Mary powinna powiedzieć: „Uzgodniliśmy wspólnie, że będziemy rozmawiać tylko o sprawach związanych z Kurdami”. Nie wspomina jednak ani słowem o umowie, a Humphrys zahacza o proces, apelację i wyrok. Ostrzegałem ją, że to zrobi. Ignoruje jakiegokolwiek uzgodnienia między Mary a producentem i dlatego jest tak dociekliwym dziennikarzem, co wiem z własnego doświadczenia.

9.30 rano

Dzwonię do Mary, która sądzi, że wypadła okropnie, i skarży się, że John Humphrys złamał umowę, jaką zawarła z BBC, o czym nie omieszkała mu powiedzieć tuż po zakończeniu wywiadu. Dlaczego miałby się tym przejmować? Dowiaduję się też od niej, że później przeprowadzono rozmowę z dyrektorem naczelnym Czerwonego Krzyża, sir Nicholasem Youngiem, który nieugięcie

twierdził, że z kwoty zebranej na rzecz Kurdów w Wielkiej Brytanii nie brakuje ani pensa. Zauważył także, iż nie miałem nic wspólnego ani ze zbiórką, ani z dystrybucją pieniędzy. Sugeruję, że może nadszedł już czas, by pozwać baronesę Nicholson. Mary twierdzi, że zdaniem adwokata należy się przede wszystkim zająć sprawą przywrócenia mi kategorii D i przeniesienia do więzienia otwartego, a dopiero potem myśleć o wniesieniu sprawy. Słusznie.

– Nie marnuj już więcej impulsów – mówi Mary. – Do zobaczenia jutro.

9.50 rano

Katastrofa. Zjawia się Darren z moim praniem. Wszystko czyste i pachnące, ale po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zepsuła się suszarka. Zabieram mokre rzeczy do celi, wieszam koszulki na ramie łóżka, bieliznę na uchylonych drzwiczkach szafki, a skarpety na oparciu krzesła. Na dworze świeci słońce, lecz niewiele promieni trafia do celi przez kraty w oknie.

10.00 rano

Dziś pierwszy dzień czwartego meczu z Australią, w którym Hussain znów wystąpi w roli kapitana. Powiedział, że chociaż przegraliśmy turniej Ashes (0:3), teraz stawką jest angielska duma. Piszę przez godzinę, a o jedenastej włączam telewizor, żeby zobaczyć, kto pierwszy będzie atakował. Okazuje się, że od rana pada deszcz. Nic dziwnego, przecież mecz jest rozgrywany na Headingley (Leeds). Wyłączam telewizor i wracam do pracy.

11.40 rano

Piszę już ponad godzinę, gdy otwierają się drzwi celi. Naczelnik chciałby zamienić ze mną parę słów. Idę do pokoju przesłuchań, gdzie czekają na mnie Carlton-Boyce i Tinkler.

Carlton-Boyce z nieco zakłopotaną miną próbuje wytłumaczyć, dlaczego nie mogę dostać bloków do pisania ani cienkopisów, ani *Diaries* Alana Clarka. Słabo protestuję, ale raczej pro forma. Następnie informuje mnie, że jednak nie zostaną przeniesiony do bloku C. Przemyśleli sprawę i postanowili, że trafię do części skrzydła dla więźniów z wyższym statusem, ale – w więzieniu zawsze jest jakieś ale – ponieważ cela zwalnia się dopiero 29 sierpnia, do tego czasu będę musiał zostać tam, gdzie jestem.

Dziękuję mu i pytam, czy mój współlokator Jules może zostać przeniesiony do pojedynczej celi, gdyż obawiam się, że niedługo „News of the World” zrobi z nim to samo, co ze wszystkimi więźniami, którzy ze mną mieszkali. Gazeta

napisze, że ten nieśmiały, taktowny chłopak jest baronem narkotykowym, a on nie będzie się mógł nawet bronić.

Carlton-Boyce kiwa głową. W więzieniu nie składa się obietnic, ale naczelnik pozwala sobie na niejasną sugestię:

– Mam w planach rozproszenie osadzonych w celach, bo jutro przyjmujemy ośmiu nowych więźniów.

Dziękuję mu i wychodzę, zdając sobie sprawę, że nie usłyszę bardziej jednoznacznej odpowiedzi na swą prośbę.

12.00 w południe

Lunch. Zamiast zwykłej pojedynczej porcji Dale podsuwa mi dwa niewielkie zamknięte pojemniki, mrugając porozumiewawczo. Z dzisiejszego jadłospisu wybrałem zestaw trzeci – duszone warzywa – ale po powrocie do celi odkrywam, że w drugim pojemniku jest zupa grzybowa. Delektuję się nią, a potem próbuję jarzyn. Nie jest to Le Caprice – ale i nie Belmarsh.

1.15 po południu

Dowiaduję się, że w ramach okresu przystosowawczego muszę się zgłosić do działu edukacji i poddać testowi z czytania, pisania i arytmetyki. Siadam przy stoliku w sali i zaczynam studiować formularze, lecz okazuje się, że to dokładnie ten sam test co w Belmarsh. Mam im powiedzieć, że wypełniałem te rubryczki przed dwoma tygodniami, czy po prostu napisać test jeszcze raz? Już widzę nagłówek w „Daily Mirror”: „Archer odmawia poddania się testowi z pisania”. Byłoby zabawnie, gdyby „Mirror” postąpił inaczej²². Zaczynam odpowiadać na pytania.

3.15 po południu

Gimnastyka. Dziś każdy ma ćwiczyć na wszystkich przyrządach po kolei, ale mnie udaje się zrealizować tylko połowę programu zwanego przez więźniów „parszywą dwunastką”. Młodzi radzą sobie nieźle, lecz gwiazdą okazuje się czterdziestopięcioletni, gęsto wytatuowany Cygan²³, który odsiaduje karę jedenastu lat za handel narkotykami. Ma na imię Minnie i bije wszystkich na głowę w bieganiu, skakaniu, podnoszeniu i wyciskaniu ciężarów, a pod koniec serii nawet nie jest specjalnie zdyszany. Ogarnia mnie wstyd. Mam jedynie nadzieję, że młodzi więźniowie czują się równie upokorzeni.

4.20 po południu

Udaje mi się zdążyć pod prysznic. Pod drzwiami mojej celi stoi David (przemysłowy whisky). Mówi mi, że wymyślił szkic powieści i chce wiedzieć, jak mógłby się skontaktować z jakimś autorem do wynajęcia. Zwykle jest to zawołane pytanie: „A ty nie jesteś przypadkiem wolny?”. Odpowiadam mu tak samo jak każdemu, kto pisze do mnie w podobnej sprawie (otrzymuję trzy lub cztery takie listy tygodniowo): idź do biblioteki i wypożycz „Rocznik Pisarzy i Artystów”, gdzie znajdziesz listę agentów zajmujących się pisarzami do wynajęcia. Przypuszczam, że to go uciszy na kilka dni.

4.41 po południu

David wraca, ściskając „Rocznik Pisarzy i Artystów” i pokazuje mi stronę wypełnioną nazwiskami. Rzucam okiem na listę, ale żadne z nich nie wygląda znajomo. W ciągu wielu lat pisania zetknąłem się z garstką agentów – Debbie Owen, George’em Greenfieldem, Deborah Rodgers, Jonathanem Lloydem i Edem Victorem – a na rynku musi działać jeszcze tysiąc innych, o których nigdy nie słyszałem. Proponuję Davidowi, żeby wybrał parę nazwisk, a ja zapytam o nie mojego agenta, który ma mnie jutro odwiedzić.

4.56 po południu

Znów zjawia się David z listą nazwisk spisaną na jednej kartce. Wręcza mi dietetyczną colę. Simon Heffer z „Daily Mail” z pewnością określiłby go mianem „dżentelmen jak się patrzy”.

6.00 wieczorem

Kolacja. Zapiekanka jarzynowa, dwa gotowane ziemniaki i zielony groszek sklejony w jedną bryłę – czyli zamiast *petits pois* dostaję *un seul pois*.

Włączam telewizor. Australia ma już 241 punktów przy zaledwie trzech wyeliminowanych graczech. Ponting zdobył 144 i jeszcze stoi przy linii, a razem z Waughiem zgromadzili 170 punktów. Wyłączam telewizor. Po co w ogóle go włączałem?

Po kolacji schodzę do sali wspólnej, gdzie Dale (rozmyślne okaleczenie) gra w snookera z Jimmym (transport tabletek ekstazy) o batonik Mars²⁴. Pierwszy raz jestem świadkiem, kiedy Jimmy ponosi porażkę w jakiegokolwiek grze i, co więcej, zostaje pokonany przez znacznie lepszego przeciwnika. Trochę się na tym znam, ponieważ przed wyrokiem byłem prezesem Światowego Związku Snookera. Jimmy szepcze mi na ucho:

– Dale wygrywa ze wszystkimi, ale jak każde wygłodniałe zwierzę trzeba go karmić przynajmniej dwa razy dziennie. Po kolei dajemy mu po batoniku. W ten sposób tanim kosztem udaje nam się nad nim panować.

Przypominam, że Dale ma sześć stóp, trzy cale wzrostu i waży trzysta osiemdziesiąt funtów.

Po skończonej grze wszyscy trzej wychodzimy na spaceriak i dołączamy do Darrena. Dale towarzyszy nam tylko przez jedno okrążenie, a potem wyczerpany wraca, natomiast nasza trójka spędza na dziedzińcu pełne czterdzieści pięć minut. W trakcie drugiego okrążenia wspominam o Dereku, który wykonał rysunek mojej celi (*Belmarsh*) i pytam, czy znają jakiegoś artystę w Wayland. Jimmy mówi, że w bloku C jest znakomity (tak się wyraził) artysta. Pytam, czy pozna nas ze sobą.

– Ostrzegam, że jest trochę dziwny – mówi Jimmy – i potrafi być bardzo niegrzeczny, jeżeli się do kogoś uprzedzi.

Uspokajam Jimmy'ego, że od trzydziestu pięciu lat mam do czynienia z artystami i nie spotkałem żadnego, o którym można by powiedzieć, że jest normalny. Na tym polega ich urok.

– Mam ochotę się napić – oświadcza Darren. Mimo późnej pory słońce wciąż nas praży. – Nie wiesz, czy ktoś ma pomarańczak?

– Pomarańczak? – powtarzam zdziwiony. – A cóż to takiego?

Obaj wybuchają śmiechem, co oznacza, że czeka mnie jeszcze sporo nauki.

– Na każdym bloku – tłumaczy Darren – jest człowiek do wydawania posiłków, roznosiciel herbaty i malarz. Są wyznaczani przez klawiszy i zarabiają mniej więcej dwanaście funtów tygodniowo. Każdy blok ma też swojego dilerę narkotyków, fryzjera, człowieka zajmującego się praniem i swojego piwowara. Na bloku C jest najlepszy piwowar – za kartę telefoniczną za dwa funty dostajesz pół litra pomarańczaku.

– Ale z czego się go robi?

– Zwykle w skład wchodzi drożdże, cukier, woda i sok pomarańczowy. Latem trudniej go produkować, bo rury w celi muszą być gorące, żeby wszystko sfermentowało, a więc w sierpniu ciężko o porządny pomarańczak.

– Jak to smakuje?

– Okropnie, ale przynajmniej masz pewność, że się upijesz – mówi Jimmy. – I urwiesz sobie kilka godzin z wyroku, nawet jeżeli obudzisz się potem z cholernym kacem.

– Kiedy nie możesz już wytrzymać – dorzuca Darren – w kantynie zawsze znajdziesz sok pomarańczowy.

– To pomaga?

– Postaw go na kilka dni na nasłonecznionym parapecie, a sam się przekonasz.

– Ale gdzie można ukryć pomarańczak, kiedy już się go przyrządzi?

– Mieliśmy kiedyś doskonały schowek. – Darren milknie na chwilę. – Ale niestety go znaleźli.

Czekam na wyjaśnienia, a Jimmy spogląda na mnie z uśmiechem.

– Pewnego ranka w niedzielę – ciągnie Darren – na korytarzu znaleziono piwowara numer jeden z naszego skrzydła, wyraźnie pijanego. Kiedy zmierzili mu zawartość alkoholu w organizmie, wynik grubo przekraczał normę. Wezwano oddział antynarkotykowy, który wywrócił na lewą stronę wszystkie cele w bloku, ale nie znalazł żadnego alkoholu. Schowek piwowara pozostałby na zawsze tajemnicą, gdyby nie wybuchł mały pożar w kuchni. Jeden ze strażników chwycił najbliższą gaśnicę, uruchomił i skierował na płomień, ale zobaczył, że ogień jeszcze się wzmacza. Szef kuchni, który na szczęście znał działanie etanolu, natychmiast go powstrzymał. Inaczej całe więzienie doszczętnie by się spaliło. Wszczęto szczegółowe dochodzenie i następnego dnia rano wywieziono trzech ludzi do różnych więzień kategorii B „pod zarzutem produkowania pomarańczaku”.

– Prawdę mówiąc, wcale nie warzyli pomarańczaku – dodał Darren. – Produkowali inny gatunek czystego alkoholu, filtrując środek do czyszczenia metalu przez sześć kromek chleba i zbierając w plastikowym kubku. Chcieli w ten sposób pozbyć się zanieczyszczeń.

Czuję mdłości, choć nawet nie spróbowałem tego trunku.

Jimmy zauważa, że niektórzy więźniowie są nie tylko bystrzejsi od strażników, ale co dzień mają dwadzieścia cztery godziny na obmyślanie podobnych planów, podczas gdy klawisze muszą wciąż wykonywać swoje obowiązki.

– Ale najlepszy pomarańczak, jakiego w życiu próbowałem, miał pewien tajemniczy składnik – mówi Darren.

– Jaki, jeśli wolno zapytać?

– Marmite²⁵. Kiedy jednak klawisze się połapali, jaka jest w nim zawartość drożdży, wycofali go z kantyny. Teraz musimy więc kraść drożdże z kuchni – dodaje po chwili.

– Do licha – mówię. – Lubię Marmite. Pamiętam, że był w kantynie w Belmarsh.

– Nie sądzę, że to wystarczający powód, milordzie, by przenieść pana z powrotem do Belmarsh – oświadcza Darren. – A może powinienem zamienić parę słów z naczelnikiem, skoro już wiadomo, że darzy pan to miejsce takim sentymentem.

Wymierzam mu lekkiego kopniaka, gdy mijamy funkcjonariusza zmierzającego w przeciwnym kierunku.

– Widział pan, panie Chapman? Archer się nade mną znęca.

– Zgłoszę go do raportu i przed końcem tygodnia wróci do Belmarsh –

obiecuję Chapman.

Śmiejemy się, nadal chodząc wokół dziedzińca. Dzielę się z nimi uwagą, że bardzo łatwo kogoś oskarżyć, ale dowodzenie swojej niewinności może trwać bardzo długo. Upłynął miesiąc, odkąd Emma Nicholson wystąpiła w *Newsnight*, pomawiając mnie o kradzież pieniędzy dla Kurdów, i zapewne minie jeszcze jeden, zanim policja oficjalnie potwierdzi bezzasadność zarzutów.

– Zastanów się chwilę, Jeffrey. Gdyby nie ta suka Nicholson, nigdy byś nas nie poznał, a Jimmy i ja nie tylko znacznie poszerzyliśmy twoją wiedzę o życiu więziennym, ale umożliwiliśmy ci napisanie następnej książki.

7.30 wieczorem

Jeden z funkcjonariuszy przekazuje mi wiadomość, że w biurze czeka na mnie przesyłka. Dziwię się, bo odebrałem już dzisiejszą pocztę, a listy polecone zawsze otwiera się w obecności dwóch funkcjonariuszy około jedenastej przed południem. Gdy wchodzę do dyżurki, strażnik pieczołowicie zamyka drzwi, po czym wręcza mi *Diaries* Alana Clarka, blok do pisania i karnet znaczków pocztowych. Jeszcze jedna osoba, która uważa obowiązujące przepisy za głupie.

Funkcjonariusz informuje mnie, że moja żona przed jutrzejszymi odwiedzinami będzie musiała zostać poddana rewizji.

– Wszyscy czujemy się tym zakłopotani – dodaje – ale to nie będzie nic gorszego od procedury, jakiej poddaje się pasażerów na lotnisku. Może jednak lepiej ją uprzedzić. Nawiasem mówiąc, dziennikarze ciągle kręcą się przed bramą w nadziei, że uda im się ją złapać, gdy przyjedzie.

Dziękuję mu i wychodzę.

8.00 wieczorem

Czytam kilka stron *Diaries* Clarka, które podobają mi się tak samo jak za pierwszym razem. Lubiłem także towarzystwo Alana i nigdy nie zapomnę przyjęcia, jakie wydał w Saltwood tuż przed wyborami w 1997 roku. Alan postawił swym gościom pytanie: „Jak sądzicie, ile będzie wynosiła przewaga zwycięzcy w najbliższych wyborach?”. Większość zebranych uznała, że Partia Pracy zdobędzie przewagę ponad stu mandatów²⁶. Odmienną opinię wyraził tylko Michael Howard, który był wówczas ministrem spraw wewnętrznych. Wystąpił z żarliwą obroną administracji Johna Majora, przekonując pozostałych gości, że wcale nie jest wykluczone, iż najbliższe wybory mogą wygrać konserwatyści. Alan odparł, że jeśli naprawdę w to wierzy, to chyba urwał się z choinki. Do dziś nie wiem, czy Michael chciał w ten sposób po prostu okazać lojalność premierowi. Mogę jednak ręczyć, że podobnie jak John Major należy do ludzi, którzy nie

przechodzą na drugą stronę ulicy, gdy ktoś wpadnie w tarapaty.

10.00 wieczorem

Nagle sobie uświadamiam, że jestem bardzo głodny – zjadam miskę płatków kukurydzianych i batonik Mars. Sprawdzam swoje rzeczy – wciąż mokre. Nie mam ochoty zagłębiać się w historię kolejnego słynnego procesu u Mortimera. Wydaje mi się, że nie muszę czytać o mordercach z przeszłości, skoro otacza mnie tak wielu współczesnych.

Dzień 30

Piątek, 17 sierpnia 2001

6.09 rano

Pierwszą rzeczą, jaką zauważam po przebudzeniu, jest brak mojej maszynki Gillette Mach3. Zniknęła z umywalki znajdującej się przy drzwiach. W przyszłości po goleniu będę ją musiał chować do szafki. Akurat musiało się to przytrafić w dniu, gdy spodziewam się odwiedzin Mary; chcę być ogolony, ale nie mam ochoty kaleczyć twarzy więzienną maszynką. Uświadamiam sobie przy okazji, że już miesiąc noszę mój zegarek Longines, który miałem na ręku w dniu ogłoszenia wyroku, ponieważ nie spodziewałem się trafić za kraty, i podczas dzisiejszych odwiedzin muszę go oddać synowi.

8.15 rano

Śniadanie. Przed wyjściem do kuchenki wyciągam z wczorajszej poczty list napisany po hiszpańsku. Dale mi powiedział, że jeden z więźniów wydających posiłki pochodzi z Kolumbii, mógłby więc mi go przetłumaczyć. Milczący Kolumbijczyk ma na imię Sergio; zwykle stoi ostatni za płytą do podgrzewania jedzenia i wydaje owoce. Podaję mu list, pytając, czy możemy spotkać się później. Kiwa głową i w zamian daje mi banana.

9.00 rano

Dziś w moim programie przystosowawczym czas na edukację. Spotkanie orientacyjne znów odbywa się w sali z wygodnymi krzesłami. Po raz pierwszy inni

więźniowie wykazują cień zainteresowania. Dlaczego? Gdyż mają się dowiedzieć, jak będą zarabiać swoją tygodniówkę. Kierowniczka działu edukacji ma na imię Wendy. Wygląda na pięćdziesiąt kilka lat, ma kręcone siwe włosy i jest ubrana w kwiecistą bluzkę, białą spódnicę i praktyczne buty. Jej aparycja przywodzi na myśl dyrektorkę szkoły.

Wendy ustawia na środku sali niewielki rzutnik i rozpoczyna pokaz slajdów, używając białej ceglanej ściany jako ekranu. Pierwsze przezrocze przedstawia listę pięciu kursów, jakie oferuje więźniom dział edukacji:

Umiejętności podstawowe

Nauka angielskiego jako języka obcego

Praktyczne umiejętności życiowe i społeczne

Podstawy biznesu

Sztuka, rzemiosło i projektowanie

– Zajęcia edukacyjne – informuje nas Wendy – są w niepełnym wymiarze godzin (jedna sesja dziennie), więc tygodniowo możecie zarobić tylko siedem funtów trzydzieści pięć pensów.

Więźniowie nie wykazują zbytniego zainteresowania listą na ekranie, lecz natychmiast się ożywiają, kiedy pojawia się druga. Kursy zawodowe i zajęcia integracyjne z przygotowaniem zawodowym:

Murarstwo

Instalatorstwo wodno-kanalizacyjne

Instalatorstwo elektryczne

Malowanie i tapetowanie

Spawanie

Mechanika pojazdowa

Blacharstwo

Sprzątanie przemysłowe

Obsługa komputera

Tygodniowa płaca za każdy z tych kursów wynosi także 7 funtów 35 pensów, ale w zamian można zdobyć umiejętności, które mogą się przydać po wyjściu na wolność.

Gdy na ścianie zostaje wyświetlony ostatni slajd, większość więźniów zaczyna się z przejęciem oblizywać, ponieważ są to oferty, które mogą im zapewnić nie tylko prawdziwe zarobki, ale także odpowiedzialne stanowisko i inne korzyści. Dodatkowe pieniądze gwarantują im możliwość zwiększenia cotygodniowych zamówień w kantynie (nadprogramowy tytuł), a nawet zgromadzenia pewnych oszczędności na pierwszy okres po zwolnieniu. Lista wygląda następująco:

Recykling plastiku – 10,15 funta tygodniowo

Pakowanie racji żywnościowych – 9,35 funta

Ogrodnictwo (jedno z najbardziej poszukiwanych zajęć, z długą listą oczekujących) – 9,00 funtów

Sprzątanie ogólne – 6,70 funta

Warsztaty – 8,50 funta

Kuchnia – 8,50 funta

Magazyny (bardzo popularne, lista oczekujących dłuższa od listy kandydatów do krykietowego związku MCC) – 10,00 funtów

Kaplica – 8,00 funtów

Oddział terapii odwykowej dla uzależnionych od narkotyków – 6,70 funta

Zanim Wendy zdążyła się odwrócić do słuchaczy, zostaje zasypana gradem pytań. Zwraca nam uwagę, że większość ofert cieszy się dużą popularnością, nawet praca zmywacza, a ponieważ więźniów jest znacznie więcej niż ofert, listy oczekujących są już dość długie. Wendy życzliwie odpowiada na wszystkie pytania, lecz nie daje nikomu fałszywej nadziei na zdobycie najbardziej lukratywnych zajęć.

Na koniec rozdaje nam formularze, które mamy wypełnić. Współwięźniowie łapią je, po czym zaczynają się zastanawiać nad wyborem. Stawiam krzyżyk przy „garncarstwie” w rubryce „Edukacja”, dodając, że chętnie poprowadziłbym kurs kreatywnego pisania lub uczyłbym więźniów czytania i pisania. Wendy dała nam wcześniej do zrozumienia, że dział edukacji cierpi na niedobory kadrowe. Twierdzi jednak, że musi przedstawić moją inicjatywę naczelnikowi do akceptacji, toteż skontaktuje się ze mną później. Wracam do celi.

11.00 rano

Zgłaszam się do sali gimnastycznej, aby pomóc w prowadzeniu ćwiczeń dla grupy niepełnosprawnych, która liczy około trzydziestu osób. Ja mam się zająć czwórką z nich: Aleksem, Robbiem, Lesem i Paulem. Trzech kieruje się od razu w stronę przyrządów do treningu wioślarskiego, natomiast Alex bez wahania staje na ruchomej bieżni. Zaczyna iść z prędkością jednej mili na godzinę, ale dzięki moim namowom i cierpliwości (której raczej mi brakuje) zwiększa tempo do dwóch mil na godzinę. Rzadko widzę taką radość na twarzy sportowca. Dla Aleksa to wynik na miarę olimpijskiego złota. Proponuję, aby przeszedł na stepper, i jednocześnie staram się nakłonić Paula do opuszczenia ergometru wioślarskiego i spróbowania ćwiczenia na bieżni. Zanim się wreszcie odważy na niej stanąć, muszę kilka razy zademonstrować działanie maszyny. Zaczynamy od prędkości pół mili na godzinę, a potem, używając języka migowego – machając rękami w górę i w dół – przyspieszamy do jednej mili na godzinę. Następnie próbuję mu pokazać, jak używać przycisków z plusem i minusem. Pokonawszy pół mili, opanowuje tę nową umiejętność. Podczas gdy ja uczę go obsługi maszyny, on uczy mnie

cierpliwości. Kiedy Paul przeszedł całą milę, widzę, że znakomicie radzi już sobie z bieżnią i jest wniebowzięty. Ja też czuję się nieźle.

Spoglądam na resztę więźniów – morderców, baronów narkotykowych, bandytów i złodziei, którzy czerpią z tego doświadczenia korzyści nie mniejsze niż ich podopieczni.

Na koniec zbieramy w sali całą grupę i rozpoczynamy grę będącą skrzyżowaniem krykieta z piłką nożną, zwaną piłką łapaną. Wolno toczymy po ziemi plastikową piłkę do dziecka (muszę pamiętać, że choć myślą jak dzieci, w rzeczywistości nimi nie są), które kopie ją wysoko w powietrze i zaczyna biec. Jeśli piłka zostaje złapana, zawodnik odpada i jego miejsce zajmuje nowy. Jeden z graczy, Robbie, łapie prawie wszystkie piłki: śmigające nad jego głową, toczące się po parkiecie i lecące prosto na niego. Każdemu udanemu chwytowi towarzyszą radosne okrzyki.

O wpół do dwunastej wszyscy jesteśmy wyczerpani. Grupa zostaje odprowadzona przez specjalne drzwi znajdujące się z boku sali. Chłopcy żegnają się uściskiem dłoni, a dziewczynki przytulają swego ulubionego opiekuna. Najwięcej dowodów sympatii zdobywa Carl, przystojny Antyleczyk (dzieci nie zwracają uwagi na kolor skóry, tylko na życzliwość). Nasi goście przed wyjściem pytają więźnia, jak długo tu jeszcze zostanie. Domyślam się, że właśnie dlatego wybiera się do tych zajęć więźniów skazanych na dłuższe wyroki²⁷. Zuchwale próbuję uciec z grupą, która wybucha gromkim śmiechem, pokazując mnie sobie palcami. Dopiero gdy dochodzimy do czekającego autobusu, Maiden woła mnie z powrotem.

12.00 w południe

Lunch. Nie pamiętam, co jadłem, gdyż siedzę z nosem w dzisiejszych gazetach. Wszystkie bez wyjątku zamieszczają entuzjastyczne recenzje wywiadu udzielonego przez Mary – dziesiątki linijek pochwał za styl, w jakim poradziła sobie z Johnem Humphrysem.

W prawie każdym tytule odnajduję wzmiankę o słowach, które tuż przed śmiercią wypowiedział lord Longford: „Uwolnić Archera”. Nie znałem zbyt dobrze Franka Longforda, ale bardzo podobała mi się odpowiedź jego żony na pytanie zadane jej przez Roya Plomleya w programie *Desert Island Discs*.

Plomley: Lady Longford, czy kiedykolwiek rozważała pani możliwość rozwodu?

Lady Longford: Nie, nigdy. Owszem, kilka razy zastanawiałam się nad morderstwem, ale nad rozwodem – nigdy.

Odnoszę wrażenie, że Mary udzieliłaby bardzo podobnej odpowiedzi.

2.00 po południu

Oglądam Australijczyków schodzących z boiska – wyeliminowanych z dorobkiem 447 punktów – gdy otwierają się drzwi i słyszę, że mam się zgłosić w sali odwiedzin. Wyłączam telewizor i wychodzę na korytarz. Wszystko odbywa się zupełnie inaczej niż w Belmarsh. Muszę zapytać o drogę.

– Proszę iść w kierunku sali gimnastycznej – mówi Chapman. – Ale na końcu korytarza niech pan skręci w prawo.

Gdy zjawiam się na miejscu, dwaj dyżurni funkcjonariusze nie rewidują mnie i nie wykazują żadnego zainteresowania moim zegarkiem ukrytym pod rękawem koszuli. Podczas odwiedzin wszyscy więźniowie muszą być ubrani w niebieskie koszule w paski i niebieskie dżinsy.

Sala odwiedzin jest podobnej wielkości jak sala gimnastyczna i znajduje się w niej siedemdziesiąt okrągłych stolików, a przy każdym stoją cztery krzesła – jedno czerwone i trzy niebieskie. Czerwone krzesło jest przyśrubowane do stolika, by więzień siedział w pewnej odległości od odwiedzających go osób, co ma zapobiec przekazywaniu kontrabandy. Skazaniec siada na czerwonym krzeselku zwrócony plecami do strażników. Pośrodku każdego stolika jest tabliczka z numerem. Mnie przypada czternastka. Na końcu sali znajduje się sklepik ze słodyczami, w którym goście mogą kupić napoje bezalkoholowe, czekoladę i chrupki. Więźniem, któremu powierzono opiekę nad gotówką w sklepiku, jest Steve (współdziałł w planowaniu morderstwa, bibliotekarz, księgowy) – być może niedoszły morderca, lecz na pewno nie złodziej. Gdy wszyscy więźniowie zajmują czerwone krzeselka, wpuszcza się odwiedzających.

Przyglądam się wchodzącym żonom, dziewczynom, partnerkom i dzieciom innych więźniów, próbując odgadnąć, przy którym stoliku usiądą. Mylę się prawie za każdym razem. Mary wchodzi chyba piąta. Jest ubrana w długą, białą sukienkę, podkreślającą wspaniałą ciemną fryzurę. Will podąża krok za nią, a za nim idzie mój agent i serdeczny przyjaciel, Jonathan Lloyd. Razem z Willem siadają niedaleko drzwi, aby dać Mary i mnie chwilę intymności.

Mary przynosi mi najnowsze wieści o tym, co się dzieje w Czerwonym Krzyżu. Dyrektor naczelny, sir Nicholas Young, bez chwili wahania udzielił mi zdecydowanego poparcia. Mary jest niemal pewna, że dzięki jego niewzruszonej postawie niedługo powinienem zostać przeniesiony do więzienia otwartego. Jest również przekonana, że Służba Więzienna i policja znalazły się w kłopotliwym położeniu i będą się usprawiedliwiać, że nie miały innego wyjścia i musiały rozpatrzyć oskarżenia Emmy Nicholson. Być może Czerwony Krzyż rozważy nawet podjęcie kroków prawnych przeciw niej. Adwokaci radzą, że jeżeli to nastąpi, powinniśmy pozostać z boku. Zgadzam się z ich opinią. Mary daje znak Willowi, który podchodzi do naszego stolika.

Will mówi, że ma wszystko pod kontrolą i choć przeżywam ciężkie chwile, codziennie oboje pracują na rzecz mojego przeniesienia. Wyznaję, że czasem w środku nocy zastanawiam się, czy ktoś jeszcze jest za murami. Zdaję sobie jednak sprawę, że jeśli chodzi o wsparcie, żaden z więźniów nie może liczyć na swoją rodzinę bardziej niż ja. Will kończy raport z bieżących spraw i wreszcie podchodzi do nas Jonathan, tymczasem Will idzie kupić sześć puszek dietetycznej coli i butelkę wody Highland Spring (trzy coli są dla mnie).

Jonathan przyjechał do Wayland, aby omówić moją najnowszą powieść. Chce także poznać najświeższe wiadomości o dziennikach. Mogę mu już powiedzieć, że tom o Belmarsh został ukończony (70 000 słów), choć jeszcze raz muszę przeczytać całość, ale mam nadzieję, że znajdzie się na jego biurku najpóźniej za dwa tygodnie.

Omawiamy sprawę odrębnej sprzedaży praw do druku gazecie oraz przyznania mojemu wydawcy prawa do 10-procentowego dodatku²⁸ na wszystkie trzy tomy, który należy mu się za życzliwość, jakiej doświadczyłem od firmy w przeszłości. Zgadza się jednak wszyscy, że nie będziemy podejmować żadnych działań, dopóki nie poznamy wyniku apelacji dotyczącego orzeczenia o winie, a także wyroku.

Jonathan uznaje, że jego rola jest zakończona, i ponownie się wycofuje, żebym mógł spędzić ostatnie pół godziny z Mary i Willem. Gdy zostajemy sami, podsumowujemy listę rzeczy, które należy zrobić przed naszym kolejnym spotkaniem za dwa tygodnie. Przynajmniej nie brakuje mi już kart telefonicznych, będę więc mógł regularnie kontaktować się z rodziną.

Zbliża się Steve, aby uprzątnąć stół – po raz pierwszy Mary spotyka kogoś skazanego za współudział w planowaniu morderstwa. Ten wysoki, elegancki mężczyzna „bardziej przypomina sekretarza jakiejś firmy niż niedosłego mordercę”, jak brzmi jej komentarz.

– Prawdopodobnie raz na tydzień mijasz jakiegoś mordercę na ulicy – zauważam.

– Proszę kończyć odwiedziny – rozlega się głos za moimi plecami.

Odpinam pasek mojego longines’a, by wymienić zegarek na swatcha za dwadzieścia dolarów, którego pod wpływem chwilowego impulsu kupiłem na lotnisku w Waszyngtonie. Will jest zwrócony twarzą do dwóch funkcjonariuszy siedzących na niewielkim podwyższeniu za mną. Kiwa głową i obaj zakładamy swoje nowe zegarki.

– Koniec odwiedzin – powtarza uprzejmie, lecz stanowczo funkcjonariusz.

Zaczynamy się żegnać. Mary wychodzi jako jedna z ostatnich.

Kiedy opuszczam salę, funkcjonariusz prosi mnie o zdjęcie butów, które ogląda bardzo uważnie, lecz nie żąda, żebym zdejmował skarpety lub cokolwiek innego. Nie wykazuje żadnego zainteresowania moim zegarkiem i po chwili

ruchem głowy daje znak, że mogę iść.

4.17 po południu

W celi na moim łóżku leżą produkty zamówione w kantynie. Ubrania nareszcie wyschły – hura! Zaczynam rozpakowywać prowiant, a zaraz potem zjawia się Dale z dodatkowymi zapasami.

6.00 wieczorem

Kolacja. Fasolka i frytki plus duży kubek wody Volvic.

7.00 wieczorem

Spacer. Do Jimmy'ego, Darrena i mnie dołącza Dale i towarzyszy nam dzielnie przez wszystkie trzy okrążenia dziedzińca. W trakcie ostatniego zauważa malarza, o którym wczoraj wspominał. W rozmowie ze mną. Artysta siedzi w przeciwległym kącie i rysuje postać więźnia, który stoi oparty o ogrodzenie w pozie – jak sądzi – modela. Podchodzimy przyjrzeć się pracy rysownika. Dzieło jest wspaniałe, ale jego autor natychmiast oświadcza, że nie jest z niego zadowolony. Nie znam artysty, który powiedziałby co innego. Ponieważ jest bardzo zajęty, umawiamy się na spotkanie jutro o tej samej porze.

Wracając do skrzydła, natykam się na Sergia (kuchenka, Kolumbijczyk), który pyta, czy mógłbym wstąpić do jego celi w korytarzu dla więźniów o wyższym statusie. Był tak miły, że przetłumaczył list od hiszpańskiego studenta; wynika z niego, że młodzieniec skończył właśnie studia i chciałby zacząć doktorat, ale potrzebuje w tym celu pożyczki. Dziękuję Sergiowi i dopisuję parę słów u dołu listu, żeby Alison mogła odpowiedzieć Hiszpanowi.

– Wracać do cel – słyszę z korytarza.

Zbieram się do wyjścia, lecz Sergio pyta:

– Możemy później jeszcze porozmawiać? Chciałbym omówić pewną sprawę.

Potakuję, zastanawiając się, czego ten małomówny Kolumbijczyk może ode mnie chcieć.

Dzień 31

Sobota, 18 sierpnia 2001

6.21 rano

Miałem niespokojną noc. Wczoraj po południu przyjęto grupę młodych więźniów i wkrótce się okazało, że kilku z nich to pyskacze okienni. Prawie całą noc ogłaszali wszem wobec, co by chętnie zrobili pani Webb, młodej funkcjonariuszce, która miała nocną służbę. Webb jest uroczą kobietą, skończyła uniwersytet i czeka ją szybki awans. Wiem od Darrena, że ilekroć zjawiają się nowi więźniowie, przez pierwszą dobę próbują ustalić „porządek dziobania”. Nocą w Wayland panują tak samo barbarzyńskie porządki jak w Belmarsh, a funkcjonariuszom wyraźnie nie zależy na poskromieniu awanturników. Zresztą pani naczelnik mocno śpi.

W Belmarsh przeniesiono mnie do pojedynczej celi po czterech dniach. W Wayland już od jedenastu dni tkwię pośród mężczyzn, którzy co drugie słowo mówią „kurwa”, oskarżonych o morderstwa, gwałty, ciężkie uszkodzenie ciała i handel narkotykami. Chcę wyraźnie zaznaczyć, że nie jest to wina funkcjonariuszy Służby Więziennej, ale wyższej kadry. Niektórzy skazańcy spędzili w Wayland dużo czasu, a nigdy nie widzieli się z panią naczelnik. Wydaje mi się nawet, że nie wszystkim funkcjonariuszom było dane ją poznać. Moim zdaniem nie na tym polega władza.

Jeden z przyjętych wczoraj więźniów, przekonany zapewne, że to świetny dowcip, zatrzasnął drzwi mojej celi, które chwilę wcześniej otworzył oddziałowy, żebym mógł zejść na śniadanie. Potem żartowniś zaczął biegać po korytarzu, wykrzykując: „Zamknąłem Jeffreya Archera, zamknąłem Jeffreya Archera!”. Na szczęście niewielu jest podobnych idiotów, ale potrafią uprzykrzyć życie.

8.15 rano

Śniadanie. Rzuciwszy okiem na suchą, zbryloną jajecznicę i pływającego w wodzie pomidora, wychodzę. Przedtem Sergio proponuje, żebyśmy spotkali się w jego celi o 10.30. Wyrażam zgodę skinieniem głowy.

9.00 rano

Sobota to okropny dzień w więzieniu. Człowiek ciągle się zastanawia, jak spędziłby weekend z rodziną. Ponieważ jednak jesteśmy „otwarcii” w ciągu dnia, a „plombują” nas wczesnym wieczorem, pod drzwiami mojej celi cały czas stoi kolejka: więźniowie chcą, żeby napisać im listy, odpowiedzieć na ich pytania albo przychodzą wyżebrać znaczki bądź karty telefoniczne. Przynajmniej żaden nie prosi mnie o tytoń. Tak więc w sobotę mogę wygospodarować dwie godziny na pisanie tylko między szóstą a ósmą rano i szóstą a ósmą wieczorem.

10.00 rano

Dzwonię do galerii Chrisa Beetlesa. Dziś jest otwarcie dorocznej wystawy kotów, dlatego nie zajmuję mu dużo czasu i obiecuję, że zadzwonię w poniedziałek.

W drodze powrotnej do celi mijam na korytarzu Darrena i przystaję, aby spytać go o Sergia, który mieszka trzy cele dalej.

– To prawdziwy dżentelmen – mówi Darren. – Trzyma się z dala od innych. Właściwie wiem o nim niewiele więcej niż rok temu, kiedy trafił do Wayland. Jest Kolumbijczykiem, ale należy do tej garstki więźniów, którzy nigdy nie tknęli narkotyków. Nawet nie pali. Polubisz go.

10.30 rano

W chwili gdy wchodzę do celi Sergia, gospodarz spogląda na zegarek, jak gdyby się spodziewał, że będę punktualny. Jeżeli teoria Archera jest słuszna – czyli jeśli można dowiedzieć się wszystkiego o więźniu, oglądając jego celę – to Sergio jest porządnym i schludnym człowiekiem, który lubi mieć wszystko na swoim miejscu. Prosi, abym zajął krzesło, a sam siada na łóżku. Mówi dobrze po angielsku, choć niezbyt płynnie, i szybko się orientuję, że nie ma pojęcia, kim jestem, co znacznie ułatwia nam rozmowę.

Kiedy mówię, że jestem pisarzem, Sergio wygląda na zaniepokojonego. Obiecuję przysłać mu którąś z moich książek w przekładzie hiszpańskim. Zanim się decyduje opowiedzieć mi cokolwiek o sobie, mija godzina. Zaznacza, jak gdyby mówił to wszystkim, że Kolumbijczycy dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy mają związki z narkotykami, i tych, którzy trzymają się od nich z daleka. Sergio wraz z rodziną należy do drugiej grupy i wyraźnie cieszy go wiadomość, że do narkotyków żywie awersję graniczącą z obsesją.

Jego rodzina nie ma pojęcia, że Sergio jest w więzieniu²⁹. Cotygodniowy telefon do Bogoty pochłania prawie wszystkie jego dochody. Sergio jest rozwiedziony, nie ma dzieci, toteż jedynymi bliskimi, których musi oszukiwać, są jego rodzice, brat i siostra. Wierzą święcie, że ma odpowiedzialne stanowisko w londyńskiej firmie importowo-eksportowej. Ma wrócić do Bogoty za pięć tygodni. Nie musi kupować biletu lotniczego, gdyż zostanie deportowany. Gdyby kiedykolwiek postanowił odwiedzić Wielką Brytanię, zostałby natychmiast aresztowany i osadzony z powrotem w więzieniu, gdzie musiałby odsiedzieć drugą połowę ośmioletniego wyroku. Mówi, że nie zamierza tu wracać.

W rozmowie przeskakujemy z tematu na temat, poszukując wspólnych zainteresowań. Sergio doskonale zna się na szmaragdach, kawie i bananach,

o których ja nie wiem prawie nic – poza tym, że potrafię powiedzieć, jakiego są koloru. Wtedy zauważam zdjęcie przedstawiające Sergia oraz – jak mi mówi – jego matkę i siostrę. Z uśmiechem biorę od niego fotografię, którą zdejmuję z półki, abym mógł się lepiej przyjrzeć.

– Czy to Botero? – pytam, patrząc spod przymrużonych powiek na obraz widoczny za plecami jego matki.

Nie potrafi ukryć zaskoczenia, że słyszałem o maestrze.

– Tak – mówi. – Moja matka dobrze zna Botera.

Omam nie podskakuję z wrażenia. Od dawna marzyłem o tym, by wzbogacić moją kolekcję obrazów w Londynie lub kolekcję rzeźb w Grantchester o dzieło Botera. Dwa lata temu pojechalismy nawet z Chrisem Beetlesem do Kalabrii, gdzie mistrz ma swoją odlewnię. Okazuje się, że Sergio wie bardzo dużo na temat sztuki latynoamerykańskiej i wymienia nazwiska kilku innych artystów: Manzù, Rivery i Betancourta. Botera poznał osobiście, natomiast jego rodzina przyjaźni się z Manzù. Wyznaję, że bardzo chciałbym zdobyć dzieło któregoś z nich, ale przekracza to moje możliwości finansowe – dotyczy to zwłaszcza Botera, którego uważa się za Picassa Ameryki Południowej. Francuzi cenią go do tego stopnia, że kiedyś zorganizowali wystawę jego rzeźb przy Champs-Élysées; po raz pierwszy taki zaszczyt spotkał obcokrajowca.

– Być może uda mi się znaleźć jego pracę w cenie, która powinna ci odpowiadać.

– Jak to możliwe? – pytam.

Sergio zaczyna mi szczegółowo wyjaśniać specyficzny stosunek do życia, który nazywa „mentalnością kolumbijską”.

– Przede wszystkim musisz wiedzieć, że moi rodacy uznają tylko płatność żywą gotówką. Nie ufają bankom i nie wierzą w czeki, dlatego regularnie popadają z wielkiego bogactwa w skrajne ubóstwo. Kiedy mają za co, kupują wszystko, co im wpadnie w oko: biżuterię, jachty, samochody, domy, obrazy, kobiety; kiedy popadają w kłopoty, wszystko sprzedają, a kobiety od nich odchodzą. Ale Kolumbijczycy nie boją się sprzedawać – ciągnie – bo zawsze wierzą, że znowu będą bogaci... że jutro wszystko odkupią i nawet odzyskają kobiety. Znam pewnego kupca w Bogocie, który kupił Botera za milion dolarów, a pięć lat później sprzedał za dwieście tysięcy w gotówce. Jeżeli dasz mi trochę czasu, załatwię Botera za rozsądną cenę. – Po chwili dodaje: – Ale chciałbym coś w zamian.

Zaraz się przekonam, czy Sergio jest „prawdziwym dżentelmenem”, jak uważa Darren, czy zwykłym oszustem.

– Mam kłopot – ciągnie. – Jestem tu od czterech lat, a po odsiedzeniu połowy wyroku zostanę deportowany. – Słuchając go, próbuję notować. – Wsiądę do samolotu z pustymi rękami. Nie będę miał żadnych prezentów dla moich trzech siostrzeńców i siostrzenicy. – Nie przerywam mu. – Mógłbyś dla mnie zdobyć trzy

koszulki Manchester United dla siostrzeńców – chłopcy mają siedem, dziesięć i jedenaście lat – i strój Króla Lwa dla mojej ośmioletniej siostrzenicy?

– Coś jeszcze? – pytam.

– Owszem, potrzebuję walizki, bo mam tylko więzienną torbę foliową... – waha się przez chwilę – ...potrzebuję też kart telefonicznych za dwadzieścia funtów, żebym mógł zadzwonić do Bogoty bez obaw, że nagle mnie rozłączą.

– To wszystko?

Znowu się waha.

– Chciałbym jeszcze dostać sto funtów na moje więzienne konto, żebym mógł kupić na lotnisku parę rzeczy dla rodziny. Nie chcę, żeby się zastanawiali, dlaczego nie mam dla nich żadnych prezentów.

Rozmyślałam nad jego prośbami. Rzykując inwestycję w wysokości około dwustu funtów, mam szansę zdobyć za okazijną cenę dzieło Botera. Kiwam głową na znak, że przyjmuję warunki.

– Jeżeli to dla mnie zrobisz – dodaje Sergio – powiem ci coś jeszcze. Właściwie w ciągu godziny powiedziałem ci już więcej niż jakimukolwiek innemu więźniowi w ciągu czterech lat. – Następnie zapisuje nazwisko i adres swojej znajomej w Londynie i mówi: – Przekaż jej walizkę, koszulki i sto funtów, a ona przyśle wszystko do Wayland. W ten sposób nie będziesz musiał ujawniać swojego nazwiska.

11.44 rano

Dzwonię do znajomego, który pracował kiedyś w firmie produkującej koszulki, i przekazuję zamówienie na koszulki Manchester United i strój Króla Lwa. Wydaje się zaintrygowany, lecz nie zadaje żadnych pytań. Potem telefonuję do swojego kierowcy i polecam mu przewiezienie tych rzeczy oraz 100 funtów w gotówce do mieszkania w północnym Londynie.

– Załatwione – mówi.

11.51 rano

Wpadam do celi Dale'a po drugiej stronie korytarza i informuję go, że potrzebuję dziesięć kart telefonicznych po dwa funty.

– Tak po prostu, milordzie?

– Tak po prostu – odpowiadam. – Dopisz mi do rachunku, pieniądze prześlę ci potem.

Dale otwiera szufladę, wyjmuje karty i mi podaje.

– Oskubałeś mnie z całych zapasów – mówi.

– Wobec tego bierz się do pracy, bo mam przeczucie, że w przyszłym

tygodniu będę potrzebował jeszcze więcej.

– Po co? Dzwonisz do Stanów?

– Blisko, ale nie ten kontynent.

Wychodzę od Dale'a i wracam do celi Sergia. Wręczam mu dziesięć kart, dodając, że jutro jego znajoma otrzyma wszystkie rzeczy, o które prosił. Jego mina wyraża autentyczne zdumienie.

– Co za szczęście, że trafiłeś tu właśnie wtedy, gdy ja mam opuścić więzienie.

Przyznaję, że mam na ten temat zupełnie inne zdanie, i przypominam mu o umowie.

– Botero za przystępną cenę w ciągu roku – potwierdza. – Będziesz go miał przed Bożym Narodzeniem.

Zmierzając do swojej celi, uświadamiam sobie, jak bardzo brakuje mi prowadzenia interesów, wszystko jedno, czy wartych 200 funtów czy 2 miliony. Widziałem kiedyś, jak Jimmy Goldsmith targował się z ulicznym handlarzem w Meksyku o planszę do tryktraka. Trwało to całe czterdzieści minut, w ciągu których Jimmy zbił cenę najwyżej o dziesięć funtów, lecz po prostu nie umiał się powstrzymać.

12.00 w południe

Lunch. Pochłaniam talerz szynki Princes (49 pensów) z więzienną fasolką, przyglądając się, jak reprezentacji Anglii udaje się uniknąć dodatkowej rundy³⁰.

2.00 po południu

Idę do biblioteki – zamknięta, kieruję się więc do sali gimnastycznej – dzisiejsze ćwiczenia odwołane. Muszę się zatem zadowolić czterdziestopięciominutowym marszem wokół spacerniaka.

3.00 po południu

Gdy wychodzę na dziedziniec w towarzystwie Darrena i Jimmy'ego, czeka tam na mnie człowiek, który wczoraj szkicował portret. Rysownik ma na imię Shaun, ale mówi, że większość więźniów mówi mu „Szkic”. Wyjaśniam, że chciałbym, aby sporządził dla mnie portrety Dale'a (rozmyślnie okaleczenie), Darrena (tylko marihuana), Jimmy'ego (kurier ecstasy), Steve'a (współdziałal w planowaniu morderstwa) i Julesa (handel narkotykami), które chcę zamieścić w dzienniku; miałyby to być coś w rodzaju montażu. Wydaje się przejęty zamówieniem, ale uprzedza, że będzie się musiał spieszyć, ponieważ wychodzi za

trzy tygodnie.

– Mogę mieć nadzieję na kolorowe ilustracje? – pytam.

– Chodź ze mną – odpowiada krótko.

Ruszamy we dwójkę przez nierówno skoszony trawnik zasypany śmieciami i resztkami jedzenia pod okno celi na parterze bloku C. Przez kraty dostrzegam obrazy, którymi obwieszona jest prawie cała ściana. Dwa leżą na łóżku. Nie mam wątpliwości, że znalazłem właściwego człowieka.

– Może chciałbyś obraz więzienia? – proponuje.

– Owszem – mówię. – Szczególnie jeżeli malowałeś widok ze swojego okna.

Z mojej celi dwa bloki dalej widzę prawie to samo. – (Patrz strony z rycinami).

Następnie pytam go, w jaki sposób chciałby otrzymać zapłatę. Shaun uważa, że ze względu na to, iż niebawem wychodzi na wolność, łatwiej będzie wysłać czek na jego adres domowy, aby jego dziewczyna mogła go od razu zrealizować. Dodaje, że zastanowi się nad ceną i poinformuje mnie o niej jutro podczas spaceru. Nie wolno mi odwiedzić go w celi, gdyż jest w innym bloku, możemy więc jedynie porozmawiać przez okratowane okno³¹.

5.00 po południu

Kolacja. Smażone warzywa i kubek wody Volvic.

Wynegocjowałem dziś dwie umowy kupna dzieł sztuki, czuję się więc trochę lepiej. Ponieważ biblioteka będzie otwarta dopiero jutro, a *Grę szklanych paciorków* już skończyłem, nie mam nic do czytania. Spędzam resztę wieczoru, pisząc o Sergiu.

Dzień 32

Niedziela, 19 sierpnia 2001

5.59 rano

Pierwsza spokojna noc od paru tygodni. Wczoraj odwiedziłem trzech więźniów, u których zawsze głośno gra sprzęt stereo, oraz dwóch innych, którzy przez całą noc na siebie wrzeszczą. Zrobiłem to dopiero na prośbę kilku innych więźniów z korytarza. Spotkały mnie dwie niespodzianki: po pierwsze, nikt nie miał mi ochoty towarzyszyć – wszyscy za to chętnie pokazali mi cele zajmowane przez niesfornych więźniów. Drugie zaskoczenie polegało na tym, że wszyscy winowajcy jak jeden mąż zareagowali na moje uprzejme uwagi przychylnie,

mówiąc albo: „To nie ja, szefie”, albo: „Przepraszam, Jeff, zaraz ściszę”, a w jednym wypadku: „Będę wyłączał o dziewiątej, Jeff”. Ciekawe.

8.15 rano

Śniadanie. Jakiś więzień w kolejce pyta mnie, czy przenoszę się dziś do innej celi.

– Nie – odpowiadam. – Dlaczego tak sądzisz?

– Sprzed celi zniknęła karta z twoim nazwiskiem, a to zawsze pierwszy znak, że kogoś przenoszą.

Śmieję się i wyjaśniam:

– Codziennie ktoś ją zdejmuje – może to jakiś talizman świadczący o moim istnieniu. Karta znika, tylko ja tkwię w tym samym miejscu.

Gdy przychodzi moja kolej, Dale ruchem głowy daje mi znak, że chce ze mną porozmawiać; Sergio wysyła mi podobny sygnał. Opuszczam kuchenkę z pustymi rękami, jeśli nie liczyć jednej grzanki i dwóch umówionych spotkań. Wracam do celi i posilam się płatkami z mlekiem z własnych zapasów.

9.15 rano

Gimnastyka. Bieżnia znowu nie działa, zaczynam więc od treningu wioślarskiego i udaje mi się pokonać 1956 metrów w ciągu dziesięciu minut. Osiągnąłbym lepszy wynik, gdybym nie zaczął gawędzić z więźniem ćwiczącym na przyrządzie obok. Ma wytatuowany na plecach szeroki napis BESTIA, ale ilekroć mijam go w korytarzu, sprawia na mnie wrażenie łagodnego i sympatycznego człowieka. Pytam go, jak naprawdę ma na imię.

– Martin – szepcze. – Ale tylko matka tak do mnie mówi. Wszyscy inni nazywają mnie Bestią.

Rozmowa ze mną nie przeszkadza mu uzyskać 2470 metrów w ciągu dziesięciu minut.

Bestia mówi, że w styczniu, kiedy zjawił się w Wayland, ważył siedemnaście i pół kamienia. Jest taksówkarzem z Esseksu i przyznaje, że łatwo przytyć, gdy siedzi się za kółkiem. Dziś wskazówka wagi pokazuje mu nie więcej niż trzynaście kamieni i pięć funtów, a jego dziewczyna musi go odwiedzać regularnie co dwa tygodnie, aby mieć pewność, że go pozna, kiedy Bestia wyjdzie na wolność. Został skazany na trzy lata za roznoszenie marihuany w klubach w Ilford.

Mniej więcej jedna trzecia mężczyzn w tym więzieniu została skazana za różne przestępstwa mające związek z kanabinolami i większość twierdzi – powtarzam, twierdzi – że nigdy nie zajęliby się handlem twardymi narkotykami.

Darren idzie nawet o krok dalej, dodając gniewnie, że każdemu szczerze by to odradzał. Gdyby marihuana i haszysz zostały zalegalizowane – a mimo wielokrotnie powtarzanych argumentów za, nadal nie jestem przekonany, że to powinno nastąpić – ich cena spadłaby o blisko 70 procent, państwo ogromnie zyskałoby na podatkach i z dnia na dzień zmniejszyłaby się liczba osób osadzonych w więzieniach.

Wielu młodych więźniów narzeka: „Towar palą tacy ludzie jak ty, Jeff. Za dziesięć lat nikt nie będzie tego uważał za przestępstwo”.

Jimmy przyznaje, że nie potrafił zaspokoić popytu i nigdy nie musiał nikogo nakłaniać do kupna. Darren dodaje, że chociaż on i Jimmy działali w tej samej części Ipswich, spotkali się dopiero w więzieniu, co wyraźnie świadczy o rozmiarach narkotykowego rynku.

Przypominam, że wciąż jestem w sali gimnastycznej. Bestia porzuca moje towarzystwo, dołączając do Darrena i Jimmy’ego, którzy zmagają się z ciężarami na ławeczce, i udaje mu się dziesięć razy wycisnąć 250 funtów. Ja także łapię za ciężary i gymnastykuję ramiona, dziesięciokrotnie przyciągając do piersi 50 funtów. Następnie siadam na rowerze i biję rekord świata, pokonując trzy mile w dwanaście minut i pięćdziesiąt cztery sekundy. Szkoda tylko, że to rekord świata w biegu.

Maiden, główny instruktor sportowy, aplikuje mi ćwiczenie z piłką lekarską, którą ostatni raz miałem w rękach w czasach szkolnych. Kładę duży skórzany przedmiot za głowę, unoszę ramiona jak przy zwykłym skłonie w pozycji leżącej i podaję mu piłkę. Maiden rzuca ją z powrotem nad moją głowę. Wydaje mi się, że to bardzo proste, ale po piątej próbie jestem zupełnie wyczerpany, a Maiden na widok mojej męki nie potrafi ukryć rozbawienia. Doskonale wie, że nie wykonywałem tego ćwiczenia od więcej niż czterdziestu lat, i domyśla się, czym to się może skończyć.

– Zanim pan stąd wyjdzie, będzie pan potrafił zrobić trzy serie po piętnaście razy z minutową przerwą – obiecuje.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiadam, nie wyjaśniając, co właściwie mam na myśli.

Potem poświęcam piętnaście minut na ćwiczenia rozciągające i rozluźniające, co z pewnością zaleciłaby moja londyńska trenerka (Karen). Po zakończeniu gimnastyki pierwszy wypadam z sali, ponieważ muszę szybko wziąć prysznic, jeśli chcę zdążyć do biblioteki przed jej zamknięciem.

10.21 rano

Biegnę do celi, rozbieram się, biorę prysznic, przebieram się, biegnę do biblioteki. Ciągłe się pocę, lecz nic nie mogę na to poradzić. Za biurkiem siedzi Steve (współdziałł w planowaniu morderstwa), szef biblioteki. Jest starszym

Powiernikiem, dlatego wolno mu nosić własne ubranie, przez co często biorą go za członka więziennego personelu. Oddaję *Famous Trials* i wypożyczam *21 opowiadań* Grahama Greene'a.

10.30 rano

Po wyjściu z biblioteki zmierzam korytarzem prosto do kaplicy. W tym tygodniu zgromadziło się w niej aż trzydziestu wiernych. Sądząc po strojach, większość stanowią mieszkańcy pobliskiej wsi. Siedzący obok mnie czarnoskóry więzień, który uczestniczył we mszy przed tygodniem, informuje mnie, że to najwyższa frekwencja, jaką widział. Dziś nabożeństwu przewodniczy pastor metodystów, wielebna Mary, której towarzyszy pastor anglikański Val. Mary wygłasza kazanie na bardzo aktualny temat. Mówi o lekkoatletycznych mistrzostwach świata i swoich uczuciach wobec zawodników, którzy nie osiągnęli celu, jaki sobie wyznaczyli, ale – dodaje – wielu z nich otrzyma jeszcze szansę. Przez cztery kolejne niedziele uczestniczyłem w czterech nabożeństwach i duchowny zawsze starał się dopasować naukę do treści, które w jego przekonaniu mają zainteresować więźniów, żaden nie traktował nas jak normalnych ludzkich istot. Ludzie, którzy nie byli za kratami, dzielą się na dwie kategorie. Większość traktuje więźniów jak zbiegłych skazańców, natomiast mniejszość traktuje ich jak gości w swoim salonie.

Po błogosławieństwie wraz z miejscowymi gromadzimy się w sieni kaplicy, gdzie częstują nas kawą i ciastkami. Nie będę opisywać gości, którzy niewiele się różnią od typowych parafian chodzących w całym kraju co niedzielę do kościoła. Większość jest dwa razy starsza od więźniów. O dwunastej wracamy do cel. Nie ma rewizji ani eskorty.

12.00 w południe

Lunch. Nie miałem jeszcze okazji porozmawiać z Dale'em ani Sergiem, umawiam się więc z Dale'em na drugą, a z Sergiem na trzecią. Opuszczam kuchenkę z talerzem makaronu suto okraszonego serem.

Czekając w długiej kolejce, słucham opowiadania Darrena o czasach, kiedy w podawanym w więzieniu makaronie były jedynie śladowe ilości sera. Nikt nie zwrócił na to szczególnej uwagi, dopóki nie wyszło na jaw, że przydział sera maleje z tygodnia na tydzień. Mimo to nikt nic nie zrobił w tej sprawie. Dopiero gdy ser praktycznie zniknął z talerzy, zainteresował się tym dyżurny funkcjonariusz. Najpierw odkrył, że przez cztery ubiegłe soboty i niedziele w kuchni pracował ten sam kucharz, dlatego w następny weekend miał podejrzanego więźnia na oku. Zauważył, że w sobotę wieczorem więzień wrócił do

celi z kawałem sera wielkości poduszki (5 kilogramów). Ponieważ tego samego wieczoru stwierdzono, że brakuje trzech bochenków chleba, funkcjonariusz postanowił zgłosić całą sprawę naczelnikowi. W następną sobotę oddział funkcjonariuszy dokonał nalotu na celę podejrzanego. Odkryli, że prowadził świetnie prosperujący interes, produkując grzanki z serem, które rozprowadzał po celach przez kraty niewielkiego okienka.

- To były diablo dobre grzanki – dodaje Jimmy, oblizując wargi.
- Jak je piekał? – dziwię się.
- W każdym skrzydle jest wspólne żelazko, które co sobota wieczorem trafiało do celi Maria – wyjaśnia Darren.
- Ile sobie liczył za grzanki?
- Jedną kartę telefoniczną za zapas na dwa wieczory.
- Jak go ukarali?
- Skonfiskowali żelazko i zdegradowali Maria, robiąc z niego pomywacza.

Przedłużyli mu też wyrok o dwadzieścia jeden dni. Ale po dwóch miesiącach przywrócili go na stanowisko kucharza, bo wielu więźniów zaczęło się skarżyć na jakość jedzenia w weekendy. Tak więc wrócił do kuchni, a po pół roku zapomnieli o dodatkowych trzech tygodniach wyroku.

- Za co Mario siedzi? – pytam.
- Uchylenie się od podatków, dostał trzy lata. Wydział do spraw przestępczości gospodarczej też musiał mieć oczy szeroko otwarte, żeby się połapać, co kombinuje – mówi Darren, gdy wychodzimy z kuchenki.

Odnotowuję w pamięci, że muszę poznać przedsiębiorczego więźnia.

2.00 po południu

Dale chce ze mną porozmawiać na temat mojej przyszłotygodniowej listy zamówień w kantynie. Ustanawia górny limit w wysokości 20 funtów.

- Inaczej klawisze mogą nabrać podejrzeń – tłumaczy.

Dwadzieścia funtów w zupełności wystarczy, ponieważ co tydzień mam do dyspozycji 12,50 z własnego konta. Dale załatwił także sprawę papieru do pisania, zdobywając jakimś cudem cztery bloki formatu A4, za które chce 4 funty. Chętnie zapłaciłbym 10, gdyż zostało mi raptem dwadzieścia stron w ostatnim bloku. Nowy zapas powinien wystarczyć na miesiąc.

5.00 po południu

Dzwonię do Mary do Grantchester, lecz nikt nie odbiera. Próbuję dodzwonić się do Londynu, ale tu słyszę tylko nagrany na sekretarce głos Alison. Zapomniałem, że wyjechała na urlop. Zresztą i tak dziś niedziela.

5.45 po południu

Kolacja. Szynka wygląda całkiem nieźle, ale wcześniej zapisałem się na zestaw wegetariański, a po wypełnieniu tygodniowego formularza nie mogę już zmieniać zdania. Dale zastanawia się, czy nie dać mi choć plasterka, ale nie ryzykuje, ponieważ służbę w kuchence pełni szczególnie przeze mnie nie lubiany funkcjonariusz. Co niedziela więzień dostaje formularz wyboru tygodniowego menu, które zmienia się w czterotygodniowym cyklu (zobacz poniżej); należy wybrać zestaw z listy wywieszanej w głównym biurze, żeby kuchnia wiedziała wcześniej, ile porcji ma przygotować. Nie narzekam na ten system.



Ch. 2.

INMATE PRE-SELECT MENU SHEET							
CELL NO	NAME					NUMBER	
A2-49	ARCHER					FF8282	
	MON	TUE	WED	THU	FRI	SAT	SUN
D	1	1	1	1	1	1	1
I	2	2	2	2	2	2	2
N	3	3	3	3	3	3	3
N	4	4	4	4	4	4	4
E	5	5	5	5	5	5	5
R	6	6	6	6	6		
	7	7	7	7	7		
	MON	TUE	WED	THU	FRI	SAT	SUN
T	1	1	1	1	1	1	1
	2	2	2	2	2	2	2
E	3	3	3	3	3	3	3
	4	4	4	4	4	4	4
A	5	5	5	5	5	5	5
	6	6	6	6	6	6	
	7	7	7	7	7	7	
WEEK NO: 9 DATE: AUGUST 19 2001							
PLEASE CIRCLE ONE CHOICE FOR EACH MEAL FROM MENU AND RETURN TO WING OFFICE BY Wednesday LUNCH							
INMATE'S SIGNATURE: <i>Jeffrey Archer</i>							

6.00 wieczorem

Zostaję zaplombowany na najbliższe czternaście godzin. Zaczynam czytać *The Basement Room* Grahama Greene'a. Celny opis drugoplanowych postaci zaskakuje prostotą, a fabuła, mimo że jest dość skomplikowana, nie pozwala oderwać się od lektury. Uważam, iż za to, że Greene nie dostał literackiej Nagrody Nobla, nie należy krytykować pisarza, ale Akademię Szwedzką.

Dzień 33

Poniedziałek, 20 sierpnia 2001

5.54 rano

Po przebudzeniu zastanawiam się, kiedy policja wreszcie zamknie sprawę kurdyjską i pozwoli przenieść mnie do więzienia otwartego. Wczoraj słyszałem opowieść o więźniu, który chciał osiągnąć odwrotny cel. Złożył podanie o przeniesienie z otwartego zakładu kategorii D do więzienia kategorii C – bezpieczniejszego i o ostrzejszym rygorze. Motywy, jakie nim kierowały, wydały mi się dziwne, ale podobno wcale nie są niczym niezwykłym.

Odsiadywał wyrok dwudziestu dwóch lat za morderstwo. Po pięciu latach przeniesiono go z więzienia kategorii A do B, które jest znacznie łżejsze. Po kolejnych dwunastu latach trafił do Wayland. Tu uzyskał wyższy status i wszystkie towarzyszące mu przywileje. Został także głównym ogrodnikiem, dzięki czemu spędzał większość dnia poza celą i zarabiał 30 funtów tygodniowo. Miał wszystko, co było do zdobycia za kratami, a naczelnik uważał go za wzorowego więźnia.

Po dwudziestu latach awansowano go do kategorii D, przygotowując go do powrotu na wolność. Został przeniesiony do otwartego zakładu Ford w Sussexie, gdzie rozpoczął resocjalizację. Spędził tam jednak niecały miesiąc. Pewnej soboty po południu oddalił się z więzienia, a kilka godzin później zjawił się na miejscowym posterunku i oddał w ręce policji. Został aresztowany, oskarżony o próbę samowolnego oddalenia się z zakładu karnego i wysłany z powrotem do Wayland, gdzie spędził resztę wyroku³².

Naczelnik nie mógł się powstrzymać, by nie spytać go o powód tak niezrozumiałego kroku. Więzień odrzekł, że nie potrafił znieść odpowiedzialności związanej z samodzielnym podejmowaniem decyzji. Brakowało mu także sensownego zajęcia i panującej w Wayland dyscypliny. Przede wszystkim jednak brakowało mu wysokich murów otaczających więzienie, które dawały mu poczucie bezpieczeństwa i chroniły przed ludźmi z zewnątrz.

Niecałe sześć miesięcy przed zakończeniem wyroku znaleziono go w celi z foliowym opakowaniem po batoniku KitKat, kilkoma gramami heroiny i zapaloną zapałką³³. Wcześniej wcisnął nawet przycisk alarmowy w celi, aby mieć pewność, że go przyłapią.

Naczelnik nie bardzo wiedział, co zrobić, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, że ów więzień przez dwadzieścia lat nie tknął heroiny. Przedłużono mu

wyrok o sześć tygodni i kilka miesięcy później wypuszczono na wolność.

W ciągu miesiąca od wyjścia z więzienia popełnił samobójstwo³⁴.

8.15 rano

Śniadanie. Jem płatki Shredded Wheat i myślę o Ianie Bothamie. Okazja jest podwójna, ponieważ w tym tygodniu mija dwudziesta rocznica meczu na Headingley, w którym zdobył 149 punktów i wraz z Willisem i Dillym pokonał Australię, mimo że Anglię czekała jeszcze dodatkowa runda. Dziś Australia prowadzi 314 punktami i przypuszczam, że Adam Gilchrist niedługo ogłosi koniec rundy, gdyż jego drużyna wygrała już całą serię, a Anglia w meczu z Australią tylko raz w ciągu stu lat zdobyła ponad 300 punktów w ostatniej rundzie.

9.11 rano

Odwiedza mnie więzienna kapelan – Margaret – przynosząc wiadomość od Michaela Adiego, który do niedawna był biskupem Guildford. Poznałem go w 1969 roku, gdy pełnił obowiązki proboszcza w Louth, a ja reprezentowałem ten piękny okręg w parlamencie³⁵. Ukończył z wyróżnieniem matematykę w Cambridge, więc to Mary mogła go uznać za bardziej pokrewną duszę. Michael chce mnie odwiedzić, dowiedziawszy się, że biskup może się spotkać z więźniem, nie naruszając przysługującego mu limitu wizyt co dwa tygodnie.

Zauważam, że decyzja o dalekiej podróży do Norfolk jest przejawem szlachetności Michaela, lecz sugeruję, iż może rozsądniej będzie, jeśli zaczeka i dowie się, do jakiego więzienia kategorii D zostanie przeniesiony. Jestem przekonany, że będzie to jakiś zakład bliżej Londynu i odwiedziny nie sprawią Michaelowi takiego kłopotu. Margaret obiecuje przekazać mu wiadomość.

12.00 w południe

Lunch. Gdy przychodzi moja kolej, widzę zaniepokojoną minę Dale'a, który szeptem prosi mnie o pilne spotkanie.

Wracam do celi, włączam telewizor i widzę, że Anglia zdobyła 12 punktów przy dwóch eliminacjach. Wygrana Australii wydaje się pewna. Jedyne nadzieje w tym, że zabraknie czasu i rozgrywka zostanie nierozstrzygnięta. Jules, który nie bardzo się na tym zna, sądzi, że Anglia ma jeszcze szansę na wygraną. Poczciwy chłopak. Ale przecież zaczął oglądać krykieta tylko dlatego, że tkwi w jednej celi ze mną.

2.00 po południu

Gimnastyka. Po ukończeniu codziennego programu czuję, że zbliżyłem się do formy, jaką miałem przed skazaniem. Wychodzę z siłowni, aby zobaczyć, co się dzieje w głównej sali. Okazuje się, że trwa tam mecz siatkówki. Jest tylu chętnych, że drużyny wychodzą na boisko na przemian. Pod koniec jednej z rozgrywek muszę przyjąć do wiadomości, że nie zdołałem zagrać na takim poziomie, i mianuję się sędzią. Nie upływa minuta, gdy przyznaję punkt karny za to, że zawodnik zaklął po jednej z moich decyzji. Wybuchają niemal bunt i dopiero po dłuższej chwili udaje mi się wznowić grę. Rozpoczyna się zacięta, wyrównana walka, podczas której nie pada ani jedno przekleństwo. Po moim gwizdku kończącym mecz gracze obu drużyn odwracają się w moją stronę i chórem klną.

3.20 po południu

Po prysznicu siadam przed telewizorem i przyglądam się, jak Anglia odrabia straty, powiększając swój dorobek do 107 punktów przy dwóch wyeliminowanych zawodnikach. Jules nadal święcie wierzy, że Anglia może wygrać. Wkrótce po jego wyjściu na zajęcia edukacyjne w mojej celi zjawia się Dale. Uprzedza mnie, że rozmawiał z nim funkcjonariusz odpowiedzialny za ochronę. Mimo braku dowodów są niemal pewni, że pięć przekazów pocztowych na 20 funtów, które Dale otrzymał w zeszłym tygodniu, pochodzi ode mnie. Ostrzegli go, że jeżeli znów nadejdą pieniądze z niewiadomego źródła, podejmą szczegółowe dochodzenie. Obaj uzgadniamy, że należy wstrzymać płatności, a w związku z tym także cotygodniowe dostawy moich zapasów. Ratunku!

3.50 po południu

Trzydzieści minut później rozmawia ze mną ten sam funkcjonariusz, oświadczając mi, że ma powody przypuszczać, iż wysyłam pieniądze współwięźniowi. Jego przypuszczeniom nie sposób odmówić słuszności. Dodaje, że jeśli to się powtórzy, mogę mieć poważne kłopoty z odzyskaniem kategorii D. Następnie pyta, czy ktoś mnie terroryzuje i czy płacę komuś za ochronę. Wybucham śmiechem. Najwyraźniej funkcjonariuszowi wydaje się, że potężny Dale jest moim płatnym gorylem.

Daję mu jasno do zrozumienia, że nikt mnie nie terroryzuje i nie potrzebuję żadnej ochrony, a jeżeli uznam, że potrzebuję, będzie pierwszą osobą, która się o tym dowie. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest pogrzebanie szansy na przywrócenie kategorii D lub ryzyko pobicia.

Wracam do celi i dowiaduję się, że do przerwy Anglia ma 207 punktów przy trzech wyeliminowanych zawodnikach, a Butcher daje z siebie wszystko. Nawet

McGrath dzielnie spisuje się na wszystkich pozycjach. Czyżby Jules miał jednak rację?

4.30 po południu

Spacer. Wychodzę na dziedziniec codziennie, nie dlatego żebym potrzebował spaceru, ale jestem ciekaw opowieści więźniów z różnych bloków. Wielu para się przestępstwem zawodowo, inni robią to z głupoty lub lenistwa. Najgroźniejsi są leniwi i głupi zawodowcy. Można tu jednak znaleźć grupkę naprawdę rozbawionych ludzi, którzy, gdyby nie okoliczności, w jakich zostali wychowani, mogliby pracować na odpowiedzialnych stanowiskach. Darren przyznaje mi rację, lecz pokazuje pewnego więźnia idącego kilka kroków przed nami.

– Jego to nie dotyczy.

– Dlaczego? – pytam. – Kto to jest?

– Matołek – mówi, wstrzymując się z dalszymi wyjaśnieniami do chwili, gdy go mijamy, oddalając się na bezpieczną odległość. – W grudniu zeszłego roku – ciągnie Darren – Matołek był bezrobotny i miał przed sobą perspektywę bardzo niewesołych świąt. Żona powiedziała, że ma dość, i kazała mu iść zdobyć jakieś pieniądze, wszystko jedno jak. Matołek wstąpił do największego w mieście sklepu z zabawkami i zwędził z półki zabawkowy pistolet. Potem przeszedł przez ulicę i napadł na aptekę, z której wyniósł tysiąc czterysta funtów gotówką. Wrócił do domu i wręczył żonie pieniądze, spodziewając się pochwały za kawał porządnej roboty. Ale żona przeliczyła banknoty i uznała, że to za mało. Kazała mu przynieść więcej. Uważaj teraz – dodaje Darren. – Matołek idzie drugi raz, wraca na główną ulicę, wchodzi do tej samej apteki z zamiarem powtórzenia napadu i widzi dwóch policjantów, którzy rozmawiają z właścicielem. Aresztowali Matołkę i zawieźli na najbliższy posterunek. Potem został oskarżony i skazany na osiem lat za rabunek z bronią w ręku.

Żadnemu powieściopisarzowi nie przyszlaby do głowy taka fabuła.

5.15 po południu

Po powrocie do celi zastaję Julesa przed telewizorem. Butcher wciąż stoi na linii. Obaj z Julesem jesteśmy świadkami, jak sprawdzają się przewidywania mojego współlokatora i Anglia kroczy ku historycznemu zwycięstwu. Butcher zdobywa 173 punkt. Tę rundę nie tylko on zapamięta do końca życia.

Powinienem tu zaznaczyć, że Jules jest równie przejęty jak ja. Neofita. Tydzień temu nie zrozumiałby, dlaczego rozgrywka może być nierozstrzygnięta, nie mówiąc o tym, co to jest dodatkowa runda. Teraz nie może się doczekać

czwartku, by obejrzeć piątą i ostatni mecz. Nie spodziewa się, mam nadzieję, że wszystkie będą miały taki finał jak dzisiejszy.

5.45 po południu

Kolacja. Zajadam fasolkę z frytkami, gdy drzwi celi otwiera Meanwell, pytając, czy może ze mną zamienić parę słów na osobności. Nie odzywa się, dopóki nie wchodzimy do jego biura. Zamyka drzwi.

– Miał pan szczęście, że tym razem się panu upiekło, ale proszę tego więcej nie robić – ostrzega. – W przeciwnym razie odzyska pan kategorię D najwcześniej za parę miesięcy. I jeżeli zamierza pan prowadzić jakieś interesy z Sergiem, proszę zaczekać, aż skończy odsiadywać wyrok.

Zasób posiadanych przez Meanwella informacji robi na mnie duże wrażenie³⁶.

Dzień 34

Wtorek, 21 sierpnia 2001

6.11 rano

Po dobrze przespanej nocy piszę przez dwie godziny.

8.15 rano

Śniadanie. Dziś znów Rice Crispies. Dopiero w połowie drugiego tygodnia odkrywam regularność: w poniedziałek Shredded Wheat, we wtorek Rice Crispies, w środę płatki kukurydziane. Nic się nie zmienia. Wszystko działa jak automat.

10.00 rano

Wygląda na to, że mój okres przystosowawczy dobiegł końca. Nadal jednak tkwię w skrzydle przejściowym, czekając, aż zwolni się pojedyncza cela. Tymczasem cały cykl rozpoczyna się od początku: członek Rady Inspektorów Więzień odwiedza nową grupę więźniów. Wyglądam przez osłonięte siatką okienko w drzwiach; tym razem to nie Flintcroft, ale ktoś bardzo do niego podobny.

10.15 rano

Zajęcia edukacyjne. Wkładam niedawno otrzymane regulaminowe ciężkie, brązowe buty i wyruszam na pierwszą lekcję garncarstwa. Po opuszczeniu korytarza muszę pytać kilku strażników i więźniów o drogę do centrum plastycznego. Okazuje się, że to na drugim końcu więzienia.

Kiedy wreszcie trafiam na miejsce, pierwszą osobą, którą widzę po wejściu do sali, jest Shaun – siedzi w kącie dużego kwadratowego pomieszczenia, pracując nad abstrakcyjnym pastelem. Wita mnie uśmiechem. Po chwili dostrzegam kobietę, która, jak przypuszczam, jest naszą instruktorką. Jest średniego wzrostu, ma ciemne włosy, ciemne oczy i serdecznie się uśmiecha. Przedstawia się jako Anne.

Pierwsze zadanie, jakie przydziela mi Anne, polega na przejrzeniu podręcznika garncarstwa i znalezieniu w nim przedmiotu, który chciałbym odtworzyć. Próbuję jej powiedzieć, że nie mam talentu w tej dziedzinie, lecz ona tylko uśmiecha się w odpowiedzi. Zaczynam czytać książkę, gdy tymczasem Anne podchodzi do Rogera, wesołego Antylczyka (napad na bank), który rzeźbi postać Matki Boskiej. Następnie przygląda się pracy Terry'ego (kradzież z włamaniem) usiłującego uformować z gliny lwa. Kiedy wraca do mnie z dużą bryłą gliny w rękach, jestem pochłonięty lekturą. Prócz gliny Anne trzyma cienki drewniany patyczek, przypominający nóż bez trzonka, opatrzony cyfrą 4. Zerka na stronę w książce, na której widnieje ludzkie popiersie. Za pomocą drewnianego noża wycina w kanciastej bryle glinki kształt ramion, po czym odchodzi, a ja stoję wobec pierwszej w życiu próby wykonania rzeźby figuratywnej.

Skupiając się na formowaniu głowy i szyi, zaczynam rozmawiać z Shaunem, który trze palcami pastel, pragnąc uzyskać niewyraźną kreskę jak z obrazów Turnera. Mówi o twórczości artystów, którzy mieli na niego największy wpływ, a ja delikatnie próbuję skierować rozmowę na inne tory i dowiedzieć się, za co trafił do więzienia. Spodziewam się, że jest kolejną ofiarą narkotyków.

– Nie, nie – zaprzecza. – Fałszerstwo.

Nastawiam uszu.

– Obrazy?

– Nie – odpowiada. – Chciałbym być kimś takim jak Keating albo Elmyr de Hory, ale chodziło o bardziej prozaiczny obiekt – bony towarowe do Johna Lewisa.

Wybucham śmiechem.

– Jak cię złapali?

– Sypnął mnie kumpel, którego strach obleciał. Obciążył mnie w zeznaniach i udało mu się wywinąć, a ja dostałem trzynaście miesięcy odsiadki.

– Trzynaście miesięcy? Trochę dziwny wyrok.

– Za fałszerstwo dali mi dwanaście, ale dodali miesiąc za to, że się nie stawiałem na pierwszą rozprawę.

– Ile na tym zarobiłeś? – pytam od niechcienia.
– Tego ci nie powiem – oświadczam. – Ale przyznałem się do dwóch kawałków.

– Wychodzisz za trzy tygodnie, a więc jak długo już siedzisz?

– Cztery miesiące i trochę.

– Czyli masz niewiele czasu na zrealizowanie mojego zamówienia.

Przerzuca kilka kartek bloku rysunkowego i pokazuje mi kilkanaście szkiców pięciu postaci w różnych pozach, pytając, które mi się najbardziej podobają.

– A które podobają się tobie?

– Numer trzy – oznajmia, kładąc kciuk na szkicu (zobacz rozdział „Ilustracje”).

Kiwam potakująco głową i w tej chwili zjawia się Anne.

– Rozumiem już, co pan miał na myśli, mówiąc o braku talentu – mówi, parskając śmiechem na widok moich nieudolnych wysiłków uformowania z gliny głowy i ramion postaci, która przypomina skrzyżowanie ET i dzieła Botera.

Podchodzą do nas Roger (napad na bank) i Terry (kradzież z włamaniem), aby zobaczyć, co wywołało taką wesołość.

– Stary, zamiast od razu łapać się za takie trudne rzeczy – radzi Roger – powinieneś zacząć od garnka. – Już się zorientował, na czym polega moja największa porażka.

Bez ostrzeżenia do pracowni wkracza dwóch strażników i przystępuje do rewizji. Przypuszczam, że chcą sprawdzić, czy nie brakuje drewnianych noży i drutu, którego używa się do krojenia glinki. Ale nie – dowiaduję się później, że chodziło o narkotyki. Widocznie warsztaty stanowią dla dilerów doskonałą okazję do dokonywania transakcji.

W drodze powrotnej do celi znów się gubię, ale do bloku A towarzyszy mi Shaun, który mówi, że ma pomysł na okładkę *Wayland* (zobacz rozdział „Ilustracje”). Zawsze sądziłem, że projekt okładki książki robi grafik, lecz myśl, że jej autorem mógłby zostać współwięzień, wydaje mi się interesująca. Podziwiam też zaradność Shauna, który potrafi skorzystać z każdej okazji, by zaoferować swoje usługi. Rozstając się w rozwidleniu korytarzy między naszymi blokami, umawiamy się, że dokończymy rozmowę podczas popołudniowego spaceru.

12.00 w południe

Lunch. Zupa grzybowa od Dale’a i jarzyny zapiekane w cieście.

2.14 po południu

Telefonuję do adwokata, by spytać o nowiny na temat śledztwa w sprawie kampanii Simple Truth. Policja otrzymała wszystkie dokumenty, a także szczegółowy raport opracowany przez Czerwony Krzyż. Nadinspektor Perry, który prowadzi tę sprawę, jest pełen współczucia, lecz twierdzi, że musi zbadać wszystkie oskarżenia baronessy Nicholson. Nadinspektorowi Perry'emu jeden dzień nie sprawia żadnej różnicy; dla mnie oznacza kolejne czternaście godzin w zamkniętej celi.

5.00 po południu

Kolacja. Chińszczyzna z warzywami. Danie według oryginalnego przepisu zostaje podane w formie zbrylonej kluchy i z pewnością nie przyrządził go nikt pochodzący ze Wschodu.

6.00 wieczorem

Nie ma wieczornej gimnastyki, ponieważ ma się odbyć mecz krykieta między blokiem A i blokiem D (skrzydłem bez narkotyków znanym jako „raj ćpunów”³⁷). Zaczynam przeglądać dzisiejszą porcję tekstu, gdy pod drzwiami mojej celi zjawia się Jimmy.

– Jesteś wybijającym numer pięć, milordzie – oświadcza, spoglądając na listę swojej drużyny.

– Co? – pytam zdumiony. – Ostatni raz grałem w jedenastce Davida Frosta przeciw drużynie Tavernerów³⁸, zresztą odpadłem po pierwszej piłce, która zburzyła bramkę.

– Kto serwował? – pyta Jimmy.

– Imran Khan – odpowiadam.

– Pakistański mistrz szybkich piłek? – upewnia się z niedowierzaniem.

– Owszem, ale wtedy podkręcał piłkę.

– Mimo to wychodzisz piąty. Zgłoś się w górnym korytarzu za pięć minut.

Przebieram się w dres, umieszczam w szparze futryny nakrętkę³⁹ i biegnę do bramy, gdzie czeka już na mnie Darren.

– Podoba mi się twój nowy swatch – mówi. – Co się stało z longines'em?

Opowiadam mu o nielegalnej wymianie zegarków, jakiej dokonaliśmy z Williamem podczas ostatnich odwiedzin rodziny.

– Klawisze na pewno to zauważyli – zapewnia mnie Darren. – I na pewno byli zadowoleni, że takiego zegarka nie ma już w więzieniu. Wyobrażasz sobie, jakie mieliby kłopoty, gdyby go ktoś ukradł? Musisz wiedzieć, że prawie nic nie uchodzi ich uwagi. Przy okazji – dodaje Darren. – Jutro przenoszą jednego z naszego skrzydła, więc może wreszcie będziesz miał szansę wyjść z przejściówki.

Na tę wieść zaczyna mi mocniej bić serce. Próbuję poznać więcej szczegółów, wpytując Darrena w drodze do bramy, przez którą wychodzimy na duże boisko otoczone wysokim ogrodzeniem, zwieńczonym drutem kolczastym⁴⁰.

Jimmy wygrywa rzut monetą i wybiera obronę. Czytelnikom rozumiejącym zasady krykieta podaję panujące w więzieniach Jej Królewskiej Mości przepisy, wobec których nawet związek MCC nie ma nic do powiedzenia. Być może rzuca nowe światło na więzienną logikę:

- (a) Obu drużynom przysługuje po dziesięć serii rzutów.
- (b) Każda seria składa się z dziewięciu piłek i nie ma zmiany stron.
- (c) Każda drużyna gra pięcioma serwującymi, którzy wykonują po dwie serie rzutów, ale nie z rzędu.
- (d) Nie ma linii końcowych i każdy punkt należy wybiegać.
- (e) Zwycięzcą jest drużyna, która zgromadzi więcej punktów.
- (f) Decyzja sędziego jest ostateczna.

Podczas gdy przeciwnicy zajmują pozycje, pierwsza para broniących bloku A, Dale i Carl, nakłada ochraniacze. Zaglądam do wózka ze sprzętem, mając nadzieję, że znajdę tam kask i suspensorium. W wieku sześćdziesięciu jeden lat nie mam ochoty stawiać czoła dwudziestoletniemu Antylczykowi z Brixton, który, gdyby przyszła mu ochota, jednym rzutem mógłby wysłać mnie do szpitala, nie obawiając się, że zostanie za to aresztowany. Nie wierzę własnym oczom: kije, ochraniacze, kaski, osłony, suspensoria i rękawice wyglądają o wiele lepiej od sprzętu, jaki kiedykolwiek widziałem na rozgrywkach klubowych.

Nasi dwaj broniący schodzą do szatni przed końcem pierwszej serii, zdobywając 6 punktów. Być może mamy pierwszorzędny sprzęt, ale szybko dochodzę do wniosku, że nasz poziom gry pozostawia wiele do życzenia. Ekipa numer cztery kończy swój udział już po trzech piłkach, tak więc w połowie trzeciej serii wychodzę, aby dołączyć do Jimmy'ego.

Całą drogę do linii towarzyszą mi gwizdy bloku D, który nadaje oryginalny sens określeniu „niesportowe zachowanie”. Najgorsze jednak dopiero przede mną, ponieważ widzę wspomnianego wcześniej Antylczyka, który oblizuje się z niecierpliwością. Rzeczywiście jest piekielnie szybki, ale wkłada tyle energii w próby pozbawienia mnie życia, że cierpi na tym jego celność, toteż seria przedłuża się do trzynastu piłek, z których cztery mijają bramkę. Po dwóch kolejnych seriach (przypominam – każda to dziewięć rzutów) udaje się nam z Jimmym powiększyć nasz dorobek do 35 punktów przy 4 eliminacjach. Wtedy właśnie kapitan mojej drużyny postanawia posłać piłkę za ogrodzenie i wybija sobie środkowy palik bramki.

Potem ze stanu 35:4 dochodzimy do wyniku 39 przy eliminacji wszystkich graczy – obawiam się, że tego dramatu nie potrafiłoby oddać pióro ani Neville'a Cardusa, ani E.W. Swantona. Wspomnę tylko, że do gry wraca tamten Antylczyk

i w swojej drugiej serii zdobywa pięć bramek, tracąc zaledwie cztery punkty. Schodzę z boiska, zdobywszy 11 punktów i szczęśliwie unikając wyeliminowania, nie wybijając piłki ani razu, odkąd mój kapitan wrócił do szatni (serwujący nie zmieniają stron). Ale nie wszystko jeszcze stracone, ponieważ gdy blok A przechodzi do ataku – dzięki naszemu wytrawnemu mistrzowi szybkich piłek Vincentowi (nieumyślne spowodowanie śmierci) – przed końcem pierwszej serii trzech naszych przeciwników schodzi do szatni, zdobywając zaledwie pięć punktów.

Drugim serwującym jest nasz Antylczyk. Zalicza dwie puszczane piłki i ewidentne zasłonięcie bramki – tak mi się przynajmniej wydaje, gdy patrzę z pozycji kryjącego. Kiedy opuszcza boisko, blok D ma tylko 9 punktów przy 2 wyeliminowanych zawodnikach, lecz zgodnie z więziennymi przepisami gry musimy wystawić trzeciego serwującego. Po jego wejściu mecz szybko się kończy, gdyż piłka zamiast do celu śmiga po całym boisku. Blok D zdobywa wymaganą liczbę punktów bez straty bramki, mając w zapasie jeszcze pięć serii.

W drodze powrotnej do cel kapitan bloku D mówi:

– Całkiem nieźle, Jeff, chociaż grałeś jak cholerny wypierdek z prywatnej szkoły.

W więzieniu co dzień trzeba się sprawdzać.

Już w naszym skrzydle mówię Jimmy’emu, że być może wkrótce zamieszkać w korytarzu dla więźniów o wyższym statusie.

– Nie sądzę, Jeff – słyszę w odpowiedzi. – Facet, który wychodzi, to nasz sprzątac i wydaje mi się, że zaproponują jego celę Davidowi (przemytnik whisky), sprzątacowi twojego skrzydła. – Entuzjazm natychmiast mnie opuszcza. – W najlepszym razie przeniosą cię do celi Davida, dopóki nie zwolni się następna.

8.00 wieczorem

Wracam do celi, ale niestety nie mam już czasu na prysznic, ponieważ zostajemy zaplombowani. Jestem zmęczony i spocony, a nawet trochę obolały, gdyż używałem mięśni, których zwykle nie forsuję podczas ćwiczeń. Czuję też głód, otwieram więc puszkę szynki Princes (49 pensów) i paczkę chrupek (27 pensów).

9.00 wieczorem

Jules ogląda serial *The Bill*, ja tymczasem kontynuuję lekturę powieści *Tchórz* Grahama Greene’a. Zasypiam, zastanawiając się, czy to moja ostatnia noc w dwuosobowej celi.

Dzień 35

Środa, 22 sierpnia 2001

6.04 rano

Budzę się. Marzę o szansie na pojedynczą celę. Piszę przez dwie godziny.

8.15 rano

Śniadanie. Płatki kukurydziane i grzanka. W kuchence nie ma Dale'a.

8.40 rano

Dostrzegam Dale'a w korytarzu. Mówi, że zrezygnował z pracy w kuchence. Ma serdecznie dość wstawania pół godziny przed innymi i narażania się na przekleństwa więźniów, którym zawsze się wydaje, że dostają za mało frytek.

Widzę swoje nazwisko wypisane kredą na tablicy przed głównym biurem z adnotacją, że mam się zgłosić u funkcjonariusza Meanwella. Idę prosto do biura. Meanwell ma dla mnie przesyłkę poleconą. Rozcina kopertę i wyciąga z niej wydrukowany na dwóch stronicach list, który podaje mi, nie wykazując zainteresowania jego treścią. Sprawdza, czy w kopercie nie ukryto narkotyków, pieniędzy lub znaczków, tymczasem ja zaczynam czytać list, ale już po jednym akapicie oddaję go Meanwellowi. Ten przegląda go i na jego twarzy odmalowuje się niedowierzanie. Autor chce, żebym mu pożyczył 10 000 funtów, które zamierza zainwestować w „stuprocentowo pewny interes” i gotów jest podzielić się ze mną zyskiem po połowie.

– Jak często dostaje pan takie propozycje? – pyta Meanwell.

– Dwa, trzy razy w tygodniu – przyznaję. – Proszą mnie o sumy od pięćdziesięciu funtów do miliona na równie „stuprocentowo pewne interesy”.

– Przy okazji chcę pana poinformować – dodaje, zwracając mi pustą kopertę – że być może jeszcze dziś się pan przeprowadzi. – Przy okazji, przy okazji, przy okazji... – dla niego to tak niewiele znaczy, a dla mnie ogromnie dużo. – Jeden z więźniów o wyższym statusie zostaje przeniesiony do zakładu bliżej domu, a jego celę przydzielamy więźniowi, który przejmie także jego obowiązki sprzątacza. Kiedy już się uporamy z tą sprawą... – Meanwell ma tyle lat, że nie używa zwrotu „załatwimy sprawę” – przeprowadzimy pana do jego celi. Zastanawiałem się, czy przenieść pana od razu do części dla uprzywilejowanych – przyznaje. – Ale

przeciw takiemu rozwiązaniu przemawiają dwa argumenty. Po pierwsze, na skrzydle potrzebny jest sprzątacze, a pan nie jest idealnym kandydatem do tej pracy, a po drugie, wolałbym umieścić pana w spokojniejszym miejscu, gdzie inni więźniowie nie mogliby zaglądać panu do celi podczas spaceru.

Po wyjściu z biura Meanwella ruszam na poszukiwanie Davida (przemynika whisky i sprzątacze skrzydła). Uwija się z warczącym odkurzaczem przemysłowym, sprząając korytarz przejściówki. Zaprasza mnie do swojej obecnej celi na pierwszym piętrze, która do mojej dwójki ma się tak, jak pokój w Ritzu do luksusów Hotelu Zacisze Basila Fawltý'ego.

11.00 rano

Spacer. W trakcie pierwszego okrążenia Chris (kradzież z włamaniem) pyta, czy zgodzę się sponsorować jego udział w półmaratonie, z którego dochód ma być przekazany Stowarzyszeniu na rzecz Przeciwdziałania Przemocy wobec Dzieci. Przystaję na stawkę jeden funt za milę, pod warunkiem że zapłacę z prywatnych funduszy, nie naruszając konta przeznaczonego na zamówienia w kantynie. W przeciwnym razie na kilka tygodni zostałbym pozbawiony prowiantu i wody. Zapewnia mnie, że władze więzienne wyrażą zgodę, toteż akceptuję jego propozycję. Chris towarzyszy nam przez pół okrążenia, ale to wystarcza, abym się przekonał, że reprezentuje typ złodzieja, którym gardzi Lisa Dada, kurator więzienny. Ma dwadzieścia siedem lat, a osiem z ostatnich dziesięciu spędził za kratami. Uważa kradzież za styl życia. Na odchodnym mówi wprost:

– Wychodzę za sześć tygodni, Jeff, ale nie musisz się martwić, twój dom jest bezpieczny.

Zdaję sobie sprawę, że osobom, które nigdy nie były w więzieniu, może się to wydać dziwne, ale bardziej współczuję niektórym mordercom w Belmarsh niż zawodowym złodziejom.

Podczas drugiego okrążenia dołącza do nas Jason (współudział w szantażu), który gratuluje mi przeniesienia do pojedynczej celi.

– Jeszcze się nie przeprowadziłem – przypominam mu.

– Ale po południu będziesz już w jedyńce.

Więzienie jest pod wieloma względami podobne do świata za murami. Na przykład człowiek szybko się orientuje, kto naprawdę jest dobrze poinformowany, a kto słyszy piąte przez dziesiąte. Jason należy do najlepiej poinformowanych.

– Oczywiście jeżeli tylko masz ochotę – dodaje Jason – zawsze możesz zostać przeniesiony do innego więzienia.

– W jaki sposób?

– Napisz krótki liścik i wrzuć do skrzynki na skargi. Nie musisz się nawet podpisywać. Wszyscy nazywają ją „skrzynką na donosy”.

– I co miałbym zasugerować?

– Archer proponuje mi narkotyki i dłużej nie mogę się opierać, Archer mnie terroryzuje i jestem bliski załamania. Jeżeli uwierzą, przeniosą cię jeszcze tego samego dnia. Ani się obejrzysz, już cię tu nie będzie.

12.00 w południe

Lunch. Kuchenka wydaje się pusta bez zwalistej sylwetki Dale'a górującej nad płytą i resztą więźniów, którymi dowodził. Wygląda na to, że na szefa awansował Sergio, ponieważ to on stoi teraz obok pełniącego służbę funkcjonariusza i wydaje posiłki według zapisów na zestaw pierwszy, drugi, trzeci (wegetariański) lub czwarty.

– Trójka – mówi Sergio, nawet nie patrząc na listę, po czym starannie wybiera składniki mojego dania.

Mimo przekazania władzy nadal jestem traktowany tak jak poprzednio.

1.45 po południu

Gimnastyka. Ruchoma bieżnia znów działa, dlatego mogę zrealizować cały program. Jeśli chodzi o moje nowe ćwiczenie, potrafię już unieść piłkę lekarską piętnaście razy z jednogminutową przerwą, ale po kolejnych dziewięciu próbach jestem wyczerpany i czuję ogromną wdzięczność, gdy pięć minut przed końcem sesji słyszę gwizdek Maidena i mogę wykonać serię ćwiczeń rozluźniających. Przed wyjściem do celi każdy zabiera swoją kartę wstępu na salę. Ja swojej już nie mam. Od dnia przyjazdu codziennie mi ją kradziono, tak więc szefostwo uznało, że nie warto wydawać mi nowej.

3.30 po południu

Wychodząc spod prysznic, spotykam funkcjonariuszkę Webb, która na mnie czeka.

– Kiedy o czwartej zamkniemy cele w skrzydle przejściowym – mówi – zostawię panu otwarte drzwi, bo przeniesiemy pana do celi numer dwa w przeciwnym korytarzu.

Mam ochotę zarzucić jej ręce na szyję, ale okrywa mnie jedynie ręcznik i jestem pewien, że za takie postępowanie zgłosiłaby mnie do raportu, mówię więc tylko:

– Dziękuję.

Ubieram się i pakuję dobytek do plastikowej torby z Belmarsh, szykując się do przeprowadzki na drugą stronę bloku. Jestem gotowy długo przed czwartą.

To moja ósma przeprowadzka w ciągu pięciu tygodni.

4.06 po południu

Pod drzwiami celi czeka na mnie jej poprzedni lokator, David (przemysłowy whisky). Jako dobrze wychowany człowiek zostawia mi pokój w idealnym porządku. Mam dodatkową szafkę, więc układanie rzeczy zabiera mi prawie godzinę. Mimo że cela ma przepisowe pięć kroków na trzy, wydaje się o wiele większa, gdyż nie muszę się dzielić ciasną przestrzenią z innym więźniem. Koniec z wchodzeniem sobie w drogę. Koniec z programami telewizyjnymi, których nie mam ochoty oglądać. Koniec ze sprawdzaniem, czy na pewno wkładam swoje pantofle, czy używam własnej pasty do zębów, własnego mydła, nawet własnego papieru toaletowego. Koniec z...

Rozlega się pukanie i do celi wkraczają Darren, Jimmy, Sergio i Steve.

– Postanowiliśmy urządzić parapetówkę – wyjaśnia Darren. – I jak na porządną parapetówkę, przychodzimy z prezentami.

Sergio przyniósł trzy stalowe lusterka o regulaminowych wymiarach pięć na pięć cali. Przytwierdza je do ściany za pomocą więziennej pasty do zębów. Po raz pierwszy od pięciu tygodni oglądam całą swoją twarz i górną połowę ciała. Od Steve'a dostaję – niewiarygodne – firanki, którymi będę mógł zasłonić kraty w oknach, a w nocy odrobinę złagodzić blask jarzeniówek. Jimmy ma dla mnie wszystkie niezbędne akcesoria – tablicę, pinezki itd. – abym mógł zawiesić na ścianie fotografię rodziny. Natomiast Darren przed pokazaniem swojego prezentu domaga się triumfalnych werbli, udało mu się bowiem zdobyć przedmiot marzeń każdego więźnia: zatyczkę do umywalki. Koniec z używaniem do golenia miski śniadaniowej.

– Życzy pan sobie czegoś jeszcze, milordzie? – dopytuje się Steve.

– Skończyła mi się woda Evian.

Po raz pierwszy drużyna gości przyznaje się do porażki. Przeprowadzono sondę i okazało się, że jestem jedynym więźniem w bloku, który kupuje w kantynie butelkowaną wodę.

– Kiedy zechcesz więcej wody, będziesz musiał tak jak wszyscy odkręcić kran – mówi Darren.

– Ale jako nowy szef kuchni mogę ci obiecać – dodaje Sergio i na chwilę zawiesza głos – że od czasu do czasu dostaniesz dodatkowy karton mleka.

Czegóż można więcej pragnąć?

7.00 wieczorem

Czytam w ciszy dzisiejsze zapiski, a po dokonaniu poprawek wkładam sześć

stron tekstu do jednej z moich nowych szuflad. Co dziesięć dni arkusze wędrują do dużej brązowej koperty (30 000 słów) i zostają wysłane do Alison, która je przepisuje.

Usadawiam się na łóżku, aby obejrzeć odcinek *Sprawy dla Frosta*. David Jason jest jak zawsze konsekwentny, ale dwie godziny to stanowczo za długo jak na tak kiepski scenariusz, więc wyłączam telewizor i – pierwszy raz od dziesięciu dni – światło, potem kładę się w pojedynczym łóżku i zasypiam. Żegnajcie, pyskacze okienni, obym was już nigdy nie usłyszał.

Dzień 36

Czwartek, 23 sierpnia 2001

5.18 rano

Budzę się przygnębiony dwiema sprawami. Gdy wczoraj wieczorem dzwoniłem do Mary, dowiedziałem się od niej, że Czerwony Krzyż, pragnąc raz na zawsze zamknąć tę sprawę, zwrócił się do firmy KPMG w sprawie przeprowadzenia audytu kampanii Simple Truth, ponieważ niektórzy z hojniejszych ofiarodawców zaczęli robić zamieszanie. Tony Morton-Hooper napisał do policji, zwracając uwagę na fakt, że audyt wewnętrzny nie ma nic wspólnego z moim udziałem w kampanii. Mary i Tony robią wszystko, by przekonać policję, że całe dochodzenie to farsa, a Emma Nicholson nie ma ani jednego dowodu na poparcie swoich oskarżeń. Mimo ich wysiłków mam przecucie, że policja zakończy dochodzenie dopiero po przeanalizowaniu raportu, kategorię D odzyskam więc może za parę miesięcy.

Drugim powodem mego przygnębienia jest sytuacja partii torysów, w której rozpętała się wojna domowa. Zdaniem Margaret Thatcher wygrana Kena Clarke'a będzie katastrofą, natomiast John Major twierdzi, że jeśli liderem partii zostanie Iain Duncan Smith, przez następne dziesięciolecie pozostaniemy w opozycji. Na razie mamy za sobą sześć lat.

6.00 rano

Piszę przez dwie godziny.

8.15 rano

Po śniadaniu Darren zabiera moją bieliznę do prania, uprzedzając mnie, że suszarka nadal nie działa.

9.00 rano

Zostaję zaplombowany na dwie godziny, ponieważ personel ma zajęcia w sali gimnastycznej, odbywające się co dwa tygodnie. Dowiaduję się, że w ramach zajęć prowadzone są różne szkolenia, od pierwszej pomocy po samoobronę (ochrona i bezpieczeństwo) i ćwiczenia przeciwpożarowe, od omówienia najnowszych przepisów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych po problemy stosunków rasowych. Funkcjonariusze są także informowani o zgłoszeniach zarażenia wirusem HIV i więźniach podejrzewanych o skłonności samobójcze. Jediną dobrą stroną tej sytuacji jest fakt, że podatnik nie musi mi fundować lekcji garncarstwa (1 funt 20 pensów).

11.00 rano

Oglądam mecz krykieta, podczas którego Nasser Hussain czternasty raz z rzędu przegrywa rzut monetą. Muszę spytać Mary, jakie jest prawdopodobieństwo takiego zdarzenia⁴¹.

Wychodzę na spaceriak piętnaście po jedenastej, tuż przed zamknięciem bram. Jimmy pokazuje mi Maria (jego prawdziwe imię brzmi inaczej), który idzie kilka kroków przed nami. Mam nadzieję, że czytelnicy pamiętają jego wyczyn – pracując w kuchence, Mario wykradł prawie cały ser, a potem przyrządzał grzanki, licząc sobie kartę telefoniczną za dwie i używając żelazka jako tosterka. Maria przyłapano na tym, że zgarniał niemal pół miliona funtów z zysków ze swej modnej londyńskiej restauracji, nie zwracając sobie głowy płaceniem podatku od tej ogromnej kwoty. Mimo że nie bywałem w jego lokalu, wiele o nim słyszałem. Nie można wątpić, iż restauracja świetnie prosperowała, gdyż było to jedno z tych rzadkich miejsc, gdzie nie akceptowano kart kredytowych – tylko gotówkę lub czek.

Podczas spaceru wokół dziedzińca – Mario nie przepada za forsownym marszem – tłumaczy mi, że mniej więcej połowa przychodów była w gotówce, natomiast reszta gości płaciła czekami lub miała otwarty rachunek. Mimo to fiskus nie potrafił ustalić, jaką część stanowiła gotówka, dopóki dwaj inspektorzy skarbowi nie odwiedzili restauracji jako klienci. Na podstawie dokładnych obserwacji doszli do wniosku, że gotówką płaci blisko połowa gości, podczas gdy z zeznania podatkowego Maria wynikało, iż w ten sposób reguluje rachunek tylko 10 procent. Ale jak to udowodnić? Inspektorzy także zapłacili gotówką i poprosili o pokwitowanie. Nie wiedzieli, że Mario deklarował wpływy tylko z tych

rachunków, na które klient żądał pokwitowania, i tylko te księgował. Rachunki bez pokwitowań były niszczone, a pieniądze wędrowały prosto do jego kieszeni.

Inspektorzy nie mogli zostać stałymi bywalcami restauracji (zwierzchnicy nie zgodziliby się na taką rozrzutność), dlatego nie potrafili udowodnić przestępstwa. Sytuacja zmieniła się dopiero wówczas, gdy w urzędzie skarbowym zaczął pracować młody biegły księgowy, świeżo po studiach, który wpadł na pomysł zastawienia sprytnej pułapki na Maria. Młodzieniec dowiedział się, z której pralni korzysta restauracja, i polecił przez trzy tygodnie liczyć ich obrusy i serwetki. Okazało się, że obrusów było czterdzieści procent więcej niż rachunków, a serwetek trzydzieści osiem procent więcej niż klientów.

Mario został aresztowany i oskarżony o fałszowanie ksiąg rachunkowych. Przyznał się do winy i skazano go na dwa lata. Jeszcze w tym roku ma wrócić do restauracji – z „urlopu” w swej rodzinnej Florencji, jak brzmi oficjalna wersja dla dopytujących się o niego gości.

– Wszystko robią na opak, Jeffrey – mówi Mario. – W ogóle nie powinni pakować ludzi z naszego towarzystwa do więzienia, razem z tą hołotą. Powinni mi zasądzić milion funtów grzywny, zamiast płacić trzydzieści pięć tysięcy za moje roczne utrzymanie. Moi stali goście są wściekli na policję, sądy i urząd skarbowy. – Na koniec pyta: – Przy okazji, Jeffrey, lubisz grzanki z serem i jajkiem?

12.00 w południe

Lunch. Wśród wielu rzeczy, jakie usłyszałem od Maria, była także rada, jak wybierać najlepsze dania z tygodniowego jadłospisu. Należy wybierać potrawy przyrządzone tylko ze świeżych produktów uprawianych na terenie więzienia, nigdy z kupowanych. Od przyszłego tygodnia urozmaicę nieco moją wegetariańską dietę.

2.00 po południu

Czytam poranne gazety. Margaret i John schowali miecze i oboje zamilkli – przynajmniej na razie. Prasa pisze, że to najbardziej zajadła walka o przywództwo konserwatystów od niepamiętnych czasów, po której partia może się już nigdy nie podnieść. Przekonamy się, czytając o tym za parę lat. Czy to możliwe, aby partia najdłużej utrzymująca się przy władzy w dwudziestym wieku miała nie objąć rządów w dwudziestym pierwszym? A może Tony Blair nagle okaże się omylny?

3.15 po południu

Gimnastyka. Wyścig oldbojów powyżej pięćdziesiątki – ale nie ma to nic

wspólnego z polityką. Nie łudźmy się – to męczarnia. Czterdzieści pięć minut pedałowania przy okrzykach instruktora: „Prosta!”, „Wzniesienie!”, „Podjazd pod górę!”, „Szybciej, szybciej!”. O czwartej spadam z roweru i Darren musi mnie niemal zanieść do celi.

5.30 po południu

Australia ma już 208 punktów przy eliminacji jednego zawodnika i gra w takim stylu, jakby miała zdobyć 700. Rezygnuję z krykieta i wychodzę do magazynu po papier toaletowy. Należy go odebrać między 8.15 a 8.30 rano albo 5.30 a 6.00 po południu; jednej osobie przysługuje jedna rolka na tydzień. Opuszczając magazyn, zauważam swoje nazwisko na tablicy obok biura – mam się zgłosić do starszego funkcjonariusza. Od razu kieruję kroki do biura Meanwella. Ma dla mnie kilka listów poleconych oraz przesyłkę od grupy pań z Northampton, które ofiarowały mi ciasto lawendowe.

– Obawiam się, że będzie pan je mógł wziąć dopiero w chwili przeniesienia albo zakończenia wyroku – oznajmia Meanwell.

– Dlaczego? – pytam.

– Możliwe, że dodano do niego alkoholu albo narkotyków – wyjaśnia.

Wychodząc od Meanwella, dostrzegam nowego więźnia z prawą ręką na temblaku. Podchodzę do niego, aby porozmawiać: obrażenia zwykle oznaczają ciekawe historie. Może wdał się w bójkę? Albo uderzył go funkcjonariusz? Upadł lub ktoś go popchnął? Słyszę, że usiłował popełnić samobójstwo. Pokazuje mi nadgarstek, na którym widnieją trzy długie, nierówne blizny tworzące kształt trójkąta, zszyte jak rozdarcie w tureckim dywanie. Patrzę na okropne jasnofioletowe szramy i po sekundzie muszę odwrócić wzrok. Później dowiaduję się z ulgą, że Jimmy zareagował tak samo, choć twierdził, że jeśli ktoś naprawdę chce się zabić, nigdy nie tnie w poprzek tętnicy.

– Robi tak tylko ktoś, kto szuka współczucia – dodaje Jimmy. – Bo klawisze zawsze zdążą. Ale kiedy chłaśniesz tętnicę wzdłuż, zanim wpadną do celi, będziesz martwy.

– Mimo wszystko to jednak wołanie o pomoc – mówię.

– Tak, w zeszłym tygodniu jego ojciec miał zawał, a on właśnie wrócił z pogrzebu.

– Ile samobójstw wydarzyło się Wayland, odkąd tu jesteś? – pytam Jimmy’ego.

– Ostatnie mniej więcej sześć tygodni temu – odpowiada. – Zawsze od razu o tym wiadomo, bo przez resztę dnia siedzimy zaplombowani. Nikomu nie wolno wyjść z celi, dopóki nie usuną ciała z więzienia. Potem trzeba spisać protokół wstępny i bierze w tym udział tylu strażników plus naczelnik, że trwa to najmniej

trzy godziny. W tym więzieniu jest całkiem nieźle – dodaje. – Mamy średnio tylko jedno samobójstwo rocznie. W Norwich, gdzie zaczynałem odsiadkę, wskaźnik był znacznie wyższy – więcej niż jedno na miesiąc. Kiedyś jeden z więźniów stanął na dachu z pętlą na szyi i groził, że skoczy, jeżeli naczelnik nie rozpatrzy jego skargi.

– I skoczył?

– Nie, ustąpili i zgodzili się wypuścić go na pogrzeb matki.

– Ale dlaczego wcześniej się nie zgodzili?

– Bo ostatnim razem, kiedy miał wyjść, rąbnął klawisza pięścią i próbował uciekać.

– A więc naczelnik ustąpił?

– Nie, naczelnik nie chciał z nim w ogóle rozmawiać, ale pozwolił mu uczestniczyć w pogrzebie, pod warunkiem że będzie podwójnie skuty.

– Podwójnie skuty?

– Najpierw skuwają mu skrzyżowane ręce, a potem przykuwają do dwóch strażników dwiema parami kajdanek, po jednym z każdej strony.

Dzięki Bogu, że nie użyto takich środków bezpieczeństwa, kiedy ja uczestniczyłem w pogrzebie matki.

Jak na ironię, godzinę później podczas przeglądania poczty znajduję przypięte do jednego z listów opakowanie po żyletce z adnotacją „na wypadek gdybyś miał dość”. Żyletkę zabrali wcześniej funkcjonariusze.

6.00 wieczorem

Spacer. Shaun (fałszerstwo) zaczął już pracować nad szkicem montażu. Pierwszym modelem jest Dale (rozmyślne okaleczenie), który pozuje na trawie w słońcu z założonymi rękami – nie wygląda naturalnie (zobacz rozdział „Ilustracje”). Kiedy go mijamy, spogląda na nas spode łba, a kilku więźniów wykrzykuje pod jego adresem obelżywe słowa.

8.00 wieczorem

W telewizji nie ma nic wartego oglądania, więc kończę *Tchórza* Grahama Greene’a.

10.00 wieczorem

Zdejmuję świeżo wyprane rzeczy z ramy łóżka, gdzie je rozwiesiłem, żeby wyschły. Wciąż są mokre, dlatego wieszam je, gdzie tylko się da – na drzwiach szafek, umywalce, oparciu krzesła, nawet na karniszu.

Zasypiam, martwiąc się o raport KPMG i zastanawiając się, kiedy policja

wreszcie uzna, że zarzuty wobec mnie są bezpodstawne. Kiedy te słowa ukażą się drukiem, Wayland będzie już należało do przeszłości. Na razie wciąż jest moim czyścem.

Dzień 37

Piątek, 24 sierpnia 2001

6.08 rano

Rozsuwam nowe firanki, wpuszczając do celi wschodzące słońce. Podczas wczorajszego wieczornego spaceru dowiedziałem się, że wcześniej należały do Dennisa (wyłudzenie podatku VAT). Nikt nie wie, jaką część z 17,5 procent podatku zatrzymał dla siebie, ale zważywszy na fakt, że został skazany na sześć lat, musiało to być kilka milionów.

Dennis złożył wniosek o zwolnienie warunkowe po dwóch i pół roku, będąc przez ten czas wzorowym więźniem. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi na swoją prośbę, dlatego uznał, że spotkała się z odmową. Wczoraj o ósmej rano otwarto drzwi jego celi i kazano mu pakować rzeczy. Miał zostać zwolniony za godzinę. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało polecenie już tydzień wcześniej, lecz wiadomość nie dotarła do Dennisa, gdyż jego kurator był na urlopie. Dennis musiał pożyczyć kartę telefoniczną – wbrew więziennym przepisom – i zadzwonił do żony, aby po niego przyjechała. Właśnie wychodziła do pracy, ale udało mu się ją jeszcze zastać, w przeciwnym razie musiałby stać cały dzień pod bramą. I tak odziedziczyłem firanki, które zdobią teraz okno mojej celi, a kiedy stąd wyjdę, zostaną przekazane nowemu lokatorowi. Mam tylko nadzieję, że uprzedzą mnie nieco wcześniej niż Dennisa.

Jimmy także wczoraj wyszedł, ale tylko na jeden dzień. Do zwolnienia pozostało mu zaledwie kilka tygodni, dlatego raz w miesiącu dostaje przepustkę od 9 rano do 3 po południu i jedzie do miasta. Jest to część programu resocjalizacji dla wszystkich więźniów kategorii D. Jimmy od trzech miesięcy ma kategorię D, chociaż siedzi w zakładzie kategorii C. Nie chce się przenosić do więzienia otwartego, ponieważ wkrótce kończy mu się wyrok, a rodzina mieszka niedaleko.

Wczoraj Jimmy odwiedził Dereham. Towarzyszył mu funkcjonariusz, którego nazwiska nie wyjawię – z powodów, jak się zaraz okaże, oczywistych. W porze lunchu funkcjonariusz dał Jimmy'emu pięć funtów na dwie porcje ryby z frytkami (ceny w Dereham), a sam poszedł do banku zrealizować czek. Jimmy kupił rybę z frytkami, po czym ruszył spacerkiem pod National Westminster i pod

drzwiami banku czekał na swojego konwojenta. Ponieważ ten się nie pokazywał, Jimmy sam zabrał się do lunchu. Kiedy spałaszował ostatnią frytkę, zaczął się obawiać, czy nie stało się nic złego. Wszedł do banku, ale nigdzie nie zobaczył strażnika, szybko więc wybiegł i popędził do oddziału Lloyds TSB sto jardów dalej. Skręciwszy za róg, ujrzał funkcjonariusza, który biegł w jego stronę z zaniepokojoną miną. Obaj padli sobie w ramiona ze śmiechem; Jimmy nie chciał zostać oskarżony o próbę ucieczki sześć tygodni przed terminem zwolnienia, natomiast strażnik straciłby pracę za przekazanie więźniowi pieniędzy, które mogły mu pomóc w ucieczce. Jimmy powiedział mi później, że nigdy w życiu nie widział na niczyjej twarzy wyrazu tak ogromnej ulgi.

– Gdzie moja ryba z frytkami? – zapytał funkcjonariusz, odzyskawszy równowagę.

– Musiałem zjeść, szefie – odparł Jimmy. – Inaczej by wystygła. – I wręczył mu pięćdziesiąt pensów reszty.

8.00 rano

Po śniadaniu wyruszam na poszukiwanie Stana (malwersacja, 21 000 funtów, osiemnaście miesięcy), malarza na naszym bloku. Pytam go, czy będzie tak uprzejmy i zajrzy do mojej celi, żeby mi poradzić, jak można ją ożywić. Wyjaśniam mu, że nie mogę już patrzeć na białe drzwi, czarny kwadrat wokół umywalki i czarną listwę przypodłogową.

– Zobaczą, co się da zrobić – mówi. – Ale nie mogę nic obiecać. Dostajemy farby z końcówek serii albo takie, których nikt inny nie chce.

9.00 rano

Garncarstwo. Obawiam się, że to przedsięwzięcie było błędem. Po prostu nie mam za grosz talentu do gliny. Zamierzam spytać Wendy, czy mogę zostać przeniesiony do biblioteki lub zajęć edukacyjnych. Wczoraj „The Sun” napisał, że staram się o miejsce w bibliotece zwolnione przez Dennisa (byłego właściciela firanek). Nawet nie wiedziałem, że pracował w bibliotece, ale skoro „Sun” podsunął mi taki pomysł, zapytam Steve’a (współdział w planowaniu morderstwa, szef biblioteki), czy ma wolną posadę. Tymczasem idę na zajęcia z garncarstwa i tracę dwie godziny na rozmowę z Shaunem (fałszerstwo). Trzeba jednak przyznać, że nie są to całkiem zmarnowane godziny, gdyż Shaun informuje mnie o postępach w pracy nad okładką i montażem portretów więźniów (zobacz rozdział „Ilustracje”). Poznaję też więcej szczegółów na temat jego przestępstwa.

Nie zdawałem sobie sprawy, że podrobione bony towarowe Johna Lewisa nie służyły wyłącznie do kupowania artykułów w sklepie. O nie, Shaun jest za

sprytny, aby używać ich w tak prostym celu. Odkrył, że jeśli nabywa się jakiś towar, płacąc bonem, sprzedawca wydaje resztę gotówką. Shaun dowiedział się też, że kiedy kupi się coś za 1000 funtów (widział, jak bokser Chris Eubank kupuje telewizor za autentyczne bony) i odda się produkt godzinę później, nie zwracają bonów. Znowu dostaje się do ręki gotówkę.

Uzbrojony w tę cenną wiedzę, Shaun zaopatrzył się w mapę Anglii (skwapliwie podaną przez usłużnego sprzedawcę) z zaznaczonymi sklepami sieci Johna Lewisa w całym kraju i ruszył w podróż, zamieniając bony na gotówkę w każdym mieście, jakie znalazło się na jego drodze. Złapano go, gdy jego współnik wpadł w panikę, poszedł na policję i go sypanął (jak się wyraził Shaun).

Zastanawiam się, co będzie robił Shaun po wyjściu na wolność. Wspominam o tym dlatego, że gdy rozmawialiśmy o starciu Kena Clarke'a z Iainem Duncanem Smithem, Shaun podzielił się ze mną spostrzeżeniem, które ani razu nie pojawiło się w debacie na temat wspólnej waluty europejskiej w wystąpieniach żadnego z kandydatów.

– Widziałeś kiedyś banknot euro? – zapytał mnie Shaun.

– Nie – przyznałem.

– Wygląda jak waluta z „Monopolu” i dość łatwo będzie go skopiować. Od pierwszego stycznia euro stanie się środkiem płatniczym w siedemnastu krajach Europy i założę się, że w większości sklepów nie będą potrafili rozpoznać fałszywki. Ktoś może na tym zarobić fortunę.

Przypominam sobie, że Shaunowi pozostały zaledwie trzy tygodnie do końca wyroku.

11.15 rano

Wracam do celi i moim oczom ukazują się beżowe drzwi, gustowny niebieski kwadrat wokół umywalki i kremowa listwa przy podłodze. Idę poszukać Stana, któremu wręczam kartę telefoniczną: cena – 2 funty, prawdziwa wartość – nieoceniona.

11.30 rano

Telefonuję do Pauli (Alison jest na urlopie) i ku swej ogromnej uldze dowiaduję się, że dotarła już do niej porcja tekstu z ostatnich dziesięciu dni. Skóra cierpienie na myśl, że musiałbym przepisywać te 30 000 słów. Można by zapytać, dlaczego nie sporządziłem kopii. Ponieważ nie mam dostępu do kopiarki. Wobec tego czemu nie przekazałem rękopisu mojej żonie, kiedy mnie odwiedziła? Ponieważ nie pozwalają na to więzienne przepisy. Pozostaje mi więc tylko zaufać poczcie, która jak dotąd mnie nie zawiodła.

12.00 w południe

Lunch. Ze smutkiem oglądam mecz, jedząc zupę jarzynową. Australia zbiera punkty w tempie czterech w jednej serii.

3.00 po południu

Spacer. Jimmy opowiada o swoich dziewczynach, a przypominam, że podczas ostatniego widzenia odwiedziły go trzy kobiety. Wyznaje, że swego czasu spał ze wszystkimi trzema – nie równocześnie, nie ma skłonności do perwersji, jest po prostu zdrowy – mimo to wcale nie wydrapały sobie oczu. Powinienem w tym miejscu wspomnieć o zakazanym temacie, o którym dotychczas nie napisałem ani słowa: o seksie, a raczej jego braku – chyba że ktoś jest homoseksualistą. Darren wspomina, że w Szwecji i Holandii więzienia pozwalają na tak zwane wizyty małżeńskie, których w naszym kraju nie praktykuje się od wielu lat. Obecnie władze radzą sobie z owym kłopotem w taki sposób, że wywieszają na tablicy komunikatów informację (zobacz poniżej) w nadziei, że problem sam się rozwiąże. Ciekawe, co wcześniej zostanie zalegalizowane: marihuana i haszysz czy wizyty małżeńskie.



MATERIAŁY OBSCENICZNE I OBRAŻLIWE

ZASADY POSTĘPOWANIA

Uważamy, że w Więzieniu Jej Królewskiej Mości Wayland należy zapewnić atmosferę, w której osoby odwiedzające, personel i więźniowie będą mogli

przebywać i pracować, nie narażając się na widok wyeksponowanych materiałów o charakterze pornograficznym.

Naszym celem jest poszanowanie godności personelu, odwiedzających oraz więźniów. Personel ma obowiązek zadbać o to, aby w naszym otoczeniu nie znalazły się żadne potencjalnie obraźliwe materiały.

W związku z tym zabrania się publicznego eksponowania wszelkich potencjalnie obraźliwych materiałów we wszystkich częściach więzienia.

RODZAJ MATERIAŁÓW OBJĘTYCH RESTRYKCJAMI

Zezwala się na posiadanie materiałów o treści niedwuznacznie seksualnej, np. czasopism o charakterze pornograficznym dostępnych w kiosku, lecz zabrania się ich eksponowania.

Zezwala się na umieszczanie na tablicach ogłoszeń dla więźniów zdjęć roznieglizowanych kobiet, z wyjątkiem zdjęć ukazujących pełną nagość. Na tablicach można także eksponować fotografie, ilustracje i inne materiały, jeśli spełniają określone powyżej kryteria.

Wszyscy przełożeni mają obowiązek dopilnować, aby w podległych im częściach więzienia nie eksponowano potencjalnie obraźliwych materiałów. Odnosi się to do całego budynku, włącznie z biurami, toaletami i innymi strefami „tylko dla personelu”.

Po dwóch tygodniach chodzenia wokół dziedzińca Wayland potrafię dostrzec zło, strach, bezradność i przygnębienie z odległości trzydziestu kroków. Lecz nawet ja jestem zaintrygowany widokiem mężczyzny, który codziennie tkwi przycupnięty w tym samym miejscu, skulony pod ogrodzeniem, zawsze sam. Ma niewiele więcej niż trzydzieści lat, może trzydzieści pięć, i rzadko opuszcza swe samotne stanowisko. Pytam o niego Darrena.

– To tragiczna postać – mówi. – Alistair to ktoś z twojego towarzystwa: prywatna szkoła, potem uniwersytet, ale kiedy go skończył, był już uzależniony od heroiny. Jeżeli nie zerwie z nałogiem, zostanie w więzieniu do końca życia.

– Jak to możliwe? – pytam.

– Całkiem po prostu. Regularnie przyłapują go na tym, jak wstrzykuje sobie herę, i za każdym razem dodają mu do wyroku kilka miesięcy. Nawet w dniu, kiedy trafił za kratki, znaleźli go z igłą wbity w rękę. Jakimś cudem, pewnie jeszcze przed ogłoszeniem wyroku albo zaraz po tym, jak go zabrali z sądu, udało mu się wsadzić sobie w tyłek igłę owiniętą celofanem, strzykawkę i dziesięć gramów heroiny opakowane w kondom. Potem wziął środek na przeczyszczenie, żeby się wypróżnić zaraz po przyjeździe do Belmarsh. Kiedy go wieczorem zaplombowali – pamiętaj, że w każdej celi jest toaleta – wstrzyknął sobie heroinę i padł. Podczas obchodu o dziewiątej⁴² klawisz na nocnej służbie zobaczył, że facet leży na podłodze z igłą wbity w ramię, a obok niego kilka gramów rozsypanej heroiny. To

jeden z tych niewielu więźniów, którzy zarobili dodatek do wyroku przed śniadaniem następnego dnia.

Spoglądam na tragiczną, przygarbioną postać, zastanawiając się, czy więzienie to najwłaściwsze rozwiązanie dla kogoś takiego.

6.00 wieczorem

Kolacja. Nie pamiętam, co jem, przypominam sobie jednak, że na parapiecie znalazłem dwa dodatkowe kartony mleka. Sergio korzysta ze swojej władzy w kuchence.

Dzień 38

Sobota, 25 sierpnia 2001

5.11 rano

Po przebudzeniu rozmyślam, jak spędziłbym długi sierpniowy weekend, gdybym nie siedział w więzieniu. Zaczynam się także zastanawiać, czy pobyt za kratami daje jakiegokolwiek korzyści. Oczywiście uwięzienie jest kolejnym z życiowych doświadczeń, które zdarzyło mi się akurat w okresie, gdy zacząłem odnosić wrażenie, iż drepczę w miejscu. Musiałem także wkładać dużo wysiłku w to, co robię. Osiągnąłem już jednak etap, w którym doświadczenia niewiele mi dają. Możliwe, że utknę tu na dłużej, toteż rozsądniej będzie mieć na podorędziu plan ucieczki – ucieczki myśli.

Ukończyłem już *Belmarsh: Piekło* i zapisałem 44 000 słów drugiej części dziennika *Wayland: Czyściec*. Niecierpliwie czekam na niebo, kiedykolwiek i gdziekolwiek miałbym do niego wstąpić.

8.15 rano

– *Buenos días* – mówię do Sergia, gdy podaje mi ugotowane jajko i grzanekę.

– *Buenos días* – powtarza. – *Cómo estas tú?*

Koncentruję się.

– *Yo estas bien, gracias.*

– *Bien, y tú?*

– *Bien gracias, y to?*

– *No, tú, tú, tú.*

– *Tú, tú, tú.*

– *Bueno.* Musimy się jeszcze dziś spotkać – dodaje Sergio. – Na następnej lekcji.

Co najmniej dziesięciu więźniów stojących w kolejce oraz trzech funkcjonariuszy dyżurujących za płytą do podgrzewania potraw przypuszcza, że po prostu uczę się hiszpańskiego, gdyż nie mamy ochoty zdradzać im, o czym naprawdę mówimy. Ale o tym później.

10.00 rano

Gimnastyka. Po raz pierwszy od skazania realizuję cały swój program ćwiczeń. Schudłem ponad pół kamienia i czuję, że jestem w znacznie lepszej formie. Kiedy zamierzam iść pod prysznic, do celi zagląda King z wiadomością, że naczelnik chce ze mną zamienić parę słów. Rozmawiałem już dotąd z trzema osobami używającymi tego tytułu, lecz żadna z nich nie była panią Cawley, czyli głównym naczelnikiem. Czyżbym w końcu miał ją poznać? Nie. Tym razem spotykam się z Greenacre'em, którego nie było mi jeszcze dane widzieć. Informuje mnie:

– Odwiedzi pana przełożony funkcjonariuszy z Belmarsh. – Niemożliwe, żeby mieli mnie tam odesłać, myślę w pierwszej chwili. – Prowadzą tam dochodzenie w sprawie kradzieży rozdziału pańskiej książki.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że Trevor Kavanagh z „The Sun”, nestor dziennikarzy z działu politycznego, zwrócił Mary skradzione siedem stron. Dobrze zna prawo autorskie.

Oczywiście zastępca naczelnika komunikuje mi o dochodzeniu tylko pro forma. Przecież w żaden sposób się nie dowiedzą, który z funkcjonariuszy chciał szybko zarobić trochę forsy. Kłopot Służby Więziennej polega na tym, że Trevor za nic nie ujawni swego źródła.

Wracając do gościa z Belmarsh – Greenacre mówi, że mam się spodziewać wizyty szefa ochrony we wtorek rano, co oznacza, że przy odrobinie szczęścia uda mi się wykręcić od garnkarstwa. Zdam relację z tej rozmowy we wtorek.

11.00 rano

Spacer. Po gimnastyce wciąż bolą mnie nogi, toteż z ogromnym trudem dotrzymuję kroku Jimmy'emu (dwadzieścia dziewięć lat) i Darrenowi (trzydzieści pięć lat), którzy rażno maszerują wokół dziedzińca – ale za nic się do tego nie przyznam. Moi towarzysze gawędzą o oryginalnym wykorzystaniu lusterek. W każdej celi jest stalowe lustro o wymiarach pięć na pięć cali, przyśrubowane do ściany. Jimmy opowiada o dwóch Antylczykach, którzy złożyli się na zakup

dużego radiomagnetofonu i dwóch głośników, a potem wpadli na pomysł, jak słuchać tej samej muzyki w dwóch celach.

Pierwszy z więźniów podważył i zdjął ze ściany lusterko, a następnie przewłókł przewód przez niewielki otwór narożny. Co wieczór po dziewiątej, po obchodzie, jednym ruchem wysuwał lusterko przez szparę pod drzwiami na korytarz, aż znalazło się pod drzwiami cali naprzeciwko. Po kilku dniach nabrał takiej wprawy, że czynił to ze zręcznością mistrza koszykarskich wsadów.

Drugi więzień dołączał przewód do swojego głośnika i w ten sposób słuchali tej samej muzyki z jednego źródła. Pomysłowe, ale – jak powie mi każdy mieszkający milę od więzienia – niepotrzebne, ponieważ w cichy wieczór przy dobiegającej z Wayland muzyce można tańczyć w ratuszu we Freiston.

12.00 w południe

Lunch. Anglia ma 200 punktów przy 3 wyeliminowanych graczach i dzielnie walczy. Podczas przerwy odwiedzam Sergia w celi. Bez zbędnych słów informuje mnie, że rozmawiał z bratem w Bogocie. Sergio zawsze mówi w takim tempie, jakby mu zostało tylko dziesięć impulsów na karcie. Oczywiście może się okazać, że jest zwykłym oszustem, który nie ma żadnego zamiaru znaleźć dla mnie Botera.

W każdym razie nic się nie da zrobić, dopóki Sergio nie skończy odsiadywać wyroku. Ma zostać deportowany 27 września, czyli za miesiąc, i wtedy mamy opracować plan zakupu dzieła Botera. Bez względu na rezultat będę na bieżąco relacjonował tę sprawę.

3.00 po południu

Strzyże mnie Matt (podpalenie w celu wyłudzenia ubezpieczenia, nie udało mu się przekonać ani przewodniczącego Cornhilla, ani przysięgłych, został skazany na trzy lata). Matt jest znany jako najlepszy fryzjer w więzieniu. Strzyże się u niego nawet kilku funkcjonariuszy. W więzieniu, w którym Matt odsiadywał karę za poprzednie przestępstwo, zapisał się na kurs fryzjerstwa, jest więc prawie zawodowcem. Ma odpowiedni sprzęt i już po kilku chwilach siedzenia na krzeselku w korytarzu pod drzwiami jego celi nie mam wątpliwości co do jego kwalifikacji. Muszę się nieco ogarnąć przed piątkiem, gdy znów odwiedzą mnie Mary i William. Nie zapomniałem, że podczas ostatniej wizyty w Wayland Mary zwróciła uwagę na długość moich włosów.

Skończywszy pracę nad moją fryzurą, Matt wyciąga drugie lusterko, abym mógł obejrzeć tył głowy. Nie jest wprawdzie Danielem Hershesonem, ale za dziesięć impulsów na karcie telefonicznej wywiązuje się z zadania niewiele gorzej od niego.

6.00 wieczorem

Pod koniec rozgrywki Anglia ma 314 punktów przy 8 wyeliminowanych zawodnikach. 124 zdobył po zaciętej walce Ramprakash przy pomocy Gougha, który starał się ze wszystkich sił, aby drużyna uniknęła dodatkowej rundy. Kiedy obaj schodzą do szatni, Anglii brakuje 31 punktów, żeby Australia znów przeszła do obrony.

Dwa lata temu Darren Gough poprosił mnie o poprowadzenie aukcji zorganizowanej przy okazji przyjęcia na jego cześć, które odbywało się w londyńskim hotelu Dorchester. Jestem zagorzałym kibicem Darrena, więc chętnie się zgodziłem. Data tego wydarzenia przypadła jednak w środku mojego procesu. Sędzia Potts wyraźnie dał do zrozumienia mojemu obrońcy, że nie będę mógł dotrzymać obietnicy, choć moje nazwisko zostało już wydrukowane w programie. Przecież przysięgli mogliby pomyśleć, że udzielam się w działalności dobroczynnej, a podejrzewam, iż byłaby to ostatnia rzecz, jakiej pragnąłby sędzia Potts.

Jestem w podłym nastroju, postanawiam więc wykorzystać pozostałe dziesięć jednostek na karcie na telefon do Mary. Nikt nie podnosi słuchawki. Nie mogę się skontaktować z Williamem ani Jamesem, gdyż obaj są za granicą. Siedzę na łóżku, przypominając sobie aforyzm La Rochefoucauld: „Rozłąka osłabia mierne uczucie, a wzmaga wielkie, jak wiatr gasi świecę, a rozpala ogień”.

Dzień 39

Niedziela, 26 sierpnia 2001

6.16 rano

Niedziela zawsze jest najdłuższym dniem w więzieniu. W Wayland brakuje personelu i więźniom nie pozostaje do roboty nic innego, jak wpatrywać się w telewizory, które są w każdej celi. W Belmarsh wyjście na nabożeństwo dawało chwilę swobody i wytchnienia od zamknięcia, lecz w Wayland można opuścić celę, nie mając żadnego konkretnego zajęcia. Zaznaczam, że z dwojga złego zdecydowanie wolę być w Wayland, niż siedzieć zamknięty w celi Belmarsh przez dwadzieścia dwie godziny dziennie. Piszę przez dwie godziny.

8.20 rano

Śniadanie. Stojąc w kolejce, wdaję się w rozmowę z Antylczykiem, który zajmuje celę w moim korytarzu. Pyta, czy mógłby dostać „Timesa” i „Sunday Timesa”, gdy już je przeczytam. Zgadzam się spełnić jego prośbę, jeżeli w zamian pokaże mi, jak mam sprzątać podłogę w celi. Wspominam o tym dlatego, że Antylczycy mają najczystsze cele. Nie zadowolają się zmiotaniem kurzu i brudu, ale całymi godzinami polerują linoleum, aż mogą się w nim przejrzeć. Mimo że co dzień chodzę pod prysznic, golę się i ubieram w czyste rzeczy, a także ścielę łóżko i kładę wszystko na swoim miejscu przed otwarciem drzwi o 8 rano, nigdy nie wyglądam tak schludnie i nie mam takiego porządku w celi jak Antylczycy w moim bloku.

9.30 rano

W drodze do biblioteki dostrzegam idącego przede mną człowieka, który napawa mnie lękiem. Ma złą twarz i jest jednym z więźniów, którzy z dumą mówią o sobie, że są zawodowymi przestępcami. Jest złodziejem, dlatego z niejakim zdziwieniem konstatuje, że zmierza do biblioteki, trzymając pod pachą kilka albumów w błyszczących okładkach. Staram się odczytać tytuły na grzbietach: *Encyklopedia antyków, Poznaj swoje antyki* oraz *Antyki na współczesnym rynku*.

– Interesujesz się antykami? – pytam niewinnie.
– Aha, prowadzę dokładne badania.
– Chcesz się zająć handlem antykami po zakończeniu wyroku?
– Można tak powiedzieć – potakuje. – Mam już dość takich numerów, że zbieram fanty, a potem się okazuje, że są gównem warte. Odtąd będę wiedział, czego szukać, no nie?

Można by pomyśleć, że pięć tygodni przebywania wśród kryminalistów dzień i noc nauczyło mnie już tyle, że nic nie wprawi mnie w zdumienie. Znów przypominają mi się słowa Lisy Dada o pogardzie dla złodziei, prócz tego uświadamiam sobie własną naiwność.

10.00 rano

W bibliotece zaczynam rozmawiać ze starszym więźniem imieniem Ron (rzeczywiście uszkodzenie ciała). Większość współwięźniów twierdzi, że nie chcą już nigdy wrócić za kraty, zwłaszcza starsi, którzy mają za sobą długie wyroki. Często się jednak zastrzegają: „To nie znaczy, że się tu nie znajdę, Jeff. Człowiek z kryminalną przeszłością nie ma prawie żadnych szans na znalezienie pracy, idzie więc na zasilek, dopóki nie wróci na drogę przestępstwa”.

Ci, którzy wychodzą z więzienia z ustawową kwotą 90 funtów w kieszeni,

nie mają w najbliższej perspektywie stałego miejsca zamieszkania ani pracy, to błędne koło. Nie znam rozwiązania, choć zgadzam się, że niewiele można zrobić dla ludzi naprawdę złych, a także tych, których głupota jest cechą wrodzoną. Ale pracodawcy zamykają drzwi również przed ludźmi, którzy pierwszy raz popełnili przestępstwo i po wyjściu na wolność chcieliby spróbować ułożyć sobie życie na nowo.

Zgadzam się, że na specjalne traktowanie może zasługiwać tylko około 20 procent więźniów, chciałbym jednak, aby ktoś zaproponował jakieś wyjście tej grupie, zwłaszcza przestępcom wcześniej niekaranym. A ilu czytelników tego dziennika może szczerze przyznać, że nigdy nie popełniło przestępstwa? Mam na myśli takie wykroczenia jak na przykład:

- a) palenie marihuany lub haszyszu (5 milionów), cracku (300 000), heroiny (250 000),
- b) kradzież – czegokolwiek,
- c) fałszowanie własnych wydatków,
- d) jazdę autobusem lub pociągiem bez wykupionego biletu,
- e) zatajenie części dochodów w zeznaniu podatkowym,
- f) prowadzenie samochodu po spożyciu większej od dopuszczalnej ilości alkoholu,
- g) prowadzenie pojazdu bez opłaconego podatku drogowego lub ubezpieczenia,
- h) przywiezienie czegoś z zagranicy bez opłacenia cła.

Odkryłem niedawno, że ludzie mający na sumieniu takie wykroczenia to często hipokryci uchodzący za największych świętoszków, do których należy także pewien redaktor naczelny znaczącego dziennika. Tylko ludzie na wskroś uczciwi traktują innych przyzwoicie, jak się przekonałem z tysięcy listów, które otrzymałem w ciągu kilku ostatnich tygodni.

10.45 rano

Nabożeństwo. W kaplicy znów jest zaledwie jedenastu wiernych. Dziś komunia święta, lecz nie jestem pewien, czy podoba mi się jej współczesna wersja. Chyba się starzeję, a przynajmniej robię się staroświecki.

Mszę celebruje John Framlington, który w długiej białej szacie, z siwą brodą i siwymi włosami prezentuje się olśniewająco. Musiał już dawno przekroczyć siedemdziesiątkę i wygląda jak prorok. Miejscowy przedstawiciel Armii Zbawienia wygłasza kazanie, którego przesłanie ma nam uświadomić, że choć popełniamy błędy, nie znaczy to, iż nie możemy dostąpić zbawienia. Wygłosiwszy naukę, razem z Johnem rozdają swej trzódce chleb i wino. W trakcie ostatniej pieśni John przechodzi między ławkami i znika. Wszyscy stoimy, nie bardzo wiedząc, co robić.

Zza organów zerka na nas kobieta, która postanawia grać dalej. Nagradzamy jej dzielny gest, powtarzając ostatni wers. Kiedy wybrzmiewają ostatnie słowa pieśni *O Blessed Jesu, Save Us*, do kaplicy wraca biegiem John. Odwraca się do wiernych, przeprosza, udziela nam błogosławieństwa i ponownie znika. Dobry z niego człowiek i niezwykle szlachetnie z jego strony, że co niedziela poświęca swój czas takiej menażerii jak my.

11.45 rano

Gdy po nabożeństwie wracam do swojego bloku, okazuje się, że nie możemy wejść do celi, bo są zamknięte. Przed wejściem do korytarza zbiera się już spora grupka, a Darren informuje mnie, że rewidują nasze cele w poszukiwaniu kart telefonicznych. Zdaje się, że jeden z więźniów zdrapał srebrny pasek u góry karty (zobacz rozdział „Ilustracje”), dzięki czemu jeden impuls wystarcza na dłużej. Można by uznać, że to drobne wykroczenie, zważywszy na fakt, że jesteśmy w jaskini złodziei. Trzeba jednak pamiętać, że zapłaci za to następna osoba korzystająca z telefonu, ponieważ British Telecom automatycznie pobierze z jej karty skradzione impulsy. Rezultat: następny więzień zostanie nabity w butelkę.

Tego ranka kolejną osobą korzystającą z automatu był gadatliwy Antylczyk imieniem Carl (ciężkie uszkodzenie ciała), który straciwszy w ciągu kilku sekund ostatnie dziesięć jednostek na karcie, ruszył do biura, przez całą drogę rzucając soczystymi przekleństwami. Błyskawicznie zamknięto blok, a Carl bezwiednie dał „oddziałowi rewizyjnemu” pretekst do przeszukania dobytku wszystkich więźniów.

W końcu furta się otwiera i z korytarza wychodzi trzech funkcjonariuszy z workiem pełnym łupów. Podejrzewam, że nie znaleźli poszukiwanej karty telefonicznej, ale na pewno parę innych niedozwolonych przedmiotów. Wchodzę do celi, przekonując się, że moich rzeczy w ogóle nie dotykano. Nawet rękopis leży dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawiłem. Traktuję to jako przejaw szacunku.

12.00 w południe

Lunch. Anglia gromadzi 40 punktów, tracąc 1 zawodnika, lecz złowroźnie ciemne chmury, które pojawiły się nad Wayland, nadciągają także nad stadion Oval. Otwieram niedzielne gazety. „Sunday Mirror”, ostoją rzetelności, informuje czytelników, że bronilem się przed atakiem współwięźnia kijem krykietowym. Zdałem tu pełną relację z całego meczu i jedyną rzeczą, której próbowałem zagrozić – i to bez większego powodzenia – była piłka. W dalszej części artykułu znajduję sensacyjną wiadomość, jakobym płacił za ochronę niejakiemu Matthew McMahanowi. W Wayland nie ma więźnia, który by się tak nazywał. Podobno

płacę mu kartami telefonicznymi za 5 funtów. Nie ma takich kart. Najzabawniejsze jest jednak to, że niektórzy więźniowie są wstrząśnięci tymi rewelacjami: przypuszczali, że gazety podają sprawdzone informacje, i dopiero kiedy tu zamieszkałem, uświadomili sobie, jak nierzetelna może być prasa.

2.00 po południu

Spacer. Zamiast na czterdzieści pięć minut wolno nam wyjść na całą godzinę, co wszyscy witają z zadowoleniem. Wielu więźniów podkpiwa sobie ze mnie, obiecując, że chętnie będą mnie chronić, jeżeli dam im kartę za 5 funtów. Niektórzy pytają, skąd mam 5-funtowe karty, skoro reszta ma tylko karty po 2 funty. Inni dodają, że jeśli tylko będę miał ochotę, mogę ich uderzyć kijem do krykieta. Przyznaję, że wcale nie byłoby mi do śmiechu, gdyby nie towarzyszyli mi Jimmy i Darren. Żaden człowiek nie pozostaje niewzruszony, będąc obiektem żartów za kratami i na wolności. Jimmy także czytał artykuł w „Sunday Mirror”, ale zastanawia się przede wszystkim nad pytaniem, której ze stron uwierzyć po ostatniej kłótni Kena Clarke’a i Iaina Duncana Smitha o kwestię imigracji. Zapewniam Jimmy’ego o jednej rzeczy: mimo że wyniki wyborów przewodniczącego torysów zostaną ogłoszone oficjalnie dopiero za dwa tygodnie (12 września), 70 procent z liczącego 318 000 osób elektoratu oddało już głosy i mogę ręczyć, że nowym przewodniczącym partii jest już IDS⁴³.

- Mogę zaryzykować i postawić na niego? – pyta Darren.
- Tak, jeżeli znajdziesz głupca, który przyjmie zakład.
- U bukmachera na naszym skrzydle Duncan Smith jest obstawiany jeden do trzech.
- To całkiem dobre notowania, bo nie można przegrać, chyba że padnie trupem.
- Bukmacher czy Iain Duncan Smith? – pyta Jimmy.
- Albo jeden, albo drugi – mówię.
- Dobra – powiada Darren. – Wobec tego gdy tylko wrócimy na blok, postawię na Duncana Smitha trzy batoniki Mars.

4.00 po południu

Odwiedzam w celi Sergia, który udziela mi lekcji na temat szmaragdów. Wrócę do tego później. Sergio cierpliwie tłumaczy mi, że szmaragdy są dla Kolumbii tym, czym diamenty dla RPA. Po wykładzie pytam, czy jego brat mógłby się wystarać dla mnie o najszlachetniejszy szmaragd. Wygląda na zaskoczonego.

- Jaką cenę masz na myśli? – pyta.
- Około dziesięciu tysięcy dolarów – odpowiadam.

Kiwa potakująco głową.

– Zobaczą, co się da zrobić. – Spogląda na zegarek i dodaje: – Zaraz porozmawiam z bratem.

5.00 po południu

W niedzielę na kolację zawsze podają paczkę chrupek i mus cytrynowy. Dziś jednak dostajemy po dwa opakowania musu, bo, jak zauważam, termin ważności upłynął 25 sierpnia.

7.00 wieczorem

Nareszcie w telewizji coś wartego oglądania. *Wiktoria i Albert* w doborowej obsadzie: Nigel Hawthorne, Diana Rigg, Peter Ustinov, Jonathan Pryce, David Suchet, John Wood i Richard Briers.

Uświadamiam sobie, jak bardzo brakuje mi spektakli na żywo, choć czasem wydaje mi się, że oglądam wystarczająco dużo dramatów w „królewskim teatrze” Wayland.

Dzień 40

Poniedziałek, 27 sierpnia 2001

6.08 rano

Minęło czterdzieści dni i czterdzieści nocy, po których wzorem Pana naszego uznaję, że czas już opuścić pustynię i wracać do pracy, choć mamy dzień wolny. Piszę przez dwie godziny.

8.15 rano

Śniadanie. Corn Pops (dla odmiany), mleko UHT i kromka chleba z dżemem. Patrzą na Murzynka na słoiku. Czytałem wczoraj w jednej z gazet, że jego wizerunek nie jest już politycznie poprawny i zastąpi go jakaś postać stworzona przez Roalda Dahla i narysowana przez Quentina Blake'a. Lubię Murzynka, towarzyszy mi wiernie od lat. Jako człowiek wolny od wszelkich uprzedzeń muszę przyznać, że świat chyba oszalał.

9.00 rano

Dzwonię do Mary, która jest wściekła na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Winston Churchill napisał do ministra spraw wewnętrznych, Davida Blunketta, pytając, dlaczego nadal jestem w więzieniu kategorii C, i otrzymał odpowiedź od Stephena Harrisona, sekretarza Davida Blunketta, ze stwierdzeniem, iż pani Archer „jest przekonana, że na nic więcej nie można obecnie liczyć”. Widocznie urzędnicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie słuchają programu *Today* ani nie czytają żadnych gazet. Nie wróży to dobrze sytuacji więźniów, którzy nie mają oddanej rodziny. Mary jeszcze dziś napisze do Martina Nareya i wyjaśni nieporozumienie. Mój adwokat nie otrzymał odpowiedzi od nadinspektora Perry’ego, który być może nie wrócił jeszcze z urlopu. Mary napisała także do naczelnika Wayland – również brak odpowiedzi. Dobrze, że nie siedzę w więzieniu w Rosji.

Opuściłem już skrzydło przejściowe, wolno mi więc używać własnego talerza, miski i kubka. Mary obiecuje wysłać mi te rzeczy jeszcze dziś. Nie mogę się doczekać chwili, gdy wreszcie będę się mógł pozbyć zastawy z szarego plastiku, chociaż wiem, że nie pozwolą mi wymienić plastikowego noża, widelca i łyżki. Mary mówi, że wciąż nadchodzą setki listów z poparciem, i obiecuje przysłać mi część z nich wraz z listą przyjaciół, którzy pragną mnie odwiedzić. Potwierdza, że chce przyjechać do mnie z Williamem w piątek.

9.15 rano

Blok A rozgrywa mecz piłki nożnej z blokiem C i Jimmy (kapitan wszystkiego) pyta, czy chcę być sędzią liniowym, ponieważ dzięki temu będę mógł wyjść z celi co najmniej na godzinę. To bardzo miłe z jego strony, ale wyznaję, że nie znam zasad, a chyba chodzi o coś więcej niż machanie chorągiewką, kiedy piłka opuszcza boisko. Na szczęście jeden z naszych rezerwowych świetnie zna reguły gry i cały czas jak cień biega ze mną wzdłuż linii, sprawiając więc wrażenie całkiem kompetentnego sędziego.

Sygnalizuję pozycję spalonego, a pierwszym zawodnikiem, który się na niej znalazł, jest Jimmy, ale nie protestuje i natychmiast unosi rękę. Na boisku nikt nie ukryje prawdy o swoim charakterze.

Do połowy przegrywamy dwiema bramkami. W drugiej części odrabiamy jednego gola, a tuż przed końcowym gwizdkiem Carl (poważne uszkodzenie ciała, kłopoty z kartą telefoniczną) doprowadza do remisu, popisując się potężnym strzałem z dwudziestu jardów. Carl zajmuje celę obok mojej, mogę się więc spodziewać, że w korytarzu usłyszę kilka malowniczych opisów tej akcji, a odległość, z jakiej zdobył bramkę, będzie rosła z dnia na dzień.

12.15 po południu

Lunch. Wegetariańska kiełbaska zapiekana w cieście i groszek.

3.00 po południu

Spacer. Po dwóch okrążeniach do Darrena, Jimmy'ego i mnie podchodzi grupka wyglądająca jak banda łobuzów, której hersztem jest krępy młodzieniec wzrostu pięciu stóp i sześciu cali, z kolczykami w uszach i dwoma w nosie. Spojrzawszy na widoczne fragmenty jego szyi, ramion i piersi, dochodzę do wniosku, że na jego ciele pozostało niewiele miejsca na nowy tatuaż. Kiedy otwiera usta, co drugie słowo pada „kurwa”. To akurat nie może mnie zaszokować, ale zaskakuje mnie bijąca od niego woń alkoholu. Zwykle w takich sytuacjach spokojnie i uprzejmie odpowiadam na wszystkie pytania. Słyszałem już dość dużo opowieści o więźniach, którzy pod byle pretekstem zostali zaatakowani nożem na spacerniaku. Ale nie padają żadne pytania, tylko ordynarne wyzwiska pod adresem moim i mojej żony, niewiele więc mogę powiedzieć. Jimmy i Darren podchodzą bliżej mnie – to niedobry znak – lecz po kolejnym okrążeniu opryszek i jego czteroosobowy gang wycofują się i siadają pod ogrodzeniem, posyłając nam stamtąd wściekle spojrzenia.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych postąpiłoby całkiem rozsądnie, gdyby zaprosiło Darrena do jednej ze swoich komisji, aby doradzał resortowi w sprawach więziennictwa. W końcu ma o wiele lepsze rozeznanie od Stephena Harrisona i co za tym idzie ministra spraw wewnętrznych. Po pobycie w domu poprawczym i odsiedzeniu dwóch wyroków w więzieniu Darren mógłby niemało wnieść do dyskusji na temat narkotyków. Mówi, że gdy piętnaście lat temu pierwszy raz trafił za kraty, około 30 procent więźniów paliło marihuanę i haszysz, a tylko 10 procent brało heroinę.

– A dzisiaj? – pytam.

– Około dwudziestu–trzydziestu procent dalej pali trawę, ale tyle samo, jeśli nie więcej, bierze twarde narkotyki. I dopóki obowiązują dzisiejsze przepisy, nic się z tym nie da zrobić. W zeszłym tygodniu jeden więzień wrócił z pierwszej przepustki do miasta, przemycając ukrytą w tyłku porcję heroiny wartą pięćset funtów. Wszyscy narkomani w więzieniu wiedzieli o towarze już po godzinie. Ci, których było na to stać, palili i szprycowali się przez całą noc.

– Ale ten więzień, nie mówiąc o jego klientach, zostanie rzecz jasna złapany?

– Na drugi dzień rano przesłuchał go oddział narkotykowy. Nie mogli mu niczego udowodnić, ale aż do zwolnienia nie dostanie ani jednej przepustki do

miasta – z powodu „uzasadnionych podejrzeń”.

– Frajer – dorzuca Jimmy, który wychodzi do miasta raz w miesiącu. – Niektórzy z nich zrobią wszystko...

Banda opryszków postanawia do nas wrócić, znów więc muszę stawić czoło fali przekleństw. Czasami żałuję, że sędzia Potts nie może mi towarzyszyć w choćby jednej rundzie wokół więziennego dziedzińca, ale już za późno, moja sprawa była ostatnią w jego karierze, którą pragnął zakończyć z wielkim hukiem. Gdy wzywają nas do budynku, bez żalu wracam do spokojnej i bezpiecznej celi.

4.07 po południu

Zjawia się Sergio, by zrelacjonować mi swoją rozmowę z bratem w Bogocie.

– Jutro pojedzie w zielone góry i wybierze szmaragd – obiecuje. Potem jego brat ma wycenić i ubezpieczyć kamień. Wyśle także złoty łańcuszek (18 karatów). Ich cena wynosi tam jedną dziesiątą ceny w Anglii. Zapewniam Sergia, że jeśli zdecyduję się na zakup, przeleję pieniądze bezpośrednio na jego konto w banku nazajutrz po jego deportacji. Oznacza to, że musi mnie obdarzyć ogromnym zaufaniem, ale przystaje na warunki bez protestów. Zgadza się, że nie możemy przeprowadzić transakcji, dopóki obaj siedzimy w więzieniu. Jeżeli mu się uda, będę skłonny bardziej uwierzyć, że potrafi zdobyć Botera za rozsądną cenę.

5.00 po południu

Rozgrywam z Darrenem dwie partie tryktraka, ciesząc się, że znalazłem dziedzinę, w której mogę być od niego lepszy. Bierze odwet, rozwiązując przed kolacją krzyżówkę w „Timesie”.

6.00 wieczorem

Kolacja. Grzanka z fasolką i dodatkowy mus cytrynowy noszący wczorajszą datę ważności.

7.00 wieczorem

Oglądam ostatnią część *Wiktorii i Alberta*, której każda minuta sprawia mi prawdziwą przyjemność.

10.00 wieczorem

Darren pożyczka mi swój *Informator więzienny* – rodzaj ekskluzywnego

przewodnika po zakładach karnych w Anglii i Walii. Przyznaję rację Meanwellowi, który uważa, że po przywróceniu kategorii D powinienem złożyć prośbę o umieszczenie w Spring Hill w Buckinghamshire, więzieniu otwartym położonym w najdogodniejszej odległości od Londynu i Cambridge.

Dzień 41

Wtorek, 28 sierpnia 2001

6.00 rano

Piszę przez dwie godziny.

8.15 rano

Śniadanie. Znów Shredded Wheat. Zjadam jedną porcję, drugą zostawiam.

9.00 rano

Garncarstwo. Zabieram na zajęcia nową książkę – *Arts and Artist*, aby skrócić sobie te dwie godziny. Nikomu nie przeszkadza, że nie pracuję nad rzeźbą, dopóki zajmuję się zgłębianiem jakiejś formy artystycznego wyrazu.

Shaun wydaje się nieswój, choć może to po prostu melancholia pogrążonego w rozmyślaniach artysty. Po godzinie malowania otwiera szkicownik i pokazuje mi wspaniały rysunek pejzażu Wayland (dość ponurego) oraz rysunek przedstawiający więzienne drzwi. Następnie wyjawia powód swego przygnębienia. Kuratorzy postanowili, że nie założą mu lokalizatora i nie zwolnią go dwa miesiące wcześniej, ponieważ nie stawiał się w sądzie⁴⁴. To dwumiesięczne opóźnienie może jednak nam obu przysporzyć kłopotów. Jakość papieru, ołówków, pasteli i farb dostępnych w Wayland odbiega od standardów profesjonalnych, dlatego być może trzeba będzie zwrócić się do kogoś z działu plastycznego o pomoc w zdobyciu niezbędnych materiałów. Shaun będzie musiał wybrać osobę, która wierzy w jego talent, ale – co ważniejsze – musi mnie obdarzyć zaufaniem i uwierzyć, że zapłacę mu w listopadzie, gdy zostanie zwolniony. Któryś z instruktorów mówi mi później, że Shaun jest najbardziej utalentowanym więźniem, jakiego poznali od początku pracy w więzieniach. Naszą rozmowę przerywa wejście funkcjonariusza, który przynosi wiadomość, że wzywają mnie do recepcji.

10.12 rano

W sali z wygodnymi krzesłami czeka na mnie starsza funkcjonariuszka z Belmarsh. Naczelnik Belmarsh zlecił jej przeprowadzenie dochodzenia w sprawie kradzieży siedmiu stron mojego dziennika. Czytelnik przypomina sobie zapewne, że Trevor Kavanagh, redaktor działu politycznego „The Sun”, oddał ów rękopis Mary, która z kolei przekazała siedem stron mojemu prawnikowi.

Funkcjonariuszka zaznacza na wstępie, że pracuje w Służbie Więziennej już prawie dwadzieścia lat, dodając, iż nie przyjechała tu zatuszować sprawy. Daje mi do zrozumienia, że tekstu nie mógł ukraść żaden z więźniów, którzy nie mają dostępu do kserokopiarek. Przyznaje wręcz, że krąg podejrzanych skurczył się do dwóch funkcjonariuszy.

Następnie wręcza mi kserokopię siedmiu pierwszych stron dziennika. Przeczytawszy zaledwie parę linijek, przypominam sobie czarną rozpacz, jaka ogarnęła mnie na początku pobytu w Belmarsh. Potwierdzam, że napisałem to pierwszego dnia, gdy zostałem umieszczony w skrzydle medycznym, lecz nie mam pojęcia, kiedy je zabrano i zwrócono ani kto mógł to uczynić. Przypominam sobie jedynie, że w ciągu pierwszej doby opuściłem celę tylko raz, wychodząc na czterdziestopięciominutowy spacer. Funkcjonariuszka kiwa głową, jak gdyby nie tylko świetnie wiedziała, kiedy opuściłem celę, ale także ile minut przebywałem poza nią.

– Potem został pan odprowadzony do bloku B, gdzie zaczął pan okres przystosowawczy. Miał pan wtedy rękopis przy sobie?

– Tak, co trzy, cztery dni wysyłałem tekst mojej asystentce, ale oczywiście wcześniej sprawdzał go Roy, cenzor, którego poznałem dopiero trzeciego dnia, więc to nie mógł być on.

– Nie, to na pewno nie Roy – przytakuje. – „Sun” dostał ten materiał następnego dnia rano. Zresztą Roy ma dość oleju w głowie i wie, co to jest prawo autorskie. Ktokolwiek to zrobił, musiał być zaskoczony i zawiedziony, że „Sun” nie chwycił przynęty.

Wychodzi po godzinie, obiecując poinformować mnie o wyniku śledztwa⁴⁵.

12.15 po południu

Lunch. Zupa jarzynowa i czekoladowy wafel. Sergio ukradkiem podsuwa mi banana.

2.00 po południu

We wtorkowe popołudnia muszę chodzić na zajęcia edukacyjne, aby odrobić

pięć lekcji tygodniowo.

Dział edukacji znajduje się obok biblioteki i zaraz po wpisaniu się na listę zgodnie z poleceniem zgłaszam się w sali numer jeden. W klasie jest dwadzieścia niedużych stolików ustawionych w kształcie podkowy zwróconej w kierunku nauczycielki, która nazywa się Jocelyn Rimmington i przypomina postać, którą w swych powieściach opisuje Evelyn Waugh. Jej praca nie należy do łatwych, ale Jocelyn radzi sobie z nią niezwykle umiejętnie i pomysłowo. Łącznie ze mną ma ośmiu podopiecznych. Więzień, z którym rozmawia, uczy się podstaw angielskiego, żeby móc przystąpić do egzaminu na hydraulika. Jego kolega siedzący po prawej czyta Chaucera w ramach nauki do matury z angielskiego, a więzień po lewej uczy się czytać i pisać. Pozostali czterej chcą uzyskać świadectwo ukończenia szkoły średniej. Pani Rimmington przechodzi wolno od stolika do stolika, odpowiadając na wszystkie pytania uczniów, aż w końcu dociera do mnie.

– Wendy mówiła, że pisze pan następną książkę.

– Owszem – przytakuję.

– Jej zdaniem powinien pan dalej nad nią pracować, dopóki nie postanowimy, co z panem zrobić.

Nie protestuję; zresztą nie ma sensu przekonywać tej przemilej kobiety, że wolałbym robić coś pożyteczniejszego. Wydaje się jasne, że i Wendy Sergeant, która kieruje działem edukacji, i jej przełożonym brakuje wyobraźni szefów edukacji w Belmarsh, którzy pod koniec pierwszego tygodnia mojego pobytu w więzieniu powierzyli mi prowadzenie kursu kreatywnego pisania.

5.00 po południu

Kolacja. Jem bardzo niewiele, ponieważ chcę jeszcze dziś iść na gimnastykę, a została mi tylko tura o szóstej.

6.00 wieczorem

Gimnastyka. Realizuję cały program głównie dlatego, że połowa stałych bywalców gra w piłkę nożną na boisku. Dziś jest ostatni sprawdzian przed ostatecznym ustaleniem składu na pierwszy mecz w niedzielę. Nie mogę iść na stadion Lorda na pierwszy dzień finału między Somerset a Leicester, musi mi więc wystarczyć mecz Wayland kontra reprezentacja bazy lotniczej Methwold.

7.30 wieczorem

Naciskając wielokrotnie guzik, biorę naprawdę długi prysznic, a potem

wracam do celi i wycieram się cienkim zielonym ręczniczkiem. Puka Sergio, wchodzi, opada na łóżko i bez żadnych wstępów rozpoczyna następny wykład na temat szmaragdów.

– Siedemdziesiąt procent szmaragdów na świecie pochodzi z Kolumbii – oznajmia. – W Bogocie codziennie zmienia właścicieli ponad dwadzieścia tysięcy kamieni. Pod względem popularności i wartości szmaragdy ustępują tylko brylantom, ale ich wielkość określa się w ten sam sposób (podając liczbę karatów). Najpiękniejsze kamienie nazywa się „kroplami oliwy”, bo kiedy spojrzy się do wnętrza, widać właśnie coś takiego. Musimy znaleźć co najmniej czterokaratowe cacko, w którym dokładnie będzie widać kroplę oliwy. Cena może się wahać zależnie od jakości – kontynuuje – od kilkuset dolarów do kilku milionów.

Przewiduje, że kamień wybrany przez jego brata może być wysłany do Londynu już w przyszłym tygodniu. Sergio chodził do jednej szkoły z siostrzenicą właściciela „góry”, dlatego ma nadzieję, że bratu uda się przeprowadzić transakcję osobiście, bez udziału pośredników. Brat nie wie, że Sergio tkwi w angielskim więzieniu, więc zastanawia mnie, dlaczego nie jest zaskoczony faktem, iż nie może do niego dzwonić. O nic jednak nie pytam.

8.00 wieczorem

Garncarstwo, potem rozmowa z funkcjonariuszką z Belmarsh, następnie zajęcia edukacyjne, gimnastyka i wykład Sergia o szmaragdach, urozmaicone trzema turami pisania. Jestem skonany.

Zasypiam w ubraniu podczas wieczornych wiadomości telewizyjnych o dziesiątej. Kiedy się budzę, jest już po jedenastej. Rozbieram się, korzystam z toalety, kładę się na wąskim łóżku i zasypiam po raz drugi.

Dzień 42

Środa, 29 sierpnia 2001

5.19 rano

W Więzieniu Jej Królewskiej Mości Wayland przeszedłem już taki sam trzytygodniowy cykl przystosowawczy jak w Belmarsh. Mój rozkład zajęć w porównaniu z życiem na wolności jest poddany surowej dyscyplinie, podporządkowany codziennemu oraz tygodniowemu schematowi. Dlatego postanowiłem od dziś zapisywać tylko najważniejsze wydarzenia, pomijając

rutynowe zajęcia, które czytelnik zna już doskonale.

6.00 rano

Piszę przez dwie godziny, a potem zjadam drugą porcję Shredded Wheat z mlekiem dostarczonym przez Sergia.

9.00 rano

Paul, jeden z instruktorów plastyki, przynosi na zajęcia zestaw slajdów i robi nam wykład o impresjonistach. Nie mogę wyjść ze zdumienia, że Shaun, tak utalentowany artysta, nigdy nie słyszał takich nazwisk jak Pissarro i Sisley. Przyznaje też, że tylko dwa lub trzy razy w życiu był w galerii. Pokaz przezroczy cieszy się takim powodzeniem, że Paul obiecuje przynieść w przyszłym tygodniu reprodukcje dzieł innych artystów, w tym Magritte'a, Rothka i Warhola.

12.00 w południe

Po lunchu idę na gimnastykę. Kończę swój program i wskakuję na wagę, przekonując się, że nadal chudnę; odkąd siedzę w więzieniu, straciłem prawie czternaście funtów, czyli kamień. Kiedy zbieram się do wyjścia, trener piłki nożnej wzywa mnie do biura i pyta, czy w niedzielę przyjdę na pierwszą w sezonie imprezę sportową i napiszę relację z meczu do więziennej gazety. Chętnie się zgadzam, ciesząc się w duchu, że nie zaproponował mi miejsca w drużynie.

4.00 po południu

Odwiedzam Sergia w celi, aby posłuchać najnowszych wiadomości o poszukiwaniach szmaragdu i kontynuować korepetycje. Większość szmaragdów wydobywanych w Kolumbii pochodzi z góry, która od wielu pokoleń należy do jednej rodziny. Szmaragdy z Kolumbii są eksportowane głównie do Japonii, lecz Sergio ma nadzieję, że po powrocie do Bogoty będzie mógł zacząć kierować niektóre kamienie do Europy. Z każdym dniem ma coraz większe ambicje.

Informuje mnie też, że handel szmaragdami jest równie niebezpieczny jak handel narkotykami. Codziennie między górą a lotniskiem w Bogocie lata osiem helikopterów z uzbrojonymi strażnikami na pokładzie, a na pasie startowym czeka na nich dwudziestu prywatnych policjantów. Na górze jest 300 robotników i 100 strażników. Chłop (to jego określenie) może zarobić nawet 50 000 dolarów rocznie, jeżeli (Sergio powtarza to słowo z naciskiem) ma szczęście i uda mu się znaleźć naprawdę cenny kamień.

– A złodzieje? – pytam. – Jak radzą sobie z niebezpieczeństwem kradzieży?
– Czasem trafi się jakiś głupi robotnik, któremu przyjdzie do głowy ukraść klejnot, ale szybko się przekonuje, że na górze nie ma żadnego sędziego ani przysięgłych.

– Jak zatem wymierzają sprawiedliwość?

– Natychmiast – odpowiada Sergio. – Strażnik strzela do złodzieja w obecności innych robotników, którzy go potem grzebią.

– Przecież można połknąć szmaragd, a potem sprzedać w Bogocie, gdzie, jak mi mówiłeś, co dzień zmienia właściciele dwadzieścia tysięcy szmaragdów.

– To prawda. Ale i tak cię złapią, bo rodzina ma setkę zwiadowców, którzy dzień i noc penetrują rynek. Gdyby jakiś handlarz kupił coś od złodzieja, od razu zostałyby odcięty od źródła zaopatrzenia. A złodziej w końcu musiałby wrócić na górę, gdyby chciał dalej handlować. W każdym razie robotnicy wiedzą, że dopóki mają pracę na górze, będą żyć o wiele lepiej niż inni wieśniacy.

– Mogliby przecież wywieźć kamienie za granicę i zbić fortunę.

– Większość chłopów – wyjaśnia Sergio – nigdy nie wyjechała dalej niż do sąsiedniej wsi, a jedyny język, jaki znają, to górską odmiana hiszpańskiego, której nawet ja nie rozumiem. Właściciel góry też mówi tylko w swoim języku i nigdy nie przyjdzie mu do głowy, by wyjechać z Kolumbii. Ja mogę być pośrednikiem i zastanawiać się nad eksportem tylko dlatego, że zostałem skazany na cztery lata więzienia w Anglii – ciągnie. – Ale ty też masz przewagę, Jeffrey, bo twoi konkurenci nie mogą tak łatwo kupować ani sprzedawać obrazów z Kolumbii. – Unoszę pytająco brwi. – Za cztery tygodnie zostaną deportowani i nie mogą wrócić do Wielkiej Brytanii, chyba że będą chciał odsiedzieć cztery lata.

– Przedsiębiorczy handlarz zawsze może polecieć do Bogoty.

– To niezbyt rozsądne – mówi Sergio. – Jasnowłosi ludzie o niebieskich oczach nie są mile widziani w Bogocie, a szczególnie na górze. Wzięliby cię za Amerykanina – tłumaczy – i twoje szanse powrotu na lotnisko byłyby podobne do szans przeżycia chłopą, którego przyłapano na kradzieży.

Nic dziwnego, że to zamknięty rynek.

Moja lekcja kończy się, gdy funkcjonariusz na korytarzu krzyczy:

– Wracać do cel!

Wybiegam z celi Sergia, wracając do rzeczywistości, gdyż potrzebuję jeszcze pięciu minut, aby stanąć w kolejce i zmienić bieliznę pościelową, ręczniki i strój gimnastyczny. Przypominam, że dziś jest środa i jeżeli nie zdążę do pralni przed zamknięciem, będę musiał czekać do przyszłego tygodnia.

8.00 wieczorem

Gdy wracam do celi, znajduję na łóżku biografię Oscara Wilde'a autorstwa

Sheridana Morleya. Prosiłem Steve'a (współdział w planowaniu morderstwa, szef biblioteki), żeby odłożył dla mnie tę książkę. Nie ma to jak prywatna dostawa.

Jestem tak pochłonięty lekturą biografii Wilde'a, że przegapiam telewizyjne wiadomości o dziesiątej. Dochodzę do pierwszego procesu Oscara i dopiero wtedy odkładam książkę. Drugi proces muszę sobie zostawić na jutrzejszy wieczór.

To nie był zły dzień, ale niech się nikomu nawet przez chwilę nie wydaje, że oznacza to, iż był dobry.

Dzień 43

Czwartek, 30 sierpnia 2001

8.45 rano

Przychodzę na zajęcia z garncarstwa i dowiaduję się, że zostały odwołane z powodu nieobecności instruktorki. Shaun twierdzi, iż zdarza się to dość regularnie, i chyba tylko on jest zawiedziony, gdyż miał nadzieję, że dokończy obraz. Zyskuję dodatkowe dwie godziny na pisanie, natomiast pozostali więźniowie ochoczo ruszają do sali gimnastycznej albo wracają do cel, zarabiając 1 funta 40 pensów za nic.

10.45 rano

Słyszę w korytarzu okrzyk „Biblioteka!”, a ponieważ właśnie skończyłem następny rozdział *Oscara Wilde'a*, postanawiam zrobić sobie przerwę i oddać *Arts and Artist*. Orientuję się już w rozmieszczeniu książek w bibliotece, więc od razu idę do regału z tytułami poświęconymi sztuce. Wybieram *Legendary gems* Erica Brutona oraz powieść Roberta Goddarda.

W celi znajduję moje pranie, równo ułożone, czyste i suche. Darren stoi na krześle, mocując nowy karnisz.

– Muszę cię uprzedzić – mówi, schodząc z krzesła – że nie możesz się wieszać na więziennym karniszu.

– Raczej nie brałem pod uwagę takiej możliwości, ale dlaczego nie mogę? – pytam.

– Bo jest tylko zaczepiony na uchwyty i gdybyś przymocował do niego pętlę, a potem skoczył z krzesła, wylądowałbyś na podłodze owinięty we własną firankę.

– Jak mam się więc powiesić?

– Powinieneś być to zrobić już w areszcie śledczym – odpowiada spokojnie Darren.

– Chyba nie bardzo rozumiem.

– Większość aresztów mieści się w budynkach jeszcze z czasów wiktoriańskich, z wysokimi, okratowanymi oknami, które znacznie ułatwiają sprawę.

– Ależ byłem tam tylko parę dni.

– W ciągu pierwszych dni w więzieniu wiesz się najwięcej osób.

– Dlaczego?

– Kiedy ktoś pierwszy raz znajdzie się w więzieniu, często przeżywa depresję wywołaną wstrząsem psychicznym i dochodzi do wniosku, że jedynym wyjściem jest samobójstwo.

– Czyli po przeniesieniu zdarza się to rzadziej?

– Owszem, ale znałem więźnia, który znalazł oryginalny sposób na pozbawienie się życia. – Słucham go, pilnie wszystko zapisując. – Siedział w dwójce i kiedy jego współlokator wyszedł do pracy, a on na cały ranek został sam, postawił łóżko na sztorc, tak że górna część ramy znalazła się siedem stóp nad podłogą. Zrobił pętlę z paska i przywiązał do ramy. Potem wlał na górę, wsunął ręce za spodnie z tyłu i stoczył się z łóżka. Na stoliku zostawił list do dziewczyny, w którym napisał, że nie wytrzymałby trzech lat. Jeżeli naprawdę chcesz się zabić, zawsze znajdziesz sposób – dodaje rzeczowym tonem Darren. – Co roku Służba Więzienna publikuje statystykę samobójstw więźniów. W 2001 roku wydarzyły się już dziewięćdziesiąt dwa – mówi Darren, idąc dalej roznosić pranie. – Nie wspominają jednak ani słowem, ilu ludzi umiera albo popełnia samobójstwo w ciągu pół roku po wyjściu na wolność.

Wolno układam wyprane rzeczy w swoich wąskich szafkach, rozmyślając nad tym, co usłyszałem od Darrena.

2.00 po południu

Po lunchu biorę *Legendary gems* i otwieram na rozdziale poświęconym szmaragdom. Autor potwierdza wszystko, co powiedział mi Sergio w ciągu minionych dziesięciu dni. Nabieram większego zaufania do kolumbijskiego współwięźnia, wciąż jednak pozostają dwa zasadnicze pytania: czy Sergio dysponuje właściwymi kontaktami i czy uda mu się zmienić pośredników? Z przyjemnością odnotowuję, że w rozdziale o brylantach trzykrotnie wspomniano o Laurensie Graffie.

Dotąd nie pisałem o Graffie (to jego szyld można zobaczyć na Bond Street, Madison Avenue i w Monte Carlo), lecz mam nadzieję, że zgodzi się wycenić szmaragd. Poznałem Laurence'a przed wieloma laty na uroczystości dobroczynnej,

gdzie prowadziłem aukcję. Od niego i jego żony Anne-Marie usłyszałem wiele opowieści o rynku brylantów i zamieściłem je potem w książkach. To właśnie Laurence podsunął mi pomysł na opowiadanie *Tanio, za pół ceny*.

3.00 po południu

Do mojej celi wpada Jimmy uśmiechnięty od ucha do ucha. Pochmurnieje, spoglądając na nowy karnisz. Natychmiast się domyśla, kto go przyniósł.

– Dobre wieści – mówi. – Jeden więzień z naszego korytarza wychodzi jutro rano, tydzień przed planowanym terminem. Ma najczystsza celę w bloku. Nawet ją odmalował. Ale najważniejsze, że cela jest po spokojniejszej stronie korytarza. Lepiej pogadaj z Meanwellem, zanim kto inny sprzątnie ci ją sprzed nosa.

Już chcę biec poszukać Meanwella, gdy Jimmy dodaje:

– Dzisiaj go nie ma, ale wraca jutro o wpół do ósmej rano. Pamiętaj, że za piętnaście dziewiąta masz ćwiczenia z grupą niepełnosprawnych, więc powinieneś się z nim zobaczyć zaraz po śniadaniu.

Wchodzi Darren i jest wściekły, widząc siedzącego na moim łóżku Jimmy'ego. Zapewne usłyszał tę samą wiadomość co on i chciał mi ją przekazać pierwszy.

– Przyznasz chyba, że moja wiadomość jest równie miłą niespodzianką jak twój karnisz – zauważa zadowolony z siebie Jimmy.

– Przyznam, jeżeli jego lordowska mość faktycznie zajmie celę Davida – odpowiada Darren, świetnie zdając sobie sprawę, że podburzam jednego przeciw drugiemu. Mimo to jak mali chłopcy nie potrafią się powstrzymać i podejmują wyzwanie.

7.00 wieczorem

Po kolacji Sergio przekazuje mi dobrą wiadomość. Po wyprawie na górę jego brat wybrał 4-karatowy szmaragd za 10 000 dolarów

– Jeśli mój człowiek potwierdzi, że cena rynkowa wynosi dwadzieścia tysięcy, kupię kamień – powiadam. – Jeżeli nie...

Sergio patrzy na mnie, marszcząc brwi.

– Kup ten szmaragd – ciągnę. – I sprowadź do Londynu. Muszę mieć odpowiednie świadectwo, ale jeśli mój rzeczoznawca stwierdzi, że może mi sprzedać kamień takiej samej jakości za tę samą albo niższą cenę, to stracisz tylko czas, a ja odeślę szmaragd do Kolumbii na własny koszt.

– Czyli od tego kamienia zależy moja reputacja? – pyta Sergio.

– Otóż to.

Dzień 44

Piątek, 31 sierpnia 2001

8.21 rano

Śniadanie. Jem płatki z porcelanowej miseczki, grzankę mam na talerzu, a mleko w prawdziwym kubku. Mary wybrała talerz i miskę z kolekcji Bridgewater, natomiast kubek – pstry gadżet ozdobiony amerykańską flagą – to prezent przywieziony przez Willa ze Stanów.

Po śniadaniu napełniam umywalkę ciepłą wodą z płynem Fairy i wkładam do niej moje nowe skarby, a sam wyruszam na poszukiwanie Meanwella. Nie było go przez dwa dni, nie mógł się więc dowiedzieć, że David wyszedł sześć dni przed terminem⁴⁶, nieoczekiwanie pozostawiając celę do wzięcia. Jeszcze dziś mam poznać decyzję Meanwella w sprawie ewentualnego przeniesienia mnie do skrzydła dla więźniów o wyższym statusie.

Wracając do celi, natykam się w korytarzu na grupkę Antylczyków. Przyszli pożegnać się z więźniem, który dziś rano wychodzi na wolność, odsiedziawszy sześć lat z zasądzonych dziewięciu za napad z bronią w rękę – było to jego pierwsze przestępstwo.

Większość czytelników zapewne od razu wyobrazi go sobie tak samo, jak ja wyobraziłbym sobie jego postać jeszcze dwa miesiące temu – młodego czarnoskórego opryszka, którego lepiej trzymać pod kluczem i który prawdopodobnie pobije kolejną Bogu ducha winną osobę, gdy tylko znajdzie się na wolności, i po roku wyląduje z powrotem za kratkami.

W rzeczywistości jest to trzydziestodwuletni, przystojny, niewysoki i szczupły mężczyzna. To on pytał mnie uprzejmie, czy mógłby wieczorem poczytać moje gazety. Bardzo pożytecznie wykorzystał te sześć lat. Najpierw zdał egzaminy z pięciu przedmiotów na poziomie szkoły średniej, a dwa lata później maturę z angielskiego i historii.

Ledwie opuścił nasz blok, gdy w korytarzu pojawia się Jules, niosąc w torbie foliowej swój doczesny dobytek. Dostał celę Steve'a. Mówi mi, że zeszły tydzień nie był dla niego najszcześniejszy, ponieważ musiał dzielić naszą dawną celę z więźniem uzależnionym od heroiny, który wstrzykiwał sobie narkotyk dwa, a czasem trzy razy dziennie.

8.45 rano

W piątek rano salę gimnastyczną przejmuje grupa niepełnosprawnych z ośrodka w Dereham. Gromadka tryska entuzjazmem i pomimo swoich problemów wykazuje się imponującymi umiejętnościami i we wszystko wkłada niespożyta energię. Les świetnie sobie radzi na wioślarzu (1000 metrów w dziesięć minut), Robbie polubił podnoszenie ciężarów, natomiast Paul woli biegać. Kiedy jednak pod koniec zajęć przychodzi czas na grę w piłkę łapaną, Robbie potrafi przechwycić każdą piłkę rzuconą w jego stronę. Mógłby z powodzeniem zagrać na pozycji biegacza w angielskiej reprezentacji krykieta.

Wszyscy gadają jak najęci, bombardując mnie gradem pytań: Masz ojca? Masz matkę? Masz rodzeństwo? Jesteś żonaty? Masz dzieci? Gdy kończy się godzina naszych ćwiczeń, jestem wyczerpany fizycznie i psychicznie oraz pełen podziwu dla ich opiekunki, Ann, która nie odstępowała ich na krok.

Pod koniec zajęć przyglądam się, jak wychodzą, śmiejąc się i rozmawiając ze sobą, i mam nadzieję, że czują się szczęśliwsi. Dzięki Bogu, że mnie nie spotkało coś takiego...

2.54 po południu

Drzwi celi otwiera oddziałowy Nutbourne.

– Znowu się przeprowadzasz, Jeffrey – mówi. – Przydzielono ci celę Davida w skrzydle dla uprzywilejowanych. – Mruga do mnie.

– Dziękuję – odpowiadam, szykując się do dziewiątej przeprowadzki w ciągu sześciu tygodni.

Cała operacja trwa niecałą godzinę, gdyż tym razem pomaga mi miejscowa firma „Darren, Sergio i Jimmy Sp. z o.o.”.

Moja nowa cela znajduje się na parterze, gdzie mieszkają więźniowie o wyższym statusie. Naprzeciw siedemnastki jest cela Darrena, który z jednej strony sąsiaduje ze Steve'em (współdział w planowaniu morderstwa, szef biblioteki), a z drugiej z Jimmym (kurier ecstasy, kapitan wszystkiego). Funkcjonariusze nazywają tę część więzienia „skrzydłem dla dorosłych” i osobiście wyznaczają jej lokatorów. Trafiłem tu po trzech tygodniach, co należy uważać za duże osiągnięcie, ale Darrenowi udało się już po czterech dniach.

Cele mają takie same wymiary jak w pozostałej części więzienia, lecz stół, przy którym pracuję, jest znacznie większy (cztery stopy na dwie). Dysponuję także dodatkową szafką na swoje rzeczy, których z każdym dniem mam coraz więcej, podobnie jak dzieje się to na wakacjach.

5.00 po południu

Po zakończonej przeprowadzce wychodzę z Darrenem i Sergiem na

spacerniak. Przystaję w połowie okrążenia, by przyjrzeć się, jak Shaun rysuje Dale'a, który nadal jest niesfornym modelem, mimo to Shaunowi całkiem dobrze udaje się uchwycić podobieństwo.

6.00 wieczorem

Po kolacji dzwonię do Mary (moje nowe skrzydło ma własny telefon, który każdy szanujący się pośrednik handlu nieruchomościami określiłby jako „dodatkowe wyposażenie”). Mary ma dla mnie mnóstwo wiadomości, dobrych i trochę gorszych. Policja potwierdza, że nie przedstawi raportu w sprawie kampanii Simple Truth, dopóki nie pozna ustaleń KPMG. Czerwony Krzyż otrzyma raport z audytu co najmniej za dwa lub trzy tygodnie. Mary informuje mnie, że policja odpowiedziała na list Tony'ego Mortona-Hoopera w całkiem życzliwym tonie, dlatego ma nadzieję, że gdy KPMG zakończy raport, moje przeniesienie do więzienia otwartego będzie kwestią dni.

Wykorzystuję to, co zostało z dwudziestu jednostek na karcie, by wypytać żonę, co słychać w domu, a zwłaszcza w Old Vicarage. Kiedy aparat wyrzuca kartę, co oznacza, że pozostało mi zaledwie trzydzieści sekund, obiecuję zadzwonić w niedzielę. Przypominam, że nie mam już niewyczerpanego źródła kart telefonicznych.

Ledwie odkładam słuchawkę, gdy do telefonu podchodzi Sergio. Ma tę przewagę, że nikt nie może go podsłuchać, ponieważ rozmawia w języku niezrozumiałym dla nikogo w całym skrzydle, jego pech polega natomiast na tym, iż ilekroć dzwoni do domu, musi mieć co najmniej pięć kart.

6.50 wieczorem

Zakończywszy rozmowę, Sergio odwiedza mnie w celi. Jesteśmy w tym samym skrzydle, nie muszę więc już udawać, że uczę się hiszpańskiego – po prostu odwiedza mnie sąsiad z naprzeciwka.

Po wstępnej selekcji brat Sergia wybrał cztery szmaragdy. Potwierdza, że ich cena waha się od dziesięciu do piętnastu tysięcy dolarów. Gdy tylko podejmie ostateczną decyzję, zlecę wycenę swojemu rzeczoznawcy. Brat Sergia twierdzi, że każdy z tych kamieni kosztowałby na rynku londyńskim około 20 000 dolarów. Jeżeli jego szacunki okażą się trafne, kupię wybrany kamień i podaruję Mary na Boże Narodzenie. Tak, w końcu się wydało, po co zadaję sobie tyle trudu.

8.15 wieczorem

Odkrywam z zadowoleniem, że w skrzydle dla więźniów o wyższym statusie

cele są otwierane pierwsze i plombowane ostatnie, dzięki czemu zyskuję kilka dodatkowych minut rano i na koniec dnia. Największą zaletą mieszkania na parterze jest cisza – lub niemal cisza – w porównaniu z tym, co słychać na górze. Nie ma rapu, nie ma pyskaczy okiennych ani rozmów prowadzonych przez dwie osoby znajdujące się na dwóch przeciwległych końcach korytarza. W skrzydle panuje poczucie wspólnoty.

Dziś nawet nie włączam telewizora, gdyż bez reszty pochłania mnie lektura *Uchwyconej w światło* Roberta Goddarda. Zasypiam w ubraniu. To był niezwykle męczący dzień.

Dzień 45

Sobota, 1 września 2001

8.15 rano

Pierwszy dzień nowego miesiąca. Po śniadaniu umawiam się z Lockiem (ciężkie uszkodzenie ciała), malarzem naszego skrzydła, że w wolnej chwili odmaluje moją celę. Uzgadniamy, że zapłacę mu w tytoniu, ale ponieważ w ogóle się nie orientuję w obowiązującej taryfie, Darren zgodził się wystąpić w tej transakcji w roli kierownika robót.

Obejrzawszy celę, Locke oznajmia, że najpierw trzeba będzie położyć biały podkład, co zajmie mu dwie tury po dwie godziny. Darren zgadza się płacić mu dniówkę. Jutro Locke ma położyć warstwę kremowej farby, a w poniedziałek drzwi, parapet i kwadrat wokół umywalki zostaną pomalowane na beżowo. Jeśli dobrze obliczyłem, malarz dostanie dziennie porcję tytoniu Golden Virginia (sam wybrał gatunek) wartości jednego funta. Czyli całe zlecenie będzie mnie kosztować 3 funty – i właśnie tyle, jak zapewnia mnie Darren, wynosi obecna stawka. Za farbę zapłacą jednak podatnicy Jej Królewskiej Mości. Zaznaczam, że to Margaret Thatcher nauczyła mnie, iż w takich wypadkach nie należy mówić „rząd”: „To nie rząd płaci podatki, Jeffreyu, tylko podatnicy”.

Locke prosi mnie, abym na czas malowania opuścił celę, bo gdy przesunie się łóżko, stół i szafkę na środek, zmieści się tu tylko jedna osoba.

Idę do celi Sergia naprzeciwko, gdzie odbywamy posiedzenie zarządu. Od wczoraj Sergio wypisał na maszynie szesnaście pytań, na które muszę mu odpowiedzieć, zanim znów porozumie się z bratem. Na przykład: Czy chcę pokryć cały koszt ubezpieczenia? – Tak. Czy złoto, z jakiego będzie wykonany łańcuszek, ma mieć dziewięć, czternaście czy osiemnaście karatów? – Osiemnaście. Czy będę

musiał zapłacić cło, gdy łańcuszek i szmaragd dotrą do Londynu? – Nie wiem, ale postaram się sprawdzić.

Gdy Sergio zadał wszystkie pytania i zanotował po hiszpańsku odpowiedzi, przechodzimy do drugiego punktu porządku dziennego.

Dostałem list od Chrisa Beetlesa, który przeprowadził szczegółowe badania rynku, sprawdzając, jakim wzięciem cieszą się malarze południowoamerykańscy. Informuje mnie, że domy Christie's i Sotheby's organizują co roku dwie aukcje artystów latynoskich, obydwie w Nowym Jorku. Z wyjątkiem Botera, którego olej uzyskał niedawno cenę 2 milionów dolarów, tylko dzieła Lamanda Tamaya regularnie idą za 100 000 i więcej. Sergio powoli czyta list, po czym dołącza go do swojej dokumentacji.

11.00 rano

Spacer. Dziś Shaun ma rysować Darrena, który zachowuje się trochę jak rozkapryszona primadonna. Jest dość skrytym człowiekiem, nie przechowuje żadnych swoich zdjęć. Kiedy wychodzimy na dziedziniec, wciąż narzeka, że musi brać w tym udział. Wita nas Shaun z dużym szkicownikiem w prawej ręce i dwoma ołówkami w lewej.

Darren godzi się pozować pod dwoma warunkami. Po pierwsze, mają stanąć na przeciwległym końcu dziedzińca, gdzie zobaczy ich niewielu spacerujących więźniów. Po drugie, Darren upiera się, że jeżeli szkic mu się nie spodoba, nie zgodzi się na umieszczenie go w ostatecznej wersji montażu. Nie mam wielkiego wyboru, więc muszę się zgodzić. Mam jedynie nadzieję, że Shaun dobrze się wywiąże ze swojego zadania i Darren przekona się do słuszności naszego pomysłu.

Jimmy i ja rozpoczynamy pierwsze okrażenie, a Shaun przystępuje do dzieła. Podczas spaceru słyszę, że wszyscy rozmawiają tylko o piłce nożnej. Anglia gra dziś wieczorem z Niemcami, a jutro ma się odbyć mecz Wayland z bazą Methwold. Niektórzy z więźniów leżących na trawie pod ogrodzeniem życzą powodzenia Jimmy'emu, naszemu kapitanowi, jeden z nich natomiast twierdzi, że Jimmy nie potrafiłby zdobyć panienki, a co dopiero gola.

Pod koniec trzeciego okrażenia w szkicowniku Shauna pojawia się podobizna Darrena, lecz nie mam pojęcia, jak na jej widok zareaguje sam model. Darren potrafi czasem być naprawdę przekorny.

Po dwóch kolejnych okrażeniach funkcjonariusze zaczynają nas zaganiać z powrotem do bloków. Przystajemy, aby się przyjrzeć pracy Shauna. Darren staje obok nas, spoglądając pierwszy raz na szkic. Na pewno wie, że to dobry portret. Niechętnie kiwa głową, ale prawda wychodzi na jaw, gdy wolnym krokiem wracamy do bloku A i Darren pyta:

– Jeżeli to tylko szkic do ostatecznej wersji portretu, może Shaun mi go da

dla matki? – (zobacz rozdział „Ilustracje”).

12.00 w południe

Stojąc w kolejce, dowiaduję się od Dumsdaya (który, jak mi mówił Jimmy, zaopiekował się ranną wroną), że dziś rano jego wrona zdechła, mimo że siedział przy niej całą noc, usiłując ją karmić gotowanym jajkiem. Wracam do celi i jem lunch, stojąc pośrodku pachnącego świeżą farbą pomieszczenia. Oceniam swoją inwestycję w wysokości 3 funtów. Locke całkiem dobrze zaczął.

2.00 po południu

Całe skrzydło zaczyna zdradzać podniecenie z powodu dzisiejszego spotkania Anglii i Niemiec – to mecz eliminacyjny do mistrzostw świata. Zostaję poproszony o wyciągnięcie z plastikowego kubka nazwiska angielskiego zawodnika i jeżeli się okaże, że wylosowany przez mnie gracz zdobędzie pierwszą bramkę, wygram dziewięć batonów Mars. Wyciągam Gerarda, który zdaniem Jimmy’ego ma duże szanse. Rano czytałem w „Timesie”, że Anglia od 1965 roku nie wygrała ani jednego meczu na niemieckiej ziemi, lecz nie dzielę się tą wiadomością z rozentuzjasmowaną gromadą kibiców. Spoglądając przez okno, dostrzegam pięć królików skubiących resztki jedzenia wyrzucanego przez więźniów na trawę. Więzienie jest otoczone wysokim na dwadzieścia stóp ogrodzeniem z gęstej siatki, ciekawe więc, jak króliki zdołały je pokonać. Spróbuję się dowiedzieć.

6.00 wieczorem

W sobotę plombują nas po kolacji, ale – jak wspominałem – nasze skrzydło zamykają ostatnie i możemy zostać na korytarzach do wpół do siódmej, pół godziny dłużej. Zaglądam do programu telewizyjnego w „Timesie” i odkrywam, że transmisja meczu w pierwszym programie BBC nakłada się na *Perswazje* według Jane Austen w drugim programie. Wybieram *Perswazje*, podczas gdy pozostali lokatorzy skrzydła zasiadają przed telewizorami, by obejrzeć mecz. Jestem pewien, że jeżeli Anglia strzeli bramkę, całe więzienie da mi o tym znać.

W chwili gdy panna Elliot poznaje kapitana Wentwortha, w skrzydle wybucha okrzyk radości. Szybko przełączam na pierwszy program i oglądam powtórkę akcji, po której bramkę strzelił Michael Owen, co oznacza, że straciłem batonik Mars. Przełączam z powrotem, by dalej śledzić losy panny Elliot, która z powodu kłopotów finansowych swego ojca zostaje zmuszona do przeprowadzki z wielkiej rodzinnej rezydencji na wsi do mniejszego domu w Bath. Dramat

straconej miłości wciąga mnie bez reszty, gdy nagle znów wybucha entuzjazm. Sprawdzam, co się dzieje na boisku, i widzę, że Anglia zdobyła gola tuż przed zakończeniem pierwszej połowy i prowadzi 2:1, czyli przegapiłem bramkę strzeloną przez Niemców. Nie wątpię, że moi towarzysze zareagowali na nią grobową ciszą.

Wracam do *Perswazji*, gdzie kapitan Wentworth flirtuje (posyłając od czasu do czasu znaczące spojrzenia) z naszą bohaterką, z którą chcemy, aby się ożenił. Znowu słyszę ryk. Z niedowierzaniem przełączam na jedynekę, przekonując się, że nasz drugi bohater, Michael Owen, zdobył drugiego gola, podwyższając wynik do 3:1. Ledwie zdążyłem przełączyć telewizor na drugi program, kolejny ryk każe mi wrócić do meczu i oglądam powtórkę strzału Owena, który popisuje się hat trickiem. Dzięki niemu Anglia prowadzi 4:1.

U Jane Austen przystojny kapitan Wentworth jest o krok od decyzji o ożenku z niewłaściwą dziewczyną, gdy nagle – eksplozja. Czy ja śnię? Przełączam na BBC 1 i widzę bramkę, którą zdobył Heskey. Dziesięć minut przed końcem meczu Anglia wygrywa 5:1. Szybko wracam do *Perswazji*, gdzie nasz bohater nareszcie zaręcza się z anielsko cierpliwą bohaterką. Nie ma mowy o seksie ani nawet o pocałunku. Niech żyje Jane Austen.

10.00 wieczorem

Kończę książkę Roberta Goddarda i kładę się do łóżka, które nadal stoi na środku celi. Zasypiam, czując w nozdrzach woń świeżej farby i słysząc rozgorączkowane głosy współwięźniów, którzy jeszcze raz przeżywają po kolei pięć goli zdobytych przez Anglię.

Dzień 46

Niedziela, 2 września 2001

10.00 rano

Po dwugodzinnej turze pisania i śniadaniu zgłaszam się w sali gimnastycznej, występując w nowej roli – sprawozdawcy sportowego „Wiadomości Więziennych”.

Reprezentacja Wayland spotyka się w szatni, gdzie każdy zawodnik otrzymuje jasnoniebieską koszulkę, granatowe spodenki, niebieskie skarpety, nagolenniki i parę butów piłkarskich. Podobnie jak podczas zeszłotygodniowego

meczu krykieta zauważam, że drużyna dysponuje znacznie lepszym sprzętem niż większość amatorskich klubów – i znów kosztem podatnika. Każdy z czterech bloków ma własne barwy (blok A żółto-czarne). Przypuszczam, że podobnie jest we wszystkich więzieniach w kraju.

Do przebranych w piłkarskie stroje graczy, którzy prezentują się naprawdę efektownie, przychodzi trener, Gary, i organizuje dość nietypową odprawę. Ponieważ reprezentanci zostali wybrani z czterech różnych bloków, a co tydzień zjawiają się nowi i odchodzą starzy więźniowie, niektórzy nigdy wcześniej się nie spotkali. Na początku każdy z jedenastu zawodników i trzech rezerwowych musi się przedstawić i wymienić pozycję, na jakiej gra. Można by sądzić, że to dla każdej drużyny bariera nie do pokonania, ale niekoniecznie, gdyż strona przeciwna również musi stawić czoło kilku trudnościom. Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że reprezentacja Wayland gra wszystkie mecze u siebie – co już daje jej pewną przewagę – a przeciwnikom nie wolno przyprowadzać żadnych kibiców, zwłaszcza swoich dziewczyn. Jeżeli natomiast chodzi o metody zastraszania przeciwnika, nasza drużyna stanowi klasę sama dla siebie, funkcjonariusze też zresztą w niczym jej nie ustępują.

Zawodnicy z bazy Methwold zostają przy bramie zrewidowani, a wcześniej obwąchują ich psy. Następnie idą pod eskortą do szatni przy akompaniamencie gwizdów więźniów ze wszystkich czterech bloków. I jeżeli tego im mało, muszą jeszcze stawić czoło naszemu kapitanowi, Jimmy'emu.

Towarzysząc drużynie gości z szatni na boisko, Jimmy jest nadskakująco uprzejmy i życzliwy. Uważa jednak za swój obowiązek uprzedzić ich, żeby szczególnie uważali na Prestona, naszego napastnika.

– Dlaczego? – pyta naiwnie kapitan drużyny przeciwnej.

– Siedzi za podwójne morderstwo, odrąbał głowy swoim rodzicom, kiedy spali. – Jimmy zawiesza głos. – Nawet my go nie lubimy. Dostał dwadzieścia pięć lat, z czego odsiedział trzy i nie będzie się przejmował, czy złamie komuś nogę, zwłaszcza że zostanie ukarany najwyższą żółtą kartką.

W rzeczywistości nasz środkowy napastnik siedzi za kradzież z włamaniem, ale gdy Jimmy wchodzi na boisko, drużyna Methwold jest już przekonana, że gdyby w Wayland siedział Hannibal Lecter, w najlepszym razie trafiłby na ławkę rezerwowych.

Pierwsza połowa to wielki bałagan; piłka leci to w jedną, to w drugą stronę niezbyt szybko i niezbyt celnie. Zawodnicy Wayland próbują się lepiej poznać, a drużyna Methwold wciąż nie jest pewna, czy może zaryzykować bardziej zdecydowany atak. Gdy gwizdek obwieszcza koniec pierwszej połowy, jest bezbramkowy remis, który szczerze mówiąc, dobrze odzwierciedla obraz gry.

Druga część stanowi całkowite przeciwieństwo pierwszej i odkrywam jeszcze jedną przewagę Wayland: to kondycja. Widać, że wszyscy gracze naszej

drużyny spędzają przynajmniej godzinę dziennie w sali gimnastycznej, a nie w miejscowym pubie. Pierwsza bramka pada po główce Carla (ciężkie uszkodzenie ciała), po wyśmienitym dośrodkowaniu naszego podwójnego mordercy. Drugą zdobywa Dan (napad z bronią w ręku), nasz drugi nomen omen napastnik, a trzeciego gola strzela Hitch (podpalenie). Wygrywamy 3:0, co nieźle wróży na resztę sezonu. Moglibyśmy nawet mieć szansę na zdobycie w tym roku pucharu. Los nie będzie dla nas jednak łaskawy, ponieważ trzech naszych zawodników, w tym Jimmy, wyjdzie na wolność jeszcze przed Bożym Narodzeniem i skład drużyny, jaką wystawimy pod koniec sezonu, będzie się znacznie różnił od dzisiejszego.

Mimo wspaniałego zwycięstwa niektórzy funkcjonariusze okazują zirytowanie faktem, że muszą czekać, aż wrócimy na spóźniony lunch. Z wyjątkiem Nutbourne'a, który dopilnowuje, aby drużyna została nakarmiona, reszta nie może się doczekać, żeby nas zaplombować i skończyć służbę.

Stosunki między więźniami a funkcjonariuszami zawsze przypominają balansowanie na linie. Strażnicy pełniący służbę w niedzielę rano postąpili nierozsądnie, marnując okazję na poprawienie tych relacji. Wystarczyłoby kilka słów pochwały i jedna czy dwie dodatkowe minuty na prysznic. Tymczasem zwycięzcy wracają do cel z porcją wyschniętego mięsa oblanego zimnym sosem i perspektywą wejścia pod prysznic dopiero za dwie godziny. Oczywiście rozumiem, że więzienie nie ma celu zapewnienia osadzonym wygód, lecz funkcjonariusze mieli doskonałą okazję, by na dłuższą metę ułatwić sobie życie. Nie skorzystali z niej, z wyjątkiem Nutbourne'a, który w przyszłości może liczyć na znacznie większy szacunek i przychyłność ze strony więźniów.

2.00 po południu

Posiedzenie zarządu. Sergio rozmawiał z bratem w Bogocie. Z czterech wstępnie wyselekcjonowanych szmaragdów pozostały dwa, a jutro brat Sergia wraz z członkiem rodziny, do której należy góra, dokona ostatecznego wyboru. Według jego zapewnień każdy z dwóch kamieni w londyńskim sklepie kosztowałby trzy razy więcej. Jeśli chodzi o obraz, koleżanka Sergia ze szkoły poinformowała go, że za pośrednictwem jego matki umówiła się na rozmowę z Boterem i pod koniec tygodnia zda relację z rezultatów spotkania. Serce bije mi mocniej na myśl, że wreszcie stanę się właścicielem dzieła Botera.

4.00 po południu

Spaceruję wokół dziedzińca z Jimmym, gdy tymczasem Shaun kontynuuje pracę nad portretem Darrena, który w przeciwieństwie do Dale'a okazuje się

zaskakująco spokojnym i cierpliwym modelem. Jestem zachwycony pierwszymi szkicami, które – co ważniejsze – podobają się też Darrenowi. Shaun nadal szkicuje, a ja pytam Darrena o króliki. Wygląda na to, że króliki są nie w ciemnej bite. Znają pory posiłków w więzieniu i kopią norę pod ogrodzeniem, aby zebrać resztki jedzenia wyrzucane przez okna po zamknięciu cel. Od czasu do czasu towarzyszy im stadko kaczek. Ale (w więzieniu zawsze jest jakieś ale) w okolicy grasuje także lis, który jest jeszcze bardziej przebiegły. Po zamknięciu cel przedostaje się pod ogrodzeniem na teren więzienia i łapie króliki pożywiające się pozostałościami ze stołu więźniów. On także zdążył się zorientować, że w Wayland nie ma żadnego koła łowieckiego.

Informuję Shauna, że rozmawiałem z Chrisem Beetlesem i mam nadzieję, iż wkrótce będzie mógł otrzymać (bardzo starannie dobieram słowa) papier do rysowania najlepszej jakości, kredę, akwarele i ołówki, aby nie mógł narzekać na złe narzędzia. Jest zachwycony.

6.00 wieczorem

Zamykają nas wcześniej ze względu na brak personelu. Będę musiał pozostać w klitce pięć kroków na trzy przez najbliższe czternaście godzin. Zaczynam czytać powieść o Jeevesie. Bertie Wooster żył w zupełnie innym świecie. Ciekawe, jak by sobie dał radę w Wayland? Przypuszczam, że Jeeves zaofiarowałby się go zastąpić⁴⁷.

Dzień 47

Poniedziałek, 3 września 2001

5.43 rano

Budzę się, czując zapach świeżej farby. Powinienem chyba zapoznać czytelników z postępami remontu mojej celi. Wczoraj został ukończony biały podkład, a kiedy poszedłem na garncarstwo, Locke (ciężkie uszkodzenie ciała, malarz) położył na ścianach warstwę kremowobiałej farby, a także pomalował na beżowo drzwi, parapet i listwę przypodłogową.

Cegła jako materiał zawsze mi się podobała, lecz gładka biel ściany wydaje mi się mało oryginalna, dlatego postanawiam zaproponować Shaunowi podczas porannych zajęć garncarstwa, aby zaprojektował jakiś wzór. Potem będę się musiał dowiedzieć, czy Locke zgodzi się poszerzyć swój dorobek zawodowy

o „dekoratorstwo wnętrz”. Być może wydam jeszcze kilka funtów, ale będę mógł zgłosić swoją celę do nagrody Turnera.

9.00 rano

Podczas zajęć garncarstwa Shaun zaczyna sypać pomysłami ozdobienia moich ścian i muszę przyznać, że są niezwykle oryginalne.

Następnie wyciąga szkicownik i pokazuje mi najnowsze projekty okładki książki. Pierwszy przedstawia drzwi celi, spoza których przez klapkę spoglądają czyjeś oczy, a drugi to karta więzienna, jaką umieszcza się przy każdej celi. Zastanawiam się, czy mógłby jakoś połączyć obydwie pomysły⁴⁸.

12.00 w południe

Po lunchu sporządzam notatki, przygotowując się do odwiedzin Williama, Jamesa i Davida, kierowcy, który pracuje u mnie już od piętnastu lat. Potem muszę zapamiętać wszystkie zapiski, gdyż nie wolno mi niczego przynosić do sali odwiedzin. Liczę tematy, jakie muszę poruszyć w rozmowie – z Williamem osiem, z Jamesem dziesięć, z Davidem pięć. Później będę zmuszony polegać na własnej pamięci.

1.30 po południu

Biorę prysznic i golę się, a następnie wkładam czyste dżinsy i świeżo wyprasowaną koszulę w niebieskie paski. Nigdy nie byłem próżny, ale nie zamierzam dopuścić, aby chłopcy ujrzeli zaniedbanego ojca i pomyśleli, że więzienie go złamało.

2.00 po południu

Wychodząc z celi na spotkanie z dziećmi, w drzwiach zderzam się z Lockiem. Nie zdobyłem się jeszcze na odwagę, żeby mu powiedzieć o swoim pomyśle przemalowania ścian, i podejrzewam, że w końcu pozostawię negocjacje mojemu kierownikowi robót, Darrenowi.

Gdy zjawiam się przed salą odwiedzin, po raz pierwszy od przeszło tygodnia zostaję zrewidowany, ale w porównaniu z Belmarsh jest to dość pobieżne przeszukanie. Nie wiem, czy podejrzani narkomani i handlarze są traktowani inaczej. Znów przypada mi stolik numer czternaście, przy którym siadam na czerwonym krześle, pozostawiając wolne trzy niebieskie. Rozglądam się po sali, gdzie znajduje się około siedemdziesięciu stołów, lecz tylko pięć jest zajętych.

Przyczyną jest awaria więziennego komputera, przez którą w harmonogramie odwiedzin zapanował kompletny chaos.

Pierwszy w drzwiach ukazuje się James, za nim – niespodzianka – William, a na końcu David. Po uściskach i powitaniach wyjaśniam, że pragnę racjonalnie podzielić między nich dwie przysługujące mi godziny. Pierwsze pół godziny chcę spędzić z Williamem, drugie pół z Jamesem, trzecie z Davidem, a ostatnie trzydzieści minut z całą trójką.

James i David odchodzą, a Will przekazuje mi najświeższe wieści na temat raportu KPMG i sprawy przywrócenia mi kategorii D. Mary skontaktowała się z Gillian Shephard, moją obecną reprezentantką w Izbie Gmin, która obiecała porozmawiać z naczelniczką Wayland i dać jej do zrozumienia, że gdy tylko policja zakończy dochodzenie, powinienem zostać jak najszybciej przeniesiony do więzienia otwartego. A co „jak najszybciej” oznacza dla Służby Więziennej, nie muszę chyba przypominać...

Will mówi, że chciałby wrócić do Ameryki mniej więcej za trzy tygodnie, ponieważ zaproponowano mu realizację nowych projektów. Ku swojemu zdziwieniu w Londynie także dostał propozycję pracy.

Staram się przypomnieć sobie osiem kwestii, o których miałem z nim porozmawiać, tymczasem Will opowiada o swojej matce. Zważywszy na okoliczności, Mary dzielnie się trzyma, lecz Will odnosi wrażenie, że matka chyba najbardziej przeżywa całą sprawę.

Pytam Willa, czy mógłby zrobić dla mnie trzy rzeczy. Po pierwsze, chciałbym, żeby przekazał Chrisowi Beetlesowi 200 funtów, aby Shaun mógł otrzymać wszystkie niezbędne materiały. Po drugie, proszę go, by wybrał miseczkę i talerz z kolekcji Bridgewater i przysłał do Wayland dla Darrena, któremu nigdy nie będę potrafił się odwdziaczyć za życzliwość, jaką mi okazał. Chciałbym też, żeby zdobył dla mnie moje ulubione pióra kulkowe Staedtler, bo... Will pokazuje na stojącą przede mną tacę, na której dostrzegam ukryte za puszką coli dwa pióra. Uśmiecham się, ale nie jestem pewien, czy uda mi się przemycić skarb do celi i nikt mi go nie skonfiskuje.

Kiedy wyczerpuję listę prośb, Will dzieli się ze mną nowinami o swoim życiu towarzyskim. Dziesięć minut później wstaje od stołu, a jego miejsce zajmuje James.

Najpierw przez dłuższy czas opowiadam o pochodzeniu Sergia, tłumacząc Jamesowi, że trzy tygodnie w stresujących warunkach więziennych odpowiadają trzem miesiącom na wolności. Kiwa głową, zdając sobie sprawę, że to tylko wstęp do właściwego tematu. Przedstawiwszy referencje Sergia, co do których mogę się opierać wyłącznie na swoim instynkcie, przechodzę do szczegółów handlu szmaragdami. Wyjaśniam, że inwestując około 10 000 dolarów – w zależności od wyceny – wejdziemy w posiadanie szmaragdu, który jeszcze w tym tygodniu

zostanie przywieziony do Londynu. Jeżeli Sergio dotrzyma słowa w sprawie szmaragdu, może warto będzie powierzyć mu misję zdobycia Botera.

– Jeśli nie uda mu się znaleźć żadnego obrazu – dodaję – to w najgorszym razie będę miał przynajmniej wyjątkowy prezent gwiazdkowy dla Mary.

James odziedziczył inteligencję matki i mój spryt handlowy, nie muszę więc niczego powtarzać. Umawiamy się na rozmowę telefoniczną pod koniec tygodnia. Podchodzi do nas David, którego witam uśmiechem.

Najpierw pytam go, jak się miewa jego żona Sue i jak spędzili wakacje, ale od razu zauważam jego zdenerwowanie, które u Davida zawsze oznacza, że chce powiedzieć o czymś, co go trapi. Staram się nakierować rozmowę na właściwe tory.

– Nadal myślisz o emigracji do Australii? – pytam.

– Nie – powiada. – Chociaż bardzo bym chciał. Strasznie trudno załapać się na limit imigracyjny, chyba że ma się tam krewnych albo obiecaną pracę.

– Przypuszczam, że po pobycie w więzieniu teraz to ja będę miał większe szanse – zauważam, po czym pytam: – Co więc zamierzasz robić?

– Sue i ja zastanawiamy się, czy zamieszkać w Turcji. Spędziliśmy tam kilka razy wakacje, podobają się nam ludzie, klimat i przede wszystkim koszty utrzymania.

– Kiedy chcielibyście wyjechać?

– Za dwa miesiące, jeżeli się pan zgodzi, szefie.

Zapewniam go z uśmiechem, że nie mam nic przeciwko temu. Podajemy sobie ręce jak starzy przyjaciele, którymi przecież jesteśmy.

Ostatnie pół godziny spędzamy wszyscy razem, gawędząc swobodnie, jak gdybym nie siedział w więzieniu. Chyba już wspominałem, że gdyby można było zabrać ze sobą przyjaciół, życie za kratami byłoby niemal znośne.

Wkładam do kieszeni koszuli pióra przemycone przez Willa w nadziei, że jakoś się uda. Z przykrością żegnam chłopców. Rozłąka uświadamia mi, jak bardzo ich kocham. Funkcjonariusz przeprowadzający rewizję zagląda mi do ust, sprawdza pod językiem, każe mi zdjąć buty i wreszcie pozwala mi opuścić salę. Zmykam zadowolony, że przez najbliższy tydzień będę mógł pisać tym, czym lubię.

5.00 po południu

Po kolacji zwołuję posiedzenie zarządu w celi Sergia.

– Następny ruch należy do ciebie – mówię. – Wybrałeś szmaragd i niedługo zobaczymy, czy jesteś poważnym graczem, czy szalbierzem. – Sergio prosił, abym codziennie używał jednego słowa i zwrotu, którego jeszcze nie zna. Natychmiast sprawdza znaczenie słowa „szalbierz” w słowniku angielsko-hiszpańskim.

Potem wstaje i oficjalnym gestem podaje mi rękę.

– Następny ruch należy do mnie – powtarza – i przekonasz się, że chociaż takie są okoliczności naszego poznania, nie jestem szalbierzem.

Bardzo pragnę mu uwierzyć.

Dzień 48

Wtorek, 4 września 2001

6.11 rano

Pisząc dziennik w ciągu dnia, a wieczorami poprawiając tekst tomu pierwszego, przypominam sobie, jak strasznym przeżyciem był pobyt w Belmarsh.

9.00 rano

Garncarstwo. Paul wygłasza pogadankę o twórczości Rothka, Mana Raya, Magritte'a i Andy'ego Warhola, ilustrując ją slajdami. Kilku więźniów głośno wyraża opinię na temat współczesnych artystów, jaką słyszy się od wielu osób, tyle że formułują ją wprost, bez owijania w bawełnę.

– To gówno, dlaczego ktoś chciałby płacić za taki cholerny chłam? Coś takiego umiałaby napacykować moja siedmioletnia córka.

Paul i Anne – nasi instruktorzy – nie komentują tego ani słowem. Oboje zawodowo zajmują się sztuką i doskonale wiedzą, że gdyby potrafili „napacykować coś takiego”, nie uczyliby w więzieniu.

Po pogadance Shaun przedstawia mi pomysł ozdobienia ściany w mojej celi – niewątpliwie inspirowany twórczością Magritte'a. Zabawny motyw, ale nie jestem pewien, czy Locke potrafi go odtworzyć. Będę musiał omówić tę sprawę z Darrenem, moim *chef de chantier*. Naprawdę wolno mi będzie mieć w celi słońce i księżyc?

2.00 po południu

Zajęcia edukacyjne. Wtorkowe popołudnia mają w sobie coś z farsy. Muszę chodzić na zajęcia edukacyjne, aby odrobić regulaminową liczbę lekcji wymaganą dla więźnia pracującego w niepełnym wymiarze godzin – 6 funtów 50 centów tygodniowo – i siedzę w ostatniej ławce, pracując nad dziennikiem.

Pytałem Wendy Sergeant (kierowniczkę działu edukacji), czy mógłbym prowadzić jedną lekcję kreatywnego pisania tygodniowo, tak jak robiłem

w Belmarsh. Ostatnio oznajmiła mi, że więźniowie nie życzą sobie, aby uczył ich współwięźni. Nie bardzo w to wierzę, ponieważ przynajmniej jedna osoba dziennie prosi mnie o przeczytanie i skomentowanie czegoś, co napisała, dlatego zastanawiam się, o co naprawdę chodzi. Nie zamierzam już więcej zawracać głowy Wendy, gdyż wydaje się jasne, że decyzję podjął ktoś inny, a ona po prostu wypełnia instrukcje. Tak więc przez resztę zajęć będę siedział w ostatniej ławce, pracując dla siebie.

5.00 po południu

Posiedzenie zarządu. Sergio zawiadamia mnie, że znów rozmawiał z bratem i wszystko już przygotowane. Jego mina zdradza jednak zaniepokojenie.

– O co chodzi? – pytam.

– Martwię się o brata – wyjaśnia. – To urzędnik, typ naukowca, który nie ma wprawy w prowadzeniu interesów w kolumbijskim stylu. Musiał wykazać dużo odwagi, żeby pojechać na górę, gdzie nikt nie ma oporów, żeby za tysiąc dolarów zabić człowieka. Teraz ma przekazać dziesięć tysięcy gotówką i bez żadnej ochrony przetransportować szmaragd na lotnisko. – Sergio milknie. – Boję się o jego życie.

W pierwszej chwili myślę, że Sergio próbuje się po prostu wykręcić, skoro za kilka tygodni wyjeżdża za ocean.

– Co proponujesz? – pytam ostrożnie.

– Może rozsądniej będzie poczekać, aż wrócę do Bogoty i osobiście zajmę się tą sprawą. Boję się o życie brata – powtarza.

Gdy tylko Sergio wróci do Bogoty, stracę z nim wszelki kontakt, nie wspominając o swoich 200 funtach. W ciągu minionych trzech tygodni wielokrotnie powtarzał, iż kilku więźniów chciało przesłać pieniądze na jego konto w Kolumbii w zamian za regularne dostawy narkotyków, ale wszystkim odmówił. A jeśli w rzeczywistości przyjmował wszystkie deklarowane wpłaty? Może zgromadził na koncie już tyle, że po powrocie będzie miał zapewnione spokojne życie? Wydaje mi się jednak, że nie mam wyjścia i nie mogę się wycofać.

– Jeżeli niepokoisz się o bezpieczeństwo brata – mówię – odłożmy transport szmaragdu do twojego powrotu do Bogoty.

Moje słowa sprawiają mu widoczną ulgę.

– Jutro do niego zadzwonię – obiecuje – i dam ci znać, co postanowiliśmy.

Zamykam posiedzenie, ponieważ w tych okolicznościach nie mamy już o czym dyskutować.

6.00 wieczorem

Spacer. Shaun zakończył wstępny szkic portretu Darrena i wrócił do rysowania Dale'a.

Idąc z Jimmym naszą zwykłą trasą (nie mamy większego wyboru), mijamy troje funkcjonariuszy, których postawiono na dziedzińcu, aby mieli nas na oku. Jest wśród nich młoda, całkiem atrakcyjna kobieta, która, jak twierdzi Jimmy, ma „lekkiego fioła” na punkcie Malcolma (rzeczywiście uszkodzenie ciała, uderzył pięścią właściciela pubu) i pewnie będzie za nim tęskniła, kiedy w poniedziałek przeniosą go do więzienia kategorii D.

– Mógłbym ci niejedno opowiedzieć o Malcolmie – mówi Jimmy.

– Tak? – Nastawiam uszu.

– Nie, nie – powiada Jimmy. – Nie pisnę o nim ani słowa, dopóki nie odstawią go do Latchmere House. W końcu jednym ciosem zwałił z nóg właściciela pubu. – Milknij. – Ale przypomnij mi w przyszłym tygodniu.

9.00 wieczorem

Oglądam w pierwszym programie BBC Iana Richardsona grającego rolę doktora Bella w widowisku według Conan Doyle'a, które „Times” nazywa zwiastunem Sherlocka Holmesa. Nigdy nie zapomnę postaci rzecznika dyscypliny partyjnej, jaką Richardson stworzył we wspaniałym *Domku z kart* według Michaela Dobbsa. W swojej karierze poznałem kilku rzeczników dyscypliny – Williego Whitelawa, Francisa Pyma, Humphreya Atkinsa, Johna Wakehama, Tima Rentona, Petera Brooke'a i Richarda Rydera – ale nawet ich połączone talenty nie mogłyby się równać z makiawelicznymi zdolnościami Francisa Urquharta, pod którego czujnym spojrzeniem na pewno nie ośmieliłbym się opuścić żadnego głosowania.

11.00 wieczorem

Leżę, rozmyślając o Sergiu. Czy jest łgarzem, kolejnym drobnym oszustem, czy naprawdę martwi się o bezpieczeństwo brata? Czas pokaże.

Dzień 49

Środa, 5 września 2001

5.51 rano

Locke skończył malować moją celę, ale obawia się próby odtworzenia

motywu według Magritte'a, który zaprojektował Shaun. Darren jako kierownik robót przyznaje, że to zbyt wymyślne i oryginalne należałoby zredukować o połowę, ale nie jest pewien, czy strażnicy zaakceptują ten pomysł. Darren zauważa jednak, że w najgorszym razie każą nam zamalować ścianę na oryginalny kolor – koszt takiej operacji wynosi 1 funt. Uzgadniamy zatem, że gdy wyjdę na garncarstwo, Locke zabierze się do pracy, a potem zaczekamy na reakcję funkcjonariuszy

9.00 rano

Garncarstwo. Dziś grupa zabiera się do rysowania martwej natury. Anne, nasza instruktorka i absolwentka Szkoły Sztuk Pięknych Slade'a, zadała sobie wiele trudu, gromadząc interesujące przedmioty, aby próba ich narysowania stanowiła dla nas prawdziwe wyzwanie. Na środku sali ustawiła stolik do gry w karty, który nakryła serwetą w białe i czerwone romby. Następnie postawiła na niej butelkę po winie, zielony wazon i salaterkę na owoce. W salaterce starannie ułożyła kiść winogron, ananasa, trzy pomarańcze, dwa jabłka i brzoskwinie. Paul, drugi instruktor, dołożył deskę na sery i kawałek cheddara.

Wszyscy siadamy dookoła stolika i próbujemy narysować to, co widzimy. Siedzący obok mnie Keith (kidnaper) chce dołączyć swój rysunek do prac maturalnych. Zna się na perspektywie i cieniowaniu – w przeciwieństwie do mnie. Ku radości pozostałych uczniów Anne zauważa uprzejmie, że moja brzoskwinia jest większa od ananasa.

Po godzinie mamy dziesięciminutową przerwę, podczas której większość więźniów wychodzi na papierosa. Shaun i ja idziemy z Anne do jej pokoiku, aby omówić szczegóły widoku więzienia, jaki chciałbym zamieścić w książce. Staram się zająć jej jak najwięcej czasu, ponieważ nie mam najmniejszej ochoty poświęcać jeszcze jednej godziny na rysowanie martwej natury. Ona jednak zdecydowanie woli wrócić do sali i zobaczyć, jak radzą sobie pozostali.

Anne jest niezwykle opanowaną osobą i nie wyobrażam sobie, by coś mogło ją wytrącić z równowagi. Ale gdy wraca do sali i widzi stolik z martwą naturą, wpada w szal. Z pierwotnej kompozycji zostały dwa ogryzki jabłek, pęk liści po ananasiu, skórki z pomarańczy, pestka brzoskwini, ogołocona łydka winogron z jednym ocalałym owocem i smętne resztki sera na desce. Trzeba przyznać, że to, co pozostało, ułożono z artystycznym wyczuciem, a uczniowie pilnie zabrali się do rysowania nowej kompozycji.

Wybucham śmiechem, a Anne po chwili idzie w moje ślady. Z przyjemnością odnotowuję, że Keith złożył swe dzieło jako jedno z zadań maturalnych i otrzymał wysoką notę za oryginalność.

2.00 po południu

Rugby. Na pierwszy trening w tym sezonie zorganizowany na głównym placu przylegającym do boiska piłki nożnej stawia się ponad pięćdziesięciu więźniów. Przez godzinę nasz trener, Andy Harley, ćwiczy z nami podania i chwyty i wkrótce staje się jasne, że kilku więźniów nigdy jeszcze nie uprawiało tego sportu. Wreszcie trener wybiera dwie drużyny, które przez ostatnie trzydzieści minut mają rozegrać mecz łagodniejszej, rekreacyjnej odmiany rugby, ja natomiast mam być sędzią. Dowiaduję się od Harleya, że kilka lat temu wystąpił w meczu Newmarket XV z Cambridge, który sędziowałem.

Kilku więźniów nie zna zasad gry, nie pozostaje mi więc nic innego, jak wykazać się wyrozumiałością, gdyż w przeciwnym wypadku musiałbym co kilka sekund odgwizdywać jakieś drobne przewinienie. Nie mam jednak wyboru, gdy rosły czarnoskóry mężczyzna rzuca piłkę dwadzieścia jardów do przodu, jakby grał w futbol amerykański. Gwiżdżę, przyznając rzut karny zespołowi niebieskich. Winowajca natychmiast rusza w moim kierunku, wykrzykując niecenzuralne słowa, podczas gdy reszta beczynn timer się przygląda. Przechodzę dziesięć jardów w stronę linii bramkowej jego drużyny, tłumacząc, że w rugby nie wolno obrzucać obelgami sędziego. Z jego ust płyną bardziej soczyste przekleństwa, przesuwam się więc jeszcze dziesięć jardów, a tymczasem u jego boku zjawia się trzech kompanów, nieustępujących mu wzrostem. Dwaj trenerzy wbiegają na boisko i Harley wyjaśnia:

– Jeffrey ma rację. Jeżeli zaczniesz się kłócić z sędzią, automatycznie zarobisz karnego. Lepiej, żebyś to zapamiętał, bo kiedy w przyszłym tygodniu zagramy pierwszy mecz, neutralny sędzia będzie surowszy.

Wielu przyglądających się nam zawodników nadal milczy w oczekiwaniu na rozwój wypadków.

– Przepraszam, Jeff – odzywa się rosły czarnoskóry więzień, dodając: – Ale w Brixton nigdy nie mieliśmy takich zasad. – I wraca do drużyny.

Po powrocie do bloku idę prosto pod prysznic i kilka minut później zjawia się tam Jimmy.

– Strzeliłem dwie bramki – chwali się, po czym dodaje: – Właśnie słyszałem o tobie i Dużym Nesie.

– Dużym Nesie?

– Tak, Dużym Nesie z bloku C. Przez cały rok w ogóle się do niego nie odzywałem.

– Dlaczego? – pytam.

– Był mistrzem Brixton wagi ciężkiej. Kiedyś widziałem, jak położył więźnia jednym ciosem i nikt nie miał pojęcia, czym ten biedak go rozżłościł.

– Chryste Panie! – mówię, drżąc pod prysznicem. – Już nigdy nie będę mógł wyjść na spaceriak.

– Nie, nie – uspokaja mnie Jimmy. – Duży Nes mówi wszystkim, że jesteś jego nowym kumplem.

5.00 po południu

Odbieram w kuchence kolację, ale Sergio unika mojego wzroku.

Jest środa, toteż po kolacji trzeba zmienić pościel, koce i ręczniki. Jestem zbyt zajęty, by iść poszukać Sergia. Gdy ścielę łóżko, wpada do mnie Darren i za pomocą więziennej pasty do zębów przytwierdza do ściany dziewięć lusterek. Przepisy pozwalają na jedno lustro o wymiarach pięć na pięć cali i Bóg jeden wie, jakim cudem Darren zdobył pozostałe osiem.

6.00 wieczorem

Idę poszukać Sergia i zauważam go przy telefonie w korytarzu. Wracam do celi, spodziewając się, że po rozmowie zajrzy do mnie... Nie zagląda.

10.00 wieczorem

Czuję się potwornie zmęczony i zasypiam w ubraniu przy włączonym telewizorze. Dopiero później dowiaduję się, że spanie w ubraniu jest wykroczeniem, za które można zostać zgłoszonym do raportu.

Dzień 50

Czwartek, 6 września 2001

6.57 rano

Remont celi nareszcie dobiegł końca i nie czuć już zapachu farby. Locke przekroczył termin o półtora dnia, ale to zwyczajna rzecz dla każdego szanującego się fachowca. Zjawia się Darren po moje pranie, wzdycha i oświadcza, że wystrój mojej celi kojarzy mu się z domem komunalnym z lat siedemdziesiątych. Wychodzi z ważną miną i kilkoma zawiniątkami brudnej bielizny na ramieniu.

9.00 rano

Zajęcia garncarstwa zostały odwołane, ponieważ raz na dwa tygodnie

odbywają się ćwiczenia funkcjonariuszy, co oznacza, że przez resztę poranka siedzimy w celach. Próbuję rozwiązać krzyżówkę we wczorajszym „Timesie” i udaje mi się odgadnąć trzy hasła – prymka, Turgieniew i dworzani. Gorzej już być nie może.

12.00 w południe

Lunch. Kiedy zjawiam się w kuchence, Sergio wita mnie szerokim uśmiechem. Przypuszczam, że po tych wszystkich telefonach ma wreszcie jakieś wiadomości. Będę jednak miał okazję z nim porozmawiać dopiero po gimnastyce.

2.00 po południu

Gimnastyka. Dziś ćwiczenia na wszystkich przyrządach po kolei. Staram się dotrzymać kroku Minniemu, Romowi, i na jego piętnaście pompek udaje mi się zrobić dziesięć. To samo tempo utrzymuję przy skłonach w pozycji leżącej, wyciskaniu, przysiadach, podciąganiu na drążku i wyprostach tułowia, ale spójrzmy prawdzie w oczy – Minnie ma zaledwie czterdzieści pięć lat i odsiedział sześć z zasądzonych jedenastu. Liczy na zwolnienie warunkowe w przyszłym roku⁴⁹. Pod koniec ćwiczeń Minnie kiwa głową. Jest człowiekiem małomównym i skinienie głową to nadzwyczajny gest wobec kogoś, kogo zna dopiero od miesiąca.

5.00 po południu

Posiedzenie zarządu. Najpierw Sergio przeprosza mnie za to, że nie zajrzał do mojej celi wczorajszego wieczoru, ale musiał dzwonić do Bogoty sześć razy, zużywając dziewiętnaście kart (za 38 funtów). W tym celu musiał sprzedać radio, magnetofon i dres Adidasa. Mam nadzieję, że wyglądałem na odpowiednio skruszony.

Mówi mi, że wszystkie formalności związane ze szmaragdem zostały już załatwione (ubezpieczenie, rejestracja, świadectwo autentyczności, zezwolenie wywozowe i cło) i kamień jest gotów do transportu. Przypominam, że brat Sergia jest wysokiej rangi urzędnikiem, dlatego ściśle trzyma się przepisów. Powiedział już Sergiowi, że nie zamierza tracić posady przez jeden mały szmaragd. Ogarnia mnie jeszcze większe poczucie winy, gdy słucham dalszej części raportu kolumbijskiego...

6.00 wieczorem

Do mojej celi wpada Darren.

– Kłopoty – oznajmia.

Właśnie w obecności Meanwella otworzył w recepcji przesyłkę poleconą. Okazało się, że w paczce jest talerz i miska, które przysłał mój syn, Will.

– Więźniom nie wolno przysyłać współwięźniom żadnych prezentów, bo mogłoby to zostać zinterpretowane jako próba przekupstwa w zamian za narkotyki albo ochronę.

Darren uprzedza mnie, że Meanwell może mnie wezwać do siebie, i być może rozsądniej będzie, jeżeli sam pójde i spróbuję „ubiec nieszczęście”. Kręcę przecząco głową. Meanwell to stary wyga i domyśli się, że talerz i miska nie są łapówką, poza tym wszyscy dobrze znają moje poglądy na temat narkotyków. Zorientuje się też, że nie próbuję ukrywać, iż prezent jest ode mnie. Will wyraźnie wypisał na pudle swoje imię i nazwisko, wewnątrz był także bilecik od mojej asystentki, tak więc Meanwell, gdyby w ogóle miał jakieś podejrzenia, mógłby dołączyć naczynia do reszty skonfiskowanych mi przedmiotów, które trzymają na dole. Meanwell chyba wie, kiedy przymknąć oczy na pewne sprawy.

6.15 wieczorem

Spacer. To ostatnie wieczorne wyjście. Dni są coraz krótsze i nie będzie nam już wolno wychodzić po szóstej. Maszeruję wokół dziedzińca ze Steve'em (nie tym z biblioteki), który ma kategorię D i opuścił dziś więzienie, aby zobaczyć się z rodziną. Pytam go, jak mu minął dzień na wolności (od 9 rano do 3 po południu).

– Bardzo dobrze – odpowiada – ale tylko dzięki pomocy policji.

– Policji? – powtarzam z niedowierzaniem.

Wyjaśnia, że tym, czego najbardziej brakuje mu w więzieniu, jest pływanie, ilekroć więc dostaje przepustkę na cały dzień, razem z rodziną idzie na basen. Tym razem zostawili forda na miejskim parkingu i poszli z dziećmi na basen. Po powrocie jego żona nie mogła znaleźć kluczyków do auta i dopiero po chwili jedno z dzieci zauważyło, że leżą na tylnym siedzeniu. Steve pobiegł na najbliższy posterunek policji, gdzie przedstawił swoją sytuację, którą pogarszał fakt, że jeżeli nie stawi się w Wayland do piętnastej, automatycznie straci kategorię D. Policjanci skwapliwie włamali się do jego samochodu, a nawet zatelefonowali do Wayland, aby poinformować, co się stało. Steve dotarł do bramy wjazdowej dziesięć minut przed czasem.

Dzień 51

Piątek, 7 września 2001

5.39 rano

Już miesiąc mieszkam w Wayland, a za dwa tygodnie Sergio wraca do Kolumbii. Jeżeli więc dopisze mi szczęście, odzyskam kategorię D mniej więcej wtedy, gdy zostanie deportowany. Ale czy będę już właścicielem szmaragdu?

9.00 rano

Gimnastyka. W piątek przychodzi grupa niepełnosprawnych i czwórka moich nowych przyjaciół, Alex, Robbie, Les i Paul, już w bramie ściska mi rękę na powitanie. Znowu podczas ćwiczeń wszyscy czterej wykazują się odmiennymi zdolnościami. Les potrafi w dziesięć minut pokonać 1650 metrów na ergometrze wioślarskim, ale na stacjonarnej bieżni umie się poruszać z prędkością najwyżej jednej mili na godzinę, natomiast Paul biegnie z szybkością pięciu mil na godzinę, lecz nie potrafi złapać piłki. Robbie wyłapuje każdy rzut, ale nie cierpi urządzeń mechanicznych, dlatego tylko podnosi ciężary.

Instruktorzy słusznie nam radzą, żebyśmy pozwolili im się popisywać, toteż często słychać radosny śmiech i oklaski i widać niezwykle zadowolone miny.

Jimmy radzi sobie z naszymi podopiecznymi lepiej od innych. Pamięta imiona wszystkich (dziś rano przyszło ponad dwadzieścia osób), a oni wyczuwają w nim prawdziwego przyjaciela. Mógłby być świetnym nauczycielem wychowania fizycznego, obawiam się jednak, że gdy wyjdzie na wolność, pokusa łatwych pieniędzy okaże się silniejsza. Twierdzi, że będzie się trzymał z daleka od handlu narkotyków, ale nie jestem do końca przekonany.

6.00 wieczorem

Spacer. Odwołany z powodu deszczu.

7.00 wieczorem

Sergio dzwoni do brata w Bogocie, ale telefon jest zajęty.

7.05 wieczorem

Sergio odwiedza mnie w celi i podejmuje wykład na temat historii Kolumbii. System polityczny trochę przypomina ustrój Stanów Zjednoczonych – władzę sprawują prezydent, wiceprezydent, Senat i Kongres. Są jednak dwie zasadnicze

różnice: prezydent i wiceprezydent muszą pochodzić z różnych partii, jeden z konserwatywnej, drugi z liberalnej – na tym w pojęciu Kolumbijczyków polega demokracja – ale w istocie całą władzę skupia w ręku prezydent. Druga różnica polega na tym, że nawet senator musi mieć czterech ochroniarzy. Sergio opowiada, że jeden z kandydatów na prezydenta przemawiał w Bogocie otoczony przez czterdziestu ochroniarzy i mimo to został zamordowany.

7.20 wieczorem

Sergio znów telefonuje do brata. Nadal zajęte.

7.23 wieczorem

Sergio kontynuuje lekcję, tłumacząc, że ze względu na panującą w kraju przemoc każdy kandydat na prezydenta musi zawrzeć porozumienie z partyzantką, mafią albo wojskiem, albo ze wszystkimi trzema. Czasem zapominamy, jakie to szczęście, że mieszkamy w Wielkiej Brytanii. Nasi politycy mają do czynienia najwyżej ze związkami zawodowymi, związkiem pracodawców – oraz panami Jeremym Paxmanem i Johnem Humphrysem.

7.35 wieczorem

Sergio znów telefonuje do brata. Nadal zajęte.

7.40 wieczorem

Zdaniem Sergia jedynym czystym i porządnym zajęciem pozostaje praca w służbie cywilnej. Mimo że jego brat jest doradcą kilku ministrów, nie potrzebuje ochroniarza, ponieważ pogodzono się z faktem, że nigdy nie przyjmie łapówki ani od mafii, ani od partyzantki, ani od wojska. Sergio zapewnia mnie, że na wsi jest przepięknie, a kolumbijskie plaże nad Pacyfikiem i Atlantykiem nie mają sobie równych w Ameryce i Europie. Natomiast kobiety...

Dzień 52

Sobota, 8 września 2001

6.01 rano

Odkąd skończyłem dwadzieścia sześć lat, samodzielnie organizuję sobie życie, dlatego przypuszczam, że zwariowałbym, gdybym był zmuszony poddać się dyktatowi rutyny, której podporządkowany jest każdy dzień, łącznie z niedzielą. Gdybym nie pisał dziennika i gdyby nie Sergio, już dawno musieliby nałożyć mi kaftan i odstawić do najbliższego zakładu.

9.00 rano

Gimnastyka. Wyciskam z siebie siódme poty i jest mi tym ciężiej, że wokół siebie mam mężczyzn trzy razy młodszych ode mnie. Pod koniec ćwiczeń wchodzę na wagę i stwierdzam, że w ciągu ubiegłego tygodnia przytyłem o jeden funt. Będę musiał ograniczyć czekoladę. Jeden z niekorzystnych aspektów wielogodzinnego przebywania w zamknięciu polega na tym, że czasem człowiek je, ponieważ nie ma nic innego do roboty (między innymi dlatego niektórzy więźniowie eksperymentują z narkotykami, a nałogowcy potrzebują regularnych dawek). W przyszłości muszę się wykazać większą samokontrolą. Jeżeli czegoś nie kupię, na pewno tego nie zjem.

Między kolejnymi ćwiczeniami (dziesięć minut na ruchomej bieżni, dziesięć na przyrządzie wiosłarskim i rowerze) robię sobie przerwy, okrążając całą salę i łapiąc oddech. Znam już większość więźniów i wiem, co każdy trenuje. Przechodząc obok, zwykle pozdrawiam ich i dopinguję. Gdy mijam Jimmy'ego, ten przeży mięskły, twierdząc, że wygląda jak symbol gejowskiego ideału; ja w oczach pozostałych więźniów uchodzę zapewne za symbol geriatrii.

Dziś dostrzegam rosłego Antylczyka ważącego około dwudziestu kamieni, który samotnie podnosi duże ciężary. Przystaję, aby na niego popatrzeć.

– Co się, kurwa, gapisz? – sapie, opuszczając sztangę.

– Po prostu się przyglądam.

– To się odpieprz. Wiem, że gadasz z każdym, ale ze mną nie pogadasz. – Nie mogę powstrzymać śmiechu, ale on nie wydaje się rozbawiony, a pilnujący nas funkcjonariusze zdradzają oznaki nerwowego napięcia. – Chcesz zarobić w łeb? – pyta.

– Chyba nie, Ellis. – Jest wyraźnie zaskoczony, że znam jego imię. – I lepiej tego nie rób, jeżeli chcesz wyjść za dwa tygodnie. – Dziwi się jeszcze bardziej, że znam termin jego zwolnienia.

Mruczy coś w odpowiedzi, odwraca się do mnie plecami i dźwiga 210 kilogramów. W więzieniu ważne jest nie tylko, kogo się zna, ale co się wie.

2.00 po południu

Przecinając korytarz, zmierzam do celi Darrena na tryktraka, gdy spostrzegam stojącego przy telefonie Sergia. Trzyma w dłoni plik kart telefonicznych; musiał już chyba sprzedać cały dobytek. Jego celnik wygląda ostatnio, jak gdyby ogołocili ją komornicy.

Po trzech partiach wracam do celi z kolejnym batonem Mars w garści. Jeżeli zamierzam stracić na wadze, muszę zacząć przegrywać w tryktraka. Spoglądając w lewo, widzę Sergia, który przyzywa mnie rozpaczliwym gestem.

– Potrzebuję jeszcze jednej karty – mówi błagalnie.

Wyciągam kartę, którą zawsze noszę w tylnej kieszeni dżinsów, i podaję mu. Dziękuje mi uśmiechem.

Wracam do celi, siadam przy stole i czekam, spodziewając się, że zaraz odbędzie się posiedzenie zarządu.

2.34 po południu

Zjawia się Sergio, pozostawiając uchylone drzwi (jeśli ktoś wchodzi do celi, funkcjonariusz lub współwięzień, przepisy zabraniają zamykania drzwi), i włącza telewizor – znak, że nie chce, aby ktoś nas podsłuchał. Jak zwykle siada na końcu łóżka, na miejscu przysługującym dyrektorowi naczelnemu. Otwiera blok formatu A4.

– Kamień startuje... – zerka na zegarek – za dwie godziny. – Rozpromienia się w uśmiechu, każąc mi przez chwilę czekać na ciąg dalszy.

Kiwam głową. Gdybym się odezwał, opóźniłbym tylko początek relacji z rozmowy, którą właśnie odbył z bratem i zamierzał powtórzyć w całości. Trudno zresztą mieć mu to za złe. Pominę jednak następne czterdzieści minut, streszczając przebieg wypadków, które wywołały u niego tak promienny uśmiech.

Brat Sergia rzeczywiście załatwił wszystkie formalności i nadał na lotnisku w Bogocie paczuszkę, która ma dotrzeć na Heathrow przez Frankfurt samolotem Lufthansy wylatującym za dwie godziny (o 10.30 rano czasu kolumbijskiego, czyli o 4.30 po południu czasu Wayland). Wszystkie ważne informacje przesłał faksem do mojego londyńskiego biura, będą więc wiedzieli, gdzie i kiedy odebrać kamień. Sergio przerywa w tym miejscu opowieść, czekając na zasłużone pochwały. Następnie potwierdza, że szmaragd pochodzi z okręgu Muzo, znanego z wysokiej jakości wydobywanych tam kamieni. Ma 3,3 karata i kosztuje 9000 dolarów (cena miejscowa). Teraz trzeba poczekać na wycenę szmaragdu, której dokona mój gemmolog. Sergio spogląda na mnie znad swoich notatek i dodaje, że brat chciałby dostać z mojego biura potwierdzenie odebrania faksu.

– Teraz – pytam – czy kiedy skończysz swój raport?

Widzę, że jest dopiero w połowie stron wypełnionych jego starannym pismem. Zastanawia się przez chwilę, po czym decyduje:

– Nie, najpierw skończę. Druga wiadomość – ciągnie Sergio, przewracając kartkę i uśmiechając się jeszcze szerzej niż poprzednio – jest taka, że Liana – (jego dawna koleżanka ze szkoły) – wytropiła cztery obrazy Botera będące prywatną własnością. Prywatną własnością – powtarza z naciskiem. – Być może są na sprzedaż. W przyszłym tygodniu przyśle do twojego biura szczegółowe informacje. – Zagląda do kalendarza. – Czyli będziesz miał dwanaście dni, żeby je wycenić. Wycenić – powtarza. – To właściwe słowo? – Kiwam głową z podziwem. – Zanim ustalisz realistyczną cenę, będę już w Kolumbii i przejmę negocjacje. – Zamyka swój blok.

– Pójdę zadzwonić do syna – mówię, zdając sobie sprawę, że następny ruch należy do mnie. – Zostały jakieś jednostki na mojej karcie? – pytam, wracając do rzeczywistości.

3.17 po południu

Dzwonię pod numer komórki Jamesa i pytam, gdzie jest.

– W samochodzie, tato, ale za piętnaście minut będę w domu.

Odkładam słuchawkę. Połączenie kosztowało mnie trzy jednostki – komórki błyskawicznie pożerają impulsy. Wracam do celu, by poinformować Sergia, że dopiero za kwadrans będę się mógł dowiedzieć, czy James dostał faks. Sergio ma zatem dość czasu, żeby wrócić do swoich sukcesów, przeżywając je jeszcze raz, zupełnie jak powtórkę hat tricku Owena w meczu z Niemcami.

3.35 po południu

Telefonuję do Jamiego i pytam, czy otrzymał faks.

– Tak, przyszedł czterdzieści minut temu.

– I dostałeś wszystkie potrzebne informacje?

– Tak – odpowiada.

Odkładam słuchawkę. Sergio wychodzi, ponieważ musi się stawić do pracy w kuchni. Mimo że musi wrócić do rzeczywistości, uśmiech nie znika z jego twarzy.

4.30 po południu

Spacer. Do Darrena i mnie dołącza Jason (współudział w szantażu). Żwawo maszerując, mijamy Shauna, który szkicuje Julesa, mojego współlokatora przez pierwsze dwa tygodnie. Ukończył już pracę nad portretami Darrena i Dale'a i kiedy narysuje Julesa, pozostanie mu tylko Jimmy, czyli pod koniec tygodnia powinien mieć już komplet.

– Dlaczego ciągle mam wrażenie – odzywa się Darren – że twoim zdaniem Służba Więzienna ma tylko jeden cel: zaspokajać każdą twoją potrzebę?

– To nie jest ani ściśle, ani uczciwe – protestuję. – Próbuję zorganizować sobie całe życie według harmonogramu, jaki narzuca nam Służba Więzienna. Znacznie trudniej jest mi przez to wykonywać zwykłe zajęcia, ale każda minuta ma dla mnie teraz zupełnie inną wartość.

– Chciałbym umieć funkcjonować w tym systemie – mówi Jason.

– Dzisiaj po południu zrobili mi obowiązkowy test narkotykowy à la Ann Widdecombe.

– I wynik będzie pozytywny? – pytam.

– Nie ma mowy, jestem czysty. I beczelnie mi oznajmili – dodaje – że muszą to zrobić „na podstawie uzasadnionych podejrzeń”.

– Masz to i owo na sumieniu – zauważa Darren, który doskonale wie, że Jason od czasu do czasu próbuje heroiny. – Skąd taka pewność, że jesteś czysty?

– A stąd – powiada Jason – że od trzech dni piję więcej wody niż Jeffrey. Co najmniej siedem razy musiałem wstawać w nocy sikać.

5.40 po południu

Plombują nas na czternaście godzin. Po przejrzeniu dzisiejszych zapisków zabieram się do czytania korespondencji. Szczególnie porusza mnie list od Gillian Shephard. Przedstawia się w nim jako „twoja tymczasowa reprezentantka w Izbie Gmin”. Zapewnia mnie, że mogę liczyć na jej wsparcie, i zauważa: „Nikt nie może zarzucić, że staram się pozyskać twój głos w wyborach. W końcu członkowie Izby Lordów, skazani na karę więzienia i obłąkani nie mają prawa głosu. A ty, Jeffreyu, nie należysz tylko do jednej z tych kategorii”.

10.00 wieczorem

Kładę się i zaczynam rozmyślać o samolocie, który jest już w połowie drogi przez Atlantyk i zmierza ku Heathrow. Na pokładzie ogromnej maszyny spoczywa maleńki pakunek, niewiele większy od kostki bulionowej, a w środku tkwi maleńki szmaragd, który albo za kilka dni wyruszy w drogę powrotną do Bogoty, albo w grudniu zawisnie na choince w moim domu.

Dzień 53

Niedziela, 9 września 2001

5.39 rano

Zeszłego wieczoru wydarzyło się coś bardzo dziwnego i będę to musiał dziś wyjaśnić. Aby jednak czytelnik zrozumiał znaczenie tego zdarzenia, muszę najpierw opisać układ skrzydła dla więźniów o wyższym statusie w bloku A. Skrzydło ma kształt litery L, a w każdej odnodze znajduje się czternaście cel. Kiedy wychylę się przez okno i spojrzę w lewo, widzę pięć okien odnogi prostopadłej do mojego korytarza.

Około ósmej wieczorem, tuż po tym, jak skończyłem wczorajszą turę pisania, wstałem od stołu, aby zasunąć firanki, i zauważyłem młodą, dwudziestopięcioletnią funkcjonariuszkę (lepiej nie będę jej szczegółowo opisywał), która rozmawiała przez okno z jednym z więźniów. Nie zaprzątałbym sobie tym głowy, gdyby nie fakt, że godzinę później nadal tam stała... Na razie nie mogę podać żadnych szczegółów, ponieważ za dwadzieścia szóstą wieczorem drzwi mojej celi zostały zamknięte i otworzą się dopiero piętnaście po ósmej rano. Zwrócę się w tej sprawie do skarbnicy wszelkiej wiedzy, czyli Darrena, i jutro poinformuję, czego udało mi się dowiedzieć. Mam wrażenie, że Darren zna oboje – funkcjonariuszkę i więźnia – i co ważniejsze, potrafi wyjaśnić, jaki związek ich łączy.

9.00 rano

Jimmy, Carl, Jules, Shane i ja idziemy do szatni, szykując się do meczu piłki nożnej z Lakenheath. Po zwycięstwie w zeszłą niedzielę i dwóch udanych treningach w ciągu tygodnia drużyna jest pełna optymizmu i gotowa do następnego spotkania.

Znów występuję w charakterze sprawozdawcy, toteż spoglądam na ławki, upewniając się, czy znam nazwiska wszystkich członków drużyny. Zawodnicy trochę się denerwują i zaczynają podskakiwać w miejscu, czekając na przyście trenera, który ma ich zagrzać do walki. Po chwili zjawia się Kevin Lloyd z zafrasowaną miną.

– Przykro mi, chłopaki – mówi – ale mecz został odwołany.

W szatni rozlega się przeciągły jęk.

– Dwóch graczy z drużyny naszych przeciwników – ciągnie Kevin – nie miało przy sobie żadnego dowodu tożsamości, więc nie mogliśmy ich wpuścić przez bramę. Przyjąłbym nawet karty kredytowe, ale też nie mieli. Przykro mi – powtarza i nikt nie ma wątpliwości, że jest tak samo zawiedziony jak my.

Reszta wychodzi na kolejny trening, a ja muszę wrócić do celi.

11.00 rano

Telefonuję do Mary, która informuje mnie o postępach w sprawie przywrócenia mi kategorii D.

– Prace KPMG nad raportem posuwają się dość wolno – mówi – a policja jeszcze nawet nie zdecydowała, czy chce cię przesłuchać.

Mimo że wszystko trwa dłużej, niż się spodziewała, Mary twierdzi, że nie ma powodu przypuszczać, aby uznano, iż oskarżenia Emmy Nicholson przedstawiają jakąkolwiek wartość.

Sugeruję, żeby nie rezygnowała z przyjęć bożonarodzeniowych, które zawsze urządzaliśmy w grudniu, i by w roli współgospodarzy wystąpili Will i James. Radzę jej, aby zaprosiła wszystkich, którzy nie odwrócili się od nas w nieszczęściu, i zlekceważyła fałszywych przyjaciół (którymi, co trzeba przyznać, okazało się bardzo niewiele). Dodaję, że jeżeli na Boże Narodzenie będę już w więzieniu kategorii D, zadzwonię w środku przyjęcia i przez interkom wygłoszę świąteczną mowę.

4.30 po południu

Właśnie wybieram się na spaceriak, gdy słyszę od oddziałowego, że pilnie wzywają mnie do biura starszego funkcjonariusza. Dziwi mnie słowo „pilnie”, którego nie słyszałem od siedmiu tygodni.

Wchodzę do biura Kinga, gdzie zastaję funkcjonariuszkę, której nigdy jeszcze nie widziałem. Czyżbym miał w końcu poznać naczelniczkę? Nie. Funkcjonariuszka nazywa się Sue Maiden i wyjaśnia, że należy do więziennego oddziału ochrony. Następnie informuje mnie, iż odebrała zgłoszenie, że Ellis, więzień z bloku B, podczas wczorajszej gimnastyki odnosił się do mnie w sposób obraźliwy. Opowiadam jej dokładnie przebieg zajścia. Pyta, czy potrzebuję specjalnej ochrony.

– Oczywiście, że nie – zapewniam ją. – To ostatnia rzecz, jakiej bym się domagał.

Na jej twarzy maluje się wyraz ulgi.

– Musiałam o to zapytać – wyjaśnia.

– Naprawdę nie potrzebuję ochrony – powtarzam. – Wystarczy przeczytać

artykuł w porannym „Sunday Timesie” o kartach telefonicznych, żeby mieć pojęcie, jak prasa mogłaby to zinterpretować.

– Rozumiem, ale mimo wszystko musimy porozmawiać z Ellisem.

– Dobrze, ale nie na moją prośbę – oświadczam.

Sue Maiden przyjmuje do wiadomości moje zastrzeżenie i wychodzę z biura. Okazuje się, że okratowana brama prowadząca na spaceriak została już zaryglowana, tak więc nie mogę odbyć mojej codziennej przechadzki wokół dziedzińca.

5.00 po południu

Spędzam czterdzieści minut w celi Sergia, który mówi, że tylko jeden autoryzowany przewoźnik obsługuje połączenia lotnicze z Bogotą, a loty odbywają się tylko w czwartki, soboty i niedziele. Sergio zaznacza, że niełatwo zachęcić turystów do odwiedzenia kraju, gdzie w samej stolicy popełnia się czterdzieści morderstw dziennie.

Resztę czasu przeznaczonego na spacer poświęca na lekcję geografii. W atlasie Darrena (gra w tryktraka) pokazuje mi, gdzie leżą szmaragdowe góry oraz rozległe pola naftowe we wschodnich dolinach. Odkrywam, że Andy i Amazonka wyznaczają naturalny wjazd do Kolumbii i wyjazd z niej.

6.00 wieczorem

Wpadam do celi Darrena na szklaneczkę soku z czarnej porzeczki i przyglądam się, jak gospodarz gra z Jimmym w tryktraka. Mówi mi, że specjalnie zaplanowano moje spotkanie z funkcjonariuszką ochrony na taką godzinę, abym nie mógł wyjść na spacer, ponieważ uznano, że potrzebuję chwili spokoju. Wygląda na to, że Darren wie o wszystkim, co się dzieje w więzieniu, toteż korzystam z okazji i opowiadam o nocnych wydarzeniach.

Darren wybucha śmiechem.

– Podglądacz z ciebie – mówi. – To musiał być Malcolm. Malcolm Macho.

– Jest jeszcze bardziej pociągający niż ja – wtrąca Jimmy.

– Czyżby to miała być jakaś smakowita historia do mojego dziennika? – pytam ostrożnie.

– I to niejedna – oświadcza Darren. – Ale dzisiaj nie opowiem ci żadnej, bo zaraz nas plombują.

Wyraźnie cieszy go myśl, że będę musiał odczekać kilka godzin, zanim je usłyszę.

8.00 wieczorem

Po zamknięciu celi zasiadam do sporządzania obszernych notatek przed rozmową telefoniczną z Alison, która jutro wraca z Nowej Zelandii. Następnie otwieram *Hamleta*. Postanowiłem przeczytać (lub przeczytać powtórnie) wszystkie dzieła Szekspira – trzydzieści siedem dramatów – do czasu przeniesienia do więzienia otwartego. Jeśli uda mi się dopiąć celu, zabiorę się do sonetów.

Przeczytawszy dwa akty, włączam telewizor, aby obejrzeć niezapomnianego Johna Le Mesuriera w *Armii tatuśka*. To wybitny aktor, który potrafił się odsunąć na drugi plan, ustępując innym miejsca w blasku jupiterów. Ja nigdy nie posiadałem takich zdolności.

Dzień 54

Poniedziałek, 10 września 2001

5.51 rano

Jutro, jutro, jutro...⁵⁰

Muszę się umówić na rozmowę z Jamesem jutro o siódmej wieczorem, aby się dowiedzieć, czy szmaragd dotarł na miejsce. Dziś nie mogę się z nim skontaktować, ponieważ w poniedziałek plombują nas o wpół do szóstej, a o tej porze mój syn będzie jeszcze w pracy w City.

Jutro... Malcolm Macho zostanie przeniesiony do więzienia kategorii D i dopóki nie opuści Wayland, ani Darren, ani Jimmy nie pisną słowa o jego życiu seksualnym. Słyszałem jednak, że funkcjonariuszkę, którą wczoraj zauważyłem pod jego oknem, widziano dziś, jak szła z nim korytarzem, zmierzając do jego celi. Ale to na razie plotka; jutro będę ją mógł wzbogacić o fakty, o których opowiedzą mi Darren i Jimmy. Darren wygadał się jednak, że rzecz dotyczy trzech kobiet. Doskonale wie, że usłyszawszy to, będę się niecierpliwić przez całą noc.

Jutro...

A dziś wstaję kilka minut przed szóstą i piszę dwie godziny.

9.00 rano

Garncarstwo. Zabieram do pracowni grejpfruta i słoik po dżemie dla Keitha (porwanie), który chce narysować jeszcze jedną martwą naturę w ramach prac maturalnych. Wcześniej, zanim trafił do więzienia, w ogóle nie malował. Za pół roku zostanie zwolniony warunkowo i wieku czterdziestu sześciu lat wyjdzie na

wolność z ukończoną szkołą średnią. Duża w tym zasługa Anne i Paula, którzy są równie dumni z jego sukcesów jak sam Keith.

Keith wspomina, z jaką przykrością czytał o śmierci mojej matki, dodając, że on także siedział w więzieniu, gdy jego trzydziestopięcioletnia żona zmarła na raka piersi.

– Będę ją oplakiwał dopiero po wyjściu na wolność – dorzuca cierpko.

Shaun (falszerstwo, artysta) potwierdza, że zrezygnował na razie z pracy nad portretem Dale'a i skupił się na Julesie, Stevie i Jimmym. Rozmawiamy o tym, jak ma odebrać przesyłkę, która powinna nadejść w środę – zapas papieru, farb, kredy i ołówków – tak aby inni więźniowie nie domyślili się moich planów. Nie chcemy narażać na ryzyko naszego przemytnika i naturalnie nie chcemy, aby inni więźniowie zaczęli zazdrościć Shaunowi.

Zazdrość jest w więzieniu uczuciem jeszcze powszechniejszym niż na wolności, po części dlatego, że w tak hermetycznym świecie wszystkie emocje stają się intensywniejsze, a po części dlatego, że nawet drobny przywilej, jakim cieszy się jeden więzień, uchodzi za niesprawiedliwość w oczach pozostałych, których traktuje się inaczej.

Resztę zajęć spędzam na lekturze biografii dwóch wspaniałych malarek impresjonistycznych, Marie Laurencin i Berthe Morisot.

2.00 po południu

Gimnastyka. Znow w ciągu godziny udaje mi się wykonać cały program. O moich postępach może świadczyć fakt, że przed czterema tygodniami, w chwili przyjazdu do Wayland, na przyrządzie do treningu wioślarskiego uzyskiwałem zaledwie 1800 metrów, a dziś pierwszy raz udało mi się pokonać 2200 metrów. Jeżeli w końcu trafię do zakładu kategorii D, mogę mieć tylko nadzieję, że zastanę tam dobrze wyposażoną salę gimnastyczną.

3.42 po południu

Drzwi celi otwiera Chapman i zawiadamia mnie, że Carlton-Boyce chce się ze mną widzieć.

Carlton-Boyce, naczelnik, który zajmuje się moją sprawą, oświadcza, iż nie może niczego zrobić w celu przywrócenia mi kategorii D, dopóki policja nie potwierdzi, że nie będzie wszczynać żadnego dochodzenia na podstawie zarzutów związanych z moim udziałem w kampanii Simple Truth.

– Ale kiedy tylko otrzymamy takie potwierdzenie – dodaje – niezwłocznie przeniesiemy pana do więzienia otwartego. Wciąż codziennie dostaję mnóstwo listów w pańskiej sprawie, ale ich autorzy nie rozumieją, że mam związane ręce.

Przyjmuję to do wiadomości, lecz zauważam, że minęło już sześć tygodni, a policja jeszcze mnie nawet nie przesłuchała. Kiwa głową, po czym pyta mnie, czy mam jeszcze jakieś inne kłopoty. Zaprzeczam, choć odnoszę wrażenie, że ma na myśli incydent z Ellisem w sali gimnastycznej.

5.30 po południu

Dzwonię do Alison. Umawiam się na rozmowę telefoniczną z Jonathanem Lloydem, moim agentem, jutro o piątej i z Jamesem o siódmej. Muszę zamawiać „rozmowy na czas”, ponieważ, jak wiadomo, nikt nie może dzwonić do mnie.

5.45 po południu

Zamykają mnie na czternaście godzin, dlatego po przejrzaniu zapisków zacznę czytać listy. Jeden jest od dziennikarza.

Ależ prasa potrafi się przy pochlebić, kiedy czegoś chce.

9.00 wieczorem

Oglądam pierwszą z czterech części serialu dokumentalnego o sześciu żonach Henryka VIII. Narrację prowadzi David Starkey. Nie miałem pojęcia, że Katarzyna Aragońska została regentką i prowadziła wojnę ze Szkotami (Flodden 1513), podczas gdy Henryk toczył własne bitwy we Francji, nie wiedziałem też, że byli małżeństwem przez trzydzieści lat i zapewne zostaliby razem do śmierci, gdyby Katarzyna dała królowi syna. Poproszę o więcej, doktorze Starkey. Nie mogę się doczekać odcinka o Annie Boleyn w przyszłym tygodniu; nawet ja wiem, że była matką Elżbiety I, lecz niewiele ponadto.

10.00 wieczorem

Głównym tematem wiadomości jest informacja o prawdopodobnym skierowaniu do prokuratury sprawy Johna Prescottta. Wicepremier podczas kampanii wyborczej zdzielił pięścią napastnika, który rzucił w niego jajkiem. Od kilku tygodni niektórzy więźniowie powtarzają, że odsiadują wyroki od sześciu miesięcy do trzech lat za to, że w odpowiedzi na napaść użyli pięści, dlatego niecierpliwie czekają na przyjazd Prescottta. W rozmowie z Darrenem wyrażam przypuszczenie, że prokuratura zrobi wszystko, aby zatuszować sprawę.

– Z tobą postąpili inaczej – zauważa.

Rzeczywiście, ale uwagi społeczeństwa na pewno nie uszedł fakt, że dopóki u władzy są nowi laburzyści, sprawiedliwość w Wielkiej Brytanii będzie miała dwa

oblicza. Nie potrafię sobie wyobrazić, by furgon-sauna przywiózł do Belmarsh wicepremiera Prescottta. Być może jestem niesprawiedliwy wobec prokuratury

Jutro, jutro, jutro...

Dzień 55

Wtorek, 11 września 2001

5.39 rano

Przypuszczam, że wtorek 11 września 2001 roku pozostanie w pamięci wszystkich mieszkańców wolnego świata jako jeden z najczarniejszych dni w historii. Opiszę jednak jego przebieg według chronologii, choć zdaję sobie sprawę, że wcześniejsze wydarzenia mogą się wydawać błahe.

9.40 rano

Garncarstwo zostaje odwołane z powodu awarii samochodu Anne, toteż uczestnicy zajęć plastycznych muszą wracać do cel (ironia losu). W bloku A wszyscy mieszkańcy mojego skrzydła ściskają dłoń Malcolma, który ma zaraz odjechać do więzienia kategorii D. Przychodzi pożegnać się ze mną, wyrażając nadzieję, że wkrótce mnie zobaczy, ponieważ wie, że najprawdopodobniej także wybiorę Spring Hill.

– Kiedy zabierze cię Grupa 4? – pytam.

– W ogóle mnie nie zabierze – powiada. – Mam już kategorię D i prawo do warunku, bo odsiedziałem jedną czwartą wyroku, więc mogę jechać do Aylesbury sam i nikt się mną nie będzie przejmował, jeśli zamelduję się na miejscu do trzeciej po południu.

Ledwie Malcolm opuścił blok, do mojej celi wślizguje się Jimmy.

– Teraz mogę mówić – oznajmia.

Jimmy i Malcolm mają kategorię D (Jimmy został w Wayland, ponieważ ma bliżej do domu) i jako jedynym spośród osadzonych w Wayland wolno im codziennie pracować za murami więzienia. Obaj w ciągu tygodnia zajmują się utrzymaniem terenu za ogrodzeniem, a w sobotę rano pracują w schronisku dla zwierząt prowadzonym przez ochotników. Pomagają okaleczonym ptakom uczyć się latać, okulałym stworzeniom chodzić, czasem muszą też grzebać martwe zwierzęta.

W każdą sobotę rano Jimmy i Malcolm przychodzą do schroniska z kilkoma

wolontariuszami z pobliskiej wsi. Była wśród nich kobieta, która niedwuznacznie dawała Malcolmowi do zrozumienia, co do niego czuje – Malcolm ma surową urodę gwiazdora filmowego z lat trzydziestych i zdecydowanie za dużo uroku.

Jednym z zadań, za którymi wolontariusze nie przepadają, jest grzebanie zdechłych zwierząt, i jeź Percy nie był wyjątkiem. Wszyscy się zdumieli, gdy wspomniana dama zgłosiła się na ochotnika, by pochować Percy'ego. Malcolm, szarmancki jak zawsze, szybko zgodził się towarzyszyć jej w wyprawie do lasu graniczącego z terenem schroniska.

Uzbrojeni w łopaty zniknęli w gąszczu. Po czterdziestu pięciu minutach wyszli z lasu, ale, jak zauważył Jimmy, już bez łopat.

– Gdzie twoja łopata, stary? – zapytał Malcolm Jimmy.

– Wiedziałem, że mieliśmy tam robić coś innego – wyrwało mu się i oboje popędzili z powrotem do lasu. Zdążył wrócić w ostatniej chwili do czekającej na niego eskorty, która odstawiła go do więzienia.

Jimmy sądzi, że Malcolm zdążył także opuścić Wayland w ostatniej chwili, gdyż jedna z kobiet zatrudnionych w recepcji dla odwiedzających właśnie zapisała się do grupy ochotników pracujących w soboty w schronisku dla zwierząt. Nie mówiąc o funkcjonariuszce, którą dwa dni temu widziałem pod oknem jego celi, gdzie stała ponad godzinę, a teraz nosi się podobno z zamiarem złożenia podania o przeniesienie...

– Bóg jeden wie – dodaje Jimmy – co Malcolm będzie wyprawiać w otwartym więzieniu, gdzie rygor jest o wiele łagodniejszy.

– Czy on jest żonaty? – pytam.

– Och, tak – mówi Jimmy. – I to szczęśliwie.

1.17 po południu

Siedzę na łóżku, czytając „Timesa”, gdy bez pukania wpada Darren – co jest do niego zupełnie niepodobne.

– Włącz telewizor – mówi bez żadnych wstępów. – Pokazują to na każdym programie.

Razem oglądamy horror rozgrywający się w Nowym Jorku. Przypuszczam, że pierwszy samolot musiał ulec tragicznemu wypadkowi, ale po chwili widzimy, jak drugi wbija się w bliźniaczą wieżę World Trade Center. Z początku odnoszę wrażenie, że komentator nieco przesadza, porównując to do ataku na Pearl Harbor. Ale później, kiedy uświadamiam sobie ogrom zniszczeń i śmierci, nie jestem już taki pewien. Dziennikarze zaczynają pytać: „Kto to zrobił?”

Chociaż patrzę jak zahipnotyzowany na potworne wydarzenie historyczne rozgrywające się na moich oczach, więziennego harmonogramu nie da się zmienić, bez względu na to, co się dzieje na świecie. Jeżeli nie zamelduję się w sali

gimnastycznej przed trzecią piętnaście, zaczną mnie szukać.

3.15 po południu

Wszyscy w sali gimnastycznej rozmawiają głównie o nowojorskiej masakrze oraz jej prawdopodobnych skutkach, choć kilku więźniów jak gdyby nigdy nic wyciska ciężary na ławeczce, zupełnie nie zważając na wydarzenia na świecie. Gdy kończy się godzina przeznaczona na gimnastykę, wracam biegiem do celi i dowiaduję się, że trzeci samolot odbywający krajowy rejs trafił w Pentagon, a czwarty, który przypuszczalnie zmierzał w kierunku Białego Domu, rozbił się tuż za granicą Pensylwanii.

4.30 po południu

Przez kilka godzin siedzę przed telewizorem. Wśród strzępów wiadomości podawanych między wielokrotnie powtarzanymi scenami katastrofy dwu wież znalazła się wypowiedź Williama Hague'a; na znak szacunku dla Amerykanów odłożył ogłoszenie nazwiska nowego przewodniczącego Partii Konserwatywnej.

Premier odwołał przemówienie do Kongresu Związków Zawodowych w Brighton i pospiesznie wrócił na Downing Street, gdzie składa deklarację pełnego poparcia dla prezydenta Busha i nazywa terroryzm nowym złem świata.

7.00 wieczorem

Najtrwalszym wspomnieniem tego dnia pozostanie dla mnie widok niewinnych ludzi wyskakujących z okien wieżowców i głosy pasażerów uwięzionych na pokładzie samolotu, rozmawiających z bliskimi przez telefony komórkowe. Telefon do mojego agenta i Jamesa miał być najjaśniejszym punktem dnia. Teraz wydaje się całkiem nieistotny.

Dzień 56

Środa, 12 września 2001

5.44 rano

Wczorajsze wiadomości zostały zdominowane przez doniesienia z Ameryki i pytania, jakie kroki odwetowe może podjąć George W. Bush.

Tony Blair przejął inicjatywę, zwołując o 2 po południu konferencję prasową na Downing Street, którą nowojorczyacy obejrzą bladym świtem. Nie chcę być cyniczny, ale gdy pod koniec konferencji premier zgodził się odpowiadać na pytania, proszę zwrócić uwagę, których dziennikarzy wybrał z tłumu gęsto wypełniającego salę – reprezentanta BBC (Andrew Marra), ITV (Johna Sergeanta), CNN (Robina Oakleya), Channel 4 (Eleanor Goodman), „Timesa” (Philipa Webstera) i „Sun” (Trevora Kavanagha). Łatwo zauważyć zręczną rękę Alistaira Campbella⁵¹: same duże telewizje i dwie gazety Murdocha. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że zwołując parlament, premier sprawia wrażenie wybitnego europejskiego męża stanu, i to w dniu, gdy partia torysów zamierza ogłosić nazwisko swego nowego przywódcy.

9.00 rano

Życie w Wayland toczy się dalej, melduję się więc w pracowni plastycznej na zajęcia garncarstwa. Naszemu tajnemu wspólnikowi szczęśliwie udało się przemyścić materiały potrzebne Shaunowi do zakończenia pracy nad ilustracjami do tego tomu.

11.15 rano

Telefonuję do Alison po najświeższe wiadomości. Mówi, że KPMG jest naciskane, aby przedstawiło raport wstępny, nie każąc mi czekać na zakończenie postępowania, które obecnie dotyczy zarzutów Emmy Nicholson wysuwanych pod adresem Czerwonego Krzyża – a ja nie mam z nimi nic wspólnego. Nie mogę tracić więcej impulsów, gdyż wieczorem muszę rozmawiać z Jamesem, toteż żegnam się z moją asystentką.

2.00 po południu

Piłka nożna. Ku mojemu zdziwieniu mecz Wayland z drużyną bazy lotniczej Marham nie zostaje odwołany – choć prawdę mówiąc, nie spodziewam się ujrzeć w składzie gości wielu pilotów myśliwców. Przegrywamy 3:4 mimo wysiłków Jimmy’ego, który strzela dwie bramki. Trzech zawodników z naszej drużyny dostaje czerwone kartki i Wayland kończy mecz w ósemkę, chociaż do połowy prowadzi 3:2. Nawiasem mówiąc, wszyscy trzej gracze zasłużyli na wyrzucenie z boiska.

Natychmiast po powrocie do celi włączam telewizor.

4.00 po południu

Większość świata muzułmańskiego składa Ameryce przysięgi lojalności – zapewne boją się odwetu. Jaser Arafat oddaje nawet krew na znak solidarności z mieszkańcami Nowego Jorku. Premier nadal podkreśla swe poparcie dla Stanów Zjednoczonych, uznając okrutną rzeź w Nowym Jorku za atak na świat demokratyczny. Podejrzewam, że traktuje te wydarzenia jak swoje Falklandy. Miejmy nadzieję, że nie okażą się Wietnamem.

6.00 wieczorem

Po kolacji Sergio zwołuje posiedzenie zarządu. Punkt pierwszy porządku dziennego – potwierdza, że walizka wraz z zawartością trafiła do jego znajomej w północnym Londynie. Punkt drugi – szmaragd dotarł do Londynu i pomyślnie załatwiono wszystkie formalności. Punkt trzeci – w sobotę kolega jego brata wybiera się samolotem do Londynu, zamierzając wziąć ze sobą złoty łańcuszek, katalog twórczości Botera oraz cztery zdjęcia jego obrazów olejnych, które są na sprzedaż. Sergio milknie, czekając na moją reakcję. Uśmiecham się. To wszystko brzmi zbyt pięknie, by mogło być prawdą.

7.00 wieczorem

Dzwonię do Jamesa. Mówi, że jest zmęczony; właśnie zaczął nową pracę w City. Z powodu zamieszania na rynku amerykańskim musi się zjawiać przy biurku już o 7 rano i wychodzi z biura dopiero po 7 wieczorem. Potwierdza jednak, że szmaragd dotarł na miejsce, więc z ciekawości pytam, jak wygląda.

– Wygląda wspaniale, tato – odpowiada z prostotą. – Ale nie mam pojęcia, czy jest wart dziesięć tysięcy dolarów.

– Kiedy będziesz się widział z rzeczoznawcą?

– W weekend.

Nie pytam go o nic więcej, pragnąc zachować resztę jednostek na karcie dla Mary.

Nadchodzący weekend będzie obfitował w wydarzenia. W piątek Mary przyjedzie do Wayland. W sobotę Liana zdobędzie wiadomości o obrazach Botera. W niedzielę do Londynu przyleci kolega Sergia i tego samego dnia James powinien znać realistyczną wycenę szmaragdu. Chciałbym już teraz móc przeczytać poniedziałkowe zapiski. Nic z tego.

8.00 wieczorem

We wszystkich programach informacyjnych powtarzają wszelkie możliwe

ujęcia samolotów pasażerskich wbijających się w bliźniacze wieże World Trade Center w Nowym Jorku. Wszyscy komentatorzy nie mają wątpliwości, że Stany Zjednoczone będą szukały zemsty, gdy tylko ustalą sprawców. I nie można im mieć tego za złe. Całą operacją będzie musiał pokierować naprawdę wielki człowiek. Takim przywódcą okazał się prezydent Kennedy, gdy stanął w obliczu kryzysu kubańskiego. Mogę mieć tylko nadzieję, że George W. Bush nie ustępuje mu siłą charakteru.

Dzień 57

Czwartek, 13 września 2001

6.03 rano

Była bezchmurna, zimna noc i pierwszy raz nie potrafiłem się rozgrzać pod dwoma cienkimi kocami. Musiałem leżeć zupełnie nieruchomo, żeby nie marznąć. Miałem wrażenie, jak gdybym ponownie znalazł się w internacie. Dwa koce stanowią przepisowy przydział, będę więc musiał porozmawiać o tej sprawie z Darrenem. Jestem prawie pewien, że ma jakiś zapas.

8.15 rano

Jedząc płatki kukurydziane, oglądam telewizję śniadaniową. Z Waszyngtonu nadchodzi informacja, że Departament Stanu jest przekonany, iż zgodnie z przypuszczeniami ataki terrorystyczne wyreżyserował Usama Ibn Ladin. Teraz musimy poczekać i przekonać się, jak George W. Bush zamierza odpowiedzieć. Prezydent nie wzbudził zaufania komentatorów, mówiąc o terrorystach „to bractwo”. Z kolei Rudy Giuliani, burmistrz Nowego Jorku, z dnia na dzień jawi się jako mąż stanu światowego formatu. Kiedy na ekranie pojawia się obraz Nowego Jorku, ze zdziwieniem zauważam obłok dymu, który wciąż unosi się nad miastem. Dopiero gdy oko kamery kieruje się na gruzy, uświadamiam sobie, ile będzie musiało upłynąć czasu, zanim rany miasta się zablżnią.

9.00 rano

Ze względu na szkolenie funkcjonariuszy plombują nas w celach na całą godzinę.

10.00 rano

Garncarstwo. Zmierzam szybkim krokiem do pracowni plastycznej, ponieważ muszę się zobaczyć z Shaunem i spytać go, czy ma już wszystkie niezbędne materiały. Rozczarowany dowiaduję się, że nie przyszedł na zajęcia, przystępuję więc do lektury książki o życiu Picassa, ze szczególną uwagą oglądając *Guernicę*, którą artysta namalował na znak poparcia dla swoich rodaków podczas wojny domowej w Hiszpanii. Wiem, że to arcydzieło, ale ktoś taki jak Brian Sewell musiałby mi wytłumaczyć dlaczego.

2.00 po południu

Gimnastyka. Realizuję cały program i czuję, że od lat nie byłem w tak dobrej formie.

6.21 wieczorem

Pod koniec wiadomości telewizyjnych pojawia się informacja o tym, że na nowego przewodniczącego Partii Konserwatywnej został wybrany Iain Duncan Smith. Wygrał zdecydowanie, zdobywając 155 935 głosów (61 procent), podczas gdy jego kontrkandydata Kennetha Clarke'a poparło 100 864 wyborców (39 procent). Frekwencja okazała się dużo wyższa, niż przypuszczałem. Przez wiele lat starałem się przekonać swoją partię, że powinniśmy powierzyć wybór przewodniczącego wszystkim naszym członkom, toteż 79-procentowa frekwencja sprawia mi pewną satysfakcję. Musiałbym jednak przyznać rację Michaelowi Brownowi, byłemu deputowanemu konserwatystów, który dziś jest dziennikarzem w „Independent”: jeszcze rok temu szanse, iż przewodniczącym torysów w 2001 roku zostanie człowiek, który nie zajmował żadnego stanowiska w rządzie ani Margaret Thatcher, ani Johna Majora, wynosiły jeden do stu.

10.00 wieczorem

Oglądam specjalne wydanie programu *Question Time*, który prowadzi David Dimbleby. Mam nadzieję, że uczestnicy nie stanowili grupy reprezentatywnej dla brytyjskiej opinii publicznej, gdyż byłem przerażony liczbą osób potępiających Amerykanów i niewykazujących ani cienia współczucia dla niewinnych ludzi, którzy zginęli z rąk terrorystów.

Byłem całym sercem z Philipem Laderem, popularnym byłym ambasadorem amerykańskim, który nieoczekiwanie musiał bronić polityki zagranicznej swojego kraju.

Zasypiam, wciąż czując gniew.
Dzień 58

Piątek, 14 września 2001

6.17 rano

To jeden z dni, gdy szczególnie żałuję, że siedzę w więzieniu. Chciałbym się znaleźć na galerii Izby Gmin i wysłuchać nadzwyczajnej debaty poświęconej masakrze w Ameryce, a potem uczestniczyć w nabożeństwie żałobnym w katedrze św. Pawła.

12.00 w południe

Oglądając dziś po południu telewizję, zgadzam się z każdym słowem premiera, który przemawia do Izby. Iain Duncan Smith odpowiada mu z godnością, zapewniając Blaira, że w tej sprawie opozycja, cytując wypowiedź IDS, „stoi ramię w ramię” z rządem. Jedynie George Galloway i Tam Dalyell wyrażają przeciwną opinię, wygłaszając ją zresztą z pełnym przekonaniem. Podejrzewam, że byliby skłonni zmienić zdanie dopiero wówczas, gdyby na ich okręgi wyborcze spadły pociski jądrowe opatrzone autografem Usamy Ibn Ladina.

Nabożeństwo żałobne ukazuje Brytyjczyków z ich najlepszej strony i podobnie jak podczas ceremonii ku czci księżnej Diany jest utrzymane w stosownym do okoliczności tonie. Porusza mnie zwłaszcza hymn amerykański, który rozbrzmiewa na początku uroczystości, i brytyjski na zakończenie.

Cieszę się, dostrzegając wśród zgromadzonych Phila Ladera. Ale na wysokości zadania staje nie kto inny jak George Carey, arcybiskup Canterbury. Wygłasza mowę, z której jasno wynika, co sądzi o terrorystach, lecz jednocześnie wyraża pogląd, że w obecnej sytuacji nie należy pobrzękiwać szabelką, domagając się natychmiastowego odwetu, ale spokojnie dokonać przemyślanych ocen.

2.00 po południu

Odwiedziny. Mary jest jedną z pierwszych osób wpuszczonych do sali.

Nie ma dla mnie dobrych wiadomości i wcale nie stara się tego ukrywać. Prace KPMG toczą się w ślimaczym tempie, z czego jasno wynika, że firma w ogóle nie przejmuje się moim losem i przedstawi raport, dopiero gdy będzie

skończony. Chcą mnie przesłuchać w przyszły poniedziałek, wygląda więc na to, że zostanę w Wayland jeszcze co najmniej miesiąc. Jestem przekonany, że nie takiego obrotu spraw oczekiwał Nicholas Young, dyrektor naczelny Czerwonego Krzyża, kiedy wszczął wewnętrzne dochodzenie – choć zapewne ucieszy się z tego Emma Nicholson. Nie wątpię, że Mary robi wszystko, by przyspieszyć sprawę, ale, jak twierdzi, księgowi mają obowiązek obejrzeć każdy papierek.

Omawiamy apelację. Mary mówi, że to „nasza” apelacja, chyba po części dlatego, że czuje się urażona zachowaniem sędziego Potts, który z zaangażowaniem pomagał Angie Peppiatt w zeznaniach, nie zaszczycając podobnymi względami Mary, kiedy to ona stanęła na miejscu dla świadka.

Rozmawiamy o tym, jak chłopcy dzielnie sobie radzą w tej trudnej sytuacji i że Will bardzo chce się ze mną zobaczyć przed powrotem do Nowego Jorku. Dziękuję Bogu, że nie był w tym tygodniu na Manhattanie. Mary informuje mnie, że moja przybrana siostra, Elizabeth, żyje i nic się jej nie stało. Elizabeth była w pracy, kiedy usłyszała wybuch, i wyglądając przez okno, ujrzała płomienie buchające z World Trade Center.

Przez interkom rozlega się komunikat o zakończeniu odwiedzin i spokojny głos prosi gości o opuszczenie sali. Kiedy ten czas upłynął? Czuję się winny wobec Mary. Nie potrafiłem ukryć rozczarowania flegmatycznością KPMG, a ona wspiera mnie ze wszystkich sił w tym strasznym okresie mojego życia. Bóg jeden wie, w jakim byłbym stanie, gdyby nie jej miłość i przyjaźń.

Dzień 59

Sobota, 15 września 2001

9.00 rano

Dzwonię do Davida i proszę, aby w poniedziałek pojechał do Sale w Cheshire i odebrał paczkę, którą tego dnia rano przywiezie samolot z Kolumbii.

10.00 rano

W sobotę nie ma gimnastyki, kiedy więc ogłaszają porę spaceru, stoję już przy bramie. Ze zdziwieniem spostrzegam Dale’a siedzącego w rogu dziedzińca i pozującego do portretu. Kiedy go mijam, mruczy pod nosem, że miałby kłopoty, gdyby nie pokazał się drugi weekend z rzędu. Po czterdziestu pięciu minutach forsownego marszu opuszczam spaceriak, a Darren wyraża przypuszczenie, że

pokonaliśmy chyba trzy mile. Pcham ciężkie drzwi i moim oczom ukazuje się nieskazitelnie czysta cela. Nowy pracownik Darrena posprzątał oraz zmiotł i wyfroterował podłogę – wszystko za jednego funta. W Wayland nie ma problemu płacy minimalnej, zwłaszcza że można płacić wyłącznie batonami Mars, tytoniem albo, jeśli to naprawdę poważny interes, kartą telefoniczną.

4.00 po południu

Meanwell wzywa mnie do swojego biura i powiadamia, że otwarto przesyłkę z książką o zasadach gry w tryktraka i odesłano do recepcji. Będę ją mógł odzyskać, gdy opuścę Wayland, ponieważ znajduje się na liście zakazanych przedmiotów.

- Jak zasady gry w tryktraka mogą być zakazane? – pytam.
- To książka – wyjaśnia krótko i wzrusza ramionami.
- Czy gdyby zasady opisano w czasopiśmie, mógłbym je dostać? – dopytuję się.

Meanwell potakuje skinieniem głowy.

6.00 wieczorem

Plombują nas wcześniej. Przeskakuję po kanałach, oglądając najnowsze wiadomości z Manhattanu. Porusza mnie widok nowojorczyków na ulicach wiwatujących na cześć strażaków, którzy jeżdżą do gruzów World Trade Center i z powrotem. Amerykanów cechuje niezwykle patriotyzm i poczucie więzi z krajem. Przypuszczam, że tak samo było w Wielkiej Brytanii podczas ostatniej wojny.

Dzień 60

Niedziela, 16 września 2001

12.00 w południe

Niewiele nowego poza tym, że Sergio denerwuje się przed wyjazdem. Zostanie deportowany za dwanaście dni, a jeszcze nie otrzymaliśmy wyceny szmaragdu. Czekają także na wiadomości o drugiej przesyłce, w której ma być łańcuszek, i bardzo chciałby zobaczyć zdjęcia dzieł Botera oraz katalog.

Długo czytam gazety i dochodzę do wniosku, że relacjonując wydarzenia

tego tygodnia w Ameryce, prasa brytyjska wykazała się najwyższym profesjonalizmem dziennikarskim, który nie zawsze jest widoczny w niedzielnych wydaniach.

Dzień 61

Poniedziałek, 17 września 2001

6.19 rano

W wiadomościach nadal przede wszystkim Nowy Jork i burmistrz Giuliani, który zdaje się iść w ślady swego bohatera, burmistrza La Guardii. W tym roku wszystko sprzysięgło się przeciw Rudy'emu Giulianiemu. Kandydując do Senatu przeciw Hillary Clinton, wycofał się z wyborów, kiedy wykryto u niego raka, potem sprowadził do Gracie Mansion kochankę, wywołując gniew swej niezwykle lubianej przez nowojorczyków żony, a także nowojorskiej prasy; rzeczywiście, jak napisał „New York Times”: burmistrz „chyba zupełnie się pogubił”. A teraz miasto, które kocha, zostało bez ostrzeżenia zaatakowane przez terrorystów i nagle obudziły się w nim wszystkie uśpione nudą zdolności.

Kiedy kandydowałem na burmistrza Londynu, spędziłem tydzień w Nowym Jorku, towarzysząc Giulianiemu w wypełnianiu codziennych obowiązków, i szybko odkryłem, że ma prawdziwą władzę opartą na prawdziwym budżecie. Prawda jest taka, że Ken Livingstone może tylko pomarzyć o takich rządach, jakie Giuliani sprawuje w Nowym Jorku. Chęć Tony'ego Blaira, by wzorem Amerykanów na czele wszystkich głównych miast postawić burmistrzów, byłaby godna podziwu, gdyby jeszcze burmistrz miał do dyspozycji odpowiednie finanse i władzę wykonawczą. Livingstone może stawać na głowie, ale i tak ostatnie słowo należy do Blaira.

9.00 rano

Garncarstwo. Z nudów, ku zdumieniu Anne, zaczynam lepić donicę, to znaczy informuję współwięźniów, że to ma być donica. Najpierw za pomocą stalowego kółka trzeba odciąć mniejszy kawałek glinki z większego, a potem rozwałkować, aż powstanie coś na kształt długiego robaka. Następnie formuje się z robaka kółko, a kilka robaków później, ułożonych jeden na drugim, powstaje donica. Tak przynajmniej wygląda to w teorii. Po godzinie mam podstawę i pięć długich robaków. Wreszcie rozlega się upragniony dzwonek.

11.30 rano

Dzwonię do Alison i dowiaduję się, że złoty łańcuszek, książka o twórczości Botera oraz zdjęcia olejów i rzeźby Botera dotarły szczęśliwie z Bogoty do Cheshire.

3.00 po południu

Gimnastyka. Znow udaje mi się pokonać na wioślarzu 2200 metrów.

5.15 po południu

Posiedzenie zarządu. Sergio przez czterdzieści minut rozmawiał przez telefon z Bogotą. Uzbrojony w tuzin kart telefonicznych (za 24 funty) i rozsądnie korzystając z nielegalnego numeru PIN, może już sobie pozwolić na godzinę rozmowy z Kolumbią. Jego brat czeka na sygnał, czy jestem zainteresowany dziełami Botera. Zapewniam Sergia, że podejmę decyzję, gdy tylko zobaczę fotografie.

6.00 wieczorem

Siedzę przy stole i piszę, gdy nagle z korytarza zaczynają dobiegać wrzaski. Wychodzę z celi sprawdzić, co się dzieje, i widzę sześciu więźniów stojących przed celą na przeciwległym końcu korytarza. Darren mówi mi, że jej lokator, Danny (kradzież), wychodzi rano na wolność i koledzy zapragnęli dać mu prezent pożegnalny. Sześciu współwięźniów napełniło wodą czarny worek na śmieci, dorzucając torebki herbaty, cukier, czerstwy chleb, masło i fasolę. Teraz wszyscy sikają do worka. Następnie zamierzają wylać zawartość na łóżko nieszczęsnego więźnia tuż przed zamknięciem cel. Danny będzie musiał spędzić ostatnią noc na sprzątnięciu celi, jeśli chce rano opuścić więzienie.

9.00 wieczorem

Doktor Starkey kontynuuje wysmienity serial o sześciu żonach Henryka VIII. Dziś opowieść o Annie Boleyn. Mimo że Starkey przez całą godzinę nie szczędzi królowej krytyki, można tylko podziwiać jej niewzruszoną postawę tuż przed egzekucją. W ostatnich słowach okazała wielką godność, nie obarczając Henryka winą za swoją śmierć. Nie mogła być tak całkiem złą.

Dzień 62

Wtorek, 18 września 2001

6.00 rano

Upłynął już tydzień od uderzenia terrorystów na Nowy Jork i Waszyngton. Wydaje się nieprawdopodobne, aby można jeszcze było wydobyć spod gruzów żywych ludzi, lecz burmistrz Giuliani nie zamierza kończyć poszukiwań, dopóki istnieje cień nadziei, że ktoś przeżył. Stracił już tylu strażaków, policjantów i ludzi ze służb miejskich, sam omal nie tracąc życia, że odnoszę wrażenie, iż będzie kontynuował poszukiwania jeszcze co najmniej przez tydzień, chociaż nikt z wyjątkiem najbliższych krewnych nie ma już złudzeń, by ktokolwiek mógł przeżyć.

8.30 rano

Danny, więzień, w którego celę wczoraj wieczorem trafiła bomba workowa, żegna się ze wszystkimi mieszkańcami skrzydła i za godzinę ma wyjść na wolność. Wygląda, jakby nie żywił do nikogo urazy za wczorajszy wybryk, i ściska dłoń Jimmy'emu, który mi później mówi, że Danny jest chyba wdzięczny, iż nie dostał na pożegnanie tak brutalnego prezentu jak Mel. Nie tłumaczy mi szczegółowo, na czym polegał ów dar, przyznając jedynie, że Mel musiał spędzić swoje ostatnie godziny w więzieniu w skrzydle szpitalnym.

9.00 rano

Garncarstwo. Dalej pracuję nad donicą, lepiąc długie robaki, ku radości innych więźniów, których dzieła wyglądają o wiele bardziej obiecująco. Craig (ciężkie uszkodzenie ciała) robi ceramicznego konia dla matki, Lloyd (narkotyki) kasetkę w kształcie serca dla swojej dziewczyny, Peter (kradzież) miseczkę dla ciotki, a Paul (morderstwo) ukrzyżowanego Chrystusa.

11.45 rano

Dzwonię do Alison. David odebrał w Sale przesyłkę i Alison przesłała informacje o dziełach Botera wraz z fotografiami do domu Sotheby's w celu realistycznej wyceny, mnie natomiast wysłała kopie. Katalog twórczości Botera

przekazała w darze bibliotece więziennej. Tylko w ten sposób będę mógł zobaczyć prace tego wielkiego artysty, gdyż książkę na pewno by mi skonfiskowano i oddano dopiero w chwili opuszczenia Wayland. Alison przekazała łańcuszek Jamesowi, który czeka na moje dalsze instrukcje. Wartość szmaragdu nie została jeszcze oszacowana.

6.00 wieczorem

Dziś nie zdarzyło się już nic więcej godnego uwagi poza tym, że Jimmy (kapitan wszystkiego) właśnie wrócił z przepustki do miasta i wszystko wskazuje na to, że uprawiał seks. Nie jest to zabronione podczas przepustki. Zresztą jak mogliby temu zapobiec? Ostatnio Jimmy wychodzi tak często, że zaczął traktować Wayland jak pensjonat. Należy jednak wziąć pod uwagę fakt, że zostaje z nami jeszcze tylko trzy tygodnie. Czy Jimmy opuści Wayland wcześniej ode mnie?

Dzień 63

Środa, 19 września 2001

6.04 rano

W wiadomościach nadal dominuje wszystko, co amerykańskie, i sędzę, że tak będzie jeszcze przez pewien czas. Tony Blair przejął inicjatywę i poleciał do Berlina i Paryża na rozmowy z kanclerzem i prezydentem. Peter Riddell napisał w dzisiejszym „Timesie”, że premier prowadzi „dobrą wojnę”, lecz w rzeczywistości wszyscy czekają, jak George W. Bush zareaguje na uniki talibów.

9.00 rano

Garncarstwo. Kończę swoje arcydzieło. Anne, moja instruktorka, prosi pozostałych członków grupy, aby podeszli bliżej i zdecydowali, co to jest. Zdaniem czterech donica, trzech uważa, że to odwrócony kapelusz, a jeden z więźniów twierdzi, że powinienem pracować dalej, aż powstałby stojak na parasole.

11.00 rano

Dziś kolejna fala korespondencji, którą witam z radością. Znajduję w niej listy od Johna Majora i George'a Careya (zobacz poniżej), obydwa napisane

odręcznie, pełne współczucia i życzliwości.
Lambeth Palace, London SE1 7JU

5 września 2001

Drogi Jeffreyu,

Przekazuję Ci tych kilka słów za pośrednictwem Mary, pragnąc Cię zapewnić, że razem z Eileen pamiętamy w modlitwach o Tobie i Twojej rodzinie. Ileż przykrości i upokorzeń spotyka Ciebie i rodzinę! Jestem pełen uznania dla godności, z jaką wszyscy znosicie te cierpienia.

Jeffreyu, powinieneś być dumny z Mary. Była wspaniała, udzielając wywiadu w wieczornym programie Today w BBC. Jej opanowanie i nieugiętość wywarły na mnie wielkie wrażenie.

Znając Cię, wiem, że potrafisz twórczo wykorzystać ten czas. „Uwięzienie” to pojęcie względne. Wolność jest sprawą osobistą – a ktoś obdarzony wolnością myśli i uczuć z łatwością potrafi pokonać granice czasu i przestrzeni, odnajdując łaskę Bożą, gdziekolwiek by się znalazł.

*Pozdrawiam serdecznie
George*

Mary pisze, że skontaktowała się z ludźmi z KPMG, którzy pracują z niezwykłą skrupulatnością i nie zgodzili się na przyspieszenie kontroli. David Smith, jeden z głównych udziałowców firmy, zamierza przyjechać do mnie w poniedziałek razem z moim adwokatem. Zdaniem Mary powinienem się zgodzić na spotkanie, gdyż nie mam nic do ukrycia. Nie miałem zamiaru postąpić inaczej.

12.00 w południe

Lunch. Codziennie należy wybrać z jadłospisu numer zestawu (zobacz poniżej). Z powodów, o których już wspominałem, zawsze decyduję się na zestaw wegetariański. Kiedy mijam Sheppersona, ten wyczytuje z listy numer dwa, czyli, jak się po chwili orientuję, hamburgera z wołowiny. Uprzejmie zwracam mu uwagę, że chyba zaszła jakaś pomyłka. Natychmiast sprawdza na głównej liście i okazuje się, że to ja popełniłem błąd. Zamiast piątki zaznaczyłem dwójkę.

Skutek? Nie ma lunchu. Shepperson nie proponuje mi niczego w zamian, ponieważ, jak wyjaśnia, wszystkie dania są zamawiane wcześniej. W każdym razie byłby to precedens.

Carl (ciężkie uszkodzenie ciała, zdobywca bramki), który stoi na końcu szeregu obsługujących i wydaje desery, podsuwa mi drugą pomarańczę i zwracając się do Sheppersona, mówi:

– Jego lordowska mość bardzo się zmienił, odkąd go wciągnąłem w palenie trawki.

Kolejka kwituje jego uwagę wybuchem radości. Nawet Shepperson zdobywa się na uśmiech.

6.00 wieczorem

Kolacja. Tym razem zakreśliłem właściwą cyferkę, potrawkę jarzynową, a ponieważ służbę ma Chapman, dostaję podwójną porcję.

Dzień 64

Czwartek, 20 września 2001

5.59 rano

W ciągu zeszłego tygodnia George Bush był obiektem krytyki – głównie ze strony dziennikarzy – za to, że nie potrafi skleić poprawnego zdania. Dziś jednak wprowadził w zakłopotanie krytyków (w tym i mnie), wygłaszając w Kongresie zgrabne i poruszające przemówienie. Było nie tylko dobrze napisane (pełny tekst wydrukował „Times”), ale autor zawarł w nim prawdziwą opinię prezydenta, gdyż brzmiało niezwykle przekonująco.

Tymczasem premier nadal bezbłędnie planuje każdy kolejny krok. Prosto z paryskiego spotkania z Chirakiem poleciał do Nowego Jorku, gdzie od razu zawieziono go do Punktu Zero. Wraz z burmistrzem Giulianim obejrzał dymiące zgliszczka, a następnie udał się na nabożeństwo żałobne do katedry św. Patryka.

Włączam telewizor cztery godziny później i słyszę przemówienie prezydenta w Kongresie, gdzie jest także Blair, który siedzi w łożu prezydenckiej, mając po jednej ręce panią Bush, a po drugiej burmistrza Giulianiego. Przez tydzień zrobił więcej dla umocnienia związków brytyjsko-amerykańskich niż którykolwiek z jego poprzedników od czasów Churchilla i Roosevelta.

8.00 rano

Pod drzwiami mojej celi zjawia się oddziałowy Clegg i zagląda do środka. Informuje mnie, że zaprojektowany przez Shauna wystrój wnętrza nie spotkał się z aprobatą naczelniczki. Do końca tygodnia muszę przywrócić poprzedni kolor ścian. Nikt jednak nie pamięta, by naczelniczka zaglądała do bloku A, nie mówiąc o tej części skrzydła, więc wydaje mi się to mało prawdopodobne. Mimo to ruszam na poszukiwanie Locke’a...

11.30 rano

W mojej poczcie pośród innej korespondencji jest także katalog z aukcji sztuki latynoamerykańskiej, jaka odbyła się w maju zeszłego roku w nowojorskim Sotheby's. Idę do celi Sergia i tym razem to ja udzielam mu korepetycji. Wyjaśniam zasady aukcji, tłumaczę, na czym polega różnica między ceną szacunkową a wywoławczą. Na każdej stronicy katalogu z prawej strony znajduje się reprodukcja obrazu lub rzeźby, a z lewej nazwisko twórcy i wszystkie dostępne informacje dotyczące pochodzenia dzieła.

Natychmiast sprawdzamy dane dwóch obrazów olejnych, dwóch rzeźb i pięciu rysunków Botera. Rzeźba pólężącej kobiety miała cenę wywoławczą 175 000 dolarów i została sprzedana za 190 000. Za ogromną rzeźbę nagiej kobiety wycenioną na co najmniej 400 000 dolarów uzyskano zaledwie 325 000, natomiast obraz olejny przedstawiający wazon z kwiatami, którego cenę wywoławczą ustalono na 225 000 dolarów, sprzedano za 425 000. Pięć rysunków, których cena wahała się od 15 000 do 25 000 dolarów, musiał wykupić dom aukcyjny, ponieważ żaden nie znalazł nabywcy, być może dlatego, że temat (korrida) niezbyt spodobał się Amerykanom.

Następnie uważnie oglądamy fotografie dzieł Botera, które przyszły poranną pocztą, i próbując określić ich cenę wywoławczą, szukamy czegoś w miarę przystępnego. Jest tu model aktu, za który byłbym skłonny zaoferować 10 000 dolarów, dwa nieduże oleje, 25 000 i 35 000, duży obraz uśmiechniętego kota, 200 000, oraz wspaniały portret zbiorowy zatytułowany *Grający w karty* (zobacz rozdział „Ilustracje”), którego wartość ustalamy na 400 000, chociaż sprzedawca żąda miliona. Moje stawki nie są wysokie i mimo że Sergio zaproponuje sprzedającym gotówkę, wątpię, czy uda się nam zdobyć któreś z tych dzieł, ponieważ Botero jest przecież artystą o międzynarodowej sławie. Sergio zauważa jednak, że choć filie Christie's i Sotheby's działają w Brazylii, Meksyku i Argentynie, w Kolumbii żaden z dwóch domów nie ma przedstawicielstwa, co może nam dawać nieznaczną przewagę na zatłoczonym rynku. Dodaje, że po 11 września ceny mogą gwałtownie spaść. Niedługo się przekonamy, czy ma rację.

Gdy na korytarzu rozlega się wołanie: „Wracać do cel!”, wychodzę od Sergia.

10.30 wieczorem

Zasypiam, śniąc o *Grających w karty*. Wiem nawet, na której ścianie mojego londyńskiego mieszkania chciałbym powiesić ten obraz.

Dzień 65

Piątek, 21 września 2001

6.11 rano

George W. Bush i Tony Blair oficjalnie obarczają Usamę Ibn Ladina winą za atak terrorystyczny na bliźniacze wieże WTC w Nowym Jorku. Mimo że zauważono statki i samoloty zmierzające w kierunku Zatoki Perskiej, nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy rozpocznie się jakaś akcja odwetowa.

Bush postawił talibom ultimatum: wydajcie Ibn Ladina, w przeciwnym razie uderzymy. Talibowie odparli, że obraziliby Allaha, ale nawet się nie zająknęli o tym, iż przywódca talibów jest teściem Ibn Ladina. Gdy Bush usłyszał ich odpowiedź, wystąpił w telewizji, wyznaczając nagrodę w wysokości 30 milionów dolarów za żywego lub martwego Ibn Ladina. Usłyszawszy to, zacząłem się obawiać o życie prezydenta.

9.00 rano

Gimnastyka. Alex (grupa niepełnosprawnych) po raz pierwszy wykonuje trzy skłony w pozycji leżącej, a ponieważ nie umie mówić, pokazuje mi uniesione kciuki, podczas gdy Robbie i Les biją mu brawo. Nie wiedzą jeszcze, że w przyszłym tygodniu ich także zamierzam nauczyć tego ćwiczenia. Gdy opuścę Wayland (jeżeli kiedykolwiek to nastąpi), będzie mi bardzo brakowało naszych cotygodniowych spotkań.

10.45 rano

Po powrocie z sali gimnastycznej zastaję w celi poranne gazety. Wszystkie rozpisują się o wydarzeniach po obu stronach Atlantyku i dopiero na jedenastej stronie „Timesa” znajduję informację, że prokuratura nie postawi Johnowi Prescottowi zarzutu dokonania napaści. Kilku więźniów bąka coś o osobnym prawie dla nowych laburzystów i osobnym dla reszty społeczeństwa. Jeden z funkcjonariuszy jest zbulwersowany nonszalancką uwagą premiera: „Przecież to John, prawda?”. I tyle, jeśli chodzi o hasło „Uporamy się z przestępczością i przyczynami przestępczości”.

3.00 po południu

Telefonuję do Mary, która mówi, że naczelniczka przesłała jej całą dokumentację Służby Więziennej na temat powodów zmiany mojej kategorii z D na C⁵². Pragnie nam w ten sposób udowodnić, że sprawa przywrócenia mi kategorii D przeciąga się nie z winy Służby Więziennej.

Mary ma jeszcze inne wiadomości, ale nie chce mi ich zdradzić przez telefon.

Dzień 66

Sobota, 22 września 2001

11.00 rano

Gimnastyka. 2116 metrów w dziesięć minut na ergometrze wioślarskim, trzy mile w dwadzieścia pięć minut na stacjonarnej bieżni i sześć mil w dziesięć minut na rowerze sprawiają, że czuję się, jakbym miał czterdzieści pięć lat, dopóki na bieżni nie staje jeden z Antylczyków, który przez dwadzieścia minut porusza się z prędkością dwunastu mil na godzinę. Ma jednak zaledwie dwadzieścia trzy lata.

1.15 po południu

Dzwonię do Chrisa do galerii. Jest niezadowolony, ponieważ otrzymał tylko czarno-białe reprodukcje dzieł Botera. Zgadzam się nie podejmować żadnej decyzji, aż Sotheby's poświadczy ich autentyczność i ustali niską cenę szacunkową.

7.00 wieczorem

Dzwonię do Jamesa. Wrócił do Londynu i mówi, że nasz ekspert potwierdził, iż zrobiliśmy dobry interes, kupując szmaragd za 10 000 dolarów, choć trudno mu dokonać dokładnej wyceny. Kamień spada mi z serca na wieść, że Sergio nie okazał się oszustem, a Mary otrzyma wyjątkowy prezent na Boże Narodzenie. Ciekawe, gdzie ja w tym roku spędzę święta.

Dzień 67

Niedziela, 23 września 2001

12.07 po południu

Dziś wszystkie wydarzenia usunął w cień jeden incydent, który warto opowiedzieć ze szczegółami. Wszystko zaczęło się, gdy siedziałem w celi, czytając „Timesa”.

Wspomniałem wcześniej, że podczas Godziny Wspólnej grupa Antylczyków gra w domino w głównej sali. Każdy ruch wywołuje takie wrzaski, jak gdyby toczyła się tam nie niewinna gra towarzyska, ale walka bokserów wagi ciężkiej – stąd kłopoty, kiedy wydarzy się coś poważnego, ponieważ trudno sobie wyobrazić większy hałas. Tym razem jednak krzykom towarzyszył odgłos dzwonek i nagle do sali wspólnej zaczęli się zewsząd zbiegać funkcjonariusze. Miałem wrażenie, jak gdybym wrócił do Belmarsh. Zanim wszedłem do sali, sytuacja została już opanowana, ale kilku czarnoskórych więźniów bardzo pragnęło mi opowiedzieć, co się stało.

Jeden z Antylczyków został niedawno przeniesiony z bloku D do A, rzekomo dlatego, że go terroryzowano. Podobno gdy dwa tygodnie temu wychodził na przepustkę do Norwich, jego kumple zebrali sporą sumę, aby w mieście kupić narkotyki. Problemy zaczęły się, kiedy wrócił wieczorem bez towaru. Tłumaczył się, że nie sądził, iż uda mu się ukryć herę przed strażnikami. Nie potrafił jednak znaleźć przekonującego usprawiedliwienia na to, że nie ma też pieniędzy. Kiedy znaleziono go skulonego w celi z rozciętym policzkiem i złamanym nosem, szef skrzydła szybko przeniósł go do naszego bloku, umieszczając go, jak mu się wydawało, w bezpiecznym miejscu. Ale podczas wczorajszego spaceru Antylczycy z bloku D poinformowali swoich towarzyszy z bloku A o tym, jak ich wystrychnął na dudka, i przekazali im obowiązek dokonania zemsty.

Wracam do niedzielnego popołudnia i partii domina, w trakcie której wybuchła awantura. Jeden z graczy odłączył się od grupy, podszedł do stołu bilardowego, wziął bilę, odwrócił się i cisnął nią w nieszczęśnika. Zdumiewające, ale z trzydziestu kroków trafił go w tył głowy (przy stole siedziało wówczas jedenastu więźniów). Bila musiała nabrać prędkości około siedemdziesięciu mil na godzinę, ponieważ od uderzenia pękła czaszka. Miotacz trafił do izolatki, natomiast ofiara jest w drodze do szpitala. Obaj w tym tygodniu mają się stawić przed naczelnikiem.

Jak zwykle w takich wypadkach kara będzie polegała na dodaniu dwudziestu ośmiu dni do wyroku obu uczestników incydentu i naczelnik może ją wymierzyć bez udziału sądu. W zaistniałej sytuacji obaj zostaną także wysłani do dwóch różnych zakładów kategorii A lub B.

Opisuję to wydarzenie tak szczegółowo dlatego, że czytelnicy niniejszego

dziennika mogliby odnieść wrażenie, iż życie w Wayland jest całkiem znośne. Nie jest. W każdej chwili człowiekowi może grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. W samym bloku A siedzi kilkunastu morderców oraz liczna grupa bandytów i narkomanów, z którymi muszę na co dzień koegzystować.

Kiedy wieczorem zamykają się drzwi mojej celi, wcale nie odczuwam żalu.

Dzień 68

Poniedziałek, 24 września 2001

9.00 rano

Wizyta prawników. Naczelnik Wayland wspaniałomyślnie odstąpił od surowych przepisów, pozwalając, aby moim adwokatom towarzyszyli wspólnicy z KPMG, David Smith i Alex Plavsic. Dzięki temu mogę odpowiedzieć na pytania dotyczące kampanii Simple Truth i oskarżeń wysuwanych pod moim adresem przez baronessę Nicholson. Siadamy przy stoliku w sali odwiedzin. Moi goście są ubrani w garnitury i czuję się przy nich trochę nieswojo w dżinsach i koszulce w czerwono-niebieskie paski.

David Smith jest bardzo oficjalny i uprzejmy, zwracając się do mnie per „lordzie Archer” – nie słyszałem tego od siedmiu tygodni. Kiedy młodszy wspólnik zaczyna mi zadawać pytania, szybko wychodzi na jaw, że firma prowadzi badanie bardzo skrupulatnie i drobiazgowo. Przyznają, że nie znaleźli żadnego dowodu, jakobym miał coś wspólnego ze zbiórką funduszy i przekazywaniem ich Kurdom. Wypytują mnie jednak o pochodzenie zebranej kwoty 57 milionów funtów.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych potwierdziło, iż wpłaciło na kampanię 10 milionów funtów, z których pięć trafiło bezpośrednio do Czerwonego Krzyża, a drugie pięć do ONZ. ODA (Organizacja ds. Pomocy Krajom Rozwijającym się) przedstawiła dokumenty, z których wynikało, że jej udział wyniósł 38 100 000 funtów.

W trakcie kampanii Simple Truth Czerwony Krzyż zebrał na całym świecie sumę przekraczającą 10 milionów funtów. Kilka zagranicznych towarzystw zaangażowało się bezpośrednio lub pośrednio w koncert na Wembley zorganizowany przez sir Paula Foxa, Alana Yentoba, Harveya Goldsmitha i mnie. Byli na nim obecni księżna Diana i John Major, ówczesny premier. Zbiórkę funduszy z ramienia Czerwonego Krzyża koordynowali Mike Whitlam, dyrektor generalny, i John Gray, dyrektor ds. organizacji imprez. Wszyscy pracowaliśmy na rzecz pięcioletniej kampanii po szesnaście godzin na dobę i nie

przypominam sobie, żeby tak dziś zatroskana sprawą kurdyjską baronessa Nicholson pełniła wtedy jakąkolwiek funkcję.

Kiedy te słowa ukaza się drukiem, pełny raport KPMG zostanie już opublikowany. Znajdzie się w nim także odpowiedź na oskarżenia Emmy Nicholson skierowane pod adresem tej wspaniałej organizacji – Czerwonego Krzyża – której członków widziałem dziś w telewizji, jak pracowali w Punkcie Zero w Nowym Jorku, szukając ciał ofiar i podtrzymując na duchu zrozpaczonych krewnych. Pracownicy Czerwonego Krzyża są też obecni na drugim końcu świata, na granicy pakistańskiej, pomagając milionowi uchodźców z Afganistanu.

Smith i Plavsic zapewniają mnie przed wyjściem, że jeszcze dziś po południu skontaktują się z nadinspektorem Perrym ze Scotland Yardu i przekażą mu informacje, jakich im udzieliłem. Czeka ich jeszcze wiele pracy nad wyjaśnieniem innych zarzutów Emmy Nicholson wobec Czerwonego Krzyża, lecz jeśli chodzi o mój udział, dochodzenie uważają za zakończone.

Po wyjściu biegłych księgowych Tony Morton-Hooper mówi, że zadzwoni do nadinspektora Perry'ego i poprosi o natychmiastowe przywrócenie mi kategorii D.

Informuję Tinklera (przełożonego funkcjonariuszy) o wynikach spotkania z przedstawicielami KPMG, zaznaczając, że w najbliższych dniach może się spodziewać zawiadomienia o zmianie mojej kategorii. Potwierdza, że od pewnego czasu są już gotowi mnie przenieść i czekają tylko na sygnał od policji.

Wracam do celi, uświadamiając sobie, że kiedy KPMG ogłosi wreszcie swoje ustalenia, a policja potwierdzi zakończenie śledztwa, prasa poświęci tej informacji mniej więcej jedną setną miejsca, jakie zajęły rewelacje Emmy Nicholson nazajutrz po jej występie w programie *Newsnight*.

Dzień 69

Wtorek, 25 września 2001

9.00 rano

– Włamywacze!

Taki okrzyk rozlega się w korytarzu, gdy w skrzydle pojawiają się strażnicy, aby „zrobić kipisz”, czyli przeszukać cele.

Wczoraj nie poszedłem na garncarstwo z powodu wizyty prawników i wygląda na to, że dziś także opuszczę zajęcia, gdyż po niedzielnym incydencie w sali wspólnej czeka nas rewizja całego skrzydła. Nie rozumiem, dlaczego po

tym, jak jeden więzień rzucił bilą w drugiego, strażnicy chcą przeszukać cały blok A, lecz Shane (ciężkie uszkodzenie ciała, dyżurny w sali gimnastycznej) wyjaśnia mi, że gdy zrobili kipisz w celi napastnika, znaleźli ukryte pod materacem dziewięciocalowe ostrze i naczelnik zarządził dokładną rewizję bloku.

Przeszukanie 112 cel trwa nieco ponad dwie godziny. Shepperson z kolegą spędzają w mojej celi dziesięć minut, odkrywając, że mam o dwa ręczniki więcej, niż przewidują przepisy, i koszulkę podarowaną mi przez Sergia, który wychodzi w czwartek. Nie komentują ani słowem tych regulaminowych uchybień, ponieważ szukają ważniejszych rzeczy.

Siedząc w celi, z rozbawieniem przyglądam się, jak na trawie lądują przeróżne przedmioty wyrzucane przez więźniów zaalarmowanych okrzykiem „Włamywacze!”. Prawdopodobnie są to przede wszystkim narkotyki i inne zakazane substancje. Ale po przeszukaniu śmieci funkcjonariusze nie odnajdują więcej noży ani ostrych narzędzi.

Kiedy kończy się kipisz, słyszę, że Nigelowi (ciężkie uszkodzenie ciała, przedstawiciel zespołu ds. stosunków rasowych, znany jako Kaznodzieja – zobacz rozdział „Ilustracje”) zabrano z celi dywan, a Darrenowi dwie puszkę zielonej farby. Jeden ze strażników potwierdza, że w naszym skrzydle nie znaleziono żadnych noży, co dziwi Darrena, choć nie chce mi powiedzieć dlaczego.

Przedmiotami konfiskowanymi najczęściej są piloty do telewizorów. Z jakichś niewytłumaczalnych powodów piloty można mieć tylko w bloku D (bloku bez narkotyków). Skutek? Więźniowie z bloku D wymieniają piloty na narkotyki. Ot, więzienna logika.

12.00 w południe

Spacer. Po półgodzinnym forsownym marszu na świeżym powietrzu wracamy z Darrenem do bloku. Gdy przechodzimy przez bramę, wzrok Darrena zatrzymuje się na zabranych mu puszkach zielonej farby, które stoją w holu. Niestety, nie mogę się powstrzymać. Biorę obie puszkę i zanoszę do jego celi. Darren natychmiast ukrywa je w pomieszczeniu gospodarczym na końcu korytarza, tłumacząc mi, że gdyby jakiś strażnik zauważył ich brak, od razu przeszukaliby jego celę, a on sam zostałby zgłoszony do raportu. Jeżeli nic się nie wydarzy w ciągu doby, będzie je mógł spokojnie zabrać. Co dzień dzieje się tyle rzeczy, że więzienie przypomina trochę ogólnokrajowy dziennik. Wczorajszy temat dnia szybko ustępuje miejsca nowemu wydarzeniu, którym personel niezwłocznie musi się zająć. Darren przyznaje, że pierwszy raz mogłem coś dla niego zrobić.

6.00 wieczorem

Dzwonię do Willa, by potwierdzić odwiedzinę w piątek.

Dowiaduję się, że nadinspektor Perry przebywa na zwolnieniu lekarskim, a jego zastępca nie jest skłonny podejmować decyzji podczas nieobecności szefa. Oto sprawiedliwość. Zaczynam się oswajać z myślą, że spędzę w Wayland resztę życia.

Dzień 70

Środa, 26 września 2001

9.00 rano

Garncarstwo. Dziś są urodziny Anne, która z rozbawieniem ogląda moją donicę (uzgodniliśmy już, że moje dzieło należy uważać za donicę) i mówi, że trzeba ją odstawić na dwa tygodnie do wyschnięcia i dopiero potem wypalić w piecu.

Drugi z naszych instruktorów przyniósł pudełko kredek dla Shauna. Wychodząc z pracowni plastycznej godzinę później, wsuwam kredki do torby foliowej, do której funkcjonariusze, ku mojemu zdziwieniu, w ogóle nie zaglądnęły. Następnie wychodzę na spacer i na oczach kilku innych funkcjonariuszy podchodzę pod okno celi Shauna w bloku C i wsuwam kredki przez kraty, rzucając je na łóżko. Zaledwie wczoraj z powodu jednego noża u wszystkich robiono rewizję. A dziś... więzienna logika. Przyznaję, to tylko kredki, ale należałoby przypuszczać, że ktoś zechce sprawdzić.

2.00 po południu

Dziś nie ma gimnastyki, ponieważ odbywa się trening rugby. Harley utworzył dwa zespoły z potencjalnych kandydatów do drużyny na przyszłotygodniowy pierwszy poważny mecz, który mam sędziować.

Zawodnicy prezentują znacznie wyższy poziom, niż się spodziewałem. Czarnoskóry Karaib odbiera w biegu podanie, przedziera się przez gromadę bandytów i morderców, po czym popisuje się fantastycznym przyłożeniem pod słupkami bramki. Mecz w przyszłym tygodniu zapowiada się całkiem dobrze.

Kiedy wracamy do szatni, młody człowiek mówi, że nigdy wcześniej nie grał w rugby. Ileż jest w tym kraju nieodkrytych talentów, których nikt nie będzie rozwijał albo nawet nigdy ich nie odnajdzie?

Inny więzień stojący pod prysznicem obok mnie ma sześć stóp i dziewięć

cali wzrostu i grał w drugiej linii (niespodzianka). Woli rozmawiać o moim procesie, który nazywa „potworną bezczelnością”. Nigdy nie rozmawiam ze współwięźniami o swojej sprawie, toteż tylko się przysłuchuję.

– Ja też dostałem cztery lata – oznajmia. – Za kradzież z włamaniem – nie mówiąc o pięciuset dwóch, tak, pięciuset dwóch – powtarza z naciskiem – innych przestępstwach.

Dzień 71

Czwartek, 27 września 2001

8.00 rano

Za godzinę Sergio jedzie na Heathrow. Uzgadniamy, że zadzwonię do niego w przyszły wtorek o 7 wieczorem czasu londyńskiego, czyli o 2 po południu w Bogocie. Mówi, że na jego kartach British Telecom zostały jeszcze impulsy warte co najmniej siedem funtów, które powinny wystarczyć, aby dać mi znać, czy dojechał szczęśliwie i złożył moją ofertę kupna dzieł Botera. Czyżbym naprawdę miał zdobyć *Grających w karty* za 400 000 dolarów?

9.00 rano

Garncarstwo. Shaun przez dwie godziny, z dwiema dziesięciominutowymi przerwami, rysuje sylwetkę Julesa – przykucniętego i ubranego w szary więzienny dres. To jak dotąd jego najbardziej udane dzieło. Głowę zamierza dorysować w przyszłym tygodniu. Pozostało mu tylko sporządzenie portretów Steve’a (współdziałal w przygotowaniu morderstwa, bibliotekarz) oraz Jimmy’ego (ecstasy, kapitan wszystkiego). Shaun będzie się jednak musiał ścigać z czasem, ponieważ ma wyjść na wolność za cztery tygodnie, tymczasem Steve rzadko opuszcza bibliotekę, a Jimmy przez cały dzień pracuje na farmie. Ostateczną wersję montażu zobaczę dopiero wówczas, gdy Shaun przedstawi teczkę swoich dzieł mojemu agentowi, Jonathanowi Lloydowi.

3.30 po południu

Spacer. W trakcie rund wokół dziedzińca Darren opowiada mi o więźniu, którego dziś rano przeniesiono do Littlehey; naczelnik uznał, że w Wayland jego życiu może grozić niebezpieczeństwo. Ów więzień jeszcze w tym miesiącu trafił

do nas z więzienia Blunderstone, gdzie odkryto, że był regularnie bity.

– Kiedy tu przyjechał – ciągnie Darren – twierdził, że wsadzili go za pobicie taksówkarza, ale niewielu w to wierzyło. To się po prostu nie trzymało kupy – dodaje, nie wdając się w szczegóły.

Zrobiliśmy już dwa okrążenia, a ja nadal nic z tej historii nie rozumiem. Lecz Darren bardzo lubi trzymać mnie w napięciu.

Niewymieniony z nazwiska więzień spędził zaledwie kilka dni w bloku C, gdzie na koniec ktoś podłożył ogień w jego celi i spalił mu wszystkie rzeczy. Szybko przeniesiono go do bloku A. Nazajutrz jednak delegacja więźniów złożyła wizytę przełożonemu funkcjonariuszy (Tinklerowi), oświadczając mu, że jeśli wspomniany skazaniec pozostanie w bloku do następnego tygodnia, nie będą mogli ręczyć za jego bezpieczeństwo.

– Za co go skazali? – pytam, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

– Ach, więc udało mi się przykuć twoją uwagę – komentuje Darren. – Nie umiem jeszcze tylko pohamować twojej niecierpliwości. – Robi dramatyczną pauzę. – Popęłił zbrodnię, za którą inni więźniowie nie będą dla niego mieli litości. – Darren pokonuje jeszcze kilka jardów i mówi: – Porwał i zgwałcił trzynastoletnią dziewczynkę. I w końcu przenieśli go do więzienia, gdzie będzie bezpieczny, bo można go trzymać tylko z innymi zbokami.

6.00 wieczorem

George W. Bush wykonuje pierwszy ruch rozpoczynający wojnę, podpisując rozkaz zablokowania wszystkich kont bankowych, do których ma dostęp Usama Ibn Ladin. Wieczorne wiadomości podają, że Clinton także próbował tego dokonać, ale nie zdobył poparcia Kongresu.

W telewizji nie ma nic ciekawego, wracam więc do dzieł Szekspira. Dziś czas na *Króla Leara*. Gdyby tylko Bard ze Stratfordu przeżył kilka miesięcy w więzieniu...

Dzień 72

Piątek, 28 września 2001

9.00 rano

Gimnastyka. Dziś cotygodniowe spotkanie z grupą niepełnosprawnych. Mam już własną grupkę podopiecznych – Aleksa, Robbiego, Lesa i Paula. Zaczynamy na

przyrządzie wiosłarskim, potem przechodzimy na ruchomą bieżnię, a następnie proszę wszystkich, aby spróbowali skłonów w pozycji leżącej. Nowe wyzwanie. Aleksowi i Robbiemu udaje się wykonać po dziesięć, natomiast Lesowi i Paulowi trudno zrobić więcej niż pięć. Ale przynajmniej mają przed sobą cel na przyszły tydzień.

12.00 w południe

Lunch wygląda na niejadalny, daję więc spokój. Czekają mnie dzisiaj odwiedziny, toteż będę mógł uzupełnić jadłospis produktami z kantyny.

2.00 po południu

Przyjmuję gości, jak w co drugi piątek. Dziś odwiedzają mnie mój syn William i moi dwaj serdeczni przyjaciele, Chris Beetles i Godfrey Barker. Postanawiam poświęcić pierwsze pół godziny Willowi, dwadzieścia minut Chrisowi, następne dwadzieścia Godfreyowi, a na koniec porozmawiać z wszystkimi trzema.

Will mówi o telefonie, jaki otrzymał w drodze do Wayland, z informacją, że biegli księgowi z KPMG właśnie zakończyli spotkanie z policją, której nie pozostawili najmniejszych wątpliwości co do tego, iż nigdy nie byłem zaangażowany w zbiórkę ani rozdział pieniędzy ofiarowanych Czerwonemu Krzyżowi w ramach kampanii Simple Truth. Will wyraża przekonanie, że w przyszłym tygodniu o tej porze prawdopodobnie nie będzie mnie już w Wayland.

Następnie informuje mnie, że ma nową dziewczynę, ale ponieważ w czwartek wraca do Ameryki, nie jest pewien, czy ten związek ma jakąś przyszłość. Czuję się zawiedziony. Nie mogę się doczekać, by w końcu zostać dziadkiem. Pozostałe nowiny dotyczą spraw domowych i po trzydziestu minutach Will ustępuje miejsca Chrisowi.

Chris przynosi mi grzanekę z serem i pomidorem – czegoś równie wykwintnego nie jadłem od siedemdziesięciu dni. Wciąż nie wiem, jak tego dokonał.

Na początek opowiadam Chrisowi o Shaunie (falszerstwo) i szkicach, jakie przygotowuje do mojego dziennika. Shaun za trzy tygodnie wychodzi, poprosiłem go więc, aby odwiedził Chrisa w galerii i pokazał mu teczkę. Chris wyjaśnia, że za reprodukcję dzieła wypłaca się artyście honorarium, ale jeśli chcę kupić oryginały, chętnie zgodzi się wynegocjować uczciwą cenę.

Zaczynamy dyskutować o Boterze. Chris sądzi, że mam małą szansę zdobycia taniego oryginału, nawet jeśli matka Sergia rzeczywiście zna Botera, gdyż artysta cieszy się międzynarodowym uznaniem. Przyjmuję do wiadomości

jego pogląd, mimo to nadal wierzę, że Sergio może nam sprawić niespodziankę. Chris wzrusza ramionami. Kiedy zmienia temat i zaczyna mówić o drużynie Tottenham Hotspur, szybko zapraszam do stolika Godfrey'a.

On także częstuje mnie kanapką – tym razem nie grzanką – z serem i pomidorem.

Godfrey jest wybitnym krytykiem sztuki, nauczycielem akademickim i moim przyjacielem od dwudziestu lat. Rozmawiamy o ważnej sprawie związanej z sędzią Pottsem, z którym Godfrey i jego żona Ann zetknęli się na kolacji przed dwoma laty. W trakcie przyjęcia sędzia wygłosił na mój temat uwagę, która – jeśli jest prawdziwa – moim zdaniem powinna pozbawić go prawa przewodniczenia mojemu procesowi. Godfrey musi sprawdzić w terminarzu dokładną datę owego przyjęcia i ustalić okoliczności wygłoszenia tej opinii przez sir Humphreya. Obiecuje poinformować o wszystkim Mary. Ann Barker zasiada w komisji do spraw zwolnień warunkowych, a na kolacji był obecny jeszcze jeden członek komisji. Dziękuję Bogu za przyjaciół, którzy wierzą w sprawiedliwość.

Ostatnia część naszego spotkania, którą spędzamy wspólnie, sprawia mi ogromną przyjemność, zwłaszcza że Will przynosi jeszcze jedną kanapkę z serem i pomidorem. Nie jadłem lunchu, a teraz będę mógł także zrezygnować z kolacji. Godfrey twierdzi, że Iain Duncan Smith może wygrać następne wybory. Chris szydzi z jego naiwności i jest gotów postawić batonik Mars na zwycięstwo Blaira, który jego zdaniem od 11 września nie popełnił ani jednego błędu.

– Zobaczmy, jak będzie wyglądał za rok – odparowuje Godfrey.

Ciekawe, gdzie ja będę za rok...

Komunikat oznajmiający koniec odwiedzin rozlega się o wiele za wcześnie, uprzytomniając mi, jak bardzo lubię towarzystwo dobrych przyjaciół.

Gdy chcę opuścić salę odwiedzin, zostaję zatrzymany i poddany upokarzającej rewizji osobistej. Dwaj młodszy funkcjonariusze uważają zapewne, że fajnie będzie opowiedzieć dziś kumplom w pubie, jak kazali lordowi Archerowi rozebrać się do naga. Wielkie nieba, przekonali się na własne oczy, że mam penis, zupełnie jak inni więźniowie. To przykry zgrzyt podczas w sumie dobrego dnia. Większość funkcjonariuszy w Wayland nie jest jednak aż tak drobiazgową.

6.00 wieczorem

Jimmy wraca z czterodniowej przepustki do domu – przysługuje ona więźniom skazanym na mniej niż cztery lata, którzy odsiedzieli jedną trzecią wyroku. Jimmy'emu zasądono trzy i pół roku, mnie cztery. Sędzia Potts doskonale zdawał sobie sprawę z tej różnicy⁵³. Jimmy mówi, że przede wszystkim chce się porządnie wyspać. W ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin uprawiał seks z dwiema kobietami: jedną głupią, ale seksowną, oraz studentką, która chętnie

opowiada koleżankom, że sypia ze skazańcem. Nie może się zdecydować, z którą ma się związać, kiedy za trzy tygodnie zostanie zwolniony. Darren udziela mu mądrej rady:

– Jeżeli nie umiesz wybrać, to znaczy, że żadna nie jest odpowiednia.

10.00 wieczorem

Pierwszy raz od 11 września główna informacja w wieczornych wiadomościach nie pochodzi z drugiej strony Atlantyku. Dotyczy wprowadzie terrorystów, ale tym razem w Irlandii Północnej. Zastanawiam się, jak długo sprawy związane z Usamą Ibn Ladinem pozostaną na pierwszym planie. Nie można zapominać, że Saddam Husajn wciąż jest na wolności...

Wyłączam telewizor i kontynuuję maraton szekspirowski, otwierając *Ryszarda II*.

Dzień 73

Sobota, 29 września 2001

9.00 rano

Jimmy chce uciec. Ma wyjść za trzy tygodnie, ale cztery dni za murami wystarczyły, by poczuł smak wolności. Nie ma zamiaru wrócić do więzienia. Było to jego pierwsze przestępstwo i Jimmy zarzeka się, że ostatnie⁵⁴. Nabrałem podziwu dla Służby Więziennej, kuratorów i komisji do spraw zwolnień warunkowych za sposób, w jaki oceniają więźniów pod względem prawdopodobieństwa popełnienia kolejnego przestępstwa. Nie potrafią się zapewne ustrzec błędów, narażając się na niepochlebne opinie w prasie, która sugeruje w takich wypadkach, aby znaleźli sobie łatwiejsze zajęcie. Powinniśmy być jednak przynajmniej wdzięczni, że ktoś podejmuje się tego zadania.

11.30 rano

Podczas spaceru Darren opowiada mi o więźniu, którego dziś rano odwieziono niemal bez uprzedzenia. Wygląda na to, że szybko zyskiwał pozycję największego handlarza narkotyków w więzieniu i chętnie wymieniał towar – marihuanę, kokainę i heroinę – na karty telefoniczne lub tytoń. Tu zaczęły się jego kłopoty, ponieważ baron narkotykowy w bloku C uznawał tylko handel za

gotówkę, którą klienci wpłacali na jego prywatne konto bankowe na wolności. Przypomnę, jak działa ten system. Więźniowie polecają przyjacielowi lub krewnemu podczas odwiedzin (telefony i listy są uważane za zbyt ryzykowne), aby przelał pieniądze na konto wspólnika więziennego dilera, który w zamian za to dostarcza towar.

Kiedy baron bloku C dowiedział się, że jego klientów zaczyna przejmować nowa konkurencja, która nie żąda gotówki, uznał, że należy podjąć radykalne kroki. Wczoraj, gdy jego rywal był w sali gimnastycznej, przekupił dwóch więźniów (sprzątaczy) z bloku B, aby podpalili jego celę. W konsekwencji więzień, któremu podpalono celę, został natychmiast przeniesiony do innego zakładu. Oznacza to, że baron bloku C może bez przeszkód kontynuować swój proceder i za kilka tygodni wyjdzie na wolność, gdzie będzie na niego czekała pokaźna sumka w banku⁵⁵.

8.00 wieczorem

W sobotę wieczorem rzadko można znaleźć coś ciekawego w telewizji, kończę więc *Ryszarda II* – a ściśle mówiąc, kończy z nim jego zabójca. Ostatnio widziałem tę sztukę na scenie w Barbicanie z Samem Westem w roli tytułowej. Bardzo chciałem zobaczyć w Stratfordzie *Hamleta* z nim w roli głównej, ale się nie doczekałem.

Dzień 74

Niedziela, 30 września 2001

8.00 rano

Dzwonię do Mary i dowiaduję się, że policja kończy dochodzenie, nie zadawszy sobie nawet trudu, aby mnie przesłuchać⁵⁶. Mary zastanawia się, czy napisać do baronessy Nicholson z żądaniem przeprosin. Przekonuję ją, że szkoda czasu, ponieważ Nicholson nie ma za grosz poczucia przyzwoitości i za nic się nie przyzna, że oskarżyła mnie bezpodstawnie. Emma Nicholson jest zamożną kobietą. Byłby to szlachetny gest z jej strony, gdyby pokryła koszty audytu KPMG, zamiast pozostawić uregulowanie rachunku Czerwonemu Krzyżowi.

Następnie Mary wspomina o swojej rozmowie z Godfreyem. Zapewnił ją, że zdaje sobie sprawę z wagi pisemnego oświadczenia złożonego pod przysięgą i znaczenia, jakie mogłoby mieć dla mojej apelacji. Mary potwierdza, że

w czwartek leci do Waszyngtonu, i ma nadzieję, iż zanim wróci w przyszły wtorek, zostanie już przeniesiony do więzienia otwartego.

10.30 rano

Nabożeństwo. Więzienie zatrudniło nowego kapelana. Nazywa się Nick Tivey i sądząc po akcencie, pochodzi z północy wysp. Wygląda na jakieś trzydzieści lat i mówi mi, że zanim został kapelanem więziennym, służył w dwóch parafiach.

Jego kazanie, a raczej gawęda, jest bardzo swobodne, dzięki czemu skuteczniej przemawia do więźniów. Nick opowiada o tym, jak Jezus pogardzał tyranami (szychami), wybierając towarzystwo grzeszników (nas). Wierni reagują na jego słowa owacjami. Od ostatniego nabożeństwa, w którym brałem udział, trzódka powiększyła się dwukrotnie do siedemnastu osób (dziewięciu czarnych i ośmiu białych). Nick dopiero drugi tydzień jest naszym pasterzem, musiał więc chyba znaleźć jakiś sposób na więźniów.

8.00 wieczorem

Zaczynam czytać *Burzę*, przypominając sobie doskonałą kreację Johna Wooda w roli Prospera w Stratfordzie.

Sen i my z jednych złożeni pierwiastków;
Żywot nasz krótki w sen jest owinięty...⁵⁷

Ale nie dziś, ponieważ Shane (ciężkie uszkodzenie ciała, dyżurny w sali gimnastycznej) nastawił telewizor na cały regulator, oglądając niedzielną transmisję boksu. Bardzo lubi komentować każdą walkę, czasem nawet każdy cios, a robi to zwykle bardzo głośno. Najczęściej powtarzanymi słowami są „wał” i „kutas”. Transmisja kończy się trzydzieści pięć minut po północy, zasnąłem więc dopiero po tej godzinie.

Dzień 75

Poniedziałek, 1 października 2001

8.15 rano

W rozmowie z Shane'em wspominam, że większość mieszkańców skrzydła nie mogła przez niego zasnąć do pierwszej w nocy, na co oświadcza:

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Jeff, kawał chama ze mnie i będziesz się musiał do tego, kurwa, przyzwyczać.

9.00 rano

Garncarstwo. Jeden z więźniów utracą trąbę glinianemu słoniowi innego więźnia i rozpętuje się piekło. Pada mnóstwo przekleństw, a dwaj rywale zrywają się gotowi do walki, podjudzani przez skazanych na dożywocie. Anne znika w sąsiednim pokoiku i sytuacja zostaje opanowana dopiero po dłuższej chwili. Później dowiaduję się, że obaj więźniowie mają wyjść na wolność za kilka tygodni i żaden na pewno by nie chciał, żeby przedłużono mu wyrok. Dożywotniacy spoglądają na nich spode łba, rozczarowani brakiem widowiska.

Gdy udaje się przywrócić względny spokój, sugeruję obu chłopakom, że są chyba winni przeprosiny Anne (naszej instruktorce). Dwaj starsi więźniowie, obaj odsiadujący karę dożywocia, unoszą głowy, ciekawi reakcji młodzieńców. Ci natychmiast idą do pokoiku i przepraszają Anne. Wygląda na zaskoczoną. Dożywotniacy wskazują głowami na mnie. Nie chcę usprawiedliwiać zachowania tych dwóch łobuzów, ale ilu z nas zdaje sobie sprawę, jakie mamy szczęście, że nie zostaliśmy wychowani w świecie, gdzie normą jest przemoc, wulgarny język i zbrodnia?

3.00 po południu

Odwiedza mnie trzech członków Rady Inspektorów Więzień. Słyszeli, że w najbliższej przyszłości opuszczę więzienie i chciałem z nimi porozmawiać. Inspektorzy pracują jako wolontariusze i rzadko spotykają się z wyrazami wdzięczności, ponieważ po obu stronach żelaznych drzwi przeważają sceptyczne oceny ich działalności. Niemal wszyscy więźniowie twierdzą, okraszając to wiadomymi słowami, że inspektorzy tylko im zawadzają. To niesprawiedliwe wobec wolontariuszy, którzy w ciągu lat przyczynili się do znacznej poprawy życia w więzieniach, a w zeszłym roku udało im się przekonać Jacka Strawa (ówczesnego ministra spraw wewnętrznych) do zmiany decyzji w sprawie bardzo ważnej dla Wayland.

Sugeruję im, że może powinni się częściej pojawiać na spacerunku. Kiedy więźniowie oswoją się z ich widokiem, będą bardziej skłonni podejść i porozmawiać, i może nabiorą do nich większego zaufania. Następnie poruszamy kilka drażliwych kwestii, w szczególności sprawę wcześniejszego zamykania cel w soboty, niedziele i poniedziałki, gdy siedzimy zaplombowani przez czternaście godzin bez przerwy, na co wszyscy prawie codziennie narzekają. Inspektorzy wskazują na problem braku personelu. Nikt nie chce przyznać, że w naszym

skrzydle dyżur w weekendy pełni tylko czterech funkcjonariuszy. Obecnie funkcjonariusze w Wayland przepracowują łącznie cztery tysiące nadgodzin i wątpię, żeby w innych więzieniach sytuacja była odmienna.

Dzień 76

Wtorek, 2 października 2001

9.00 rano

Chce się ze mną widzieć nowy kurator. Gdy zjawiam się w jego biurze, wyjaśnia, że zaprosił mnie tylko pro forma, ponieważ jeśli niebawem zostaną przeniesiony do więzienia kategorii D, nie będziemy już mieli okazji się spotkać. Słyszając, że zamierzam złożyć apelację i od wyroku, i od orzeczenia o winie, szybko kończy nasze spotkanie i odsyła mnie do celi.

12.00 w południe

Telefonuję do Alison i dowiaduję się, że Tony Morton-Hooper wysłał do Carltona-Boyce'a (naczelnika odpowiedzialnego za przeniesienia) faks z listą preferowanych przeze mnie zakładów kategorii D⁵⁸:

Latchmere House, Richmond
Spring Hill, Buckinghamshire
Ford, Sussex
Stamford Hill, Kent

Nazwy kojarzą mi się z niewielkimi szkołami prywatnymi.

Wiem, że raczej nie przeniosą mnie do Latchmere House, gdyż nie spełniam ich kryteriów⁵⁹, a szefostwo Ford już mi odmówiło, twierdząc, że nie będą sobie mogli poradzić z zainteresowaniem dziennikarzy. Więźniowie, którzy byli w Stamford Hill, mówią, iż pełno tam młodych ćpunów, którzy mogą człowieka wpędzić do grobu. Spodziewam się więc trafić do Spring Hill, które od początku polecał mi Meanwell.

3.00 po południu

Dyżurny starszy funkcjonariusz wzywa mnie na rozmowę w cztery oczy. Podobno dwaj więźniowie z bloku C złożyli do naczelnika skargę, że podczas spaceru pokazałem się w bluzie od dresu, a ten przywilej przysługuje tylko

więźniom o wyższym statusie. Dlatego będzie musiał przeprowadzić rewizję mojej celi, aby poszukać wspomnianej części garderoby, ale w tej chwili nie ma na to czasu, toteż mogę się go spodziewać dopiero za pół godziny.

Mowa o kremowej bluzie Adidasa pozostawionej mi w spadku przez Sergia w dniu, kiedy go deportowano. Wracam do celi i wręczam ją Darrenowi, relacjonując mu przebieg rozmowy. Darren wzywa Jimmy'ego i obaj przeprowadzają gruntowną inspekcję mojej celi. Zabierają lampkę nocną, otwieracz do konserw i koc w żółtą kratę – rzeczy zdobyte przeze mnie w zeszłym miesiącu, które będę mógł trzymać, kiedy uzyskam wyższy status.

Funkcjonariusz zjawia się po trzydziestu minutach w towarzystwie kolegi i przystępują do przeszukania. Po kwadransie wychodzą, oświadczając, że cela jest czysta.

Później dowiaduję się, że więźniowie z bloku C, którzy złożyli na mnie skargę, są skazani na dożywocie – obaj za morderstwo. Zazdrość w więzieniu jest zjawiskiem równie powszechnym jak na wolności.

7.00 wieczorem

Dzwonię do Sergia do Bogoty, wykorzystując pozostałe siedem funtów na jego karcie. Złe wiadomości. Nie przyjęto ani jednej z moich ofert na kupno dzieł Botera. Okazało się, że Chris Beetles miał rację – gdy chodzi o malarza o międzynarodowej renomie, znajomość matki z artystą nie ma żadnego znaczenia.

– Zaproponuj pięćset tysięcy za *Grających w karty* – odpowiadam natychmiast.

Zapada długa cisza, aż wreszcie Sergio przyznaje:

– Obraz został już sprzedany za dziewięćset tysięcy. – Pip... pip... pip... zostało parę sekund. – Przykro mi, Jeffrey. Postaram się znaleźć...

Potem już nigdy nie miałem od Sergia wiadomości.

Dzień 77

Środa, 3 października 2001

8.15 rano

Więźniowie zgromadzeni na korytarzu w oczekiwaniu na śniadanie rozmawiają o Shanie (ciężkie uszkodzenie ciała, dyżurny w sali gimnastycznej). Mają serdecznie dość (używają nieco innych słów) nieustannego hałasu, jaki robi

w nocy i wczesnym rankiem. Pod słuchuję, że kilku z nich planuje spuścić mu łanie w umywalni, gdy po dzisiejszym meczu rugby pójdzie wziąć prysznic. Pytam Darrena, czy powinienem to zgłosić Tinklerowi.

– Nie – oznajmia stanowczo. – Pilnuj swojego pieprzonego nosa i zostaw to nam. Ale kiedy zobaczysz się z Tinklerem albo Meanwellem, mógłbyś im wspomnieć, jak ten skurwiel ostatnio załaził nam za skórę. Większość z nas wolałaby, żeby przenieśli go z powrotem na górę.

Pierwszy raz Darren zaklął w mojej obecności.

9.00 rano

Garncarstwo. Odwołane z powodu spotkania z Regiem Waltonem, funkcjonariuszem odpowiedzialnym za planowanie wyroku. Wydaje się sympatyczny, choć może nieco przeciążony obowiązkami. Wyjaśnia, że musi wypełnić jeszcze jeden formularz, jeśli mają mnie awansować do kategorii D.

– Przywrócić mi kategorię D – prostuję z naciskiem, opowiadając mu pokrótce, jak trafiłem do Wayland.

Kiwa głową, przystępując do wypełniania rubryczek. Znów to samo.

Narkotyki nie dotyczy Przemoc nie dotyczy Ryzyko ucieczki niskie Ryzyko popełnienia kolejnych przestępstw niskie Wykroczenia więzienne nie dotyczy Sprawowanie stabilne Ryzyko samookaleczenia niskie Przestępstwa popełnione w więzieniu nie dotyczy Wypełniwszy wszystkie rubryki, wstaje, podaje mi rękę i życzy powodzenia.

– Moja żona uwielbia pańskie książki. – Po chwili dodaje: – Chociaż przyznam, że ja żadnej nie czytałem.

2.00 po południu

Sędziuję mecz rugby między reprezentacją Wayland a drużyną z miejscowej bazy lotniczej. Widać, że to nasze pierwsze spotkanie z zespołem z zewnątrz. Robię, co mogę, by interpretować przepisy na korzyść Wayland, mimo to reprezentacja lotników wygrywa 39:12.

4.10 po południu

Tinkler zawiadamia mnie, że chce się ze mną widzieć po rozmowie z Waltonem. Steve twierdzi, że nigdy nie słyszał, aby takie dwa spotkania odbywały się tego samego dnia, i odczytuje to jako znak, że niedługo mnie przeniosą. Wiem już, co w więzieniu oznacza „niedługo”, dlatego wstrzymuję się z komentarzem.

6.00 wieczorem

Shane kręci się po korytarzu w brudnym stroju do rugby, unikając umywalni i starając się być miły dla wszystkich. Zagląda nawet do mojej celi, aby mi pogratulować dobrego sędziowania (szczerze mówiąc, mogło być lepsze). Później słyszę od Darrena, że Bestia (taksówkarz, transport marihuany) uprzedził go, że jeżeli się nie poprawi, może go spotkać nieszczęście. Podziałało o wiele skuteczniej niż reprimenda funkcjonariusza.

8.00 wieczorem

W ciszy kończę czytać *Burzę*. Shane zrozumiał ostrzeżenie, ale na jak długo?

Dzień 78

Czwartek, 4 października 2001

8.20 rano

Spotkanie z przełożonym funkcjonariuszy Tinklerem. Informuje mnie, że podpisał formularze dotyczące przywrócenia kategorii D, ale czekają jeszcze na kontrasygnatę szefa mojego skrzydła, Clegga. Tinkler jasno daje mi do zrozumienia, co sądzi o sposobie, w jaki zostałem potraktowany przez system sprawiedliwości. Zgadzam się, że on i cały personel mundurowy zrobili wszystko, co w ich mocy, aby uczynić mój pobyt w Wayland znośnym, wiem jednak, że przede wszystkim w ogóle nie powinienem był tu trafić.

8.50 rano

Na moim skrzydle zjawia się Carl (ciężkie uszkodzenie ciała, obsługa kuchenki, zdobywca bramki w każdym meczu), żeby się pożegnać. Ciekawie jest zaobserwować, jak różnie więźniowie się zachowują wobec kogoś, kto właśnie wychodzi na wolność. Ci, którzy sami zostaną zwolnieni w ciągu kilku tygodni lub miesięcy, obejmują go i ściskają mu dłoń, natomiast skazani na dłuższe wyroki spoglądają na niego ponuro, nie kryjąc zazdrości.

Dobrze zapamiętam Carla z dnia, w którym przed wizytą Mary włożyłem eleganckie brązowe mokasyny.

- Mam takie same, Jeff – powiedział wtedy. – Są z Harrodsa?
- Owszem – odparłem.
- Moje też – odrzekł Carl. – Ale założę się, że ty za swoje zapłaciłeś.

Gdy Carl zbiera się do wyjścia, do skrzydła przychodzi funkcjonariusz Clarke i życzy mu powodzenia.

- Mam wrażenie, że niedługo znowu się zobaczymy – dodaje.

9.00 rano

Garncarstwo. Moja donica (czy cokolwiek to może być) ciągle schnie, dlatego przyglądam się, jak Shaun pracuje nad głową Julesa, uzupełniając narysowaną w zeszłym tygodniu sylwetkę. Jules jest bardzo zadowolony z efektu i chciałby dostać oryginał dla matki, co najlepiej świadczy o sukcesie Shauna. Zwykle w takich sytuacjach Shaun sprzedałby portret za pięć funtów lub równowartość w tytoniu, ale teraz tłumaczy Julesowi, że najpierw wszystkie rysunki muszą zobaczyć moi wydawcy. Obiecuję, że kiedy je ocenią, przysła Julesowi oryginał (zobacz rozdział „Ilustracje”).

Jules otrzymał już wyższy status, dzięki czemu zyskał kilka przywilejów, między innymi ten, że wolno mu nosić własne ubranie. Ostatnio przeniósł się do naszego skrzydła, zajmując celę po Dannym. Mówi, że wciągnięto go na listę Powierników, co, jak już wyjaśniałem, wiąże się z dużą odpowiedzialnością. Dobrze sobie radzi na zajęciach edukacyjnych (kurs maturalny z angielskiego) i kiedy mówi: „Po zwolnieniu nigdy już tu nie wrócę”, jestem skłonny w to wierzyć.

3.15 po południu

Gimnastyka. Realizuję cały program w godzinę, co dzień odnotowując stałe, choć nieznaczne postępy.

6.30 wieczorem

Clegg omawia ze mną formularz zmiany kategorii i jako szef mojego skrzydła podpisuje się pod opinią, według której jestem wzorowym więźniem. Oznacza to, że nie mam kontaktu z narkotykami, nie używam przemocy i nie popełniłem żadnego wykroczenia od dnia osadzenia w więzieniu. Teraz dokument powędruje do Kinga, który z kolei przekaże go Carltonowi-Boyce’owi, a ten z kolei...

Następnie Clegg wyznaje, że jeden z więźniów oskarżył go o rasizm. Cleggowi można niejedno zarzucić, ale na pewno nie jest rasistą. Po powrocie do

skrzydła informuję o tym Nigela (ciężkie uszkodzenie ciała) zwanego Kaznodzieją (zobacz rozdział „Ilustracje”), który jest przedstawicielem bloku w zespole ds. stosunków rasowych. Mówi, że porozmawia o tym z Kingiem i spróbuje wyjaśnić sprawę.

8.00 wieczorem

Nie mogę zadzwonić do Mary, ponieważ poleciała do Waszyngtonu na pięćdziesiąte urodziny naszego wspólnego przyjaciela.

Zaczynam czytać pierwszą część *Henryka IV*.

Dzień 79

Piątek, 5 października 2001

9.00 rano

Grupka moich podopiecznych co tydzień bije kolejne rekordy. Alex zaczął nawet grać w piłkę łapaną, którą kończymy każdy cykl ćwiczeń. Darren obiecał zaopiekować się nimi, kiedy opuszczę Wayland, co przyjmuję z ulgą, gdyż jest niemal tak gorącym zwolennikiem dyscypliny jak ja.

11.00 rano

King zawiadamia mnie, że dokumenty związane z przywróceniem mi kategorii D zostały przekazane Carltonowi-Boyce’owi. Dodaje, że był u niego Nigel, aby wstawić się za Cleggiem, i dał mu jasno do zrozumienia, iż żaden inny więzień nigdy nie nazwał szefa naszego skrzydła rasistą. King dziękuje mi za interwencję, wyjaśniając, że gdy takie oszczerstwo pojawi się w raporcie, funkcjonariuszowi bardzo trudno odzyskać potem dobrą reputację.

– Niech pan to powie Emmie Nicholson – mówię w chwili gniewu.

12.00 w południe

Lunch. Wybieram małą porcję fasolki z frytkami, ponieważ jest to dzień uzupełniania zapasów w kantynie. Jak mam nie tyć, skoro odżywiam się fasolą z frytkami oraz chrupkami i czekoladą Cadbury z owocami i orzechami? W następnym więzieniu będę się musiał postarać o funkcję dyżurnego w sali

gimnastycznej.

9.00 wieczorem

Premier sugeruje, że niebawem zacznie się bombardowanie Afganistanu. Potem rozpoczną się działania wojsk lądowych, które jego zdaniem mogą potrwać do lata przyszłego roku. Ciekawe, gdzie będę latem przyszłego roku.

Przed zaśnięciem udaje mi się dokończyć akt IV pierwszej części *Henryka IV*.

„Jeśli mnie nie wstyd moich żołnierzy, to jestem marynowaną płotką”⁶⁰ – powiada Falstaff.

Dzień 80

Sobota, 6 października 2001

11.00 rano

Wzywa mnie do siebie naczelnik Carlton-Boyce i potwierdza, że nadał bieg sprawie przywrócenia mi kategorii D. Pyta, czy wybrałem jakieś konkretne więzienie, do którego chciałbym zostać przeniesiony. Domyślam się, że nie czytał listu od Tony’ego Mortona-Hoopera. Wyjaśniam, że ponieważ mieszkam głównie w Londynie, odpowiadałby mi każdy zakład w okolicy, aby rodzinie łatwiej mnie było odwiedzać. Rozmawiamy o Latchmere House, Spring Hill i Stamford Hill. Naczelnik obiecuje sprawdzić, czy mają wolne miejsca, i da mi znać.

2.30 po południu

Na ostatniej stronie „Times” zamieszcza niezwykle rysunek Brookesa z serii „Ciekawostki przyrodnicze” przedstawiający Usamę Ibn Ladina jako trujący grzyb. Dzwonię do Chrisa Beetlesa, który reprezentuje rysownika, i pytam, czy moglibyśmy dołączyć karykaturę do kolekcji.

Od piętnastu lat kolekcjonuję karykatury – z pomocą Chrisa – które kiedyś zamierzałem pozostawić w spadku Pałacowi Westminsterskiemu (parlamentowi). Teraz mam wątpliwości, czy powinienem to zrobić. Kolekcja składa się z około trzystu rysunków, wśród których są dzieła takich autorów, jak Beerbohm, Vicky, Gould, Kal, Searle, Furniss, Steadman i Scarfe, i wielu innych. Mam także szesnaście karykatur Brookesa, ale w mieszkaniu wisi tylko dziewięć. Chris uważa,

że powinniśmy zdjąć ze ściany Hague'a (ośmiornica z przyssawkami) i zastąpić go Ibn Ladinem. Rysownik od czasu do czasu zatrzymuje jakąś perełkę do swojej prywatnej kolekcji, więc być może nie uda mi się zdobyć tej karykatury. Uprzedzając pytania czytelników, informuję, że czarno-biały rysunek kosztuje 850 funtów, a kolorowy 1450. Chris dzieli się ze mną spostrzeżeniem, że jeszcze nie widział rysunku stanowiącego kwintesencję horroru 11 września.

5.00 po południu

Steve (współdziałł w przygotowaniu morderstwa, bibliotekarz) właśnie wrócił z sali odwiedzin, gdzie pracuje w sklepiku. Mówi, że musieli wstrzymać sprzedaż chrupek Walkers, ponieważ jeden z więźniów po otwarciu paczki wyciągnął z niej 20-funtowy banknot (to element najnowszej promocji producenta). Pieniądze natychmiast skonfiskował dyżurujący w sali funkcjonariusz i zapisał je na konto więźnia w kantynie (żadnemu z osadzonych nie wolno mieć pieniędzy – z oczywistych powodów). Wszystkie kartony walkersów aż do zakończenia kampanii reklamowej zastąpiono chrupkami Golden Wonder.

Dzień 81

Niedziela, 7 października 2001

8.00 rano

Piszę przez dwie godziny, a potem włączam telewizor i słyszę w wiadomościach, że bombardowanie Afganistanu rozpoczęło się na dobre. Do ataku ruszyło czterdzieści samolotów i pięćdziesiąt pocisków samosterujących (każdy wart 750 000 funtów). David Frost przeprowadza wywiady ze wszystkimi ważnymi osobistościami, od Kissingera po Clintona, ale o 9.30 wiem o postępach kampanii tyle, co półtorej godziny wcześniej.

11.00 rano

Spacer. Maszerując z Darrenem i Jimmym wokół dziedzińca, mijam funkcjonariusza, którego jeszcze nigdy nie widziałem, ponieważ zwykle pełni służbę w innym bloku. Nazywa się Zac Carr, ale jest znany jako „Z cars”⁶¹. Jimmy mówi, że został tymczasowo zawieszony w obowiązkach, gdyż pozwolił, aby jeden z więźniów zrobił mu tatuaż. Skazańcom nie wolno tatuować współwięźniów,

a tym bardziej funkcjonariuszy. Następnie Jimmy opisuje, w jaki sposób ów więzień (twórca najlepszych artystycznych tatuaży w Wayland) uprawia swoje rzemiosło. Pytam później Nutbourne'a, czy to prawda. Kiwa głową, mówiąc:

– Mógłbym ci opowiedzieć jeszcze niejedną historię o Z carsie. – Zawiesza głos i z uśmiechem dodaje: – Ale nie opowiem.

11.45 rano

Do mojej celi wkracza Nigel (ciężkie uszkodzenie ciała, reprezentant stosunków rasowych) i skarży się, że czarnoskórzy nie są dostatecznie często pokazywani w telewizji. Wyrażam zrozumienie, pytając, jak jego zdaniem należałoby poprawić tę sytuację.

– Powinni pokazywać *Crimewatch*⁶² siedem dni w tygodniu – oświadcza, szczerząc zęby w uśmiechu. – To by wyrównało proporcje.

Zadowolony, że udało mu się mnie zdenerwować, wychodzi, a ja wracam do pisania.

8.00 wieczorem

Oglądam Patricię Routledge w przejmującej roli w filmie *Anyone's Nightmare*, opartej na faktach historii kobiety, którą fałszywie oskarżono o morderstwo matki. Zanim unieważniono wyrok, spędziła cztery lata w więzieniu. Kiedy człowiek zostaje skazany, czasem przez całe życie musi udowodniać własną niewinność.

Dzień 82

Poniedziałek, 8 października 2001

11.00 rano

Wszystkie gazety piszą, że mam zostać przeniesiony do więzienia kategorii D. „Daily Mail” wymienia pięć zakładów, do jakich być może trafię, zapewne po to, żeby potem pochwalić się przed czytelnikami, że mieli rację. Nie mieli. Żadna z gazet nie uważa za stosowne poinformować, że policja umorzyła śledztwo. Chyba żądam za wiele.

12.00 w południe

Alianci drugą noc z rzędu bombardowali Kabul, ale nadal nie ma wiadomości, jak skuteczny był ten atak.

6.00 wieczorem

Piszę przez dwie godziny, lecz nie potrafię się skupić, myśląc bez przerwy o Mary, która właśnie wraca samolotem z Nowego Jorku. Będę z nią mógł porozmawiać dopiero jutro rano, ponieważ zostałem już zaplombowany.

8.00 wieczorem

Do mojej celi zagląda Nutbourne i mówi, że wyjeżdża na urlop na Kubę. Przypuszcza, że przed jego powrotem zostaną przeniesiony, i oświadcza, że przykro mu, iż musiał mnie poznać w takich okolicznościach. Życzy mi wszystkiego dobrego.

Dzień 83

Wtorek, 9 października 2001

8.45 rano

Odbierając śniadanie w kuchence, dowiaduję się od Kinga, że nie pojedę do Latchmere House, toteż próbują mnie teraz ulokować w Spring Hill. Naczelnik Carlton-Boyce nie informuje mnie o tym osobiście, pozostawiając to dyżurnemu strażnikowi, co, jak się obawiam, nie wróży najlepiej.

11.00 rano

Spacer. Do Darrena i mnie dołącza pewien więzień z Singapuru, który pragnie pozostać anonimowy. Mówi nam, że sprzedał „trefną” heroinę młodej dziewczynie, która potem zmarła w szpitalu. Został uznany za winnego nieumyślnego spowodowania śmierci i skazany na cztery lata. Pomyślał po prostu, że powinienem o tym wiedzieć.

5.00 po południu

Jimmy właśnie wrócił z pracy i opowiada, że widział dożywotniaka, który dziś rano wyszedł na wolność, odsiedziawszy ponad dwadzieścia lat. Wynosił z więzienia dziewięć toreb foliowych i dwuosobowe łóżko, które zrobił w warsztacie. Nie miał jednak szczęścia. Nikt po niego nie przyjechał, trzeba go więc było umieścić z powrotem w celi na jeszcze jedną noc. Bóg jeden wie, co zrobili z dwuosobowym łóżkiem.

Dzień 84

Środa, 10 października 2001

9.00 rano

Garncarstwo. Żegnam się z Anne, gdyż jestem prawie pewien, że za tydzień już mnie nie będzie w Wayland. Moja instruktorka obiecuje, że wypali moją donicę, a potem przekaże Chrisowi Beetlesowi, abym mógł ją ofiarować Mary na Boże Narodzenie⁶³.

2.00 po południu

Rugby. Sędziuję mecz z drużyną żołnierzy z Bassingbourne; w ostatnich minutach pierwszej części dochodzi do nieprzyjemnego zdarzenia. Shane (ciężkie uszkodzenie ciała, dyżurny w sali gimnastycznej) przebiega pół boiska i uderza zawodnika z zespołu gości. Nie mam wyboru i muszę go wyrzucić. Gwiżdżę i rzucam się za nim w pościg, ale uprzedzają mnie dwaj funkcjonariusze, którzy wbiegają na boisko i ściągają Shane'a za linię boczną. Natychmiast dostaje zakaz udziału w zajęciach sportowych na dwa tygodnie. Żołnierze wygrywają 25:10, co jednak nie jest wcale takim złym wynikiem, zważywszy na to, że przez drugą połowę graliśmy w czternastu. Ale to przecież ja sędziowałem.

6.00 wieczorem

Zaczynam czytać *Wieczór Trzech Króli*. Chętnie zamieniłbym swe obecne miejsce pobytu na chatę z wierzbowych gałązek.

Dzień 85

Czwartek, 11 października 2001

8.45 rano

Naczelnik Carlton-Boyce oznajmia mi, że w Spring Hill nie mają dla mnie miejsca, więc zastanawiają się nad wyborem North Sea Camp niedaleko Bostonu w Lincolnshire. Zauważam, że podróż z Londynu do więzienia i z powrotem to 240 mil, w związku z czym nie będę się mógł widywać z rodziną. Carlton-Boyce nie wydaje się tym przejmować, oświadcza krótko:

– Wykonuję swoje obowiązki i za to mi płacą.

9.15 rano

Wendy Sergeant (kierowniczka działu edukacji), dowiedziawszy się o moim rychłym wyjeździe, prosi mnie o rozmowę, którą chciałaby wykorzystać w swojej pracy doktorskiej na temat „reformy więziennej poprzez edukację”. Rezydowałem tu zaledwie dziewięć tygodni, a ona pracuje w Służbie Więziennej jedenaście lat, dlatego nie jestem pewien, czy usłyszy ode mnie coś nowego poza potwierdzeniem swych najgorszych obaw.

Mówię, że w moim odczuciu każdy powinien wychodzić na wolność z umiejętnością czytania i pisania, a tygodniówka za udział w zajęciach edukacyjnych powinna być na tym samym poziomie co płaca za inne prace wykonywane w więzieniu. Poszedłbym nawet dalej, twierdząc, że społeczeństwo więcej by skorzystało, gdyby więźniowie otrzymywali wyższą stawkę za naukę zamiast za sprzątanie korytarzy czy wydawanie frytek.

Wendy odpowiada, że jej zdaniem wielu ludzi nie nadaje się do więzienia i nie powinni przebywać w jednym miejscu z recydywistami. W swojej pracy będzie chciała zasugerować wykorzystanie ośrodków resocjalizacji, zwłaszcza że w więzieniach przewidzianych dla 62 500 więźniów przetrzymuje się obecnie 67 000 osób⁶⁴.

2.00 po południu

Telefonuję do Mary, uprzedzając ją, że prawdopodobnie zostanę przeniesiony do więzienia oddalonego o ponad sto mil od Londynu. Mary informuje mnie, że Ramona (moja adwokatka) próbowała dzwonić do Wayland, ale naczelniczka nie chciała z nią rozmawiać, co wydaje się pasować do jej strategii pozostania osobą anonimową.

Dzień 86

Piątek, 12 października 2001

9.00 rano

Zjawiam się w sali gimnastycznej i czekam na grupkę moich podopiecznych. To mają być nasze ostatnie wspólne ćwiczenia. Obok bieżni wyrasta nagle jak spod ziemi dwóch funkcjonariuszy, którzy mnie zawiadamiają, że komputer wylosował mnie jako kandydata do obowiązkowego testu narkotykowego. Co dzień losuje się pięć nazwisk, toteż nic dziwnego, że po dziewięciu tygodniach w końcu nadeszła moja kolej. Idę pod eskortą do ośrodka medycznego, gdzie w poczekalni jest już czterech więźniów. Dwaj z nich zachowują się wyraźnie podejrzanie, a dwaj inni wyglądają na całkiem spokojnych. Zza drzwi ukazuje się głowa funkcjonariusza, który pyta, czy ktoś z nas jest już gotowy. Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, wykorzystuję moment i jak spuszczonego ze smyczy chart wślizguję się do gabinetu.

Funkcjonariusz przedstawia się jako Kelvin Cross i przystępuje do odczytania moich praw, po czym prosi o podpisanie zielonego formularza (zobacz poniżej). Pytam – z czystej ciekawości – co by się stało, gdybym odmówił oddania próbki moczu lub podpisania formularza.

MANDATORY DRUG TEST AUTHORISATION FORM

Prisoner Name: ARCHER

Number: FF 8282

Test Reference Number:
283 | 01.

For allocation when sample is collected

1. The governor has authorised that in accordance with Section 16A of the Prison Act 1952 any prisoner may be required by a prison officer to provide a sample of urine for the purposes of testing for the presence of a controlled drug.
2. You are now required under the terms of Section 16A to provide a fresh and unadulterated sample of urine for testing for the presence of controlled drugs.
3. Authority for this requirement was given by: Governor
4. Reason for requirement: (only one box to be ticked)
 Random test: You have been selected for this test on a strictly random basis.
 Reasonable suspicion: You have been selected for this test because staff have reason to believe that you have misused drugs. This test has been approved by a senior manager.
 Risk assessment: You have been selected for this test because you are being considered for a privilege, or a job, where a high degree of trust is to be given to you.
 Frequent test programme: You have been selected for more frequent testing because of your previous history of drug misuse.
 On reception: You have been selected for testing on reception on a random basis.
5. The procedures used during the collection and testing of the sample have been designed to protect you and to ensure that there are no mistakes in the handling of your sample. At the end of the collection procedure you will be asked to sign a statement confirming that the urine sealed in the sample bottles for testing is fresh and your own.
6. Your sample will be split at the point of collection into separate containers which will be sealed in your presence. In the event of you disputing any positive test result, one of these containers will be available, for a period of up to 12 months, for you to arrange, if you so wish, for an independent analysis to be undertaken at your own expense.
7. You will be liable to be placed on report if you:
 - (a) provide a positive sample;
 - (b) refuse to provide a sample; or,
 - (c) fail to provide a sample after 4 hours of the order to do so (or after 5 hours if the officer believes that you are experiencing real difficulty in providing a sample).

Consent to Medical disclosure

* (i) During the past 30 days I have not used any medication issued to me by Health Care.

Signature of Prisoner: Jeff Atchō Date: 12.10.01

* (ii) During the past 30 days I have used medication issued to me by Health Care. I understand that some medication issued by Health Care may affect the result of the test. I give my consent to the Medical Officer to provide details of this treatment to the prison authorities.

Signature of Prisoner: _____ Date: _____

(*Delete as appropriate)

PRISON SERVICE CHAIN OF CUSTODY PROCEDURE

Prisoner Name: Alence Number: FF 8282

RANDOM TESTING PROGRAMME

This form is to be used only for tests conducted as part of the MDT random programme (i.e. where prisoners have been selected by the LIDS computer)

Test Reference Number: 283/01

Checklist for sample collection - tick boxes as you proceed. Refer to guidance notes if in doubt.

- 1 Only One sample collection kit present.
- 2 Check identity of prisoner. Complete details above and in sample collection register.
- 3 Carry out search and handwashing procedures. (No soap).
- 4 Show the prisoner that the collection cup and bottles are empty.
- 5 Ask prisoner to provide enough urine to be split equally between the two sample bottles.
- 6 Take temperature using the temperature strip. If temperature is out of range (32-38C) (90-100F), make note in comment section and refer to guidance notes.
- 7 Watched by prisoner, transfer urine equally between the two bottles. Fill each above 15ml line and below 30ml line. Press caps on securely.
- 8 Ask prisoner to initial and date both bottle seals.
- 9 Watched by prisoner, place a seal over each bottle cap.
- 10 Dispose of any surplus urine and the cup.
- 11 Pack two bottles in mailing container and then in chain of custody bag - Do not seal bag.
- 12 Watched by prisoner, fix barcode labels and enter test reference number on all copies of this form.
- 13 Ask the prisoner to sign and date the Prisoner's Declaration below.
- 14 Complete Chain of Custody Report, tear off and place in chain of custody bag facing outwards.
- 15 Seal bag, ask prisoner to initial bag where indicated.
- 16 Place sealed bag in secure refrigerator until ready for despatch to laboratory.
- 17 Allow prisoner to leave.

16526618

Prisoner Declaration

I confirm that (i) I understand why I was required to provide the sample and what may happen if I fail to comply with this requirement;
(ii) the urine sample I have given was my own and freshly provided;
(iii) the sample was divided into two bottles and sealed in my presence with seals initialled and dated by me;
(iv) the seals used on these bottles carry a barcode identical to the barcode attached to this form.

Signature of prisoner Jeff Att Ho Date 12.10.01

– Pański wyrok zostałby automatycznie przedłużony o dwadzieścia osiem dni.

Podpisuję.

Wychodzę do toalety, gdzie jeden z funkcjonariuszy obserwuje mnie przez szybę. Oddając próbkę, zauważam, że przy umywalce nie ma mydła. Cross wyjaśnia, że mydło dodane do próbki moczu mogłoby zafałszować wynik, a ze względu na fakt, iż następny test wolno wykonać dopiero po dwudziestu ośmiu dniach, do tego czasu można oczyścić organizm ze śladów każdego narkotyku. Trudno kwestionować słuszność tego argumentu. Kiedy wreszcie jestem wolny, dochodzi jedenasta. Wracam do celi i sporządzam notatki na temat mojego doświadczenia z obowiązkowym testem narkotykowym, czując zawód, że nie

mogłem się pożegnać z Alekssem, Robbiem, Lesem i Paulem.

1.00 po południu

W wiadomościach relacje z zamieszek w Pakistanie, doniesienia o węgliku w Nowym Jorku i zrzucaniu paczek z żywnością na niewłaściwe wioski w Afganistanie. Sprawdzam listę zamówienia do kantyny i piszę przez resztę popołudnia.

Dzień 87

Sobota, 13 października 2001

2.00 po południu

Odwiedziny. Z Londynu przyjechał mój syn James z Brooskiem i Nadhimem, naszymi wspólnymi kurdyjskimi przyjaciółmi. Rozmawiamy przede wszystkim o polityce, a Broosk i Nadhim opowiadają, jak im się mieszka w Londynie w warunkach obecnego kryzysu. Nadhim dodaje, że uczestniczył w konferencji Partii Konserwatywnej w Blackpool (jest radnym w Wandsworth), która przywodziła mu na myśl jego pierwszą konferencję w Brighton przed dwudziestu laty, gdy premierem była Margaret Thatcher.

– To ci sami ludzie – mówi. – Tylko starsi o dwadzieścia lat.

– Ciebie nie wyłączając – przypominam mu.

Nadhim jest gorącym zwolennikiem Iaina Duncana Smitha, przyznaje jednak, że jego wystąpienie na konferencji nie było zbyt porywające.

James, nadal zachwycony nową pracą w City, opisuje mi swój typowy dzień. Następnie rozmawiamy o mojej apelacji, która, jak wszystko na to wskazuje, zostanie wyznaczona dopiero po Nowym Roku. Machina prawa pracuje powoli...

Broosk dzieli się ze mną mnóstwem nowin – właśnie udało mu się podpisać dwa duże kontrakty na urządzenie wewnątrz domów w Londynie i Nicei. Poznałem tych młodzieńców – „Fasolowego Kurda” i „Cytrynowego Kurda”, jak ich nazywano – dwanaście lat temu, gdy pomagali mi organizować kampanię Simple Truth, i do dziś pozostajemy w wielkiej przyjaźni.

8.00 wieczorem

Po kilku partyjkach tryktraka z Darrenem i Jimmym wracam do celi i zostaję

zaplombowany na czternaście godzin. Zacząłem namiętnie oglądać *Milionerów*. W tym tygodniu wygrałbym najwyżej 2000 funtów, ponieważ nie znałem nazwiska aktora grającego barmana w serialu *EastEnders*. Potrafiłem jednak odpowiedzieć na pytanie za 4000: „Kto jest obecnym przewodniczącym Partii Konserwatywnej? a) Michael Howard, b) David Davis, c) Iain Duncan Smith, d) Kenneth Clarke”. Ojciec i syn biorący udział w teleturnieju wybrali Davida Davisa. Hm, ciekawe, czy to omen, czy prorocstwo?

Dzień 88

Niedziela, 14 października 2001

11.00 rano

Zostaję wezwany do skrzydła szpitalnego, żeby podpisać formularze potwierdzające, że stan zdrowia pozwala mi odbyć podróż. Kiedy wracam do skrzydła, Darren mówi, że to znak, iż zostanę jutro przeniesiony. Trudno mi w to uwierzyć; naczelnik Carlton-Boyce na pewno by mnie uprzedził. Pytam kilku funkcjonariuszy, ale nikt ich o niczym nie informował, z czego wnoszę, że Darren musi się mylić.

2.30 po południu

Spacer. Podchodzę pod okno celi Shauna, z którym omawiam ilustracje, jakie ma zrobić do dziennika – na wypadek gdyby już jutro mieli mnie zabrać: akwarelę z widokiem całego więzienia, pastel przedstawiający wnętrze celi oraz rysunki Dale’a, Jimmy’ego, Darrena, Julesa, Steve’a i Nigela. Gdybym nagle zniknął, Shaun obiecuje, że gdy tylko zostanie zwolniony, dostarczy wszystko mojemu agentowi.

Dzień 89

Poniedziałek, 15 października 2001

8.15 rano

Pod drzwiami mojej celi zjawia się funkcjonariusz Newson z wiadomością, że przyjechał furgon Grupy 4 i czeka na mnie na dziedzińcu. Są gotowi przetransportować mnie do więzienia North Sea Camp. Newson dziwi się, że nikt mnie nie uprzedził. Pędzę na górę do biura Tinklera, który potwierdza wiadomość i dodaje, że muszę się natychmiast zacząć pakować.

– A jeśli nie zacznę?

– Zgłoszę pana do raportu i pozostanie pan u nas na nieokreślony czas, niekoniecznie w skrzydle dla więźniów o wyższym statusie.

No i mam swoje „specjalne traktowanie”, o którym rozpisuje się prasa.

Staram się pożegnać z jak największą grupą więźniów – Darrenem, Jimmym, Dale’em, Nigelem, Julesem, Bestią i Steve’em. Darren pomaga mi spakować wielką plastikową torbę i zanosi ją do recepcji. Czekają tam na mnie jeszcze trzy plastikowe torby, pełne prezentów, jakie przysłano mi do więzienia – od egzemplarzy Biblii po ściereczki do naczyń.

Dziękuję Darrenowi za pomoc i życzliwość, jakie mi okazał w ciągu dziewięciu tygodni. Uśmiecha się i daje mi ostatnią radę:

– Jak się już zainstalujesz w North Sea Camp, skontaktuj się z Dougiem⁶⁵. Jest salowym w szpitalu i potrafi wszystko załatwić.

Próbuję podziękować Darrenowi, ale żadne słowa nie mogą wyrazić mojej wdzięczności.

Strażnik Grupy 4, który ma mi towarzyszyć w podróży do Lincolnshire, przedstawia się jako Andrew i uprzejmie zanosí dwie torby do furgonu, oszczędzając mi drugiego kursu. Ze zdziwieniem konstatuje, że mam jechać do zakładu otwartego „sauną”, jak gdybym był mordercą czy gwałcicielem. Andrew wyjaśnia, że musi podrzucić innego skazańca do więzienia kategorii C niedaleko Stamfordu.

– Dlaczego przenosicie kogoś z jednego więzienia kategorii C do innego? – dopytuję się.

– Tego więźnia musimy przenosić co kilka dni – tłumaczy Andrew. – Wszystkim wokoło rozpowiada, że popiera Usamę Ibn Ladina, a okazuje się, że nie każdy więzień jest za wolnością słowa. Mamy jednak obowiązek mimo wszystko chronić jego życie.

W drodze do Stamfordu zwolennik Ibn Ladina żąda, aby podkreślić głośność radia. Andrew mówi, że już jest dość głośno, i czuję wobec niego wdzięczność, mając w perspektywie długą drogę przez Norfolk i równiny Lincolnshire.

Z przyjemnością patrzę na wysokie drzewa i zieleń angielskiego krajobrazu, mimo że oglądam go przez przyciemnianą szybę. Przyjeżdżamy do więzienia „Ibn Ladina”, gdzie mój współpasażer wysiada. Zostaje skuty kajdankami i odprowadzony. Udaje mi się go dojrzeć przez moje okienko. Ma na głowie kolorową czapkę, a rysy twarzy skutecznie zasłania mu gęsta czarna broda.

Ruszamy w dalszą drogę i dopiero po godzinie widzę drogowskaz: North Sea Camp, jedna mila. Zaczynam myśleć o tym, że znów wszystko zacznie się od początku. Ogarnia mnie lęk. Belmarsh było piekłem, Wayland czyścem. Czyżbym w końcu wstępował do nieba?

Kiedy furgon zatrzymuje się przed więzieniem, pierwszą rzeczą, jaką zauważam, jest brak murów, drutu kolczastego, okratowanych bram, lamp łukowych, psów. Nie widać nawet żadnego funkcjonariusza. Mimo to wysiadając, odczuwam ten sam strach, który towarzyszył mi pierwszego dnia pobytu w Belmarsh i po przyjeździe do Wayland.

Wkraczam do recepcji, gdzie wita mnie Daff, starszy sierżant sztabowy Królewskiej Piechoty Morskiej (w stanie spoczynku).

– Czekamy na ciebie od miesiący, Archer. Kurwa, czemu to tak długo trwało?

1 Jak już pisałem, każdy więzień zaczyna życie za kratami ze statusem standardowym, potem może awansować lub zostać zdegradowany, co zależy od jego sprawowania. Istnieją trzy stopnie: podstawowy, standardowy i wyższy – a w niektórych zakładach także superwyższy. Wyższy status daje skazańcom specjalne przywileje. Wolno im nosić własne ubranie, spędzają więcej czasu poza celą, przysługują im dwa dodatkowe widzenia w miesiącu oraz 5 funtów tygodniowo doliczanych do rachunku w kantynie. Dlatego warto jak najszybciej uzyskać status wyższy.

2 Przypominam tutaj, że baronessa Nicholson napisała do Scotland Yardu, domagając się dochodzenia w sprawie 57 milionów funtów zebranych na rzecz Kurdów w ramach kampanii Simple Truth, którą zainicjowałem w 1991 roku. W wyniku jej interwencji zamiast do otwartego więzienia kategorii D, jak wcześniej planowano, zostałem przeniesiony z Belmarsh do zamkniętego zakładu kategorii C. Baronessa insynuowała, jakoby Kurdowie nie otrzymali wszystkich pieniędzy, których część rzekomo miała trafić do mojej kieszeni. Kategoria D zostanie mi przywrócona niezwłocznie po zakończeniu dochodzenia. Chyba po raz pierwszy w historii prawa Wielkiej Brytanii uznano kogoś za winnego i skazano, zanim jeszcze przesłuchała go policja.

3 W Wayland są cztery główne bloki: A, B, C i D. Skrzydło przejściowe stanowi część bloku A. Oddzielny blok E, przeznaczony wyłącznie dla skazanych za przestępstwa na tle seksualnym, znajduje się na przeciwległym końcu więzienia, po drugiej stronie wysokiego ogrodzenia z siatki.

4 Jak już pisałem, kiedy więźniowie prosili, aby nie podawać ich prawdziwych imion, uszanowałem ich wolę.

5 Jeżeli ktoś potrzebuje regularnych dostaw jakiegoś towaru, dilerzy w więzieniach wyznaczają swego pełnomocnika za murami, któremu można wysłać czek, pod warunkiem że a) ma się pieniądze i b) ktoś na wolności zechce uczestniczyć w tym procederze. Dziewięćdziesiąt procent takich transakcji dotyczy narkotyków. O tym jednak później.

6 Ze względów higienicznych prawo europejskie zabrania instalowania toalety w celi, zwłaszcza jeśli w tym samym pomieszczeniu więźniowie spożywają posiłki. Brytyjczycy ignorują ten przepis, woląc płacić co roku wysoką karę. Jest kilka innych podobnych praw, które Służba Więzienna bezkarnie ignoruje.

7 Co tydzień można kupić dwie karty telefoniczne po 2 funty, zawierające po dwadzieścia jednostek. Każda karta wystarcza na niespełna dwadzieścia minut rozmowy, muszę się więc ograniczać. Dzielę ów limit między Mary, Jamesa, Williama, Alison (moją asystentkę), mojego adwokata i – jeśli coś zostanie – przyjaciół. Człowiek szybko odacza się gadać o głupstwach.

8 Znany również jako Big Mac.

9 Świateł nie gasi się przez całą noc, żeby żadnemu więźniowi nie przyszedł do głowy pomysł ucieczki.

10 Brooke, będąc w pierwszych dniach wojny na szkoleniu w Betteshanger, pisał do matki, błagając ją, by kupiła dom. Uczyniła to, ale dopiero po jego śmierci na okręcie u wybrzeży Grecji w 1915 roku. Brooke został pochowany na wyspie Skiros.

11 „Naczelnik” to niekoniecznie zwierzchnik wszystkich funkcjonariuszy. W więzieniach jest na ogół od trzech do pięciu naczelników kierujących różnymi oddziałami. Szefa więzienia nazywa się naczelnikiem zarządzającym lub głównym.

12 Tutaj także mówi się o nich „pyskacze okienni”.

13 Pisałem już, że zabrania się posiadania znaczków, ponieważ mogą być wykorzystywane do przemykania narkotyków, ale wolno mieć zaadresowane koperty z naklejonymi znaczkami.

14 Wydana w 2002 roku pod tytułem *Synowie fortuny*.

15 Zgodnie z więziennymi przepisami dostarczenie zanieczyszczonej próbki moczu stanowi wykroczenie, które badający próbkę powinien zgłosić zwierzchnikom.

16 Często się zdarza, że gdy więzień umieszczony w izolatce prosi o spotkanie z członkiem RIW, jego prośbę przekazuje się radzie dopiero po upływie siedemdziesięciu dwóch godzin, kiedy rany i opuchlizny po bójce ze strażnikiem stają się mniej widoczne.

17 Niektórzy podpisują karty ołówkiem, gdyż żaden przepis więzienny tego nie zabrania. Jeśli istnieje jakiś sposób obejścia regulaminu, więzień zawsze go znajdzie.

18 Warunek: Kilka tygodni przed końcem połowy okresu kary więzień rozmawia z członkiem komisji ds. zwolnień warunkowych, której raport może mieć istotny wpływ na decyzję o zwolnieniu.

19 CARAT (Counselling, Assessment, Referral, Advice and Throughcare) – organizacja, której zadanie polega na zapewnieniu pomocy i porady osobom uzależnionym od narkotyków. Pracownicy CARAT-u oceniają stan uzależnionych więźniów, informują ich o niebezpieczeństwach nałogu, a także oferują terapie grupowe lub przekazują więźniów pod opiekę odpowiednich instytucji zajmujących się walką z uzależnieniem (przyp. tłum.).

20 *Mean well* (ang.) – mieć dobre zamiary (przyp. tłum.).

21 Oto kolejny przykład, że według nieoficjalnych szacunków Służby Więziennej narkotyki bierze ponad 70 procent więźniów.

22 Zainteresowanych treścią pytań testu odsyłam ponownie do tomu pierwszego – *Belmarsh: Piekło*.

23 Dowiaduję się później od jednego z funkcjonariuszy, że określenie „Cygan” jest dziś politycznie niepoprawne. Wolą, aby nazywać ich „Romami”.

24 W więzieniu powszechnie przyjętą stawką w prawie wszystkich zakładach jest batonik Mars (30 pensów).

25 Ciemny i słony ekstrakt z drożdży i warzyw mający konsystencję gęstego kremu (przyp. tłum.).

26 Selina Scott sądziła, że laburzyści zdobędą ponad 150 mandatów więcej i jej prognoza okazała się najbliższa prawdy.

27 Sprawcy przestępstw seksualnych, którzy zamiast w bloku E wolą zostać umieszczeni w głównej części więzienia z resztą skazańców, nigdy nie otrzymują pozwolenia na pracę z grupą niepełnosprawnych.

28 Gdy zostanie przedstawiona ostateczna oferta, mój wydawca będzie mógł zaproponować 10 procent więcej i automatycznie otrzyma prawa.

29 Sergio nie jest jego prawdziwym imieniem.

30 Określenie „dodatkowa runda” może być niezrozumiałe, ale musiałbym poświęcić cały rozdział na wyjaśnienia. W każdym razie zaręczam, że to nic dobrego.

31 Teoretycznie przepis ten ma zapobiec przenoszeniu narkotyków między blokami, lecz nie wiem, po co go właściwie wprowadzono, skoro każdy więzień doskonale wie, pod które okno ma iść, jeżeli chce dostać działkę. Oglądając obrazy Shauna przez trzecie okno od lewej w bloku C, zauważam przed sąsiednim oknem grupkę więźniów ustawionych w kolejce po narkotyki.

32 Z więzienia kategorii D nie można uciec, tylko się oddalić; prasa nagminnie popełnia ten błąd – ponieważ słowo „ucieczka” lepiej wygląda w nagłówkach.

33 Najbardziej pomysłowy sposób palenia heroiny, o jakim słyszałem, polega na tym, że paczkę po papierosach Benson & Hedges zanurza się w wodzie, a potem oddziela folię od tekturki.

34 Najwięcej samobójstw wśród więźniów zdarza się w początkowym okresie odsiadki kary lub niedługo po wyjściu na wolność. Martin Narey, dyrektor generalny (dziś komisarz służb więziennictwa) w rozmowach z prasą często twierdzi, że bardzo go martwi liczba samobójstw popełnianych w więzieniach – która, nawiasem mówiąc, rośnie z roku na rok w ciągu ostatniej dekady. Nie mówi jednak, ile samobójstw zdarza się w ciągu roku od wyjścia na wolność, co daje znacznie gorsze świadectwo programowi resocjalizacji realizowanemu przez Służbę Więzienną.

35 Zasiadaliśmy razem w Izbie Lordów i Michael wniósł ogromny wkład w wiele poruszanych tam spraw.

36 Większość funkcjonariuszy dysponuje własnymi informatorami, lecz nie zdradza ich tożsamości nikomu, nawet innym funkcjonariuszom.

37 Wielu więźniów prosi o przeniesienie do „bloku bez narkotyków” nie dlatego, że chcą zerwać z nałogiem, ale dlatego że dzięki temu mają większe szanse na wcześniejsze zwolnienie warunkowe.

38 Lord's Taverners – klub i organizacja charytatywna wspierająca młodzieżowe drużyny krykieta oraz instytucje pomagające niepełnosprawnym (przyp. tłum.).

39 Kiedy wsunie się nakrętkę od butelki soku Robinsona do otworu, gdzie wchodzi zasuwka, można wyjść z celi i przymknąć drzwi, które wyglądają na zamknięte. Po powrocie wystarczy je pociągnąć, bez konieczności niepokojenia oddziałowego. Funkcjonariusze przymykają oko na ten fortel – z oczywistych powodów.

40 Drut kolczasty na murach to kolejny przykład łamania prawa europejskiego przez Służbę Więzienną, która woli co roku płacić słone kary.

41 Według jej słów prawdopodobieństwo wynosi 1 do 2 do potęgi 14, czyli 1 do 16 384.

42 Obchód polega na tym, że dyżurny strażnik sprawdza, czy więzień jest w celi.

43 Zauważyłem, że tak nazywają go teraz zwolennicy. Przypuszczam, że chcą zrobić wszystko, aby nowy przywódca torysów nie miał dwuczłonowego nazwiska.

44 Dozór kuratorski może odmówić założenia lokalizatora z następujących powodów: a) ponownego popełnienia przestępstwa po uprzednim wyjściu za kaucję; b) niestawienia się w sądzie; c) podania niewłaściwego adresu.

45 Nikt z personelu więziennego nigdy nie zawiadomił ani mnie, ani żadnego z moich adwokatów o rezultatach wewnętrznego dochodzenia.

46 Często zwalnia się więźnia wcześniej, zaliczając mu na poczet kary dni spędzone w areszcie policyjnym.

47 P.G. Wodehouse spędził pewien czas w niemieckim więzieniu podczas drugiej wojny światowej. Później został oskarżony przez prasę brytyjską o „kolaborację z Niemcami” i spędził resztę życia w Ameryce, uważając się za wygnańca.

48 Ostatecznie karta więźnia została wykorzystana na odwrocie angielskiego wydania tomu pierwszego – *Belmarsh: Piekło*.

49 Został zwolniony w październiku 2002 roku.

50 Pisząc te słowa, nie miałem pojęcia, jak straszne wydarzenia przyniesie następny dzień.

51 Szef służb prasowych Downing Street, który podał się do dymisji w 2003 roku po raporcie BBC zarzucającym rządowi, że wyolbrzymił informacje wywiadu o broni masowego rażenia w Iraku (przyp. tłum.).

52 Formularz RC1 (formularz przeklasyfikowania dorosłego więźnia) noszący datę 31 lipca 2001 roku precyzował przyczynę zmiany kategorii jako „Wszczęcie przez policję dochodzenia na podstawie zarzutów sprzeniewierzenia pieniędzy z Funduszu na rzecz Uchodźców Kurdyjskich, na wniosek starszego inspektora z grupy doradczej Komendy Głównej Policji”.

53 Więzień skazany na mniej niż cztery lata zostaje automatycznie zwolniony po odsiedzeniu połowy kary i na cztery i pół miesiąca zakładają mu elektroniczny lokalizator. Tak więc więzień, któremu zasądzono trzy i pół roku, odsiaduje dwadzieścia jeden miesięcy, z czego przez cztery i pół nosi lokalizator. Z więzienia wychodzi po szesnastu i pół miesiąca. W przypadku wyroku czteroletniego i dłuższego trzeba spędzić za kratami co najmniej połowę wyroku bez możliwości uzyskania zgody na lokalizator. Dlatego sędziowie często wydają wyroki trzech lat i dziewięciu miesięcy pozbawienia wolności. Gdyby sędzia Potts skazał mnie na trzy lata i dziewięć miesięcy, wyszedłbym pół roku wcześniej bez konieczności przestrzegania surowych przepisów zwolnienia warunkowego.

54 Obecnie pracuje na budowie w Ipswich.

55 Na wolności zaczął pracować jako dostawca nowego barona

narkotykowego w bloku A.

56 Znacznie później, korzystając z obywatelskiego prawa do informacji, przysługującego mi na podstawie Ustawy o ochronie danych, dowiedziałem się od policji stołecznej, że śledztwo zostało umorzone z powodu „nieprzedstawienia dowodów przez informatora” (czyli Emmę Nicholson). W listopadzie policja i Czerwony Krzyż wydały wspólny komunikat prasowy, w którym oświadczyły, że: „nie ujawniono żadnych dowodów mających związek z zarzutami”.

57 Akt IV, scena I, przekład Leona Ulricha (przyp. tłum.).

58 Wszystkim więźniom przysługuje prawo wyboru więzienia, do jakiego chcieliby zostać przeniesieni. Zwykle jest to zakład znajdujący się najbliżej domu.

59 Musiałbym odsiedzieć jedną czwartą wyroku i mieć w związku z tym prawo do podjęcia pracy poza więzieniem.

60 Akt IV, scena druga, przekład Leona Ulricha (przyp. tłum.).

61 Tytuł popularnego serialu kryminalnego emitowanego przez BBC w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych (przyp. tłum.).

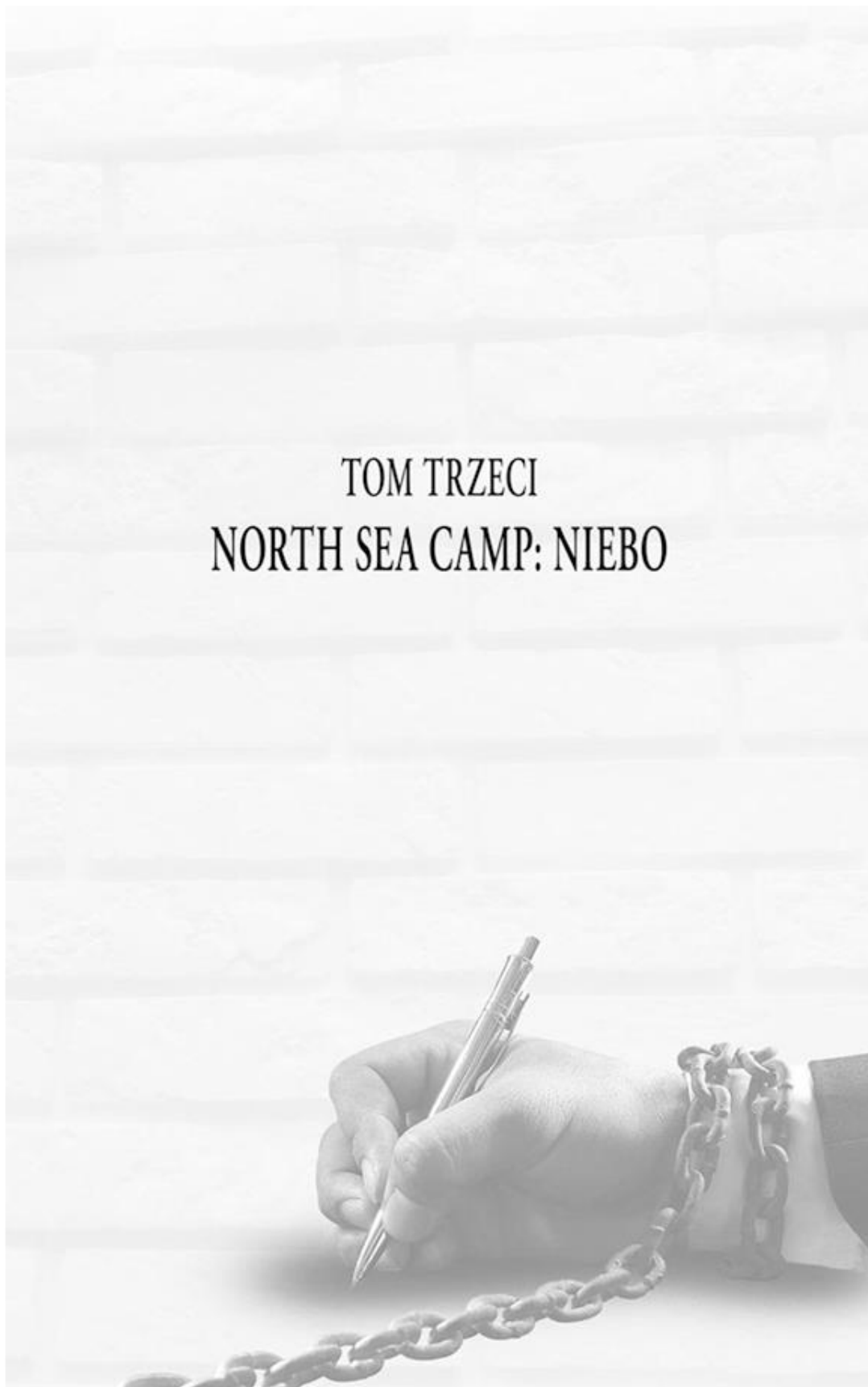
62 Brytyjski odpowiednik naszego programu 997 oparty na rekonstrukcji przestępstw (przyp. tłum.).

63 Donica roztrzaskała się w piecu. Taki to już był rok.

64 Według danych statystycznych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na wrzesień 2001 roku.

65 Rada okazała się niezwykle cenna, ponieważ w North Sea Camp przejąłem po Dougu obowiązki salowego.

TOM TRZECI
NORTH SEA CAMP: NIEBO



Dzień 89

Poniedziałek, 15 października 2001

2.30 po południu

Drogowskaz oznajmia: „North Sea Camp, 1 mila”. Kiedy zbliżamy się do więzienia, uderza mnie brak elektronicznie sterowanych bram, wysokiego muru i drutów kolczastych.

Wychodzę z „sauny” i wędruję do rejestracji, gdzie mnie wita funkcjonariusz więzienny. Nazywa się Daff. Ma miły uśmiech i żołnierską postawę. Zapowiada, że po Wayland będę się tutaj czuł jak u Butlinsa.

– Zresztą – dodaje – kawałek stąd, w Skegness, jest dom wypoczynkowy Butlinsa. Tyle że otoczony murem.

Tutaj, tłumaczy Daff, zamiast muru są apele – o 7.30 i 11.45 rano, o 3.30 po południu oraz o 8.15 i 10.00 wieczorem. Wtedy będę się musiał zgłaszać do biura w swojej części skrzydła – to całkiem nowy reżim, do którego trzeba przywyknąć.

Podczas gdy Daff załatwia papierkową robotę, ja rozpakowuję plastikowe torby Więzienia Jej Królewskiej Mości. Daff rzuca, że wolno nosić tylko ubiór więzienny, więc wszystkie koszulki trykotowe zostają mi zabrane i umieszczone w szafce z napisem ARCHER FF8282.

Dean, więzień funkcyjny, mi pomaga. Kiedy cały mój dobytek zostaje sprawdzony, Dean prowadzi mnie do mojego pokoju – proszę, zauważcie: do pokoju, nie do celi. W North Sea Camp więźniowie mają własne klucze, a w oknach nie ma krat. Oby tak dalej.

Jednak znów nie będę sam. Moim współlokatorem jest David. Nie przycisza muzyki, kiedy wchodzę, i ani na moment nie wyjmuję skręta z ust. Kiedy ściele sobie łóżko, mówi mi, że został skazany na dożywocie, przy czym początkowo okres minimalny odbywania kary wyznaczono mu na piętnaście lat. Do tej pory odsiedział dwadzieścia jeden, gdyż wciąż, chociaż przebywa w więzieniu kategorii D, uważa się go za zagrożenie dla społeczeństwa. Jego głównym przestępstwem było morderstwo – rzucił się na kelnera, który poządlawie wpatrywał się w jego żonę.

4.00 po południu

Dean (pracownik rejestracji) informuje mnie, że Berlyn, jeden z naczelników, chce się ze mną zobaczyć. Idziemy do baraku naczelnika, gdzie znowu zostaję powitany ciepłym uśmiechem. Po wstępnej pogawędce Berlyn oznajmia, że zamierza mnie umieścić w dziale edukacji. Następnie mówi o problemach wynikających stąd, że North Sea Camp jest więzieniem otwartym, i o tym, w jaki sposób administracja ma nadzieję radzić sobie z dziennikarzami. Kończy zapewnieniem, że gdybym potrzebował pomocy, jego drzwi zawsze są otwarte dla każdego więźnia.

5.00 po południu

Dean zabiera mnie na kolację do kantyny. Potrawy wyglądają o wiele lepiej niż w Wayland i są podawane i spożywane w głównej sali, niczym w szkole z internatem.

6.00 wieczorem

Piszę przez dwie godziny i czuję się wyczerpany. Potem wędruję do Douga, do szpitala. Wydaje się, że on zna wszystkie najnowsze plotki. Będzie dla mnie nieocenionym źródłem informacji. Siedzimy na wygodnych krzesłach i oglądamy wieczorne wiadomości. Dean dołącza do nas parę minut później, mimo że tylko godziny dzieli go od zwolnienia. Mówi, że moje rzeczy zostały już uprane i są w moim pokoju.

8.15 wieczorem

Wracam do bloku północnego i zgłaszam się na apel do dyżurnego strażnika. Hughes ma czapkę z daszkiem, w której przypomina mi Mackaya z serialu *Odsiadka*, i to porównanie go cieszy. Robi wrażenie gburowatego sierżanta sztabowego, ale już po chwili odkrywam, że jest do rany przyłoż. Więźniowie lubią go i podziwiają; jeżeli obieca, że coś zrobi, to dotrzyma słowa, jeżeli nie może, to powie.

Wracam do mojego pokoju i zmuszam się do pisania przez następną godzinę, mimo dymu papierosowego i głośniejszy muzyki.

10.00 wieczorem

Ostatni apel. Piętnaście minut później jestem w łóżku i zasypiam, nie bacząc na dym papierosowy i muzykę Davida.

Dzień 90

Wtorek, 16 października 2001

5.30 rano

Owczarki alzackie budziły mnie w Belmarsh, w Wayland zwykle pobrzękujący kluczami strażnicy więzienni podczas obchodów o świcie, a tu, w North Sea Camp, odległym zaledwie o sto jardów od wybrzeża, wrywa mnie ze snu nieustanny krzyk mew. Później, znacznie później, daje się słyszeć stłumione chrząkanie świń, gdyż najlicniejszą grupą mieszkańców North Sea Camp są śwynie, zajmujące 900-akrowe gospodarstwo więzienne. Osłaniam lampę nad głową czarnymi bokserkami, żeby nie obudzić Davida, kiedy będę pisał. Nawet się nie poruszył. O wpół do ósmej idę do łazienki z prysznicami na końcu korytarza.

8.00 rano

Dean towarzyszy mi w drodze na śniadanie; owsianka od poniedziałku do piątku, płatki zbożowe podczas weekendów, tłumaczy. Zadawałam się jajkiem ugotowanym na bardzo twardo i dwoma przypalonymi tostami.

8.30 rano

Adaptacja. W pierwszym tygodniu w North Sea Camp więzień się dowiaduje, jak funkcjonuje to miejsce, personel więzienny natomiast próbuje się dowiedzieć jak najwięcej o przybyszu. Pierwszą osobą, z którą się spotykam, jest doktor Walling, lekarz więzienny, który zadaje mi zwyczajowe pytania o narkotyki, palenie, picie, choroby i uczulenia. Po dwudziestu minutach opukiwania, głębokich wdechów, ważenia, badania moich oczu, uszu, zębów i serca doktor Walling udziela mi tylko jednej rady: żebym się zbytnio nie forsował na sali gimnastycznej.

– Proszę nie zapominać, że ma pan sześćdziesiąt jeden lat.

Kiedy wychodzę z gabinetu lekarskiego, Doug, tutejszy sanitariusz i przyjaciel Darrena (Wayland, tylko marihuana), przywołuje mnie skinieniem na oddział prywatny. Doug ma sześć stóp wzrostu, waży około szesnastu kamieni, ma gęstą czuprynę, która zaczyna siwieć, i na oko zbliża się do pięćdziesiątki. Na oddziale znajduje się osiem łóżek; jedno należy do Douga, gdyż ktoś musi tu być w nocy, na wypadek gdyby jakiś więzień nagle zachorował. Ale cóż to za posada!

Doug ma nie tylko pokój wielkości apartamentu, ale również własny telewizor i łazienkę. Mówi, że siedzi za niepłacenie podatków, ale nie podaje żadnych szczegółów. Zamyka drzwi do swojego królestwa i potwierdza, że funkcja sanitariusza to najlepsze zajęcie w więzieniu. Jednak zapewnia mnie, że drugie w kolejności stanowisko w North Sea Camp to praca w SMU¹. Doug szepce, że zwolni się tam stanowisko za cztery tygodnie, kiedy pełniący je Matthew wyjdzie na wolność. Wyższy funkcjonariusz więzienny nazwiskiem New – odpowiednik Tinklera w Wayland – podejmie ostateczną decyzję, ale Doug mnie zaproteguje.

– W każdym razie – dodaje – unikaj pracy na farmie. Zima blisko, i jeśli nie wykończy cię jedzenie, to załatwi cię farma. – Gdy odchodzę, rzuca: – Wpadnij wieczorem na drinka. – Ma na myśli herbatę albo kawę. – Wolno mi przyjmować dwójkę gości między siódmą i dziesiątą, będziesz mile widziany.

Dziękuję mu, a w duchu mojemu dawnemu opiekunowi Darrenowi. To, kogo się zna, jest tak samo ważne w pudle, jak na wolności.

10.30 rano

Moje następne „wprowadzające” spotkanie ma służyć podjęciu decyzji, jaką pracę będę wykonywał podczas pobytu w North Sea Camp.

Udaję się do wydziału zarządzania wyrokami, mieszczącego się w budynku, w którym przedtem była siedziba naczelnika, usytuowanym tuż przy bramie frontowej. Dróżkę wiodącą do wejścia zdobią grządki przywiedłych czerwonych kwiatów. Jasnoniebieskim drzwiom przydałaby się świeża farba – wyglądają, jakby otwierano je kopniakami.

Pierwsze pomieszczenie, do którego wchodzę, przypomina oszkloną werandę. Jest tam kilkanaście drewnianych krzeseł i tablica z przyszpilonymi kartkami. Czterej funkcjonariusze, w tym Gough, który wygląda jak dyrektor prywatnej szkoły, zajmują pierwszy pokój na parterze. Gough, który stawia znaczek przy moim nazwisku, oznajmia z wyraźnym akcentem z Norfolku, że będzie rozmawiał z wszystkimi nowicjuszami, gdy tylko przejdą badanie lekarskie. Jednak doktor Walling trzyma każdego nowego więźnia piętnaście minut, więc może to trwać dość długo. Czekając niecierpliwie na „werandzie”, zaczynam zauważać, jak jest brudno. W Wayland podłogi lśniły od codziennego froterowania, a jeżeli stałeś nieruchomo przez kilka chwil, ktoś mógł cię z rozpędu pomalować.

W końcu zjawiają się wszyscy nowicjusze; jest ich siedmiu. Gough wygłasza kilka słów powitania i na początek mówi, że ponieważ większość więźniów przebywa w North Sea Camp mniej niż trzy miesiące, tutejsi funkcjonariusze starają się, żebyśmy spędzali czas w możliwie cywilizowany sposób, aby nas przygotować do powrotu na wolność. Gough tłumaczy, że z North Sea Camp każdy się może oddalić. Jest to bardzo łatwe, gdyż nie trzeba forsować żadnych murów.

– Ale jeżeli zdecydujecie się nas opuścić, pamiętajcie, żeby zostawić klucz od pokoju na poduszce. – Gough wcale nie żartuje.

Opowiada nam o młodym człowieku, który samowolnie się oddalił szesnaście godzin przed zwolnieniem. Nazajutrz został schwytany w Bostonie i przeniesiony do więzienia kategorii C, gdzie spędził następnych sześć tygodni. Zrozumieliśmy.

Gough wymienia stanowiska pracy dostępne dla wszystkich więźniów poniżej sześćdziesiątki, przy czym podkreśla, że ponad połowa więźniów jest zatrudniona na farmie. Pozostali mogą się zgłosić na zajęcia edukacyjne bądź podjąć pracę w kuchni, przy malowaniu, w ogrodnictwie albo przy sprzątanii.

Na koniec Gough powiada, że wszyscy powinniśmy się podporządkować „polityce zakazu wszelkich narkotyków”. Jeżeli ktoś odmówi podpisania trzech dokumentów stwierdzających, że nie używa narkotyków i że w każdej chwili podda się dobrowolnemu testowi narkotykowemu, to przez osiem tygodni nie otrzyma wyższego statusu. Taki awans oznacza, że więzień może wydać tygodniowo pięć funtów więcej w kantynie i otrzyma kilka innych przywilejów. Zapytany, Gough odpowiada:

– Nie zezwala się na noszenie w więzieniu otwartym własnych ubrań, gdyż bardzo ułatwiałoby to oddalenie się poza jego teren.

Zauważyłem jednak, że Doug (niepłacenie podatków) nosi zieloną koszulkę trykotową i brązowe spodnie, podtrzymywane przez nader ekstrawaganckie szelki w stylu Walta Disneya. Zawsze jest ktoś, kto potrafi obejść zakazy.

Chętnie podpisuję wszystkie formularze dotyczące narkotyków, po czym idę na piętro na rozmowę z innym funkcjonariuszem. Donnelly nie tylko wygląda jak farmer, ale ma na sobie zielony kombinezon i zabłocone wellingtony. Nic dziwnego, że panuje tu taki brud. Ma ochotę, żebym pracował u niego na farmie, ale tłumaczę mu (za radą Douga), że chcę się starać o stanowisko Matthew w wydziale zarządzania wyrokami. Coś notuje i z dezaprobatą marszczy brwi.

12.00 w południe

Po dziesięciu tygodniach zamknięcia w Wayland, gdzie zawsze nakładano mi jedzenie na talerz, nie mogę się przyzwyczaić do nabierania go samemu. Jeden z kucharzy się śmieje, kiedy podaję talerz i czekam, aż zostanę obsłużony.

– To wyraźny znak, żeś dopiero co przybył z więzienia zamkniętego – zauważa. – Witaj w realnym świecie, Jeff.

Po lunchu Dean zabiera mnie, żeby mi pokazać znajdujący się na drugim końcu więzienia bardziej odosobniony, spokojniejszy blok południowy, gdzie pomieszczono starszych więźniów². Panuje tam całkiem inna atmosfera.

Dean pokazuje mi pusty pokój, duży jak na normalne standardy, długi na

dwadzieścia i szeroki na sześć stóp, z oknem wychodzącym na ponure Morze Północne. Wyjaśnia, że cała ta część jest w trakcie remontu i ma być otwarta w poniedziałek. W celach zostanie założona instalacja elektryczna i wszystkie będą wyposażone w odbiorniki telewizyjne. W drodze powrotnej do bloku północnego dowiaduję się, że pilnie mnie wzywa przełożony funkcjonariuszy, New. Denerwuję się. Czy zrobiłem coś złego? Czy zostanę odesłany z powrotem do Wayland?

New dobiega pięćdziesiątki, ma około pięciu stóp i jedenastu cali wzrostu i bujną siwą czuprynę. Wita mnie ciepłym uśmiechem.

– Słyszałem, że chce pan pracować w SMU? – pyta i zanim odpowiem, dodaje: – Już pan ma tę pracę. Ponieważ Matthew wychodzi stąd za cztery tygodnie, niech pan zaczyna od razu, żeby przekazanie obowiązków poszło gładko. – Ledwo wybąkałem słowa podziękowania, New ciągnie dalej: – Słyszałem, że chce się pan przenieść do bloku południowego, co z pewnością będzie możliwe, lecz również powiedziano mi, że pragnie pan znaleźć się w Spring Hill; to nie będzie takie proste, bo oni nie chcą pana i otaczającego pana rozgłosu. – Upadam na duchu. – Jeśli jednak – dodaje, nim zdążyłem się odezwać – panu na tym zależy, to pomówię z moją odpowiedniczką w Spring Hill i zobaczę, czy będzie mogła pomóc.

New kończy swoją przemowę i schodzimy na dół do Matthew, obecnego pracownika biura SMU. Matthew jest nieśmiałym młodym człowiekiem i ma w sobie coś z roztargnionego naukowca. Nie wyobrażam sobie, co on może robić w więzieniu. Chociaż New przez prawie cały czas mówi, Matthew udaje się powiedzieć mi, jakie są jego obowiązki, poczynawszy od robienia herbaty i kawy dla jedenastu mieszkańców budynku, kończąc na przygotowaniu akt dla każdego nowego więźnia. Jutro Matthew wychodzi na przepustkę do miasta, więc od razu zostaną wrzucony na głęboką wodę.

4.45 po południu

Dean chwyta moją torbę z praniem i towarzyszy mi w drodze na kolację, wyjaśniając, że więźniowie funkcyjni cieszą się przywilejem spożywania posiłku w samotności, pół godziny wcześniej niż inni więźniowie.

– Możesz nałożyć sobie jedzenie pierwszy – dodaje – a ponieważ jest nas kilkunastu (ze szpitala, magazynów, rejestracji, biblioteki, sali gimnastycznej, oddziału edukacji, kaplicy i ogrodu), to prawdziwy przywilej.

To wszystko, i to w ciągu dwudziestu czterech godzin, nie przysporzy mi popularności.

Dzień 91

Środa, 17 października 2001

5.30 rano

Budzę się kilka minut po piątej i idę się wysikać w latrynie na końcu korytarza. Czy zauważyliście, że jeśli jesteście zdezorientowani albo przestraszeni, to przez pewien czas nie odwiedzacie toalety? Pewno istnieje jakieś proste medyczne wytłumaczenie tego zjawiska. Nie wypróżniałem się – by użyć określenia lekarzy – przez pięć pierwszych dni w Belmarsh, przez trzy dni w Wayland i na razie w North Sea Camp.

8.00 rano

Zjawia się Dean i zabiera mnie na śniadanie. W przyszłości mogę się nie fatygować, bo nie jem owsianki, a nie warto zadawać sobie trudu dla dwóch przypalonych tostów. Dean mnie ostrzega, że w okolicy roi się od dziennikarzy i że za moje zdjęcie w więziennym ubiorze oferowane są duże sumy. Jeżeli mi pstrykną fotki, czytelnicy rozczarują się, zobaczywszy mnie w trykotowej koszulce i dżinsach. Żadnych strzałek, numeru czy żelaznej kuli u nogi.

8.45 rano

W rejestracji pytam Daffa, czy mógłbym dostać czystą koszulkę, gdyż po południu odwiedzi mnie żona.

– Co ty sobie, Archer, wyobrażasz? Że to jakiś pieprzony Harrods?

9.00 rano

Jako nowy więzień kontynuuję program wprowadzający. Dziś rano pierwsze spotkanie mam na sali gimnastycznej. Gromadzimy się wszyscy w małym pawilonie i oglądamy dziesięciominutowy czarno-biały film na wideo na temat bezpieczeństwa pracy. Instruktor skupia się na podnoszeniu ciężarów, ponieważ w North Sea Camp jest kilka prac wymagających podnoszenia ciężkich ładunków, nie mówiąc o tym, że liczni więźniowie będą wyciskać ciężary na sali gimnastycznej. Następnie Masters, wyższy rangą funkcjonariusz i instruktor sportowy, który jest w North Sea Camp dziewiętnaście lat, pokazuje nam salę gimnastyczną i jej urządzenia. Nie jest tak duża i tak dobrze wyposażona jak w Wayland, ale ma trzy ważne urządzenia, które pozwolą mi zachować w dobrym

stanie układ sercowo-naczyniowy – ergometr wioślarski, stacjonarną bieżnię i rower. Sala gimnastyczna jest wystarczająco duża, żeby grać w koszykówkę, natomiast salka z urządzeniami do podnoszenia ciężarów mniej więcej o połowę mniejsza niż w Wayland. Sala gimnastyczna jest otwarta codziennie wieczorem – z wyjątkiem poniedziałków – od 5.30 do 7.30, więc człowiek nie musi (chrum, chrum – świnki jedzą śniadanie) wykonywać swojego programu o ustalonej godzinie. Mam nadzieję, że zacznę ćwiczyć w najbliższy weekend, bo do tej pory powinienem się już rozejrzeć (chrum, chrum). Najbardziej popularnym sportem jest badminton i chociaż w North Sea Camp jest drużyna piłkarska, to ostatnio wstęp na boisko utrudnia pryszczycy (chrum, chrum).

9.30 rano

Zajęcia edukacyjne. Spotykamy się wszyscy w kaplicy. Instruktorka przedstawia nam różne możliwości do wyboru. Większość nowych więźniów siedzi z ponurymi minami i tępo na nią spoziera. Ponieważ przydzielono mi już pracę w wydziale zarządzania wyrokami, słucham w pełnym szacunku milczeniu, i kiedy instruktorka kończy swój wywód, wracam do pracy.

10.30 rano

Matthew jest dziś nieobecny, bo ma wizytę w mieście, ale szybko odkrywam, jakie są tu trzy główne obowiązki:

a) Przygotowywanie herbaty i kawy dla jedenastu osób personelu stale pracujących w tym budynku oraz dla gości, którzy je odwiedzają.

b) Zakładanie teczek nowo przybyłych więźniów, tak aby funkcjonariusze mieli wszystkie ich dane pod ręką: formalnie możliwy termin zwolnienia warunkowego, adres domowy, czy będą mieli dom albo pracę, czy posiadają własne pieniądze, czy rodzina przyjmie ich z powrotem.

c) Przygotowywanie formularzy na okazje wizyt, wyjść na przepustkę jednodniową, tygodniową, pracy na zewnątrz oraz urlopów okolicznościowych i zwolnień lekarskich.

Do moich obowiązków będzie także należało dopilnowanie, żeby każdy więzień został skierowany do odpowiedniego funkcjonariusza, stosownie do potrzeb. Simpson, mieszkający na miejscu kurator sądowy, mówi mi:

– Przyjmę każdego, jeżeli będę wolny, jeżeli nie – proszę im proponować, żeby umówili się na spotkanie.

To mu pozwala zająć się więźniami, którzy mają prawdziwe problemy, i uniknąć tych, którzy przychodzą ze skargami co drugi dzień.

11.45 rano

Idę na lunch z innymi funkcyjnymi. Wendy, szefowa kuchni, mówi mi, że North Sea Camp uzyskał pochwałę za najlepsze jedzenie w więzieniach.

– Powinieneś – powiada – spróbować jeść mięso i zarzucić wegetarianizm.

Wendy to jakby Margaret Thatcher w wydaniu kieszonkowym. Jej kuchnia jest nieskazitelnie czysta, a pracownicy krzątają się w idealnie białych kombinezonach i widać, że darzą ją szacunkiem. Obiecuję, że spróbuję mięsa za dwa tygodnie, kiedy wypełnię następny kupon zamówienia na posiłki. (Zobacz poniżej).

HM PRISON NORTH SEA CAMP						
Week 2	Lunch Menu	Choice		Week 2	Dinner Menu	Choice
SUN.	1. Chicken Portions 2. Roast Pork & Stuffing 3. Mushroom Pasta 4. Stuffed Pepper	1		SUN.	1. Fish Fingers 2. Beefburger 3. Vegburger 4. Egg Mayonnaise Sandwich	3
		Choice				Choice
MON.	1. Sausage Rolls 2. Fish Grills 3. Vegetable Rolls 4. Onion Bhajies	2		MON.	1. Pork Curry & Rice 2. Chicken & Sweetcorn Pie 3. Veg Curry & Rice 4. Veg Pie	1
		Choice				Choice
TUES.	1. Braised Sausage 2. Cheese & Tomato Pizza 3. Braised Veg Sausage 4. Pichard Sandwich	2		TUES.	1. Beef Lasagne 2. Fish Fillets & Parsley Sauce 3. Vegetable Lasagne 4. Vegetable Pie	2
		Choice				Choice
WED.	1. Fish Fingers 2. Cheese & Onion Pie 3. Faggots in Gravy 4. 4-Pack Cheese Sandwich	2		WED.	1. Ham & Egg 2. Kidney Casserole 3. Stir Fried Rice 4. Vegetable Pie	1
		Choice				Choice
THURS.	1. Quiche Lorraine 2. Cheeseburger 3. Vegetarian Quiche 4. Veg Cheeseburger	3		THURS.	1. Chicken Meatballs in Tomato Sauce 2. Cottage Pie 3. Veg Meatballs in Tomato Sauce 4. Vegetarian Soya Pie	2
		Choice				Choice
FRI.	1. Shepherd's Pie 2. Chicken Culetts 3. Veg Pie 4. Onion Bhajies	4		FRI.	1. Liver, Sausage & Onions 2. Chicken Fricassée & Rice 3. Potato & Lentil Bake 4. Veg Fricassée & Rice	3
		Choice				Choice
SAT.	1. Pork Hotpot 2. Meat & Potato Pie 3. Veg Hotpot 4. Veg Pie	1		SAT.	1. Cornish Pasties 2. Welsh Rarebit 3. Vegetarian Pasty 4. Vegburger	3
		Choice				Choice
<p>You are responsible for returning your choices by Monday. Please hand to any staff on duty in the Kitchen. Print your name and number and sign the form. Failure to do so will result in you automatically being given a vegetarian meal. The Kitchen will endeavour to keep all meals as laid down on the menu. If, for any reason, the meal indicated cannot be issued, a replacement meal will be substituted. (H – Healthy Eating Option. * - Suitable for Muslims)</p>						
NAME: ARCHER		NUMBER: FF8282		SIGNATURE: Jeffrey Archer		

2.00 po południu

Teraz, gdy jestem w więzieniu kategorii D, zezwalają mi na jedne odwiedziny w tygodniu. Kiedy odsiedzę jedną trzecią wyroku, otrzymam jeszcze inne przywileje. Bóg wie, jak prasa przedstawi moją pierwszą wizytę w mieście. Jednak wszystko może się nagle zmienić po rozpatrzeniu mojego odwołania. Więzień skazany na cztery lub więcej lat może się ubiegać tylko o zwolnienie

warunkowe, natomiast wyrok krótszy niż cztery lata oznacza, że skazany zostanie automatycznie zwolniony po odsiedzeniu połowy kary, a jeżeli był wzorowym więźniem, zyska kolejne dwa miesiące, kiedy mu założą lokalizator³.

Wracam do dzisiejszych odwiedzin. Dwaj starzy przyjaciele David Paterson i Tony Bloom towarzyszą Mary.

Cała trójka zjawia się z dwudziestominutowym opóźnieniem, co tylko świadczy o tym, jakim koszmarem musi być 250-milowa podróż z Londynu do North Sea Camp i z powrotem. Ja i Mary mamy pół godziny dla siebie. Mary mówi, że moi adwokaci zwrócili się do radcy królewskiego sir Sydneya Kentridge'a, żeby złożył apelację, jeżeli się okaże, że sędzia Potts był do mnie uprzedzony, zanim rozpoczął się proces. Świadek, który mógłby zeznawać, Godfrey Barker, nie kwapi się do tego. Boi się, że żona, która jest zatrudniona w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, mogłaby stracić pracę. Mary uważa, że on robi to, co słuszne. Ja zaś czuję, że będzie się wahał i się nie zdecyduje. Mary jest optymistką, ja pesymistą. Zwykle jest na odwrót.

W trakcie odwiedzin zarówno naczelnik Berlyn, jak i przełożony funkcjonariuszy New krążą wokół i gawędzą z rodzinami więźniów. Co za odmiana w porównaniu z Wayland! New mówi nam, że North Sea Camp okrzyknięto teraz „najbardziej komfortowym więzieniem w Anglii” („Sun”), co, jak ma nadzieję, wpłynie na podniesienie poziomu pensjonariuszy w przyszłości; „z najlepszym wyżywieniem” („Daily Star”); ja mam „największy pokój w najspokojniejszym bloku” („Daily Mail”) i tylko mnie jednemu „pozwała się chodzić we własnym ubraniu” („Daily Mirror”). Ani jeden fakt nie jest prawdziwy.

Półtorej godziny mija zbyt szybko, ale przynajmniej teraz co tydzień mogę mieć gości. Ciekawe tylko, ilu moich przyjaciół zechce podjąć trud siedmiogodzinnej podróży, żeby spędzić ze mną raptem półtorej godziny.

5.00 po południu

Kantyna. W Wayland człowiek wypełniał formularz zamówienia, a potem dostarczano mu produkty do celi. W North Sea Camp jest mały sklep, który pozwalają więźniowi odwiedzić dwa razy w tygodniu między 5.30 a 7.30 wieczorem; można tam kupić, czego się potrzebuje – żyletki, pastę do zębów, czekoladę, wodę mineralną, sok z czarnej porzeczki i, co najważniejsze, karty telefoniczne. Ja muszę też mieć piankę do golenia, ponieważ wciąż codziennie się golę.

Co to za różnica znaleźć się w więzieniu kategorii D!

6.00 wieczorem

Idę do kuchni na kolację i dosiadam się do dwóch więźniów w głębi sali. Wybieram ich ze względu na wiek. Okazuje się, że jeden z nich jest księgowym, drugi emerytowanym agentem ubezpieczeniowym. Nie rozmawiają o przestępstwach, jakie popełnili. Mówią mi, że już nie pracują w więzieniu, ale codziennie jeżdżą do Bostonu i muszą wrócić przed piątą po południu. Pracują w lokalnym sklepie Czerwonego Krzyża i zarabiają 13 funtów i 50 pensów tygodniowo, co wpływa na ich konto w kantynie. Niektórzy więźniowie mogą zarobić nawet 200 funtów tygodniowo, dzięki czemu są w stanie zaoszczędzić znaczną kwotę do czasu, kiedy zostaną zwolnieni. To o wiele sensowniejsze niż wyrzucanie ich na ulicę z przepisową kwotą czterdziestu funtów i bez perspektywy pracy.

7.00 wieczorem

Odwiedzam Douga w szpitalu; zaprasza mnie na sok z czarnej porzeczki, herbatniki McVitie's i wiadomości w Channel 4. W Waszyngtonie ewakuowano Kongres i Senat z powodu paniki wywołanej zagrożeniem węglikiem. Jest tak wiele sposobów prowadzenia współczesnej wojny. Czyżbyśmy znajdowali się w trakcie trzeciej wojny światowej, nie zdając sobie z tego sprawy?

8.15 wieczorem

Wracam do północnego bloku na apel, żeby pokazać, że nie oddaliłem się samowolnie z więzienia⁴. Doug mnie zapewnia, że jest to o wiele łatwiejsze po pierwszych dwóch tygodniach, kiedy sprawdzanie obecności odbywa się nie sześć, lecz cztery razy dziennie. Mój kłopot polega na tym, że ostatni apel jest o dziesiątej wieczór, a ja o tej porze zwykle już śpię.

Dzień 92

Czwartek, 18 października 2001

6.00 rano

Ponieważ tyle jest tu dla mnie rzeczy nowych i nieznanych, ciągle się rozglądam.

Hughes i Jones, funkcjonariusze zarządzający blokiem północnym, starają się szybko udzielać więźniom informacji i, co ważniejsze, „załatwiać” sprawy, co

zyskuje im sympatię tutejszych pensjonariuszy. Obydwa bloki przypominają baraki nissenowskie z czasu drugiej wojny światowej. Blok północny składa się z korytarza długiego na sto jardów i z pięciu odgałęzień odchodzących z obu stron. W każdym z tych odgałęzień znajduje się dziewięć pokoi – więzień ma własny klucz, a okna nie są zakratowane.

W każdym pokoju mieszka dwóch więźniów. Moim współlokatorem jest odsiadujący dożywocie David (morderstwo), który ma największy pokój: siedem kroków na trzy, a nie, jak inne, pięć na trzy. Poprosiłem już o przeniesienie do skrzydła dla niepalących w bloku południowym, gdzie przebywają starsi, dojrzałsi więźniowie. Wbrew nagłówkowi w „News of the World” krzyczącemu, że „Archer domaga się zmiany celi”, prawo do przebywania w celi dla niepalących przysługuje każdemu więźniowi. Jednak naczelnik Berlyn wolałby nie przenosić mnie do bloku południowego ze względu na bliskość dróżki do użytku publicznego, na której kręci się kilku dziennikarzy i fotografów.

Korytarz naprzeciw mojego niedawno przekształcono w strefę dla niepalących i Berlyn sugeruje, żebym się przeniósł tam do jednego z pustych pokoi. Ponieważ w więzieniu przebywa obecnie niewielu więźniów, mógłbym nawet być w pokoju sam. Każdy więzień, z którym dzieliłem celę, albo sprzedał swoją opowieść brukowcom, albo został opisany na pierwszych stronach gazet – zawsze z przesadą i nigdy prawdziwie.

8.30 rano

Pracuję w biurze SMU od 8.30 do 12.00, potem mam przerwę na lunch, a później wracam do pracy od 1 do 4.30. Przychodzę rano, licząc, że zastanę Matthew, który zacznie przekazywać mi obowiązki, ale jest tylko Gough. Siedzi ze spuszczoną głową, ma zmarszczone brwi i wpatruje się w komputer. Coś mamrocze pod nosem, a potem grzecznie prosi o filiżankę herbaty.

9.00 rano

Wciąż ani śladu Matthew. Czytam regulamin i dowiaduję się, że do moich obowiązków należy mycie podłogi w kuchni, zamiatanie wszystkich pomieszczeń do wspólnego użytku, odkurzanie dywanów i czyszczenie dwu toalet oraz sprzątanie w kuchni. Na szczęście głównym zajęciem, jedynym, które uchroni mnie od szaleństwa, jest udzielanie informacji i wyjaśnianie wątpliwości więźniom. Przeczytałem ośmiostronicową broszurkę dwa razy, ale Matthew nadal się nie pojawia, co zaczyna wyglądać na poważne wykroczenie.

Jeżeli się spóźnisz do pracy, masz „krechę”; zdarza się to rzadko w więzieniu kategorii D, ponieważ postawienie do raportu może się skończyć utratą

przywilejów – nawet powrotem do kategorii C – zależnie od tego, jak poważne jest przewinienie. Przyłapanie na używaniu narkotyków albo na samowolnym oddaleniu się z więzienia grozi natychmiastowym przesunięciem do gorszej kategorii. Te przywileje i kary stosuje się po to, żeby wszyscy przestrzegali przepisów.

Przełożony funkcjonariuszy New zjawia się w chwili, gdy Gough wchodzi do pokoju.

– Gdzie jest Matthew? – pyta.

Mam teraz okazję zaobserwować funkcjonariuszy więziennych w najlepszym wydaniu i więziennictwo w najgorszym.

– To z jego powodu cię szukałem – powiada Gough. – Matthew spóźnił się wczoraj wieczorem – (więźniowi grozi za takie przewinienie odesłanie do zakładu karnego kategorii C, gdyż się zakłada, że samowolnie oddalił się z więzienia) – i został zgłoszony do raportu. – Atmosfera natychmiast się zmienia. – Ale ja wycofałem ten wniosek.

– Dlaczego? – pyta New i zapala papierosa.

– Ojciec Matthew wczoraj po południu stracił przytomność i został zabrany do szpitala w Canterbury. Wykryto u niego guza mózgu i lekarze nie dają mu nawet tygodnia życia.

– Dobra! – mówi New, gasząc papierosa. – Wypisz mu zlecenie na urlop okolicznościowy i niech jak najszybciej jedzie do Canterbury.

New mówi mi, że matka Matthew, która chorowała na stwardnienie rozsiane, umarła rok temu, a jego babka kilka tygodni po niej. Stało się to wkrótce po tym, jak popełnił przestępstwo, w wyniku którego został skazany na rok i trzy miesiące więzienia.

Wchodzi Matthew.

New i Gough okazują mu wiele życzliwości. Papiery zostają podpisane z nadzwyczajną szybkością, a Matthew dostaje nawet pozwolenie skorzystania ze służbowego telefonu, żeby poprosić swoją dziewczynę, aby po niego przyjechała. Nim minęło kilka minut, zjawia się naczelnik Berlyn i zgadza się z New, że chłopaka (myślę o Matthew jako o chłopcu, ponieważ jest młodszy od mojego syna) należy jak najprędzej wyprowadzić do ojca. Nagle wyłania się problem.

Matthew, któremu zostało jeszcze cztery tygodnie do zwolnienia, nie zna nikogo w Canterbury, więc musi być zamknięty w miejscowym więzieniu, mimo że jego dziewczyna i jej matka zatrzymają się w hotelu blisko szpitala. Co gorsza, ponieważ Matthew może dostać tylko dwudziestoczęterogodzinny urlop okolicznościowy, będzie musiał wrócić z Canterbury i nocować w North Sea Camp, po czym w piątek rano zostanie zwolniony na cały weekend aż do niedzielnej wieczoru.

– Dlaczego chłopak nie może pojechać do ojca i wrócić w niedzielę

wieczorem? – pytam.

Obydwaj panowie, Berlyn i New, kiwają głowami, ale mówią, że nie ma sposobu, aby obejść przepisy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

10.30 rano

Samochód dziewczyny Matthew zatrzymuje się przy szlabanie i oboje prędko odjeżdżają. Modłę się w duchu, żeby ojciec Matthew nie umarł, kiedy chłopak będzie w drodze. Przypominam sobie ze smutkiem, jak podczas mojego procesu dowiedziałem się, że umiera mi matka. Sędzia Potts nie zgodził się, żebym opuścił sąd, aby być przy niej, gdyż nie uwierzył opiniom lekarzy, że ma tylko kilka godzin życia. Ostatecznie stawilem się u łóżka matki godzinę przed jej śmiercią, ale wtedy już mnie nie poznawała.

11.00 rano

Trzej przybyli wczoraj więźniowie stawiają się na rozmowę wprowadzającą. Zarzucają mnie pytaniami. Czuję się trochę jak oszust, kiedy usiłuję im odpowiadać, gdyż jestem tu dopiero od około czterdziestu ośmiu godzin, sam w okresie adaptacji. Gough wygłasza im wykład, jakiego wysłuchałem dwa dni temu. Wręczam nowym broszurkę akcentującą jego uwagi. Młody więzień szepcze mi do ucha, że nie umie czytać. RATUNKU! Mówię mu, żeby przyszedł do mnie, jeżeli będzie miał jakiś problem.

12.15 po południu

Zjawia się New i omawia ze mną moje obowiązki. Otwieramy wielką szafę pełną formularzy i teczek, które, jego zdaniem, należy uporządkować. Zapala kolejnego papierosa.

2.00 po południu

Simpson, kurator sądowy, prosi, żebym go odwiedził w jego biurze na pierwszym piętrze, ponieważ chce uaktualnić moje akta. Pyta, czy widziałem swoją kuratorkę po tym, jak zostałem skazany.

– Tak – odpowiadam – ale tylko przez kilka minut, kiedy jeszcze byłem w gmachu Old Bailey.

– Dobrze – mówi – ponieważ to świadczy o tym, że mieszka pan w Londynie, co ułatwi pańskie przeniesienie do Spring Hill. – Sprawdza w komputerze i podaje mi nazwisko kuratorki. – Niech pan do niej napisze kilka

słów – radzi – i niech pan wspomni, że chciałby być przeniesiony.

3.30 po południu

New przychodzi do mnie do kuchni na kolejną przerwę na papierosa. Dowiaduję się, że ma opuścić North Sea Camp w styczniu, kiedy zostanie naczelnikiem 5 stopnia⁵ więzienia w Norwich. Potem New wyciąga formularze niezbędne do załatwienia transferu. Wprawdzie pomówi z panią McKenzie-Howe, swoją odpowiedniczką w Spring Hill, ale nie jest optymistą. Nie dość, że panuje tam przepelnienie, to jest to więzienie przystosowawcze, ja zaś się tam nie kwalifikuję; kiedy wyjdę na wolność, nie będę szukał pracy ani mieszkania, a ponieważ nie mam kłopotów finansowych, nie mieszczę się w żadnej ze zwykłych kategorii.

5.00 po południu

Idę na kolację do kantyny i znów siadam przy stole z dwoma starszymi więźniami. Obaj zostali skazani za oszustwa, jeden był lokalnym radnym (trzy i pół miesiąca), a drugi hodował strusie. Ten drugi obiecuje opowiedzieć mi wszystko ze szczegółami, gdy będzie miał więcej czasu. Widać, że nie zabraknie ciekawych historii. Belmarsh – morderstwa i ciężkie uszkodzenia ciała; Wayland – baroni narkotykowi i bandyci dokonujący napadów rabunkowych z bronią w rękę. Wygląda na to, że w North Sea Camp siedzą trochę subtelniejsi przestępcy.

7.00 wieczorem

Odwiedzam Douga w szpitalu. Pozwala mi przechowywać w swojej lodówce butelkę soku z czarnych porzeczek i dwie butelki wody Evian, dzięki czemu cały czas mam własne zapasy. Gawędzimy i dowiaduję się trochę więcej o jego przestępstwie. Nienawidzi handlarzy narkotyków i swoje uwięzienie uważa za przejściową uciążliwość. Planuje nawet rejs do Australii, gdy go zwolnią. „Na wywczasie” prowadzi niewielką firmę transportową. Ma bazę i siedem ciężarówek oraz zatrudnia – wciąż zatrudnia – dwanaście osób. Pół godziny dziennie spędza przy telefonie, żeby wiedzieć, co się tam dzieje.

A teraz o przestępstwie Douga: jego firma eksportowo-importowa rozwijała się pomyślnie do chwili, kiedy ważny klient zbankrutował i nie zdołał uiścić należności 175 000 tysięcy funtów. Naciskany przez bank Doug zaczął się ratować nielegalnym importem papierosów z Francji. Dostał wyrok dwóch lat więzienia za niezapłacenie cła i akcyzy w kwocie 850 000 tysięcy funtów.

Dzień 93

Piątek, 19 października 2001

6.00 rano

Piszę przez dwie godziny. Lampkę nad biurkiem owinąłem bokserkami, żeby nie przeszkadzać Davidowi.

8.15 rano

Przygotowuję karty tożsamości dla trzech nowych więźniów, którzy przybyli wczoraj. W miarę jak schodzą się funkcjonariusze, podaję im herbatę albo kawę. W wolnych chwilach nadal porządkuję system katalogowania dokumentów więźniów w okresie adaptacji. Ja sam jeszcze przez tydzień będę miał taki status.

Kiedy przychodzi New, zostawia w kuchni „Timesa” i zabiera go o szóstej, przed wyjściem do domu.

Powoli się wdrażam do rutynowych zajęć. Widuję teraz nowych więźniów, w miarę jak przychodzą, i poznaję ich problemy, zanim pójdą do funkcjonariusza. Często trafiają do niewłaściwego biura albo po prostu nie mają odpowiedniego formularza. Wielu prosi o rozmowę oceniającą stopień zagrożenia, jakie stwarzają, inni chcą się zobaczyć z naczelnikiem, którego gabinet znajduje się w bloku administracji po drugiej stronie więzienia. Ale prawdziwych problemów przysparza New, gdyż wielu więźniów sądzi, że jeżeli ich prośba nie uzyska jego akceptacji, to nie mają szans na jej pozytywne załatwienie. Dzieje się tak, bo New okazuje zainteresowanie każdym więźniem, a poza tym żadnego nie ponagla. Często przez dwadzieścia minut wysłuchuje skarg jednej osoby, kiedy wystarczyłoby podpisać formularz, a tymczasem czterech innych musi czekać.

W ciągu dnia biuro odwiedza około trzydziestu więźniów. Muszę postępować z rozwagą, gdyż współwięźniowie chcą widzieć we mnie sojusznika, funkcjonariusze natomiast powinni odczuwać, że ich odciążam. Niewątpliwie potrzebuję większej podniety umysłowej, niż jej dostarcza robienie herbaty. Jednak niezależnie od tego, ile wezmę na siebie obowiązków, płaca wynosi 25 pensów na godzinę, 8,50 funta tygodniowo.

12.00 w południe

Odbieram swój lunch – zapiekankę warzywną i fasolkę. Bez deseru. Idę

z tacą do biura i czytam gazetę.

2.00 po południu

Wchodzi więzień i prosi o udzielenie urlopu okolicznościowego, bo jego matka jest chora. Downs, bystry, doświadczony funkcjonariusz, mówi mu, że wyśle kuratora sądowego, aby odwiedził jego matkę, i wtedy zdecyduje, czy go zwolni. Więzień odchodzi bez słowa. Downs od razu telefonuje do kuratora sądowego w Leicester, na wypadek gdyby matka więźnia rzeczywiście była chora.

Bob (dożywocie) przychodzi, żeby odwiedzić psychiatrę, Christine. Bob przygotowuje się do życia na wolności; ma wyjść z więzienia w przyszłym roku. Jednak przedtem musi zaliczyć dziesięć wizyt w mieście bez incydentu. Jeżeli mu się to uda, będzie mógł wychodzić podczas weekendów bez dozoru. Wtedy władze ocenią, czy można go zwolnić. Bob siedzi w więzieniu dwadzieścia trzy lata, a pierwotnie skazany był na piętnaście. Ale, jak zauważa Christine, choćby najusilniej zalecała jego zwolnienie, ostateczna decyzja i tak zapadnie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Christine przychodzi do kuchni i opowiada mi o więźniu z wyrokiem dożywocia, który wybrał się na pierwszą wizytę do miasta po dwudziestu latach za kratami. Dostał 20 funtów, żeby się przyzwyczajać do robienia zakupów w supermarkecie. Kiedy stanął przy kasie i usłyszał pytanie, jak chciałby zapłacić, rzucił produkty i uciekł. Po prostu nie był w stanie podjąć decyzji.

– Musimy też przygotować wszystkich dożywotniaków, żeby potrafili sobie cokolwiek ugotować – dodaje. – Proszę pamiętać, że niektórym więźniom przez dwadzieścia lat podawano trzy posiłki dziennie i tak do tego przywykli, że nie umieją nawet ugotować jajka.

Następnym pacjentem Christine jest dożywotniak Mike. Po spędzeniu dwudziestu jeden lat w więzieniu (ma czterdzieści jeden lat) również wychodzi na wolność. Zaprasza mnie na kolację w niedzielę wieczorem (kurczak w sosie curry). Pragnie dowieść, że potrafi zadbać nie tylko o siebie, ale także przyrządzić jedzenie dla innych.

5.00 po południu

Idę do kantyny i dosiadam się do oszusta Rona i Dave'a, hodowcy strusi; spożywamy kalafior zapiekany w sosie beszamelowym z serem. Ron oświadcza, że jedzenie w North Sea Camp jest równie dobre jak w przydrożnych restauracyjkach. To prawdziwy komplement dla Wendy.

6.00 wieczorem

Hughes (funkcjonariusz z mojego skrzydła) oznajmia, że mogę się przeprowadzić do pokoju numer dwanaście w części dla niepalących.

Pokój jest bardzo brudny, a jedyne w nim meble to jednoosobowe nieposłane łóżko, stół i krzesło. Załamuję się. W takich chwilach jestem godny pożałowania.

Celę naprzeciwko zajmuje Alan, który sprząta u siebie i zapytuje, czy mógłby pomóc. Pytam, ile by wziął za doprowadzenie mojego pokoju do takiego stanu, jak jego pokój.

– Cztery karty telefoniczne – odpowiada (8 funtów).

– Trzy – proponuję.

Zgadza się. Mówię mu, że wrócę piętnaście po ósmej na apel i sprawdzę, jak sobie radzi.

8.15 wieczorem

Zgłaszam się na apel, a potem idę obejrzyć moją nową kwaterę. Alan dobrał sobie pomocnika i razem pracują. Alan szoruje szafy, pomocnik pucuje ściany. Mówię im, że wrócę o dziesiątej i uiszczę dług. Kłopot w tym, że nie mam żadnych kart telefonicznych i nie będę ich miał przed środą, dniem zakupów w kantynie. Doug śpieszy mi na ratunek i przejmuje rolę Darrena, dostawcy niezbędnych dóbr.

Doug jest niespokojny. Mówi, że jego czternastoletnia córka miała atak epilepsji. Pozwolono mu jechać jutro do domu, żeby mógł ją zobaczyć.

Siadamy, by obejrzyć wieczorny film; towarzyszy nam szef więziennego oddziału ochrony Hocking. Uprzedza mnie, że w okolicy pęta się dziennikarz z „News of the World”, i żartuje, że jak się nam poszczęści, to może się utopi w The Wash⁶. Na odchodnym pyta Douga, czy jutro idzie na przepustkę.

– Tak, jadę zobaczyć się z córką, wrócę o siódmej – potwierdza Doug.

– Więc ktoś powinien być na dyżurze, kiedy siostra oddziałowa wyjdzie o pierwszej. Nie wolno zapominać, ile jest narkotyków w tym budynku. Jeffrey, czy miałbyś ochotę wystąpić w roli zastępczego sanitariusza?

– Tak, oczywiście – odpowiadam.

10.00 wieczorem

Wracam na apel do bloku północnego, a potem zaglądam do mojego pokoju. Nie mogę go poznać. Jest idealnie czysty. Dziękuję Alanowi, który siada w rogu łóżka.

Opowiada, że dostał roczny wyrok za paserstwo. Jest właścicielem dwóch sklepów z meblami w Leicester; w zeszłym roku miał obrót nieco ponad 500 000 funtów, a zysk w granicach 120 000 tysięcy funtów. Jest żonaty, ma dwoje dzieci.

Rodzina utrzymuje biznes na wolnych obrotach, czekając na jego powrót, który nastąpi za miesiąc. To pierwsze przestępstwo Alana i nie ulega wątpliwości, że należy on do kategorii „nigdy więcej”.

10.45 wieczorem

Spędzam pierwszą noc w North Sea Camp we własnym pokoju. Nie słychać muzyki, nie ma dymu ani żadnych uciążliwości.

Dzień 94

Sobota, 20 października 2001

6.00 rano

Weekendy w więzieniu są potwornie nudne. Jules, mój współlokator w Wayland, mawiał, że tylko wtedy nie siedzisz w pudle, kiedy śpisz. Toteż podczas weekendów mnóstwo więźniów po prostu zostaje w łóżku. Ja mam szczęście, bo mogę się zająć pisaniem.

8.00 rano

Spostrzegam Matthew, który pewno wrócił wczoraj wieczorem z Canterbury. Jego ojciec jest wciąż nieprzytomny i Matthew idzie ze mną do biura, żeby zatelefonować do szpitala. Chociaż formalnie mój tydzień pracy trwa od poniedziałku do piątku, często w sobotę rano można zastać funkcjonariuszy więziennych na dyżurze w wydziale zarządzania wyrokami.

Downs i Gough siedzą już przy biurkach. Podaję im obu herbatę, a potem Matthew omawia ze mną, jakie będę miał obowiązki w danym dniu czy tygodniu. Gdybym stosował się po prostu ściśle do wymagań, zajęłoby mi to nie więcej niż dwie godziny dziennie.

Przy herbacie (ja zadowolam się bovrilem) Matthew opowiada mi o koszmarnym roku, jaki przeżył.

Matthew ma dwadzieścia cztery lata, sześć stóp i jeden cal wzrostu, jest szczupły, ciemnowłosy i przystojny, z czego nie zdaje sobie sprawy. Jest bardzo inteligentny, ale raczej nieobyty i w więzieniu całkiem nie na miejscu. Studiował antropologię morską na Uniwersytecie Manchesterskim i po wyjściu na wolność zrobi doktorat. Pytam go, czy interesują go wykopaliska, czy praca naukowa.

– Praca naukowa – odpowiada bez wahania.

Zaraz po studiach pracował jako wolontariusz w muzeum w swoim rodzinnym mieście. Był zadowolony, ale wkrótce doszedł do wniosku, że pragnie wrócić na uniwersytet. Wtedy matka zachorowała na stwardnienie rozsiane i sprawy przybrały zły obrót. Kiedy została przykuta do łóżka, Matthew na zmianę z siostrą pomagali w domu, żeby ojciec mógł dalej pracować. Dla wszystkich trojga dodatkowe obowiązki były ogromnym obciążeniem. Jednego wieczoru Matthew wziął z muzeum kilka starych monet do domu, żeby je zbadać. Nie użyłem słowa „ukradł”, ponieważ kilka dni później zaniósł wszystkie monety z powrotem do muzeum. Jednak tak mu to ciążyło na sumieniu, że opowiedział o wszystkim swojemu zwierzchnikowi. Matthew myślał, że to będzie koniec sprawy. Ale ktoś postanowił zgłosić rzecz policji. Matthew aresztowano i oskarżono o nadużycie zaufania. Przyznał się do winy i otrzymał zapewnienie policji, że nie będą nalegać na wyrok pozbawienia wolności. Jego adwokat był takiego samego zdania i mówił Matthew, że prawdopodobnie dostanie wyrok z zawieszeniem albo nakaz pracy społecznej. Sędzia skazał go na rok i trzy miesiące⁷.

Matthew jest klasycznym przykładem człowieka, który nie powinien być wysłany do więzienia; sto godzin pracy społecznej mogłoby czemuś służyć, tymczasem ten chłopak spędził ostatnie trzy miesiące z mordercami, narkomanami i włamywaczami. On nie zejdzie na drogę zbrodni, ale ilu mniej inteligentnych ludzi mogłoby tak skończyć? Zgniły jest system, który wysyła takie osoby do więzienia.

Moja dawna sekretarka Angie Peppiatt skradła mi tysiące funtów, mimo to nie aresztowano jej. Współczuję Matthew.

12.00 w południe

Dzisiejszy lunch jest tak niedobry jak w Belmarsh albo w Wayland. Matthew tłumaczy, że Wendy ma wolne. Muszę pamiętać, żeby jeść tylko wtedy, gdy Wendy jest na służbie.

2.00 po południu

Zgłaszam się do szpitala i przejmuję rolę nieobecnego Douga, który pojechał odwiedzić córkę. Rozsiadam się przed telewizorem ze szklanką soku z czarnych porzeczek z dodatkiem wody Evian w rękę, żeby oglądać, jak Anglia gromi Irlandię i zdobywa Wielkiego Szlema, Potrójną Koronę⁸ i... w końcu mamy na papierze dużą przewagę. Niestety, rugby nie rozgrywa się na papierze, tylko na boisku. Irlandczycy spuszczają nam lanie, wygrywając 20 do 14 i wracają na

Szmaragdową Wyspę z uśmiechem na ustach.

Wciąż jestem markotny, kiedy do pokoju wkracza wysoki, przystojny czarny mężczyzna. Na imię ma Clive. Mam nadzieję, że nie jest chory, bo jeżeli tak, to jestem ostatnią osobą, jakiej mu potrzeba. Mówi mi, że odsiaduje ostatnią tercję wyroku i właśnie wraca z domu, z tygodniowego urlopu, którego mu udzielono w ramach programu resocjalizacji.

My dwaj jesteśmy jedynymi więźniami, którzy cieszą się przywilejem wieczornych odwiedzin u Douga. Prędko odkrywam, dlaczego Doug lubi towarzystwo Clive'a. Jest on inteligentny, błyskotliwy i zabawny i gdyby to nie było niepoprawne politycznie, powiedziałbym, że ma spryt całej czeredy małp. Dam tylko jeden przykład tego, jak potrafi sobie radzić.

W tygodniu pracuje jako kierownik produkcji w firmie pakującej owoce w Bostonie. Wychodzi z więzienia o ósmej rano, po śniadaniu, i wraca dopiero o siódmej wieczorem. Dostaje za to 200 funtów tygodniowo. Zatem w ciągu tygodnia North Sea Camp służy mu tylko jako nocleg ze śniadaniem, a jedyny dzień, kiedy musi tu tkwić, to niedziela. Ale Clive na to też ma sposób.

Dwie niedziele w miesiącu wykorzystuje na przysługujące mu wizyty w mieście, a w trzecią ma pozwolenie na pozostanie tam na noc.

– A co z czwartą albo piątą niedzielą? – pytam

– Zwolnienie ze względów religijnych – tłumaczy.

– Ale czemu – dziwię się – skoro w więzieniu jest kaplica?

– Twoja kaplica jest w więzieniu – powiada Clive – bo jesteś anglikaninem.

Ale nie moja – dodaje. – Ja jestem świadkiem Jehowy. Muszę odwiedzać świątynię przynajmniej raz w miesiącu, a tak się składa, że najbliższa znajduje się w Leicester.

Po kawie Clive zaprasza mnie do swojego pokoju w bloku południowym na tryktraka. Jego pokój nie ma pięciu kroków na trzy ani nawet siedmiu na trzy, lecz trochę ponad dziesięć na dziesięć. Właściwie jest większy od mojej sypialni w Londynie czy w Grantchester.

– Jak ci się to udało? – pytam, kiedy siadamy po dwu stronach planszy do gry.

– Hm, to było pomieszczenie gospodarcze – tłumaczy – dopóki go nie „zresocjalizowałem”.

– Ale tu by się lekko zmieściło czterech więźniów.

– Owszem – rzecze Clive – ale pamiętaj, że jestem też rzecznikiem stosunków rasowych, więc tylko czarni więźniowie mogą dzielić ze mną celę. W więzieniach kategorii D nie ma tak wielu czarnych – dodaje z uśmiechem.

Po wyjściu z Wayland nie zauważyłem nagłego spadku czarnej populacji, póki Clive o tym nie wspomniał. Jednak widziałem kilku czarnych więźniów w North Sea Camp, więc pytam, dlaczego nie mogą z nim mieszkać.

– Oni wszyscy zaczynają od pobytu w bloku północnym i tam zostają – odpowiada, ale nie wyjaśnia, dlaczego. Wygrywa też ze mną w tryktraka, pozbawiając mnie trzech batoników Mars.

Dzień 95

Niedziela, 21 października 2001

6.00 rano

Niedziela jest dniem wypoczynku, a jeżeli czegoś nie potrzeba w więzieniu, to właśnie dnia wypoczynku.

8.00 rano

SMU jest czynne, ponieważ przed przejściem nowych obowiązków Downs przenosi dokumenty ze swojego biura do bloku administracji. W piątek przybyło piętnastu nowych więźniów, więc mam pretekst, żeby zakładać im teczki i przygotowywać karty tożsamości.

North Sea Camp może pomieścić 220 osób, ale rzadko jest tu więcej niż 170 naraz. Więźniom przysługuje prawo przebywania nie dalej niż pięćdziesiąt mil od rodziny, toteż umiejscowienie na wschodnim wybrzeżu sprawia, że ten obszar jest pomniejszony. Odnawia się obecnie dwa korytarze, co dowodzi, że nie ma specjalnego zapotrzebowania na miejsca⁹. Przepływ więźniów w North Sea Camp wynosi około piętnastu osób tygodniowo. To, co powiem, odnosi się do wszystkim więźniów kategorii D i w żadnym wypadku nie ogranicza się do North Sea Camp. Przeciętnie co tydzień jeden więzień oddala się (na ogół nielegalnie) z więzienia, przy czym nasilenie tych przypadków następuje około świąt Bożego Narodzenia, w lecie notuje się niewielki spadek. Tak więc North Sea Camp traci około pięćdziesięciu więźniów rocznie, co tłumaczy konieczność stawania do pięciu apeli dziennie. Wielu więźniów oddalających się z więzienia, przemyślawszy sytuację, powraca w ciągu dwudziestu czterech godzin: wtedy dodaje się im do wyroku dwadzieścia osiem dni. Kilku, często są to cudzoziemcy, wraca do swoich krajów i znika na dobre. Całkiem niedawno dwaj Holendrzy oddalili się z więzienia i weszli na pokład ślizgacza; plaża znajduje się w odległości zaledwie 100 jardów od North Sea Camp. Przed następnym apelem byli już w Holandii.

Większość zbiegów zostaje prędko schwytana, wielu dociera tylko do Bostonu, zaledwie sześć mil od więzienia. Przerzuca się ich potem do więzienia

kategorii C, otoczonego wysokimi murami i zasiekami z drutu kolczastego, i nigdy, w żadnych okolicznościach, nie zezwala się im na powrót do więzienia otwartego, nawet jeżeli w przyszłości zostaną skazani za drobniejsze przestępstwo. Nielicznym, bardzo nielicznym, udaje się uniknąć kary. Ale potem muszą się bardzo pilnować.

Zdarza się nawet, że żony albo dziewczyny więźniów odsyłają ich do więzienia, a kiedyś teściowa odwiozła zbłąkanego zięcia pod samą bramę i zapowiedziała mu, że nie chce go widzieć, dopóki nie odsiedzi kary do końca.

Wszystko, co powyżej napisałem, łączy się z wydarzeniem, które zaszło dzisiaj.

Kiedy dostaniesz tygodniową przepustkę, musisz się zgłosić z powrotem przed siódmą wieczorem w niedzielę, a jeżeli choć minutę się spóźnisz, postawią cię do raportu. Wczoraj żona odwoziła męża do więzienia i w drodze się pokłócili. Żona zatrzymała samochód i wyrzuciła męża na szosę w odległości około trzydziestu mil od więzienia. Pobiegł do najbliższej budki telefonicznej, żeby zawiadomić więzienie, co się stało, i wysłano po niego taksówkę. Pojawił się w więzieniu z ponadgodzinnym opóźnieniem. Potrącono mu trzydzieści funtów z rachunku w kantynie za taksówkę i postawiono go do raportu.

2.00 po południu

Idę na długi spacer z Clive'em, który akurat spędza niedzielę w więzieniu. Mówimy o artykułach w porannych gazetach. Piszą o mnie różnie: a to, że pracuję na farmie, a to, że w szpitalu, że czyszczę latryny, że jadam sam i że wszystkich tyranizuję. Jednak wszystkich bije na głowę „Mail on Sunday”, który publikuje moje niewyraźne zdjęcie na dowód, że odmawiam noszenia ubioru więziennego. I to mimo że na fotografii mam na sobie więzienne dżinsy i szarą więzienną bluzę.

Po spacerze rozgrywamy z Clive'em kilka partyjek tryktraka. Nie mogę się z nim równać, więc postanawiam wykorzystać jego przewagę i pobierać u niego nauki.

6.00 wieczorem

Piszę przez dwie godziny, a potem melduję się na apel u Hughesa.

9.00 wieczorem

Oglądam z Dougiem i Clive'em wspaniały dramat, osadzony w Guildford i w Kornwalii w roku 1946. Mike (dożywocie) zjawia się w dwudziestej minucie filmu z porcjami kurczęcia w sosie curry w plastikowych pojemnikach. Gotowanie

to jeden z elementów jego resocjalizacji. Doug podaje potrawę na porcelanowych talerzach – to prawdziwy luksus, chociaż posługujemy się plastikowymi sztućcami.

Jem bardzo wolno i rozkoszuję się każdym kęsem.

Dzień 96

Poniedziałek, 22 października 2001

8.30 rano

Jestem w North Sea Camp od tygodnia i zaczynam się oswajać z tym miejscem.

Zgłaszam się do pracy w SMU. Matthew pokazuje mi, jak wypisywać zamówienia na wszelkie materiały potrzebne w biurze. Zamówienia wysyła się potem do magazynu, który powinien je zrealizować w tym samym dniu. Znajdujemy zaległe zamówienie z adnotacją „pilne” z 5 października na teczki i papier i następne z 15 października z adnotacją „bardzo pilne”. Niewydolność jest w więziennictwie powszechna. Rokrocznie marnuje się miliony funtów z kieszeni podatników. Wydziały za to odpowiedzialne są różne w różnych więzieniach, ale oto mały przykład: kilka lat temu w więzieniu Gartree siedział brutalny zabójca, którego trzeba było przenieść z jednej celi do drugiej, odległej o niespełna sto jardów. Dla przeprowadzenia tej operacji stawilo się piętnastu funkcjonariuszy, a zajęła ona raptem pięć minut. Wszyscy zażądali zapłaty za cztery nadgodziny. Skąd to wiem? Od wyższego rangą funkcjonariusza, który poprzednio pracował w tamtym więzieniu.

12.00 w południe

Matthew i ja jemy lunch w kantine razem z innymi funkcyjnymi. Przysiada się do nas Roger (dożywocie, zamordował żonę), który ofuknął mnie, kiedy w sobotę Anglia przegrała z Irlandią.

– Ale sądząc z akcentu, jesteś Walijczykiem? – ryzykuję pytanie.

– Tak – odpowiada. – Ale wszystko mi jedno, kto spuści manto Anglikom.

To jedna z moich niewielu przyjemności.

1.00 po południu

Do biura przychodzi New, który przed południem był w sądzie w sprawach

rodziny. Człowiek zapomina, że personel więzienny ma własne problemy.

Dyskutujemy z Matthew o tym, jak usprawnić funkcjonowanie biura. Ja chciałbym opróżnić wszystkie szafy i szuflady i zacząć od nowa. Matthew się zgadza. Właśnie się do tego zabieramy, kiedy otwierają się drzwi i wchodzi główny naczelnik Lewis. Wita mnie serdecznym, dobrodusznym uśmiechem. Prosi Matthew, żeby nas zostawił samych, i od razu przystępuje do rzeczy.

– Dziennikarze – mówi – wciąż koczują po obu stronach więzienia. – I dodaje, że w celi u jednego z więźniów znaleziono drogi aparat fotograficzny z teleobiektywem. Lewis nie ma pojęcia, która z gazet go przeszmygłowała ani jaka kwota wchodziła w grę. Osadzony, którego przyłapano, jest w drodze do więzienia kategorii C i już nie będzie mógł wrócić do zakładu otwartego. Podobno kilku więźniów skarżyło się na naruszanie prywatności przez dziennikarzy i naczelnik zapewnił ich, że jeżeli fotografia któregoś z nich ukaże się w gazecie krajowej, można będzie podjąć kroki prawne – zasada ta zdaje się do mnie nie stosować. Potem rozmawiamy o moim przeniesieniu do Spring Hill, a następnie naczelnik wzywa Matthew i udziela mu dalszych dwu dni urlopu okolicznościowego, dzięki czemu chłopak będzie mógł spędzić pięć dni z ojcem. Jak się zdaje, Lewis łączy współczucie ze zdrowym rozsądkiem, przy czym nie wykracza poza wytyczne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

4.00 po południu

Do biura wraca New, ciekaw, o co chodziło naczelnikowi. Nie mówię o aparacie fotograficznym, gdyż Lewis prosił, żeby o tym nie wspominać. Oznajmiam, że Lewis zamierza rozmawiać z naczelnikiem Spring Hill, ale całą robotę papierkową zostawia jemu.

– To już załatwione – mówi New. – Wysłałem wszystkie dokumenty do mojej odpowiedniczki w Spring Hill.

4.30 po południu

Odwiedzam Matthew w jego pokoju w bloku południowym i pytam go, czy mógłby sporządzić na nowo „listę potrzeb funkcjonariuszy”, obecnie umieszczoną z tyłu szafki kuchennej, żeby wyglądała równie estetycznie jak ta, którą Doug wywiesił w szpitalu. Zerkam na półkę Matthew z książkami. Pliniusz Młodszy i Oktawian August. Pyta, czy czytałem Herodota.

– Nie – przyznaję. – Teraz jestem w okolicy 1774 roku, czytam o Johnie Adamsie i pierwszym Kongresie. Musiałbym mieć dłuższy wyrok, żeby się cofnąć do 484 roku przed Chrystusem.

5.00 po południu

Wracam do swojego pokoju. Nie cierpię bloku północnego. Jest hałaśliwy, brudny i śmierdzący (jesteśmy usytuowani naprzeciw świńskiej farmy). Zamykam drzwi i piszę przez dwie godziny.

7.00 wieczorem

Wybieram się do Douga (uchylanie się od podatków) do szpitala. Pozwala mi skorzystać z łazienki. Po kąpieli i włożeniu czystego ubrania czuję się niemal jak człowiek.

Clive (oszustwo) dołącza do nas po dniu pracy w przedsiębiorstwie owocowym. Powiada, że jego koledzy z pracy wierzą w to, co czytają o mnie w gazetach „Sun” i „Mirror”. Ogarnia mnie rozpacz.

8.15 wieczorem

Opuszczam szpital i zgłaszam się na apel, a potem wracam do mojego pokoju i piszę przez dwie godziny. Głośnik powtarza żądanie, aby Jackson stawiał się na apel. Pewno jest już w połowie drogi do Bostonu.

10.00 wieczorem

Ostatni apel. Hughes macha do mnie z drugiego końca korytarza, że odznaczył moje nazwisko. Pojął już, że jestem ostatnią osobą, która by się samowolnie oddaliła. Na pewno by mnie zauważono, zanimbym uszedł pół drogi do Bostonu.

Dzień 97

Wtorek, 23 października 2001

6.03 rano

Wszyscy więźniowie dożywotni w North Sea Camp odsiadują końcówki wyroku i są przygotowywani do powrotu do wolnego świata. Sam fakt, że w ciągu dwudziestu lat z kategorii A przeszli do B, potem do C i w końcu do D, dowodzi, że pragną, aby dano im jeszcze szansę.

Co niezwykle zajmujące, jeżeli chodzi o morderców – a mamy ich w North Sea Camp przynajmniej kilkunastu – to że nie można ich podciągać pod jeden wspólny mianownik. Jednak, jak się przekonałem, z grubsza dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy po raz pierwszy popełnili zbrodnię i mało prawdopodobne, żeby poważyli się na następną, zwłaszcza po spędzeniu dwudziestu lat w więzieniu, oraz tych, którzy są uosobieniem zła i powinni być zamknięci w więzieniu kategorii A do końca życia.

Niemal wszyscy dożywotniacy w North Sea Camp należą do pierwszej kategorii, w przeciwnym wypadku nigdy by się nie znaleźli w więzieniu otwartym. Bob, Chris, Mike i Roger są teraz w średnim wieku i wszyscy są niegroźni. Może się to wydawać dziwne czytelnikom tego tomu, ale kiedy jestem z nimi, wcale nie czuję lęku, który mnie ogarnia w obecności niektórych młodych łobuziaków wychodzących z więzienia już za kilka tygodni.

8.30 rano

Matthew zaczyna opróżniać szafę i szuflady, a ja się zajmuję nowo przyjętymi więźniami. Jest ich piętnastu i kiedy wreszcie zdołałem odpowiedzieć na pytania ostatniego, nastąpiła pora lunchu.

12.00 w południe

Lunch jest wart odnotowania tylko ze względu na informację Wendy, że zaginęła moja lista z menu. Podejrzewa, że została skradziona i jutro ukaże się w jednym z brukowców. Daje mi nową listę, ale prosi, żebym nie wpisywał u góry swojego nazwiska ani nie podpisywał się, tylko po prostu jej oddał.

2.00 po południu

Przy opróżnianiu szuflad Matthew znalazł pudełko z długopisami z napisem „1987” i księgę rachunkową z inicjałami GR zwieńczonymi koroną. Dwie godziny później wszystkie półki są umyte i wyszorowane. Dokumenty dla nowych więźniów zostały porządnie ułożone i mamy trzy worki na śmieci pełne nieaktualnych papierów.

4.45 po południu

Razem z Dougiem i Matthew jem kolację: wegetariańska kielbaska i purée ziemniaczane.

5.00 po południu

Wracam do mojego pokoju i piszę przez dwie godziny. Jutro muszę – powtarzam, muszę – wybrać się na salę gimnastyczną.

Dzień 98

Środa, 24 października 2001

8.30 rano

Dziś jest komisja zatrudnienia. Wszystkim nowo przyjętym więźniom, z którymi przeprowadzono rozmowy, teraz trzeba przydzielić pracę, inaczej nie będą mogli zarabiać. W skład komisji wchodzi dwaj członkowie zarządu (farma i inne działy) oraz jeden wyższy funkcjonariusz. Więźniom, którzy mają stanąć przed komisją, mówię, czego się mogą spodziewać, gdyż sam przez to przechodziłem zaledwie tydzień temu. Informuję ich, że dobrze jest wiedzieć, co chciałoby się robić, na co jeden z nich, Ahmed, bystry młody Azjata, odpowiada, że ma chętkę na moją pracę. Inny, Clarke, mówi, że ma sześćdziesiąt siedem lat i chciałby pracować jako sprzątac w niepełnym wymiarze około dwóch godzin dziennie. Od razu idę na górę, gdzie obraduje komisja, i pytam, czy mogliby przydzielić Clarke'a do naszego biura, dzięki czemu sam skupiłbym się na napływających co tydzień nowych więźniach i tych kilku, którzy odwiedzają mnie w ciągu dnia, żeby pomówić o swoich problemach. Słyszę w odpowiedzi, że komisja się zastanowi.

12.15 po południu

Wracam do biura po lunchu i w kuchni zastaję funkcjonariusza z oddziału antynarkotykowego. Jego czarny labrador węszy wokół. Usuwam się na bok i przysłuchuję się rozmowie, jaką funkcjonariusz prowadzi z New. Zdaje się, że szykuje się kolejna akcja przeciw narkomanii. Funkcjonariusz mówi New, że w zeszłym roku znaleziono narkotyki u trzydziestu sześciu odwiedzających, w tym u trzech adwokatów¹⁰. Tak mnie to zaskoczyło, że potem spytałem New, czy w to wierzy. Potakuje. Jak na ironię, nagłówek w dzisiejszym „Timesie” głosi: „Zalegalizować kanabinole?”. Wychodzę z biura o 1.30, bo dziś mam odwiedziny.

2.00 po południu

Alison, moja sekretarka, David, mój kierowca, oraz Chris Beetles siedzą przy kwadratowym stoliku w pokoju odwiedzin i na mnie czekają. Po przyniesieniu dietetycznej coli i czekolady, głównie dla mnie, gawędzimy o wszystkim z wyjątkiem więzienia; o Josephie, moim kamerdynerze, który jest w szpitalu, poważnie ranny po tym, jak w drodze do pracy potracił go autobus, i o tym, że podtopiło „świątynię” w głębi parku w Grantchester, a także o reakcji społeczeństwa na wydarzenia 11 września.

Potem razem z Alison przeglądamy nadesłane listy prywatne oraz spis osób, które chcą mnie odwiedzić w North Sea Camp. Te cotygodniowe wizyty fantastycznie podnoszą mnie na duchu, lecz zarazem przypominają mi, jak bardzo brak mi przyjaciół w tej dziurze, zapomnianej przez Boga i ludzi.

4.00 po południu

Wracam do biura, gdzie czekają na mnie New i Hayes, funkcjonariusz więziennego oddziału ochrony. Fotoreporterzy nie chcą odejść. Jeden z nich zaproponował nawet Hayesowi 500 funtów na dowolne cele dobroczynne, jeżeli się zgodzę pozować do zdjęcia. Odmawiam, świadom, o ile więcej trafi do kieszeni fotoreportera. Prawo zabrania fotografowania więźnia odsiadującego wyrok, chociaż to nie odstrasza żadnego z sępów krążących dokoła więzienia. Obydwaj funkcjonariusze obiecują, że uczynią wszystko, co w ich mocy, żeby utrzymać natrętów na dystans. New mówi mi potem, że znaleziono drugi aparat fotograficzny w pokoju jednego z więźniów, którego dzisiaj rano odtransportowano do więzienia zamkniętego. Usiłuję się skupić na pracy.

7.00 wieczorem

Odwiedzam kantynę i dowiaduję się, że mam na rachunku 18,50 funta; własnych 10 funtów oraz 8,50 tygodniówki. Same nożyki Gillette kosztują 4,29, a dwie karty telefoniczne 4 funty, więc nie zostaje mi dużo na dodatkowe zakupy, jak pasta do zębów, mydło, woda Evian i może jeszcze tabliczka czekolady. Wspominam o tym mimochodem, żebyście sobie nie wyobrażali, że wiodę tu żywot łatwy i przyjemny, jak piszą brukowce.

7.15 wieczorem

Wędruję do szpitala i rozkoszuję się czystym wiejskim powietrzem, mimo że okolica jest raczej ponura. Doug mówi mi, że moje podanie o przyjęcie do Spring Hill jest w trakcie załatwiania. Skąd Doug może to wiedzieć wcześniej niż

funkcjonariusz New? Okazuje się, że ma przyjaciela (więźnia), który pracuje w bloku administracji w Spring Hill.

Biorę długą, gorącą kąpiel. Jestem w siódmym niebie.

Dzień 99

Czwartek, 25 października 2001

8.30 rano

Simpson (kurator sądowy) i Gough (zajmuje się nowo przyjętymi więźniami) przychodzą wcześniej do biura. Wręczają mi listę dzisiejszych spotkań. To ma dwa plusy. Mogę się zajmować tymi więźniami, którzy są umówieni, tymczasem załatwiając tych, którzy wpadają ot tak, na wszelki wypadek. Clarke (przestępstwo jeszcze nieustalone), nasz sześćdziesięciosiedmioletni sprzątac, też się zjawia punktualnie. Matthew mówi mi, jakie będzie miał obowiązki, a ja robię herbatę funkcjonariuszom.

10.00 rano

Hocking (oddział ochrony) przychodzi do kuchni i informuje mnie, że fotoreporter z „Daily Mail” (ma dłuższe włosy niż którykolwiek z więźniów) założył sobie obozowisko na polu miejscowego farmera. Będzie mógł mnie sfotografować, ilekroć będę wracał do bloku północnego. Hocking zamierza poprosić farmera, żeby mu pozwolił go wyrzucić.

10.30 rano

Clarke świetnie się spisał, nie dość, że doprowadził biuro do idealnego porządku, to jutro chce się zabrać do poczekalni, która w tej chwili przypomina herbaciarnię Great Western Railway w 1947 roku.

12.00 w południe

Jem lunch w towarzystwie Malcolma (oszustwo, pomocnik bibliotekarza). Jest spokojny, inteligentny, ładnie się wyraża i nawet w więziennym ubraniu sprawia wrażenie profesjonalisty na wysokim poziomie. Co takiego zrobił, żeby tutaj skończyć?

1.00 po południu

Zjawia się New, po czym znika na piętrze, dołączając do Simpsona, kuratora sądowego. Tego popołudnia przeprowadzą rozmowy z trzema więźniami, żeby przedyskutować plan odbywania kary. Na ogół oznacza to, że takiemu więźniowi pozostało tylko kilka miesięcy do końca wyroku, więc należy ocenić, czy jest gotów do podjęcia pracy poza więzieniem i czy kwalifikuje się do wcześniejszego zwolnienia z lokalizatorem.

Bierze się pod uwagę następujące czynniki:

- a) Czy na podstawie przeszłości kryminalnej więźnia można wnioskować, że popełni on kolejne przestępstwo?
- b) Czy dopuścił się kiedyś aktu przemocy?
- c) Czy przyjmuje bądź przyjmował narkotyki?
- d) Czy podczas wszystkich wizyt w mieście i w trakcie tygodniowego urlopu nie spowodował żadnego incydentu?

Ptaszki we wszystkich rubrykach oznaczają, że więzień może się spodziewać wcześniejszego zwolnienia, na przykład dwuletni wyrok może zostać zmieniony na roczny plus dwa miesiące z lokalizatorem. Trzej dzisiejsi kandydaci wychodzą z biura uśmiechnięci.

2.20 po południu

Wraca Hocking, towarzyszy mu policjant. Hocking mówi, że znowu znaleziono aparat fotograficzny u jednego z więźniów. Kolejny więzień został odesłany do więzienia kategorii C. Trzeci w ciągu niecałego tygodnia. Bez wątplenia gazeta, która przeszmygłowała aparat, spróbuje znowu. Jeszcze kilka tygodni i zostaną tu sam.

4.30 po południu

Odwiedza nas Lewis, główny naczelnik, żeby omówić problem czyhających fotografów. Pyta mnie, czy chcę wrócić do Wayland.

– Chyba pan żartuje – brzmi moja odpowiedź.

Potem New wyjaśnia, że Lewis zapytał tylko po to, by chronić Służbę Więzienną, na wypadek gdyby moje zdjęcie jednak ukazało się w prasie. Żebym nie mógł wtedy twierdzić, iż nie dano mi możliwości powrotu do więzienia zamkniętego.

5.00 po południu

Kolacja z Malcolmem (oszustwo), Rogerem (zamordował żonę), Martinem (posiadanie broni, która wypaliła) i Matthew (nadużycie zaufania). Rozmawiamy cały czas o więźniu, który tak bardzo tęsknił do swojej dziewczyny, że zdecydował się opuścić samowolnie North Sea Camp. Tylko dziewięć tygodni dzieliło go od wyjścia na wolność.

Dzień 100

Piątek, 26 października 2001

Sto dni w więzieniu.

8.07 rano

Śniadanie. Dziś jest piątek, otrzymujemy więc prowiant na weekend – w plastikowej torbie znajduje się sześć torebek herbaty, cztery saszetki z cukrem, trochę soli i pieprzu i dwie bryłki masła. Przypominacie sobie zapewne moje dni w Belmarsh, kiedy podczas warsztatów wraz z pięcioma innymi więźniami pakowałem herbatę do plastikowych torebek. No i w końcu trafiły do North Sea Camp. Więźniowie robią pożyteczne rzeczy, z których korzystają inne więzienia. W ten sposób oszczędza się pieniądze podatników, a więźniom daje się zajęcie i sposobność zarobienia niewielkich pieniędzy. Na przykład ściereczki kuchenne do naczyń są wykonywane w Dartmoor, zielone ręczniki kąpielowe w Liverpoolu, brązowa pościel w Holloway, a moje koce w Durham.

Nie zapominajcie o torebkach herbaty; właśnie przy jajkach na bekonie Doug mi opowiedział, że pewien dożywotniak, przyłapany na posiadaniu narkotyków, został odtransportowany do więzienia w Lincoln. Gdzie je znaleźli? W torebkach herbaty. Dziś rano strażnicy zrewidowali jego pokój i znaleźli sześćdziesiąt torebek z kanabinolami oraz czterdzieści funtów gotówki, co, ich zdaniem, stanowi dowód, że więzień jest handlarzem narkotyków. A teraz o śmiesznej, smutnej, głupiej, obłąkańczej (wybierzcie sami odpowiednie słowo) stronie tej historii – więzień, o którym mowa, miał za niecałe trzy miesiące zostać zwolniony warunkowo. Teraz spędzi półtora roku w więzieniu kategorii B, potem wylądjuje, zapewne na dwa lata, w więzieniu kategorii C, a za mniej więcej cztery lata otrzyma pozwolenie na powrót do zakładu kategorii D. Doug dodaje, że strażnicy nie wiedzieli, co kombinuje, dopóki nie doniósł na niego inny więzień.

– Dlaczego ktoś to robi? – pytam.

– Chyba po to, żeby ratować swoją skórę – odpowiada Doug. – Może miał

być stąd odesłany za mniejsze wykroczenie, więc oddał na pożarcie grubszą rybę w zamian za darowanie kary. To się ciągle zdarza.

8.30 rano

Kiedy przychodzę do biura, Clarke stoi już przy drzwiach. Od razu się zabiera do opróżniania koszy na śmieci i mycia podłogi w kuchni. Kiedy obaj pracujemy, opowiada mi, że to jego pierwsze przestępstwo, odsiaduje wyrok roku i trzech miesięcy za sprzeniewierzenie funduszy i wyjdzie na wolność w marcu.

10.00 rano

W poczcie porannej jest list polecony od moich adwokatów. Czytam stroniczki i trzęsą mi się ręce. Mój wniosek o zezwolenie na odwołanie od skazania został odrzucony, tylko wniosek o zezwolenie na odwołanie od wyroku zostanie rozpatrzony. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem przygnębiony.

12.00 w południe

Lunch. Doug wskazuje ruchem głowy więźnia, który siada przy pobliskim stole.

– To Roy – mówi – włamywacz, który odsiaduje swój piętnasty wyrok. Kiedy sędzia skazał go tym razem na sześć miesięcy, podziękował mu i powiedział, że to dla niego małe piwo. Na co sędzia odparował: „To dołożę ci jeszcze dwa miesiące, żebyś mógł się nacieszyć jego smakiem”.

3.00 po południu

Dzwonię do mojego adwokata, radcy królewskiego Nicka Purnella. Nick uważa, że jednak powinniśmy próbować odwołać się od skazania, ponieważ pominięto trzy elementy naszej obrony. Jak Ted Francis może być niewinny, skoro ja jestem winny? Jak można polegać na zeznaniach Angie Peppiatt, skoro na miejscu dla świadków przyznała, że kradła? Jak mogłem utrudniać pracę wymiaru sprawiedliwości, kiedy adwokat reprezentujący drugą stronę, pan Shaw, powiedział, że nigdy nie przykładał żadnej wagi do daty w pierwszym kalendarzu?

Rozmawiamy też na temat świadka, który mógłby mi pomóc dowieść, że Potts nie powinien podjąć się tej sprawy. Nick uprzedza mnie, że Godfrey Barker stchórzył, a jego żona twierdzi, że nie pamięta szczegółów.

5.30 po południu

Spotykam Davida (morderstwo) na korytarzu, uśmiecha się od ucha do ucha. Jutrzejszy dzień spędzi z żoną pierwszy raz od dwudziestu lat. Denerwuje się tym wyjściem i opowiada mi smutną historię więźnia, który wybrał się do miasta pierwszy raz po dwudziestu pięciu latach w kiciu i był tak przerażony, że wlaźł na drzewo. Trzeba było wezwać straż pożarną, żeby go stamtąd ściągnąć. Policja przywiozła go z powrotem do więzienia i od tej pory nie wychylił więcej nosa na świat boży.

6.00 wieczorem

Moje wieczory wyglądają teraz jednakowo. O wpół do siódmej idę do Douga, kąpię się, a potem oglądam wiadomości o siódmej w Channel 4.

8.15 wieczorem

Zgłaszam się do apelu, a potem wracam, żeby pograć w tryktraka z Clive'em.

10.00 wieczorem

Ostatni apel.

Dzień 101

Sobota, 27 października 2001

8.07 rano

Są tacy więźniowie, którzy wolą raczej tkwić w więzieniu, niż zostać zwolnieni: ci, którzy przywykli do „opieki” instytucjonalnej i nie mają rodziny, przyjaciół, pieniędzy ani szansy pracy. I jeszcze jest Rico.

Rico przybył do North Sea Camp z Lincoln dziś rano. To jego czwarte włamanie i zawsze jest tu mile widziany, ponieważ lubi pracę na farmie, szczególnie zaś świnie, i kiedy stąd odchodził, znał je wszystkie z imienia. Zwykł nawet z nimi sypiać – w każdym bądź razie do ostatniego apelu. Zajmuje jednoosobowy pokój, gdyż nikt nie chce z nim mieszkać. Oto jeden ze sposobów otrzymania jednoosobowego pokoju.

9.00 rano

Zaglądam do mojego biura, ale ponieważ nie ma tam żadnego z funkcjonariuszy, przez dwie godziny piszę.

11.00 rano

Próbuję się dodzwonić do Mary do Grantchester, ale z powodu nagłej ulewy telefony przestały działać i słyszę tylko przeciągły warkot.

12.00 w południe

Idąc na lunch, mijam Petera (dożywocie, podpalenie), który zmiata liście z drogi. Jest Węgrem, ma sześć stóp wzrostu i osiemnaście kamieni żywej wagi i siedzi od ponad trzydziestu lat za podpalenie posterunku policji, chociaż nikt nie zginął w pożarze.

Jem lunch w towarzystwie Malcolma (oszustwo), który mi mówi, że jego żonę właśnie zwolniono z Holloway po odbyciu dziewięciomiesięcznego wyroku za pranie pieniędzy. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów, które zarobił, zostało umieszczonych na koncie kobiety bez jej wiedzy (słowa Malcolma), ale ją też skazano. Malcolm prosił, żeby wyrok żony dodano do jego wyroku, lecz sędzia odmówił.

W tym, czy więzień przetrwa, decydującą rolę odgrywają żony i partnerki. Nie najgorzej, jeżeli wyrok jest krótki. Jednak nawet wtedy te osoby, osamotnione na wolności, często cierpią tak samo, jeśli nie bardziej niż więźniowie. Co do Mary, to żyje teraz w świetle jupiterów, o co nigdy nie zabiegała.

4.15 po południu

Słyszę nieśmiało pukanie do drzwi. Otwieram. W progu stoi więzień, który chce porozmawiać o pisaniu książki (to się zdarza przynajmniej raz w tygodniu). Ma na imię Saman, jest Kurdem, muzułmaninem. Pracuje teraz nad książką pod tytułem *Historia Kurdystanu* i chce, żebym przeczytał kilka rozdziałów. (Saman studiował inżynierię na uniwersytecie w Kurdystanie). Po wyjściu na wolność chce się osiedlić w Anglii, ale się boi, że go deportują.

– Dlaczego znalazłeś się w North Sea Camp? – pytam go.

Saman odpowiada, że został skazany na trzy lata za spowodowanie śmierci wskutek niebezpiecznej jazdy. Ma być zwolniony w grudniu.

Dzień 102

Niedziela, 28 października 2001

6.00 rano

Dziś wypadają urodziny mojej matki. Miałyby osiemdziesiąt dziewięć lat.

8.15 rano

Po śniadaniu czytam „Sunday Timesa” w bibliotece. Przepisy dotyczące gazet różnią się w zależności od więzienia, często bez sensownej przyczyny. W Wayland gazety dostarczano do cel, ale w North Sea Camp nie można mieć własnych.

Czytam długi artykuł o węgliku, a tymczasem inny więzień spogląda zza płachty „News of the World” i mówi:

– Cieszę się, Jeff, że ponoć zarabiasz pięćdziesiąt funciaków tygodniowo.

Obydwaj wybuchamy śmiechem. On dobrze wie, że funkcyjnym płaci się 8,50 funtów na tydzień i że tylko więźniowie, którzy wychodzą do pracy poza teren więzienia, zarabiają więcej. Zabawne, ale takie rażące zmyślenia czy nieścistości zjednują mi sympatię współwięźniów.

10.00 rano

Dzwonię do Mary do Grantchester i wreszcie słyszę sygnał telefonu. Dopiero co wróciła z Monachium i, jak mówi, pobyt był udany. Nie wszyscy Niemcy wiedzą, że jej mąż jest skazańcem. Jej książkę *Czysta energia elektryczna z fotoogniw* przyjęto na konferencji z uznaniem. Przez kilka lat się męczyła nad pierwszym tomem i w końcu sprzedano 907 egzemplarzy. Trzeba pamiętać, że jeden egzemplarz kosztuje 110 funtów i, jak na książkę naukową, jest to bestseller. Żeby wysłuchać wszystkich wiadomości, zużywam całą kartę telefoniczną (dwadzieścia jednostek).

11.00 rano

Przez głośniki informują, że można się zgłosić na dobrowolny test narkotykowy. Wynik negatywny może pomóc w uzyskaniu zwolnienia warunkowego albo zwolnienia z lokalizatorem. Zanim dotarłem na miejsce,

utworzyła się długa kolejka. Staję za Alanem (oszustwo), którego jutro przenoszą do Spring Hill. Obiecuję, że napisze i da mi znać, jak tam jest w porównaniu z North Sea Camp, a także spróbuje się dowiedzieć, co z moim podaniem o przyjęcie.

Docieram do czoła kolejki. Vessey – funkcjonariusz o ostrych rysach, który się nigdy nie uśmiecha – wskazuje ubicację i poleca mi nasiusiać do małej plastikowej butelki. Potem umieszcza w niej filtr, na którym znajduje się pięć oddzielnych czarnych kresek na oznaczenie różnych narkotyków od kanabinoli do heroiny. Jeżeli przy każdym z nich pokażą się dwie czarne kreseczki, jesteś czysty, jeżeli tylko jedna, wynik testu jest pozytywny i jutro z samego rana trzeba się będzie zameldować u naczelnika.

Test więźnia, który był trzeci przede mną, wykazuje obecność kanabinoli w organizmie; kiedy Vessey mu mówi, że jutro musi stanąć do raportu, więzień wpada we wściekłość i wybiega z pokoju z przekleństwami. Vessey się uśmiecha. Mój test wykazuje tylko podwójne kreski, co reszta kolejki przyjmuje z drwiącym aplauzem.

– Archer, wylej te szczyny – powiada Vessey – bo jak je zostawisz, te typy opchną je pismakom z „News of the World”.

12.00 w południe

Lunch. Dołącza do mnie Brian (kaplicowy i organista). Skazany za znowę w celu okradzenia farmy hodowli strusi z siedmiu milionów funtów. Adwokat przekonał go, że jeżeli się nie przyzna do winy, proces może potrwać dziesięć miesięcy, a jeśli potem zostanie uznany za winnego, prawdopodobnie dostanie wyrok sześciu albo siedmiu lat więzienia. Doradził mu, żeby się przyznał do popełnienia drobniejszego przestępstwa, tak by skazano go na mniej niż cztery lata. Posłuchał adwokata i dostał wyrok trzech lat i dziesięciu miesięcy więzienia. Dwaj współoskarżeni zdecydowali się na proces i przysięgli ich uniewinnili. Brian uważa, że przyznanie się do winy było największym błędem jego życia.

2.00 po południu

Przez dwie godziny piszę.

6.30 wieczorem

Idę do kaplicy, gdzie przychodzi pięciu innych więźniów. Brian, ten od strusi, gra na organach (jak zawodowy muzyk). Przyjmuję komunię świętą dla uczczenia pamięci mojej matki i nie mogę się powstrzymać od myśli, że to mój

pierwszy łyk wina od trzech miesięcy. Pastor podaje każdemu z nas plastikowe naczynko z winem. Dopiero później pojmuję, dlaczego – niektórzy więźniowie przychodziliby na nabożeństwo tylko po to, aby wychylić do dna kielich mszalny.

Pastor, wilebny Johnson, przekroczył siedemdziesiątkę. Niewielki, żwawy mężczyzna wygłasza krótkie, zgrabne kazanie o tym, dlaczego nie ma przekonania do nowo nawróconych chrześcijan. Potem modlimy się za tych chrześcijan, którzy zostali zamordowani w czasie nabożeństwa w Pakistanie.

Ścianę za ołtarzem i część sufitu pokrywa malowidło przedstawiające Ostatnią Wieczerzę. Po skończonym nabożeństwie pastor mówi mi, że namalował je dawny więzień, a za model każdego z uczniów służył inny przestępca.

– Tylko Chrystus nie jest skazańcem – mówi i chichocze.

Dzień 103

Poniedziałek, 29 października 2001

6.11 rano

Budzę się wcześnie i myślę o domu. Mam przed sobą na stole mały ceramiczny model Old Vicarage i fotografię Mary i chłopców oraz drugą, przedstawiającą widok na Parlament z naszego mieszkania w Londynie; co za kontrast w porównaniu z widokiem z mojego małego pokoju w bloku północnym! Niebo jest szare i brzemienne deszczem. To jedno, co dzielę z wami.

8.15 rano

Śniadanie z Malcolmem (oszustwo, główny bibliotekarz) i Rogerem (morderstwo, jak dotychczas dwanaście lat). Malcolm podaje mi więcej informacji o Arnoldzie, młodym człowieku, który w zeszłym tygodniu oddalił się samowolnie z więzienia. Przypominam go sobie z rozmowy wprowadzającej w biurze; nieśmiałe, zalęknione stworzenie. Dzielił pokój z dwoma najbardziej nieprzyjemnymi facetami, jakich kiedykolwiek spotkałem. Jednego z nich przez ostatnich siedem miesięcy przetrucano z więzienia do więzienia, bo gdziekolwiek był, wszędzie powodował zamęt, drugi jest heroinistą odsiadującym ostatnie miesiące w więzieniu. Nigdy ani przez chwilę nie pomyślałem o samowolnym oddaleniu się z więzienia. Gdybym jednak miał spędzić choć jedną noc z którymś z tych mężczyzn, może bym musiał zmienić zdanie.

8.30 rano

Dzisiaj postawiłem sobie zadanie uporządkowania zabałaganionej i bałamutnej tablicy ogłoszeń w poczekalni. Poświęcamy z Matthew pierwsze pół godziny na zdejmowanie wszystkich trzydziestu siedmiu ogłoszeń, a potem decydujemy, które są nieaktualne, zbędne albo po prostu znajdują się na niewłaściwej tablicy. Zostaje tylko szesnaście. Następnie wieszamy pięć starannie wykaligrafowanych napisów: narkotyki, edukacja, przepustki, zakładanie lokalizatorów i informacje ogólne, po czym pieczołowicie umieszczamy szesnaście kartek w odpowiednich miejscach. Przed lunchem poczekalnia jest wysprzątana dzięki Clarke'owi, a tablica ogłoszeń przejrzysta dzięki Matthew, choć myślę, że ja też zasłużyłem na swoje 25 pensów za godzinę.

12.00 w południe

Muszę powtórzyć, że pod względem wyżywienia więziennego North Sea Camp wiedzie prym. Wendy i Val (jej pomocnik) utrzymują poziom, który wydawałby się niemożliwy przy przypadającej na więźnia kwocie 1 funta i 27 pensów na trzy posiłki dziennie. Na dziś jestem zapisany na pizzę, ale Wendy mnie nakłania, abym spróbował potrawki jagnięcej, gdyż nie pochwała mojego wyboru WWW (wegetarianin w więzieniu). Potrawka jest doskonała i może w przyszłym tygodniu zaryzykuję dwa dania mięsne.

2.30 po południu

W North Sea Camp trwa nieustanny ruch. W zeszłym tygodniu odeszło stąd, w taki czy inny sposób, piętnastu więźniów – dwunastu wyszło na wolność, dwóch przeniesiono do innego więzienia, jeden samowolnie się oddalił. Czyli po zaledwie dwóch tygodniach nastąpiła zmiana dwudziestu procent populacji. Jeszcze jeden miesiąc i będę tu w charakterze rezydenta.

Myję akurat filiżanki, gdy Matthew mówi mi, że jego ojcu się pogorszyło i naczelnik przedłużył mu urlop okolicznościowy o jeden dzień. Zaraz z rana wyjeżdża do Canterbury i zostanie przy ojcu dziesięć dni. Matthew się nie skarży, że będzie musiał spędzić dziesięć nocy w więzieniu w Canterbury (kategoria B), co nie może być przyjemne dla człowieka, któremu umiera ojciec i który nie ma się z kim podzielić swoim zmartwieniem.

4.30 po południu

Kiedy wracam z pracy, czeka na mnie kolejna sarta listów, w tym list od

Chrisa de Burgha, Patricka Moore'a i Alana Corena. List Alana tak mnie rozbawił, że zamiast cytować urywki, postanowiłem podać go tutaj w całości. (Zobacz poniżej). Przez całe życie mam szczęście do niezwykłych przyjaciół, którzy tolerują moje wzloty i upadki, a ten ostatni epizod, jak się zdaje, nie zniechęcił ich ani trochę.

Alan Coren

26 października 2001

Mój drogi Jeffreyu,

Musisz mi wiele wybaczyć. Przede wszystkim to, że piszę na maszynie, ale moje pismo jest nieczytelne, zresztą musiałbym pisać przez kilka dni, bo mniej więcej od 1960 roku nie brałem pióra do ręki, chyba żeby podpisać czek. Kajam się też, że nie napisałem wcześniej, ale prawdę mówiąc, sto razy bardziej wolałbym pogadać z Tobą osobiście (nawet przykuty łańcuchem do kaloryfera czy w inny sposób, nakazany przez etykietę), niż wdawać się w jednostronną listowną konwersację, więc – jak zapewne wiesz – wielokrotnie się starałem o wizytę i wielokrotnie mi odmawiano. Ale przede wszystkim biję się w piersi, że nie próbowałem Cię wykraść z kicia – wydałem małą fortunę na haki, liny, przecinaki metalu, fałszywe tablice rejestracyjne, bilety w jedną stronę do São Paulo i trunki dla osiłków z Mile End Road o pokiereszowanych łbach i knykciach pokrytych tatuażami, ale kiedy tylko zdołałem to wszystko zebrać do kupy, zawsze była jasna noc i pełnia księżycyca.

W każdym razie z tego, czego się dowiedziałem w Twoim biurze, wnioskuję, że teraz będzie się można umówić na wizytę, jeśli się wypełni stertę papierków, a Tobie da się dość czasu, żebyś zdążył wstawić butlę szampana Krug do lodu i narzucić na siebie brokatowy szlafrok, głowę zaś przyozdobić fezem, więc natychmiast się do tego przyłożę – oczywiście jeżeli się zgodzisz. Nawiasem mówiąc, masz cholerne szczęście, że nie jesteś teraz w tym biurze, to niedobry czas, żeby przebywać na szczycie wysokiego budynku obok centrali brytyjskiego wywiadu i naprzeciwko siedziby Izby Gmin... i mówię to jako ktoś, kto wie, ponieważ, jak się domyśliłeś z nagłówka papeterii, ostatnio się przeniósłem do domu przy Regent's Park, gdzie teraz, gdy piszę, z okna mojej pracowni na najwyższym piętrze widzę meczet po prawej stronie, pięćset metrów stąd, i rezydencję ambasadora amerykańskiego po lewej, w tej samej odległości. Jestem tu dokładnie w cholernej strefie zero – za każdym razem, gdy śmigłowiec Jego Ekscelencji nadlatuje na nas z warkotem, pędzimy do piwnicy. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Skoro nawet ja nie wiem, gdzie jest Freiston, to wątpię, czy Usama

Ibn Ladin zdołałby je wytropić, a masz jeszcze to szczęście, że – ponieważ każdy list do pudła jest bez wątpienia otwierany, przeglądany i sprawdzany co do ostatniego milimetra kwadratowego – jeżeli ktoś się zarazi wąglikiem, to na pewno nie Ty.

Życie w Londynie płynie normalnie. Przyzwyczailiśmy się z Anne kłaść się spać w maskach gazowych, chociaż to trochę denerwujące, kiedy człowiek budzi się w środku nocy i bezmyślnie sięga ręką po szklankę, a potem musi suszyć pościel w suszarce. Giles i Victoria proszą, żeby Ci przekazać pozdrowienia i powiedzieć, że czują się świetnie i dobrze się dogadują z rodzicami zastępczymi w Timbuktu, gdzie nawiązali mnóstwo przyjaźni z innymi ewakuowanymi, tyle że trudno tam dostać pikantny sos HP. Twoja ukochana Partia Konserwatywna wybrała nowego przywódcę, którego co dzień widuje się przed Izbą Gmin, jak wręcza swoje wizytówki posłom i różnym oficjelom, którzy w przeciwnym wypadku mogliby go wziąć za kogoś, kto próbuje im opylić plany emerytalne.

Czy piszesz książkę o ciupie? *FF8282* to byłby kapitalny tytuł, a ponieważ jestem tylko jednym z całego tabuna pismaków zazdroszczących Ci okazji do bazgraniny bez tych wszystkich dystrakcji, które nie pozwalają nam wyprodukować dzieła kalibru *Finnegan w poszukiwaniu wojny i kary*, to na Twoim miejscu poważnie bym się zastanawiał, czy nie zrezygnować z apelacji: porzucenie szansy kolejnych dwóch lat przy maszynie do pisania może Cię kosztować miliony.

No dobrze – jeżeli musimy – przez chwilę bądźmy poważni: czy czegoś potrzebujesz, czy jest coś, co mógłbym dla Ciebie zrobić, ktoś, z kim mógłbym się w Twojej sprawie zobaczyć? Wiem, że masz furi przyjaciół – i to o wiele bardziej wpływowych niż ja – ale ponieważ zawsze może się zdarzyć, że będzie Ci potrzeba czegoś, czego nikt inny nie wykombinuje, chcę, żebyś wiedział, że stanę na głowie, żeby to dla Ciebie zrobić.

Ale tak czy owak, daj mi znać w paru słowach, czy chciałbyś, żebym Cię odwiedził. Jeżeli wolisz, żeby Cię zostawić w spokoju, to oczywiście zrozumiem. Ale byłoby miło się spotkać, choćby dla tej odrobiny sarkastycznego śmiechu – bo czy w naszych czasach możliwy jest inny śmiech?

Anne dołącza się do moich najserdeczniejszych pozdrowień. Jeffrey, trzymaj się!

Twój Alan

5.00 po południu

Jutro wybieram się na salę gimnastyczną. Piszę to tylko po to, żeby na pewno tam pójść.

6.00 wieczorem

Dwie godziny piszę.

8.15 wieczorem

Zgłaszam się do apelu. Od jutra, ponieważ kończę dwutygodniowy okres adaptacji, będę się zgłaszał tylko o jedenastej rano, czwartej po południu i ósmej piętnaście wieczorem. W przyszłości, kiedy podejmę pracę, tylko o ósmej piętnaście rano będę się musiał stawiać osobiście. Doug powiada, że natychmiast odczuję różnicę.

Dzień 104

Wtorek, 30 października 2001

6.01 rano

Piszę przez dwie godziny. Odkąd jestem uwięziony, napisałem 250 000 słów. Niewykluczone, że Alan Coren ma rację.

8.15 rano

Wczoraj przybyło dziesięciu nowych więźniów. Tuż po śniadaniu odbędą wizytę lekarską, potem przyjdą do wydziału zarządzania wyrokami po pakiet informacyjny, a następnie stawią się przed komisją zatrudnienia na rozmowę. Przychodzą jeden po drugim. Jedni są zbyt pewni siebie, wiedzą wszystko, wszystko widzieli, niczego nie muszą się dowiadywać, inni znów są niespokojni, pełni obaw i mają mnóstwo desperackich pytań.

I jest jeszcze Michael Keane (dożywocie, dotychczas odsiedział czternaście

lat, ma lat trzydzieści dziewięć).

Ci z was, którzy przeczytali napisane przeze mnie 250 000 słów, przypominają sobie dwadzieścia dni, jakie spędziłem w Belmarsh, gdzie przy pakowaniu torebek herbaty poznałem Williama Keane'a. Jego brat Michael ma ten sam irlandzki wdzięk, dowcip i umiłowanie literatury, ale proszę pamiętać, że siedmiu braci Keane siedzi jednocześnie w więzieniu, co kosztuje podatników milion funtów rocznie. Michael przekazuje mi serdeczne pozdrowienia od Williama i dodaje, że dziś słyszał, iż ich siostra właśnie została zwolniona z Holloway po odsiedzeniu dziewięciu miesięcy za serię oszustw z kartami kredytowymi. Michael ma nadzieję wyjść w marcu na zwolnienie warunkowe i byłoby to pewne, gdyby wystarczył irlandzki wdzięk, ale niestety, decyzję musi potwierdzić Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a tam urzędnicy zajrzą do akt i nie spotkają się z nim twarzą w twarz. Jego fama wśród braci jest legendarna, kiedy bowiem był w Belmarsh – więzieniu o zaostrzonym rygorze – opróżniając pojemniki na śmieci, dotarł aż do pierwszej zewnętrznej bramy. Dalej niż ktokolwiek, kto próbował uciec z piekła.

10.20 rano

Niechlujny, nieogolony więzień nazwiskiem Potts zgłasza się do biura, żeby potwierdzić, że dzisiaj po południu ma spotkanie z adwokatem. Rzucam okiem na dzienny wykaz i widzę, że prawnik ma się zgłosić o trzeciej. Potts, który właśnie zszedł z trzygodzinnej zmiany w kuchni, uśmiecha się i mówi:

– Do zobaczenia o trzeciej, Jeff.

11.40 rano

Dziesięciu nowo przyjętych więźniów jest już po rozmowach w komisji zatrudnienia; mają przydzielone zajęcia na farmie, w kuchni i w kantynie funkcjonariuszy. Jeden z nich, Kevin (sześć lat za uchylanie się od płacenia VAT), wybrał pełnoetatową pracę w dziale edukacji, bo jest na ostatnim roku prawa.

12.00 w południe

Podczas lunchu Doug pyta mnie, czy złożyłem zamówienie na danie na wynos na weekend. Zdaję sobie sprawę, że mnie wrabia, ale chętnie podejmuję grę. Wtedy Doug opowiada mi historię Bruce'a i Roya, współników przestępstwa.

Bruce prędko się połapał, że nie tylko można się bez trudu cichcem wymknąć z North Sea Camp, ale równie łatwo jest niepostrzeżenie wrócić. Pewnej więc nocy powędrował sześć mil do Bostonu, kupił ryby z frytkami, skradł rower,

wrócił na nim, ukrył rower na farmie i poszedł spać. Taki był początek kwitnącego interesu, zwanego „zamówieniami weekendowymi”. Roy, współlokator Bruce’a, w tygodniu zbierał od więźniów zamówienia na sobotnią kolację (co dzień ostatni posiłek wypada o piątej po południu, więc o dziewiątej wieczorem kiszki marsza grają). Bruce wyruszał na rowerze do Bostonu zaraz po wieczornym apelu, odwiedzał lokalny sklep z rybami i frytkami, McDonald’s lub KFC – o pubie nie wspominając – i za godzinę był z powrotem, żeby podrzucić zamówione dania i być widzianym na korytarzu przed ostatnim apelem o 10 wieczorem.

Interes kwitł przez kilka miesięcy według najlepszych tradycji wolnej inicjatywy. Niestety, zawsze się trafi jakiś niezadowolony klient, który doniesie, i jednej nocy dwaj funkcjonariusze złapali Bruce’a w odległości mili od więzienia, obładowanego jadłem i napitkiem. Następnego ranka przeniesiono go do więzienia kategorii C. Jego kumpel Roy, wiedząc, że wpadka jest kwestią dni, nawiał z całą gotówką i przepadł bez śladu.

2.50 po południu

Potts wraca do SMU na spotkanie z adwokatem. Ogolił się, umył głowę, włożył czystą, uprasowaną koszulę, buty mu lśnią. Mam niemiłe zadanie powiadomienia go, że adwokat przed chwilą telefonował i odwołał spotkanie.

A oto apel do wszystkich solicitorów i barysterów, którzy mają do czynienia z więźniami: wasze odwiedziny mogą być najważniejszym wydarzeniem tygodnia, jeśli nie miesiąca, więc nie odwołujcie ich lekko. Potts odchodzi dróżką przybity, ze zwieszoną głową.

4.00 po południu

Hocking wpada do biura. Mówi mi, że cały korytarz numer cztery w bloku północnym (dziewięć pokoi) został niedawno zrewidowany, gdyż jednemu z funkcjonariuszy zdawało się, że słyszał dzwonek telefonu komórkowego. Posiadanie telefonu komórkowego jest przestępstwem, za które człowiek w tym samym dniu łąduje w więzieniu kategorii C.

4.30 po południu

Piszę przez dwie godziny, czuję się wyczerpany, ale przynajmniej nie muszę już się zgłaszać o dziesiątej wieczorem na apel.

7.00 wieczorem

Dołączam do Douga i Clive'a w szpitalu. Clive mówi, że podczas przedpołudniowego przeszukania nic nie znaleziono. Często bywa, że „usłyszenie telefonu komórkowego” jest tylko pretekstem do rewizji, gdy w rzeczywistości szuka się czegoś innego.

– Oni szukali aparatu fotograficznego, przeschmuglowanego ostatnio przez dziennikarzy – wtrąca się Doug. – Znają nawet nazwisko więźnia, który jest w to zamieszany, a ponieważ mają go zwolnić w piątek, chcą się upewnić, że nie wyniesie rolki zdjęć, bo wtedy by się znaleźli w kłopotliwej sytuacji.

11.40 w nocy

Pottsza zabierają do szpitala w Bostonie; przedawkował narkotyki.

Dzień 106

Czwartek, 1 listopada 2001

6.19 rano

W więzieniu nie myślisz o tym, co możesz osiągnąć w dalszej przyszłości; wszystkie myśli koncentrujesz na dniu jutrzejszym. Kiedy wypada termin następných zakupów w kantynie, bo jest ci potrzebna karta telefoniczna? Czy możesz zmienić zajęcie? Czy podwyższą ci status? Czy przeniosą cię do pojedynczej celi?

Mnie teraz tylko jedno w głowie: czy będę się mógł dostać do Spring Hill? Nie „kiedy” tam się dostanę, ale czy „będę mógł”. W więzieniu „kiedy” następuje po „móc”.

8.30 rano

Dziś przybyło piętnastu nowych więźniów, wśród nich major Willis, który ma sześćdziesiąt cztery lata. Ciekaw jestem, co zmalował.

Willis, Clarke (sprzątacznik) i ja nie musimy pracować, bo przekroczyliśmy sześćdziesiątkę. Jednak Willis wyraźnie daje do zrozumienia, że zależy mu na pracy, i komisja przydzieliła go do warsztatów (prace techniczne).

9.30 rano

Hocking, funkcjonariusz więziennego oddziału ochrony, wpada na filiżankę herbaty. Mówi mi, że Braithwaite, u którego w pokoju znaleziono aparat fotograficzny, jest teraz w drodze do więzienia w Lincoln. Winowajczynią jest „Mail on Sunday”. Do miejscowej policji wysłano stosowne dokumenty, gdyż zachodzi podejrzenie, że udzielono więźniowi pomocy w dokonaniu przestępstwa.

12.30 po południu

Telefonuję do Alison. Mary została zaproszona na uroczystość złotych godów Margaret i Denisa Thatcherów w dniu 13 grudnia. James wybiera się w długą podróż, żeby mnie odwiedzić w sobotę.

7.15 wieczorem

Doug mówi mi, że jego znajomy w biurze administracji Spring Hill nie jest pewien, czy tam mnie zechcą. Założyłbym się, że Doug będzie znał mój los dużo wcześniej niż funkcjonariusze w North Sea Camp.

8.15 wieczorem

W korytarzu numer sześć wybucha bójka. Poszło o nieszczęsnego młodego człowieka, który od czternastego roku życia jest heroinistą. Jutro rano ma wyjść na wolność. Uroczystości pożegnalne są w więzieniu dość powszechne, a ich forma świadczy o popularności więźnia. Temu więźniowi wylano kubeł gówna na głowę i spalono mu przed nosem jego dokumenty zwolnienia. Na końcu bocznego korytarza znajduje się stanowisko obserwacyjne, a najbliższy strażnik siedzi w biurze na końcu głównego korytarza i czyta gazetę, więc można być pewnym, że póki się nie wybierze w obchód, upokarzanie nieszczęśnika nie ustanie.

Kiedy przychodzę do szpitala, mówię Dougowi, jak się więzień nazywa. Doug odpowiada bez zdziwienia:

– Ten chłopak nie dożyje czterdziestki.

10.30 wieczorem

W drodze powrotnej do swojego pokoju mijam w korytarzu Alana (paserstwo). Pyta, czy mógłby zostawić u mnie małego drewnianego konika na biegunach, bo jego pokój, w którym mieszka jeszcze dwóch współlokatorów, jest przeladowany. Zapłacił za tę zabawkę dwadzieścia funtów (ktoś z wolności przesłał pieniądze przekazem pocztowym żonie więźnia, który ją wyrzeźbił). To podarunek dla jego wnuczka, który ma rok i dwa miesiące.

Kiedy piszę ten dziennik, mam przed sobą kilka kartek od moich sympatyków, ceramiczny model Old Vicarage, fotografię Mary i chłopców i jeszcze tego konika na biegunach.

Alan ma wyjść na wolność za dwa tygodnie, a kiedy będzie opuszczał więzienie, nikt mu nie wyleje ekskrementów na głowę. Więźniowie ustawiają się w kolejce, żeby wymienić uścisk ręki z tym zacnym człowiekiem.

Dzień 107

Piątek, 2 listopada 2001

6.19 rano

Samowolne oddalenie się poza teren więzienia to zjawisko występujące w zakładach karnych kategorii D. Ucieczka z więzienia kategorii A lub B jest prawie niemożliwa i nawet z więzienia kategorii C (jak Wayland) nadzwyczaj trudna. Więzień może zostać zakwalifikowany do kategorii D, jeżeli się uzna, iż odsiedzi cały wyrok, nie próbując się oddalić z więzienia otwartego. Jednak w praktyce więzienia są tak przepelnione, że zakłady kategorii C (bardzo zależy im na opróżnieniu cel) często pozbywają się więźniów, których nie powinno się umieszczać w więzieniu kategorii D.

Grupa jedenastu takich więźniów została przyjęta z więzienia Lincoln w zeszłym roku i jeszcze przed ostatnim apelem owego dnia stopniała do siedmiu osób. Dziś odkryłem, że z powodu ciągłego braku personelu nocną służbę pełni tylko pięciu strażników, przy czym dwóch pracuje w nadgodzinach, zatem nietrudno się wymknąć z więzienia.

Więźniowie podejmują to ryzyko z tysiąca i jednej różnych przyczyn, ale przede wszystkim pod presją sytuacji rodzinnej – bo żona ma romans, partnerka zabiera dzieci, umiera ktoś z krewnych, a więźniowi nie przysługuje na pogrzeb urlop okolicznościowy. Paradoksalnie, tych akurat więźniów najłatwiej schwytać, gdyż najpierw pojawiają się w siedzibie rodziny, a tam już czeka na nich dwóch miejscowych policjantów, którzy eskortują ryzykantów z powrotem do więzienia zamkniętego, gdzie spotyka ich dodatkowa kara.

Dobrze im tak, mają, na co zasłużyli, powiedziałbym, zanim mnie wysłano do więzienia. Jednak teraz, po 106 dniach intensywnej nauki, wiem, że każdego powinno się osądzać indywidualnie. Zgadza się, że powinni zostać ukarani, ale rzadko można stosować jednoznaczne oceny.

Jest jeszcze jedna, całkiem inna kategoria więźniów, którzy oddalają się

samowolnie z otwartego więzienia. To cudzoziemcy. Po prostu chcą wrócić do swojego kraju i wiedzą, że policji brytyjskiej brak czasu i środków, żeby ich poszukiwać.

Na każdą grubą rybę jak Ronnie Biggs przypada sto małych płotek.

New opowiada mi o dwóch takich zbiegach, którzy przeszli do legendy North Sea Camp. Kilka lat temu w Bostonie zorganizowano maraton, z którego dochód miał wspomóc lokalną organizację charytatywną opiekującą się chorymi na raka. Trasa prowadziła przez dróżkę biegnącą po wschodniej stronie więzienia. Jeden z więźniów w stroju biegacza wymknął się z sali gimnastycznej, dołączył do biegnących sportowców i od tamtej pory nikt go nie widział.

Bohaterem drugiej opowieści jest więzień, który odsiadując sześćoletni wyrok za pierwsze przestępstwo, musiał się stawić w sądzie, oskarżony o następne. Kiedy sędziowie przysięgli powrócili, żeby ogłosić werdykt, strażnicy czekali na więźnia obok cel na parterze. Przysięgli uniewinnili go z drugiego zarzutu. Sędzia oznajmił:

– Jest pan wolny i może pan opuścić sąd.

Co więzień uczynił.

Poruszam ten temat, ponieważ Potts, który miał pechowy tydzień, wymknął się wczoraj z więzienia po dokonaniu próby samobójczej. Jak się okazało, kroplą, która przepełniła kielich, była sprawa opieki nad jego dziećmi – o tym chciał porozmawiać ze swoim adwokatem.

8.15 rano

Po wczorajszym gorączkowym pośpiechu, kiedy musieliśmy przyjąć piętnastu nowych więźniów, dziś jest dość spokojnie. Zagląda Allen (marihuana, sześć lat), żeby mi powiedzieć, że papiery uprawniające go do przepustki weekendowej wciąż nie są podpisane, a to najbliższy weekend. Funkcjonariusz Hayes załatwia to od ręki. Thomas (posiadanie broni, która wypaliła) skarży się, że dokument uprawniający go do wizyty w mieście nadal jest niepodpisany, i pyta, ile jeszcze musi czekać, żeby się dowiedzieć, czy dostanie pozwolenie. Hayes to załatwia. Merry (przywłaszczenie) wciąż nie wie, czy Grupa 4 przewiezie go do Sudbury, bliżej rodziny. Hayes załatwia sprawę.

Hayes to niezwykły funkcjonariusz. Nie boi się podejmować decyzji i trzymać się ich. Także sam robi sobie herbatę. Kiedy go pytam dlaczego, mówi:

– Pan jest tu nie po to, żeby mnie obsługiwać, tylko żeby odsiedzieć wyrok. Sam się obsłużyć.

10.00 rano

Zgadamy się z Hockingiem, że lepiej, żeby dziennikarze zrobili mi zdjęcie i sobie poszli, bo wtedy szczupły oddział ochrony będzie się mógł skupić na swoich zadaniach.

Wychodzę z budynku i specjalnie zatrzymuję się na pogawędkę z Peterem (dożywocie, podpalenie), który zmiata liście z dróżki. Stoi tyłem do fotografów. Trzy minuty później wracam do budynku, a wszyscy fotografowie ulatniają się bez śladu.

12.00 w południe

Major Willis przychodzi do biura i oddaje mi swoją czerwoną teczkę więźnia w okresie adaptacji. Mówi mi, że ma sześćdziesiąt cztery lata, że to jego pierwsze przestępstwo, ciężkie uszkodzenie ciała, za co skazano go na rok więzienia, i że zostanie zwolniony w marcu. Służył w wojsku w randze majora, a gdy przeszedł na emeryturę, zakochał się w młodej Nigeryjce (prostytutce), którą poślubił. Wkrótce zaczęła go tyranizować i wydawać jego skromną emeryturę. Nadszedł dzień, kiedy nie mógł już tego znieść, wpadł w furję i dźgnął kobietę nożem. Zawiadomiła policję. Willis odsiedzi w sumie dziesięć miesięcy (jeżeli otrzyma zgodę na zwolnienie z lokalizatorem), z czego pół roku w North Sea Camp.

Nie pojmuje, dlaczego dostałem cztery lata.

2.30 po południu

Spokojne popołudnie. Przelotna wizyta Berlina, który chce sprawdzić, czy noszę więzienną koszulę, gdyż prasa z uporem donosi, że moja jest nieregulaminowa. Sprawdza biało-niebieską naszywkę z napisem „Więzienie Jej Królewskiej Mości” i wychodzi zadowolony.

9.00 wieczorem

Zasypiam przed telewizorem. Doug powiada, że chrapię. Piszę pięć godzin dziennie, pracuję trzydzieści cztery godziny tygodniowo i nawet nie odwiedzam sali gimnastycznej.

Dzień 108

Sobota, 3 listopada 2001

Kilkakrotnie pisałem o nudzie weekendów, ale dzisiejsze wydarzenia

wyrwały mnie z apatii i zmusiły do gorączkowej krzątaniny.

8.50 rano

Wrócili fotoreporterzy. Albo nie udało im się zrobić dobrych zdjęć, albo chcą mieć najnowsze ujęcie dla niedzielnych wydań gazet. Zgadzam się z sugestią Berlyna, zastępcy naczelnika, i pokazuję się tym sępom na chwilę, żeby się ich pozbyć raz na zawsze. Zdaje się, że Berlyn jest mi wdzięczny.

2.00 po południu

Spodziewam się odwiedzin mojego syna Jamesa. Nie dostrzegam go, kiedy wchodzę do pokoju dla gości, ale po chwili widzę, że ktoś do mnie macha. Okazuje się, że to James. Zapuścił brodę. Nie cierpię tego i mówię mu to, co jest trochę szorstkie, zwłaszcza że właśnie przejechał 120 mil, żeby się ze mną widzieć.

James opowiada, że moi adwokaci koncentrują się na apelacji. Barkerowie potwierdzają, że na przyjęciu słyszeli, jak sędzia wygłaszał opinie na mój temat ponad rok przed moim aresztowaniem. To mogłoby zmienić wynik apelacji.

5.00 po południu

Pijemy z Dougiem herbatę w szpitalu, kiedy wchodzi Clive i oznajmia, że się przენosi do innego pokoju.

– Dlaczego? – pytam. Przecież ma największy pokój w więzieniu.

– Bo w innych pokojach zakładają instalację elektryczną. – Nie mogę uwierzyć, że Clive odda swój olbrzymi pokój w zamian za możliwość oglądania telewizji. – Jeffrey, jeżeli chcesz się wprowadzić, to lepiej chodź do bloku południowego.

Idziemy wszyscy na poszukiwania dyżurnego strażnika, który się zgadza na przeprowadzkę. Przez następne dwie godziny przy pomocy Alana (paserstwo) przenoszę mój dobytek z bloku północnego do południowego, Clive natomiast przeprowadza się do małego pojedynczego pokoju na drugim końcu korytarza.

Rezyduję teraz w pokoju mającym dwadzieścia jeden na szesnaście stóp. Większość więźniów przypuszcza, że sporo zapłaciłem Clive'owi, żeby się wyniósł i zrobił mi miejsce. Jest tylko jeden minus. Zawsze jakiś musi być. Moja nowa siedziba graniczy z salą telewizyjną, ale ponieważ zamyka się ją o 10.30 wieczorem, a ja rzadko wychodzę od Douga przed wpół do jedenastej, to nie spodziewam się kłopotów.

Mam teraz interesującą pracę, lepszy pokój, jadalne potrawy i osiem i pół funta tygodniowo. Czego jeszcze można pragnąć?

Dzień 109

Niedziela, 4 listopada 2001

6.19 rano

Piszę przez dwie godziny, a potem wybieram się do Douga do szpitala. Oglądamy w telewizji Davida Frosta, wśród którego gości jest szef policji Irlandii Północnej, sir Ronnie Flanagan. Kiedy rozmowa schodzi na poranne gazety, sir Ronnie mówi, że fotografowanie mnie przez dziennikarzy brukowców, kiedy siedzę w więzieniu, jest naruszeniem mojej prywatności. Zdjęcia są udane, ale artykuły wprost niedorzeczne.

Funkcjonariusz z oddziału ochrony później zauważa, że w dwu gazetach teksty są podpisane przez kobiety, a w ciągu ostatnich trzech tygodni nikt nie widział w North Sea Camp żadnej dziennikarki ani fotoreporterki.

12.00 w południe

Podczas lunchu siedzę naprzeciwko Andy'ego. Rzadko w więzieniu można się na kogoś takiego natknąć; Andy przez dziesięć lat pracował w więziennictwie. Odsiaduje siedmioletni wyrok, jaki dostał za szmuglowanie narkotyków dla więźnia. Andy mówi, że zrobił to tylko dlatego, że ów więzień zagroził, iż pobije jego córkę. Wyszła za mąż za byłego więźnia.

„Chyba w to nie uwierzyłeś, Jeffrey?” – słyszę wasze pytanie. Owszem, uwierzyłem.

Policja dostarczyła przysięgłym niezbitych dowodów, że córce Andy'ego rzeczywiście grożono, i zwróciła się do sędziego z prośbą, żeby wziął to pod uwagę przy wydawaniu wyroku. Wprawdzie Andy twierdzi, że nie wiedział, co było w przesyłkach, ale ostatnia, którą przeszmurował, pudełko z czekoladkami Cadbury'ego, zawierała cztery gramy czystej heroiny.

Gdyby to były kanabinole, pewno by go zasądono na rok albo półtora roku. Gdyby się nie przyznał, mógłby dostać wyrok z zawieszeniem. Mówi mi, że wiedział, że w końcu go złapią, i kiedy wreszcie wezwano go na przesłuchanie, pragnął to wszystko z siebie wyrzucić. Początkowo Andy'ego wysłano do Gartree (więzienie kategorii B), nadawszy mu nową tożsamość i zmieniwszy mu przestępstwo w aktach na inne. Zabrano go stamtąd, gdy został rozpoznany przez pewnego recydywistę. Stamtąd przeniesiono go do Swalesdale, gdzie przetrwał

dwadzieścia cztery godziny. Potem został przerzucony do Elmsley, więzienia dla przestępców seksualnych; tam przebywał w celi na tym samym piętrze co Roy Whiting, skazany za zamordowanie Sarah Payne. Kiedy Andy zakwalifikował się do kategorii D, przybył do North Sea Camp, gdzie odsiedzi karę do końca.

Jedyna uwaga, jaką jeszcze dorzuca, uwaga, którą wielokrotnie słyszałem i dlatego uważam, że jest godna powtórzenia, brzmi:

– Przestępcy seksualni żyją w o wiele lepszych warunkach niż inni więźniowie.

Dzień 110

Poniedziałek, 5 listopada 2001

8.28 rano

Kiedy byłem członkiem parlamentu, często słyszałem opinię, że dożywocie powinno znaczyć dożywocie. Przypomniało mi się to, gdyż dzisiaj w wydziale zarządzania wyrokami zbiera się komisja do spraw więźniów skazanych na dożywocie.

W North Sea Camp jest dziewięciu takich więźniów i można mieć pewność, że skoro osiągnęli kategorię D, nie będą myśleć o samowolnym opuszczeniu więzienia. W istocie są całkowicie nieszkodliwi. Dwaj wychodzą codziennie do pracy w domu starców, jeden do biblioteki w Bostonie, a jeszcze jeden do sklepu Oxfam.

Linda, ich kuratorka sądowa, w porannej przerwie wypija z nami kawę. Linda wzbogaca obserwacje, które prowadzę od trzech miesięcy. Zacząłem moje życie więzienne w Belmarsh w części skrzydła z dwudziestoma trzema mordercami. Więźniowie dożywotni są bardzo zróżnicowani; od bezwzględnych zabójców, jak Denis Nielsen, który przyznał się do zamordowania trzynastu ofiar, do Chrisa, który w ataku furii zabił żonę, zastawszy ją w łóżku z innym mężczyzną – już czternaście lat żałuje swojego czynu. Nielsen zaczął i skończy odsiadywać wyrok w zakładzie kategorii A o najostrzejszym rygorze. Obecnie jest zamknięty na oddziale specjalnym, gdzie obowiązują zaostrzone środki bezpieczeństwa, jest to jakby więzienie w więzieniu. Jeżeli przemieszcza się dokądkolwiek wewnątrz więzienia, zawsze towarzyszą mu dwaj funkcjonariusze z psem i jest przeszukiwany, ilekroć opuszcza swoją celę albo do niej wraca. Na noc wyklada swoje ubranie na zewnątrz, za drzwi celi, a rano otrzymuje je z powrotem od strażnika. Nielsen kilka razy powiedział do New, przełożonego funkcjonariuszy, że

dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby go powiesili.

Obecnie, kiedy terrorystów z IRA już się nie zamyka w Anglii, z 1800 morderców w areszcie tylko siedmiu jest na oddziale specjalnym.

Otóż Chris, który zabił żonę, znajduje się na drugim końcu skali. Osiągnął kategorię D po jedenastu latach i pracuje w kuchni. Ma dostęp do kilku narzędzi, za pomocą których mógłby zabić albo okaleczyć. Zaledwie wczoraj widziałem, jak siekał mięso – i to sprawnie. Liczy na to, że komisja do spraw zwolnień warunkowych zgodzi się wypuścić go na wolność za osiemnaście miesięcy. W ciągu ostatnich jedenastu lat awansował od kategorii A do D, przeszedłszy przez siedemnaście więzień, w tym trzy podczas jednego weekendu, kiedy zawieziono go do Preston, Swalesdale i Whitemoor, gdzie nie było dla niego celi.

Dziś w North Sea Camp zostaną przeprowadzone rozmowy ze wszystkimi dziewięcioma dożywotniakami, po czym pośle się sprawozdania do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które się na nich oprze przy podejmowaniu decyzji, czy wypuścić ich na wolność. Ostatecznie decyduje ministerstwo; jest tradycyjnie dość zachowawcze i akceptuje około sześćdziesięciu procent rekomendacji komisji. Komisja zbiera się o dziewiątej rano, kiedy do Lindy, kuratora sądowego więźniów, dołącza zastępca naczelnika Berlyn, psychiatra Christine i funkcjonariusz z oddziału dożywotnich.

Pierwszy staje przed komisją Peter, ten, który podpalił posterunek policji. Siedzi od trzydziestu jeden lat i, prawdę mówiąc, jest to bezradne chłopisko, tak bardzo odwykłe od samodzielności, że prawdopodobnie komisja będzie musiała go przenieść prosto do domu starców. Peter powiedział mi, że musi jeszcze odsiedzieć przynajmniej osiemnaście miesięcy, zanim komisja zechce rozważyć jego sprawę. Wątpię, czy kiedyś wyjdzie na wolność – chyba w trumnie.

Następny przed komisją staje Leon.

Największym problemem skazanych na dożywocie są ich notowania w więzieniu. W ciągu pierwszych dziesięciu lat odsiadki nie widzą światła w tunelu, więc groźba dwudziestu ośmiu dni dodanych do wyroku nie jest żadnym straszakiem. Po dziesięciu latach, mówi Linda, ich postawa często zmienia się diametralnie, co się zbiega z przeniesieniem do kategorii B, a potem do C. To się zaznacza jeszcze wyraźniej, kiedy w końcu osiągają kategorię D i nagle zaczynają wierzyć w możliwość zwolnienia. Nawiasem mówiąc, prawie się nie zdarza, żeby więzień skazany na dożywocie wymknął się samowolnie z więzienia. Nie tylko przeniesiono by go z powrotem do więzienia zamkniętego kategorii A, lecz możliwe, że nigdy więcej nie miałby szans na zwolnienie warunkowe.

Jednakże większość dożywotniaków stających dzisiaj przed komisją wiodła raczej nienaganną egzystencję przez ostatnich pięć lat, chociaż często, na pamiątkę początkowych dziesięciu lat w więzieniu kategorii A, mają szramy, wybite zęby i złamane kości.

Tego dnia wszyscy wchodzą potulnie, żeby stanąć przed obliczem komisji. Żadnej butnej miny, przekleństw czy niewłaściwej postawy; to mogłoby oddalić o kolejny rok szansę wyjścia na wolność.

Za Leonem idzie Michael, potem Chris, Roger, Bob, John, John i John (w powieści zbieżność nie do przyjęcia). Pod koniec dnia wychodzi Linda, wyczerpana. Trzeba dodać, że oni wszyscy ją wielbią. Linda nie tylko zna historie życia więźniów w najdrobniejszych szczegółach, ale również traktuje ich jak istoty ludzkie.

4.00 po południu

Jeszcze tylko jeden epizod wart dziś odnotowania – pojawienie się w SMU człowieka, który w wypadku drogowym zabił kobietę i został skazany na trzy lata za niebezpieczną jazdę. To łagodny w obejściu facet, ten, co prosił, żebym mu pomógł przy jego książce o Kurdystanie. New mówi mi, że przeniosą go do innego więzienia. Mąż jego ofiary mieszka w Bostonie, a ponieważ więzień ma wyjść na pierwszą wizytę do miasta, mężczyzna się sprzeciwił, argumentując, że mógłby się na niego natknąć.

Więzień przychodzi do mnie po spotkaniu z New. Z rezygnacją przyjmuje decyzję komisji. Zgadza się, że rodzina ofiary ma pełne prawo, żeby żądać jego przeniesienia. Najwyraźniej dręczy go poczucie winy i widać będzie przeżywał ten okropny wypadek do końca życia, więc odruchowo staram się go pocieszyć. Prawdę mówiąc, jest inny od reszty więźniów skazanych na dożywocie.

10.00 wieczorem

To musi być Dzień Guya Fawkesa¹¹, bo przez moje okienko widzę fajerwerki nad Bostonem.

Dzień 111

Wtorek, 6 listopada 2001

5.49 rano

Dziś cały North Sea Camp żyje wielką nowiną: od pierwszego listopada więzienie ma zostać przekształcone w zakład przystosowawczy. (Niewątpliwie zauważyliście, że jest szósty listopada). Zmiana statusu oznacza ratunek dla North

Sea Camp, któremu od kilku lat groziło zamknięcie.

„Przystosowanie” oznacza po prostu, że z chwilą gdy więzień osiągnie formalnie możliwy termin zwolnienia warunkowego (w moim przypadku – lipiec przyszłego roku), pozwala mu się podjąć pracę poza więzieniem w wymiarze pięćdziesięciu pięciu godzin tygodniowo, nie wliczając czasu na dojazdy. Atmosfera w więzieniu całkiem się zmieni, kiedy koledzy z celi staną się kolegami na wolności. Będą opuszczać więzienie co dzień między siódmą i ósmą rano i wracać nie wcześniej niż przed siódmą wieczorem.

Więźniowie będą mogli zarobić od 150 do 200 funtów tygodniowo, tak jak zarabia Clive, który pracuje na stanowisku kierownika produkcji w Exotic Foods. Ciekawe, jak prędko North Sea Camp wprowadzi w życie to nowe zarządzenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

8.30 rano

Dzisiaj mamy siedmiu nowych więźniów, którzy o 11.21 są już po rozmowie wprowadzającej i mają przydzielone stanowiska pracy. Moja praca w charakterze pomocnika w SMU przebiega bez zakłóceń, chociaż, jak mówi Matthew, jeden z funkcjonariuszy mu się skarżył, że w pierwszym tygodniu podawałem najgorszą herbatę, jaką pamięta. Ale teraz, kiedy już umiem robić tak, żeby listki herbaty nie wpadały do kubka, potrzebuję nowych wyzwania.

2.30 po południu

New uprzedza mnie, że więzienie jest przepelnione i niewykluczone, że wstawią mi do pokoju drugie łóżko. Kierownictwo więzienia nie chce, żeby ktoś dzielił ze mną pokój, zwłaszcza po tym, jak „News of the World” opisało na trzech stronach historię życia mojego ostatniego, nieszczęsnego współlokatora. Chodzi tylko o pokazanie innym więźniom, że moje przestronne pomieszczenie nie jest pojedynką.

5.00 po południu

Piszę, a dokładniej pracuję nad szóstą wersją mojej najnowszej powieści *Synowie fortuny*.

7.00 wieczorem

Oglądamy z Dougiem wiadomości Channel 4. Podczas konferencji prasowej Davida Trimble’a po ponownym mianowaniu go premierem w Stormoncie

wybucho bójka. Gdyby to, co oglądam w telewizji, działo się w North Sea Camp, oni wszyscy utraciliby swoje przywileje i zostali odstawieni do więzienia zamkniętego.

Doug, który ma idealne wycucie chwili, czeka, aż wiadomości się skończą, i dopiero wtedy dzieli się sensacyjną nowiną. Comiesięczne zebranie rady więziennej – składającej się w równej części z członków personelu i więźniów – odbędzie się w najbliższy piątek. Naczelnik pełni funkcję przewodniczącego rady, a wśród pięciu przedstawicieli więźniów znajdują się Doug i Clive; dwóch ludzi, którzy rozumieją tajniki władzy, jakkolwiek ograniczonej. Doug mówi, że głównym tematem zebrania będzie sprawa zmiany więzienia w „przystosowawcze” i że zamierza się starać o pracę w swojej firmie transportowej w hrabstwie Cambridge. Jego wniosek spełnia zalecane kryteria, gdyż March znajduje się w promieniu pięćdziesięciu pięciu mil. Jest to też praca, do której wróci po wyjściu na wolność, uwalniając żonę z obowiązku kierowania przedsiębiorstwem w czasie, kiedy on odsiadyuje karę.

A teraz o konsekwencjach. Zwolni się zajmowane przez niego stanowisko sanitariusza – najbardziej łakome w więzieniu. Doug wyraźnie daje do zrozumienia, że gdybym chciał tej pracy, to on chętnie zarekomenduje mnie Lindzie, która już napomknęła, że się zgodzi. Oznaczałoby to dla mnie przeprowadzkę do szpitala i wprawdzie pracowałbym siedem dni w tygodniu, ale bym zarobił o 3 funty 20 pensów więcej, tak że razem z moimi własnymi dziesięcioma funtami miałbym ponad 20 funtów tygodniowo na wydatki w kantynie.

Jednak największym plusem byłby luksus spania w szpitalu, gdzie jest pokój z łazienką, szesnastocalowym telewizorem i lodówką. To przerasta moje nadzieje i mogłoby nawet mnie skusić, żebym został w North Sea Camp – hm, przynajmniej do formalnie możliwego terminu zwolnienia warunkowego.

Dzień 112

Środa, 7 listopada 2001

5.58 rano

Wołają go Mick Kluczyk. Przybył wczoraj i gdyby nie to, że odmówiono mu pracy w kuchni, chyba nigdy bym nie poznał jego historii. Nawet teraz nie jestem pewien, na ile mogę w nią uwierzyć.

Pierwotnie skazany na dwa lata za kradzież z włamaniem, Mick obecnie

odsiaduje dziewiąty rok. Tylko na ostatnie trzy miesiące zaryzykowano przeniesienie go do więzienia kategorii D. Powód jest prosty. Mick lubi uciekać albo pomagać innym w ucieczce, a ma jedną szczególną umiejętność, która jest w tym przydatna. Wystarczy, że raz spojrzy na klucz, i już umie go skopiować. Najpierw zapamiętuje jego kształt, potem rzuca obrys na papier i przenosi go na kostkę więziennego mydła. Tak powstaje odcisk klucza. Drugi etap to odtworzenie go w plastiku przy wykorzystaniu więziennych noży i widelców. Potem Mick pokrywa świeżo ukształtowany klucz grubą warstwą lakieru, który przynosi z warsztatów więziennych. Następnego dnia ma gotowy klucz.

W latach spędzonych w więzieniu Mick potrafił otworzyć drzwi nie tylko swojej celi, ale również wszystkich innych. Jest faktem, że kiedy był w Whitemoor, więzienie zamknięto na dwadzieścia cztery godziny, bo trzeba było zmienić zamki we wszystkich 500 celach.

Wydostanie się z więzienia to tylko połowa uciechy, jak mówi ten czarujący Irlandczyk.

– Możliwość wejścia do kuchni, magazynu, nawet do biura naczelnika, dowartościowuje człowieka. Właściwie największym wyzwaniem było dla mnie otworzenie w niecałą godzinę szpitalnej szafki z lekarstwami.

W tym wypadku funkcjonariusze więzienni wiedzieli, kto był sprawcą, ale ponieważ nic nie zginęło (Mick powiada, że nigdy w życiu nie tknął narkotyku), można go było tylko podejrzewać, ale nie udowodniono mu winy.

Niektóre z więziennych kluczy są zbyt duże i skomplikowane, żeby je podrobić w więzieniu, więc Mick, niezrażony, zaczął chodzić na zajęcia plastyczne. Szkicował kontury dachów Nowego Jorku, Dallas i Chicago, a potem posyłał je bratu do domu. Upłynęło parę tygodni, zanim niepodejrzewający niczego nauczyciel pojął, co się święci. Strażnicy przechwycili pakiet z kluczami, wniesiony do więzienia przez siostrę Micka. Jakim pożytecznym kolegą byłby Mick w Colditz¹²!

Mick mówi mi, że ma nadzieję dostać pracę w kuchni, gdzie zamierza zachowywać się przyzwoicie, bo chce, żeby go zwolniono za dwanaście tygodni.

– W każdym razie – dodaje – popsułbym sobie opinię, gdybym uciekł z otwartego więzienia.

Komisja zatrudnienia odrzuciła prośbę Micka o pracę w kuchni; w końcu jest tam kilka kredensów, chłodni i lodówek, które dla niego stanowiłyby zbyt dużą pokusę, bo wszystkie są zamykane. Opuszcza budynek z uśmiechem na ustach.

– Skierowali mnie na farmę – oznajmia. – Nie lękają się, że się włamię do chlewu. Przy okazji, Jeff, gdybyś kiedyś potrzebował się dostać do gabinetu naczelnika i zajrzeć do swoich akt, daj mi znać.

10.00 rano

W moim pokoju pojawiło się dodatkowe łóżko, ponieważ dwa boczne korytarze są tymczasowo nieczynne, gdyż montuje się tam gniazda do telewizorów. Dziś się dowiedziałem, że od więźniów pobiera się opłatę w wysokości funta tygodniowo za wypożyczenie telewizora i że North Sea Camp osiąga z tego tytułu roczny zysk w wysokości 10 000 funtów. W Wayland podobno zarabiają 30 000. Wolna inicjatywa w najlepszym wydaniu. Jednak głównym celem tego zapisku jest podzielenie się z wami wiadomością, że wkrótce będę miał współlokatora.

2.40 po południu

New wzywa mnie do biura. Przed chwilą miał telefon od swojej odpowiedniczki w Spring Hill, która zapytała, czy wiem, że jeżeli zostanę tam przeniesiony, będę musiał z kimś dzielić pokój.

– Tak – odpowiadam.

– A czy można potwierdzić, że stara się pan o przeniesienie głównie dlatego, żeby oszczędzić swoim bliskim trudu pokonywania w sumie dwustu pięćdziesięciu mil za każdym razem, kiedy chcą pana odwiedzić?

– Tak – mówię.

– Przewidziałem pańskie odpowiedzi – rzecze New, skinąwszy głową. – Co prawda decyzja jeszcze nie zapadła, ale pierwsze miejsce zwolni się dwudziestego ósmego listopada.

Nagle trzeba dokonać wyboru. Czy powinienem zostać w North Sea Camp jako sanitariusz z własnym pokojem, telewizorem, łazienką i lodówką? Czy przenieść się do Spring Hill i być bliżej rodziny i przyjaciół? Muszę to omówić z Mary.

5.00 po południu

Wracam do swojego pokoju, żeby pisać przez dwie godziny; na razie nie pojawił się żaden lokator, żeby zająć drugie łóżko.

6.42 wieczorem

Wchodzi mój nowy współlokator w towarzystwie dwóch przyjaciół. Ma na imię Eamon i sprawia dość miłe wrażenie. Zostawiam go, żeby się rozlokował.

Wkraczam do szpitala i widzę na twarzy Clive'a szeroki uśmiech. On spędził w tym pokoju jedenaście miesięcy i nie musiał go z nikim dzielić choćby przez jedną noc. Ja nie dociągnąłem nawet do jedenastu dni.

Dzień 113

Czwartek, 8 listopada 2001

8.15 rano

Śniadanie. Wendy, szefowa kuchni, żąda, żeby komisja zatrudnienia przysłała jej trzech pracowników.

- Ale przecież wczoraj mówiłaś, że masz za dużo personelu.
- Tak – odpowiada, z rękami na biodrach – ale to było wczoraj, a dziś rano musiałam wyrzucić trzech nicponi.
- Dlaczego? – pytam z nadzieją w głosie.
- Wiedziałam, że zapytasz – mówi – i powiem ci, bo wiem, że wcześniej czy później i tak się dowiesz. Wczoraj rano posadziłam całą trójkę, żeby oskubali kurczaki, a wieczorem brakowało mi dwóch. Nie wiem, kto je ukradł, ale w mojej kuchni stosuję odpowiedzialność zbiorową, więc wyrzuciłam wszystkich.

9.30 rano

Dziś przychodzi ośmiu nowych więźniów na rozmowy wprowadzające, w tym mój współlokator Eamon. Wydaje się, że w poprzednim więzieniu pracował w kuchni, ale na wolności jest przedsiębiorcą budowlanym. Ma zostać zwolniony w styczniu i chce pracować na powietrzu podczas miesięcy zimowych, żeby się zahartować. Brzmi to logicznie, więc radzę, żeby się zdecydował na farmę.

10.00 rano

Eamon dostał pracę, jakiej chciał. Znajduję też trzech nowych pracowników dla Wendy, a już o 10.39 członkowie komisji piją kawę. Potrzebuję nowych wyzwania.

12.00 w południe

Lunch. Siedzę obok nowego więźnia funkcyjnego, pełniącego dyżury podczas odwiedzin, który mówi, że „na wywczasie” był fryzjerem w Leicester. Brał dwadzieścia siedem i pół funta za strzyżenie, ale tu w więzieniu chętnie raz w miesiącu obetnie mi włosy w zamian za kartę telefoniczną. Następny problem rozwiązany.

2.30 po południu

Ze Spring Hill przysłano faks z pytaniem o mój najnowszy plan odbywania kary; nie można go uaktualnić, dopóki nie odsiedzę w North Sea Camp dwudziestu ośmiu dni. Te plany są częścią historii więźnia i stanowią ważny element przy rozpatrywaniu sprawy zwolnienia warunkowego. Komisje nadzorujące plan odbywania kary zbierają się prawie każdego popołudnia pod kierownictwem New i Simpsona. Ja mam stanąć przed taką komisją dwudziestego listopada. New natychmiast przyspiesza termin o tydzień, na dwunastego listopada – czyli przyszły poniedziałek, dwudziesty dziewiąty dzień mojego pobytu w North Sea Camp, i obiecuje, że od razu po południu przefaksuje wyniki do Spring Hill. Ciekaw jestem, jaką tym razem wymyślą wymówkę.

3.30 po południu

Zagląda Berlyn (zastępca naczelnika), żeby ponarzekać, że pierwszy raz od lat więzienie jest przepelnione. Mówi, że to moja wina.

– Jak to? – pytam.

– „News of the World” nazwało North Sea Camp najbardziej komfortowym więzieniem w Wielkiej Brytanii, no i teraz każdy więzień, który się kwalifikuje do zakładu kategorii D, tu się pcha. Między innymi dlatego mam nadzieję, że przyjmą pana do Spring Hill – ciągnie – bo wtedy będziemy mogli zrzec się na ich rzecz tego wątpliwego wyróżnienia. Nawiasem mówiąc – dodaje – niech pan nie liczy na szybkie przeniesienie, bo ktoś na górze – (tak się w więzieniu mówi o Ministerstwie Spraw Wewnętrznych) – chce tu pana przytrzymać.

4.00 po południu

John (dożywocie, morderstwo) przychodzi do SMU z bardzo atrakcyjną kobietą, którą przedstawia jako swoją partnerkę. Jestem zaintrygowany. Jeżeli John zamordował żonę i od czternastu lat tkwi w więzieniu, to jak może mieć partnerkę?

5.00 po południu

Wracam do pokoju i piszę przez dwie godziny, zadowolony z nieobecności Eamona. Nie wiem, czy to dlatego, że jest ze swoimi przyjaciółmi z Derby, czy też jest aż tak uprzejmy. Dziś rano oznajmił, że nie ma nic przeciwko temu, żebym zapalał światło o szóstej rano.

– Pracuję w budownictwie – wyjaśnił – więc przywykłem wstawać o wpół

do piątej.

Czuję, że powinienem dodać, że nie pali, nie przeklina i jest dobrze wychowany. Wciąż nie wiem, dlaczego znalazł się w więzieniu.

7.15 wieczorem

W szpitalu zastaję Douga i Clive'a zagłębionych w tekście nowej dyrektywy o zmianie statusu więzienia; przygotowują się do jutrzejszego zebrania. Doug jest zdeterminowany, żeby wystartować pierwszy, a jeżeli tak się stanie, to mogą zostać zatrudniony w szpitalu z dnia na dzień. Po raz pierwszy patrzę na szpital innym spojrzeniem, myśląc o zmianach, jakie bym wprowadził.

Dzień 114

Piątek, 9 listopada 2001

6.00 rano

Wczoraj przed pójściem spać przestudiowałem najnowszy projekt reformy Izby Lordów, przedstawiony w „Timesie” i „Telegraphie” przez Phila Webstera i George'a Jonesa, redaktorów działów politycznych tych gazet.

Kiedy w 1969 roku w wieku dwudziestu dziewięciu lat znalazłem się w Izbie Gmin, byłem chyba pierwszym wybranym członkiem parlamentu niekwalifikującym się do odbycia służby wojskowej¹³. Wspominam o tym, bo po wygraniu wyborów uzupełniających w Louth, Lincolnshire, brałem udział w końcówce sesji, której prawie każdy uczestnik nie tylko służył w wojsku, ale również walczył w drugiej, a kilku nawet w pierwszej wojnie światowej. W tylnych ławach siedzieli liczni generałowie, admirałowie i marszałkowie lotnictwa, którzy do inicjałów MP¹⁴ mogli dodać MC, DSO i DFC¹⁵. Podczas lunchu w sali jadalnej członków parlamentu człowiek siedział koło takich znakomitości, jak sir Fitzroy Maclean, którego zrzucano nad Jugosławią na spadochronie, żeby pomagał Ticie, czy Airey Neave, który zbiegł z Colditz.

W 1970 roku, kiedy Ted Heath został premierem, dołączyli do mnie Malcolm Rifkind, Kenneth Clarke i Norman Lamont – politycy nowego typu, którzy mieli kiedyś zastąpić amatorów z przeszłości. Używam słowa „amatorzy” z szacunkiem i admiracją, wielu bowiem z tych mężczyzn nie pragnęło żadnego wysokiego urzędu, uważając parlament za kontynuację wojska, gdzie nadal mogli służyć swojemu krajowi.

Kiedy znalazłem się w Izbie Lordów w 1992 roku, w jej skład wchodził parowie dziedziczy, dożywotni i parowie „funkcyjni” (ja należę do ostatniej kategorii). Przykładem para dziedzicznego jest Peter Carrington (który był ministrem spraw zagranicznych za rządów Margaret Thatcher), para dożywotniego – nieżyjący Yehudi Menuhin, który rzadko się pojawiał w Izbie, zresztą dlaczego miałby to robić? John Wakeham był zaś parą „funkcyjnym” i moim pierwszym przywódcą – ministrem w rządzie, nominowanym do Izby Lordów, żeby wykonywać konkretną robotę.

Dziwny sposób tworzenia drugiej izby, zauważycie, i z pewnością niedemokratyczny, ale kiedy siedziałem w tylnych ławach, nabrałem, mimo wszystkich jej słabości, szacunku dla umiejętności, poświęcenia i służby, jakie otrzymywał kraj kosztem tak niewielkich nakładów. Po drugiej stronie tej niedemokratycznej monety znajdowali się parowie dziedziczy, a nawet kilku takich parów dożywotnich, którzy całymi latami nie brali udziału w pracach Izby, podczas gdy inni, prawie nic z siebie nie dając, przychodzili codziennie, żeby dostać diety i zwrot kosztów.

8.00 rano

Przy śniadaniu dowiaduję się więcej o życiu miłosnym Johna (dożywocie). Jak się zdaje, John spotkał swoją partnerkę mniej więcej sześć lat temu, kiedy rezydował w Hillgrove, więzieniu kategorii C. Przywiozła tam dwójkę przyjaciół Johna, którzy wybrali się do niego w odwiedziny. Wtedy Johnowi pozwalano na wizyty raz na dwa tygodnie. Kiedy się dowiedział, że na parkingu czeka kobieta, której nie widział nigdy w życiu, zaproponował, żeby do nich dołączyła. Przez kilka miesięcy Jan nadal przywoziła przyjaciół Johna na widzenia, ale wkrótce zaczęła przyjeżdżać sama. Ich miłość rozwinęła się w najbardziej restrykcyjnych i mało obiecujących okolicznościach. Teraz John jest w więzieniu kategorii D i Jan może go odwiedzać raz w tygodniu. Zamierzają się pobrać, jeżeli za osiemnaście miesięcy zostanie zwolniony warunkowo.

Jak można sobie wyobrazić, mają jeszcze kilka przeszkód do pokonania. John ma pięćdziesiąt jeden lat i za sobą dwadzieścia trzy lata więzienia, Jan natomiast – czterdzieści osiem, jest rozwiedziona i ma troje dzieci z pierwszego małżeństwa. W jakimś momencie będzie musiała powiedzieć swoim dzieciom – które liczą kolejno dwadzieścia cztery, dwadzieścia dwa i piętnaście lat – że się zakochała w mordercy i zamierza go poślubić, kiedy ten wyjdzie z więzienia.

11.00 rano

Słyszę swoje nazwisko wykrzyczane przez głośniki i polecenie, żebym się

zgłosił do rejestracji. Właścicielem tego tubalnego głosu może być tylko starszy sierżant Daff (Daffodil dla więźniów¹⁶). Kwituję odbiór kilku paczek, w większości są to książki przysłane przez życzliwe osoby; wolno mi je wziąć, jeśli obiecą, że oddam je do biblioteki; poza tym dwie koszulki trykotowe wyłącznie do ćwiczeń gimnastycznych (sierżant mruga) oraz pudełko belgijskich trufli, przysłane przez jakąś panią z Manchesteru. Otóż w wypadku słodczy przepisy są wyraźne. Więźniom nie wolno ich otrzymywać, gdyż mogą być nadziewane narkotykami, więc trufle zostaną przekazane dzieciom specjalnej troski, uczęszczającym w czwartki na gimnastykę. Zauważam, że niewielu siedmiolatków pozna się na belgijskich truflach, ale może smakowałyby one pani Daff (Daffowie pozostają w związku małżeńskim od czterdziestu lat).

– Nie – odpowiada sierżant surowo. – Ktoś mógłby to uznać za łapówkę. – Proponuje, żeby oddać trufle na loterię fantową, która odbędzie się podczas balu Samarytan w Bostonie. Zgadzam się. Od wielu lat podziwiam ich działalność i nie ulega kwestii, że ocalili w więzieniu bardzo wiele młodych istnień.

4.00 po południu

Wracam do swojego pokoju i widzę, że Eamon szykuje się do przeprowadzki do swoich przyjaciół z Derby w ośmioosobowym pokoju, więc znowu będę sam. Korzystam z okazji i kiedy Eamon pakuje się do przydziałowej plastikowej torby, pytam go, dlaczego trafił do więzienia.

Otóż w sobotni wieczór, podczas finału rozgrywek pucharowych w zeszłym roku, Eamon i jego przyjaciele popili sobie w lokalnym pubie. Przyszedł kumpel i powiedział, że został pobity przez bandę kibiców rywali i potrzebna mu pomoc, „żeby dać nauczkę tym draniom”. Eamon i jego pijani kumple wyruszyli uzbrojeni w kije bilardowe i to, co im wpadło w ręce. Pogonili tamtych do ich samochodów na miejski parking w pobliżu gmachu Sądu Koronnego i wywiązała się zacięta walka – co sfilmowały kamery telewizyjne.

Pięciu kumpli Eamona zostało oskarżonych o wywołanie bójki i nie przyznało się do winy – jeden z nich był członkiem drużyny piłkarskiej hrabstwa Derby. Adwokat wnioskował o zmianę kwalifikacji czynu na zakłócenie spokoju publicznego. Wystarczyło wszakże jedno spojrzenie na materiał filmowy i wszyscy szybko przyznali się do winy. Każdy dostał wyrok dziesięciu miesięcy i jeżeli otrzymają zgodę na lokalizator, zostaną zwolnieni po zaledwie dwunastu tygodniach (pięć miesięcy minus dwa miesiące z lokalizatorem). Nawiasem mówiąc, kumpel, który wzywał pomocy, pierwszy usłyszał głos syren i umknął tuż przed przybyciem policji.

Dzień 115

Sobota, 10 listopada 2001

6.38 rano

Nie ma dnia, żebym nie żałował, że tu jestem. Tęsknię za wolnością, za przyjaciółmi, a nade wszystko za Mary i chłopcami.

Nie ma dnia, żebym nie przeklinał sędziego Potts'a za jego, zdaniem wszystkich, krzywdzącą mowę podsumowującą do przysięgłych i za to, że z taką lubością wymierzał mi drakoński wyrok.

Nie ma dnia, żebym się nie zdumiewał, dlaczego policja nie aresztowała Angie Peppiatt za małwersację.

Nie ma dnia, żebym nie zadawał sobie pytania, jak mogę być winny utrudniania pracy wymiaru sprawiedliwości, skoro Ted Francis nie jest; albo obaj jesteśmy winni, albo obaj niewinni.

Siedzę w więzieniu 115 dni i mój gniew i rozpacz w końcu się uzewnętrzniają po wizycie młodego człowieka imieniem Derek.

Puka cicho do moich drzwi, więc przerywam pisanie, żeby złożyć autograf na odwrocie fotografii jego dziewczyny, która przy nim wiernie trwa. Pytam go, za co dostał wyrok (większość więźniów szczegółowo opowiada mi o sobie, chociaż wiedzą, że piszę dziennik). Derek został skazany na trzy miesiące więzienia za to, że okradł swoich pracodawców po wystawieniu czeku osobistego bez pokrycia. Spędził miesiąc w więzieniu Lincoln, o którym recydywiści mówili mi, że jest nawet gorsze od Belmarsh. Dodaje, że dzięki metodzie „krótkiego, surowego postępowania wychowawczego wobec młodocianych przestępców”, zaaplikowanej mu przez sędziego pokoju, mógł oglądać brutalne bicie w kabinie z prysznicami, wstrzykiwanie heroiny i słuchać języka nie do wyobrażenia w ustach istoty ludzkiej.

– Jednak – mówi na odchodnym – pan był dla mnie wzorem. Pańska uprzejmość, pańska wesołość i chęć wysłuchiwania opowieści o kłopotach innych zaskoczyły tu wszystkich.

Nie mogę mu powiedzieć, że nie mam wyboru. To wszystko jest udawaniem. Jestem rozpaczliwie nieszczęśliwy, przygnębiony i żałamany. Uśmiecham się, kiedy czuję się na dnie, wybucham śmiechem, kiedy jest mi niewesoło, pomagam innym, kiedy sam potrzebuję pomocy. Jestem osamotniony. Gdybym okazał choć przez chwilę, co czuję, nazajutrz przeczytałbym o tym ze szczegółami w jakimś brukowcu. Wystarczyłby czyjś jeden telefon do zaprzyjaźnionego dziennikarza, gotowego hojnie zapłacić. Nie wiem, skąd czerpię siły, żeby zachowywać pozory

i nigdy się nie załamywać przy innych.

Wytrwam, choćby tylko po to, żeby być górą nad wrogami, którzy byliby szczęśliwi, widząc moją słabość. Pomagają mi setki listów napływających co tydzień od zwykłych, przyzwoitych ludzi; wspierają mnie lojalni przyjaciele; podtrzymują mnie miłość i poparcie Mary, Willa i Jamesa.

Nie nawiedzają mnie myśli o zemście, nie liczę na sprawiedliwość, ale Bóg mi świadkiem, że się nie poddam.

Dzień 116

Niedziela, 11 listopada 2001

8.05 rano

Spóźniam się pięć minut na śniadanie. Hayes, uprzejmy, przyzwoity funkcjonariusz, odwołuje mnie na bok i pyta, czy mógłbym w przyszłości być punktualny, bo w przeciwnym wypadku niektórzy więźniowie będą się skarżyć, że cieszę się specjalnymi względami.

9.00 rano

Doug jest na przepustce i odwiedza rodzinę w March, w związku z czym Linda (siostra oddziałowa) pyta, czy mógłbym przejąć obowiązki „strażnika-pigularza”. W tym celu trzeba spełnić trzy warunki:

nie palić papierosów,
nie mieć nigdy do czynienia z narkotykami,
umieć czytać i pisać.

W więzieniu, w którym siedzą 172 osoby, tylko siedem spełnia te kryteria.

10.00 rano

Dwie godziny piszę.

12.10 po południu

Lunch. Jestem punktualny.

1.15 po południu

Lewis, główny naczelnik, wpada, żeby zobaczyć się z Lindą.

– Cieszę się, że pana złapałem – mówi do mnie. – Dostałem list od „oburzonej z Bexhill on Sea”. Chce wiedzieć, dlaczego ma pan prywatny basen kąpielowy i jest pan w każdy piątek wieziony swoim rolls-royce’em na weekend z rodziną. Rozczarowałem ją co do dwóch pierwszych punktów i dodałem, że obecnie pracuje pan w szpitalu, także w soboty i niedziele, za wynagrodzenie w wysokości 25 pensów za godzinę.

2.00 po południu

Odwiedza mnie Mary. Cudownie móc ją widzieć, choć jest wymizerowana i zmęczona. Podaje mi najnowsze informacje na temat kwestii prawnych, w tym szczegółowe dane o pieniądzach, które zniknęły w tym czasie, gdy Angie Peppiatt była moją sekretarką. Zastanawiamy się również, czy powinienem wystosować pozew przeciwko baronessie Nicholson w związku z jej oskarżeniami, że ukradłem miliony Kurdom, oraz jak to możliwe, żeby Ted Francis był niewinny, skoro mnie uznano za winnego tego samego przestępstwa. Kiedy Mary skompletuje dane na temat Angie Peppiatt, przekaże je policji.

Na koniec rozważamy, czy powinienem zostać w North Sea Camp i podjąć pracę sanitariusza. Postanawiamy, że jednak należy się ubiegać o przeniesienie do Spring Hill.

6.00 wieczorem

Czytam jedyne dostępne mi gazety niedzielne, „Observera” i „News of the World”. Jedna za bardzo na lewo jak na mój gust, druga za bardzo na prawo.

7.00 wieczorem

Wraca Doug po spędzeniu dnia z rodziną, więc przekazuję mu obowiązki „strażnika-pigularza”. Jest przekonany, że zwierzchnicy powierzą mi jego stanowisko w szpitalu, gdy tylko otrzyma pozwolenie na pracę w mieście; wtedy przez pięć dni w tygodniu będzie poza więzieniem. Mówię mu, że oboje z Mary uważamy, iż byłoby lepiej, gdybym się przeniósł do Spring Hill.

10.30 wieczorem

Wracam do pokoju. W sąsiedniej sali telewizyjnej na pełny regulator idzie film o wampirach. Zdziwiony, co człowiek może znieść, w końcu zasypiam.

Dzień 117

Poniedziałek, 12 listopada 2001

8.50 rano

Co dzień sobie mówię, że wyczerpią się opowieści, a wraz z nimi dobiegnie kresu ten dziennik. Cóż, jeszcze nie dziś, bo właśnie do biura wszedł Simon.

Simon pracuje w kantine pracowników więzienia i chociaż widuję go codziennie, jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać. Odwiedza wydział zarządzania wyrokami, żeby sprawdzić los swojego podania o pozwolenie na odwiedziny matki w Doncaster. Obawiam się, że miał do czynienia z funkcjonariuszem ironicznie zwanym „człowiekiem czynu”. Po sześciu tygodniach i kilku monitach Simon nadal nie ma odpowiedzi. Obiecuję mu, że to sprawdzę, a potem pytam go, ot tak sobie, dlaczego jest w więzieniu.

– Uprowadziłem swojego syna – mówi.

Nastawiam uszu. Na coś takiego jeszcze się nie natknąłem.

Simon przyznał się do uprowadzenia („ratowania”, według niego) swojego pięcioletniego syna na czterdzieści siedem dni. Przewiózł go na Cypr przez Francję, Niemcy, Jugosławię i Turcję. Zrobił to, tłumaczy, bo kiedy rozstał się z żoną, odkrył, że zarówno ona, jak i jej nowy partner, sierżant policji, maltretują dziecko. Sędzia mu nie uwierzył i skazał go na cztery lata więzienia, traktując to jako ostrzeżenie dla innych ojców, żeby na własną rękę nie wymierzali sprawiedliwości. Ja sam aprobującą skinąłem głową.

Rok później nowy partner byłej żony Simona został aresztowany pod zarzutem rzeczywistego uszkodzenia ciała. Skazano go na trzy lata między innymi za złamanie ręki chłopczykowi. Simon natychmiast złożył apelację i stanął w sądzie przed tym samym sędzią. Nie tylko powołał się na okoliczności łagodzące, ale dodał:

– Przecież panu mówiłem.

– To nie zmienia faktu – odrzekł sędzia – że złamał pan prawo, więc odsiedzi pan wyrok do końca.

Już słyszę, jak mówicie, że przecież Simon mógł na faceta złożyć doniesienie na policję i do opieki społecznej. Tylko spróbujcie donieść na sierżanta policji na policję. A w swoim pokoju Simon ma sterty teczek z zażaleniami do opieki społecznej i odpowiedziami na pograniczu groteski, na przykład: „Zbadaliśmy sprawę dogłębnie i nie znaleźliśmy powodu, żeby wierzyć...”. Simon

musiał sprzedać dom, żeby zapłacić adwokatom 70 000 funtów, i jest teraz uwięziony w North Sea Camp, nie ma grosza przy duszy i nie wie, gdzie się podziewa jego jedyne dziecko. Z całego serca współczuję temu człowiekowi.

Czy zrobiłbyś to samo dla swojego dziecka? Jeżeli odpowiesz twierdząco, jesteś przestępcą.

11.00 rano

Wzywają mnie przez głośniki do rejestracji. Służbę ma starszy sierżant Daff. Chętnie oddaje mi radio, w którym nie znaleziono narkotyków. To trójzakresowy odbiornik marki Sony, praktyczny, nieskomplikowany i porządnie wykonany. Wystarczy spojrzeć na ten solidny przedmiot, żeby zgadnąć, że przysłała go Mary.

2.30 po południu

Spokojne popołudnie, więc Matthew robi mi wykład na temat Herodota. Matthew jest z siebie zadowolony, bo w czwartej księdze *Dziejów* natknął się na fragment, który może być pierwszą znaną wzmianką o wączaniu konopi indyjskich (hemp). Przytaczam cały ten fragment w tłumaczeniu:

W kraju ich rosną konopie, bardzo podobne do lnu – oprócz grubości i wielkości, w czym konopie znacznie nad lnem górują. Rosną one bądź dziko, bądź zasiane. Tych więc konopi nasienie biorą Scytowie i wchodzi pod filcowe namioty; potem rzucają ziarna na rozżarzone kamienie: rzucane zaczynają dymić i wytwarzają taką parę, że żadna helleńska łaźnia parowa nie mogłaby jej przewyższyć. A Scytowie ryczą z zadowolenia w tej parze; to zastępuje im kąpiel, bo w ogóle nie myją ciała wodą¹⁷.

3.40 po południu

New z Simpsonem przeprowadzają ze mną rozmowę na temat planu odbywania kary. We wszystkich rubryczkach na oznaczenie narkotyków, przemocy, poprzednich przestępstw, alkoholizmu i zaburzeń psychicznych stawiają „nie”. W pozostałych rubryczkach, oznaczających samowolne oddalenie się z więzienia, ponowne popełnienie przestępstwa i znęcanie się, wpisują „małe ryzyko”. Ostatnią rubrykę musi wypełnić prowadzący mnie funkcjonariusz. New jest tak uprzejmy, że pochlebnie ocenia moją pracę w wydziale zarządzania wyrokami i moje stosunki z innymi więźniami.

Następnie obaj funkcjonariusze składają podpisy na dokumencie i wysyłają go faksem do Spring Hill o 4.07, a o 4.09 otrzymują potwierdzenie odbioru.

Zwróćcie uwagę na odstęp czasu!

Dzień 118

Wtorek, 13 listopada 2001

5.51 rano

Piszę przez dwie godziny.

8.30 rano

Dziś nie ma nowych więźniów, a więc nie zbiera się komisja zatrudnienia. New zaczyna służbę dopiero o pierwszej, mamy zatem z Matthew spokojne przedpołudnie. Robi mi wykład o Aleksandrze Wielkim.

12.00 w południe

Dzwonię do galerii Chrisa Beetlesa. Jego doroczny „Illustrators’ Catalogue” dostałem z poranną pocztą. Jak zwykle świetny wybór: Vicky, Low, Brabazon, Scarfe, Shepard, Giles i Heath Robinson. Jednak moją uwagę zwraca nowy artysta.

Pierwsze wydanie *O czym szumią wierzby* ilustrował E.H. Shepard, a po jego śmierci krótko Heath Robinson. Jednak ostatnio została opublikowana nowa wersja, ilustrowana rozkosznymi akwarelami Michaela Foremana, jednego z najbardziej cenionych brytyjskich ilustratorów. Oryginalne prace Sheparda obecnie sięgają 100 000 funtów, a za rysunek Heatha Robinsona trzeba zapłacić 10 000. Było więc miłą niespodzianką, że prace Foremana można dostać za mniej więcej pięćset funtów. Postanawiam wybrać jedną albo dwie dla przyszłych wnuków.



Z ciekawością przewracam stronicę i zaczynam wybierać kilkanaście ilustracji do rozważenia przez Mary. Muszę się uśmiechnąć, kiedy na stronie 111 widzę rysunek Ropucha w więzieniu z praczką. To nie tylko obowiązkowy podarunek dla przyszłego wnuka, ale z pewnością świetna kartka na tegoroczne święta Bożego Narodzenia (zobacz powyżej).

4.00 po południu

Współwięzień o nazwisku Lis pyta mnie, czy to prawda, że mam w pokoju laptop. Grzecznie mu tłumaczę, że piszę ręcznie i nie umiem się posługiwać komputerem. Ma zdziwioną minę. Potem dowiaduję się od mojego dawnego współlokatora Eamona, że krąży pogłoska, iż mam własny laptop i telefon komórkowy. Zawiść jest w więzieniu równie powszechna jak na wolności.

5.00 po południu

Odwiedza mnie David (oszustwo, osiemnaście miesięcy). Dostał długi, fascynujący list od swojego dawnego kumpla „spod celi” Alana, którego tydzień temu przeniesiono do Spring Hill. Alan pisze, że jego nowa siedziba jest o wiele przyjemniejsza od North Sea Camp, i radzi, żebym jak najprędzej do niego dołączył. Zdaje się, nie rozumie, iż decyzja nie ode mnie zależy. W liście jest jednak pewne dające do myślenia zdanie: „Jeden funkcjonariusz powiedział, że spodziewali się Jeffreya w zeszłym tygodniu, czy zrezygnował z przeniesienia się do nas?”. David uważa, że w Spring Hill zgodzili się mnie przyjąć i tylko czekają na mój plan odbywania kary, wysłany do nich wczoraj faksem.

Nawiasem mówiąc, zanim David (adresat listu) trafił do North Sea Camp *via* Belmarsh, był kierownikiem szkoły w Sleaford. Trzej jego dawni uczniowie również są rezydentami tutejszego zakładu; hm, jeżeli mam być ścisły, to dwaj – jeden właśnie samowolnie się oddalił.

7.00 wieczorem

Przyglądamy się z Dougiem, jak czołgi wjeżdżają do Kabulu, podczas gdy Bush i Blair próbują powściągnąć triumfujący uśmiech.

10.30 wieczorem

Jestem w swoim pokoju i właśnie się rozbieram, kiedy rozbłyskuje flesz¹⁸. Szybko otwieram drzwi i widzę więźnia biegnącego korytarzem. Ścigam go, ale znika za drzwiami i rozplywa się w mroku nocy.

Wracam do pokoju. Po chwili puka strażnik i wchodzi do środka. Mówi mi, że wiadomo, kto to jest, gdyż kilku więźniów widziało delikwenta, jak uciekał. A zatem do jutra wieść się rozniesie, oto następny współwięzień, którego przekupiła prasa. Trzej ostatni zostali schwytani, utracili status więźnia kategorii D, odtransportowano ich do więzień kategorii B i wydłużono im wyroki. Podobno aktualna stawka za zdjęcie wynosi 500 funtów. Jeżeli złapią tego człowieka, powiadomię was. Jeżeli nie, w jednej z krajowych gazet zobaczycie zdjęcie podpisane: „Tylko u nas: Archer rozbiera się w swojej celi”.

Dzień 119

Środa, 14 listopada 2001

8.15 rano

Idąc z bloku południowego na śniadanie, podchwytyję strzępy informacji o wydarzeniu wczorajszej nocy. Okazuje się, że fotografem nie był żaden z więźniów, tylko Wilkins, zwolniony z North Sea Camp w zeszły piątek. Rozpoznało go kilku współwięźniów, którzy zachodzili w głowę, co robi w więzieniu, z którego wyszedł cztery dni wcześniej.

Ale jest też tragiczna strona tego epizodu. Wilkins trafił do więzienia za prowadzenie samochodu bez prawa jazdy i odsiedział tylko dwanaście tygodni z sześciomiesięcznego wyroku. Za wejście do więzienia w celach sprzecznych z prawem grozi kara do dziesięciu lat pozbawienia wolności, w każdym razie tak głosi informacja na tablicy przy wejściu do North Sea Camp. Co gorsza, trzeba odsiedzieć cały wyrok w więzieniu kategorii B, gdyż uważa się, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo, iż delikwent ucieknie. Ostatnio taki wypadek zdarzył się w North Sea Camp, kiedy ojciec wniósł narkotyki synowi. Dostał wyrok trzech lat więzienia.

Nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, która gazeta uważa takie postępowanie za działalność użyteczną społecznie. Słyszałem, że kiedy złapią Wilkinsa, jego gotowość poinformowania policji, kto go do tego namówił, będzie argumentem na rzecz złagodzenia wyroku.

2.30 po południu

Przez interkom wzywa się wszystkich funkcjonariuszy więziennych, żeby natychmiast się zgłosili do dyżurki przy wejściu. Wraz z Matthew obserwuję przez kuchenne okno kilkunastu funkcjonariuszy nadciągających w różnym tempie z różnych stron. Okrążają ekipę telewizyjną, która – jak się dowiaduję później – usiłuje sfilmować sobowtóra Jeffreya Archera; trzyma on w ręku jedną z moich książek i twierdzi, że próbuje uciec. New mówi, że ich ostrzegł, iż znajdują się na terenie rządowym i muszą go natychmiast opuścić, na co realizator odparł: „Pan nie może mnie w ten sposób traktować, ja jestem z BBC”. Czy naprawdę BBC mogła upaść tak nisko?

Dzień 120

Czwartek, 15 listopada 2001

5.21 rano

Wstałem wcześniej, bo muszę się stawić w szpitalu o 7.30, żeby zastąpić Douga, który zaczął trzydniowy kurs obsługi podnośnika widłowego. Nie mam pojęcia, do czego się to może przydać pięćdziesięcioletniemu mężczyźnie, który prowadzi własną firmę transportową z rocznym obrotem dwóch milionów funtów. Nie dba o to, chce tylko bodaj na trzy dni wyrwać się z więzienia.

Dwie godziny piszę.

7.30 rano

Zgłaszam się do Lindy do szpitala i oglądam poranny apel chorych. Dwudziestu więźniów stoi w kolejce, żeby pobrać leki albo spróbować wykręcić się na jeden dzień od pracy. Jeżeli pada deszcz albo panuje przenikliwy chłód, kolejka się podwaja. Większość pracowników farmy wolałaby spędzić dzień w ciepłe, oglądając telewizję, niż zbierać brukselkę czy oporządzać chlewiki. Linda mówi o nich, że to symulanci, i twierdzi, że rozpoznaje ich na milę. Gdybym pracował na farmie, pewno byłbym jednym z nich.

Bill (oszustwo, pracownik farmy) cierpi na wszystkie choroby, przypadłości i zarazy znane człowiekowi. Dziś ma biegunkę i prosi Lindę o zwolnienie na ten dzień. Jest pewien, że do jutra wydobrzeje.

– Oczywiście – mówi Linda i obdarza go najmiłym z uśmiechów, a Bill odwzajemnia uśmiech. – Ale – dodaje – muszę zostawić pana na dzień w szpitalu.

– Dlaczego? – pyta zdziwiony Bill.

– Zanim zdecyduję, jaki przepisać środek – wyjaśnia Linda – muszę co pół godziny pobierać próbkę.

Bill z ociąganiem idzie do części szpitalnej, kładzie się na łóżku i z nadzieją patrzy w stronę telewizora.

– Nie ma mowy – rzuca Linda.

Kiedy Linda oddzieliła rzeczywiście chorych od symulantów, wręczyła mi cztery listy więźniów, których tego dnia zwolniła z pracy. Dostarczam listy do biura oddziału w bloku południowym, do biura farmy, do bloku północnego, do dyżurki przy wejściu i do działu edukacji, po czym idę na śniadanie.

8.30 rano

Dziś Matthew spędza ostatni dzień w North Sea Camp i załatwia „listę obiegową”. Wędruje z dwustronnie zadrukowanym formularzem od jednego wydziału do drugiego, do szpitala, sali gimnastycznej, kantyny, magazynów i rejestracji, i zbiera podpisy sankcjonujące jego jutrzejsze zwolnienie. Zaczyna od Simpsona, kuratora sądowego w wydziale zarządzania wyrokami, a skończy na

New, przełożonym funkcjonariuszy. Jutro rano będzie musiał oddać formularz w rejestracji, zanim w końcu go zwolnią. Zdarza się, że dokument zwolnienia więźnia znika bez śladu, co może opóźnić o kilka godzin jego wyjście na wolność.

Będzie mi brakowało Matthew. Chłopak ma dwadzieścia cztery lata i wróci na uniwersytet, żeby uzyskać stopień doktora. Wiele mnie nauczył w ciągu ostatnich pięciu tygodni. Odkąd zostałem skazany, zetknąłem się z ponad tysiącem więźniów, a on należy do garstki tych, którzy, moim zdaniem, absolutnie nie powinni trafić za kraty. Życzę mu szczęścia, to świetny młody człowiek.

12.00 w południe

Zaglądam do szpitala, żeby sprawdzić, czy Linda mnie nie potrzebuje.

– W tej chwili nie – mówi – ale po południu spodziewamy się siedemnastu nowych więźniów, więc niech pan wpadnie około czwartej albo kiedy pan zobaczy, że furgon przejeżdża przez bramę.

– Jak tam Bill? – pytam.

– Wytrzymał około czterdziestu minut – pada odpowiedź – ale niestety, nie zdołał mi dostarczyć próbki. Odesłałem go na farmę, ale oczywiście kazałem mu zaraz wracać, gdyby problem znów się pojawił.

2.00 po południu

Wracam do SMU i w poczekalni widzę więźnia, który wyraźnie dygoce. Nazywa się Moore. Mówi, że został odwołany z pracy na spotkanie z dwoma policjantami, którzy jadą z Derbyshire, żeby go przesłuchać. Odsiedział siedemnaście miesięcy z pięcioletniego wyroku i niepokoi się, dlaczego policja chce go widzieć.

2.30 po południu

Policjanci się nie pokazali. Idę zobaczyć Moore'a – jąka się i jest załamany.

2.53 po południu

Przybywają policjanci z Derbyshire. Uśmiechają się na powitanie i wcale nie wyglądają groźnie. Prowadzę ich do pokoju na piętrze, gdzie odbywają się rozmowy, częstuję herbatą i korzystając z okazji, mówię, w jakim stanie jest Moore. Zapewniają, że to tylko rutynowe śledztwo i że biedak nie ma powodu do niepokoju. Schodzę na dół i przekazuję Moore'owi wiadomość; dygot ustępuje.

3.26 po południu

Moore wychodzi z uśmiechem i macha do mnie; nigdy nie widziałem kogoś, kto by doznał tak wielkiej ulgi.

4.00 po południu

Siedemnastu nowych więźniów przyjechało w „saunie” drogą przez Birmingham i Nottingham. Stawiam się w szpitalu, żeby zbadać im ciśnienie krwi i odnotować wagę i wzrost. Niełatwo mi wykonywać nowe obowiązki, kiedy wszyscy mówią jednocześnie. Jakiego rodzaju są tu prace? Jakie zarobki? Czy mogę dziś wieczór pójść do kantyny? Kiedy są apele? Który blok jest najlepszy? Czy mogę zatelefonować?

7.00 wieczorem

Doug wraca po całym dniu kursu obsługi podnośników widłowych. Jest zadowolony, bo jeżeli ma utrzymać prawo jazdy na samochody ciężarowe, to i tak musiałby zaliczyć taki kurs w ciągu roku. Ten kurs kosztuje go 340 funtów, ale chętnie by tyle zapłacił za samą możliwość przebywania przez trzy dni poza więzieniem.

– Zapłaciłbym nawet dużo więcej – mówi.

8.15 wieczorem

Po apelu kąpię się, a potem idę do bloku południowego, żeby się pożegnać z Matthew. Kiedy jutro o 7.30 rano przyjdę do szpitala, on będzie już wolnym człowiekiem. Nie zazdroszczę mu, ponieważ Matthew w ogóle nie powinien się znaleźć w więzieniu.

Dzień 121

Piątek, 16 listopada 2001

10.00 rano

Siedemnastu nowo przybyłych więźniów czeka na rozmowę wprowadzającą, po której zakończeniu podpiszą zobowiązanie (dotyczące narkotyków). Wszyscy

gawędzą, tylko jeden siedzi w kącie ze schyloną głową, uderza stopą o podłogę i wygląda na przestraszonego. Powodów może być wiele i chociaż strażnicy pełnią „samobójczą wartość” przez pierwsze czterdzieści osiem godzin po przybyciu więźnia, komunikuję moje spostrzeżenia przełożonemu funkcjonariuszy New. Poleca mi wprowadzić więźnia do swojego biura, ale tak, żeby to wyglądało na zwykłą procedurę.

Czterdzieści minut później mężczyzna wychodzi uśmiechnięty. Okazuje się, że X należy wg tabeli przestępstw do grupy A, co zwykle oznacza przestępstwo seksualne przeciwko nieletnim. Jednakże X został skazany na sześć miesięcy za pobicie swojego syna. Odsiedzi tylko dwanaście tygodni, a fakt, że jest w więzieniu kategorii D, świadczy o tym, że nigdy w przeszłości nie dopuścił się przemocy. Gdyby się jednak rozniosło, jak został zakwalifikowany, więźniowie mogliby sądzić, iż jest pedofilem. New poradził mu, że jeżeli go zapytają, za co został skazany, ma mówić, że rzucił się na faceta, który próbował wsiąść do taksówki poza kolejką. Ponieważ ma siedzieć w więzieniu tylko dwanaście tygodni, brzmi to wiarygodnie.

11.30 rano

Do budynku wkracza Storr, wymachując formularzem z zażaleniem. Wczoraj, kiedy wrócił z wizyty w mieście, został zbadany alkomatem z wynikiem niepomyślnym. Tak, w więzieniu mogą cię poddać badaniu alkomatem, nawet jeżeli nie prowadziłeś samochodu – wystarczy spacer. Storr protestował, że nigdy nie pije, nawet „na wywczasie”, a winowajcą jest płyn do płukania ust. Storr zostaje wysłany do bloku północnego po pechową butelkę, w której na dnie jest trochę czerwonego płynu. Na etykietce jako jeden ze składników figuruje alkohol. Odbywa się krótka dyskusja, po czym New postanawia, że Storra ponownie zbada się nazajutrz. Jeżeli wynik testu będzie negatywny, jego wyjaśnienie zostanie zaakceptowane¹⁹. Potem Storra będzie się poddawać testom wyrwykowym i gdyby wynik jednego z nich okazał się pozytywny, wówczas przetransportuje się go z powrotem do kategorii C. Storr zgadza się z tym postanowieniem i odchodzi z zadowoloną miną.

2.30 po południu

Pytam New, czy jest jakiś postęp w sprawie przeniesienia mnie do Spring Hill. Kręci przecząco głową.

4.00 po południu

Zgłaszam się do szpitala i przeprowadzam badanie moczu trzech nowo przybyłych więźniów, których nie załatwiliśmy wczoraj, mierzę im ciśnienie krwi i zapisuję ich wagę. Między nimi jest więzień zwany Kwiatkiem, który trzeci raz w ciągu trzech lat wraca do North Sea Camp.

– Chłop jak złoto – mówi Linda. – Cygan, który, gdy zostanie skazany, nigdy nie popełni najmniejszego błędu; zawsze po odsiedzeniu połowy wyroku zostaje zwolniony jako wzorowy więzień. Ale zwykle wraca, nim minie rok.

10.30 wieczorem

W telewizji idzie materiał filmowy pokazujący Kabul pod rządami talibów. Wśród sfilmowanych budynków jest kabulskie więzienie, przy którym North Sea Camp wygląda jak Ritz; w pokoju takim jak mój stłoczono by ze dwudziestu mężczyzn na trzech poplamionych uryną, złachmanionych materacach.

Mocno śpię.

Dzień 122

Sobota, 17 listopada 2001

Każdy, kto siedzi w więzieniu, pragnie, żeby jego kara skończyła się jak najszybciej. Jeżeli ma się szczęście i wykonuje się ciekawą pracę, jak ja w wydziale zarządzania wyrokami, z pewnością pomaga to zabić czas od poniedziałku do piątku. Pozostają weekendy. Kiedy już człowiek dotrwa do formalnie możliwego terminu zwolnienia warunkowego i pozwalają mu pracować poza więzieniem, co tydzień odwiedzać miasto i co miesiąc otrzymywać tygodniową przepustkę, podobno miesiące przelatują szybko. Gdyby jednak moje odwołanie od wyroku zostało odrzucone, na nic takiego nie będę mógł liczyć aż do lipca przyszłego roku – następnych osiem miesięcy. Wówczas moją najgorszą zmorą będzie nuda.

Mogę pisać, ale nie co dzień od świtu do nocy. Jak się szczęśliwie złoży, to w sobotę po południu pokażą w telewizji mecz rugby, a w niedzielę będę czekał na czyjeś odwiedziny. Zatem zanotujmy dla pamięci:

Sobota 6.00 rano *Przez dwie godziny piszę ten dziennik.* 8.15 rano
Śniadanie. 9.00 rano *Czytam „Timesa” albo inną dostępną gazetę.* 10.00
rano *Pracuję nad szóstą wersją Synów fortuny.* 12.00 w południe
Lunch. 2.00 po południu *Oglądam na BBC1 zwycięstwo Nowej Zelandii
nad Irlandią 40:29.* 4.00 po południu *Oglądam na BBC2 zwycięstwo Walii
nad Tonga 51:7.* 4.40 po południu *Oglądam w ITV najlepsze fragmenty*

rekordowego zwycięskiego meczu Anglii przeciw Rumunii 134:0. 6.00 wieczorem Nadal pracuję nad Synami fortuny. Zabrakło mi papieru, z mojej winy. 8.15 wieczorem Zgłaszam się na apel, żeby udowodnić, iż nie oddaliłem się samowolnie z więzienia ani nie umarłem z nudów. 8.30 wieczorem Odwiedzam Douga w szpitalu. Oglądamy film z Dannym de Vito i Bette Midler, a potem wiadomości. 10.30 wieczorem Wracam do swojego pokoju, kładę się do łóżka i mimo hałaśliwej transmisji Mecz dnia w sąsiedniej sali telewizyjnej zasypiam. Dzień 123

Niedziela, 18 listopada 2001

6.11 rano

Po pięciu tygodniach w North Sea Camp musicie być równie dobrze jak ja zaznajomieni z moimi codziennymi zajęciami, więc od dzisiaj będę pisał tylko o najważniejszych albo niecodziennych wydarzeniach, które, moim zdaniem, mogą was zaciekać.

2.00 po południu

Pewno pamiętacie, że zezwala mi się na jedne odwiedziny tygodniowo; moimi dzisiejszymi gośćmi są Alan i Della Pascoe. Pierwszy raz spotkałem Alana, kiedy był w reprezentacji Anglii młodzików, i nawet przypadkowy obserwator zdawał sobie sprawę, że będzie gwiazdą. Przez całe dziesięć lat utrzymywał się na najwyższym poziomie i gdyby nie był to czas Ala Mosesa – największego w dziejach biegacza na czterysta metrów przez płotki – Alan niewątpliwie zdobyłby dwa złote medale olimpijskie, a nie dwa srebrne. Walczyliśmy ze sobą tylko jeden raz; on miał siedemnaście lat, a ja dwadzieścia sześć. Wolę się nie rozwodzić nad wynikami.

Wprawdzie miałem zaszczyt oglądania Delli, gdy biegła w reprezentacji swojego kraju (złota medalistka Wspólnoty Brytyjskiej i rekordzistka świata), lecz poznaliśmy się dopiero wtedy, gdy poślubiła Alana, i od tej pory nasze rodziny są ze sobą blisko. Alan i Della nadal pozostają przyjaciółmi, którzy nie odwrócą się do ciebie na bieżni plecami, kiedy zostaniesz zdyskwalifikowany.

Dzień 124

Poniedziałek, 19 listopada 2001

5.30 rano

Budzi mnie hałas trzech ciężkich kombajnów, które akr po akrze zbierają brukselkę. Jeżeli ja jestem codziennie na nogach o wpół do szóstej, to o której godzinie muszą wstawać robotnicy na farmie, żeby usiąść za kierownicą kombajnu, nim ja się zacznę przeciągać?

8.15 rano

Matthew, jak pamiętacie, wyszedł na wolność w ubiegły piątek i jego miejsce w SMU zajął Carl.

Carl mówi cicho i ma dobre maniere. Ten lider więziennego zespołu rockowego jest wybitnie przystojny – to przydatne dla kogoś, kto aspiruje do takiej roli – dość wysoki, smukły, z falującą blond czupryną. Opowiada, że jego piętnastoletnia córka urodziła się, kiedy miał dwadzieścia lat (nie jest żonaty), więc teraz musi mieć około trzydziestu pięciu.

Carl pojawia się dwadzieścia po ósmej, co dobrze wróży, i kiedy go wprowadzam w nasze codzienne obowiązki, notuje. Poniedziałek jest zwykle spokojny – nie ma rozmów wprowadzających, nie zbiera się komisja zatrudnienia, mogę go zatem szczegółowo poinformować o tutejszym personelu i o tym, jakie pełni obowiązki. Carl uczy się szybko i staje się ośrodkiem zainteresowania kobiet, które zaglądną do kuchni pod byle pretekstem. Na pewno wszystko opanuje w tydzień i ja będę zbędny.

Niewątpliwie chcielibyście wiedzieć, dlaczego to skrzyżowanie Robbiego Williamsa i Richarda Bransona znalazło się w więzieniu. Odpowiedź jest prosta: oszustwo. Carl pobrał zaliczki na poczet nieruchomości, której nie posiadał ani nawet należycie nie reprezentował. Co ciekawe, współoskarżony nie przyznał się do winy, natomiast Carl za radą adwokata zrobił to. Ale oto kolejny zwrot wydarzeń. Carl mógł zostać skazany, dopiero kiedy będzie znany wynik procesu współoskarżonego, więc zwolniono go za kaucją na dziewięć miesięcy i wtedy „dał dyla”. Dotarł do Barcelony, znalazł pracę i próbował się ustatkować. Jednak już po kilku tygodniach postanowił, że wróci do Anglii i, według jego własnych słów, „musi wypić, czego nawarzył”.

Carl trochę się zdziwił, że go nie aresztowano, gdy wylądował na Heathrow. Spędził weekend z przyjacielem w Nottingham, a potem zgłosił się na najbliższy posterunek policji. Dyżurny policjant był tak zaskoczony, że nie bardzo wiedział,

co ma z nim zrobić. Po południu Carlowi postawiono zarzut, na noc zamknięto go w areszcie, a nazajutrz skazano na trzy lata. Współwinny też dostał trzy lata. Adwokat Carla mówi, że gdyby po zwolnieniu za kaucją nie uciekł do Barcelony, dostałby dwa lata. Carl jest wzorowym więźniem, więc odsiedzi tylko szesnaście miesięcy, połowę wyroku, minus dwa miesiące z lokalizatorem.

2.30 po południu

New telefonuje do Spring Hill, żeby spytać o moje przeniesienie, ale ponieważ w biurze Karen nikt nie odpowiada, spróbuje ponownie jutro. Gdybym był u siebie w biurze, próbowalbyśmy jeszcze raz o trzeciej, czwartej i piątej po południu, ale nie w więzieniu. Jutro będzie w sam raz. W końcu nigdzie się nie wybieram.

5.00 po południu

Przychodzi David (morderstwo) i przynosi mi porządnie upraną odzież. Dożywotni mają swoją pralkę i żelazko. Jeeves²⁰ z Pont Street byłby z niego dumny. Wręczam Davidowi trzy batoniki Mars i jesteśmy kwita.

6.00 wieczorem

Muszę kupić zatyczkę (30 pensów), bo swoją ciągle zostawiam w umywalce. Straciłem cztery w ciągu czterech tygodni. Kiedy dochodzę wreszcie do lady, są wyprzedane. Jednak Doug mi mówi, że ma pełną szufladę zatyczek – i z pewnością tak jest.

Dzień 125

Wtorek, 20 listopada 2001

Wiele jest w więzieniu trudnych do zniesienia bolączek – nuda, odosobnienie, tęsknota za rodziną i przyjaciółmi. Wszystko to z czasem zblednie. Ale czego nigdy nie zapomnę po wyjściu na wolność, to hałasu i plugawego języka.

Kiedy wczoraj o 10 wieczorem wróciłem do mojego pokoju, w sali telewizyjnej było pełno wrzeszczących chuliganów. Natężenie dźwięku podczas powtórki walki o tytuł mistrza świata wagi ciężkiej między Lennoksem Lewisem i Hasimem Rahmanem było tak silne, że przypomniał mi się potworny ryk rapu

z sąsiedniej celi w Belmarsh. Ucieszyłem się, że Lennox Lewis zachował tytuł, ale nie bawiło mnie wysłuchiwanie każdego słowa sprawozdawcy ani towarzyszących mu owacji, wrzasków i obelg bardzo stronniczego tłumu. W końcu nie wytrzymałem, poszedłem do sali telewizyjnej i spytałem, czy można by trochę przyciszyć dźwięk. Odpowiedział mi zgodny chór: „Spadaj!”.

10.00 rano

Szesnastu nowych więźniów stawia się przed komisją zatrudnienia, każdy ściska w rękę czerwoną teczkę. Rozeszła się wieść: jeżeli jej nie zwrócisz, nie dostaniesz pracy, a więc nic nie zarobisz. Ponieważ w tej chwili więzienie jest wypełnione, większość dobrych prac – w szpitalu, wydziale zarządzania wyrokami, w bibliotece, dziale edukacyjnym, w magazynach, kantynie funkcjonariuszy – jest zajętych i pozostaje do wyboru tylko kuchnia, sprzątanie i budząca przerażenie farma. Między nowo przybyłymi znajduje się jeden doktor filozofii i jeden oficer wojska. Ustalamy, że więzień z doktoratem, któremu zostało zaledwie pięć tygodni odsiadki, dostanie pracę w magazynie, a oficer przejmie po nim stanowisko. Tylko jeden z przybyszy nie ma pojęcia, co chciałby robić, więc nieuchronnie wyląduje na farmie.

11.00 rano

Już wam opisałem „obiegówkę”, więc wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy między trzema więźniami, którzy pojawiają się tego przedpołudnia z dokumentami zwolnienia w rękę, jest Potts. Czy pamiętacie Potts? Jego adwokat nie przyszedł, facet próbował się otruć? Otóż wyzdrowiał i stawiał się w sądzie na rozprawę apelacyjną. Jednak spóźnił się pół godziny i sędzia odmówił rozpoznania sprawy, mimo że to Służba Więzienna była winna spóźnienia. Minęły dwa tygodnie i oto Potts jutro wychodzi na wolność, chociaż miał być zwolniony nie wcześniej niż w połowie przyszłego roku. Nie możemy długo rozmawiać w biurze, toteż umawiamy się, że odwiedzę go wieczorem, żeby się dowiedzieć, co spowodowało tę nagłą zmianę.

3.00 po południu

Naczelnik Spring Hill (Payne) telefonuje do New, żeby z nim porozmawiać osobiście. Niepokoi go rozgłos, jaki towarzyszyłby moim przenosinom, gdyby się na nie zgodził. New stara się, jak może, rozwiać jego obawy i podkreśla, że odkąd brukowce mnie sfotografowały, dziennikarze się nie pokazują. Na co Payne odpowiada, że nadal w prasie ukazują się relacje osób „dobrze poinformowanych”

i „zwolnionych więźniów”, co, chociaż to czysta fantazja, jednak stanowi problem. New mówi, że dobrze się zaadaptowałem, mieszkałem w jednym pokoju z innym więźniem i moje zachowanie jest wzorowe. Payne obiecuje szybko podjąć decyzję. Nie jestem optymistą.

6.30 wieczorem

Zostałem zaproszony na spotkanie Samarytan (z Bostonu) i Powierników (więźniowie). Spotykają się mniej więcej raz w miesiącu w szpitalu i wymieniają poglądy i pomysły. Potrzebują mnie, żebym podpisał książki na bożonarodzeniowy kiermasz dobroczynny. Jedna z pań zapytała, czy mogłaby przynieść z księgarni Czerwonego Krzyża książki do podpisania.

– Oczywiście – odpowiedziałem.

10.30 wieczorem

W telewizji pokazują film kowbojski, hałas jest znośny – aż do momentu finałowej strzelaniny.

Dzień 126

Środa, 21 listopada 2001

6.18 rano

Tajemnica wczesnego zwolnienia Potts'a wyjaśniona. Z powodu pomyłki urzędnika sędziego był przekonany, że sprawa ma się zacząć o 10 rano, tymczasem Potts okazał papier, w którym nakazano mu stawić się w sądzie o 10.30. W rezultacie sędzia zgodził się rozpoznać sprawę natychmiast i zważywszy fakty, skrócił Pottsowi wyrok o połowę. Naczelnik wywołał go z pracy w kuchni, żeby mu oznajmić, iż zostanie zwolniony tego ranka. To pierwszy naprawdę szczęśliwy więzień, jakiego widziałem od miesiąca.

8.15 rano

Dziś przybywa dwunastu nowych więźniów i jak zwykle, jeżeli się rozejrzeć, znajdzie się jakąś ciekawą historię. Dzisiaj o Cormacku. Został zwolniony zaledwie sześć tygodni temu po założeniu lokalizatora i wrócił, ale tylko na jedenaście dni.

Kiedy dostajesz zezwolenie na założenie lokalizatora, musisz się stosować do ściśle określonych zasad. Zostajesz zwolniony dwa miesiące wcześniej z elektroniczną bransoletą wokół kostki. Musisz podać adres, pod którym będziesz mieszkał podczas tych dwóch miesięcy. Musisz mieć domowy telefon. Nie wolno ci opuszczać swojej siedziby w określonych godzinach, zwykle między siódmą wieczór i siódmą rano następnego dnia. Poza tym zobowiązujesz się pisemnie, że nie będziesz używał narkotyków ani pił alkoholu.

Cormack jest niezwykłym przypadkiem, gdyż nie złamał żadnej z tych zasad. Ale wczorajszego ranka przyszedł na miejscowy posterunek policji i poprosił, żeby go wsadzono do aresztu na ostatnich jedenaście dni, gdyż nie jest już mile widziany w domu, który wybrał.

– Mądry facet – orzekł Simpson, kurator sądowy, który zalecił wcześniejsze zwolnienie Cormacka. – Zastosował się do przepisów i dzięki temu nie poniesie przykrych konsekwencji. Gdyby próbował spędzić ostatnich jedenaście dni gdzie indziej, zostałby aresztowany i odesłany do więzienia zamkniętego.

Rzeczywiście mądry gość.

12.00 w południe

Leon, ten z tytułem doktora, przysiadła się do mnie podczas lunchu. Pełni funkcję magazyniera, co daje mu prawo do wcześniejszego spożywania posiłków. Dziękuję mi, że mu pomogłem dostać tę pracę. Przy lunchu dowiaduję się, że jego specjalnością jest meteorologia. Mówi, że w tej dziedzinie nie ma dużo możliwości pracy, więc kiedy wyjdzie na wolność, będzie szukał posady nauczyciela; niełatwo ją dostać, jeżeli się było karanym. Leon został skazany na sześć miesięcy więzienia za prowadzenie samochodu bez prawa jazdy i ma odsiedzieć tylko dwanaście tygodni. Ale nie to stanowi jego największy problem. Jest zaręczony z dziewczyną, która świeżo ukończyła uniwersytet w Birmingham z dyplomem z wyróżnieniem pierwszej klasy i tak jak on chce uczyć w szkole. Prawdziwa idylla, gdyby nie to, że Leon stanął w obliczu uprzedzeń rasowych *à rebours*. Dziewczyna pochodzi z kasty braminów i jeszcze zanim Leon trafił do więzienia, jej rodzice uważali, że nie jest dla niej odpowiednim kandydatem. Leon tłumaczy, że zanim otrzyma się zgodę na poślubienie córki, należy się spotkać trzykrotnie z jej ojcem, a potem z matką. Ceremonie te odbywają się w sposób formalny. Przed aresztowaniem Leon zdołał tylko raz spotkać się z ojcem dziewczyny; drugiego i trzeciego spotkania mu odmówiono, a matka stanowczo się upiera, że nigdy nie pozwoli mu wejść do rodziny. Czy narzeczona przeciwstawi się rodzicom i poślubi mężczyznę, którego kocha, czy będzie posłuszna ojcu i zerwie wszelkie kontakty? Minęło już siedem z dwunastu tygodni, ale Leon zauważa, że niełatwo utrzymać kontakt, skoro ma się prawo tylko do jednych odwiedzin w tygodniu i do dwu kart telefonicznych.

3.00 po południu

Berlyn (zastępca naczelnika) zachodzi do SMU, żeby mnie spytać, czy zapraszałem kogoś z zewnątrz na moją jutrzejszą pogadankę. Jeżeli mam być szczery, wyleciało mi z głowy, że zgodziłem się na prośbę bibliotekarki powiedzieć parę słów o tym, jak napisać bestseller. Odpowiadam Berlynowi, że nie zapraszałem nikogo ani z więzienia, ani spoza więzienia.

Mówi, że ludzie przeczytali w lokalnej gazecie o „imprezie” i teraz przez cały dzień dzwonią i pytają, czy mogą przyjść.

– A mogą? – pytam z głupia frant.

Berlyn nie zadaje sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Dzień 127

Czwartek, 22 listopada 2001

5.55 rano

Waży się sprawa, czy mam zostać w North Sea Camp i podjąć pracę sanitariusza, czy też przenieść się do Spring Hill. Doug (oszustwa podatkowe VAT, obecny sanitariusz) dowiedział się od Berlyna, że jeżeli wystąpi z podaniem o pracę w Exotic Foods w Bostonie, gdzie jest zatrudniony Clive (oszustwo na niekorzyść władz miejskich, mój nauczyciel tryktraka), otrzyma status osoby pracującej poza więzieniem, dzięki czemu będzie mógł przebywać na wolności sześć dni w tygodniu i nawet jeździć do pracy własnym samochodem.

Jeżeli Doug dostanie tę pracę, to będę jeszcze tylko tydzień w wydziale zarządzania wyrokami, po czym przekażę obowiązki Carlowi. Z kolei Doug będzie mnie szkolił przez tydzień, tak abym mógł podjąć pracę sanitariusza w następnym poniedziałek.

10.30 rano

Dziś mamy ośmiu nowych więźniów. Wszyscy zadowoleni, że są w otwartym więzieniu, lecz miny im rzedną, kiedy przychodzi do przydziału pracy. I znów większość nowo przybyłych trafi na farmę. Opuszczają biuro przygnębieni. Niewielu ma ochotę spędzać dnie ze świniami, owcami i brukselką, skoro temperatura na podmokłych obszarach wschodniej Anglii o tej porze roku często spada poniżej zera. Jeden z więźniów, Antylczyk nazwiskiem Wesley, przywykły do cieplejszego klimatu, jest tak rozeźlony, że prosi, aby odesłano go z powrotem do Ashwell, jego dawnego więzienia kategorii C. Mówi, że będzie się tam czuł o wiele lepiej, zamknięty przez cały dzień za murem, który ochroni go przed wiatrem. Berlyn zapewnia Wesleya, że jeżeli za miesiąc nie zmieni zdania, chętnie go tam odeśle.

5.00 po południu

Wcześniejsza kolacja jest, jak pisałem, jednym z przywilejów więźniów funkcyjnych, więc zdziwiłem się, zobaczywszy przy stole sześciu mężczyzn, których do tej pory nie spotkałem.

John (dożywocie, pomocnik kucharza) mówi mi, że oni wszyscy są muzułmanami, a ponieważ zaczął się ramadan, wolno im jeść tylko między zachodem i wschodem słońca, co oznacza, że nie mogą spożywać śniadania czy lunchu z innymi więźniami. To nie tłumaczy, dlaczego jedzą kolację sami, ponieważ w listopadzie o piątej po południu jest całkiem ciemno i...

– No tak – przyznaje John. – Słuszna uwaga, ale czy widzisz tę wielką tacę, pełną kartonów mleka i płatków kukurydzianych? To jutrzejsze śniadanie, które wezmą dzisiaj i zjedzą w swoich pokojach jutro około piątej rano. Czy wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby się dowiedzieli o tym inni więźniowie, skoro oni muszą przychodzić do jadalni niezależnie od pogody? Jak by się skarżyli?

– Albo gromadnie przechodzili na islam – zauważam.

6.00 wieczorem

Wygłaszam w kaplicy wykład na temat pisania bestsellera. Dwudziestosześcioletnia publiczność składa się z więźniów i personelu. W pierwszym rzędzie siedzi pięć pań, których nie znam, oprócz nich jest tu siedemnastu więźniów i cztery osoby z personelu – w tym Berlyn i Gough oraz bibliotekarka pani Hampton.

Przemawiam pierwszy raz od trzech miesięcy, co mi sprawia przyjemność, i choć podejmowałem ten temat wielokrotnie w przeszłości, po tak długiej przerwie wydaje mi się całkiem świeży, a pytania należą do najbardziej wnikliwych, jakie pamiętam.

Na moje konto w kantynie wpłyną dodatkowo dwa funty.

7.00 wieczorem

Dzwonię do Mary i głupio zostawiam kartę telefoniczną w automacie. Kiedy wracam trzy minuty później, nie ma po niej śladu. Spójrzmy prawdzie w oczy: jestem w więzieniu.

7.30 wieczorem

Odbieram listy z biura oddziału, trzydzieści dwa dzisiaj, w tym jeden od Winstona Churchilla z załączoną książką pt. *The Duel*, która opowiada o trwającej osiemdziesiąt dni walce między jego dziadkiem i Hitlerem w 1940 roku. Pośród innych listów, w większości od zwykłych obywateli, jest list od Jimmy'ego.

Pewno pamiętacie Jimmy'ego z drugiego tomu tego dziennika. Przystojny kapitan drużyny piłkarskiej, który dostał wyrok trzech lat więzienia za sprzedaż narkotyków. Od miesiąca znajduje się na wolności i pracuje na placu budowy. Praca trwa wiele godzin i jest dobrze płatna, ale, przyznaje, mimo uprawiania sportu i codziennych wizyt w sali gimnastycznej, po osiemnastu miesiącach zamknięcia w więzieniu stracił kondycję. Zaczyna od nowa przyswajać sobie etykę pracy. Zapewnia mnie, że nigdy więcej nie będzie się parał sprzedażą narkotyków, a ponieważ sam ich nie używał, nie ma zamiaru robić tego teraz. Chcę mu wierzyć.

Twierdzi, że uporządkował swoje życie miłosne. Żyje z tą seksowną, intelektualistką porzucił. Teraz, kiedy mam jego adres i numer telefonu, zadzwonię do niego podczas weekendu.

8.15 wieczorem

Po apelu razem z Dougiem naradzamy się, jak gładko przeprowadzić przekazanie stanowisk pracy. Doug sugeruje, że jeżeli nasz plan ma się powieść, powinniśmy wmówić funkcjonariuszom w komisji zatrudnienia, że to oni go wymyślili.

Dzień 128

Piątek, 23 listopada 2001

8.10 rano

John (morderstwo, pomocnik kuchenny) mówi mi przy śniadaniu, że dwaj więźniowie samowolnie oddalili się z więzienia poprzedniej nocy. Przypomina mi incydent sprzed dwóch tygodni, kiedy Wendy wyrzuciła ich obu z kuchni za kradzież kurcząt. Kilka dni później ich ułaskawiła, żeby wyrzucić ich znowu następnego dnia za to, że ukradli puszki tuńczyka – nie żeby je zjeść, ale żeby wymienić na kanabinole. Potem odesłano ich na farmę, gdzie trudno jest coś ukraść; świny są za ciężkie, a brukselka to nie towar handlowy. Jednak zeszłej nocy obu więźniów przyłapano na paleniu trawki w ich pokoju i kazano im zgłosić się do raportu. Mieli się dziś rano zameldować u naczelnika. Możliwe, że skończyłoby się tylko na ostrzeżeniu, ale bardziej prawdopodobne, że odesłano by ich do budzącego grozę więzienia Lincoln – żeby na własnej skórze wypróbowali jego wiktoriańskie udogodnienia. Wymknęli się, zanim podjęto decyzję.

12.08 po południu

Piszę u siebie w pokoju, kiedy Carl puka do drzwi. Czerwony Krzyż i KPMG ogłosiły wspólne oświadczenie w odpowiedzi na żądanie baronessy Nicholson, żeby wszcząć śledztwo, gdzie się podziały pieniądze zebrane dla Kurdów. To główny temat południowych wiadomości i bardzo się cieszę, że uwolniono mnie od podejrzeń.

12.20 po południu

Telefonuję do Alison do biura i dowiaduję się, że Mary jest w Izbie Lordów na spotkaniu na temat źródeł energii. Alison wymienia propozycje wywiadów radiowych i telewizyjnych, jakimi zasypano Mary, ale moja żona zdecydowała się tylko na ogłoszenie krótkiego komunikatu prasowego.

OŚWIADCZENIE PRASOWE LORD ARCHER I KAMPANIA SIMPLE TRUTH

Moja rodzina i ja jesteśmy zadowoleni, chociaż nie zaskoczeni, że dochodzenie KPMG w sprawie kampanii Simple Truth, prowadzonej przez Jeffreya w 1991 roku, potwierdziło, że ani on, ani nikt inny nie sprzeniewierzył żadnych funduszy. Wiedzieliśmy o tym od samego początku. Jesteśmy bardzo dumni z pracy, jaką wykonał Jeffrey na rzecz Kurdów, Brytyjskiego Czerwonego Krzyża i w innych szlachetnych celach w ciągu lat. Mamy nadzieję, że baronessa Nicholson, której pomówienia zmarnowały dużo czasu i spowodowały wiele niepotrzebnych cierpień, zaakceptuje ustalenia KPMG.

Mary Archer

1.00 po południu

Lady Thatcher oświadczyła, że nie jest zaskoczona wynikiem dochodzenia; temat ten spadł na drugie miejsce w wiadomościach po informacji o śmierci Damy Mary Whitehouse w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat.

2.00 po południu

Kilku funkcjonariuszy komentuje wynik dochodzenia, co miłe z ich strony, ale również u nich spadłem na drugie miejsce. Jak się zdaje, dwaj więźniowie, Marley i Tom, którzy wczorajszej nocy samowolnie oddalili się z więzienia, zostali schwytani przez policję dziś wczesnym rankiem w odległości zaledwie sześciu mil od North Sea Camp. Aresztowano ich, oskarżono i przeniesiono do więzienia Lincoln. Każdemu doda się do wyroku czterdzieści dwa dni i w przyszłości nie będą się mogli ubiegać o status więźniów kategorii D, ponieważ zostali zakwalifikowani do grupy ryzyka.

5.00 po południu

Spadłem na trzecie miejsce w wiadomościach *Live at Five*; ponieważ zostałem oczyszczony z zarzutów, najwyraźniej nie jest to ciekawa wiadomość. Gdybym zdefraudował 57 milionów funtów albo jakąś część tej kwoty, byłbym tematem numer jeden przez dwa dni, a w więzieniu roiłoby się od fotoreporterów czatujących, kiedy zostaną przeniesiony do Lincoln.

Ani jednego fotoreportera na horyzoncie.

10.00 wieczorem

Ulotna wzmianka o oświadczeniu Czerwonego Krzyża w wiadomościach o dziesiątej. Chyba będę musiał oddalić się z więzienia, żeby z powrotem się dostać na czołówki gazet.

10.30 wieczorem

Zrządzeniem losu mój dawny współlokator Eamon może teraz zamieszkać razem ze swoim przyjacielem Shaunem. Zaproponowano im pokój opróżniony przez dwóch mężczyzn, którzy oddalili się samowolnie.

Dzień 129

Sobota, 24 listopada 2001

4.00 rano

Oślepia mnie błysk latarki, budzę się i widzę strażnika, który sprawdza, czy śpię i czy się nie oddaliłem samowolnie z więzienia. Już nie śpię.

7.17 rano

Zaspałem i zaczynam pisać dopiero po siódmej.

10.00 rano

Wielkoformatowe gazety piszą o ustaleniach sprawozdania KPMG. Kilka podkreśla, że nie byłoby nieporozumień, gdyby baronessa Nicholson, była członkini parlamentu z ramienia torysów, która potem przeobraziła się w para z ramienia liberałów, nie zwróciła się ze skargą do sir Johna Stevensa. Dzwonię do

Mary, żeby przedyskutować następny ruch, ale telefon nie odpowiada.

2.00 po południu

Dziś odwiedzają mnie Doreen i Henry Millerowie. Doreen jest rzecznikiem ławy liderów partii w Izbie Lordów, a poprzednio była ministrem w rządzie Johna Majora. Podaje mi najświeższe wiadomości na temat wyższej izby parlamentu i mówi, że ostatni projekt reformy Izby Lordów wzbudził wrogość w obu izbach. Projekt pomija znakomite sprawozdanie komisji królewskiej Johna Wakehama i nie zadowala ani laburzystów ze względu na wybór niedostatecznego odsetka parów, ani konserwatystów, gdyż usuwa ze stanowisk wszystkich pozostałych dziedzicznych parów.

– Nie może – zapewnia mnie Doreen – w obecnej formie stać się obowiązującym prawem, gdyż spotka się z silnym sprzeciwem obu izb²¹.

Kiedy Doreen i Henry odchodzą, nie wiem, gdzie się podziało półtorej godziny.

4.00 po południu

Dzwonię do Mary, ale słyszę tylko jednostajny sygnał telefonu.

4.40 po południu

Przyglądam się, jak Anglia zwycięża RPA 29:9 i mimo potknięcia w meczu z Irlandią zaczynam wierzyć, że nasza drużyna rugby może być najlepsza na świecie. Jeżeli na czas wyjdę na wolność, wybiorę się do Australii, żeby obejrzeć następne zawody o puchar świata.

7.00 wieczorem

Telefonuję do Mary. Nadal nikt nie odpowiada.

8.15 wieczorem

Stawiam się na apel, po czym wędruję do Douga i zastaję czterech funkcjonariuszy w poczekalni. Jeden z nich, Harding, jest zalany krwią. Hocking, dowódca więziennego oddziału ochrony, fotografuje go. Jak się okazuje, Hocking dostał cynk, że dwóch więźniów zawieruszyło się w Bostonie, żeby sobie popić, więc zasadził się na nich wraz z trzema funkcjonariuszami. Kiedy tamci wracali i zorientowali się, że ich zauważono, jeden z nich wyrwał Hardingowi ciężką

latarkę i uderzył go w głowę, a tymczasem drugi uciekł. Napastnika powalono na ziemię i założono mu kajdanki, obecnie siedzi w bloku izolacyjnym. Drugi jeszcze się nie pojawił, chociaż wiadomo, kto to jest. Nawet początkujący reporter by wiedział, że ta historia będzie miała dalszy ciąg.

Dzień 130

Niedziela, 25 listopada 2001

8.04 rano

Dzwonię do Mary do Cambridge; cisza. Dzwonię do Londynu, odpowiada automatyczna sekretarka. Zgłaszam się do Lindy do szpitala. Doug przebywa na przepustce w mieście (od 7 rano do 7 wieczór), więc jestem zastępczym strażnikiem pigulek.

11.30 rano

Przy lunchu dowiaduję się od jednego z dyżurnych na sali gimnastycznej, że schwymano drugiego więźnia, który usiłował wnieść alkohol do więzienia. Zostanie odesłany do Nottingham dziś po południu.

Często się zdarza, że winowajcy są szybko przenoszeni ze względu na możliwość samookaleczenia. Bywa, że zamknięty na noc więzień tnie sobie przeguby albo nawet łamie rękę, a potem obwinia o to strażnika, który go oskarżył. Więzień może potem twierdzić, że pierwszy został zaatakowany, a to oznacza, że nie można go przenieść, dopóki się nie przeprowadzi pełnego śledztwa. Hocking zrobił kilka zdjęć obydwu więźniów, co trochę im utrudni tego rodzaju postępowanie.

12.00 w południe

Gazety poranne przewidują, że wkrótce zostaną przeniesiony do Spring Hill, żeby być bliżej rodziny. Jedna czy dwie nawet sugerują, że w ogóle nie należało mnie wysłać do Wayland ani North Sea Camp jedynie na podstawie zarzutów pani Nicholson.

10.00 wieczorem

Po wiadomościach dzwonię znów do Mary, ale telefon wciąż nie odpowiada.
Dzień 131

Poniedziałek, 26 listopada 2001

8.30 rano

Do moich obowiązków w SMU należy między innymi rozdzielanie worków do koszy na śmieci. Co dzień o wpół do dziewiątej rano zgłaszają się do pracy dwaj więźniowie, Alf i Rod, i pobierają po jednym worku. Dziś Alf prosi o dziesięć; daję wam kilka sekund na odgadnięcie dlaczego, bo ja nie potrafiłem.

Co tydzień w piątek składam zamówienie na różne artykuły, które są dostarczane w poniedziałek, i zawsze otrzymuję dziesięć worków do koszy na śmieci, więc Alf w jeden dzień pozbawi mnie całego zapasu. Nie wierzę, żeby nimi handlował, poza tym są za duże do niewielkich koszy na papiery w jego pokoju, więc się poddaję i pytam, skąd to nagłe zapotrzebowanie. Alf mówi, że Martin Narey, dyrektor generalny Służby Więziennej, odwiedzi North Sea Camp w środę i przed inspekcją naczelnik chce doprowadzić więzienie do porządku. Słusznie. Jednakże, jeżeli Narey jest choć trochę inteligentny, to prędko się połapie, że North Sea Camp to zaniedbany śmietnik bez środków finansowych. Jeżeli mu pokażą blok północny albo południowy, brodząc wśród śmieci, będzie się zastanawiał, czy tu się w ogóle sprząta. Pokój odwiedzin to jeden skandal, zajęcia nadprogramowe w zasadzie nie istnieją. Jeżeli jednak odwiedzi tylko kantinę, salę gimnastyczną, farmę, szpital i nasze biuro, odjedzie z korzystnym wrażeniem.

Słyszę, że prawdziwym celem wizyty Nareya jest rozmowa o tym, w jaki sposób North Sea Camp przygotowuje się do statusu zakładu przystosowawczego, kiedy w styczniu nastanie nowy naczelnik.

10.30 rano

Belford, funkcjonariusz z bloku południowego, wpada na kawę. Mówi, że więzień, który pstryknął mi zdjęcie w moim pokoju, nie zdołał go sprzedać, bo negatyw wyszedł blado.

11.00 rano

Między dziś przybyłymi nowymi więźniami z Nottingham jest aplikant

adwokacki (rzeczywiste uszkodzenie ciała), taksówkarz (pobieranie za wysokich opłat) i robotnik rolny (okradł pracodawcę). Wszyscy trafiają na farmę, bo więzienie jest przeludnione i nie ma innych wolnych stanowisk pracy.

6.00 wieczorem

Kantyna. Mam na koncie 13 funtów i 50 pensów (zarabiam 8,50 tygodniowo i mogę do tego dodać własnych 10 funtów). Kupuję dwie karty telefoniczne, trzy butelki wody Evian, opakowanie nożyków Gillette, dezodorant w kulce i szczoteczkę do zębów, co wyczerpuje moje fundusze. Nie muszę mieć tego wszystkiego, ale to mój sposób na niekupowanie czekolady, chcę bowiem schudnąć kilka funtów, jakie mi przybyło, od kiedy się znalazłem w North Sea Camp.

7.00 wieczorem

Telefonuję do Jamesa do pracy. Mówi, że ostatnio Mary była w rozjazdach i odwiedziła Oundle, Londyn i Cambridge, po czym dziś po południu wróciła do Londynu²².

Odwiedzam Douga w szpitalu. Czeka na rozmowę kwalifikacyjną w Exotic Foods w środę albo czwartek i ma nadzieję zacząć pracę w przyszły poniedziałek, tydzień wcześniej niż początkowo planowano. Rozmawiał już z Belfordem o przeniesieniu do pokoju w bloku południowym, w części dla niepalących, oraz z Berlynem o tym, jak będzie dojeżdżał do Bostonu. Jednak jest tu pewne „ale” – mianowicie stanowisko Lindy, która uważa, że Doug powinien szkolić następcę przez tydzień przed swoim odejściem.

7.10 wieczorem

Telefonuję do galerii Chrisa Beetlesa i życzę mu powodzenia w związku z otwarciem wystawy ilustratorów. Mary chce wpaść do galerii i obejrzeć rysunek, jaki wybrałem na naszą tegoroczną kartkę świąteczną. Proszę Chrisa, żeby przekazał Mary pozdrowienia i powiedział jej, że zatelefonuję do Cambridge jutro wieczorem. Pierwszy raz od trzydziestu pięciu lat nie rozmawiałem z moją żoną przez pięć dni. Nie zapominajcie, że ona do mnie nie może telefonować.

Dzień 132

Wtorek, 27 listopada 2001

6.11 wieczorem

Dzisiaj wydarzyło się coś ważnego. W istocie jest to opowiadanie samo w sobie. Jednak w chwili, kiedy piszę, nie znam jeszcze zakończenia tej historii. Ale zacznijmy, żeby chociaż opowiedzieć ją w połowie.

Pamiętacie Leona, chłopaka z doktoratem, który przybył do nas mniej więcej tydzień temu? Pragnie poślubić dziewczynę, Hinduskę z wysokiej kasty, ale jej rodzice wyrazili sprzeciw, zanim jeszcze Leona wsadzono do więzienia (prowadzenie samochodu bez prawa jazdy, sześć miesięcy). Dziś o trzeciej po południu, mocno wzburzony, pojawił się znowu w naszym biurze. Chociaż przed południem mieliśmy dziesięciu nowych więźniów i przyjęcia komisji zatrudnienia, popołudnie zapowiadało się spokojnie. Usadawiłem Leona w kuchni, Carl podał mu filiżankę herbaty. Leon koniecznie chciał się dowiedzieć, czy mu przyznają lokalizator i zwolnią wcześniej. Funkcjonariuszka, która się tym zajmuje, była w swoim biurze, więc poszedłem na piętro i spytałem, czy go przyjmie.

Dziesięć minut później Leon pojawia się ponownie i powiada, że decyzja o wcześniejszym zwolnieniu zostanie podjęta jutro rano.

– No, to jeden problem rozwiązany – zauważa Carl.

– Niestety, nie – odpowiada Leon – bo jeżeli nie zwolnią mnie z lokalizatorem, to będzie katastrofa.

Leon nie robi wrażenia człowieka, który lekko wypowiada słowo „katastrofa”, więc pytam go dlaczego. Wtedy opowiada nam o najnowszych komplikacjach swojego życia miłosnego.

Rodzice dziewczyny odkryli, że ich córka zamierza poślubić Leona, gdy tylko wyjdzie on z więzienia szóstego grudnia. Zarezerwowała nawet termin w urzędzie stanu cywilnego. Powiedziała mu wczoraj przez telefon, że nie dość, że rodzice zabronili jej małżeństwa z nim, to jeszcze wybrali trzech nieznanym jej kandydatów na męża, którzy w weekend przylecą z Indii. Będzie musiała się zdecydować na jednego z nich, a potem polecieć z narzeczoną do Kalkuty, gdzie szóstego grudnia odbędzie się ślub.

Rozumiem teraz rozpacz Leona i wybieram się na poszukiwania Downsa, wyższego rangą funkcjonariusza, człowieka bystrego i czynnego. Znajduję go w pokoju administracji, gdzie omawia trasę jutrzejszej wizyty dyrektora generalnego. Przedstawiam mu sprawę i Downs zgadza się natychmiast przyjąć Leona.

Po spotkaniu Leon mówi, że Downs potraktował go bardzo życzliwie i jutro opowie o jego kłopotach naczelnikowi. Chce się znowu zobaczyć z Leonem jutro o ósmej rano, godzinę przed spotkaniem komisji, która ma podjąć decyzję

w sprawie lokalizatora. Uznałem, że nie będę miał wam wcześniej nic więcej do opowiedzenia. Chyba że...

10.00 wieczorem

W końcu dopadam Mary i zużywam obie karty telefoniczne na trwającą czterdzieści minut rozmowę.

Idę do szpitala, żeby się wykąpać, ale najpierw opowiadam Dougowi o Leonie. Nie docieram do łazienki, bo Doug mówi, że pamięta wypadek, kiedy komuś udzielono specjalnego pozwolenia na ślub w kaplicy więziennej.

– Może byś zapytał pastora? – podsuwa.

– To już będzie za późno – odpowiadam, przypominając Dougowi, że nazajutrz o dziewiątej rano spotyka się komisja, a w weekend przybywają do Sheffield trzech dżentelmeni z Indii.

– Ale wielebny Derek Johnson jest teraz w kaplicy – mówi Doug. – Odbywa się tam comiesięczne spotkanie kapelanów więziennych.

Zostawiam Douga i idę prędko do kaplicy. Kaplicowy John (oszustwo, farma strusi) mówi, że pastor przed chwilą wyszedł, ale jeżeli pobiegnę do bramy, mogę go jeszcze dogonić. Teraz, kiedy mam sześćdziesiąt jeden lat, już nie biegam szybko, ale puszczam się truchtem w nadziei, że skoro pastor jest starszy ode mnie, to dopadnę go, zanim odjedzie. Gdy dobiegam do bramy, widzę, że czeka w samochodzie na podniesienie szlabanu. Macham zapamiętałe. Pastor odstawia samochód i idzie ze mną na portiernię, gdzie opowiadam mu całą historię. Derek przysłuchuje się z sympatią i powiada, że w pewnych okolicznościach może udzielić narzeczonym ślubu w więziennej kaplicy i jest pewny, że w tej sytuacji naczelnik się zgodzi. Dodaje też, że gdyby młoda kobieta chciała przenocować w więzieniu, to on i pani Johnson mogliby udostępnić jej wolny pokój. Dziękuję pastorowi i wracam do bloku północnego w poszukiwaniu Leona.

Znajduję go w jego pokoju i dzielę się z nim nowiną. Jest uradowany i mówi mi, że rozmawiał znowu z narzeczoną, która już ustaliła, że pobiorą się w lokalnym urzędzie stanu cywilnego, jeżeli Leona wcześniej zwolnią z więzienia. Jeżeli nie – no to mamy drugą możliwość. Leon wylewnie mi dziękuje, gdy nagle słyszę swoje nazwisko, wykrzywane przez megafon:

– Archer ma się natychmiast zgłosić do biura oddziałowego w bloku południowym.

Zostawiam Leona i ruszam truchtem. Do biura przybywam za minutę dziewiątą. Pierwszy raz zapomniałem o zgłoszeniu się na apel piętnaście po ósmej. Gdybym się pojawił minutę po dziewiątej, postawiono by mnie do raportu i na osiem tygodni straciłbym szansę uzyskania wyższego statusu. Belford, dyżurny strażnik, który nic nie wie o moich wieczornych zabiegach, wybucha śmiechem.

– Wiesz, Jeffrey – powiada – marzyłem, żeby cię postawić do raportu, ale byłem pewien, że wymyślisz przekonującą wymówkę, co takiego robiłeś piętnaście po ósmej.

– Byłem z pastorem – odpowiadam.

Dzień 133

Środa, 28 listopada 2001

9.50 rano

Leon siedzi w poczekalni wydziału zarządzania wyrokami, gotów do spotkania z Berlynem (zastępca naczelnika) i Simpsonem (urzędujący w więzieniu kurator sądowy) w sprawie wcześniejszego zwolnienia z lokalizatorem.

Wczoraj wieczorem Leon zadzwonił jeszcze raz do narzeczonej. Trzej zalotnicy przybyli z Indii i gdy Sunita dokona wyboru (jeżeli tego nie zrobi, rodzice za nią zdecydują), poleci samolotem do Indii, żeby się spotkać z rodzicami wybrańca. Potem narzeczeni powrócą do Anglii, żeby się przygotować do ślubu szóstego grudnia.

Sunita planuje, że zabierze w podróż tylko ręczny bagaż i przy powrocie przejdzie od razu do odprawy celnej, rodzice natomiast będą musieli czekać w hali bagażowej na odbiór walizek. Brat Leona będzie w hali przylotów i zawiezie ją prosto do Birmingham, gdzie tego dnia po południu zakochani się pobiorą.

Jeżeli komisja przyzna Leonowi lokalizator, to opuści on North Sea Camp o ósmej w sobotę, pojedzie do Birmingham i poślubi Sunitę, zanim rodzinie uda się dowiedzieć, gdzie dziewczyna się podziewa. Teraz wszystko zależy od wyniku rozmowy komisji z Leonem. Jedenaście po dziesiątej Berlyn wzywa Leona, więc prowadzę go na górę.

Obaj z Carlem krzątamy się w kuchni i udajemy, że jesteśmy zajęci. Cały budynek SMU jest w stanie pełnej gotowości, gdyż kilka minut temu przybył Martin Narey, dyrektor generalny Służby Więziennej.

10.32 rano

Zjawia się Leon, prawie płacze. Komisja odrzuciła jego wniosek. Boję się, że może się oddalić z więzienia i wziąć prawo w swoje ręce.

11.30 rano

Odwiedza nas wielebny Derek Johnson, żeby powiedzieć, że widział się z naczelnikiem, ale ten nie jest władny udzielić pozwolenia na ślub w tutejszej kaplicy. Więzień musi odsiedzieć przynajmniej dziewięć miesięcy, zanim może się ubiegać o ten przywilej. Dodaje, że jeszcze nikt się nie spotkał z tak niezwykłym splotem okoliczności.

Teraz Leon nic nie może zrobić aż do siódmej wieczór, kiedy ma dzwonić do narzeczonej na jej telefon komórkowy. Przed wyjściem dzieli się z nami jeszcze dwiema nowinami. Po pierwsze, jego ojciec, który jest niezwykle bogatym człowiekiem, zaofiarował rodzinie Sunity 500 000 funtów posagu. Matka Leona wywodzi się z braminów, ale ponieważ ojciec jest Irlandczykiem, dla tamtych ich syn jest nie do przyjęcia. Można się tylko zastanawiać, jaką sumę trzech konkurenci z Indii zaoferują jako posag dla dziewczyny, którą mają dopiero zobaczyć. Po drugie, siostra Sunity przeżywała taki sam dramat dwa lata temu, a teraz jest w trakcie przykrego rozwodu. Umawiamy się z Carlem, że się spotkamy w pokoju Leona o 7.30, żeby zaplanować następne posunięcie.

11.45 rano

Wychodzę na lunch kilka minut przed planowanym przybyciem dyrektora generalnego do naszego budynku. Zanim zdążyłem zjeść kalafior zapiekany z serem i wróciłem do bloku południowego, żeby wykonać kilka telefonów, Narey już wyszedł i udał się na oddział więźniów dożywotnich. Przystępuję do pracy o pierwszej.

5.00 po południu

Zaglądam do Douga, który potwierdza, że odbędzie rozmowę kwalifikacyjną w Exotic Foods w piątek rano i że ma nadzieję, iż rozpocznie pracę od poniedziałku za tydzień. Zatem za dwa tygodnie mogę zostać sanitariuszem.

7.30 wieczorem

Leon otwiera drzwi i wita nas uśmiechnięty. Sunita uciekła z Sheffield i pojechała do Portsmouth, zatrzymując się u jego brata i bratowej. Kupiła nowy telefon, gdyż boi się, że rodzice wynajmą detektywa, który mógłby ją wytropić poprzez aparat ofiarowany jej przez Leona.

Leon zdejmuje z półki gruby plik listów.

– Ona pisuje dwa razy dziennie – oznajmia.

Cieszę mnie te nowiny, ale kiedy wychodzimy z pokoju Leona, mówię

Carlowi, że nawet niezbyt bystry detektyw wpadnie na to, iż Sunita jest u brata Leona.

Mam wrażenie, że to jeszcze nie koniec tej historii.

Dzień 134

Czwartek, 29 listopada 2001

Wspominałem o chwalebnej roli organizacji Samarytan, którzy szkolą wybranych więźniów na Powierników. W North Sea Camp posunięto się o krok dalej i wydzielono osobny pokój, gdzie więźniom, którzy pragną zadzwonić do Samarytan, udostępniono zaprogramowany na określone połączenie telefon komórkowy.

Telefonowanie do Samarytan cieszyło się wielką popularnością i coraz więcej więźniów twierdziło, że pragnie ich wsparcia, aż ostatnio New nabrał podejrzeń. Po jednej wyjątkowo długiej rozmowie telefonicznej, przerywanej wybuchami śmiechu, skonfiskował aparat i prędko odkrył kombinacje więźniów. Wyjmowali z aparatu kartę SIM i wkładali własną, przeschmuglowaną do więzienia.

Od dziś nie będzie wydzielonego pokoju ani telefonu komórkowego.

11.00 rano

To będzie ostatnia komisja zatrudnienia w mojej obecności, skoro od przyszłego tygodnia mam dołączyć do Douga w szpitalu. Wobec tego proponuję Carlowi, żeby przejął inicjatywę i sam się wszystkim zajął, tak jakby mnie nie było. Przez całe przedpołudnie, za każdym razem kiedy zjawia się więzień z jakąś sprawą, Carl z nim rozmawia. Boję się tylko jednego: żeby Carl się nie znudził tą pracą na długo przed końcem wyroku, gdyż musi odsiedzieć jeszcze piętnaście miesięcy, nim się zakwalifikuje do zwolnienia z lokalizatorem.

2.30 po południu

New telefonuje do Spring Hill, żeby zapytać Payne'a, dlaczego sprawa mojego przeniesienia tak się przeciąga. W odpowiedzi słyszy, że Spring Hill czeka publiczne śledztwo w konsekwencji pewnego wydarzenia, które zaszło, zanim jeszcze Payne objął stanowisko naczelnika. Payne się obawia, że więzienie znajdzie się pod ostrzałem prasy, i chociaż chętnie by mnie przyjął, nie może mnie zawiadomić o decyzji wcześniej niż za dwa tygodnie. Nalegam na New, żeby się dowiedział, co mogło spowodować tak wielkie publiczne zainteresowanie, ale

nie porusza tego tematu. Zastanawiam się, czy to nie wybieg, żeby mnie nie przenosić²³.

7.00 wieczorem

Odwiedzam Leona w bloku północnym. Przed chwilą skończył rozmowę telefoniczną z narzeczoną, która nadal jest bezpiecznie ukryta w Portsmouth u jego brata. Trzech hinduskich konkurentów Sunity wróciło do kraju w towarzystwie jej matki, ojciec zaś został w Bradford. Sunita dzwoniła do ojca, który się zgodził na spotkanie z Leonem. Ale wciąż nie wie, że Leon siedzi w więzieniu i wyjdzie na wolność nie wcześniej niż za trzy tygodnie.

Dzień 137

Niedziela, 2 grudnia 2001

10.30 rano

Dzisiaj Leona odwiedzi jego narzeczona. Wykorzystają półtorej godziny na omówienie przygotowań do ślubu.

11.30 rano

Idę do Douga do szpitala, żeby przeczytać poranne gazety. „People” poświęciła pół strony na zrelacjonowanie czytelnikom, jaki jestem zrozpaczony, bo jakiś więzień ukradł mi dziennik i muszę go pisać od nowa. Nie byłbym zrozpaczony. Po spędzeniu 137 dni w więzieniu i po napisaniu 300 000 słów byłbym na granicy samobójstwa.

3.00 po południu

Doug, który ostatecznie zrezygnował z podjęcia pracy w Exotic Foods, przed chwilą skończył rozmawiać z żoną i mówi mi, że jego przyjaciel zamierza w najbliższą środę ogłosić w „Boston Target”, iż zatrudni kierowcę do przewozu towarów z Bostonu do March. Doug zgłosi swoją ofertę, po czym tego samego dnia do Berlina przyjdzie faks z zaproszeniem Douga na rozmowę. Jeżeli Berlyn się zgodzi, Doug dzień później zostanie przyjęty do pracy.

Dzień 138

Poniedziałek, 3 grudnia 2001

9.40 rano

Wchodzi New, przeklinając. Więzienie jest przepełnione i trzeba odmawiać kandydatom z Nottingham, Lincoln, Wayland, Birmingham i Leicester, ponieważ wszystkie łóżka są zajęte. Najwyraźniej moja wina.

Nie byłoby to problemem w Spring Hill, ponieważ tam jest zawsze długa kolejka oczekujących i kierownictwo więzienia może w nich przebierać jak w ulęgalkach. Natomiast w North Sea Camp skutek jest taki, że jeżeli któryś z więźniów choćby *nagnie* przepisy, zostanie odesłany do więzienia, z którego przybył, jak na własnej skórze się przekonali trzej więźniowie w zeszłym tygodniu. Nie dochodziło tu do takich sytuacji, kiedy było dużo wolnych łóżek.

10.50 rano

Widzę Leona, jak idzie z portierni do magazynu, gdzie pracuje, i wychodzę z biura, żeby z nim porozmawiać. Wczorajsza wizyta była udana, jak mówi.

– Ale mam wrażenie – dodaje – że jest coś, o czym Sunita mi nie powiedziała.

Nalegam, żeby mi zdradził, co to takiego, ale odpowiada, że nie wie. A może jest nieufny i wolałby, żebym nie opisywał zbyt szczegółowo jego historii w tym dzienniku? Prosi mnie, żebym zmienił wszystkie imiona i nazwiska, co czynię.

2.15 po południu

Doug uraczył mnie dobrymi wiadomościami. Pani Tempest (przełożona funkcjonariuszy do spraw przystosowania) zapewniła go, że jeżeli inna firma transportowa zaprosi go na rozmowę kwalifikacyjną, to będzie mu towarzyszyć, przy założeniu, że ta firma odpowiada przyjętym policyjnym i więziennym kryteriom. Jeżeli zaproponują mu pracę, pani Tempest zaleci, żeby podjął ją natychmiast, czyli w przyszły poniedziałek.

Jest dla mnie oczywiste, że kilku funkcjonariuszom (nie wszystkim) bardzo zależy, aby North Sea Camp otrzymał status zakładu przystosowawczego, a nie był nadal więzieniem otwartym kategorii D. Jeżeli Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zgodzi się, to kilku więźniów będzie mogło wychodzić w dzień, żeby pracować

społecznie, a z czasem podejmą pracę w pełnym wymiarze godzin. Widać, że sprawę Douga traktuje się jako swego rodzaju test, gdyż jest oczywistym kandydatem do pracy poza więzieniem, i jeżeli zrobi dobry początek, tama pęknie i przyszłość zakładu nie będzie stała pod znakiem zapytania. Mój los też się może nagle odmienić. Znowu zazdroszczę czytelnikowi, który po prostu odwróci kolejną stronicę, żeby się dowiedzieć, co się wydarzy w moim życiu.

4.00 po południu

Simpson (kurator sądowy) zakończył rozmowy z trzema więźniami na temat planu odbywania kary. Schodzi do kuchni, żeby się napić wody.

Przez ostatnich sześć tygodni dość dobrze poznałem Grahama Simpsona, mimo że jest człowiekiem pełnym rezerwy. Przypuszczam, że wiąże się to z jego rodzajem pracy. Jest wytrawnym profesjonalistą i do głowy by mu nie przyszło, żeby rozmawiać o innym więźniu, czy ma on dobre, czy złe notowania. Natomiast chętnie odpowie na pytania ogólnej natury, a jego opinii, które sobie wyrobił przez trzydzieści lat pracy w zawodzie, warto wysłuchać. Podejrzewam, że jeżeli chodzi o więźniów dożywotnich, to większość osób czytających ten dziennik chętnie by ich zamknęła i wyrzuciła klucz, a w pewnych przypadkach wysłałaby ich na szubienicę. Jednakże...

Wszystkich morderców skazuje się na dziewięćdziesiąt dziewięć lat, ale potem sędzia ustala okres minimalny odbywania kary, począwszy od ośmiu lat, a na dożywociu kończąc. W North Sea Camp mamy więźnia, który siedzi za kratami trzydzieści dwa lata. W Zjednoczonym Królestwie jest ponad 1800 więźniów z wyrokiem dożywocia i tylko minimalny odsetek trafia do więzienia otwartego kategorii D. Obecnie w North Sea Camp znajduje się dwudziestu dwóch „dożywotniaków”. Po wyroku zaczynają życie więzienne od zakładu kategorii A, następnie przechodzą przez B i C, a w końcu dostają się do D, z nadzieją na zwolnienie. W North Sea Camp rozpiętość minimalnych okresów odbywania kary owych więźniów waha się od dwunastu lat do tyłu, ile sobie zażyczy Jej Królewska Mość, i Simpson potwierdza, że chociaż niektórzy zakwalifikują się do zwolnienia, to jednak nigdy nie wyjdą na wolność. Po prostu Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie zechce ryzykować.

Simpson tłumaczy, że wprawdzie do niego należy ocena, kogo się powinno zwolnić, ale zawsze woli zachować ostrożność, bo choćby w wielu przypadkach się powiodło, wystarczy jedna porażka, żeby się dostać na czołówki gazet.

Simpson przyznaje się do takiej porażki. Chodzi o człowieka nigdy wcześniej niekaranego, który aż do zamordowania swojej niewiernej żony wiódł całkiem normalną egzystencję. Został skazany na dożywocie, przy czym minimalny okres odbywania kary ustalono na dwanaście lat. Dzięki wzorowemu

zachowaniu szybko (jak na więźnia dożywotniego) awansował z kategorii A do B, do C, wreszcie trafił do North Sea Camp – i to wszystko w ciągu niespełna ośmiu lat. Podczas pobytu w North Sea Camp zachowywał się nienagannie, póki się nie zakochał w funkcjonariuszce, która musiała odejść i poszukać sobie innej pracy. Po dwunastu latach wyszedł na wolność i wkrótce poślubił ukochaną kobietę. Znalazł dobrą pracę i włączył się do społeczności. Trzy lata później, w rocznicę zamordowania pierwszej żony, zabił nową małżonkę i odebrał sobie życie.

Simpson wzdycha.

– Nic nie wskazywało na to, że coś takiego się stanie, i gdyby nie wypuszczono tego człowieka, równie dobrze można by nie wypuścić żadnego skazanego na dożywocie. Większość tych więźniów nigdy nie będzie zagrożeniem dla społeczeństwa, ponieważ na ogół mordercy są sprawcami jednego, pierwszego w życiu przestępstwa; dziewięćdziesiąt procent zwolnionych nie popełnia następnego.

Jest możliwe, że więzień skazany na dożywocie wyjdzie na wolność po ośmiu latach, ale znacząca większość siedzi ponad dwadzieścia lat, a niektórzy nigdy nie opuszczają więzienia – chyba że w trumnie.

Dzień 139

Wtorek, 4 grudnia 2001

8.57 rano

Wyrzucono Clarke'a i przydzielono mu pracę na dworze, Carla zaś odesłano z powrotem do bloku południowego, i to wszystko przez nieuczciwego funkcjonariusza więziennego. Zaraz wytłumaczę, o co chodzi.

Clarke jest sprzątaczem w wydziale zarządzania wyrokami, a ponieważ ma sześćdziesiąt siedem lat, pracuje tylko przed południem. Dzięki temu może przebywać w ciepłej i ma coś do zrobienia, zamiast przesiadywać całymi dniami w pokoju. Z moich poprzednich zapisków dowiedzieliście się, że był dumny ze swojej pracy. Z kolei Carl, którego szkolilem, żeby przekazać mu obowiązki, tylko wtedy wróci do biura, kiedy – i jeśli – ja zostanę sanitariuszem w szpitalu. Dlaczego? Jeden z funkcjonariuszy rozmawiał z dziennikarzami, żeby sobie dorobić do pensji, i między innymi powiedział im, że mam własnego sprzątacza i osobistego asystenta. Naczelnik uznał za konieczne zlikwidować obydwa stanowiska pracy do czasu zakończenia śledztwa. New jest wściekły, nie tyle z powodu Carla, ale dlatego, że Clarke ucierpiał z racji „niezgodnego z etyką

zawodową” zachowania funkcjonariusza.

Szczegółowe informacje udzielone prasie umożliwiły ograniczenie podejrzanych do dwóch funkcjonariuszy. W więzieniu odbywa się zgadywanka, kim są ci dwaj – to krzywdzące, bo pozwala więźniom wrabiać funkcjonariuszy, których nie lubią.

10.00 rano

Komisja zatrudnienia. Carl zostaje oficjalnie zdegradowany do pozycji sprzątacza, ale Berlyn zapewnia go, że kiedy zwolni się moje stanowisko, on je otrzyma. Clarke zamiata teraz liście na podwórzu. Pamiętajcie, że jest grudzień.

12.00 w południe

Przy lunchu Doug mi mówi, że pani Tempest zaproponowała, żeby jego przyszły pracodawca przybył do więzienia, gdzie sprawdzi się jego wiarygodność i poprosi się go o scharakteryzowanie pracy obejmującej codzienne prowadzenie ciężarówki z Bostonu do Birmingham oraz March i z powrotem. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Doug podejmie pracę w poniedziałek rano, ja przejdę do szpitala jako sanitariusz, Carl wróci do biura i – jeżeli ktoś w więzieniu będzie miał odrobinę rozsądku – Clarke zostanie przywrócony na stanowisko sprzątacza w niepełnym wymiarze godzin.

2.00 po południu

Spędziłem sam popołudnie w biurze. Trzech więźniów stawilo się przed komisją ustalającą plan odbywania kary i jest jeszcze jeden, który prosi o radę w sprawie przyznania lokalizatora. Ponieważ nie umie czytać ani pisać, wypełniam mu wszystkie formularze.

Zjawia się wyraźnie poirytowany New. Znowu kryzys z łózkami w więzieniu: brakuje drzwi w dwunastu pokojach w bloku południowym. New zarządza, żeby je natychmiast wstawiono, co w warunkach więziennych oznacza w najlepszym razie najbliższy poniedziałek.

6.00 wieczorem

Wzywają mnie przez głośniki do rejestracji. To może być tylko Daff.

Melduję się u starszego sierżanta Daffa, który jest sam. Mówi, że postanowił wcześniej przejść na emeryturę, ponieważ nie podobają mu się zmiany w więziennictwie.

– Za bardzo się certolą – mruczy pod nosem.

Dodaje, że skoro będę sanitariuszem, wolno mi mieć trochę rzeczy osobistych. Otwiera moją skrytkę i pozwala mi wyjąć dres, koc, dwie poszewki, obrus i słownik. Wypełnia obowiązkowy różowy formularz, na którym kwituję odbiór. Potem mruga, wkładając to wszystko do czarnego plastikowego worka na śmieci. Odchodzę, unosząc łup.

10.00 wieczorem

Wychodzę ze szpitala, wracam do swojego pokoju i siadam do czytania *Motyła i skafandra*, książki poleconej przez mojego syna Williama.

Dzień 143

Sobota, 8 grudnia 2001

8.00 rano

Zwykle weekendy są nudne, ale dziś, spędziwszy dwie godziny przy redagowaniu *Synów fortuny*, zaczynam przenosić mój skromny dobytek do szpitala. Wprawdzie oficjalnie mam się tam przeprowadzić dopiero jutro, jednak Doug pozwala mi przechować część rzeczy pod jednym ze szpitalnych łóżek.

1.00 po południu

W dzisiejszej korespondencji są odpowiedzi od Rosemary Leach i Stephanie Cole na moje listy, które do nich napisałem po ich występie w *Z powrotem w domu*. Pani Leach w odręcznie napisanym liście wyraża obawę, że może przeszarżowała w swojej grze, bo teraz jest „na topie” nijakość i niedopowiedzenie. Pani Cole natomiast uważa, że jej gra była zbyt sentymentalna. Podziwiam je za ten krytycyzm.

Dziś dostałem siedemdziesiąt dwie kartki świąteczne, co bardzo podnosi mnie na duchu. Funkcjonariusze zaczęli przyjmować zakłady, ile kartek otrzymam od publiki. Hart typuje, że 1378, New – 1290, a Downs – 2007. Wybieram trzy kartki, żeby je umieścić u wezglowia łóżka – przedstawiają pejzaż pędzla wspaniałego szkockiego artysty Josepha Farquesona, karykaturę babci autorstwa Gilesa i obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem namalowany przez Belliniego.

2.00 po południu

Najjaśniejszym momentem dnia są odwiedziny Mary, Jamesa i Alison, którzy wspólnie przekazują mi aktualne nowiny o sprawach osobistych, biurowych i prawnych. William wraca z Ameryki w przyszłym tygodniu i razem z Mary i Jamesem przyjadą do mnie w Wigilię. Potem Mary poleci do Kenii na ślub swojego siostrzeńca. Mary i ja zawsze chcieliśmy pojechać na safari i zobaczyć wielkie koty. Nie w tym roku.

Dzień 144

Niedziela, 9 grudnia 2001

9.00 rano

Doug spędza dzień u rodziny w March, więc go zastępuję przed południem w szpitalu.

2.00 po południu

Odwiedzają mnie dwaj rzecznicy torysowskiej ławy liderów, Patrick McLoughlin, zastępca sekretarza dyscyplinarnego klubu Partii Konserwatywnej w Izbie Gmin, i Simon Burns, numer dwa po Liamie Foksie, ministrowie zdrowia w gabinecie cieni. Od wielu lat są lojalnymi przyjaciółmi. Brałem udział w kampanii wyborczej na ich rzecz, zanim weszli do parlamentu, Patrick w słynnych wyborach uzupełniających – po tym, jak Matthew Parris odszedł z Izby Gmin – które wygrał przewagą 100 głosów, i Simon, który zajął miejsce Normana St John Stevasa w Chelmsford West, gdzie liberałowie zdołali zmniejszyć przewagę Normana z 5471 w 1979 roku do 378 w roku 1983.

– Gdybyście uznali, że konserwatyści nie wrócą do władzy przez piętnaście lat, czy szukalibyście innego zajęcia? – pytam.

– Nie – odpowiadają jednogłośnie. – Zresztą – dodaje Simon – nie umiem robić nic innego. – Patrick potakuje ruchem głowy. Nie jestem pewien, czy się zgadza z Simonem, że ten nie potrafi robić nic innego, czy też ma na myśli siebie.

Rozmawiamy szczerze na temat Iaina Duncana Smitha. Obydwaj są zadowoleni, że zdołał wyciszyć wewnątrzpartyjną debatę na temat Europy i skoncentrować się na służbie zdrowia, oświacie i świadczeniach socjalnych. Zgadniają się, że Blair może sobie zapisać na plus popularną wojnę (Afganistan)

i chociaż różnice zdań z Brownem są poważne, Brytyjczycy nie wydają się tym jakoś specjalnie zainteresowani. Patrick uważa, że nie po najbliższych, ale po następnych wyborach wrócimy do władzy, Simon jednak nie jest takim optymistą.

– Ale – mówi – jeżeli Brown przyjdzie na miejsce Blaira, możemy wygrać następne wybory.

– A co – pytam – jeżeli ktoś przyjdzie na miejsce Iaina Duncana Smitha?

Milczą obaj.

Kiedy odchodzą, uświadamiam sobie, jak bardzo mi brak parlamentu i wszystkiego, co się wiąże z polityką.

10.15 wieczorem

To moja ostatnia noc w bloku południowym. Chociaż zza ściany dobiega ryk transmisji telewizyjnej z meczu piłki nożnej, mocno śpię.

Dzień 145

Poniedziałek, 10 grudnia 2001

3.52 rano

Wczesnie się budzę, więc piszę przez dwie godziny.

6.00 rano

Pakuję resztę dobytku i ruszam do szpitala do Douga, który przemierza tę samą drogę, tyle że w odwrotnym kierunku.

7.30 rano

Opiszę moje codzienne czynności, zanim zacznę opowiadać o pracy w szpitalu.

6.00 rano *Wstaję, piszę do 7.* **7.00 rano** *Kąpiel i golenie.* **7.30 rano** *Przychodzi siostra oddziałowa, żeby przyjąć apel chorych, co trwa do 8.* **8.00 rano** *Dostarczam karteczki ze zwolnieniami z pracy do bloku północnego i południowego, na farmę, do warsztatów, działu edukacji i na portiernię przy głównym wejściu.* **8.20 rano** *Śniadanie.* **9–10.30 rano** *Przychodzi lekarz zbadać chorych, co zwykle trwa do wpół do jedenastej, w zależności od ich*

liczby. 11.30 rano Apel chorych do południa (odbieranie pigulek itp.). 12.00 w południe Lunch. 12.30 po południu Telefonuję do biura do Alison. 1–2.00 po południu Piszę. 3.00 po południu Do North Sea Camp przybywają więźniowie z Birmingham, Leicester, Wayland, Lincoln albo Bedford, z więzień kategorii C. Najpierw zgłaszają się w rejestracji, potem idą do szpitala, gdzie siostra oddziałowa wciąga ich na listę i sprawdza historię chorób. Rzadko się zdarza, żeby człowieka przenoszono do innego więzienia, jeżeli jest chory.

Badam nowo przybyłym więźniom ciśnienie krwi, przeprowadzam analizę moczu – pod kątem cukrzycy, nie narkotyków – to się bada później w innym budynku – mierzę ich i ważę, a potem przekazuję te informacje siostrze oddziałowej do porównania z ich dokumentacją medyczną. 4.30–5.00 po południu Apel chorych. Linda, która zaczyna pracę o 7.30 rano, wychodzi o 5 po południu. 5.00 po południu Kolacja. Jeżeli ktoś zachoruje w nocy, dyżurny strażnik może otworzyć gabinet lekarski i wydać leki, chociaż większość więźniów usłyszy, że powinni czekać do apelu chorych następnego dnia. Jeżeli to coś poważnego, zawozi się chorego taksówką do bostońskiego Pilgrim Hospital, odległego o piętnaście minut jazdy. 5.30 po południu Piszę przez dwie godziny. 7.45 wieczorem Telefonuję do Mary i/albo Jamesa i Willa. 8.00 wieczorem Czytam albo oglądam telewizję; dziś wieczór Katarzynę Wielką. Odwiedzają mnie Doug i Clive (pozwala mi się na towarzystwo dwu współwięźniów między 7 a 10.00 wieczór). 10.20 wieczorem Po obejrzeniu wiadomości układam się na łóżku o pięć cali szerszym niż to w pokoju w bloku południowym i zapadam w głęboki sen. W porównaniu z Belmarsh i Wayland jest to – jak głosi tytuł tego tomu – niebo. Dzień 146

Wtorek, 11 grudnia 2001

5.49 rano

Z trudem się wdrażam do codziennych zajęć. Są o wiele bardziej wymagające niż praca w SMU. Mam nadzieję, że Linda zechce mnie nauczyć udzielania pierwszej pomocy i, co ważniejsze, że dzięki niej będę mógł się więcej dowiedzieć o problemie narkomanii w więzieniach.

7.25 rano

Stoję przy drzwiach i czekam na Lindę. Przygotowuję dla niej kawę: dodaję jeden słodzik i łyżeczkę mleka do jej kubka ze świnką. Każdy z pięciu lekarzy ma własny kubek.

Linda pracuje w więziennictwie od ponad dziesięciu lat. Ma trójkę dorosłych dzieci, dwóch synów i córkę. Jej mąż Terry, nauczyciel pielęgniarstwa, zmarł na raka skóry dwa lata temu w wieku pięćdziesięciu trzech lat. Linda zostaje po godzinach i więźniowie traktują ją tak, jak ja kiedyś naszą higienistkę w szkole – trochę jak matkę, pielęgniarkę i powiernicę. Nie cierpi wałkoni, ale jeżeli ktoś jest naprawdę chory, okazuje mu dużo serca.

8.15 rano

Po apelu chorych odwiedzam różne części więzienia, żeby zawiadomić personel, kto tego dnia jest zwolniony z pracy, a potem idę na śniadanie. Pytam Johna (dożywocie), jakie mięso jest w kielbasce.

– Zawsze wołowe – odpowiada. – W więzieniu jest w dzisiejszych czasach tylu muzułmanów, że nie podaje się kielbasy wieprzowej.

10.00 rano

Szpital odwiedza Alan, człowiek, który będzie prowadził kurs na temat narkomanii i alkoholizmu. Jeździ od więzienia do więzienia, udzielając rad i pomagając każdemu, kto go o to poprosi. Na posterunkach w całym kraju jest sto pięćdziesiąt takich osób, opłacanych przez podatników z budżetu państwowej służby zdrowia i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Alanowi jest przykro, że tak mało więźniów korzysta z jego usług. W samym Bradford, jak ocenia, 40 procent więźniów poniżej trzydziestki jest na narkotykach, a kolejne 30 procent pije nałogowo alkohol. Pokazuje mi stos formularzy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jakie musi wypełnić, ilekroć spotyka się z więźniem. W ciągu przedpołudnia tylko dwóch więźniów z 211 raczyło się do niego zgłosić.

11.00 rano

Dziś mam szczególną wizytę – odwiedza mnie sir Brian Mawhinney, stary przyjaciel, poseł, którego okręg wyborczy znajduje się około dwudziestu mil na południe od North Sea Camp. Jako były minister w rządzie oraz minister spraw wewnętrznych w gabinecie cieni, ma dużo pytań na temat więzień, a ponieważ ja przez ostatnie pół roku nie odwiedziłem Westminsteru, też chcę go zapytać o wiele spraw.

Brian zostaje godzinę i kiedy przestajemy mówić o dawnych triumfach, omawiamy obecne katastrofy. Obawia się, że scenariusz Simona Burnsa jest prawdopodobny: konserwatyści pozostaną długo w odstawce, ale „wydarzenia, drogi chłopcze, wydarzenia to wciąż nasza największa nadzieja”. Brian przeciąga odwiedzinę, ja tracę lunch – ale nie żałuję.

4.00 po południu

Hart przekazuje mi wiadomość od moich prawników, że moje dokumenty w sprawie apelacji nie wpłynęły do sądu. Wpadam w panikę. Przekazałem je funkcjonariuszowi tydzień temu. Hart telefonuje do Hockinga, który potwierdza, że zostały wysłane 29 października. Kto zawinił?

5.00 po południu

Kantyna. Teraz, kiedy mam wyższy status, mogę co tydzień dodać do swojego rachunku własnych 15 funtów. Razem z wynagrodzeniem sanitariusza, wynoszącym 11 funtów 70 pensów, będzie to 26 funtów 70 pensów tygodniowo. Mogę się teraz cieszyć mydłem Cussons, pastą do zębów SR, szamponem Head and Shoulders, a nawet od czasu do czasu paczką czekoladowych herbatników McVitie's.

6.00 wieczorem

Dziś słucham koncertu rockowego w wykonaniu zespołu Za i Przeciw. Poziom wysoki, znakomity jest Gordon (ciężkie uszkodzenie ciała) na gitarze, który, co przykre dla zespołu, jutro ma wyjść na wolność.

8.00 wieczorem

Doug wraca po drugim dniu pracy. W ciągu jednego dnia przejechał trasę do Birmingham i Northampton. Jest wykończony i ma dość swojego współlokatora, który zostawia radio włączone na całą noc. Kładę się spać o wpół do jedenastej. Jutro się dowiecie, jakie to ma znaczenie.

Dzień 147

Środa, 12 grudnia 2001

2.08 w nocy

Strażnik pełniący nocną służbę otwiera drzwi i świeci mi latarką w oczy. Ponad godzinę nie mogę zasnąć.

5.16 rano

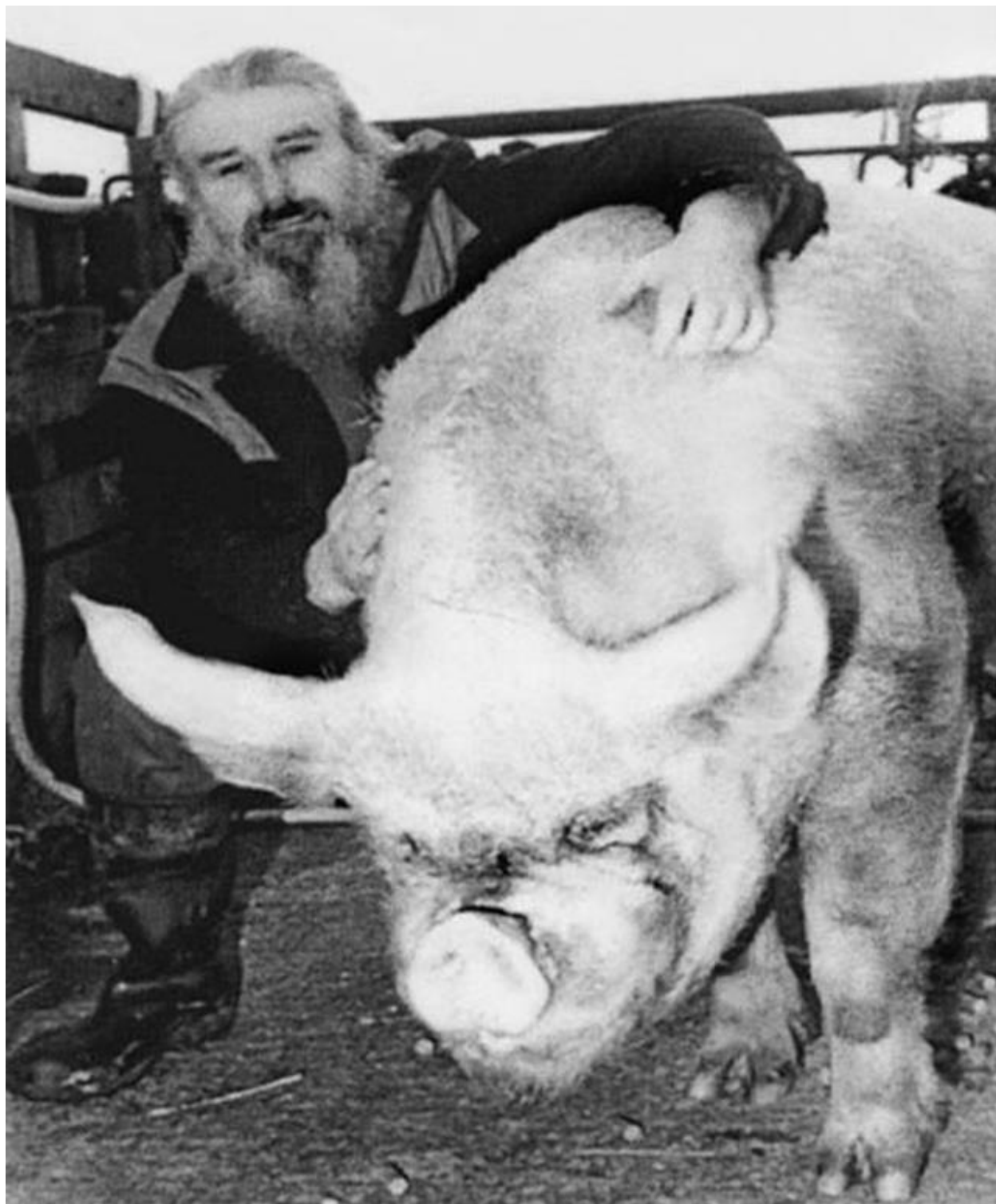
Znowu to robi, więc wstaję i zaczynam pisać.

8.07 rano

Obchodząc dzisiaj więzienie, żeby roznieść zwolnienia z pracy, zaglądam na farmę. Jest przejmujący ziąb i wielu więźniów skarży się na przeziębienie. Wpadam na kierownika farmy, Donnelly'ego, czarującego mężczyznę, którego poznałem podczas mojej pracy w SMU, kiedy uczestniczył w komisji zatrudnienia. Przedstawia mi Kwiatuszka, piękne stworzenie.

Kwiatuszek waży dwadzieścia sześć kamieni, ma złamany ryj i cztery krótkie, grube, włochate nogi. Ma szczęście, że żyje. Kwiatuszek to świnia, ulubienica więźniów; kiedy miała iść na rzeź, ukryli ją w stogu siana. Donnelly nie znalazł jej tego ranka, więc odroczył egzekucję o tydzień. Kwiatuszek pojawił się nazajutrz, ale w tajemniczy sposób znikł, kiedy ciężarówka pojawiła się w następnym tygodniu. Donnelly znowu szukał świni i znowu jej nie znalazł. Więźniowie wiedzieli, że kryjówki Kwiatuszka nie da się długo utrzymać w tajemnicy, więc wystosowali podanie do naczelnika, żeby pozwolił im go kupić, by w spokoju dożył swoich dni w North Sea Camp. Donnelly tak się wzruszył postawą więźniów, że darował zwierzęciu karę śmierci i pozwolił mu przejść na emeryturę. Szczęśliwa pupilka wałęsa się po farmie i opływa w przysłowiowe dostatki. (Zobacz foto poniżej).

POWRÓT



Kwiatuszek ze swoim przyjacielem Kwiatkiem

8.30 rano

Po śniadaniu wracam do szpitala i wydaje mi się, że coś jest inaczej; uświadamiam sobie, że na drodze nie ma Petera (dożywocie, podpalenie), który codziennie rano zamiata liście. Strażnik wyjaśnia, że Peter jest na przepustce w Bostonie: pierwszy raz od trzydziestu jeden lat wyszedł poza teren więzienia. Spróbuję zamienić z nim słowo, kiedy tylko wróci; chciałbym uchwycić jego pierwsze wrażenia na wolności.

9.00 rano

Zgłaszają się nowi więźniowie do lekarza na badanie. Teraz czuję, że się oswajam z obowiązkami sanitariusza.

12.00 w południe

Telefonuję do Mary, żeby ją zapewnić, że moje dokumenty znalazły się w sądzie i żeby jej życzyć udanego jutrzejszego przyjęcia świątecznego. Wcześniej Mary będzie na ceremonii z okazji pięćdziesiątej rocznicy ślubu Denisa i Margaret Thatcher w East India Club. Obiecuje zadzwonić i opowiedzieć, jak się udały obie uroczystości. Nie, przypominam jej, tylko ja mogę do ciebie telefonować.

4.08 po południu

Głośnik wzywa mnie do rejestracji. Kiedy tam przybywam, starszy sierżant Daff oznajmia, że przysłano mi dwa świąteczne torty – jeden od pani Geraldowej Scarfe, znanej lepiej jako Jane Asher, wraz z kartką, z której przepisuję tylko ostatnie zdanie:

Upiekłam Ci tort na święta Bożego Narodzenia, z piłką do metalu i pilnikiem w środku.

Do rychłego zobaczenia, serdeczności, Jane.

– i jeden od grupy pań z Middleton.

Ponieważ więźniom nie wolno dostawać żadnych artykułów żywnościowych, bo mogą zawierać alkohol albo narkotyki, Daff się zgadza, żeby jeden tort posłać do miejscowego domu dla emerytów, a drugi do ośrodka dzieci specjalnej troski. Więc dzieci mogą się upijać do nieprzytomności, a staruszkowie narkotyzować się do woli, tylko mnie nie wolno?

– To przepis Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – wyjaśnia Daff.

5.00 po południu

Spostrzegam na podjeździe Petera (dożywocie, podpalenie). Wygląda na oszołomionego, więc zapraszam go do szpitala na kawę i herbatniki. Gawędzimy prawie godzinę.

Najbardziej zaszokował Petera, który pierwszy raz po ponad trzydziestu latach wychylił nos na świat, widok rzesz starych zgredów na ulicach Bostonu, robiących świąteczne zakupy. W 1969 roku przewidywana średnia długość życia dla mężczyzny wynosiła sześćdziesiąt osiem lat, a dla kobiety siedemdziesiąt trzy; teraz wynosi odpowiednio siedemdziesiąt sześć i osiemdziesiąt jeden. Peter uważa również, że wiele młodych kobiet ubiera się „jak dziwki”, ale przyznaje, że nie mógł od nich oderwać oczu. Peter, który jest wysoki i mocno zbudowany, dziwił się, że nie wyróżnia się z tłumu jak trzydzieści jeden lat temu. Kiedy odwiedził supermarket Safeways, pierwszy raz zobaczył wózek; w przeszłości był obsługiwany tylko przy ladzie i używał koszyka do zakupów. Jeżeli chodzi o pieniądze, to oczywiście wie o decymalizacji, ale kiedy ostatnio kupował coś w sklepie, to funt składał się z 240 pensów, a dziesięcioszylingowe banknoty i gwinea wciąż były wspomniane z rozrzewnieniem.

Petera bardzo peszyły przejścia dla pieszych z przyciskiem włączającym zielone światło i bał się z nich skorzystać. Jednak jego największą odrazę budziła konieczność korzystania w sklepie z ubraniami z przymierzalni za zasłoną przy obcych ludziach przechodzących mimo – a zwłaszcza obecność ekspedientek, które bezceremonialnie odsuwały zasłonę, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Zdumiewało go, że mógł przymierzyć koszulę, a potem nie musiał jej kupić.

Podejrzewam, że proces powrotu do społeczeństwa – nadzorowane wizyty w mieście (sześć w sumie) i samodzielne weekendowe wizyty domowe, wizyty tygodniowe, wolontariat, a potem praca w społeczności – zajmie Peterowi przynajmniej trzy–cztery lata, a wtedy będzie się już kwalifikował do emerytury. Można się zastanawiać, czy kiedyś wróci do rzeczywistego świata, a nie będzie przierzucany z jednej instytucji do drugiej.

10.00 wieczorem

Słucham wieczornych wiadomości. Roy Whiting dostał wyrok dożywocia za zamordowanie Sarah Payne. Już po wydaniu wyroku dowiadujemy się, że kilka lat temu Whiting był skazany za porwanie dziecka i wykorzystywanie seksualne nieletniego. Na ile go wtedy skazano? Na cztery lata.

Dzień 148

Czwartek, 13 grudnia 2001

6.00 rano

Funkcyjnych w więzieniu można porównać do klasowych starostów w szkole. Powierza się im stanowiska, bo ma się do nich zaufanie. Oczekuje się od nich pracy w zamian za takie przywileje, jak spożywanie posiłków w małej grupie; w moim wypadku jest to jednoosobowy pokój z telewizorem.

Więźniów funkcyjnych jest kilkunastu. Wczoraj wylano dwóch z rejestracji, wskutek czego powstały dwa atrakcyjne wakaty.

Martin, starszy z dwóch pracowników rejestracji, miał zostać zwolniony dzisiaj rano, dwa miesiące wcześniej, z lokalizatorem. Jedynym ograniczeniem było pozostawanie w miejscu zamieszkania od godziny 7 wieczór do 7 rano. Martin już załatwił swoistą „listę obiegową”, którą trzeba skompletować dzień przed zwolnieniem. Niestety, wychodząc dziś rano na wolność, postanowił wziąć ze sobą nowiutkie ubranie więzienne, drelichową bluzę i džinsy oraz kilka koszul. Koszulę więzienną w niebieskie i białe paski można sprzedać na wolności za około stu funtów, zwłaszcza taką, która na kieszonce ma litery NSC.

Kiedy wykryto kradzież, Martina z miejsca wyrzucono, co gorsza, wyrzucono też drugiego pracownika rejestracji, Barry’ego, którego jedynym przestępstwem było to, że nie doniósł na Martina. To okrutna sprawiedliwość, kiedy jedynym sposobem zachowania pracy jest doniesienie na kolegę, jeżeli się wie, jakie poniesie konsekwencje – nie mówiąc o tym, jak będą cię traktować inni współwięźniowie. O karze dowiemy się jutro, kiedy obaj winowajcy staną przed naczelnikiem.

2.00 po południu

Jestem rozczarowany listem od Williama Payne’a, naczelnika Spring Hill, w którym odrzuca moją prośbę o przeniesienie. Powody odmowy są wymienione w liście zamieszczonym na stronach obok. Uważam, że powinienem podkreślić, iż przyjęto wszystkich pięciu więźniów, którzy starali się ostatnio o przeniesienie do Spring Hill. Nie będę się odwoływał, ponieważ już dawno temu przestałem liczyć na jakąkolwiek sprawiedliwość ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

HM Prisons
Grendon & Spring Hill
Grendon Underwood
Aylesbury
Bucks HP18 0TL
Telephone 01296 770301
Fax 01296 770756
E-mail governorpayne@hotmail.com



INVESTORS IN PEOPLE

Mr J Archer FF8282
HMP North Sea Camp
Frieston
Boston
Lincs
PE22 0QX

Ref: 103/2001

Data: 10 grudnia 2001

Szanowny Panie,

Dziękuję za Pańskie podanie o przeniesienie do Więzienia Jej Królewskiej Mości Spring Hill.

Przeanalizowałem je z uwagą. Prosi Pan o przeniesienie, ponieważ Pańskiej rodzinie byłoby łatwiej tu Pana odwiedzać niż w North Sea Camp. Wprawdzie Spring Hill byłoby pod tym względem dogodnie, jednakże obecnie więcej wolnych miejsc jest w Więzieniu Jej Królewskiej Mości Hollesley Bay* koło Woodbridge w Suffolk, położonym niedaleko Cambridge i na trasie dojazdowej z Londynu. Dlatego odmawiam Pańskiej prośbie o przeniesienie do Spring Hill.

Naczelnik Hollesley Bay potwierdził, że może zaoferować Panu miejsce, gdyby się chciał Pan przenieść do tamtejszego zakładu. Mam nadzieję, że ta możliwość będzie Panu odpowiadała.

Z poważaniem

William Payne
Naczelnik

Do wiadomości: Colin New, HMP North See Camp
Karen Mackenzie-Howe, HMP Spring Hill

* Hollesley Bay jest położone dalej od Cambridge niż North Sea Camp.

3.00 po południu

Sześciu nowych więźniów: czterech z krótkimi wyrokami od trzech tygodni do dziewięciu miesięcy oraz dwóch dożywotnich, którzy przez ostatnich szesnaście lat byli zapudłowani przez dwadzieścia dwie godziny na dobę. Spacerują oszołomieni po obrzeżach więzienia (bez murów) i nie rozumieją, dlaczego nie zagania się ich z powrotem do cel. Linda mówi mi, że więźniowie dożywotni często się zgłaszają pod koniec tygodnia przeziębieni i z obrażeniami stóp i o wiele dłużej przystosowują się do warunków więzienia otwartego.

Jeden z więźniów z krótkim wyrokiem z Nottingham, umieszczony w skrzydle dla niepalących w bloku południowym, gdzie przebywają głównie bardziej dojrzały wolontariusze, wykonujący prace społeczne i powracający do więzienia tylko na noc, mówi mi z gorzkim uśmiechem, że ostatniej nocy nie mógł spać, bo było tak cicho.

6.00 wieczorem

Odwiedza mnie Hocking. Poleca mi, żebym nie wyrzucał papierów osobistych, listów, kopert ani notatek do kosza na śmieci na zewnątrz szpitala, ponieważ zeszłej nocy złapano więźnia, który przetrząsał kosz. W przyszłości mam oddawać niepotrzebne papiery strażnikowi z zespołu ochrony, który je wrzuci do niszcarki. North Sea Camp nie chce powtarzać przykrego doświadczenia Belmarsh, gdzie jeden z funkcjonariuszy ukradł rozdział mojej książki i próbował go sprzedać gazecie „Sun”.

8.00 wieczorem

Rezyduję w moim pałacu w otoczeniu wiernego dworu, składającego się z Douga, Clive'a i Carla. Przynajmniej tak się tu czuję po Belmarsh i Wayland.

W Londynie Mary pełni rolę gospodyni naszego tradycyjnego przyjęcia bożonarodzeniowego.

Dzień 151

Niedziela, 16 grudnia 2001

7.30 rano

Dziś we wczesnych godzinach porannych zgłasza się do przychodni tylko pięciu więźniów. Linda tłumaczy, że chociaż w więzieniu są klub fotograficzny, warsztat stolarski, biblioteka, sala gimnastyczna i kaplica, wielu więźniów spędza weekend w łóżku, wstając tylko po to, żeby jeść albo oglądać mecz piłki nożnej w telewizji. Jakże marnują sobie życie!

2.00 po południu

Moimi gośćmi są dzisiaj Malcolm i Edith Rifkindowie. Obaj z Malcolmem znaleźliśmy się mniej więcej w tym samym czasie w parlamencie. Malcolm należy do rzadkich zwierząt politycznych niemających wrogów. Był ministrem obrony oraz ministrem spraw zagranicznych w rządzie Johna Majora i nie mogę się oprzeć refleksji, że żadna inna profesja poza polityką nie pozbywa się tak chętnie swoich najzdolniejszych ludzi, kiedy są u szczytu formy. To tak jakby zrezygnować z Beckhama czy Wilkinsona w wieku dwudziestu pięciu lat. Jednak taki jest przywilej wyborców i jedna z niewielu złych stron demokracji.

Malcolm i jego żona Edith chcą wiedzieć wszystko o życiu więziennym, ja natomiast pragnę usłyszeć wszystkie ostatnie plotki z Westminsteru. Malcolm wygłasza komentarz polityczny, który mocno wbija mi się w pamięć.

– Gdyby w 1979 roku wyborcy zaoferowali nam umowę na osiemnaście lat, chętnie byśmy ją zawarli, więc nie możemy się skarżyć, jeżeli teraz musimy kilka lat być w odstawce.

Malcolm i Edith przyjechali samochodem z Londynu, żeby się ze mną zobaczyć, i teraz pojedą do Edynburga. Nie umiem wprost wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny przyjaciołom za ich życzliwość.

8.00 wieczorem

Baker wpada na kawę i na pogawędkę. Kantyna funkcjonariuszy jest podczas weekendów zamknięta, więc szpital staje się naturalnym przystankiem. Baker opowiada, że jeden więzień samowolnie się oddalił, inny natomiast po powrocie z miasta był tak pijany, że nie mógł o własnych siłach wysiąść z samochodu żony. Przez kilka miesięcy nie będzie mógł odwiedzić miasta. W tym sęk, że był to jego pierwszy od sześciu lat dzień poza więzieniem.

Dzień 152

Poniedziałek, 17 grudnia 2001

8.50 rano

– Papa do hotelu, papa do hotelu, czy mnie słyszysz?

To sygnał wywoławczy przełożonego funkcjonariuszy New do Lindy i muszę powiedzieć, że dopóki jestem więźniem w zakładzie Jej Królewskiej Mości, nie znajdę tu miejsca bardziej przypominającego hotel.

Jest przeraźliwie zimny ranek w tej płaskiej, otwartej części Lincolnshire i do lekarza ustawiła się długa kolejka. Pierwsi stoją więźniowie, którzy muszą dopełnić wszystkich formalności przed jutrzejszym zwolnieniem. Druga grupa to ci, którzy czekają na orzeczenie naczelnika – jeden przyłapany na wstrzykiwaniu sobie heroiny, drugi na posiadaniu pieniędzy (20 funtów) i wreszcie więzień, który wrócił wczoraj pijany. Lekarz stwierdza, że wszyscy trzej są zdrowi, i nie znajduje medycznych podstaw, które mogłyby im posłużyć jako okoliczności łagodzące. Heroinista zostaje odesłany do Lincoln. Więzień, u którego w pokoju znaleziono 20 funtów, twierdzi, że po prostu zapomniał je oddać, kiedy wrócił z wizyty w mieście, więc dodaje mu się siedem dni do wyroku. Pijakowi przedłuża się karę o dwadzieścia jeden dni i zawiesza się do odwołania dalsze wizyty w mieście. Dostaje też ostrzeżenie, że następnym razem zostanie odesłany do więzienia kategorii B.

Ci w trzeciej grupie – najliczniejszej – są albo naprawdę chorzy, albo nie palą się do roboty na farmie przy minusowej temperaturze. Większość otrzymuje polecenie natychmiastowego powrotu do pracy, w przeciwnym wypadku zostaną zgłoszeni do raportu i będą się musieli stawić przed naczelnikiem.

2.00 po południu

Telefonuję do Mary, która ma interesujące wiadomości. Pragnę zwrócić uwagę, że pod koniec procesu sędzieja Potts wyraził się, iż „jest to najpoważniejsze przestępstwo krzywoprzysięstwa w całej mojej praktyce oraz pośród tych, jakie zdołałem znaleźć w opisach podobnych przypadków”.

Starszy wykładowca prawa Uniwersytetu Buckingham, kobieta, badała wyroki osób skazanych za krzywoprzysięstwo. Ustaliła, że w latach 1991–2000 w Zjednoczonym Królestwie oskarżono o to przestępstwo 1024 osoby. Z 830 skazanych blisko 400 w ogóle nie ukarano pozbawieniem wolności, natomiast w przypadku 410 kara ta wynosiła osiemnaście miesięcy albo mniej. Tylko w przypadku czterech skazanych orzeczono karę czterech lat więzienia,

podtrzymaną przez sąd wyższej instancji. Jeden z nich fałszywie oskarżył niewinnego człowieka, który odsiedział w więzieniu trzydzieści jeden miesięcy z siedemnastoletniego wyroku za przestępstwo, którego nie popełnił; drugi stał przed sądem dwukrotnie pod zarzutem morderstwa, z którego został uwolniony, ale potem skazano go za krzywoprzysięstwo w tych procesach. Pozostali dwaj złożyli fałszywe oświadczenia małżeńskie, co łączyło się z oszustwami na wielką skalę, dotyczącymi imigracji.

7.17 wieczorem

Ktoś puka do drzwi, a ponieważ po szóstej wieczorem szpital jest zamknięty, chyba że zdarzy się nagły wypadek, więc myślę, że to jakiś funkcjonariusz. Ale nie. To Wright, wesoły Antylczyk. Jest zawsze pogodny i nigdy na nic nie narzeka, jedynie na pogodę.

– Cześć, Jeff, chyba sobie złamałem palec.

Oglądam mu skrupulatnie rękę, jakby moja wiedza medyczna nie ograniczała się tylko do kursu pierwszej pomocy z czasów skautowskich w latach pięćdziesiątych. Radzę, żebyśmy poszli do oddziałowego. Funkcjonariusz Cole nie okazuje współczucia, ale w końcu się zgadza, żeby Wrighta odwiedzić do szpitala. Wright wraca po godzinie z palcem w łubkach.

– Przy okazji – pytam – jak sobie złamałeś ten palec?

– Przytrzasnąłem drzwiami, no nie?

– Dziwne – mówię – bo mnie się zdaje, że widziałem te drzwi chodzące z podbitym okiem.

Dzień 153

Wtorek, 18 grudnia 2001

10.00 rano

Dziś przyszedł list polecony z sądu apelacyjnego. Reprodukuję go w całości (Zobacz poniżej). Wydaje się, że władze więzienne albo sądy przeciągają sprawę, gdyż moja rozprawa apelacyjna może zostać odłożona do lutego, zamiast się odbyć w grudniu. Eksperci od apelacji, a mam na myśli współwięźniów, mówią mi, że zwykle od otrzymania wyżej wspomnianego listu do poinformowania o dacie rozprawy mijają trzy tygodnie, a jeszcze potem upływa dziesięć dni do samej apelacji.

W dzisiejszej poczcie jest też list od Damy Edny, która pyta, jak należy się ubrać, wybierając się do North Sea Camp.



THE COURT SERVICE

Criminal Appeal Office

Royal Courts of Justice,
Strand, London, WC2A 2LL
Telephone: 020 7947 7082 (Direct line)
0207 7947 6014 (Enquiries)
(Direct line – between 9.00 am and 5.00 pm)
Fax: 020 7947 6900 DX 44450 STRAND
Minicom: 020 7947 7594

JEFFREY HOWARD ARCHER
HMP NORTH SEA CAMP
FREISTON
BOSTON
LINCS
PE22 0QX

Data: 12 grudnia 2001

Your ref: FF8282

Ourref: 200104555S2

Korona przeciwko Jeffreyowi Howardowi Archerowi

Szanowny Panie,

Potwierdzam odbiór wniosku, w którym występuje Pan ponownie o zezwolenie na odwołanie od skazania.

We właściwym czasie kancelaria wyznaczy termin rozpatrzenia Pańskiego wniosku przez Sąd Apelacyjny w pełnym składzie. Proszę przyjąć do wiadomości, że ponieważ odmówiono Panu zezwolenia na odwołanie, nie przysługuje Panu adwokat z urzędu, który by Pana reprezentował w sprawie w/w wniosku. W związku z tym, jeżeli nie poinformował Pan nas jeszcze o podjęciu innych działań, kancelaria przyjmie, że sprawa ma być rozpatrywana bez prawnego przedstawiciela występującego w Pańskim imieniu.

Zwracamy uwagę, że jeżeli Pański nowy wniosek nie został złożony we właściwym terminie i wymagane jest jego przedłużenie, Sąd rozpatrzy tamten wniosek jako pierwszy. W wypadku odmowy przedłużenia terminu sprawa zostanie zamknięta i Sąd nie będzie rozpatrywał głównego podania o zezwolenie na odwołanie.

Jest nadzwyczaj ważne, żeby zdawał Pan sobie sprawę, iż rozprawa, na której będzie rozpatrzony Pański wniosek, może się odbyć w bardzo krótkim terminie. Dlatego też, jeżeli już Pan ze swej strony poczynił ustalenia co do reprezentowania Pana przez doradców prawnych albo jeżeli podejmie Pan takie działania przed terminem rozprawy, powinien Pan natychmiast powiadomić o tym nasze biuro, podając nazwiska, adresy i numery telefonów doradców. Powinien Pan także powiadomić ich o terminie, w którym będzie rozpatrywany Pański wniosek.

Z poważaniem

Za rejestratora
Jushna Chowdhury

12.00 w południe

Brian (usiłowanie oszustwa na szkodę hodowli strusi) dziękuje mi za przyslaną przez mojego wydawcę paczkę nowych książek w miękkich okładkach, która nadeszła do biura Czerwonego Krzyża w Bostonie.

1.00 po południu

Moja praca w charakterze sanitariusza pociąga za sobą zmianę godzin, w których zajmuję się pisaniem. Teraz pisuję od 6 do 7 rano, od 1 do 3 po południu i od 5 do 7 wieczorem. W czasie weekendów mogę znaleźć codziennie jeszcze dodatkową godzinę, czyli w sumie przeznaczam na pisanie około trzydziestu siedmiu godzin tygodniowo.

6.00 wieczorem

Odwiedzam kantynę, żeby kupić mydło, nożyki do golenia, czekoladę, wodę Evian i karty telefoniczne, bo inaczej grozi mi, że w czasie świąt Bożego Narodzenia będę brudny, nieogolony, niedożywiony, nie wspominając już o tym, że pozbawiony kontaktu ze światem. Dyżurny funkcjonariusz sprawdza stan mojego konta i stwierdza, że mam na nim tylko 1,20 funta. Ratunku!

Dzień 154

Środa, 19 grudnia 2001

9.00 rano

– Archera wzywa się natychmiast do rejestracji, Archera wzywa się do rejestracji!

Teraz, kiedy Daff odszedł na emeryturę, nie jestem traktowany tak tolerancyjnie jak przedtem.

Dziś otrzymałem pięć paczek. W pierwszej jest książka pióra Iris Murdoch *Morze, morze*, którą była łaskawa przysłać pani z Dumfries. Ponieważ czytałem ją przed laty, kiedy Iris Murdoch dostała Nagrodę Bookera, ofiarowuję ją bibliotece. Druga przesyłka zawiera srebrny otwieracz do butelek – przedmiot niezbyt

pożyteczny dla więźnia, gdyż nie wolno nam pić alkoholu, jednak liczy się miły gest. Pytam, czy mogę go dać Lindzie. Nie, ale można go ofiarować na loterię dla emerytów. W trzeciej paczuszce jest pióro Parkera. Czy mogę je dać Lindzie? Nie, ale wolno je przekazać na loterię dla emerytów. W czwartej paczce znajduje się miś z Dorset. Już nawet nie pytam, od razu zgadzam się oddać go na loterię. Piąta przesyłka to wielka tuba, w której mieści się piętnaście plakatów z galerii Chrisa Beetlesa; niecierpliwie czekam na nie od ponad tygodnia. Tłumaczę, że plakaty są podarunkiem dla szpitala, więc nie ma sensu zatrzymywać ich w przechowalni, gdyż szpital dostanie je w dniu, kiedy wyjdę na wolność. Zgadzają się, żebym zabrał plakaty. Wynik: jeden do pięciu.





2.00 po południu

Spędzam dwie przyjemne godziny i, wspomagany przez Carla, przy użyciu plasteliny Blu-Tack, przytwierdzam do ścian szpitala reprodukcje ilustracji Alberta Goodwina, Ronalda Searle'a, Heatha Robinsona, Emmetta, Geraldine Girvan, Paula Rileya i Raya Ellisa. Oddział, zarzucony co najmniej 900 kartkami świątecznymi, zamienił się w galerię sztuki. (Zobacz powyżej).

5.00 po południu

Wracam do kantyny. Mam na koncie tylko 2,50 funta, natomiast – według moich obliczeń – powinno być 18. Omal nie tracę panowania nad sobą, ale kiedy funkcjonariusz prowadzący kantinę mówi, że od roku usiłuje zmienić system, uspokajam się, uprzytomniwszy sobie, że on nie ponosi winy. Odnotowuje niezgodność w komputerze. Dziękuję mu i idę z powrotem do szpitala. Nie mam powodów do skarg; dostałem najlepszą pracę w więzieniu i najlepszy pokój i mogę pisać pięć godzin dziennie. Stul gębę, Archer.

6.00 wieczorem

Uczestniczę w nabożeństwie połączonym ze śpiewaniem kolęd, podczas którego czytam Ewangelię według św. Łukasza, rozdział 2, wiersze od ósmego do dwudziestego. Nie lubię współczesnego tekstu i pastor pozwala mi czytać z Biblii króla Jakuba.

Kaplica jest pełna ludzi na długo przed rozpoczęciem nabożeństwa, a na organach gra z werwą i swobodnie improwizując Brian (oszustwo na szkodę hodowli strusi). Małżonka pastora, trzech funkcjonariuszy i czterech więźniów czytają lekcje. Ja czytam po New, a po mnie czyta Hughes. Wszyscy z przyjemnością uczestniczą w spokojnym nabożeństwie, podczas którego śpiewa się kolędy i czyta lekcje, a potem czeka nas miła nagroda w postaci babeczek z nadzieniem bakaliowym i kawy, co tłumaczy tłumną frekwencję.

Po nabożeństwie Brian przedstawia mnie Marii, kierownicze sklepu Czerwonego Krzyża w Bostonie. Przyniosła paczkę książek w miękkich okładkach i pyta, czy zechciałbym je podpisać. Chętnie się zgadzam.

Dzień 155

Czwartek, 20 grudnia 2001

7.30 rano

Rekordowa liczba chorych przy temperaturze na zewnątrz bliskiej zera.

11.00 rano

Ostatnim pacjentem jest więzień nazwiskiem Robinson. Dygoce i daremnie usiłuje się rozgrzać. Jestem już tak długo w więzieniu, że na milę rozpoznaję heroinistę. Czekając na przyjęcie, Robinson się zwierza, że rozpaczliwie próbuje się uwolnić od nałogu i co rano się zgłasza na przymusowy test narkotykowy. Ma trzydzieści dwa lata i przez ostatnich czternaście lat jest na przemian to w więzieniu, to na wolności.

– Mam szczęście, że żyję – mówi. – Jak mnie ostatnio przyskrzynili, to wziąłem winę na siebie i oczyściłem współnika, bo mi obiecał, że póki będę w kiciu, co tydzień przyśle mi dziesięć funciaków.

Wspólnik zmarł tydzień później po zastrzyku heroiny ze skażonej partii.

– Jak byśmy się umówili na odwrot – powiada Robinson – dziś już bym nie żył.

12.30 po południu

Przy lunchu rozmawiam o narkomanii w więzieniach z dwoma dyżurnymi na sali gimnastycznej, którzy czują odrazę do tego nałogu. Jestem zaszokowany – czy coś może mnie jeszcze zaszokować? – kiedy Jim (włamanie, tylko antyki) mówi mi, że 30 procent więźniów w North Sea Camp to heroiniści. Ale co bardziej przygnębiające, to że kiedy Jim siedział tutaj przed ośmiu laty za poprzednie przestępstwo, tylko garstka więźniów brała narkotyki. Wobec tego co będzie za dziesięć lat?

1.00 po południu

Wracam z lunchu i widzę, że Brian i John, wolontariusze pracujący w sklepie Czerwonego Krzyża, idą w moją stronę. Obydwu odwołano z pracy i zamknięto w więzieniu na czas śledztwa. Maria, która prowadzi sklep Czerwonego Krzyża, została oskarżona o szmugiel kontrabandy (dwunastu książek) do więzienia. Najwidoczniej powinna poinformować strażników przy bramie o tym, że ma zamiar poprosić, abym je podpisał. Brian mówi, że kiedy odchodzili, płakała, i muszę powiedzieć, że ze zwykłego gestu dobrej woli zrobił się kłopot; Czerwony Krzyż został usunięty z programu wolontariatu, a Brian i John stracili pracę. Postanawiam, że się dowiem, czy nie ma w tym czegoś więcej – więzienie mnie nauczyło, żeby nie wierzyć automatycznie we wszystko – i jeżeli nie, spróbuję naprawić tę niesprawiedliwość.

8.00 wieczorem

Carl proponuje, żebyśmy obejrzeli *Midnight Express* – to pewny sposób, żeby sobie przypomnieć, jakie wszyscy mamy szczęście. I pomyśleć, że Turcja chce być pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej.

Dzień 156

Piątek, 21 grudnia 2001

9.00 rano

Dziś ma dyżur doktor Walling. Jest w radosnym nastroju i wręcza Lindzie i mnie prezenty świąteczne. Linda dostaje pudełko czekoladek Ferrero Rocher, a ja butelkę szkockiej. Linda prędko ją zabiera, tłumacząc, że ofiarowanie więźniowi alkoholu jest niezgodne z przepisami. Gdyby przyłapano mnie z butelką whisky (prawdę powiedziawszy, nie piję wysokoprocentowego alkoholu), straciłbym pracę i prawdopodobnie zostałbym odesłany do zakładu kategorii B z przedłużonym wyrokiem. Doktor Walling jest mocno zakłopotany.

12.00 w południe

Simon (uprowadzenie syna, sprzedawca w kantynie) przynosi Lindzie kanapkę na lunch. Kiedy robię jej kawę, Simon mówi mi, że dziś przynosi się do innego pokoju. Jego współlokator, żonaty mężczyzna z dwójką dzieci, spytał go zeszłej nocy, czy nie miał nigdy ochoty zostać biseksualistą. Simon opowiada, że wyskoczył z łóżka, ubrał się, wyszedł z pokoju i poprosił o przeniesienie, bo nie chce być zamknięty z, jak to określił, „szurniętym pedałem”.

8.00 wieczorem

Oglądam w BBC2 audycję *Wielcy artyści*. Tematem jest Breughel i pomniejsi Breughle.

10.00 wieczorem

Zasypiam, siedząc na krześle, jestem wyczerpany. Widać zmęczyły mnie obowiązki szpitalne i pisanie. Mimo to nie mogę się uskarżać, bo dni płyną o wiele szybciej.

Dzień 157

Sobota, 22 grudnia 2001

9.00 rano

Więzienia są jak krykiet – codziennie odkrywasz nowe sposoby wypadnięcia z gry.

Dziś rano lekarz musi wydać świadectwo zdrowia więźniowi imieniem Hal

(włamywacz, pół roku), który potem stanie przed naczelnikiem. Poprzedniego wieczoru Hal wyszedł z więzienia i pomaszerował do Bostonu. Wpadł do pubu, wypił duże piwo, a potem kupił butelkę wódki, butelkę rumu i karton piwa Foster. Nie chciało mu się iść sześć mil na piechotę, więc zatrzymał okazję. Blackman, jeden z młodszych funkcjonariuszy chętnie odwiózł Hala do więzienia, skonfiskował kontrabandę i umieścił go w bloku izolacyjnym. Hal miał wyjść na wolność w styczniu, ale boję się, że teraz bardziej prawdopodobny jest luty. Okazuje się, że proponował też Blackmanowi, że jeżeli wysadzi go z samochodu pół mili przed więzieniem, będzie mógł zatrzymać łup. Sprytnie, Hal.

Między więźniami, którzy dziś rano staną przed naczelnikiem, jest Simon (uprowadził syna), ale grozi mu tylko ostrzeżenie. Okazuje się, że rozpowiada na lewo i prawo, że jego współlokator to „szurnięty pedzio”. Naczelnik zakazuje mu używania takich epitetów, a jeżeli Simon go nie posłucha, straci pracę w kantynie.

Ucinam sobie pogawędkę z Halem, w czasie gdy czeka w kolejce do lekarza. Mówi, że się specjalnie nie przejmuje tym, co postanowi naczelnik. Dziewczyna go zostawiła, matka nie chce z nim rozmawiać, z ojcem nie widział się od lat. Kiedy wyjdzie z więzienia, nie wie, gdzie przenocuje, a w kieszeni będzie miał tylko 37 funtów. Mówi, że potrzebuje pracy, dzięki której zarobi dość pieniędzy, żeby nie musieć znów kraść.

– Ile by ci wystarczyło? – pytam.

– Dwieście funtów – odpowiada. – Wtedy miałbym szansę znaleźć jakąś kwaterę i robotę.

11.00 rano

Lewis zagląda do szpitala i życzy Lindzie wesołych świąt Bożego Narodzenia. Kiedy robię mu kawę, skarży się, że wyrzuciłem tutejszą popielniczkę, więc nie może zapalić cygara. Niechętnie podaję stary spodeczek. Wyznaje, że był zaskoczony decyzją Spring Hill, i rozglądając się wokół, mówi znacząco:

– Gdyby sugerowali Hollesley Bay, niech pan tego nawet nie bierze pod uwagę.

2.50 po południu

Mary i William spóźniają się na wizytę prawie godzinę, gdyż z powodu śniegu i lodu na autostradzie Al utworzyły się długie zatory. Czas, jaki mogę z nimi spędzić, skrócił się do czterdziestu minut.

Dzisiaj są urodziny Mary; nosi szmaragd, który Sergio kupił dla mnie w zielonych górach po powrocie do Kolumbii. Chciałem też ofiarować jej donicę, którą ulepiłem w Wayland, ale powiedziano mi, że pękła w piecu do wypalania.

Gawędzimy o bliskiej wycieczce Mary do Kenii na ślub jej siostrzeńca. Będzie poza Anglią przez dziesięć pierwszych dni stycznia, ale to nie stanowi problemu, ponieważ moje odwołanie zostanie rozpatrzone nie wcześniej niż w połowie lutego. Mary ma nadzieję, że przed wyjazdem uda się jej zobaczyć z sir Sidneyem Kentridge'em i Godfreyem Barkerem. Gdyby Godfrey podpisał oświadczenie pod przysięgą, że sędzia Potts rozmawiał o mnie nieprzychylnie podczas proszonego obiadu, w którym obaj uczestniczyli rok przed moim aresztowaniem, za kilka tygodni mógłbym być wolny. Will nie jest optymistą. Uważa, że Godfrey się złąknie, że postawiłoby go to w kłopotliwej sytuacji, gdyż jego żona pracuje w komisji do spraw zwolnień warunkowych. Godfrey przysłał mi kartkę świąteczną, więc mam nadzieję, że Will się myli.

Z pewnością sprawiedliwość i prawda coś znaczą dla tego człowieka. Wkrótce się dowiemy.

Dzień 158

Niedziela, 23 grudnia 2001

8.35 rano

„Sunday Telegraph” donosi, że napisałem liczącą trzysta tysięcy słów powieść pod tytułem *Synowie fortuny* w „krótkim” czasie, od kiedy przebywam w więzieniu. Może dziennikarzowi się wydaje, że to krótko, ale dla mnie to aż sto pięćdziesiąt osiem dni.

W rzeczywistości napisałem trzy pierwsze wersje powieści, zanim mnie skazano. Zamierzałem się wybrać w podróż samochodem z Bostonu (Connecticut) do Newhaven *via* Hartford, gdzie rozgrywa się akcja książki, i wyjaśnić jeszcze kilka ostatnich kwestii, kiedy pokrzyżował mi plany sędzia Potts. W końcu spędziłem sierpień nie w Stanach Zjednoczonych, ale w Belmarsh, pisząc pierwszy tom dziennika.

9.00 rano

Pięciu więźniów zostaje wywołanych przez głośniki; dostają polecenie, żeby się zgłosić do lekarza. Oznacza to, że ich oskarżono i że muszą się stawić u naczelnika, który wyda orzeczenie; dwaj odpowiedzą za palenie trawy, jeden za pijaństwo, jeden za to, że schował 25 funtów w pudełku na papierosy, oraz Hal, który, jak pamiętacie, złapał okazję z Bostonu do więzienia, a miał przy sobie

butelkę wódki, butelkę rumu i karton z sześcioma puszkami piwa. Kiedy rozmawialiśmy, Hal podkreślił, że z North Sea Camp do Bostonu i z powrotem jest dwanaście mil i że panował wtedy 2-stopniowy mróz. Nie sądzę, żeby naczelnik uznał to za okoliczność łagodzącą.

Hal traci wszystkie przywileje i wlepiają mu dodatkowo dwadzieścia jeden dni odsiadki.

11.00 rano

Naczelnik Lewis, którego tylko kilka dni dzieli od przejścia na emeryturę, zagląda do szpitala, żeby sprawdzić audyt na koniec roku, a może po prostu po to, żeby mieć przyjemność wypicia kawy z Lindą i wypalić cygaro w przerwie w pracy? Kiedy zbiera się do odejścia, proszę, żeby mi coś opowiedział.

– A o czym będę pisał w swoich wspomnieniach? – protestuje, ale opowiada anegdotę z czasów, kiedy był naczelnikiem więzienia w Oksfordzie: dwaj bracia zostali oskarżeni o włamanie, ale starszy uznał, że młodszy nie wytrzyma zamknięcia w więzieniu, więc wziął winę na siebie i został skazany na pół roku. Jak się okazało, młodszy brat nie mógł wytrzymać „na wywczasie” bez starszego brata, więc ukradł drabinę, wlaź na mur więzienny i dostał się do więzienia. Nikt się nie połapał aż do wieczornego apelu, kiedy dyżurny funkcjonariusz zameldował, że doliczył się o jednego więźnia więcej. Młodszego brata aresztowano i oskarżono o włamanie do więzienia. Dostał trzy miesiące i znalazł się w jednej celi z bratem.

Lewis opowiada jeszcze o dwóch więźniach, którzy przykuci jeden do drugiego kajdankami zbiegli z oksfordzkiego Sądu Koronnego. Uciekali ulicą gonieni przez policję, ale kiedy dotarli do przejścia dla pieszych, jeden postanowił przeciąć ulicę, a drugi biec dalej. Przy dużej szybkości uderzyli łączącymi ich kajdankami o słupek sygnalizacyjny, okręcili się wokół, zderzyli i zwalili się z nóg.

Dzień 159

Wigilia Bożego Narodzenia

Dzisiejszy dzień to koszmar dla więziennego oddziału ochrony. Po pierwsze, są tacy naprawdę głupi więźniowie, którzy oddalają się samowolnie rano i wracają w drugi dzień świąt wieczorem. Jeżeli są pijani, wolno im się wyspać, a potem dostają dwadzieścia osiem dni dodatkowej kary. Po drugie, są tacy, którzy wymykają się do Bostonu i wracają z prowiantem. Dopóki siedzą w swoich pokojach i nie sprawiają kłopotu, funkcjonariusze przymykają oko. Jeżeli coś

przeskrobia, też im się dokłada dwadzieścia osiem dni. Tę pobłażliwość określa się terminem „czas Nelsona” i okazuje się ją tylko w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Może wam się to wydawać szaleństwem, ale przy 211 więźniach i tylko 5 funkcjonariuszach na służbie to po prostu postępowanie podyktowane zdrowym rozsądkiem. Dlaczego nie ma więcej strażników na służbie? Ponieważ w więziennictwie pracuje za mało ludzi i są za nisko opłacani. Przeciętny funkcjonariusz więzienny zarabia 17 000 funtów rocznie, a w tym roku pensje wzrosły o 1,8 procent. Więc dlaczego nie wysłać winowajców z powrotem do zamkniętego więzienia? Bo wszystkie są już przeludnione (67 500 w Wielkiej Brytanii) i gdyby tak postąpić, więzienia kategorii D by opustoszały. Zatem ograniczyć liczbę tych ostatnich? Wtedy nikt nigdy nie zostałby zresocjalizowany. Przedtem więźniowie w zakładach kategorii D byli zwalniani w Wigilię o 8 rano (z wyjątkiem dożywotnich) i musieli wrócić przed 8 wieczorem drugiego dnia świąt. Jednak kiedy Michael Howard został ministrem spraw wewnętrznych, położył temu kres. To była chwila wytchnienia raczej dla personelu niż dla więźniów.

7.30 rano

Dave (morderstwo) zjawia się w gabinecie lekarskim zgięty w pół; cierpi na skurcze żołądkowe. Linda podaje mu środki przeciwbólowe, które zawierają opiaty. Potem musi wypełnić osobny formularz, który zanoszę do funkcjonariusza z oddziału ochrony, bo gdyby Dave'a wezwano na obowiązkowy test narkotykowy, wynik byłby pozytywny. Linda jest szczególnie czujna w takich przypadkach i zwraca uwagę na więźniów, którzy symulują ból, żeby dostać lek, zwłaszcza jeżeli wiedzą, że będą sprawdzani pod kątem heroiny. W przypadku Dave'a nie ma wątpliwości, że istotnie cierpi, zresztą od pierwszego dnia w North Sea Camp jest więźniem wzorowym. Chce koniecznie zrobić dobre wrażenie na komisji do spraw zwolnień warunkowych i zależy mu na jak najszybszym wyjściu na wolność. Odsiedział już dwadzieścia jeden lat i jego żona mówi, że nie będzie czekać dłużej.

9.00 rano

Chociaż jest Wigilia, jeden z więźniów zarobił „krechę”, gdyż przeciągnął strunę. Podczas testu narkotykowego próbował w ubikacji zamienić swój pojemnik z moczem na cudzy. Jak się okazało, otrzymał próbkę wolną od narkotyków od innego więźnia za batonik Mars.

11.00 rano

Sue z rachunkowości zagląda do szpitala, żeby mi powiedzieć, że wyczerpały się moje prywatne pieniądze i dlatego mam na rachunku w kantynie tylko 1,2 funta. Gdyby mi to powiedziała tydzień temu, mógłbym poprosić Mary, żeby uzupełniła brakującą sumę. Sue tłumaczy, że nie wolno jej informować więźnia, że pieniądze mu się kończą, może to uczynić tylko wtedy, kiedy on sam poprosi ją o podanie stanu konta. Chodzi o to, że większość więźniów jest bez grosza i nie należy im o tym ciągle przypominać. Słusznie.

8.00 wieczorem

Doug wraca z kantyny obładowany smakołykami i mówi, że jeden więzień podpadł, bo zamówił taksówkę, żeby pojechać do Bostonu i z powrotem. Firma taksówkowa zatelefonowała do więzienia i na powracającego więźnia czekało dwóch funkcjonariuszy. Miał przy sobie czterdzieści osiem puszek piwa i po butelce whisky, wódki i koniaku. Poza tym sześć paczek ryby z frytkami, melon, truskawki, śmietanę i pudełko z węgorem w galarecie.

Więzień błagał, żeby na noc umieścić go w izolatce, bo kumple, pozbawieni „toastów świątecznych”, mogliby podejrzewać, że sprzedał wszystko komu innemu. Strażnik spełnił życzenie więźnia, ale i tak w drugi dzień świąt biedak będzie się musiał stawić przed naczelnikiem.

Dzień 160

Boże Narodzenie

Dzień Bożego Narodzenia dla tych, którzy siedzą w więzieniu, to, krótko mówiąc, okropność. W ciągu ostatnich 159 dni jako więzień przekonałem się, jak przewrotna bywa rzeczywistość.

Idę dziś do pracy jak każdego innego dnia i jestem szczęśliwy, że mogę coś robić. Do gabinetu przyjeść na 7.30 zgłasza się tylko sześciu więźniów; trzeba być naprawdę chorym, żeby w poranek Bożego Narodzenia wstać o tej porze i powędrować do szpitala przy temperaturze, która na wschodnim wybrzeżu spadła do dwóch stopni poniżej zera.

Piętnaście po ósmej wybieram się na śniadanie i chociaż na menu składają się jajka, bekon i kielbaski, serwowane przez funkcjonariuszy (Hocking, Camplin, Baker i Gough), z dwustu więźniów pojawia się tylko około czterdziestu.

Wracam do szpitala i razem z Lindą wyładujemy z jej samochodu torby z prowiantem, tak więc będę mógł po południu zaprosić przyjaciół na podwieczorek. Linda wręcza mi też opakowany świątecznie prezent. Powoli

rozwijam papier, próbując odgadnąć, co to może być. Zgrabne pudełeczko kryje porcelanowy kubek, z którego śmieje się do mnie czarny kot. Teraz więc mam własny kubek i nie muszę się już zastanawiać, czy do porannego bovrilu wybrać gratisowe naczynie, dodawane do zupy Campbella, czy biały wyszczerbiony garnuszek.

10.00 rano

Linda powierza mi pod opiekę szpital, a sama idzie na przyjęcie świąteczne do naczelnika. Szczerze mówiąc, gdyby nie to, że połowa więźniów jeszcze śpi, mógłbym im wszystkim pomóc wymknąć się z więzienia. Kiedy bulwarowe gazetki dowodzą, że cieszę się przywilejami, jakimi nie dysponują inni więźniowie, w jednym się nie mylą: mam to szczęście, że mogę wykonywać pracę, jaką zajmuję się na wolności. Podczas kiedy każdy tutaj usiłuje zabić czas, ja siadam i przez dwie godziny piszę.

12.00 w południe

Lunch jest wyśmienity. Serwują go znów funkcjonariusze, a razem z nami spożywa go kilku emerytów z sąsiedniej wioski. Oto potrawy: zupa pomidorowa, potem indyk, kiełbaska, pieczone ziemniaki i tyle sosu, ile się zmieści na talerzu. Odmawiam sobie świątecznego puddingu – kilku funkcjonariuszy zwróciło mi grzecznie uwagę, że utylęm (dziewięć funtów w dziewięć tygodni).

Po lunchu wybieram się do bloku południowego i telefonuję do Mary i chłopców. Mimo wszystko są w całkiem dobrych humorach, ale ja nie umiem ukryć, że do nich tęsknię. Moja żona ma pięćdziesiąt siedem lat, synowie dwadzieścia dziewięć i dwadzieścia siedem, a ja jestem dzisiaj w otoczeniu mężczyzn, którzy siedzą w pokojach i wpatrują się w fotografie dzieci w wieku od sześciu miesięcy do piętnastu lat. Owszem, zasłużyli na więzienie, skoro popełnili przestępstwo, ale pamiętajmy, że dziś jest Boże Narodzenie i że to nie ich rodziny są winne.

Kiedy w drodze powrotnej przemierzam cały blok, widzę, że poza tymi, którzy siedzą w sali telewizyjnej albo telefonują, reszta po prostu leży w łóżku i modli się, żeby ten dzień jak najszybciej minął. Mam w lodówce tyle wiktuałów, że zapraszam kilku współwięźniów do siebie do szpitala.

Przychodzą wszyscy bez wyjątku. Oglądamy *Wielką ucieczkę* (o ironio!) i rozkoszujemy się ucztą, jaką sprawiła nam Linda – wieprzowiną zapiekaną w cieście, chrupkami, pasztecikami z kiełbasą, maślanymi herbatnikami, batonikami KitKat i – co najbardziej lubią moi towarzysze niedoli – serem cheddar. Nie popijamy tego szampanem Krug, lecz lemoniadą, wodą Evian, kawą, herbatą

albo ribeną.

Moi goście śmieją się, gawędzą, oglądają film, a kiedy wychodzą, David (oszustwo, dyrektor szkoły) mówi mi komplement, jakiego nigdy nie słyszałem na moich przyjęciach z szampanem i zapiekanką pasterską:

– Dziękuję za tak miłe zabicie popołudnia.

Dzień 161

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia

7.30 rano

Dla tych więźniów, którzy nie wracają do pracy, drugi dzień świąt jest nawet gorszy od pierwszego. Bardzo niewielu więźniów zgłasza się dziś rano do gabinetu lekarskiego i na pewno żadnemu nic poważnego nie dolega.

8.15 rano

Przy śniadaniu dowiaduję się o jeszcze innym zgubnym skutku więziennej narkokultury. Jim (tylko antyki), dyżurny w sali gimnastycznej, mówi mi, że heroiniści często umierają w ciągu kilku miesięcy po wyjściu z więzienia. Powód? Heroina, jakiej używają w więzieniu, jest zawsze słabsza, bo handlarze narkotyków dodają do niej cukier puder, talk albo mąkę. Kiedy narkomani wychodzą na wolność, od razu mają do czynienia z czystsza substancją, której ich organizm nie jest w stanie tolerować. Rezultat? Umierają z przedawkowania.

11.00 rano

Zagłada naczelnik, żeby się zobaczyć z Lindą, i wręcza mi prezent świąteczny oraz prezent urodzinowy dla Mary, chociaż nie wolno mu tego robić, gdyż osłabiłoby to jego pozycję, gdybym stanął przed nim kiedyś do raportu. Ponieważ jednak za kilka dni przechodzi na emeryturę, zapewne uważa, że to nieprawdopodobne.

Okazuje się, że naczelnik zbiera ćwierćpensówki – ofiarowuje Mary monetę z 1944 roku, mnie zaś daje inną, wybitą w roku 1940; są to lata Mary i moich narodzin. Jestem wzruszony. Naczelnik przyniósł mi też do czytania w czasie świąt trzy tomy *The World's Greatest Paintings: Selected Masterpieces*, pozycję wydaną w 1934 roku w opracowaniu T. Lemana Hare'a. Widać wie, co mnie kręci.

Te trzy tomy to fascynujące czytało z kilku powodów, między innymi dlatego, że zawierają reprodukcje stu obrazów; prawie wszystkie znalazłyby się w podobnym dziele wydanym około 2001 roku. Są tam *Mona Liza* Leonarda da Vinci, *Portret doży Loredano* Belliniego, *Matka* Rembrandta, *Podkuwanie gniadej klaczy* Landseera (cudowne) i *Kiedy ostatnio widziałeś swojego ojca?* Yeamesa. Jednak w tym wydaniu z 1934 roku nie ma ani słowa o impresjonistach; żadnych reprodukcji Moneta, Maneta, van Gogha ani nawet Cézanne'a. Velázquez jest nazwany największym malarzem hiszpańskim wszech czasów. Murilla wymienia się na drugim miejscu. Ciekaw jestem, czy profesor Hare w ogóle słyszał w 1934 roku o Picassie i na którym miejscu by go uplasował w leksykonie hiszpańskich artystów w 2001 roku.

Jest tylko dwóch artystów, na których nigdy przedtem się nie natknąłem: John MacWhirter i Millet – nie Jean-François Millet, ale Amerykanin Francis Davis Millet. „Na wywczasie” regularnie odwiedzam Tate Britain – mieszkam naprzeciwko, po drugiej stronie rzeki – ale nie pamiętam, żebym widział obraz MacWhirtera *Czerwiec w austriackim Tyrolu* (wspaniały) albo Milleta *Wzięty w dwa ognie*. Mam nadzieję, że sir Nicholas Serota wystawia je, bo kiedy wyjdę na wolność, jednym z pierwszych miejsc, gdzie skieruję swoje kroki, będzie Tate Britain.

We wstępie profesora Hare'a znajduję słowa, które, moim zdaniem, są dziś nawet bardziej aktualne niż w roku 1934:

Tyle dziś mówi się i pisze głupstw na temat sztuki, że zwykły człowiek staje wobec niej onieśmielony i podejrzliwie traktuje tych, którzy się parają tym przedmiotem. Uważa, że jeżeli ta masa sprzeczności i mylącego bełkotu ma być wyrazem umiłowania sztuki, to lepiej się bez niej obejść. A przecież sztuki nie okrywa żadna tajemnica, są tylko niekończące się mistyfikacje, fabrykowane przez pewnych krytyków, którzy z lubością przyjmują pozę wyższości. Owi krytycy tworzą teorię, że rozkoszowanie się sztukami pięknymi jest domeną wybranej, ekskluzywnej mniejszości, przy czym oczywiście mają na myśli siebie i swoich wyznawców. Nie może być większego błędu od tego, powstałego dość niedawno, zwodniczego przekonania; jest ono tak groźne, że jeżeli będzie się utrzymywało, to z czasem ściągnie wzgardę na wszystko i wszystkich związanych ze sztuką.

1934 rok.

2001 rok. Bez komentarza.

1.00 po południu

Linda kończy pracę i idzie do domu na zasłużony odpoczynek. Pełniła służbę przez ostatnie dziewiętnaście dni bez przerwy.

9.00 wieczorem

Wyznaję, że jak na warunki więzienne, jestem w niebie. Ale chyba powinienem wam powiedzieć, iż wciąż rozpaczliwie pragnę powrócić na ziemię.

Dzień 162

Czwartek, 27 grudnia 2001

10.00 rano

Naczelnik Lewis miał telefon od sir Briana Mawhinneya i wprawdzie nie może wyjawić żadnych szczegółów, ale podejrzewa, że minister spraw wewnętrznych w gabinecie cieni skontaktuje się z Mary, która z kolei powie mi, o co chodzi. Zagadka.

Naczelnik popija małymi łykami herbatę.

– Ponieważ niedługo stąd odejdę, opowiem panu historię o obecnym członku personelu, który musi pozostać anonimowy. Funkcjonariusz ten miał wolny dzień i wieczorem razem z żoną wybrał się do pubu na drinka. Gdy stamtąd wyszli, funkcjonariusz zobaczył mężczyznę, który usiłował uruchomić silnik samochodu, ale wyglądało na to, że wyczerpał się akumulator. Funkcjonariusz zaofiarował się z pomocą. Kierowca chętnie ją przyjął i funkcjonariusz wypchnął samochód z parkingu. Silnik zapalił, kierowca dał dziękczynny sygnał klaksonem i odjechał.

Kiedy funkcjonariusz przyszedł nazajutrz do pracy, dowiedział się, że jeden z więźniów samowolnie się oddalił. Więźniowi udało się nawet skraść samochód spod miejscowego pubu przy pomocy jakiegoś uczynnego mężczyzny, który go popchnął.

– To niemożliwe – zaprotestowałem. – Przecież funkcjonariusz musiał poznać tego więźnia? – (Dla sprawiedliwości: w North Sea Camp jest ponad dwustu więźniów, a ich przepływ często wynosi od dwudziestu do trzydziestu osób tygodniowo).

– Tak by się wydawało – odparł naczelnik – zwłaszcza że więzień był jedynym Antyłczykiem w North Sea Camp²⁴. – Roześmiał się. – Może funkcjonariuszowi udałoby się spuścić na to zasłonę milczenia, gdyby nie fakt, że wszelki ślad po więźniu i po samochodzie zaginął.

Dzień 165

Niedziela, 30 grudnia 2001

7.30 rano

Vessey, funkcjonariusz z więziennego oddziału ochrony, który dziś pełni służbę, lubi swoją pracę, ale nie czuje się spełniony, jeżeli kogoś o coś nie oskarży. Wpada do gabinetu przyjęć, żeby się zobaczyć z siostrą oddziałową. W nocy znalazł czternaście butelek wódki na dnie kontenera przy wejściu do więzienia. Wywiązuje się szeptana rozmowa, ale nietrudno wpaść na to, że Vessey wypytuje Lindę, czy jakiś więzień nie pojawił się u nas dziś rano „trochę zmarnowany”. Po chwili rusza pośpiesznie do bloku południowego.

W istocie dziś rano zgłosiło się bardzo niewielu więźniów, gdyż większość albo zasnęła, albo odsypiała, a ci, którzy się zjawili, robili wrażenie naprawdę chorych. Vessey się zawiedzie.

10.00 rano

Składają nam wizytę Lewis i Berlyn, nowy zastępca naczelnika, który wypija kawę z Lindą. Następny jest Hocking z wiadomością, że pięciu więźniów nie przeszło zadowolająco testu z alkomatem. Dwaj to wolontariusze pracujący społecznie, którzy mogą stracić wszystkie przywileje. Na przykład zostać odesłani do pracy na farmie do końca swoich wyroków²⁵. Hocking wątpi, żeby kara była tak drakońska, ale przestroga na przyszłość będzie wyraźna.

Dlaczego ludzie tak wiele ryzykują dla kilku wódek?

12.00 w południe

Linda wychodzi o dwunastej, więc następne cztery godziny poświęcam na redagowanie *Belmarsh*, pierwszego tomu dzienników więziennych.

7.00 wieczorem

Czytam esej E.B. White'a *Here is New York*, prezent od Willa na Boże Narodzenie. Jeden końcowy akapit jest upiornie proroczy.

Najbardziej subtelną zmianą w Nowym Jorku jest coś, o czym ludzie wiele nie mówią, ale co wszystkim tkwi w głowie. Pierwszy raz w swojej historii miasto jest narażone na unicestwienie. Jeden przelot samolotów nie większy od klucza dzikich gęsi może prędko położyć kres tej wyspie fantazji, spalić wieże, zgruchotać

mosty, zamienić przejścia podziemne w komory śmierci, spopielić miliony. Przechucie śmierci jest teraz stale obecne w Nowym Jorku; brzmi w dźwięku odrzutowców nad głowami, kryje się w czarnych tytułach najnowszych wydań gazet.

Słowa te napisano w 1949 roku, a autor zmarł w 1985.

Dzień 166

Sylwester 2001 roku

11.00 rano

Czterech nowych więźniów z Nottingham stawia się w szpitalu; wyglądają na zagubionych i zdezorientowanych. Jestem zdziwiony, że Grupa 4 odstawiła ich przed lunchem, bo zwykle przyjeżdżają dopiero około czwartej po południu.

– Dziś sylwester – tłumaczy Linda. – Wszyscy chcą być w domu przed czwartą.

12.00 w południe

Linda zagląda do rejestrów i mówi, że w 2001 roku przepływ więźniów w North Sea Camp wyniósł powyżej tysiąca osób, zatem ja, po jedenastu tygodniach, jestem już kimś na kształt zadomowionego tu rezydenta.

6.00 wieczorem

Mary i ja zwykle zapraszamy w sylwestra ośmioro gości na kolację w Old Vicarage. W tym roku muszę się zadowolić batonikiem KitKat, szklanką ribeny i mieć nadzieję, że Doug i Clive dotrzymają mi towarzystwa.

Dzień 167

Nowy Rok 2002

6.00 rano

W więzieniu panuje cisza, więc zabieram się do przeglądania pierwszego tomu dzienników. Kiedy czytam relację z pierwszych dni, gdy byłem taki roztrzęsiony, wprost nie mogę uwierzyć, jak wiele zdołałem wyprzeć z pamięci. Staje się to jeszcze wyraźniejsze od momentu, gdy powierzono mi funkcję sanitariusza, gdzie mam wszystko oprócz wolności, codziennego towarzystwa żony, rodziny i przyjaciół; jest to, owszem, kara, ale nie czyściec i z pewnością nie piekło.

10.00 rano

Zachodzi New, żeby się pożegnać. Dziś wieczorem opuszcza North Sea Camp i 8 stycznia, kiedy zostanie naczelnikiem więzienia w Norwich, zamieni mundur na garnitur. W ostatnich trzech miesiącach nauczył mnie dużo o dobru i złu.

6.00 wieczorem

Tęsknię do żony, do rodziny i do przyjaciół. Największy wróg, któremu muszę stawić czoło, to nuda – prawdziwy zabójca.

Wielu więźniów pierwszy raz eksperymentuje z narkotykami. Najpierw handlarze oferują narkotyki za darmo, a kiedy więzień zażąda więcej, dostarczą ich w zamian za kartę telefoniczną, uncję tytoniu albo za pieniądze. W końcu, kiedy więzień jest już uzależniony, odda wszystko – łącznie z życiem – za „strzał”.

Dziś wieczorem policja z Lincolnshire poinformowała Lindę, że były więzień nazwiskiem Cole, który opuścił North Sea Camp sześć tygodni temu, został znaleziony pod żywołotem przy ustronnej wiejskiej drodze.

Umarł po przedawkowaniu narkotyków.

Szczęśliwego Nowego Roku.

Dzień 169

Czwartek, 3 stycznia 2002

7.30 rano

Dziś rano zgłosiło się mnóstwo więźniów na akupunkturę. Żeby się zapisać na wizytę o jedenastej, trzeba przyjść do szpitala między 7.30 a 8. Linda i Gail mają odpowiednie kwalifikacje, a „na wywczasie” jedna sesja akupunktury

kosztuje do 40 funtów.

Zabiegi dla więźniów są bezpłatne, podobnie jak leki przepisane przez lekarza.

Akupunktura w więzieniu ma podwójny cel: uwolnienie od stresu i odzwyczajenie od papierosów. Linda i Gail odniosły już kilka poważnych sukcesów. Jeden z więźniów, który palił sześćdziesiąt papierosów dziennie, zaledwie po miesiącu zabiegów ograniczył się do trzech. Do pomocy akupunktury uciekają się też więźniowie cierpiący na stres, a tych, którzy przychodzą na drugą sesję, można uznać za poważnie zainteresowanych.

Wracajmy jednak do dzisiejszego ranka. Ośmiu więźniów przybywa, co podejrzane, w grupie i zapisuje się na zabiegi na jedenastą. Tak się składa, że wszyscy mieszkają w bloku południowym i pracują na farmie, co oznacza, że opuszczą większość przedpołudniowych zajęć, ale otrzymają pełną zapłatę.

O ósmej Linda telefonuje na farmę do Donnelly'ego i powiadamia go, że na przedpołudniową sesję akupunktury jest za dużo chętnych (dwóch stałych pacjentów, jeden z działu edukacji i jeden niezatrudniony), więc ośmiu pracowników farmy przyjmie o czwartej po południu. To oznacza, że będą musieli normalnie pracować, nim się zgłoszą do szpitala. Ciekawe, ilu się pojawi.

9.00 rano

Młody Ron (obie nogi złamane) wchodzi, kuśtykając, do lekarza. Jest w trakcie załatwiania formalności przed jutrzejszym zwolnieniem o 8 rano i musi zebrać zaświadczenia, że jest w dobrej formie i nic mu nie dolega. Potem musi jeszcze odwiedzić salę gimnastyczną, magazyn, wydział zarządzania wyrokami, dział edukacji, biuro oddziału i rejestrację. Jak tam potraktują człowieka, który z dwiema złamanymi nogami ma stawić czoło światu? Linda śpieszy na ratunek, telefonuje do każdego działu i w zastępstwie podpisuje chłopakowi formularz. Problem rozwiązany.

9.15 rano

Doktor Walling kończy przyjmowanie pacjentów i przychodzi do mnie na oddział. Rozmawiamy na temat narkomanii w Bostonie, tym sennym Bostonie (około 54 000 mieszkańców).

Niedawno ktoś się włamał do samochodu doktora. Skradziono to, co zwykle – radio, kasety, teczkę, ale doktor był zdruzgotany stratą pudełka z przezroczami, które gromadził od ponad trzydziestu lat. Nie miał duplikatów, więc były nie do odtworzenia, a kradzież wydarzyła się na kilka dni przed jego wyjazdem do Ameryki na cykl wykładów. Przypuszczając, że sprawcą kradzieży mógł być

narkoman (gwałtowna potrzeba gotówki na „strzał”), doktor odwiedził domy trzech potentatów narkotykowych i zostawił liściki, że przezrocza są mu pilnie potrzebne i jeżeli zostaną zwrócone, wypłaci 100 funtów nagrody.

Przezrocza znalazły się nazajutrz.

Prawdziwy sens tej opowieści jest taki, że główny lekarz wie, kim są baroni narkotykowi, jednak policja nie jest w stanie wsadzić tych ludzi za kratki. Doktor Walling tłumaczy, że to stary problem z „grubymi rybami”, które nigdy nie brudzą sobie rąk. Ktoś taki organizuje szmugiel narkotyków do kraju, a potem ich sprzedaż handlarzowi. Zatrudnia też gońców dostarczających narkotyki za darmo, głównie dzieciom, kiedy wychodzą same ze szkoły, tak że na długo przedtem, nim wstąpią na uniwersytet albo zaczną pracować, są już uzależnione. I dzieje się tak, powtarzam, w Bostonie, nie w Chelsea czy Brixton.

Jaka będzie Wielka Brytania za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat, skoro policja ocenia, że *dzisiaj* 40 procent wszystkich przestępstw ma związek z narkotykami?

4.00 po południu

Nikt z farmy nie zgłosił się na akupunkturę.

7.37 wieczorem

Wpada zdyszany Carl i mówi, że w bloku południowym zasłabł więzień. Linda poszła do domu dwie godziny temu, więc wybiegam ze szpitala i widzę, że przede mną biegną Belford i Harman.

Stajemy w drzwiach pokoju więźnia i widzimy, że biedak z trudem oddycha. Od razu go poznaję – był dziś rano u doktora Wallinga. Stoję bezradny, na szczęście po kilku minutach przyjeżdża karetka. Ratownik nakłada na twarz chorego maskę tlenową, a potem zadaje rutynowe pytania, na które jestem w stanie odpowiedzieć w jego imieniu – nazwisko lekarza, kiedy chory ostatnio był badany, na co się skarżył, jakie leki mu zalecono. Podaję też ciśnienie krwi chorego: 145/78. Sanitariusze zabierają go do Pilgrim Hospital, a ponieważ ostatnio zaliczono go do grupy ryzyka, musi towarzyszyć mu funkcjonariusz Harman.

Wobec tego dzisiejszej nocy na służbie będzie tylko pięciu funkcjonariuszy do pilnowania ponad 211 więźniów.

Dzień 170

Piątek, 4 stycznia 2001

5.00 rano

Kończę redakcję *Belmarsh* i odsyłam tekst wydawcy.

8.00 rano

Opuszczam szpital i wybieram się na poranny obchód. Ma on trzy cele: po pierwsze, powiadomić kierownika każdego działu, kto z pracowników został zwolniony z pracy, po drugie, w wypadku pożaru ustalić, kto jest gdzie, i po trzecie, jeżeli ktoś się nie stawi na apel, sprawdzić, czy nie oddalił się z więzienia.

W drodze na farmę wpadam na Kwiatka, który użyczył swojego imienia jednej ze świń. (Zobacz TUTAJ). Kwiatek jest Romem czy też Cyganem, jak zwykliśmy ich nazywać, zanim się to stało niepoprawne politycznie. Mówi mi, że właśnie odkopał jagnię z lodu. Biedne zwierzę, jak się zdaje, utknęło zadem w błocie, które zamarzło przez noc, i nie mogło się ruszyć.

– Uratowałeś zwierzęciu życie – mówię Kwiatkowi.

– Nie – odpowiada. – Dziś pójdzie na rzeź i zrobią z niego mrożone kotlety.

12.00 w południe

Odbieram korespondencję w bloku południowym. Większość listów porusza ten sam temat, ale jeden, wysłany przez Franka i Lurline z Wynnum w Australii jest wart wzmianki, choćby dla samej koperty. Została zaadresowana następująco:

Lord Jeffrey Archer

Uwięziony za zmyślanie

Gdzieś w Anglii

List nosi datę pierwszego dnia świąt i dotarł na głęboką prowincję w hrabstwie Lincoln w ciągu zaledwie dziewięciu dni.

2.30 po południu

Odcięto dostęp do głównego bloku administracji. Gail mówi mi, że nie może się dostać do budynku, żeby załatwić sprawy papierkowe, i nie wie dlaczego. To o tyle interesujące, że jest to rejon niedostępny dla więźniów.

W ostatnich miesiącach ginęły pieniądze i przedmioty wartościowe. Berlyn się zawiązał, żeby złapać winowajcę. Jest to bezowocne przedsięwzięcie, ponieważ mimo skrupulatnego przeszukania banknot 20-funtowy, który zniknął z czyjejs portmonetki, jakoś się nie zmaterializował. Hocking z oddziału ochrony, który

proceedzi całą tę operację, uważa ją za obrzydliwą, gdyż wymaga poddania śledztwu jego kolegów. Mam wrażenie, że wie, kto jest winien, ale z pewnością mi nie powie. Mój informator, wieloletni więzień, podaje mi nazwisko osoby podejrzanej. Ze względu na czytelników o umysłach detektywów nie wspominał o tej pani w moim dzienniku.

Dzień 171

Sobota, 5 stycznia 2002

7.30 rano

Więzień z bloku południowego zgłasza się do gabinetu z raną krocza. Lindę na tyle niepokoi jego stan, że bez zwłoki kieruje go do miejscowego szpitala. Tymczasem opatruje więźniowi ranę i aplikuje mu środki przeciwbólowe. Więzień ani razu nie mówi „proszę” ani „dziękuję”. Tak się zachowuje ponad połowa więźniów i blisko siedemdziesiąt procent tych poniżej trzydziestki. Co prawda to uogólnienie, ale z moich obserwacji wynika, że więźniowie, którzy nie umieją się zachować, również migają się od pracy.

2.30 po południu

Pośród tysięcy listów, jakie otrzymałem, odkąd mnie uwięziono, kilka jest od organizacji charytatywnych, które nadal proszą o dotacje, podpisane książki i pamiątki, czasem o jakieś gryzmoły, o rysunek, wiersz, a nawet obraz. Mimo że od najwcześniejszych lat darzę miłością sztukę, dobry Bóg dał mi do ręki pióro, nie pędzel. Ale znalazłem wyjście, kiedy natknąłem się na Darrena, który pracuje w dziale edukacji. Darren już zaprojektował kilka pomysłowych plakatów i napisów dla szpitala. Ostatnio organizacja charytatywna poprosiła mnie o wykonanie słonecznika „w jakiegokolwiek formie”. Wpadłem na pomysł, który zrealizował Darren. (Zobacz poniżej).



FF8282

Dzień 172

Niedziela, 6 stycznia 2002

8.00 rano

Ponieważ dziś jest Trzech Króli, przez dwie godziny zdejmuję kartki świąteczne (1712 sztuk) i pakuję, żeby oddać je Willowi, który mnie odwiedzi po południu.

10.30 rano

Linda mi mówi, że pielęgniarka z Pilgrim Hospital telefonowała w sprawie więźnia z obrażeniami krocza. Z więzienia natychmiast wysyłają funkcjonariusza, żeby go pilnował, dopóki nie znajdzie się z powrotem w North Sea Camp. To niezły pomysł dać się przewieźć do miejscowego szpitala, jeżeli planujesz ucieczkę, ale wypytywanie pielęgniarki, gdzie są wyjścia, nie świadczy o bystrości.

2.00 po południu

Odwiedza mnie Will z prezentem świątecznym. Ani on, ani James nie mieli wiadomości od matki, odkąd wylądowała w Kenii. Will mnie pociesza, że albo się świetnie bawi, albo pożarł ją lew.

8.00 wieczorem

Doug przychodzi do szpitala z wiadomością, że nie wróciło pięciu więźniów wypuszczonych na przepustkę do miasta. Żaden z nich nie jest mordercą, więc zostanie zaalarmowana tylko miejscowa policja. Jeżeli z więzienia oddali się morderca, to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w ciągu dwudziestu czterech godzin musi zawiadomić ogólnokrajową prasę.

Dzień 174

Wtorek, 8 stycznia 2002

10.00 rano

SŁUŻBA WIĘZIENNA JEJ KRÓLEWSKIEJ MOŚCI

Oświadczenie o polityce w sprawie stosunków rasowych

Służba Więzienna jest zobowiązana do przestrzegania równości rasowej. Niedopuszczalna jest dyskryminacja z powodu koloru skóry, rasy, narodowości, pochodzenia etnicznego czy narodowego, jak również napastliwy czy obelżywy język bądź zachowanie ze strony członka personelu więziennego, więźnia lub odwiedzającego i nikt nie będzie tolerowany²⁶.

Oświadczenie to jest wywieszane w każdym więzieniu w Anglii i muszę przyznać, że nigdy nie widziałem, żeby jakiś funkcjonariusz kierował się uprzedzeniami rasowymi. Przeciwnie, byłem świadkiem, jak kilku więźniów wygrywało pochodzenie rasowe na swoją korzyść.

– Mówisz tak tylko dlatego, że jestem czarny...

– Czepiasz się, bo jestem muzułmaninem...

Niestety, nie widziałem czarnego ani azjatyckiego funkcjonariusza w Wayland czy w North Sea Camp, bo mógłbym spróbować:

– Czepiasz się mnie tylko dlatego, że jestem biały...

Czy możecie wymienić jeden kraj na świecie, w którym prowadzi się politykę rasową chroniącą białych? Z pewnością nie Zimbabwe, które dziś znowu znalazło się na czołówkach gazet. Wspominam o tym tylko dlatego, że dzisiaj rozesłano do wszystkich działów okólnik, który dobitnie świadczy o tym, jak poważnie Służba Więzienna traktuje prawa mniejszości.

12.00 w południe

Funkcjonariusz Belford zagląda do szpitala i przytacza usłyszaną rozmowę, która toczyła się między starszymi paniami, stojącymi na przystanku autobusowym w Bostonie.

Pierwsza pani: – Czy widziała pani Jeffreya Archera wczoraj wieczorem w pubie?

Druga pani: – Nie, myślałam, że on jest w więzieniu.

Pierwsza pani: – Nie, on prawie co wieczór przesiaduje w miejscowym pubie, wypija jedno duże piwo za drugim, a potem własny szofer odwozi go rolls-royce'em do więzienia.

Druga pani: – To skandal!

Funkcjonariusz zwrócił uwagę paniom, że ani razu nie opuściłem North Sea Camp od chwili, kiedy tam przybyłem, i że nie piję alkoholu.

– To się panu tylko tak wydaje – padła natychmiastowa odpowiedź.

Dzień 175

Środa, 9 stycznia 2002

5.14 rano

Budzę się i rozmyślam o przyszłości.

Wszystko zależy od wyniku apelacji. Aktualnie mam wyrok czterech lat więzienia. W obecnych okolicznościach, zakładając, że pozostanę nadal wzorowym więźniem, będę siedział dwa lata, jeśli komisja do spraw zwolnień warunkowych wyda pozytywne orzeczenie, co oznacza, że wyjdę na wolność 19 lipca 2003 roku. Jednakże odwołuję się od wyroku i skazania, i jeżeli orzeczenie o winie zostanie uchylone, zostanę zwolniony tego samego dnia. Jeżeli nie, wszystko zależy od tego, czy zostanie zredukowana moja kara. Gdyby trzej sędziowie sądu apelacyjnego zmniejszyli mi wysokość kary z czterech do trzech lat, nie stawałbym przed komisją do spraw zwolnień warunkowych i mógłbym być automatycznie zwolniony po osiemnastu miesiącach. Jeżeli nadal będę miał nieposzlakowaną opinię, zwolnią mnie z lokalizatorem dwa miesiące wcześniej, po szesnastu miesiącach – 17 listopada 2002 roku. Czyli za dziesięć miesięcy. Jeżeli sędziowie sądu apelacyjnego zmniejszą mi karę do dwóch lat, wyjdę na wolność 17 maja, to znaczy już za cztery miesiące. Gdyby zaś zmniejszono mi karę do rozmiaru zwykle wymierzanego za krzywoprzysięstwo, to znaczy do osiemnastu miesięcy, wyszedłbym na wolność 17 marca – za sześć tygodni.

Chyba teraz rozumiecie, dlaczego się niepokoję o wynik odwołania i co dzień czekam na wiadomość, kiedy stanę przed sądem.

10.00 rano

Przychodzi do nas Simon, pielęgniarz stażysta. Spędzi w North Sea Camp trzy tygodnie jako czasowo oddelegowany z Pilgrim Hospital. Prędko się zorientuje, że więźniowie są traktowani o wiele lepiej niż pacjenci na wolności. O siódmej więzień może sobie odebrać paracetamol, aspirynę, pastylki do ssania, płyn do płukania ust i leki zapisane na receptę. O dziewiątej zostanie przyjęty przez

lekarza i nigdy nie będzie musiał czekać dłużej niż dwadzieścia minut. O jedenastej, jeżeli jest zestresowany albo chce rzucić palenie lub uwolnić się od narkotyków, może się poddać akupunkturze. O dwunastej – wrócić i otrzymać następne leki. O wpół do trzeciej wysłucha prelekcji o tym, jak rzucić palenie; po jej zakończeniu rozdawane są paski nikotynowe. O wpół do piątej ma prawo znów przyjść po następne leki. Po piątej sanitariusz dostarczy aspirynę albo paracetamol każdemu więźniowi, który ma odpowiednią karteczkę od funkcjonariusza. A jeżeli więzień jest poważnie chory, karetka dowiezie go w ciągu godziny do szpitala.

Każdego dnia zdeterminowany więzień może wydać setki funtów z pieniędzy podatników, chociaż wątpię, czy 10 procent skazanych odwiedziłoby lekarza „na wywczasie” – a z pewnością nie poszłoby do apteki, gdyby to oznaczało wydanie choć jednego pensa z własnej kieszeni. Zatem nasz praktykant dowie się, że jeżeli masz kłopoty ze zdrowiem, lepiej żebyś siedział w więzieniu, niż był niedołężnym emerytem czy chorym dzieckiem.

Dzień 176

Czwartek, 10 stycznia 2002

1.15 po południu

Wprawdzie próbny alarm przeciwpożarowy jest ogłaszany codziennie o pierwszej, ale dzisiaj powtarza się go piętnaście po pierwszej. Więzienny oddział ochrony przeprowadza ćwiczenia przeciwpożarowe w pełnym wymiarze.

Cały personel, funkcjonariusze więzienni i więźniowie muszą się stawić na podwórzu farmy, gdzie się ustawiamy w szeregi w oddzielnych „zagrodach”. Idę do oznakowanej „szpital” i dołączam do Lindy, Gail i Simona. Po lewej stronie mam pierwszy blok północny, po prawej – dwudziestu zgromadzonych razem morderców.

Wszyscy, począwszy od naczelnika, kończąc na ostatnio przybyłym więźniu, stawili się na defiladę. Czekamy, aż Hocking, dowódca więziennego oddziału ochrony, wyczyta nas z listy. Pierwszy raz widzę całą społeczność więzienną w jednym miejscu, co uwydatnia nieproporcjonalnie małą liczbę personelu w stosunku do więźniów. To nie przeszkadza w zakładzie kategorii D, gdzie wszystko się opiera na zaufaniu, ale byłoby niemożliwe w więzieniu zamkniętym. Kiedy się ogłasza ćwiczenia przeciwpożarowe w więzieniu kategorii Alub B, to – jeżeli się nie chce dopuścić do zamieszek albo do masowej ucieczki – można je przeprowadzać tylko korytarz po korytarzu, a w więzieniu kategorii C być może

blok po bloku.

1.45 po południu

Dwustu jedenastu więźniów i trzydzieści osiem osób z personelu (łącznie z urzędnikami) wraca do pracy.

8.00 wieczorem

Oglądam *Poszukiwaczy zaginionej arki*. Ostatni raz oglądałem ten film z moimi dwoma synami – Will miał wtedy dziewięć, a James siedem lat. Jego producentem jest jeden z moich najstarszych przyjaciół Frank Marshall²⁷.

Dzień 178

Sobota, 12 stycznia 2002

10.00 rano

Skradziono zatyczkę do szpitalnej wanny, co jest zagadkowe, ponieważ to jedyna wanna w więzieniu dostępna dla więźniów, więc zatyczka nikomu się nie może przydać. Jednak mam rezerwową, dzięki czemu jestem teraz „władcą zatyczki do wanny”. Mimo to muszę poprosić o nową, co oznacza wypełnianie trzech formularzy i prawdopodobnie trzy miesiące oczekiwania.

2.00 po południu

Gramy mecz piłki nożnej z czołową drużyną miejscową. Kiedy nasza drużyna wbiega na boisko, z trudem rozpoznaję poszczególnych zawodników. Masters, instruktor sportowy i trener piłkarski, zwraca uwagę, że z powodu dużej płynności więźniów od rozpoczęcia sezonu piłkarskiego musiał wystawić aż pięćdziesięciu czterech zawodników. Nawet Manchester United z czymś takim by sobie nie poradził. W dodatku nasz świetny bramkarz Bell został zawieszony na czas jednego meczu za wulgarną i obelżywą odzywkę, kiedy sędzia odgwizdał faul dla przeciwników. Bell o tyle nie miał szczęścia, że tego popołudnia członek związku futbolowego oceniał pracę sędziego, dlatego nie mógł on udawać, że nie słyszy odzywki Bella. Nawet w centrum Bostonu było słychać krzyk:

– Załóż okulary, ty pieprzony kaloszu!

Naszym rezerwowym bramkarzem jest Carl (oszustwo), pracownik w biurze wydziału zarządzania wyrokami, który zajął po mnie miejsce i prawie co wieczór przychodzi do szpitala na telewizję. Dzielnie zgodził się stanąć na bramce podczas jednego spotkania, gdy tymczasem Bell przyglądał się spoza murawy.

Uznałem, że mam obowiązek przyjść i kibicować drużynie w tak dramatycznej sytuacji. Odszedłem po pierwszej połowie, kiedy przegrywaliśmy 1:7, zaraz po tym, jak nasz więzienny reportażysta major Willis (pchnął żonę nożem kuchennym – dwa lata) powiedział mi, że „Boston Standard” wydziela mu tak mało miejsca na sprawozdania z meczu, iż zdoła wymienić tylko nazwiska zdobywców bramek. Rozbawił mnie swoimi uwagami, które rzucał zza bocznej linii boiska: „Morowe zagranie, Harry”, „Dobrze blokujesz, David” i „Strzał super, Reg” niby kierownik internatu zagrzewający do walki trzecią reprezentację podrzędnej szkółki.

5.00 po południu

Dosiadam się do Carla przy kolacji, ale nie ma zadowolonej miny.

- Jaki był ostateczny wynik? – pytam.
- Lepiej się nam wiodło w pierwszej połowie – bąka.
- Ale jaki był ostateczny wynik? – powtarzam pytanie.
- Trzy do piętnastu.

Tylko jedna osoba szeroko się uśmiecha – zawieszony Bell, jego pozycja pierwszorzędnego bramkarza pozostaje bowiem nienaruszona.

Dzień 179

Niedziela, 13 stycznia 2002

11.00 rano

Zaraz po zakończeniu porannych przyjęć zabieram się do czytania „Sunday Timesa”. Tematem dnia jest książkę Harry i odkrycie „News of the World”, że próbował marihuany i dużo pije, mimo że nie jest jeszcze pełnoletni. Niektórzy z nas są na tyle starzy, żeby pamiętać szokujące odkrycie, że księcia Karola przyłapano, jak pił wiśniówkę, kiedy jeszcze był w szkole Gordonstoun.

2.00 po południu

W tym tygodniu odwiedzają mnie Stephan Shakespeare, były szef personelu mojej kampanii wyborczej na urząd burmistrza Londynu, Robert Halfon, starszy doradca członka parlamentu Olivera Letwina, ministra spraw wewnętrznych w gabinecie cieni, oraz mój syn Will.

Wszyscy oni uważają, że Iain Duncan Smith radzi sobie lepiej, niż oczekiwano. Ostrzegam ich, że sądząc po opinii więźniów i personelu więziennego, większość ludzi po prostu nie wie, kto to taki.

Will mówi, że nie wróci do Stanów, dopóki nie rozstrzygnie się sprawa mojej apelacji. Mówi też, że Godfrey Barker zmienił zdanie i nie jest już skłonny do pomocy, i raczej wyjedzie z kraju, niż ulegnie presji, żeby złożyć zeznanie o rozmowie z sędzią Pottsem podczas przyjęcia. Jego żona Anne zagroziła, że się z nim rozwiedzie, jeżeli to zrobi²⁸.

8.00 wieczorem

Więzień skazany na dożywocie samowolnie się oddalił z North Sea Camp i nie wrócił przed 7 wieczorem. Jeżeli się nie zgłosi w ciągu dwudziestu czterech godzin, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych opublikuje w prasie jego nazwisko i informacje o przestępczej przeszłości. Gdy ucieknie jakiś młody chuligan, wiadomość na ten temat rzadko trafia nawet do prasy lokalnej, ale kiedy morderca jest na wolności, społeczeństwo ma prawo o tym wiedzieć.

Doug wtajemnicza mnie w szczegóły. Jak się zdaje, kilka tygodni temu więzień nie przeszedł obowiązkowego testu narkotykowego (heroina) i został przeniesiony z oddziału dla dożywotnich z powrotem do bloku północnego. Przypuszcza się, że rezultat jego ostatniego testu z zeszłego tygodnia też będzie pozytywny. Ponieważ będzie to drugie wykroczenie, więzień zostałby automatycznie przeniesiony do zakładu kategorii B i przedłużono by mu karę co najmniej o osiemnaście miesięcy. Ten człowiek zaczął od dwunastoletniego minimalnego okresu odbywania kary, a siedzi w więzieniu już siedemnaście lat.

Gdyby był wzorowym więźniem, mógłby wyjść na wolność pięć lat temu.

Dzień 180

Poniedziałek, 14 stycznia 2002

9.00 rano

Kiedy rano przychodzi lekarz, najpierw podpisuje dokumenty zwolnienia

więźniów, którzy mają wyjść na wolność. Następnie podpisuje podania o pięciodniową przepustkę, wystawiając zaświadczenie o dobrym stanie zdrowia. Kolejnym jego zadaniem jest przyjęcie wszystkich „nowych”, którzy właśnie przybyli z innego więzienia. Na końcu lekarz załatwia „podpadziochów”, więźniów, którzy popełnili wykroczenie i przed ukaraniem muszą ponownie zostać uznani za zdrowych fizycznie i psychicznie. Kiedy ci wszyscy więźniowie zostaną przyjęci, lekarz zajmuje się tymi, którzy są naprawdę chorzy.

Dziś mamy trzech „podpadziochów”. Dwaj są zwyczajni, ale trzeci zaskoczył nawet naczelnika. Pierwszego ukarano za to, że skłął funkcjonariusza, a musiał go porządnie skłąć, skoro trafił do samego naczelnika. Drugi to ten, u którego w pokoju znaleziono 20 funtów. Pierwszemu przedłużono karę więzienia o cztery dni, drugiemu o siedem, ale ten trzeci...

Wszyscy więźniowie, którzy wychodzą na przepustkę do miasta, muszą się zgłosić, trzeźwi, w dyżurce u wejścia do North Sea Camp przed 7 wieczorem. Ten więzień spóźnił się kilka minut i, według strażnika, był pijany jak bela. Na wolności człowiekowi mogą kazać dmuchać w balonik, kiedy prowadzi samochód, tutaj – kiedy sobie idzie.

Gdy więźniowi postawiono zarzut, że jest pijany, dowodził, że pół godziny przed przybyciem do więzienia wypił pół butelki płynu do płukania ust. To prawda, że taki płyn zawiera alkohol; w tym wypadku alkomat wykazuje 0,5 promila zawartości alkoholu. Kłopot w tym, że alkomat pokazał 3,5 promila. Następnie sprawdzono kartę zdrowia więźnia i ponieważ nie odwiedził lekarza od miesiąca i nigdy nie prosił o płyn do płukania ust, zażądano, żeby wytłumaczył, dlaczego nagle wypił pół butelki.

– Bo obciągnąłem partnerowi druta – odparł więzień.

Kiedy funkcjonariusz ochłonął, przerzucił regulamin i nasunął mu się pomysł.

– Czy podpisałeś umowę o kurateli dla więźniów na przepustce do miasta? – zapytał z głupia frant.

– Tak – padła natychmiast odpowiedź.

– I kogo wskazałeś jako osobę, która będzie za ciebie przez cały czas ponosić odpowiedzialność?

– Moją matkę.

– A czy twoja matka była świadkiem czynności, którą przed chwilą opisałeś?

Więzień zamilkł na chwilę, przyznał się do winy i dostał dodatkowo dwadzieścia osiem dni kary.

11.00 rano

Linda wychodzi ze szpitala i wędruje do rejestracji, gdzie czekają dwaj

więźniowie zabrani bez uprzedzenia ze swoich pokoi, ponieważ zostaną wysłani do więzienia Lincoln (kategoria B). Obaj nie przeszli pomyślnie testu narkotykowego, gdyż wykazał on obecność heroiny w ich organizmach.

Więźniów się nigdy nie uprzedza, że będą przerwani do innego zakładu, gdyż mogliby uznać, że lepiej samowolnie się oddalić z więzienia otwartego, niż ponownie trafić do zamkniętego.

Dzień 181

Wtorek, 15 stycznia 2002

9.00 rano

Piątka z Derby załatwia formalności przed wyjściem na wolność i wszyscy przychodzą do szpitala, żeby się pożegnać. Eamon, który przez krótki czas dzielił ze mną pokój, jest szczególnie serdeczny i mówi, że ma nadzieję, że się znów spotkamy. Kiwam potakująco głową.

5.00 po południu

Podczas kolacji siedzę obok Johna (morderstwo). Robi interesującą uwagę na temat Chrisa (morderstwo), którego nie złapano do tej pory. Jeżeli udało mu się uciec do jednego z krajów europejskich (jak Szwecja, Portugalia albo Włochy), gdzie się nie pochwała naszego systemu kar dla więźniów dożywotnich, tamtejsze władze mogą przymknąć oko, zwłaszcza że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych dziś ogłosiło, że Chris nie zagraża społeczeństwu.

8.30 wieczorem

Przeoglądam to, co dziś napisałem, kiedy do pokoju wchodzi chwiejnie więzień. Bardzo silnie się poci i nie może złapać tchu. Mierzę mu ciśnienie krwi, które wynosi 176/109 i informuję funkcjonariusza, ale wpierw dokonuję pomiaru swojego ciśnienia (130/76), żeby sprawdzić, czy aparat się nie myli.

Dyżur ma Downs (został przełożonym funkcjonariuszy na miejsce New). Powiadamiam go, że Gail obserwuje tego pacjenta od czterech dni i powiedziała, że gdyby ciśnienie ponownie skoczyło powyżej 105, należy go od razu przewieźć do Pilgrim Hospital, gdzie zostanie poddany dokładnym badaniom.

– To nie takie łatwe – tłumaczy Downs. – Mam tylko pięciu funkcjonariuszy

na służbie, a ten więzień nie był oceniany pod kątem ryzyka ucieczki, więc ktoś z nim musi jechać.

Downs wzdycha, telefonuje po taksówkę i poleca jednemu z funkcjonariuszy pojechać z więźniem do szpitala (koszt 20 funtów).

Co oznacza, że czwórka funkcjonariuszy – w tym jedna młoda kobieta, świeżo przyjęta do służby – pilnuje 191 więźniów.

Dobrej nocy.

Dzień 183

Czwartek, 17 stycznia 2002

Po miesiącu pracy w szpitalu dopracowałem już mój harmonogram zajęć.

5.00–7.00 rano Sporządzam pierwszą wersję opisu wydarzeń poprzedniego dnia. *7.00–7.30 rano* Rozsuwam zasłony, ścielę łóżko, nastawiam czajnik, golę się, kąpię i ubieram. Przygotowuję listy i parzę kawę Lindzie – dodaję odrobinę mleka i słodzik. *7.30–8.00 rano* Poranny dyżur. Zwykle od dwudziestu do trzydziestu więźniów, którzy odbierają recepty albo zapisują się do lekarza na dziewiątą. *8.00–8.30 rano* Dostarczam zwolnienia z pracy na farmę, do warsztatów, do magazynu, kantyny, działu edukacji, do bloku północnego i południowego i do dyżurki przy wejściu. *8.30–8.45 rano* Śniadanie w jadalni. *9.00–10.30 rano* Przyjęcia lekarskie. *11.00 rano* Akupunktura, zwykle dwóch lub trzech więźniów. *11.10–11.40 rano* Czytam szkic napisany dziś rano. *11.50 rano* Budzę pacjentów po akupunkturze; Linda wyjmuje igły. *12 w południe* Lunch. *12.40 po południu* Telefonuję do Londynu do Alison i odbieram korespondencję z biura w bloku południowym. *1.00–3.00 po południu* Kontynuuję pracę nad drugą wersją wczorajszego tekstu. *3.00–4.00 po południu* Przyjmuję więźniów z innych zakładów karnych. Mówię kilka słów wprowadzających, potem mierzę ciśnienie krwi, ważę i badam mocz pod kątem cukrzycy. *4.30–4.50 po południu* Przyjęcia popołudniowe. Więźniowie, którzy zamówili rano recepty, mogą je odebrać, gdyż leki muszą być pobrane po południu z apteki w Bostonie. *4.50 po południu* Linda wychodzi po skończonej pracy. *5.00 po południu* Kolacja. *5.30–7.00 wieczorem* Ostatnia sesja pisania, w sumie blisko sześć godzin. *7.00 wieczorem* Otwieram ostatnią salkę do użytku personelu z zewnątrz, jak Powiernicy, świadkowie Jehowy, uczestnicy sesji terapeutycznych dla narkomanów i alkoholików oraz komisje więzienne. *7.10–8.00 wieczorem* Czytam pocztę z tego dnia, robię notatki i przygotowuję do wysłania do Alison. *10.30 wieczorem* Czytam, póki nie zasnę. Sanitariusz w szpitalu pracuje

dłużej niż inni więźniowie i w nieregularnych godzinach. Jest zajęty przez siedem dni w tygodniu. W sobotę i niedzielę po wyjściu Lindy i Gail zmiatam oddział szpitalny, korytarz, ubikację i łazienkę, a potem myję podłogi mopem. (Chociaż nie pamiętam, kiedy ostatni raz wykonywałem prace domowe, uważam te zajęcia za terapeutyczne. Nie posunąłbym się jednak do twierdzenia, że sprawiają mi przyjemność).

Potem sprawdzam stan zaopatrzenia i uzupełniam zapasy w szafkach. Jeżeli czegoś brak, wypisuję zamówienie do magazynu (błoczki do pisania, papier toaletowy i nowy odkurzacz – stary ostatecznie odmówił posłuszeństwa).

Niektórzy więźniowie mówią mi, że woleliby pracować w kuchni albo w kantynie funkcjonariuszy, bo tam by dostawali więcej jedzenia. Ja wolę być w szpitalu, móc się wykapać i dobrze się wyspać.

Dzień 184

Piątek, 18 stycznia 2002

5.26 rano

Wchodzi strażnik pełniący nocną służbę i mówi mi z uśmiechem, że mogę się oddalić z więzienia. Odkładam pióro i pytam dlaczego.

– Mamy o jednego więźnia więcej.

– Jakim sposobem? – pytam.

– Chłopak, który wczoraj wyszedł na wolność, wrócił do domu, ale nikt go tam nie chciał, więc włiznął się ukradkiem do więzienia i przespał się w swoim starym pokoju.

– I co zrobiliście? – pytam.

– Odprowadziliśmy go do wyjścia i wyrzuciliśmy drugi raz.

Żał mi tego człowieka, który nie ma gdzie się podziać, i mogę się tylko zastanawiać, ile czasu upłynie, zanim popełni następne przestępstwo.

8.00 rano

Spotykam Keitha („świadomie zamieszany” w sprawę narkotyków klasy B), kiedy wraca po śniadaniu. Musi wciąż czekać na brakujące dokumenty, żeby wyjść na wolność. Pewno nie rozumiecie – ja też zachodziłem w głowę – co oznacza ten zarzut.

Keith prowadził małą firmę transportową i w jednej z jego ciężarówek

zamontowano zapasowe zbiorniki paliwa. Podczas kontroli celnej okazało się, że znajduje się w nich 249 kilogramów marihuany. Keitha skazano na dziewięć lat.

Ilekoć sędzia wydaje wyrok w związku z przestępstwem narkotykowym, ustala minimalny okres odbywania kary w zależności od klasy narkotyku – A, B albo C. Ważne jest także, czy zarzuca się człowiekowi „posiadanie” czy też rozprowadzanie, oraz to, jaka ilość wchodzi w grę.

Klasyfikacja narkotyków *Klasa A* heroina, ecstasy, kokaina, opiaty *Klasa B* kanabinole (marihuana) (obecnie klasa C), amfetaminy *Klasa C* sterydy anaboliczne, keratyna, azotyn amilu (amfa) A oto orientacyjne dane na temat kar *maksymalnych*:

Klasa A posiadanie, siedem lat (grzywna albo jedno i drugie) rozprowadzanie, dożywocie (grzywna albo jedno i drugie) *Klasa B* posiadanie, pięć lat rozprowadzanie, czternaście lat *Klasa C* posiadanie, dwa lata rozprowadzanie, pięć lat Wielu więźniów uważa, że są niesprawiedliwie traktowani, skoro wyrok może się tak znacznie różnić zależnie od sądu, a ponieważ 50 procent więźniów siedzi za przestępstwa na tle narkotykowym, nieustannie dokonuje się porównań. Nieliczni przyznają, że udało się im łatwo wywinąć, większość natomiast czuje się osądzona surowo.

5.00 po południu

Człowiek, którego skazano na pięć lat więzienia za usiłowanie zamordowania teściowej, okazuje się kolejnym niezwykłym przypadkiem. Uderzył teściową, która go nie wpuściła, kiedy chciał odwiedzić swoje dzieci. Zemdląła i zabrano ją do szpitala. Nie umarła, a policja nie miała dowodu, że chciał ją zamordować, więc zmieniono zarzut na włamanie kwalifikowane i wymierzono mu karę pięciu lat. Żeby pojąć, skąd się wziął drugi zarzut, trzeba mieć umysł wytrawnego prawnika. Więzień tłumaczy, że gdy szukał dzieci, wszedł nieproszony do domu teściowej – i to właśnie jest włamanie kwalifikowane.

Dzień 185

Sobota, 19 stycznia 2002

2.00 po południu

Miałem nadzieję zobaczyć dzisiaj Mary, Willa i Jamesa, ale władze uznały, że wykorzystałem w tym miesiącu wszystkie przysługujące mi wizyty, i w związku z tym mogę ich zobaczyć dopiero na początku lutego.

3.00 po południu

Mecz piłki nożnej w tym tygodniu też został odwołany, więc znów muszę się zmierzyć z największym wrogiem więźnia, nudą.

Dzień 186

Niedziela, 20 stycznia 2002

10.51 rano

Hart (socjalista starego typu) odwiedza szpital i mówi mi, że w „News of the World” jest dwustronicowy artykuł na mój temat. Jak się zdaje, Eamon (jeden z piątki z Derby) jest ostatnim byłym więźniem, który połakomił się na trzydzieści srebrników i powiedział światu, jak to jest, kiedy się dzieli pokój z Jeffem.

Jestem zdziwiony, że tak wielu więźniów dzisiaj mnie odwiedza i mówi mi, co myślą o Eamonie. Dziwne zwroty, jak „złamał kodeks postępowania”, „tak się nie robi”, wypowiadają mężczyźni skazani za morderstwo albo za ciężkie uszkodzenie ciała. Kiedy wyszedłem z Belmarsh, Fletch, Tony, Del Boy i Billy nie powiedzieli nic, tak samo Darren, Jimmy, Jules i Sketch z Wayland też trzymają język za zębami. Tutaj, w North Sea Camp, mam zaufanie do Douga, Carla, Jima, Clive’a i Matthew. A mieliby sporo do opowiedzenia.

4.00 po południu

Założyłem więzienny klub towarzyski, ponieważ niezależnie od sytuacji lubię przyjmować gości. Co prawda nie byłoby to możliwe w Belmarsh czy Wayland, ale teraz, gdy mieszkam w szpitalu, mogę nawet wysłać zaproszenia. Członkostwo w klubie jest ograniczone do osób powyżej czterdziestki.

Moi goście są zapraszani do „Klubu Szpital” w niedzielę między 4 a 6 po południu. Podaję im herbatę, kawę, herbatniki i babeczki dostarczane przez Lindę. Obecnie klub liczy kilkunastu członków, w tym Davida (oszustwo, kierownik szkoły), Johna (oszustwo, księgowy), Johna (oszustwo, biznesmen), Keitha (świadome posiadanie narkotyków), Briana (hodowla strusi, organista w kaplicy), Douga (import papierosów), majora (ugodził żonę nożem), kapitana (kradzież, wyrzucony z pułku), Malcolma (oszustwo) i Carla (oszustwo).

Rozmowy nie obracają się wokół więzienia, ale wokół tego, co się dzieje na świecie. Dyskutuje się o tym, czy należy przydzielić IRA pomieszczenia w parlamencie, czy Ibn Ladin żyje czy jest martwy, jaki jest stan państwowej służby zdrowia i jakie są ostatnie wiadomości z meczu reprezentacji narodowych w Indiach. Wszyscy moi goście przestrzegają przepisów klubowych. Wchodząc do szpitala, ściągają buty i wkładają kapcie, nie palą papierosów i nie przeklinają. Dwaj opuszczą nas w przyszłym tygodniu, Keith, który siedzi pięć lat, i Brian – trzy. Wznosimy kubki i życzymy im powodzenia. Carl i David zostają i pomagają mi zmywać.

Dzień 187

Poniedziałek, 21 stycznia 2002

7.30 rano

Zwracam uwagę na stałych pacjentów – to pięciu więźniów, którzy pojawiają się każdego ranka między 7.30 a 8 po leki. Nie mogę pojąć, dlaczego ta piątka potrzebuje tych samych lekarstw na przypadłości, z jakimi większość z nas uporałaby się w ciągu kilku dni. Siostra oddziałowa ma swoje podejrzenia, ale jeżeli więzień skarży się na ból zęba, naciągnięcie mięśni albo zapalenie stawów, ma prawo do leków na bazie opiatów – jak na przykład kodeina, co-codamol czy dekstropropoksyfen. Leki te w teście narkotykowym dadzą wynik pozytywny i jeżeli więzień zażywa je codziennie przez miesiąc, może potem twierdzić, że to one były przyczyną. Jednakże jeżeli test wykryje w organizmie więźnia heroinę, w szpitalu pobiera mu się krew i prosi o konsultację medyczną, czy to możliwe, żeby codzienne zażywanie leków mogło dać tak wysoki wskaźnik. Kilku więźniów

odkryło, że tego rodzaju margines wątpliwości często działa na ich korzyść. Doug mówi mi, że wróciwszy do swoich pokojów, niektórzy narkomani spuszczają pastylki z wodą w toalecie, a potem biorą dzienną dawkę heroiny.

11.20 rano

Dożywotniak Bob (dwanaście lat, morderstwo) w przyszłym tygodniu ma stanąć przed komisją do spraw zwolnień warunkowych. Zbliża się do końca minimalnego okresu odbywania kary, a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zwykle zaleca, żeby więzień odsiedział jeszcze co najmniej dwa lata, zanim się rozważy możliwość jego zwolnienia. Ostatnio tę decyzję odebrano Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i oddano komisji do spraw zwolnień warunkowych. Bob dziś rano dostał list z komisji, że zostanie zwolniony w przyszły czwartek.

Spróbujcie sobie wyobrazić dwunastoletni pobyt w więzieniu (pomyślcie, ile lat mieliście przed dwunastu laty) i teraz przyjmijcie, że musicie jeszcze odsiedzieć dwa lata, i nagle się dowiadujecie, że w najbliższy czwartek wychodzicie na wolność.

Bob chodzi w kółko jak ogłuszony, również dlatego, że wczoraj spadł z drabiny i ma kostkę w gipsie. Jak w tym stanie powróci na ziemię?

Dzień 188

Wtorek, 22 stycznia 2002

11.00 rano

Andrew Pierce z „Timesa” zdobył informację, że Libby Purves jutro przeprowadzi wywiad z Mary. To musi być przeciek z BBC, ale się nie skarżę, ponieważ artykuł jest dobrze napisany, chociaż Pierce ulega złudzeniu, że North Sea Camp jest w Cambridgeshire. Bardzo bym chciał, żeby tak było.

4.00 po południu

W mojej popołudniowej poczcie są: kartka walentynkowa – to tak, jakby dostać kartkę bożonarodzeniową w listopadzie – oferta matrymonialna, propozycja zagrania roli filmowej (marszałka polnego Haiga), prośba o prowadzenie dwunastoodcinkowego programu telewizyjnego i zaproszenie do wygłoszenia mowy po uroczystym obiedzie w Sydney we wrześniu przyszłego roku. Czy ci

ludzie wiedzą coś, czego ja nie wiem?

8.00 wieczorem

Pewien funkcjonariusz po nocnym obchodzie wpada na kawę. Opowiada mi alarmującą historię o wydarzeniu, które zaszło jakiś czas temu.

Wśród więźniów jest rzeczą powszechnie znaną, że jeżeli jakiś funkcjonariusz uweźmie się na ciebie, nic na to nie poradzisz. Możesz złożyć skargę, ale nawet jeżeli masz rację, funkcjonariusze zawsze będą się nawzajem popierać, jeżeli jeden z nich wpadnie w kłopoty. Mógłbym wypełnić całą książkę opisami takich przypadków. Ja również tego doświadczyłem, ale była to rzecz tak mało znacząca, że nie warto o tym wspominać. Wtedy sam naczelnik mnie przeprosił, ale poradził mi, żebym nie składał skargi.

Wracajmy jednak do więźnia z bloku północnego, który miał czelność napisać skargę na jednego z funkcjonariuszy. W tym wypadku mogę się tylko zgodzić z więźniem, że ów funkcjonariusz tyranizuje skazanych. Jednakże po długotrwałym śledztwie (w więzieniu wszystko trwa długo) funkcjonariusz został oczyszczony z zarzutów, co nie powstrzymało go przed próbami zemsty.

Wspomniany więzień odsiadywał pięcioletni wyrok i w czasie, kiedy się dostał do więzienia, miał romans, o którym nie wiedziała jego żona, w dodatku romans z mężczyzną. Oboje co drugi tydzień na przemian odwiedzali więźnia, on zaś w ciągu tygodnia do nich pisywał. Według regulaminu w zamkniętych więzieniach niezapieczętowane listy zostawia się w biurze, żeby dyżurny funkcjonariusz przeczytał je i sprawdził, czy więzień nie jest zamieszany w działalność przestępczą bądź nie prosi o przysłanie narkotyków. Kiedy więzień przyniósł swoje dwa listy, dyżur miał funkcjonariusz, na którego złożył skargę. Funkcjonariusz przeczytał obydwie listy miłosne i, tak jest, odgadliście, zamienił je, zakleił koperty i tym samym przypieczętował los więźnia.

Skąd wiem, że to prawda? Bo funkcjonariusz, o którym mowa, właśnie mi o tym opowiedział i chętnie opowiada to każdemu, w kim upatruje zagrożenia.

Dzień 189

Środa, 23 stycznia 2002

9.00 rano

Mary występuje w audycji *Midweek*, którą prowadzi Libby Purves.

12.15 po południu

Dzwonię do Mary. Jest teraz na lunchu z Kenem Howardem, członkiem Akademii Królewskiej, i innymi artystycznymi luminarzami.

2.00 po południu

Moi dzisiejsi goście to Michael Portillo i Alan Jones (australijski John Humphrys). Najpierw muszę wyjaśnić moje stanowisko wobec zabiegów Michaela o przywództwo. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby został przywódcą partii po Johnie Majorze. Głosowałbym również na niego jako na następcę Williama Hague'a, aczkolwiek byłbym rozdarty, gdyby Malcolm Rifkind odzyskał mandat posła z okręgu Edynburga.

Wizyta przebiega nader żywo i przypomina mi, jak bardzo mi brak szermierki słownej Westminsteru w tym najodleglejszym i najzimniejszym zakątku Lincolnshire, w którym tkwię. Michael mówi o zmianach, jakie by poczynił, gdyby został przywódcą. Potrzeba nam naszego własnego „Paragrafu 4”²⁹, z którego Tony Blair tak błyskotliwie uczynił ważną sprawę, mimo że nie ma on istotnego znaczenia. Michael także uważa, że kandydatów partii do parlamentu powinno się dobierać z centrali, odbierając władzę okręgom wyborczym. Martwi go również, że tak niewiele kobiet i przedstawicieli mniejszości zasiada na ławach konserwatystów. Zwraca uwagę, że w ostatnich wyborach reprezentacja partii powiększyła się tylko o jedną kobietę, podczas gdy Partia Pracy ma ich ponad pięćdziesiąt.

– To słaba reklama dla nowoczesnej, otwartej dla wszystkich partii – dodaje.

– A jak byście podeszli do kwestii europejskiej? – pytam Alana.

Michael otwiera usta do odpowiedzi, kiedy zagorzały socjalista (miejscowy radny laburzystowski) funkcjonariusz Hart ogłasza, że czas wizyty się skończył.

W polityce nie ma takiego nadmiaru talentów, żeby konserwatyści mogli przetrwać bez ludzi w rodzaju Portilla, Rifkinda, Hague'a, Clarke'a i Redwooda. Każdy z nich odgrywa ważną rolę, zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy w opozycji.

Kiedy obaj mężczyźni poszli, wszystko się we mnie gotowało. Godzinę później miałem ochotę oddalić się z więzienia.

5.00 po południu

Dzwonię do Mary. Przed chwilą opuściła kancelarię radcy królewskiego Juliana Malinsa i wybiera się na obiad z Leo Rothschildem.

Dzień 191

Piątek, 25 stycznia 2002

8.15 rano

Wywołują mnie przez głośniki ze śniadania i polecają, żebym się natychmiast zgłosił do szpitala. Wczoraj wieczorem, już po wyjściu Gail do domu, przybyło pięciu nowych więźniów. Trzeba wykonać wstępne pomiary (ciśnienie, waga, wzrost) przed przyjściem doktora Wallinga o dziewiątej. Jeden z nowo przybyłych oznajmia z dumą, że wprawdzie to jego piąte przestępstwo, ale w North Sea Camp jest pierwszy raz.

10.30 rano

Po skończonych przyjęciach pijemy z doktorem Wallingiem kawę na oddziale.

– Jeden z nich był koszmarny – mówi, jakbym ja nie był „jednym z nich”. Nie wyjawia, do którego z dwudziestu pacjentów odnoszą się jego słowa, a ja nie wpytyuję. Jednak jego następne zdanie mnie zaskakuje. – Musiałem mu pobrać krew, ale nie mogłem się doszukać żyły ani w rękach, ani nogach, więc w końcu wbiłem mu igłę w penis. Jeffrey, on nie ma nawet połowy twoich lat, ale ty go przeżyjesz.

2.00 po południu

Przywieziono nowy odkurzacz. To ważne wydarzenie w moim życiu.

4.00 po południu

Telefonuję do Mary do Grantchester. Ma kilka wiadomości: Brian Mawhinney dostał odpowiedź na list do sir Johna Stevensa, komendanta policji londyńskiej, w którym zapytywał, dlaczego straciłem status więźnia kategorii D i zostałem wysłany do Wayland. Zażądano sprawozdania o okolicznościach, w jakich podjęto tę decyzję, i gdy tylko komendant je otrzyma, zostanie ono przekazane Brianowi.

Następna wiadomość Mary jest druzgocąca.

Jeszcze w 1999 roku Julian Malins wysłał Michaelowi Hillowi dla

argumentacji obrony w procesie o zniesławienie notatkę (zobacz poniżej), którą zachował w swoich papierach, a którą przesłał mu Geoffrey Shaw Junior. Shaw prosi w niej Juliana o moje dwa terminarze z 1986 roku (terminarz formatu A4 i terminarz „Economista”), „na wypadek gdyby Michael chciał na nie spojrzeć”. Julian przekazał terminarze Shawowi i Hillowi i powiedział Mary, że jest całkiem pewny, iż je przejrzyli dokładnie – i najwyraźniej nie znaleźli w nich nic godnego komentarza, ponieważ nie były one kwestią sporną w procesie o zniesławienie. Julian dodał, że byłoby „absolutną bzdurą” sugerować, że prawnicy gazety „Star” nie mogli zbadać owych dwóch terminarzy (Angela Peppiatt utrzymywała podczas sprawy karnej, że były one prawie całkowicie czyste) w sądzie pod kątem innych wpisów.

Drogi Julianie

Czy mógłbyś wziąć ze sobą do sądu terminarze pana Archera, na wypadek gdyby Michael chciał na nie spojrzeć?

Polecono mi spytać Cię o to wczoraj wieczorem. Przepraszam, ale zapomniałem!

Pozdrawiam

Geoffrey Shaw

Później Julian napisał do Mary: „Prawo angielskie w 1986 roku nie było głupie. Gdyby to była sugestia Michaela Hilla, że dowód o alibi jest w pełni prawdziwy oprócz daty, ani lord Archer w miejscu dla świadków, ani sędzia, a tym mniej lord Alexander i ja, nie moglibyśmy się sprzeciwić, żeby Michael Hill przerzucił terminarz do końca, aby znaleźć ten sam obiad z tą samą osobą w tej samej restauracji, ale pod inną datą”.

Nikt z nas nie słyszał o kieszonkowym terminarzu Peppiatt z 1986 roku, w którym odnotowywała swoje i moje spotkania, przetrzymywała go przez lata jako swoją własność, ale zademonstrowała w sądzie jako mój „prawdziwy” terminarz z owego roku.

Mary mówi mi też, że napisała do Godfreya Barkera o rzuconej kiedyś przez niego uwadze o wspólnym obiedzie z sędzią Pottsem przed procesem, gdy sędzia podobno miał się wyrażać o mnie z lekceważeniem. Teraz Mary się boi, że Godfrey zapadnie się pod ziemię, kiedy zostanie ogłoszona data apelacji.

Dzień 192

Sobota, 26 stycznia 2002

10.00 rano

Ważę się. Zgroza. Czternaście kamieni i dwa funty. Zgroza. Straciłem jedenaście funtów podczas trzytygodniowego pobytu w Belmarsh i ważyłem wtedy dwanaście kamieni i siedem funtów. W Wayland w ciągu dziesięciu tygodni przybyło mi jedenaście funtów, mimo codziennych ćwiczeń na sali gimnastycznej. W North Sea Camp jedzenie jest lepsze, ale moja praca nie zostawia mi czasu na ćwiczenia (słaba wymówka). Twardo postanawiam, że wychodząc z więzienia, kiedykolwiek to nastąpi, będę ważył w granicach dwunastu kamieni i ośmiu funtów.

1.00 po południu

Odwiedza mnie więzień, który został skazany na trzy miesiące, co oznacza, że będzie siedział około pięciu albo sześciu tygodni. Jego przestępstwo? Kradzież 120 funtów, gdy pełnił funkcję zaufania społecznego. Był policjantem. Nie będę się wdawał w szczegóły jego przestępstwa, gdyż bardziej mnie interesują problemy, wobec których staje policjant, kiedy się znajdzie w więzieniu. Jest niezwykle szczery.

Kiedy tu przybył, został umieszczony w bloku północnym i po kilku minutach rozpoznał handlarza narkotyków, którego aresztował w przeszłości. Zameldował o tym Hughesowi, oddziałowemu, i od razu został przeniesiony na noc do izolatki. Następnego dnia naczelnik musiał zdecydować, którego z tych dwóch wyekspediować z więzienia. Jego wybór padł na handlarza narkotyków, który ostatnio nie przeszedł pomyślnie testu narkotykowego. Policjant wrócił na blok północny, dostał pracę w kuchni i polecenie, żeby się nie rzucać w oczy. To było tydzień temu. Na razie nikt go nie rozpoznał, ale ma jeszcze dwa tygodnie odsiadki.

Nawiasem mówiąc, pierwotnie został oskarżony o kradzież 1000 funtów, która to suma do czasu, kiedy sprawa trafiła do sądu, zmalała do 120. Było to trzy lata temu i przez ten czas policjant był zawieszony i otrzymywał pełną płacę (nieco ponad 60 000 funtów rocznie).

Jak się wydaje, policja i więziennictwo nie troszczą się specjalnie o to, jak są wydawane pieniądze podatnika. Gdyby były prywatnymi firmami,

zbankrutowałyby w ciągu roku. Nie sugeruję, że nie należało policjanta oskarżać, ale twierdzę, że ustalenie, iż skradł 120 funtów, nie powinno kosztować blisko 100 000 funtów i trwać trzy lata.

2.00 po południu

Stoję w drobnym deszczu i obserwuję grę drużyny piłkarskiej, która poczyna sobie trochę lepiej niż w zeszłym tygodniu. Jednak Jean-Noel, jeden z naszych najlepszych napastników, zostaje odwołany, gdyż Masters (nasz sędzia) dostał przez interkom wiadomość, że w sali odwiedzin czeka na niego młoda kobieta. Jean-Noel biegiem opuszcza boisko, prędko bierze prysznic, przebiera się i idzie do niej.

W tym momencie prowadziliśmy 1:0. Przegrywamy 1:5.

5.00 po południu

Przy podwieczorku uznałem, że muszę zganić Jean-Noela za niesłuszną decyzję i opuszczenie drużyny w potrzebie. W końcu mecz był z pewnością ważniejszy niż spotkanie z dziewczyną, a zresztą jak mógł zapomnieć, że ona ma przyjść? Roześmiał się i wytłumaczył, że w tygodniu się posprzecziali i dziewczyna powiedziała, że nie przyjdzie. Przyszła, no i przegraliśmy mecz.

6.00 wieczorem

W szpitalu czeka znowu sterta listów, a wśród nich długi list od Johna Majora, który między innymi wspomina, że słyszał, iż piszę dziennik więzienny. Stwierdza, że relacjonowanie faktów będzie interesujące oraz pouczające, ale chciałby również poznać moje osobiste opinie o opisywanych zagadnieniach i ludziach. Dodaje, że nie dziwi go poparcie społeczne, jakim się cieszę; powiada, że jemu okazano o wiele więcej współczucia i poparcia, kiedy przegrał wybory, niż kiedy wygrał.

Dzień 193

Niedziela, 27 stycznia 2002

4.00 po południu

Członkowie „Klubu Szpital” spotykają się przy herbacie i ciasteczkach. Ponieważ jednak Brian (hodowla strusi), Keith (świadome etc.) i John (oszustwo) zostali w tym tygodniu zwolnieni, a David (oszustwo) i Malcolm (oszustwo) są w mieście na przepustce, nasza grupka złoczyńców zmalała do pięciu osób. Rozmawiamy o tym, czy powinniśmy kogoś poprosić o przyłączenie się do klubu, jakby to było spotkanie komisji konserwatystów; i powiedzmy to wprost – Partia Konserwatywna boryka się z podobnym problemem. Niektórzy zostali zwolnieni, kilku jest chwilowo na urlopie. Ale podobnie jak w więzieniu, człowiek się zastanawia, ilu powróci na czas.

6.00 wieczorem

Spędzam spokojny wieczór na czytaniu i uaktualnianiu dziennika.

Dzień 195

Wtorek, 29 stycznia 2002

9.00 rano

Dziesięciu więźniów przybyłych wczoraj wieczorem z Leicester czeka na przyjęcie przez lekarza. Jeden z nich się chwali, że zawsze sobie poradzi z testem, potrafi oszukać nawet alkomet. Mimo że Lee dobrze wie, iż piszę dziennik, chętnie odkrywa swoje sekrety. Lee ma około dwudziestu pięciu lat, jest przystojny i dobrze zbudowany. Ale wystarczy jeden rzut oka na wewnętrzną stronę jego ramienia, żeby się przekonać, iż bierze narkotyki i Bóg wie, w jakim stanie będzie za dziesięć lat.

– Jak można oszukać test narkotykowy? – pytam.

– To łatwe – odpowiada i z kieszeni džinsów wyjmuję mydełko – takie jakie leżą na umywalkach w małych hotelach. Przełamuje je na pół, wkłada do ust i ssie, jakby to był cukierek.

– Jaką to robi różnicę? – dopytuję się.

– Gdyby mnie zbadano za kilka godzin, mój mocz byłby tak mętny, że nie mogliby mnie oskarżyć, a nie wolno im poddać mnie testowi wcześniej niż za dwadzieścia osiem dni. Do tej pory miałbym dość czasu, żeby wypłukać wszystko z organizmu. Mógłbym nawet do dwudziestego czwartego dnia brać heroinę; tylko na pozbycie się śladu po kanabinolach potrzeba miesiąca.

– Ale nie można chyba w ten sposób oszukać alkometu?

– Nie – odpowiada Lee ze śmiechem. – Ale ja mam dwa sposoby na alkomat. – Wyciąga z innej kieszeni trzy pensy, wkłada do ust i ssie.

Po kilku chwilach je wyjmuję i dowodzi, że miedź neutralizuje alkohol i dlatego alkomat go nie wykaże.

– A co się stanie, jeżeli policja nie da ci dość czasu, żeby włożyć monety do ust?

– I tak sobie poradzę – powiada Lee – stosując specjalną technikę oddychania.

Wszyscy więźniowie w poczekalni łowią teraz każde słowo Lee i kiedy lekarz wywołuje następnego pacjenta, ten nie rusza się z miejsca, żeby nie stracić zakończenia.

– Kiedy policja podaje ci aparat, żebyś dmuchnął – ciągnie Lee, świadom słuchającej w napięciu publiczności – wypuszczasz powietrze z płuc, a potem nabierasz go tylko trochę. Przez następne cztery sekundy wdmuchujesz bardzo mało powietrza, aż aparat zarejestruje kolor pomarańczowy. Oddajesz aparat policjantowi i łapiesz oddech, jakbyś wydmuchnął wszystko z płuc. Uchodzi ci na sucho, ponieważ zieleń oznacza wynik negatywny, a kolor pomarańczowy jest jeszcze w normie. Tylko czerwonego trzeba się bać, pomarańczowy nie jest podstawą do oskarżenia. A jeżeli – mówi dalej Lee – masz zamglony wzrok, też mam na to sposób. W aptece można kupić używany przez klubowiczów specyfik Z1, który łagodzi oczy podrażnione dymem. Wystarczy połączenie miedzi, ostrożnego oddychania i tego specyfiku – i nigdy cię nie złapią.

11.00 rano

Przy jednym z więźniów trwa „warta samobójcza”. To chłopak, który ma dwadzieścia jeden lat, pięć stóp i pięć cali wzrostu, jest wątki i boi się własnego cienia. Odsiaduje wyrok za prowadzenie samochodu bez prawa jazdy, które mu odebrano, i ma wyjść na wolność za dwa tygodnie.

Pojawia się o jedenastej, bierze dwa świeże prześcieradła i oddaje dwa w plastikowej torbie, ponieważ je zmoczył poprzedniej nocy. Kiedy idę do szafy po prześcieradła, krąży wkoło, mrużąc coś pod nosem. Gail nie jest pewna, czy więzień nie udaje, gdyż pracuje teraz na farmie, a niektórzy więźniowie gotowi są na wszystko, żeby się od tego wykryć. I rzeczywiście, kiedy się dowiaduje, że zostanie przeniesiony do innej pracy, pierwszy raz się uśmiecha. Jednak Gail nie może sobie pozwolić na ryzyko, więc pisze dokładne sprawozdanie dla oddziałowego.

W tym wypadku warta samobójcza oznacza, że funkcjonariusz (Jones) musi co godzinę sprawdzać więźnia, dopóki nie będzie pewności, że czuje się dobrze. Zwykle trwa to od dwóch do trzech dni. Będę was informował, co dalej.

7.00 wieczorem

Doug ma grypę, a Carl jest na próbie zespołu rockowego, więc spędzam wieczór samotnie.

Czytam referat o wpływie heroiny na dzieci, napisany przez doktora Simona Willsa. Nigdy nie sądziłem, że zamiast Freddiego Forsytha będę czytał do poduszki doktora Willsa.

Dzień 196

Środa, 30 stycznia 2002

9.00 rano

Dwaj nowi więźniowie przybywają z Nottingham (więzienie kategorii A). Młody mężczyzna, który odsiadyuje cztery miesiące za przekroczenie przepisów drogowych, mówi mi, że w jego bloku w Nottingham w ciągu trzech tygodni wydarzyły się trzy samobójstwa; popełnili je nieskazani jeszcze więźniowie.

Drugi więzień potakuje i mówi, że został zmuszony do dzielenia celi z mężczyzną, który wstrzykiwał sobie do żyły ocet, bo nie stać go było na heroinę.

Dzień 197

Czwartek, 31 stycznia 2002

10.00 rano

Zagląda Lewis, żeby się zobaczyć z Lindą, gdyż jest to ostatni dzień jego urzędowania w charakterze naczelnika. Oddał klucze, kajdanki, gwizdek, latarkę, kartę tożsamości i pozostałe insygnia władzy. Najwyraźniej doświadczenie to nie sprawiło mu przyjemności. Dowcipkuje, że nagle odkrył popołudniową telewizję i niekończące się reklamy wygodnych foteli, które ustawiają się inaczej za naciśnięciem guzika, łóżek, które zmieniają kształt, kiedy człowiek się obróci na drugą stronę, i wanien, z których wychodzi się z łatwością.

Lewis się uśmiecha, żegna się ze mną, wymieniamy uścisk rąk.

Podejrzewam, że nigdy się nie spotkamy, bo obaj zmierzamy w stronę świata balkoników.

11.00 rano

Inspektor państwowej służby zdrowia McQuity odwiedza North Sea Camp i daje Lindzie wyraźnie odczuć, że jest w pełni usatysfakcjonowany sposobem, w jaki prowadzi ona więzienny szpital.

2.30 po południu

W gazetach pełno artykułów o problemach Służby Więziennej spowodowanych przepełnieniem. Obecnie jest w więzieniach 71 000 łóżek, a trochę ponad 70 000 jest zajętych. Minister spraw wewnętrznych David Blunkett ma do wyboru albo wcześniej zwalniać skazanych, albo budować nowe więzienia. Ostatnio ogłosił, że zwolnienia z lokalizatorem od 1 kwietnia zostaną przedłużone z dwóch do trzech miesięcy. Gdyby sąd apelacyjny skrócił mi wyrok choćby o jeden dzień, wyszedłbym z więzienia trzy miesiące wcześniej.

4.00 po południu

Między nowymi przybyszami, którzy zjawili się po południu, jest więzień z Lincoln; do odsiadki zostały mu jeszcze trzy tygodnie. Ani przez chwilę nie przestaje narzekać. Domaga się pojedynczego pokoju z telewizorem oraz specjalnej deski usztywniającej, bo ma kłopoty z kręgosłupem. Wszyscy więźniowie w North Sea Camp zaczynają od pobytu w dwuosobowym pokoju i jest kilku takich, którzy przebywają tu parę miesięcy i nie mają telewizora. A jeżeli chodzi o deski, to wszystkie cztery są w tej chwili rozdysponowane.

W godzinę po wyjściu więźnia ze szpitala znaleziono go na parkingu; leżał na plecach przy samochodzie naczelnika. Kiedy wezwano Leightona, żeby coś z tym zrobił, powiedział, że nie widzi powodu, żeby więzień nie spał na parkingu, po czym wsiadł do samochodu i odjechał. Więzień w ciągu godziny wrócił do przydzielonego mu pokoju i od tej pory już nie przysparzał kłopotów.

Dzień 198

Piątek, 1 lutego 2002

9.00 rano

Między więźniami załatwiającyymi formalności przed zwolnieniem jest młody człowiek, który nie obchodził jeszcze trzydziestych urodzin, ale jest w więzieniu osiemnasty raz. To drobny włamywacz, który – to ważne – nie czuje lęku przed więzieniem. Jest ono dla niego jedynie przejściową niedogodnością w wybranym zawodzie. Ponieważ nie dopuszczał się przemocy i nie był zamieszany w handel narkotykami, rzadko skazują go na dłużej niż pół roku. Spędza kilka dni w zakładzie kategorii A, po czym zostaje przeniesiony do więzienia otwartego. North Sea Camp zapewnia mu trzy posiłki dziennie, pokój i towarzystwo podobnych zawodowców. Kiedy wychodzi na wolność, kradnie dalej, dopóki go znów nie złapią. Wtedy zostaje aresztowany, osądzony i wraca do North Sea Camp, więzienia kategorii D, położonego najbliżej jego domu w Bostonie³⁰. Zarabia od pięćdziesięciu do stu tysięcy rocznie (nie płaci podatków), w zależności od tego, ile miesięcy spędza na wolności w danym roku.

Hocking (dowódca więziennego oddziału ochrony) mówi mi, że ten młody człowiek musi przebyć daleką drogę, zanim pokona Greville'a, włamywacza wkradającego się do mieszkań przez okna i dach; opuścił on North Sea Camp w zeszłym roku w wieku sześćdziesięciu trzech lat, oznajmiając, że ma już dość środków, żeby przejść na emeryturę. Greville, któremu podczas jego przestępczej kariery wymierzono trzydzieści jeden wyroków (to nie jest rekord), wybierał North Sea Camp, gdzie zawsze w kilka dni po jego powrocie powierzano mu funkcję recepcjonisty. Był tak znakomity w swojej profesji, że jeżeli w jego okolicy zdarzyło się jakieś włamanie bez śladu wejścia, bez odcisków palców i innych tropów, lokalna policja natychmiast składała wizytę u Greville'a. Na stare lata Greville przeprowadził się do domu nad morzem, żeby tam żyć ze zgromadzonego dochodu i uprawiać ogród. I tu wyłania się następna historia, za której prawdziwość Hocking ręczy.

Kiedy z miejscowego muzeum zginęły wartościowe monety, Greville był pierwszym podejrzanym. Po kilku dniach policja dostała cynk, że widziano, jak Greville zakopywał coś w ogrodzie. W ciągu godziny zjawili się tam policjanci i zaczęli kopać; pracowali pięć dni, ale nic nie znaleźli.

Potem Greville napisał do komendanta posterunku list z podziękowaniem za trud, jaki jego ludzie włożyli w przekopanie ogrodu, a szczególnie za to, że zostawili po sobie idealny porządek.

2.30 po południu

Ostrzygł mnie doskonały fryzjer więzienny Gary (za połowę karty telefonicznej). Chcę się dobrze zaprezentować moim gościom w niedzielę.

3.00 po południu

Piątek jest dla każdego więźnia dniem zmiany pościeli i ubrania. Szpital ma osobny wyznaczony czas, gdyż co tydzień pobieramy dwadzieścia nowych ręczników, sześć prześcieradeł, dwanaście powłoczek na poduszki i różne urządzenia do sprzątania. Szef funkcyjnych Mark (rozbój z bronią w rękę, dziesięć lat), wybierając dla szpitala ręczniki lepszego gatunku, opowiada mi o więźniu, który przed chwilą przyszedł po tygodniową zmianę ubrania.

Więzień ten pracuje na farmie i przez cały tydzień nie zmienia ubrania, nawet kiedy kładzie się spać. Zajmuje sam dwuosobowy pokój, bo – niespodzianka! – nikt nie chce z nim mieszkać. Mark się zastanawia, czy robi to po to, żeby mieszkać w pojedynkę. Mnie trudno uwierzyć, by ktoś cierpiał taką niewygodę tylko dlatego, żeby być samemu.

Zanim spyacie, bo ja to zrobiłem, wyjaśniam: Służba Więzienna nie może go zmusić, żeby się umył albo ogolił. Byłoby to pogwałcenie praw człowieka.

Dzień 200

Niedziela, 3 lutego 2002

5.00 rano

Wczesnie wstaję i piszę przez dwie godziny.

2.00 po południu

Dzisiaj odwiedzają mnie mój syn Will i Chris Beetles. Will referuje mi stan przygotowań do odwołania od wyroku, niemal na ukończeniu, gdyż obydwie prace naukowe na temat krzywoprzysięstwa i utrudniania pracy wymiaru sprawiedliwości wykazują, że historycznie rzecz biorąc, dla osoby dotychczas niekaranej osiemnaście miesięcy stanowi wysoki minimalny okres odbywania kary. Chris opowiada mi wszystkie nowinki ze świata sztuki.

4.00 po południu

Na spotkaniu „Klubu Szpital” w niedzielne popołudnie David (oszustwo, kierownik szkoły) wyjawia, że Brian (farma strusi) i John (oszustwo) mają kłopoty.

Brian budzi się w środku nocy zlany potem, przerażony, że nie zdąży na sprawdzanie obecności o siódmej wieczorem, a John jest przygnębiony, bo nie może znaleźć pracy.

6.00 po południu

Po wyjściu członków klubu przygotowuję sobie kolację. Do dużej miski (prezent od Williama) wrzucam zawartość puszki z szynką Princes, dwa pudełka chrupek Walkersa i kostkę wołową, po czym zalewam to gorącą wodą. Co za połączenie! Jem i czytam *Street Drugs* Andrew Tylera, moją lekturę na ten tydzień.

Potrawa jest doskonała, książka przerażająca.

Dzień 201

Poniedziałek, 4 lutego 2002

9.00 rano

Młody chłopak z bloku północnego, któremu zostały do odsiedzenia jeszcze dwa tygodnie z trzymiesięcznego wyroku, został znaleziony w swoim pokoju z głową w pętli z prześcieradła zaczeponego o krawędź łóżka. Drobnej budowy więzień przypomina mi wyśmiewanego słabeusza z reklam Charlesa Atlasa, jakie widziałem, kiedy byłem dzieckiem. Niedoszłego samobójcę zabrano do szpitala na rozmowę za zamkniętymi drzwiami z Berlynem, doktorem Harrisem i siostrą oddziałową. Z pewnością strażnicy będą pełni przy nim „wartę samobójczą” o najwyższym stopniu czujności, czyli zaglądać do niego co pół godziny

Berlyn mówi mi, że w North Sea Camp nigdy nie było przypadku samobójstwa, bo jeżeli więzień jest aż tak zrozpaczony, to zwykle się oddala. Prawdziwy problem występuje natomiast w więzieniach zamkniętych, skąd nie można uciec. W zeszłym roku odnotowano w więzieniach siedemdziesiąt trzy samobójstwa, ale żadne nie zdarzyło się w zakładzie kategorii D.

Tuż po wyjściu Berlyna zjawia się facet, który się moczy w łóżku, z czarną torbą z dwoma następnymi prześcieradłami. Daję mu świeże. Wychodzi z miną nawet bardziej nieszczęśliwą niż niedoszły samobójca; człowiek nigdy by nie pomyślał, że to męskie więzienie.

2.00 po południu

Oglądam cztery nagrania na wideo na temat heroiny. Powoli zdobywam coraz więcej wiedzy o narkotykach dzięki czytaniu, filmom wideo i codziennej pracy w szpitalu, ale wciąż brak mi bezpośrednich doświadczeń. Wybieram się do Davida w biurze CARAT. Chętnie mi pozwoli na udział w jednej sesji terapeutycznej, pod warunkiem że zgodzą się inni uczestnicy, gdyż będę wśród nich jedynym, który nie jest i nie był narkomanem.

6.00 wieczorem

Biorę udział w sesji terapeutycznej. David pyta pięciu obecnych więźniów, czy nie mają nic przeciwko mojej obecności. Wszyscy wydają się zadowoleni, że zadałem sobie trud i przyszedłem.

David otwiera dyskusję pytaniem, czy uważają, że na wolności potrafią się oprzeć pokusie i nie wracać do narkotyków, szczególnie do heroiny. Jeden z uczestników stanowczo twierdzi, że nigdy nie tknie narkotyku. Relacje z tymi, których kocha, są zrujnowane i zastanawia się, czy ktoś go kiedyś zatrudni. Mówi grupie, że doszedł do tego, że mógł każdego okraść, łącznie z rodziną, by tylko mieć swój „strzał”, a tuż przed aresztowaniem potrzebował czterech, żeby zaspokoić swoje potrzeby.

Następny uczestnik opowiada, że gdy się budził, myślał tylko o tym, jak zdobyć pierwszą działkę. Kiedy wyzebrał, pożyczył albo ukradł 20 funtów, szedł na poszukiwanie handlarza narkotyków. Jak tylko dostał swoje pół grama heroiny, pędził z powrotem do domu i, często kiedy żona i dzieci były w sąsiednim pokoju, nasypywał proszek na łyżkę stołową, dodawał trochę wody i jakiegoś soku cytrusowego. Potem mieszał tę miksturę, aż otrzymywał gęsty brązowy płyn, który wylewał na kawałek folii aluminiowej i podgrzewał zapalką. Następnie wciągał to nosem przez słomkę. Jeden z obecnych przerywa mu i mówi, że on wolał palić. Jednak wszyscy się zgadzają, że największego kopa dostawało się po wstrzyknięciu heroiny. Facet ze Scarborough podciąga rękaw kurtki dżinsowej i nogawkę spodni i oznajmia:

– To jest trudne, kiedy już brak żył, w które można się wkuć.

Odzywa się jedyny więzień, który do tej pory nie powiedział słowa. Mówi, że pięć tygodni temu odstawił heroinę i wciąż nie może spać, a co gorsza, jego współlokator przez całą noc chrapie.

Wtrąca się handlarz narkotyków:

– Zaczнешz dobrze spać po mniej więcej ośmiu tygodniach i potem z każdym dniem będzie coraz lepiej, aż wrócisz do normalności.

Pytam, co przez to rozumie.

– Kiedy jesteś uzależniony od narkotyków, nie potrzebujesz działki, żeby się dobrze czuć, potrzebujesz jej po to, żeby normalnie funkcjonować. Kiedy stałeś się

ćpunem, między „strzałami” zaczynasz się trząść, a im gorzej się czujesz, tym bardziej pragniesz wrócić do normalności. I Jeff – dodaje – jeśli zamierzasz mówić o tym problemie w szkołach, powinieneś zacząć od jedenastolatków, bo dla czternastolatków jest już za późno. W Scarborough ładne, dobrze wychowane, kulturalne czternastoletnie dziewczyny wciąż do mnie przychodzą po swoją dzienną działkę.

Ostatni włącza się do dyskusji inny handlarz narkotyków, który twierdzi, że robi to tylko dlatego, że dzięki zyskom stać go na narkotyki dla siebie. Od ósmej rano do dziesiątej wieczór bez przerwy dzwonią na jego komórkę klienci z zamówieniami. Zapewnia mnie, że nigdy nie potrzebował nikogo nagabywać. Mówi, że przestał brać heroinę prawie siedem miesięcy temu i nigdy więcej nie będzie handlował narkotykami ani sam nie będzie ich używał. Zaczynam w to wątpić, kiedy dodaje, że jako handlarz może zarobić 1000 funtów dziennie. Zamyka sesję stwierdzeniem, które mnie zaskakuje – ale poza tym nikogo w tym pokoju:

– Prawie wszyscy moi przyjaciele albo siedzą w więzieniu, albo są martwi.
Ma trzydzieści jeden lat.

Dzień 202

Wtorek, 5 lutego 2002

7.00 rano

Odkładam pióro po dwu godzinach pisania i włączam program *Today*. W Anglii trwa strajk na kolei. W North Sea Camp nie ma stacji kolejowej.

9.00 rano

Dwóch więźniów, którzy uczestniczyli we wczorajszej sesji terapeutycznej, zarobiło „krechy”. Gdy tylko lekarz uzna ich za zdrowych, staną przed komisją orzekającą pod przewodnictwem naczelnika Leightona. W organizmie jednego z nich ostatni test narkotykowy wykrył obecność kanabinoli. Więzień mówi ze smutkiem, że pewno dziś po południu odstawią go do więzienia kategorii B. Teraz rozumiem, dlaczego prawie się nie odzywał na wczorajszym spotkaniu. Zresztą wygląda tak, jakby całą noc nie spał.

1.00 po południu

W gazetach pełno artykułów o proponowanych przez Davida Blunketta reformach więziennych, które wydają się po prostu zamierzeniami zdroworozsądkowymi. Osobom z wyrokiem nieprzewidującym kary więzienia, które popełniły pierwsze przestępstwo bez użycia przemocy, natychmiast ma być założony lokalizator, podczas weekendów podda się je nadzorowi i prawdopodobnie nakaże się im co wieczór zgłaszać się na policję. Tym, którzy popełnili drobne przestępstwa, od razu się założy lokalizator, z zakazem wychodzenia z domu między 7 wieczorem i 7 rano następnego dnia. W razie popełnienia drugiego przestępstwa pośle się ich do więzienia.

1 lutego w zakładach karnych znajdowało się 67 978 więźniów i przewiduje się, że po niedawnym oświadczeniu przewodniczącego Sądu Najwyższego o ulicznych rabusiach telefonów komórkowych będą one jeszcze bardziej przepełnione.

Dziś nadeszły z pocztą trzy kolejne manuskrypty z prośbami o krytykę. Jednemu z autorów odmówiły cztery wydawnictwa, drugi twierdzi, że żona, która jest jego najsurowszym krytykiem, uważa załączony utwór za znakomity, a trzeci chce zasięgnąć mojej rady o wydawcach publikujących książki na koszt autora³¹.

4.20 po południu

Jednym z dzisiaj przybyłych nowych więźniów jest T. Blair. Skazano go na pół roku więzienia za zakłócanie spokoju, ale liczy, że dostanie lokalizator i zostanie przedterminowo zwolniony po zaledwie ośmiu tygodniach. Wygląda na to, że inny T. Blair gotów jest odsiedzieć na swoim stanowisku co najmniej osiem lat.

4.37 po południu

Wciąż się zastanawiam, o co jeszcze więźniowie będą mieli czelność poprosić Lindę. Dziś jeden z nich zażądał butelki płynu po goleniu, bo ma problemy skórne. O mało nie wybuchnąłem śmiechem, ale Linda wręczyła mu butelkę, a on odszedł bez słowa.

– Dlaczego nie kupi sobie w kantynie? – zapytałem.

– Nie można kupić płynu po goleniu w kantynie – przypomina mi Linda. – Zawiera alkohol i paru więźniów chętnie by go piło.

– Ale właśnie dałaś...

– Bezalkoholowy płyn po goleniu, dostarczany specjalnie do szpitali więziennych. W dniu, kiedy więzień zostaje zwolniony – dodaje Linda – może żądać darmowej strzykawki, żeby sobie wstrzyknąć heroinę, oraz paczki

prezerwatyw.

Dzień 203

Środa, 6 lutego 2002

9.00 rano

Nie mogę uwierzyć, że niektórzy ludzie są tak głupi.

W poniedziałek byłem na sesji terapeutycznej dla narkomanów, podczas której jeden z uczestników oznajmił wszystkim obecnym, że rzucił narkotyki. We wtorek ten sam człowiek stanął przed naczelnikiem, gdyż nie przeszedł pomyślnie testu narkotykowego. Przedłużono mu karę o siedem dni; wtedy mi wyznał, jaki z niego szczęściarz, że go stąd nie odesłano. Wczoraj wieczorem zatrzymano go, kiedy wracał z Bostonu z plastikową torbą wypełnioną narkotykami, w tym kanabinolami i heroiną. Został zamknięty na całą noc w izolatce i dziś rano zostanie odesłany do więzienia kategorii B, poza tym będzie musiał odsiedzieć dodatkowo dwadzieścia jeden dni.

Jego głupota to nie jedyny element tego epizodu wart zastanowienia. Gdyby został złapany z tym towarem na wolności, zostałby skazany na co najmniej siedem lat pozbawienia wolności, ale ponieważ ma już czternastoletni wyrok, dołożą mu tylko dwadzieścia jeden dni. To jeszcze jeden wskaźnik problemu z narkotykami, przed jakim stoi ten kraj.

11.00 rano

„Peterborough” zamieściła o Mary wzmiankę, na którą natrafiła w internecie. Tak mnie ta wzmianka rozśmieszyła, że lepiej, abym ją przytoczył, zamiast się silić na streszczenie. (Zobacz niżej).

Ważna kobieta

Lady Archer nie straciła poczucia humoru. Pachnąca³² chemiczka właśnie zamieściła w biuletynie „Chemistry at Cambridge” „dane na temat niebezpiecznych substancji”.

„**Pierwiastek:** kobieta. **Symbol:** Ko. **Wynalazca:** Adam. **Masa atomowa:** przyjęto 55 kg, ale może się wahać między 45 a 225 kg. **Występuje:** w dużych ilościach na terenach miejskich, w śladowych w rejonach leżących na uboczu.

Właściwości fizyczne: wrze z lada powodu, lodowacieje bez wyraźnych przyczyn. Topnieje potraktowana specjalnie, gorzknieje użyta niewłaściwie. **Właściwości chemiczne:** upodobanie do złota, srebra, platyny i wszelkich kamieni szlachetnych. Najsilniejszy czynnik pieniężno-redukcyjny znany człowiekowi. **Ogólne zastosowanie:** wielce dekoracyjne, zwłaszcza w samochodach sportowych. Może być skutecznym środkiem czyszczącym. **Zagrożenie:** bardzo niebezpieczna w niedoświadczonych rękach. Posiadanie więcej niż jednej nielegalne, aczkolwiek można utrzymywać kilka okazów w różnych miejscach, dopóki nie wejdą ze sobą w bezpośredni kontakt”.

„Telegraph” opublikował wyniki badań na temat niedawnej wypowiedzi Blunketta, że więźniowie, którzy popełnili pierwsze przestępstwo bez użycia przemocy, powinni, jeżeli to możliwe, nadal pracować i meldować się w więzieniu wieczorami i podczas weekendów. 83 procent ankietowanych uważa, że „trzeba ich zamykać”, a tylko 12 procent jest zdania, że minister spraw wewnętrznych ma rację, proponując zmianę prawa w bardziej realistycznym kierunku. Muszę przyznać, że przedtem, zanim znalazłem się w więzieniu, byłbym wśród tych 83 procent.

7.00 wieczorem

Dzwonię do Mary, ale ledwie powiedziałem „halo”, wpada mi w słowo i oznajmia, że baronessa Nicholson w końcu wydała oświadczenie zawierające niechętne przeprosiny. (Zobacz niżej).

Baronessa Nicholson pragnie wyraźnie powiedzieć, że nigdy nie zamierzała sugerować, iż lord Archer osobiście sprzeniewierzył fundusze zgromadzone dzięki akcji Simple Truth. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby lord Archer mógł uzyskać dostęp do funduszy Brytyjskiego Czerwonego Krzyża. Jeżeli wyciągnięto wniosek, że oskarżała lorda Archera o kradzież pieniędzy Simple Truth z Brytyjskiego Czerwonego Krzyża, wyraża ubolewanie z powodu nieporozumienia oraz żal z powodu zmartwień, jakich to mogło przysporzyć rodzinie lorda Archera.

Dzień 206

Sobota, 9 lutego 2002

2.00 po południu

Dziś odwiedzają mnie Mary i James i nie jest to spotkanie towarzyskie. Mary nawet spisała tematy do omówienia. Uwielbiam ją.

Jeżeli chodzi o sprawy domowe, to kupiła nieduże wiktoriańskie lustro do holu i pyta, czy aprobuję tę decyzję. Potem mówi, że baronessa Nicholson napisała, iż pragnie zakończyć waśń, i dowodzi, że nie chciała, aby myślano, że sprzeniewierzyłem jakiegokolwiek fundusze. Dlaczego w takim razie znalazłem się w celi o wymiarach trzy kroki na pięć, zaplombowany przez czternaście godzin dziennie w Wayland³³, jeżeli policja nie zrozumiała jej mylnie?

Jeżeli zaś chodzi o stronniczość sędziego Potts'a, to dopiero się okaże, czy Godfrey Barker nadal będzie skłonny złożyć zeznanie jako świadek. Wiele razy mówił w obecności kilku osób, że sędzia Potts na proszonym obiedzie, na którym Godfrey był razem z żoną, przez dłuższy czas na mnie pomstował.

4.00 po południu

Kiedy mnie wezwano przez głośnik do rejestracji, przypuszczałem, że James zostawił coś dla mnie przy wyjściu. Spodziewałem się tuzina taśm *Prezydenckiego pokera*, które najpierw musiałyby trafić do biblioteki i dopiero stamtąd mógłbym je zabrać. Jednak okazuje się, że dostałem w prezencie osiem kaset, dwanaście płyt CD i trzy DVD, i to nie od Jamesa, ale od anonimowego ofiarodawcy, któremu nie mogę nawet podziękować.

Ktoś inny przysłał mi siedem kompletów znaczków pocztowych pierwszej klasy i paczkę kopert ze znaczkami, bo usłyszał, ile dziennie otrzymuję listów. Garley, dyżurny strażnik, tłumaczy, że nie mogę wziąć znaczków (można je zamienić na narkotyki), ale koperty ze znaczkami – tak (więzienna logika). Czy nie można stosować jednej zasady we wszystkich więzieniach? W Belmarsh, więzieniu kategorii A, znaczki są dozwolone. Nie komentuję. To nie jest wina Garleya i nic na to nie może poradzić.

Dzień 207

Niedziela, 10 lutego 2002

7.21 rano

Gail jest rozeźlona. Niedawno kupiła szykownego, nowego ciemnozielonego peugeota, którego parkuje przed szpitalem. Wczoraj jakiś więzień wsadził do

zamka samochodu zapalki i kiedy próbowała otworzyć drzwi, wepchnęła je głębiej i zablokowała zamek.

4.00 po południu

Spotkanie „Klubu Szpital” przy herbacie i ciasteczkach. Jeden z nowych członków, który był u nas tylko miesiąc, jutro wychodzi na wolność. Został oskarżony o napaść na drodze i skazany na trzy miesiące. W więzieniu spędził sześć tygodni. Obserwowałem go uważnie podczas naszych spotkań i widziałem, jak załatwia swoje sprawy w więzieniu. Jest wykształcony, dobrze wychowany i wygląda, jakby muchy nie potrafił skrzywdzić.

Mówi grupie, że zatrzymał samochód, żeby przyjść z pomocą kobiecie, która została zaatakowana, ale za swoją fatygę został powalony na ziemię przez napastnika, jak się okazało, przyjaciele tej kobiety, po czym tamci oboje odjechali. Wrócił do domu, ale został później aresztowany za napaść na drodze, gdyż kobieta zeznała, że to on ją zaatakował. Gdyby pierwszy poszedł na posterunek policji i zgłosił, że go napadnięto, teraz w więzieniu siedziałby tamten mężczyzna, a nie on. Stracił pracę w firmie farmaceutycznej, z którą był związany przez dwadzieścia jeden lat, i martwi się, czy teraz, z przeszłością kryminalną, dostanie nową. Żona przy nim trwa i liczy na to, że jakaś firma konkurencyjna zechce skorzystać z jego umiejętności³⁴. To prowadzi mnie do tematu żon.

Żony dwóch, z siedmiu żonatych członków klubu dziś obecnych, musiały sprzedać domy i przenieść się do mniejszych w innych miejscowościach, żony następnych dwóch podjęły pełnoetatową pracę, wychowując zarazem dzieci (troje w pierwszym przypadku, dwoje w drugim), pozostałe dwie złożyły pozwy rozwodowe. Ja jestem siódmy.

Nie usprawiedliwiam popełnionych przestępstw, ale uważam, że należy powtarzać, iż żony często cierpią jeszcze bardziej niż mężowie – dla nich nie ma programu resocjalizacji.

Dzień 209

Wtorek, 12 lutego 2002

9.00 rano

Dziś rano mamy komplet pacjentów: trzech, którzy wychodzą na wolność, dwóch zwolnionych czasowo na tydzień i jedenastu z urojonymi albo prawdziwymi

dolegliwościami. Doktor Allwood, który jest lekarzem skrupulatnym i wnikliwym, nigdy się nie śpieszy. Po upływie czterdziestu minut jeden z więźniów w poczekalni zaczyna się niecierpliwie i głośno się skarżyć. Gail wybiega z gabinetu i mówi więźniowi, że w zeszłym tygodniu jej mąż odwiedził swojego lekarza rodzinnego i musiał siedzieć w poczekalni około trzech godzin, a przedtem czekał tydzień na wizytę. Więzień coś odburkuje pod nosem.

Chris, dożywotniak (zamordował żonę), podwija rękaw i pokazuje mi bladą bliznę na wewnętrznej stronie ramienia.

– Ja to zrobiłem – powiada i pokazuje rękę marudzającemu więźniowi, który robi zdziwioną minę. – Tak – ciągnie – w środku nocy dźgnął mnie nożem kumpel z celi i jak nacisnąłem dzwonek alarmowy, żaden klawisz nie przybiegł na pomoc, bo byłem na najwyższym piętrze. – Cała poczekalnia wpatruje się w Chrisa. – Żaden doktor w Gartree mi nie pomógł, no to sam zszylem ranę, no nie?

Patrzę z niedowierzaniem na bliznę Chrisa, ale Gail potwierdza, że widziała sporo takich amatorskich szwów w ciągu lat.

– Igła z nitką – to wszystko, czego potrzebowałem – dorzuca Chris.

10.40 rano

Berlyn przychodzi do szpitala i mówi, że chce ze mną pilnie zamienić kilka słów. Idziemy na oddział. Berlyn porozumiał się z funkcjonariuszem zakładu karnego Stocken nazwiskiem Le Sage, który regularnie odwiedza szkoły w hrabstwie East Anglia i opowiada uczniom o problemach młodych ludzi, którzy biorą narkotyki i trafiają do więzień. Berlyn zaproponował funkcjonariuszowi, żebym mu towarzyszył w objeździe szkół, i ma dla mnie dobrą nowinę: Le Sage rozgląda się za nowym więźniem do pomocy i zgodził się przyjechać w przyszły poniedziałek do North Sea Camp, żeby porozmawiać o naszej współpracy. To najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem, odkąd przyjęto mnie do pracy w szpitalu.

Wyrwać się z North Sea Camp, odwiedzać szkoły i mieć poczucie, że robię coś pożytecznego – oto następny etap tej szczególnej podróży. Dziękuję Berlynowi, bo znów mogę na coś czekać. Do następnego poniedziałku.

3.00 po południu

Dziś jest tylko dwóch nowych przybyszy, ponieważ więzienie jest wypełnione. Spoglądam na tabliczkę i odnotowuję, że jeden z nich zwie się Blackburn. Już mamy jednego Blackburna, mówię młodemu człowiekowi, siedzącemu przede mną.

– Tak, to mój tata – powiada. – Mój współoskarżony – Czuję, że kryje się w tym opowieść. – Nigdy byś nie uwierzył, cośmy wykręcili, Jeff. – dodaje.

Milczę. – Złapali nas, jak kradliśmy czekoladę Lion, i wlepili nam po trzy i pół roku.

– Chyba trochę przesadzili – odzywam się głupio.

– No cóż, Jeff, myśmy zasunęli czterdzieści sześć ton towaru, wartego prawie dwieście patyków.

– Ale jak można upłynnić tabliczki czekolady?

– Już mieliśmy kupca – mówi ze śmiechem.

– Ile dawał?

– Czterdzieści patyków.

– I jak was złapali?

– Ano zakapował nas jeden z naszych, wartownik.

– Dlaczego?

– Miał sprawę w sądzie za drobne włamanie i dogadał się z tymi skurwielami.

– Wykręcił się?

– Tak, odstąpili od oskarżenia, ale dwa miesiące później dorwali go za coś innego i zapuszkowali w Scrubs... razem z moim tatą!

4.07 po południu

Zagląda Hocking. Mówi, że się cieszy, że będę pomagał funkcjonariuszowi więziennemu w rozmowach z młodzieżą o narkotykach. Hocking już poinformował naczelnika, iż nie ma obawy, że ucieknę. Jest ze mną ledwie dwie minuty, a już go wzywają przez interkom, żeby natychmiast zgłosił się do biura ochrony.

– Znowu kabluje – to jedyne słowa, jakie wyraźnie słyszę.

Robię pytającą minę.

– Mamy seryjnego informatora – tłumaczy Hocking. – Pisze co dzień i donosi, kto jest dilerem narkotyków i gdzie znajdziemy następną dostawę. Jak na razie idealnie trafia.

– Czy wiecie, kto to jest? – pytam.

– Nie mamy pojęcia i nie chcemy wiedzieć – odpowiada. – Mogę tylko stwierdzić, że charakter pisma jest cały czas taki sam.

Dzień 210

Środa, 13 lutego 2002

5.43 rano

Tej nocy śnił mi się wspaniały gość, John Bromley – Brommers dla przyjaciół – który kilka dni temu zmarł na raka. Miałem zaszczyt z nim pracować – nie pracowało się bowiem dla Johna, choć był głównym szefem działu sportowego w Independent Television. Miał zadziwiający dar, który sprawiał, że nawet kobieta roznosząca herbatę czuła się częścią zespołu. Jeżeli ktoś był obdarzony poczuciem humoru, kochał sport, dobre wino i piękne kobiety, to nie mógłby znaleźć lepszego kompana. Przewiduję, że na nabożeństwie żałobnym w intencji Johna Bromleya stawią się takie tłumy, jakie bywają na uroczystościach poświęconych premierom. Chciałbym wyjść w porę na wolność, żeby w nim uczestniczyć.

9.30 rano

Piękna czarna labradorka Bessie wolno wchodzi do szpitala w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy z oddziału antynarkotykowego. Każą mi czekać na korytarzu, tymczasem Bessie zabiera się do roboty. Przez zamknięte drzwi słyszę jej stąpanie; obwąchuje moje rzeczy osobiste. Gdyby Bessie umiała czytać, znalazłaby kilka książek, broszurek i prac na temat narkotyków, ale dopóki ribena, bovril i evian nie są przedmiotem testu narkotykowego – niewiele więcej.

Więźniowie czekający na korytarzu na przyjęcie u doktora nie kryją zdziwienia. Po kilku chwilach drzwi się otwierają, pokazuje się Bessie i mija mnie obojętnie – dobry znak, bo jeżeli zaczyna cię obwąchiwać – kłopoty gotowe. A jeżeli cię polize – spodziewaj się, że postawią ci zarzut. Powinienem się cieszyć, ale kiedy wracam na oddział, widzę pełno śladów łap Bessie, a dopiero wczoraj wyszorowałem podłogę.

11.00 rano

Hocking wyjaśnia, że to przeszukanie miało swój cel. Zamierzają zrobić wielki nalot, bo dostali kolejny cynk, i chodziło o to, żeby inni więźniowie widzieli, że mnie rewizja nie minie. Teraz wszyscy w więzieniu już to wiedzą i niektórzy mogą nawet sobie wyobrazić, że zostaną stąd odesłani gdzie indziej. Podejrzewam, że prawdziwa rewizja zostanie przeprowadzona dziś po południu.

3.00 po południu

Odviszają mnie moi prawnicy Tony Morton-Hooper i lord Mishcon, który ma osiemdziesiąt cztery lata – to uprzejme, że podjął trud siedmiogodzinnej podróży. Spędzamy następne dwie godziny na przygotowaniach do niedalekiej rozprawy apelacyjnej, aczkolwiek data jeszcze nie jest ustalona.

6.00 wieczorem

Doug mówi mi, że będziemy mieć nowego głównego naczelnika nazwiskiem Beaumont. Był naczelnikiem więzienia w Leicester, więc wielu więźniów będzie mogło nam coś o nim powiedzieć.

Dzień 212

Piątek, 15 lutego 2002

5.23 rano

Właśnie wpadłem na to, dlaczego co rano na czele kolejki po lekarstwa stoi zawsze tych samych pięciu więźniów. Linda jako siostra oddziałowa wydziela im tylko dzienną dawkę leków, podczas gdy w przychodni „na wywczasie” przepisywałaby im ilość wystarczającą na tydzień, a w pewnych wypadkach nawet na miesiąc. Możecie spytać dlaczego.

a) Gdyby więzień dostał leki na cały miesiąc, mógłby zażyć wszystkie od razu.

b) Mógłby wymienić swoje leki na inne specyfiki³⁵.

c) Mogłyby zginąć albo zostać skradzione.

W rezultacie każdego ranka ustawia się długa kolejka po leki na jeden dzień i nazajutrz wszyscy chętni pojawiają się znów.

7.30 rano

Za przyczyną Beaumonta, nowego naczelnika, w więzieniu trwa gorączkowa praca. Zażądał, żeby odmalowano mu gabinet i zmieniono wszystkie meble, i to zanim wróci jutro z wizyty w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

8.30 rano

Do szpitala wkracza Vessey, funkcjonariusz z oddziału ochrony. Jego pojawienie się zwykle oznacza, że więzień stanie do raportu za jakieś wykroczenie. Nie przypominam sobie, żebym ostatnio popełnił jakiś zabroniony czyn, oprócz tego że mam butelkę ribeny (przeszmuglowaną przez Douga). Vessey, który nigdy nie okazuje cienia życzliwości, poleca, żebym mu towarzyszył, i z wyraźną

przyjemnością wyprowadza mnie ze szpitala, a potem eskortuje przez cały teren więzienia. Kilku więźniów przygląda się z niedowierzaniem. Na koniec Vessey oznajmia, że zostałem wytypowany na wyrywkowy test narkotykowy.

Wprowadza mnie do baraku, gdzie zostaję zamknięty w jednym pomieszczeniu z pięcioma więźniami. Trzech jest odprężonych i swobodnie gawędzi, dwaj pozostali zaś są milczący, kręcą się i wyglądają na mocno zdenerwowanych. Po kilku minutach słyszę zgrzyt klucza przekręcanego w zamku i dołącza do nas inny funkcjonariusz.

Czterech z nas wytypował komputer, natomiast tamtych dwóch wezwano z racji „uzasadnionych podejrzeń”. Niechybnie seryjny donosiciel podał ich nazwiska. Funkcjonariusz odczytuje tekst upoważniający go do przeprowadzenia testu, po czym pyta, kto chce być pierwszy.

Podnoszę się z miejsca i udaję się za nim do sąsiedniego pomieszczenia. Tam zostaje mi przedstawiona procedura (zobacz poniżej), po czym podpisuję formularz, wyrażając zgodę na test. Teraz każą mi się rozebrać i włożyć szlafrok. Vessey podaje mi plastikowy pojemnik i poleca, żebym przeszedł do pobliskiej ubikacji i napełnił naczynie co najmniej 60 mililitrami moczu. Co uczyniwszy, oddaję pojemnik Vesseyowi, który na moich oczach otwiera dwie plastikowe próbówki i każdą napełnia do połowy. Na obu wypisuję swoje inicjały, po czym Vessey zamyka próbówki i wkłada je do plastikowej torebki, którą pieczętuje. Następnie umieszcza torebkę w lodówce. Zwraca mi uwagę, że na torebce nie ma mojego nazwiska, tylko numer: FF8282.

MANDATORY DRUG TEST AUTHORISATION FORM

Prisoner Name: ALCHER

Number: FF 8282

Test Reference Number:

NS 33/01

For allocation when sample is collected

1. The governor has authorised that in accordance with Section 16A of the Prison Act 1952 any prisoner may be required by a prison officer to provide a sample of urine for the purposes of testing for the presence of a controlled drug.
2. You are now required under the terms of Section 16A to provide a fresh and unadulterated sample of urine for testing for the presence of controlled drugs.
3. Authority for this requirement was given by: Governor
4. Reason for requirement: (only one box to be ticked)
 - Random test:** You have been selected for this test on a strictly random basis.
 - Reasonable suspicion:** You have been selected for this test because staff have reason to believe that you have misused drugs. This test has been approved by a senior manager.
 - Risk assessment:** You have been selected for this test because you are being considered for a privilege, or a job, where a high degree of trust is to be given to you.
 - Frequent test programme:** You have been selected for more frequent testing because of your previous history of drug misuse.
 - On reception:** You have been selected for testing on reception on a random basis.
5. The procedures used during the collection and testing of the sample have been designed to protect you and to ensure that there are no mistakes in the handling of your sample. At the end of the collection procedure you will be asked to sign a statement confirming that the urine sealed in the sample bottles for testing is fresh and your own.
6. Your sample will be split at the point of collection into separate containers which will be sealed in your presence. In the event of you disputing any positive test result, one of these containers will be available, for a period of up to 12 months, for you to arrange, if you so wish, for an independent analysis to be undertaken at your own expense.
7. You will be liable to be placed on report if you:
 - (a) provide a positive sample;
 - (b) refuse to provide a sample; or,
 - (c) fail to provide a sample after 4 hours of the order to do so (or after 5 hours if the officer believes that you are experiencing real difficulty in providing a sample).

Consent to Medical disclosure

* (i) During the past 30 days I have not used any medication issued to me by Health Care.

Signature of Prisoner : J. H. Alcher

Date: 15.2.02

PRISON SERVICE CHAIN OF CUSTODY PROCEDURE

Prisoner Name: ARCHER Number: FF8282

RANDOM TESTING PROGRAMME

This form is to be used only for tests conducted as part of the MDT random programme (i.e. where prisoners have been selected by the LIDS computer)

Test Reference Number: NS33/01

Checklist for sample collection - tick boxes as you proceed. Refer to guidance notes if in doubt.

- 1 Only One sample collection kit present.
- 2 Check identity of prisoner. Complete details above and in sample collection register.
- 3 Carry out search and handwashing procedures. (No soap).
- 4 Show the prisoner that the collection cup and bottles are empty.
- 5 Ask prisoner to provide enough urine to be split **equally** between the two sample bottles.
- 6 Take temperature using the temperature strip. If temperature is out of range (32-38C) (90-100F), make note in comment section and refer to guidance notes.
- 7 Watched by prisoner, transfer urine **equally** between the two bottles. Fill each above 15ml line and below 30ml line. Press caps on securely.
- 8 Ask prisoner to initial and date both bottle seals.
- 9 Watched by prisoner, place a seal over each bottle cap.
- 10 Dispose of any surplus urine and the cup.
- 11 Pack two bottles in mailing container and then in chain of custody bag - **Do not seal bag.**
- 12 Watched by prisoner, fix barcode labels and enter test reference number on all copies of this form.
- 13 Ask the prisoner to sign and date the Prisoner's Declaration below.
- 14 Complete Chain of Custody Report, tear off and place in chain of custody bag facing outwards.
- 15 Seal bag, ask prisoner to initial bag where indicated.
- 16 Place sealed bag in secure refrigerator until ready for despatch to laboratory.
- 17 Allow prisoner to leave.

Prisoner Declaration

I confirm that

- (i) I understand why I was required to provide the sample and what may happen if I fail to comply with this requirement;
- (ii) the urine sample I have given was my own and freshly provided;
- (iii) the sample was divided into two bottles and sealed in my presence with seals initialled and dated by me;
- (iv) the seals used on these bottles carry a barcode identical to the barcode attached to this form.

Signature of prisoner Jeff Archer

Date 15.2.02

Zakończywszy całą operację, podpisuję następny formularz (zobacz powyżej), żeby potwierdzić, iż jestem zadowolony ze sposobu przeprowadzenia testu, i potem mogę wrócić do szpitala.

Mimo że to upokarzające doświadczenie, zdecydowanie je aprobuję. Nigdy się nie zbliżyłem do Vessey'a, ale to zawodowiec, który nie umie ukryć pogardy wobec tych, co mają do czynienia z narkotykami, a zwłaszcza dla tych, którzy nimi handlują.

9.00 rano

Dziś rano jeden z więźniów został oskarżony przed naczelnikiem o nielegalne posiadanie marihuany – ale to nietypowa sytuacja. Kiedy strażnicy wpadli do jego pokoju, usiłował połknąć plastikową torebkę. Przewrócili go na

ziemię i wyciągnęli mu z ust dowód przestępstwa. Gdyby ją połknął, nie mogliby mu postawić zarzutu. W szpitalu dajemy pacjentom takie torebki, mieści się w nich sześć tabletek paracetamolu. W tej znajdowała się uncja marihuany i w rezultacie dołożono więźniowi siedem dni do wyroku.

3.00 po południu

W szpitalu zjawia się Hocking z wielką aktówką i znika w biurze Lindy. Kilka minut później oboje wychodzą i zacierają do mnie na oddział. Hocking kładzie dużą plastikową aktówkę na łóżku szpitalnym i otwiera ją – wewnątrz znajduje się zestaw narkotyków, dwadzieścia jeden kwadratowych plastikowych pojemniczków, zagłębionych w gumie piankowej, zawierających wiele różnych narkotyków, które są obecnie w sprzedaży. Pierwszy raz na własne oczy widzę heroinę, crack, tabletki ecstasy, amfetaminę i marihuanę we wszelkich postaciach.

Linda i Hocking wygłaszają wprowadzający wykład, taki jak każdemu funkcjonariuszowi więziennemu, o tym, jak rozpoznawać różne narkotyki, i o sposobach ich używania. Widać, że Berlyn i więzienny oddział ochrony chcą, żebym był odpowiednio przygotowany, zanim dostanę pozwolenie towarzyszenia Le Sage'owi w objeździe szkół.

To fascynujące w moim wieku (mam sześćdziesiąt jeden lat) zgłębiać nowy przedmiot, jakbym był studentem pierwszego roku.

5.00 po południu

Nowy naczelnik, Beaumont, robi obchód więzienia i spędza siedem minut w szpitalu – przelotna wizyta. Słyszał, że szpital jest sprawnie kierowany przez Lindę i Gail, i daje im odczuć, że jeśli tak pozostanie, nie będzie się wtrącał.

Dzień 214

Niedziela, 17 lutego 2002

6.01 rano

Gdybym dostał taki sam wyrok jak Jonathan Aitken, dziś byłbym wolny. Jonathana skazano na osiemnaście miesięcy, a ponieważ był wzorowym więźniem, odsiedział tylko siedem (połowa kary minus dwa miesiące zwolnienia z lokalizatorem). Nie wrócę jutro do żony i rodziny, ponieważ sędzia Potts skazał

mnie na cztery lata więzienia. Za to spotkam się z Markiem Le Sage'em, funkcjonariuszem więzienia Stocken, który odwiedza szkoły w Lincolnshire, ostrzegając dzieci przed konsekwencjami przyjmowania narkotyków.

Pozostanę w North Sea Camp aż do chwili, kiedy się dowiem, jaki jest wynik mojego odwołania, ale pierwszy raz od siedmiu miesięcy (od pogrzebu mojej matki) będę mógł opuścić więzienie i wrócić do wolnego świata.

Dzień 215

Poniedziałek, 18 lutego 2002

10.00 rano

Le Sage nie przyjechał na spotkanie.

Naczelnik Stocken uznał, że więzienie nie będzie ponosić kosztów moich wizyt w szkołach u boku Le Sage'a, gdyż nie byłaby to działalność społeczna, jaką zwykle prowadzi Le Sage w godzinach wolnych od pracy.

I jak to często bywa w więzieniach, ktoś raczej szuka powodu, żeby czegoś nie robić, zamiast zrealizować dobry pomysł. Nie udaję, że tak przywykłem do tej negatywnej postawy, iż nie jestem rozczarowany. Berlyn też nie kryje gniewu i wydaje się, że nie chce pozwolić, aby mu pokrzyżowano plany. Postanowił, że North Sea Camp wyśle swojego funkcjonariusza (Hockinga) jako moją eskortę, żebym jednak mógł być obecny na wykładach Marka Le Sage'a. Ponieważ nie wiem, czy ta propozycja nie zostanie odrzucona przez naczelnika Stocken, dalej będę pełnił funkcję sanitariusza w szpitalu.

11.30 rano

Alan Purser, więzienny doradca do spraw narkomanii, przyszedł do szpitala i przyniósł mi książeczkę doktor Celi Grummitt pod tytułem *Jak sobie radzić z narkomanią w więzieniach*. To będzie moja nowa lektura do poduszki.

4.00 po południu

Funkcjonariusz Vessey oskarżył Chrisa (dożywocie, morderstwo) i Davida (dożywocie, morderstwo) o przywłaszczenie sobie czterech ziemniaków i kapusty na farmie. W zwykłych okolicznościach nie wzbudziłoby to specjalnego zainteresowania nawet w naszym małym światku. Ponieważ jednak będzie to

pierwsze orzeczenie nowego naczelnika, oczekujemy go z zapartym tchem.

Dzień 216

Wtorek, 19 lutego 2002

10.00 rano

Naczelnik Beaumont oddalił zarzuty przeciwko Chrisowi i Davidowi, gdyż zgłosił się pracownik farmy i powiedział, że pozwolił im wziąć ziemniaki i kapustę.

2.07 po południu

W ramach moich przygotowań do rozmów z dziećmi o niebezpieczeństwach i konsekwencjach używania narkotyków odwiedza mnie funkcjonariuszka z wydziału do spraw narkotyków policji Lincolnshire. Nazywa się Karen Brooks. Jest atrakcyjną trzydziestopięcioletnią blondynką, samotną matką dwójki dzieci. Wspominam o tym tylko dlatego, aby pokazać, że jest normalna. Karen pracuje w policji od czternastu lat, w tym dwa i pół roku w wydziale narkotykowym, gdzie ją przydzielono na cztery lata; nie przypomina telewizyjnego wizerunku policjanta od narkotyków.

Udziela mi lekcji trwającej ponad godzinę i może najbardziej przerażająca jej odpowiedź na moje niekończące się pytania – a Karen jest brutalnie szczera – brzmi, że poprosiła o przeniesienie do innego wydziału, bo nie jest w stanie dłużej znieść codziennego napięcia wiążącego się z pracą z narkomanami.

Karen przyznaje, że choć lubi swoją pracę, to żałuje, że w ogóle się zgłosiła do wydziału do spraw narkotyków, gdyż do końca życia nie pozbędzie się urazu psychicznego.

Jej dwunastoletni syn jest uczniem jednej z najlepszych szkół w Lincolnshire i już czternastoletni kolega proponował mu narkotyki. To nie jakaś poślednia szkółka na londyńskim East Endzie, ale pierwszorzędna szkoła w Lincolnshire.

Następnie Karen opowiada historię, przy której niemal płacze. Kiedyś aresztowała dwunastoletnią dziewczynkę, pochodzącą z rodziny wykształconych ludzi z klasy średniej, za kradzież skarpetek w sklepie Woolwortha. Rodzice dziewczynki byli zaszokowani i zapewnili Karen, że to się więcej nie powtórzy. Dwa lata później dziewczynka została aresztowana za kradzież w sklepie z bielizną i oddana pod nadzór sądowy. Kiedy się spotkały następnym razem, dziewczynka

miała siedemnaście lat, a wyglądała na czterdzieści. Trzy lata eksperymentowania z marihuaną, kokainą, ecstazy i heroiną oraz związek z dwudziestoletnim handlarzem narkotyków wycisnęły na niej swoje piętno. Dziewczyna umarła miesiąc temu w wieku osiemnastu lat. Handlarz żyje – i wciąż handluje.

Kiedy Karen się podnosi, żeby iść, pytam ją, ile osób pracuje w wydziale do spraw narkotyków.

– Pięć – odpowiada – co oznacza, że tylko dziesięć procent naszego czasu wykorzystywane jest na działania profilaktyczne, reszta na działania wśród osób już uzależnionych.

Mówi, że odwiedzi mnie znowu za dwa tygodnie.

Dzień 228

Niedziela, 3 marca 2002

6.30 rano

Wczoraj przeczytałem broszurkę Celi Grummitt o narkomanii w więzieniach i następujące fakty są godne zacytowania:

a) Siedem milionów ludzi w Wielkiej Brytanii regularnie zażywa narkotyki (nie obejmuje to alkoholu ani papierosów).

b) Szesnaście milionów ludzi w Wielkiej Brytanii pali papierosy.

c) Problemy związane z przyjmowaniem narkotyków kosztują obecnie państwową służbę zdrowia, policję, Służbę Więzienną, opiekę społeczną, dozór kuratorski i sądy – kraj – osiemnaście miliardów funtów rocznie.

d) Gdyby w Wielkiej Brytanii nie istniał problem narkotyków, a przez to rozumiem używanie narkotyków klasy A, jak heroina i kokaina w postaci cracku, moglibyśmy zamknąć 25 procent naszych więzień i nie byłoby listy oczekujących w lecznictwie publicznym.

e) W 1975 roku mniej niż 10 000 ludzi sięgało po heroinę. Dzisiaj jest ich 220 000 i ci z was, którzy nigdy nie musieli bać się o swoje dzieci, niech pomyślą o wnukach.

Dzień 231

Środa, 6 marca 2002

10.00 rano

Odwiedza mnie Mark Le Sage, młody funkcjonariusz z więzienia Stocken. W więziennictwie pracuje dwanaście lat i w ciągu ostatnich ośmiu poświęcił wiele czasu, odwiedzając ochotniczo szkoły w rejonie Norfolk.

Dołącza do nas Berlyn, gdyż to był jego pomysł, żebym wysłuchał kilku pogadanek Marka w szkołach, zanim sam się tego podejmę. Ponieważ jeszcze nie osiągnąłem formalnie możliwego terminu zwolnienia warunkowego, musi mi towarzyszyć Hocking, który zgadza się wykonywać to zadanie w wolnym czasie, gdyż North Sea Camp nie ma funduszy na ekstrawydutki (czternaście funtów za godzinę). Berlyn mówi, że napisze dzisiaj do naczelnika więzienia Stocken, gdyż jest on zwierzchnikiem Le Sage'a.

11.00 rano

Kwiatek (Rom) jest dziś w Wysokim Trybunale, który rozpatruje jego odwołanie. Obecnie odsiadyuje wyrok pięciu i pół roku więzienia za kradzież samochodów i przyczep kempingowych. Zapuścił jeszcze dłuższą brodę i liczy na to, że sędzia weźmie go za starszego, niż jest w rzeczywistości, i skróci mu wyrok. Zamierza ją zgolić, jak tylko wróci.

6.00 wieczorem

Kwiatek wrócił i oznajmia, że zmniejszono mu wyrok o cały rok. Broda nie miała żadnego znaczenia, gdyż stał przed sądem tylko kilka minut i sędzia ledwie na niego spojrział. Widać przeczytał wszystkie dokumenty na długo przedtem, nim zobaczył Kwiatka.

7.00 wieczorem

Kwiatek już zdążył zgolić brodę.

Jeszcze jedna ciekawa informacja, którą przyniósł z sądu: trzem handlarzom kanabinoli skrócono wyroki z siedmiu lat do trzech i pół roku.

Czy to oznaka nadchodzących zmian?

Dzień 234

Sobota, 9 marca 2002

8.00 rano

Przychodzi Kwiatek, żeby się zobaczyć z siostrą oddziałową. Jest w strasznym stanie. Żona mu napisała, że ich najstarszy syn (ma dwadzieścia dziewięć lat) bierze heroinę. Kwiatek prosi, żebym mu wypełnił wniosek o urlop okolicznościowy. Oznajmia, że zdobył już kajdanki i zamierza przykuć chłopaka do rury wodociągowej – nie uwolni go, dopóki ten nie porzuci narkotyku. Mówi to serio.

Linda odpowiada stanowczo, że to plan nie tylko niezgodny z prawem i niepraktyczny, ale również nieskuteczny.

6.00 wieczorem

Kwiatek dostał dwa dni urlopu okolicznościowego. Ten człowiek w dziwny sposób godzi wysokie wartości moralne z przestępczym życiem. Nie ma oporów przed kradzieżą przyczep i samochodów, co zaprowadziło kilka osób z jego rodziny za kratki, ale czuje się zdruzgotany, kiedy się dowiaduje, że jego syn jest heroinistą. Jest żonaty od trzydziestu sześciu lat, ma jedenaścioro dzieci i bez liku wnucząt, lecz do tej pory nikt z jego potomków nie brał narkotyków.

Dzień 235

Niedziela, 10 marca 2002

2.00 po południu

Moimi dzisiejszymi gośćmi są Ed Streator, były amerykański minister pełnomocny na dworze Świętego Jakuba, później ambasador amerykański w NATO, oraz członek parlamentu Quentin Davies, obecnie sekretarz stanu do spraw Irlandii Północnej w gabinecie cieni. Półtorej godziny mija błyskawicznie, ponieważ obaj panowie mają mi tak dużo do powiedzenia o tym, co się dzieje tam, gdzie wszyscy jesteście.

Zapomniałem, że Quentin był sekretarzem parlamentarnym Kennetha Bakera, kiedy ten zajmował stanowisko ministra spraw wewnętrznych. W tym czasie wyrobił sobie zdecydowane poglądy o potrzebie reformy naszego systemu karnego, zapoznawszy się z problemem narkomanii zarówno w więzieniach, jak

i poza nimi. Mówi o tych problemach z ożywczą szczerością.

Ed dzieli się poglądami z drugiej strony Atlantyku i kiedy rozmawiamy o paleniu konopi indyjskich, przypomina mi, że ostatnio w Kalifornii wprowadzono prawo zabraniające sprzedawania osobom poniżej dwudziestego pierwszego roku życia tytoniu, nie mówiąc o kanabinolach. Właściwie, dodaje, w Kalifornii palenie papierosów nigdzie nie jest dozwolone, z wyjątkiem własnego domu. Quentin mówi, że gdyby tytoń wynaleziono obecnie, papierosy byłyby zabronione – za posiadanie groziłaby kara dwóch lat, a za sprzedaż pięciu lat pozbawienia wolności.

4.00 po południu

Stephen to najnowszy członek „Klubu Szpital” (niedziele, między 4 a 6 po południu). Obecnie odsiadyuje dwuletni wyrok za kradzież, utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości i fałszywe księgowanie. Ale są tu pewne niespodzianki.

Stephen to były kapitan w szefostwie administracji wojskowej i po skazaniu przez sąd wojskowy został wysłany do więzienia w Colchester (zakład wojskowy), gdzie przebywał przez pierwszy miesiąc. Ponieważ jednak miał wyrok dłuższy niż dwadzieścia osiem dni, automatycznie przeniesiono go do tutejszego więzienia do końca kary.

I teraz druga niespodzianka. Europejski Trybunał Sprawiedliwości niedawno uznał system dyscyplinarny sił zbrojnych za nieważny i orzekł, że wszyscy więźniowie odsiadujący wyroki wydane przez sądy wojskowe powinni zostać zwolnieni.

Nie dość, że Stephen może wyjść na wolność, ale będzie jeszcze miał prawo do 60 000 funtów odszkodowania oraz do przywrócenia mu stopnia kapitana. Nasi władcy w Hadze postanowili, że nie powinien być aresztowany, oskarżony, osądzony i skazany przez równych sobie.

Stephen mówi mi, że obecnie w więzieniach brytyjskich jest 600 takich więźniów i że ma nadzieję poznać rezultat orzeczenia trybunału w najbliższych tygodniach.

Ostatnia niespodzianka: tuż przed aresztowaniem Stephen dostał list od swojego przełożonego, że rozważa się jego awans na majora.

Dzień 236

Poniedziałek, 11 marca 2002

9.00 rano

Do gabinetu przyjąć wchodzi człowiek, którym gardzę.

Kierowcy jeżdżący po pijanemu to codzienność w North Sea Camp. Z 220 obecnych więźniów mniej więcej 20 procent stanowią skazani za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym.

Tony jest tuż po pięćdziesiątce i ma pięcioro dzieci, które spłodził z czterema kobietami. Obecnie mieszka z jeszcze inną kobietą w przyczepie na kempingu w Scunthorpe. Ostatnio, kiedy go oskarżono o jazdę mimo zakazu prowadzenia samochodu i bez ubezpieczenia, przyznał się do winy (niewątpliwie najwyższy czas, żeby wszyscy kierowcy wystawiali w samochodzie – jak we Francji – dokument opłaconego podatku drogowego oraz ubezpieczenia). Za ostatnie przestępstwo skazano Tony'ego na rok więzienia, co oznacza, że jeżeli uzyska zwolnienie z lokalizatorem, wyjdzie na wolność po czterech miesiącach. I tu jest problem: w ciągu ostatnich dwudziestu lat Tony był oskarżony o dwanaście podobnych przestępstw i siedem razy trafiał do więzienia. Został pozbawiony prawa prowadzenia pojazdów na cztery lata, ale chętnie opowiada każdemu, kto chce go słuchać, że jak tylko go zwolnią, usiądzie za kierownicą.

Co gorsza, obecnie Tony zatrudniony jest w miejscowym warsztacie samochodowym jako sprzedawca używanych aut, toteż ma dostęp do wielu różnych pojazdów i sam przyznaje, że po pracy lubi „zatankować” w pubie po drugiej stronie drogi. Nie okazuje żadnych wyrzutów sumienia i nie boi się powrotu do więzienia. Uważa, że w North Sea Camp poziom życia jest trochę wyższy niż na kempingu przyczep samochodowych w Scunthorpe.

Może nadszedł czas, żeby zmienić kwalifikację przestępstwa w odniesieniu do tych osób, które są regularnie skazywane za jazdę po pijanemu, na „potencjalne zabójstwo”, co pociąga za sobą karę czterech lat pozbawienia wolności w więzieniu zamkniętym, i żeby traktować takich ludzi jak innych przestępców dopuszczających się przemocy.

12.00 w południe

Alison mi mówi, że BBC zwróciło się do niej w sprawie programu o najpopularniejszych pisarzach, zatytułowanego *Pół wieku lektur*. Rozumieją, że nie mogę się pokazać na wizji, ale pytają, czy mógłbym im udzielić telefonicznego wywiadu. Mają już nagrania z Kingiem, Grishamem, Le Carre'em, Forsythem, Cooperem i Rowling. Pytam naczelnika Leightona, co o tym myśli, na co odpowiada, że zasięgnie opinii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych³⁶.

4.00 po południu

Na kilka dni przed objęciem stanowiska w North Sea Camp Beaumont wysłał do wszystkich tutejszych funkcjonariuszy okólnik, który do mnie dotarł ostatnio. Daje on pojęcie o tym człowieku. (Zobacz poniżej). Nie sędzę, żeby jego sekretarka sprawdziła tekst pod kątem błędów gramatycznych. Nawet jedenastolatek spostrzegłby błąd w ostatniej linijce. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam Beaumonta.

WIĘZIENIE JKM NORTH SEA CAMP

INFORMACJA DLA PERSONELU NR 62/2002

(Nie udostępniać w pomieszczeniach dla więźniów)

MIANOWANIE NOWEGO NACZELNIKA NORTH SEA CAMP

Keith Beaumont, który został mianowany naczelnikiem North Sea Camp z dniem 18 marca 2002 roku, przekazuje następujący komunikat:

„Obecnie już wszyscy wiecie, że zostałem mianowany waszym nowym naczelnikiem i nie wątpię, że krąży tysiąc i jedna opinii, dlaczego obejmuję North Sea Camp i z jakiego powodu odchodzę z Nottingham. Prawda jest bardzo prosta. Przychodzę do North Sea Camp, żeby objąć stanowisko naczelnika i pomóc w rozwoju tego zakładu w przyszłości. Nowe bloki stwarzają szansę zdefiniowania na nowo jego zadań, tak aby uzyskał pozycję miejsca doskonałego.

Będzie to wymagało od nas wszystkich ciężkiej pracy, ale jak już pokazaliście, w utrzymaniu North Sea Camp jako zakładu otwartego nie chodziło tylko o przetrwanie, ale i o dostarczenie racji, dla których ten zakład powinien zostać otwarty, i zademonstrowanie tego wszystkim. Niewątpliwie dokonaliście tego, ażeby doprowadzić do rozbudowy.

Również nie wątpię, że słyszeliście dużo pogłosek, niektórych prawdziwych, niektórych złośliwych, na temat mojej osoby, mojego stylu postępowania i sposobów działania. Powtarzam, jestem uczciwym człowiekiem, który wierzy w uczciwość, i razem będziemy mogli kroczyć naprzód.

Cieszę się, że będę miał szansę pracować z wami i ufam, że w ciągu nadchodzących miesięcy dobrze się poznamy jeden drugiego nawzajem”.

Keith Beaumont

Nowo mianowany naczelnik



R. Leighton

Pełniący obowiązki naczelnika

13 marca 2002
Dzień 238

Środa, 13 marca 2002

7.22 rano

Wpada Gail, lekko rozgorączkowana. Odwiedziła ją dziennikarka z „News of the World”, której jakiś więzień powiedział, że Gail odchodzi z North Sea Camp do innej pracy. Tamta spytała ją:

– Czy pani odchodzi z powodu Archera?

Gail powiedziała, że ja pracuję jako sanitariusz w szpitalu i że traktuję swoją pracę poważnie, że jestem lubiany zarówno przez funkcjonariuszy, jak i współwięźniów, i szkolę się w problemach narkotyków i ich znaczenia w więzieniu. Gail zadała niewinne pytanie, ile gazeta zapłaciłaby za informacje, na co dziennikarka odparła, że dwa tysiące funtów i więcej – za ciekawą historię, która by przedstawiała Archera w złym świetle.

10.11 rano

Wzywają mnie na dobrowolny test narkotykowy. Można odmówić, ale wtedy grozi utrata takich przywilejów, jak wizyty w mieście, limit pieniędzy do wydania w kantynie i przepustki na weekendy. Dowiaduję się, że w wypadku dwóch więźniów wyniki testów były pozytywne; u jednego wykryto obecność w organizmie amfetaminy, u drugiego – kanabinoli.

Do południa liczba takich więźniów wzrosła do pięciu; jutro wszyscy staną przed naczelnikiem, który wyznaczy im karę.

12.00 w południe

Odwiedza mnie pewien funkcjonariusz i mówi, że kiedyś pracował na oddziale dla przestępców seksualnych w więzieniu Whitemoor i mógłby mi opowiedzieć tyle historii, że zapełniłyby cały tom.

– Proszę mi podać przykład – mówię i dolewam mu kawy.

– Mieliliśmy kiedyś młodego więźnia w bloku B – zaczyna po chwili milczenia – który trzymał w celi papużkę falistą i ten mały ptaszek stał się czymś najważniejszym w jego życiu. Inny więzień, który siedział w tym samym skrzydle,

wyczuł słabość chłopaka i zagroził mu, że jeżeli nie „zrobi mu loda”, to zabije papużkę. Ten niechętnie się zgodził. W ciągu kilku dni pierwszy więzień został prostytutką, a drugi stręczycielem. Inkasował dwie karty telefoniczne, kiedy chłopak „obciągał druta”, trzy, jak się dawał „przecwelić”. Alfons zarabiał sto funtów tygodniowo, papużka cieszyła się dobrym zdrowiem. W końcu młody więzień doniósł na swojego prześladowcę, licząc na to, że ten zostanie wysłany do innego więzienia, a on przejmie jego zarobki. Więźniów przeniesiono do odrębnych miejsc następnego dnia. Tego ranka papużka została uduszona.

Dzień 247

Piątek, 22 marca 2002

Dziś rano przyszedł do szpitala naczelnik Berlyn i oznajmił, że mimo jego starań nie będę mógł towarzyszyć Le Sage’owi w wyprawach do szkół z prelekcjami na temat narkotyków. Naczelnik więzienia Stocken powiedział mu, że się nie zgodzi, nawet gdyby jeździł ze mną funkcjonariusz z North Sea Camp.

Kraj ogarnęła masowa epidemia narkomanii, nawet dwunastoletnim dzieciom na placach zabaw oferuje się heroinę. Zgłosiłem się ochotniczo, w ramach resocjalizacji, do odwiedzania szkół w rejonie Lincolnshire i mówienia dzieciom o tym problemie. Do tej pory udzielili mi poparcia wydział do spraw narkotyków miejscowej policji, władze oświatowe Lincolnshire i ekipa medyczna w North Sea Camp pod kierunkiem doktora Wallinga. Nie rozumiem więc, dlaczego naczelnik więzienia Stocken nie chce dopuścić do realizacji takiego pożytecznego projektu.

A może Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zna odpowiedź?

Dzień 249

Niedziela, 24 marca 2002

4.00 po południu

To był tydzień odwiedzin – ubiegłej niedzieli byli u mnie Henry Togna i David Watson, w poniedziałek radca królewski Gilly Gray, w środę lord Hayhoe i lord Denham – Bertie, dawny sekretarz dyscyplinarny mojego klubu parlamentarnego.

Toteż jestem na bieżąco z projektem ustawy o Izbie Lordów, wiem wszystko o polowaniu na lisa i mam również informacje o stanie zdrowia Margaret Thatcher. Nie wspominając o kwestii euro i o tym, kiedy może się odbyć planowane referendum.

Rzucam Bertiemu pewną ideę dotyczącą projektu ustawy o Izbie Lordów, kiedy ku mojemu przerażeniu wyciąga z kieszeni mały dyktafon. Podnoszę wzrok i widzę, że dyżurni funkcjonariusze pogrążeni są w rozmowie. Oddycham z ulgą, gdy Bertie chowa dyktafon do kieszeni. Niepotrzebny nam jeszcze jeden członek Izby Lordów w charakterze rezydenta North Sea Camp.

Dzień 250

Poniedziałek, 25 marca 2002

10.00 rano

W gazetach pełno artykułów na temat modelki Naomi Campbell, której przyznano 3500 funtów od „Daily Mirror” i jej ówczesnego redaktora Piersa Morgana za naruszenie prywatności. Jednakże sędzia stwierdził również, że modelka umyślnie kłamała, występując jako świadek.

Norman Tebbit na łamach prasy zadał pytanie, czy zostanie osądzona za krzywoprzysięstwo, czy też takie prawo stosuje się tylko wobec konserwatywnych polityków.



**WIĘZIENIE JKM NORTH SEA CAMP
OBOWIĄZKOWY TEST NARKOTYKOWY**

Nazwisko: Archer Numer: FF8282 Miejsce: szpital

Z przyjemnością informuję Pana, że analiza próbki moczu, jaką Pan dostarczył w trakcie obowiązkowego testu narkotykowego, wykazała wynik **negatywny** i żadne dalsze kroki nie zostaną podjęte.

Jednakże będzie Pan nadal zobowiązany do poddania się testowi, jeżeli zajdzie taka potrzeba, w późniejszym terminie.

Koordinator testu

Dnia 20.2.02.

4.00 po południu

Do szpitala przychodzi Belford z wynikiem mojego testu narkotykowego. (Zobacz powyżej).

6.00 wieczorem

Peter (podpalił posterunek policji) odsiedział dotąd trzydzieści jeden lat; może sobie przypominać, że wcześniej opowiedziałem o jego pierwszej wizycie w mieście. Tego ranka dwaj funkcjonariusze przyszli po niego i odstawili go do izolatki, co może oznaczać tylko jedno: dzisiaj zostanie odesłany do więzienia zamkniętego. Podejrzewam, że ta jedyna jego wyprawa do Bostonu była dla niego ostatnią okazją obejrzenia świata zewnętrznego.

Kiedy parę miesięcy temu przybyłem do North Sea Camp, Peter zamiatał główną drogę od wejścia do bloku administracyjnego, odległego o około 300 jardów. Peter ze swoją potężną posturą rzucał się w oczy, ale był niezręczny w kontaktach z ludźmi, a trzydzieści jeden lat spędzonych w więzieniu (z tego dwadzieścia osiem za kratami) odebrało mu szansę powrotu do normalnego życia.

Każdego ranka odrywał się od zamiatania, żeby otwierać drzwi samochodu osobom płci żeńskiej z personelu więziennego. A potem wciągał je w długie rozmowy. Nic groźnego, można by rzec, młodsze kobiety czuły się jednak napastowane, ale nie chciały się skarżyć, żeby nie umniejszyć szans Petera na zwolnienie warunkowe. Niestety, te sytuacje powtarzały się mimo kilkakrotnych ostrzeżeń ze strony funkcjonariuszy. Naczelnik Berlyn, który zajmuje się więźniami skazanymi na dożywocie, nie miał wyboru i musiał coś zrobić, żeby uśmierzyć obawy personelu.

Odebrał Peterowi funkcję zamiatacza i przeniósł go do rejestracji. Peter robił herbatę i pomagał funkcjonariuszom w wykonywaniu mniej ważnych zadań. Jednak to przerastało jego możliwości. Wytrwał w rejestracji dwa tygodnie. Potem zatrudniono go w kantynie dla funkcjonariuszy, gdzie pomagał sprzątać i od czasu do czasu obsługiwał. Po dziesięciu dniach przerzucono go na farmę, został tam pastuchem, ale zaledwie tydzień później wysłano go do kuchni. W niej też się nie sprawdził i w końcu wylądował w izolacie, po czym odesłano go do więzienia kategorii B.

Peter przekroczył sześćdziesiątkę i nie może liczyć na powrót do zakładu kategorii D wcześniej niż za pięć lat, jeżeli w ogóle. Jego przypadek wskazuje na większy problem. Czy nie mamy innego obowiązku wobec istoty ludzkiej poza wysłaniem jej za kraty, gdzie pozostanie do końca życia? Peter nie umiał się

dostosować do systemu, więc system nie dostosował się do niego.

Kiedy w końcu wyjdę na wolność, ludzie będą mi zadawać wiele pytań, na które nie znam odpowiedzi.

Dzień 262

Sobota, 6 kwietnia 2002

Doktor Susan Edwards, starszy wykładowca na wydziale prawa Uniwersytetu Buckingham, zakończyła niezależne badania, wykazujące, jak surowy jest mój wyrok czterech lat więzienia³⁷.

Jeffrey Archer, były zastępca przewodniczącego Partii Konserwatywnej i popularny autor, został oskarżony o krzywoprzysięstwo i utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości w następstwie powództwa o zniesławienie w kwestii, czy spędził czy też nie konkretną noc z Monicą Coghlan. Oskarżony nie przyznał się do winy i został skazany na cztery lata pozbawienia wolności. Ponieważ wyrok na Jeffrey'ego Archera jest najdłuższy ze wszystkich wyroków, jakie zostały wydane w sprawach o krzywoprzysięstwo z powództwa cywilnego, a długość kary – porównywalna do kar więzienia orzekanych w najpoważniejszych przypadkach krzywoprzysięstwa w sprawach karnych, z morderstwem i korumpowaniem policji włącznie, wymaga on dokładniejszego rozważenia.

Radca królewski Gilbert Gray już uprzedził Mary, że będzie mógł przewidzieć rezultat mojej apelacji, gdy tylko pozna trzyosobowy skład sędziowski. Cóż to za okropne świadectwo o brytyjskiej sprawiedliwości – że moja przyszłość nie będzie zależeć od tego, czy jestem winny czy niewinny, ale od tego, kto mnie będzie sądził.

Dzień 287

Środa, 1 maja 2002

10.30 rano

Dzisiaj dzieją się dziwne rzeczy. Tony, dobrze znany handlarz narkotyków, stracił przytomność po przedawkowaniu na kilka godzin przed zwolnieniem. Jakie problemy czekają go na wolności, skoro uznał, że samobójstwo będzie lepszym wyjściem niż przekroczenie bramy więzienia?

Przez kilka ostatnich tygodni Tony był stałym pacjentem przychodni szpitalnej, więc nie wiadomo, czy miał zapas pastylek i ile dziś połknął. Nie czekano na karetkę, tylko odwieziono Tony'ego do Pilgrim Hospital więziennym mikrobusem pod eskortą dwóch funkcjonariuszy.

6.00 wieczorem

Tony właśnie wrócił, żeby spędzić w więzieniu ostatnią noc. Przepłukano mu żołądek i będzie mógł nas opuścić jutro o ósmej rano. Ale jak długo wytrwa na wolności?

7.08 wieczorem

Ledwo wróciłem z godzinnego spaceru dokoła boiska z zamiarem obejrzenia pojedynku Hendry kontra Doherty w ćwierćfinałowym meczu o mistrzostwo świata w snookerze³⁸, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi.

Wchodzi Tony i prosi mnie o przekazanie listu, który trzyma w garści, siostrze oddziałowej, ale żąda, żebym go wpierw przeczytał. To zapisana po obydwu stronach ręcznym pismem kartka, w której Tony przeprosza za swoje zachowanie w ostatnich tygodniach i dziękuje siostrze za jej życzliwość i wyrozumiałość. Obiecuję, że list jutro doręczę. Tony zabiera się do wyjścia, kiedy zadaję mu pytanie, czy chciałby odpowiedzieć na kilka kwestii dotyczących narkotyków. Przygotowany jestem na odpowiedź, co mam ze sobą zrobić, wyrażoną w dialekcie więziennym, ale ku mojemu zaskoczeniu Tony siada na krześle w poczekalni i rzecze:

– Pytaj, o co chcesz, Jeff. Mam to gdzieś, jutro rano stąd spływam.

W ciągu następnej godziny zadaję mu pytanie za pytaniem, a on odpowiada na wszystkie z brutalną szczerością.

– Czy usiłowałeś popełnić samobójstwo?

– Nie, po prostu przedawkowałem.

– Jak często bierzesz heroinę?

– Kiedy tu siedziałem, to zwykle cztery razy dziennie. Rano, kiedy się budziłem, tuż po obiedzie, potem po podwieczorku i przed pójściem do łóżka.

– Wstrzykujesz, wachasz czy palisz?

– Palę – odpowiada Tony. – Tylko pieprzone głupki wstrzykują. Widziałem za dużo ćpunów, którzy podłapali HIV albo żółtaczkę typu B, bo dawali sobie w żyłę. Jak siedziałem w więzieniu, widziałem igły używane przez setkę różnych kolegów z celi. Nie zapominaj, Jeff, że mamy w kraju dwieście trzydzieści pięć tysięcy biorących stale herę, a jeżeli wziąć pod uwagę ich rodziny, obejmuje to ponad milion ludzi. Heroina kosztuje państwową służbę zdrowia trzy miliardy

rocznie.

– Jak się sprowadza heroinę do więzienia?

– Jest kilka sposobów, ale najczęściej kupuje się u dilerów na weekendowej przepustce, potem pakuje się dwie uncje do prezerwatywy i wpycha się do odbytu. Żaden funkcjonariusz nie lubi tam zaglądać.

– Dwie uncje?

– Tym razem nie mogłem sobie pozwolić na więcej. Mój rekord za murami wynosił siedem uncji marihuany, którą przeschmuglowałem, kiedy wracałem z Holandii.

– Ile to może być warte?

– Jeśli towar jest czysty, najlepszy, to około stu patyków.

– A kiedy sprowadzasz narkotyki do więzienia, są tylko twoje?

– Nie, nie, nie. Muszę płacić swojemu dostawcy „za murami”. Ja jestem tylko dilerem. Dilerzy są królami albo pionkami. Ja jestem pionkiem. Król rzadko bierze narkotyki, tylko sprowadza je z zagranicy i rozdziela między pionkami, którzy na ogół handlują jedynie po to, żeby zaspokoić własny głód narkotyczny.

– To ilu z dwustu więźniów w North Sea Camp bierze heroinę?

Tony przez chwilę się zastanawia nad odpowiedzią.

– Z tego, co wiem, to trzydziestu dziewięciu.

– Ale to mniej więcej dwadzieścia pięć procent.

– Zgadza się – potwierdza rzeczowo.

– Jak się płaci królowi dilerów, siedząc w więzieniu?

– To łatwe – mówi Tony. – Sprzedaję tylko tym kolegom spod celi, którzy mają na wolności kogoś, kto wpłaci gotówkę bezpośrednio mojemu dilerowi. Nigdy nie dostarczam towaru, dopóki nie wpłyną pieniądze.

– Ale to może trwać wiele dni, a jeżeli ktoś jest na głodzie...

– Wystarczy jeden telefon i po godzinie sprawdzam u dilerów, a jeżeli dostał gotówkę, to dostarczam.

– Jakbyś był na wolności i nie zajmował się dilerem, to ile byś musiał mieć na zaspokojenie własnych potrzeb?

– Trzysta funtów dziennie.

– Ale to jest sto tysięcy funtów rocznie – w gotówce.

– No tak, ale jako diler mogę zarobić dwa razy tyle i jeszcze mieć swoją działkę cztery razy na dzień.

Potem Tony opowiada, czego się boi, jak zostanie zwolniony. Rodzice przyjadą po niego jutro o ósmej rano. Wierzą, że porzucił narkotyki po pobycie w więzieniu specjalnym w Devon, gdzie odstawił heroinę na rok i trzy miesiące. Jednak kiedy uznano go za wyleczonego, został przeniesiony do więzienia kategorii D, w tym wypadku do North Sea Camp, gdzie miał heroinę „pod nosem” i w ciągu kilku tygodni znowu się uzależnił.

– Ja nie dożyję pięćdziesiątki – powiada. – Przesiedziałem w więzieniach pół życia. – Milknie. – Żałuję, że wziąłem ten pierwszy, darmowy towar, kiedy byłem piętnastoletnim chłopaczkiem. Jeff, co dzień mijasz na ulicy dziesięciu takich jak ja i nie wiesz, co to za jedni. Może teraz ich rozpoznasz.

Tony opuścił szpital o 7.28.

Nazajutrz oddałem jego list siostrze oddziałowej.

Dzień 313

Poniedziałek, 27 maja 2002

9.07 rano

Dostałem list z Wysokiego Trybunału z informacją, że moja rozprawa apelacyjna została wyznaczona na poniedziałek 22 lipca – za osiem tygodni.

10.07 rano

Dziś rano przybył więzień nazwiskiem Morris. Ma trzydzieści sześć lat i odsiaduje czteroletni wyrok za oszustwa z kartami kredytowymi. Morris ukradł ponad 500 000 funtów od czasu, kiedy skończył szkołę, i nie okazuje cienia skruchy. Mówi mi z dumą, że ma jeszcze prawie 100 000 w gotówce bezpiecznie schowane i że on oraz osoba z nim współoskarżona żyją „na wysokiej stopie”. Mają duże mieszkanie w Londynie, jeżdżą mercedesem, ich garderoba składa się z ubrań znanych projektantów, zatrzymują się tylko w najlepszych hotelach. Latają pierwszą klasą i pracują nawet podczas wakacji. Morris jest zawodowym przestępcą, dla którego więzienie jest przejściową uciążliwością, a ponieważ władze zawsze w ciągu trzech tygodni od wysłania go za kratki przenoszą go do zakładu kategorii D, nie jest to uciążliwość zbyt dotkliwa.

Morris został uznany za winnego oszustwa czterokrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat i dostał kolejno wyrok sześciu miesięcy, ośmiu miesięcy, dwunastu miesięcy i czterech lat. Jednakże do stycznia przyszłego roku, kiedy wyjdzie na wolność, odsiedzi w sumie mniej niż trzy lata.

Morris przewiduje, że do 2003 roku on i jego partner zarobią na czysto ponad milion funtów w gotówce, i jeżeli zostaną schwytani, on chętnie wróci do North Sea Camp.

W czasach Dickensa Morrisa zwano by kieszonkowcem. Podczas gdy sprytny kombinator kradł chusteczki i kieszonkowe zegarki, Morris przywłaszcza

sobie karty kredytowe. Zwykle wprowadza się do czterogwiazdkowego hotelu, w którym odbywa się duża konferencja weekendowa, po czym operuje w barach wieczorami, kiedy goście są podpićci. Po udanym weekendzie opuszcza hotel z łupem kilkunastu kart. W niedzielę wieczorem siedzi w pierwszej klasie w samolocie lecącym do Wiednia (jedna karta zużyta), gdzie zatrzymuje się w pięciogwiazdkowym hotelu (druga karta). Potem wynajmuje samochód, ale nie płaci kartą, tylko gotówką, gdyż chce bezpiecznie przemierzyć Europę. Jedzie z Wiednia do Rzymu, cały czas wydając pieniądze, aż w końcu wraca do Anglii samochodem wyładowanym towarami. Teraz on i wspólnik krótko odpoczywają, żeby powtórzyć wszystko od nowa.

Morris ma kilka pseudonimów i powiada, że może zdobyć fałszywy paszport za drobne tysiąc funtów. Zamierza przez dziesięć następnych lat osiągnąć szczyt kariery w swojej profesji, a potem wieść żywot emeryta gdzieś w cieplejszym klimacie.

– To piękny sposób życia – mówi. – Mogę ci opowiedzieć więcej, Jeffrey. Ale ja już nie chcę słyszeć nic więcej.

11.45 rano

Przychodzi więzień i mówi, że chce się pilnie widzieć z lekarzem. Tłumaczę, że doktor wyszedł godzinę temu, a siostra oddziałowa jest w bloku administracji, i proponuję, żeby zgłosił się jutro. Wygląda na zaniepokojonego, więc pytam, czy mógłbym pomóc.

– Właśnie wróciłem z przepustki – tłumaczy – i kiedy spędzałem wieczór poza domem, miałem seks bez zabezpieczenia. Chciałbym sprawdzić, czy czegoś nie złapałem.

– Czy znałeś tę dziewczynę? – pytam.

– Nie znałem żadnej z nich – odpowiada.

– Żadnej?

– Tak, było ich siedem.

Kiedy mówię o tym później siostrze oddziałowej, nawet okiem nie mrugnie, tylko zapisuje pacjenta na wizytę u lekarza.

12.00 w południe

Dziś wśród nowych przybyszy znajduje się więzień nazwiskiem Mitchell (prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym, trzy miesiące). Kiedy mierzę mu ciśnienie krwi, mówi, że nie był w North Sea Camp od 1968 roku, kiedy mieścił się tu dom poprawczy.

– Od tamtej pory trochę się tu zmieniło – dodaje. – Co prawda szpital jest

wciąż w tym samym miejscu. Ale zanim dopuszczono cię do lekarza, polewano cię wodą z węża i golono ci głowę tępą brzytwą, żeby się upewnić, że nie masz wszy.

– A jak karmili? – pytam.

– Chlebem i wodą przez pierwsze dwa tygodnie, a jeżeli rozmawiałeś w trakcie posiłku, funkcjonariusz, który się nazywał Raybold, walił twoją głową o ścianę.

Muszę się uśmiechnąć, bo znam kilku takich funkcjonariuszy, którzy wciąż mieliby na to ochotę.

2.30 po południu

Dyrektor generalny Martin Narey wydał zarządzenie zobowiązujące wszystkich funkcjonariuszy więziennych do zwracania się do więźniów per pan.

Kiedy funkcjonariuszka drze się na cały parking:

– Archer, rusz tutaj swoje cholerne dupsko! – zwracam jej uprzejmie uwagę, że pewno nie zapoznała się z zarządzeniem dyrektora generalnego.

– Pieprzę dyrektora generalnego – odpowiada. – Będę cię nazywać, jak mi się podoba!

Pewien więzień kilka lat temu wpadł na niezwykły pomysł, jak rozwiązać ten problem. Zmienił sobie prawnie nazwisko na Pan Rogers – ale on był skazany na dwadzieścia jeden lat.

3.00 po południu

Jeżeli pracujesz poza więzieniem, zarobisz do 300 funtów tygodniowo, dzięki czemu możesz wysyłać pieniądze żonie, partnerce i rodzinie, co jest na pewno niemożliwe, jeżeli jesteś zatrudniony na terenie więzienia. Dodatkową zaletą jest to, że niektóre firmy oferują zwolnionym więźniom, którzy się sprawdzili w trakcie pracy, pełnoetatowe zatrudnienie.

Kiedy zakwalifikują cię do zatrudnienia poza więzieniem, najpierw musisz zaliczyć miesiąc pracy społecznej, częściowo jako karę, a częściowo po to, żeby dowieść, iż jesteś godny zaufania i nadajesz się do pracy w społeczności. Jeśli wypełnisz to zadanie, możesz do końca wyroku pracować na zewnątrz, więc kiedy wychodzisz na wolność, przy najlepszym obrocie spraw jest to gładkie przejście. Przy najgorszym zaś...

Mike'a dzieliło zaledwie kilka tygodni od takiego gładkiego przejścia, kiedy w jego miejscu pracy zjawiono się dwóch funkcjonariuszy i odprowadziło go z powrotem do North Sea Camp. Jak się wydaje, młoda kobieta, która pracowała w tej samej fabryce, nie mogła się opędzić od jego zalotów. Pracowała tam również jej matka, która zgłosiła sprawę kierownictwu. Kierownictwo, całkiem słusznie, nie

kwapiło się potępić więźnia, opierając się tylko na słowach matki dziewczyny, przeprowadziło więc własne dochodzenie. Kilka dni później naczelnik więzienia otrzymał sprawozdanie.

W rezultacie Mike'a odesłano z North Sea Camp do więzienia Lincoln, ciężkiego zakładu kategorii B. A już za kilka tygodni miał zostać zwolniony warunkowo i podjąć pracę w fabryce na pełnym etacie. Tymczasem stracił kategorię D, stracił pracę, zarobek i prawdopodobnie szansę zwolnienia warunkowego.

Przypomina mi się klasyczna uwaga Robina Williama: „Bóg dał mężczyźnie penisa i mózg, ale nie dość krwi, żeby jedno i drugie wprowadzić jednocześnie w ruch”.

Dzień 316

Czwartek, 29 maja 2002

W North Sea Camp jest pięciu lekarzy pracujących według grafiku dyżurów, a jeden z nich, doktor Harris, prowadzi także oddział uzależnień w Bostonie. Doktor Harris przybywa dzisiaj do szpitala w towarzystwie pielęgniarza. Nigel, trzydziestolatek w czarnej koszulce trykotowej, džinsach i z kolczykiem w uchu, przyjechał, żeby się ze mną zobaczyć, jako że obecnie pracuje z młodzieżą w wieku od dwunastu do dziewiętnastu lat, która ma problem z heroiną. Rozumiem, dlaczego młodzi czują się przy nim swobodnie.

Nigel tłumaczy, że może pracować tylko z tymi dziećmi, które tego chcą. Słucha ich pytań, udziela odpowiedzi, ale nigdy nie ocenia. Mają dość napomnień rodziców, żeby wydorosleli, zachowywali się jak należy i znaleźli sobie pracę. Przedstawia statystyki – są zastraszające.

Obecnie w Wielkiej Brytanii około 220 000 osób jest uzależnionych od heroiny, z czego zaledwie 3000 (11 procent) bierze udział w jakiejś formie programu detoksykacji. Jeden z problemów polega na tym, tłumaczy Nigel, że oczekiwanie na włączenie do programu może trwać do sześciu tygodni od chwili zgłoszenia się do lekarza rodzinnego, a do tej pory „klient” często traci ochotę na odstawienie narkotyku. Natomiast, co paradoksalne, jeżeli znajdziesz się w więzieniu, już następnego dnia zostajesz objęty programem detoksykacyjnym. Nigel wie o kilku narkomanach, którzy popełniają przestępstwo z myślą, że trafią do więzienia i tam odzwyczają się od narkotyków. Sam pracuje z małą grupą siedmiu narkomanów, ale podkreśla, że nie można nikogo uratować, można tylko pomóc tym, którzy chcą sobie pomóc.

Następnie Nigel zaznajamia mnie z problemami, jakie dotyczą dzisiaj

młodych ludzi. Zaczynają oni eksperymentować z kanabinolami albo wachają rozpuszczalniki, potem biorą się do ecstasy albo kokainy, później przechodzą na crack i kończą na heroinie. Nigel zna siedemnastolatki, które przeszły przez wszystkie etapy. Ze smutkiem dodaje, że gdyby trzymano się litery prawa, to siedem milionów Brytyjczyków siedziałoby w więzieniu za palenie kanabinoli, gdyż za ich posiadanie okres minimalny odbywania kary pozbawienia wolności wynosi dwa lata. Gram narkotyku klasy A kosztuje około 40 funtów. To wyjaśnia ogromny wzrost przestępczości w ostatnim dziesięcioleciu, zwłaszcza wśród młodzieży.

Zagrożeniem są nie tylko narkotyki, ale również igły. Często narkomani żyją w komunach i używają tych samych igieł. Ta grupa zapada na HIV i na zapalenie wątroby typu B i C.

Na przykład dziś Nigel jest umówiony z dwiema dziewczynami uzależnionymi od heroiny; jedna ma dziewiętnaście, druga siedemnaście lat. Obie chcą rozpocząć detoksykację. Największą trudność stanowią ich chłopcy, którzy nie dość, że odpowiadają za to, iż dziewczyny biorą narkotyki, ale jeszcze im je dostarczają, więc będą przeciwni wyleczeniu. Według Nigela, jest tylko pięćdziesiąt procent szans, że dziewczyny w ogóle się stawią na spotkanie. Przeciętnie narkomani próbują siedem razy odstawić heroinę, zanim im się powiedzie.

Do obowiązków Nigela należy kierowanie pacjentów do specjalisty, który zgłasza ich do programu detoksykacyjnego. Nigel obawia się, że zbyt wielu narkomanów zasięga porady swojego lekarza ogólnego, który często przepisuje im niewłaściwą kurację.

Nigel bez cienia cynizmu opisuje mi typowy dzień swojego życia i przypomina, że nie jest finansowany z urzędu; ma jednak nadzieję, że państwowa służba zdrowia wkrótce jakoś to rozwiąże. Raptem sprowadza problem do szczebla lokalnego, uwypuklając ogólnokrajową niemoc. W swoim rejestrze ma siedem osób uzależnionych od heroiny, w hrabstwie, w którym jest 10 000 narkomanów. To nie szczyt, nawet nie rysa na powierzchni, jeżeli pomyśleć o ogromie zjawiska.

Nigel się ze mną żegna, gdyż ma spotkanie z siedemnastoletnim chłopakiem, który od czterech lat odwiedza parkingi przyczep samochodowych, żeby zaspokajać głód narkotyczny; tnie gumowe węże i wdycha butan. Nawet nie narusza prawa, a jeśli – to o tyle, że niszczy mienie.

2.00 po południu

Gail szuka deski usztywniającej do łóżka dla nowego więźnia z chorym kręgosłupem. Jest ich gdzieś dwanaście. Sęk w tym, że jak już się je rozdysponuje,

to nigdy nie wracają do szpitala; gdy więźniowie wychodzą na wolność, zapominają deski zwrócić.

Gail telefonuje do biura w bloku południowym, ale się dowiaduje, że na gospodarstwie jest tam zastępczo funkcjonariusz z więzienia Lincoln. Zrozpaczona wyrzuca ramiona w górę, jednak mówi mu o swoim kłopotcie. Porównując wykazy, jest w stanie sprawdzić, komu rzeczywiście deska jest niezbędna, a kto ją otrzymał przez niedopatrzenie. Ku jej zdziwieniu po godzinie pojawia się funkcjonariusz z siedmioma deskami.

Częstuję go kawą i prędko odkrywam, że całe jego życie jest równie dobrze zorganizowane. Opowiada mi o swojej pracy w więzieniu Lincoln, a jedno jego zdanie wprawia mnie w osłupienie.

– Wymyśliłem system, dzięki któremu muszę pracować tylko pięć miesięcy w roku.

Funkcjonariusz służy w więziennictwie nieco ponad siedem lat i wraz z pięcioma innymi kolegami obmyślił plan pracy, który pozwala mu pełnić służbę przez pięć miesięcy w roku za pensję w wysokości 23 000 funtów. Zapewnia mnie, że taki system funkcjonuje w większości więzień z niewielkimi odchyleniami. On by chętnie pracował dłużej, gdyby płacono mu za godziny nadliczbowe, ale obecnie niewiele zakładów stać na ponoszenie dodatkowych wydatków poza eskortowaniem więźniów (do szpitala, do sądu albo przy przenosinach). To zajęcie wymaga koncentracji.

Funkcjonariusze pracują na następujących zmianach:

Zmiana A:

wczesna,
7.30-12.30

albo Zmiana B:
główna (dzień),
7.30-5.30.

Zmiana C:
późna,
1.30-8.30

albo Zmiana D:
wieczorna,
5.00-9.00.

Zmiana E:
główna (noc),
9.00-7.00.

Nasz funkcjonariusz i jego koledzy wymieniają się zmianami i skoro nie ma nadgodzin, biorą sobie wolne. Wszyscy funkcjonariusze powinni pracować trzydzieści dziewięć godzin tygodniowo, ale gdy wymieniają się z kolegami, mogą

łączyć A + C albo B + D albo D + E i w ten sposób zaliczyć blisko siedemdziesiąt godzin tygodniowo, gdy tymczasem inny kolega bierze tydzień wolnego. Jeżeli dodać do tego dwadzieścia osiem dni w roku należnego urlopu, okazuje się, że muszą pracować tylko pięć miesięcy, a siedem miesięcy mogą pauzować. Trzej koledzy owego funkcjonariusza pracują też w niepełnym wymiarze godzin „za murami” i funkcjonariusz zapewnia mnie, że znaczny odsetek młodszego personelu więziennego w ten sposób dodatkowo zarabia.

Mogę tylko przyjąć, że nie jest to niespodzianką dla Martina Nareya, obecnie dyrektora generalnego Służby Więziennej. Muszę powiedzieć, że gdyby moja sekretarka, gosposia, mój agent, księgowy, wydawca albo doktor brali sobie w roku siedem miesięcy wolnego, żeby wykonywać inną pracę, to albo bym zreorganizował system, albo bym ich zmienił na kogo innego.

Dzień 320

Poniedziałek, 3 czerwca 2002

Od dzisiaj na mocy decyzji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych North Sea Camp ma status więzienia przystosowawczego. W przyszłości wszyscy więźniowie, którzy odsiedzieli czwartą część wyroku i osiągnęli formalnie możliwy termin zwolnienia warunkowego, będą się mogli przenieść do jednego z ostatnio zbudowanych bloków i rozpocząć pracę poza więzieniem. Posunięciu temu przyświecała myśl, że jeśli się pozwoli więźniom zarabiać na życie, to zmniejszy się prawdopodobieństwo, że popełnią kolejne przestępstwo, gdy wyjdą na wolność. Dwa nowe bloki (baraki), mieszczące po czterdzieści pokoi, postawiono na boiskach w pobliżu wejścia w tym celu. Od dziś sześćdziesięciu dwóch więźniów będzie mogło wychodzić z North Sea Camp o 7.30 rano i wracać dopiero o 7 wieczorem.

Ale – a w więzieniu zawsze jest jakieś „ale” – naczelnik Berlyn wywiesił w nowych blokach ogłoszenie, z którego jasno wynika, że należy to traktować jako przywilej i że jeżeli ktoś nie dostosuje się do wytycznych, zostanie zawieszony i odesłany do pracy na farmie za 5,60 funtów tygodniowo³⁹.

Dzień 325

Piątek, 7 czerwca 2002

Do szpitala wkracza główny naczelnik Beaumont w towarzystwie Berlyna.

Z doktorem Wallingiem i Davidem oglądaliśmy mecz w rozgrywkach o mistrzostwo świata między reprezentacją Anglii a Argentyny i przed chwilą Beckham strzelił karnego, co nam dało prowadzenie. Myślałem, że naczelnicy usłyszeli nasze okrzyki i zaglądną, żeby się dowiedzieć, kto zdobył bramkę. Ale oni nawet nie patrzą na ekran telewizora. Obrzucają mnie spojrzeniem i wychodzą.

Potem się dowiaduję, że naczelnik otrzymał z Agencji Reutera telefon z pytaniem, czy potwierdza, że popełniłem samobójstwo.

Nie wtedy, kiedy wygrywamy z Argentyną.

11.00 rano

Pewien funkcjonariusz odwiedza mnie w szpitalu i opowiada mi przy kawie, że personel się niepokoi, iż w przyszłości przestępcy seksualni będą stanowić znaczny odsetek więźniów. Funkcjonariusze obawiają się, że obecna spokojna atmosfera może się zmienić w stan ciągłego napięcia, ponieważ zwykli przestępcy gardzą pedofilami. Jest nawet możliwe, że znajdą się krewcy więźniowie, którzy zechcą sami wymierzyć sprawiedliwość⁴⁰.

Funkcjonariusz opowiada, że w Gartree morderca skazany na dożywocie przebywał w jednej celi z więźniem, który miał rzekomo wyrok za włamanie. Ale morderca dowiedział się od innego więźnia, który wcześniej siedział z jego współlokatorem w innym więzieniu, że w rzeczywistości jest on przestępcą seksualnym – zgwałcił swoją dziewięcioletnią córkę.

Następnego dnia rano podczas apelu więzień zgłosił się do biura naczelnika. Oświadczenie, jakie wygłosił, było proste i wyraźne. Zadźgał swojego współlokatora i zostawił ciało na łóżku. Mordercę natychmiast przeniesiono do izolatki, postawiono w stan oskarżenia, a potem ponownie skazano na dożywocie. Sędzia oznajmił, że tym razem dożywocie oznacza pobyt w więzieniu do końca życia.

6.00 wieczorem

Sędziuję w dzisiejszym meczu krykieta między drużyną North Sea Camp a zespołem miejscowej szkoły. Pierwszego pałkarza z drużyny gości wykluczyłem z gry za zabicie bramki i złapanie piłki przez rywali. Kiedy na jego twarzy ujrzałem zaskoczenie, natychmiast poczułem niepokój, bo miotacz złapał piłkę, biegnąc przede mną. Czy popełniłem błąd? Pałkarz już się kieruje do szatni (mała drewniana szopa), kiedy Mo (morderstwo, terrorysta), który zajmuje pozycję blisko pałkarza, patrzy na mnie i mówi: „To była odbitka, Jeff”. Wzywam z powrotem pierwszego pałkarza i przepraszam za pomyłkę, tymczasem pozostali zawodnicy oklaskują sportowe zachowanie Mo.

Drużyna gości wygrywa dzięki świetnej rundzie pierwszego pałkarza.
Śmieszny stary świat.

Dzień 369

Poniedziałek, 22 lipca 2002

Dzisiejszy dzień jest pełen napięcia, ponieważ czekam, żeby się dowiedzieć, jak długo będę musiał tutaj zostać. Odrzucenie mojego odwołania od skazania zajęło sędziemu Rose'owi dwie minuty, mniej więcej tyle, ile przewidział mój adwokat, radca królewski Nick Purnell. Odwołanie od wyroku zostało uwzględnione przez sędziego Browna, więc wszyscy mieliśmy nadzieję, że sędzia Rose skróci mi karę przynajmniej o rok, jeżeli nie o dwa lata, i będę mógł wrócić do domu tego wieczoru.

O 5.07 po południu do szpitala wkracza z posępną miną Hocking. Jako starszy funkcjonariusz więziennego oddziału ochrony już uruchomił plan wywiezienia mnie z North Sea Camp, zanim pojawią się dziennikarze. Mówi mi, że telefonowała Alison z informacją, iż nie skrócono mi kary nawet o jeden dzień. Chociaż Purnell wygłosił ponadwugodziną mowę, sędzia Rose wrócił do sądu minutę i czterdzieści osiem sekund po tym, jak Nick skończył, po czym odczytał gotowe oświadczenie, które musiał napisać kilka dni wcześniej. Sędzia Rose mógłby mieć na tyle przyzwoitości, by powiedzieć Purnellowi, żeby sobie nie zadawał trudu, ponieważ on już podjął decyzję i nie jest zainteresowany żadnymi nowymi dowodami.

To tyle, jeżeli chodzi o brytyjski wymiar sprawiedliwości.

Dzień 370

Wtorek, 23 lipca 2002

Dziennikarze zachodzą w głowę, dlaczego Mary nie była obecna w sądzie na mojej rozprawie apelacyjnej. O pierwszej po południu miała rozmowę w sprawie objęcia stanowiska prezesa rady nadzorczej szpitala Addenbrooke'a i ten termin został ustalony kilka tygodni wcześniej.

Powiedziałem jej, żeby w żadnym wypadku nie zabiegała o zmianę daty spotkania, gdyż jest to niewątpliwie najważniejsza rozmowa kwalifikacyjna w jej życiu. Szpital Addenbrooke'a, połączony silnymi związkami z Uniwersytetem Cambridge, to jeden z najlepszych szpitali klinicznych w kraju. Jego roczny budżet

wynosi około 250 milionów funtów, a pracuje w nim blisko 1000 lekarzy i 2500 pielęgniarek. Mary pełni funkcję wiceprezesa tej placówki od dwóch lat, a od ośmiu jest członkiem rady nadzorczej i wprawdzie ma potężną konkurencję, ale wierzę, że również duże szanse.

Rozmawiamy ponad godzinę przez telefon (dopóki nie kończą mi się karty), rozważając prawdopodobne pytania, jakie padną. Bardziej mi zależy na tym, żeby Mary otrzymała to stanowisko, niż na moim wyjściu z więzienia; w przeciwnym razie do końca życia dręczyłaby mnie myśl, że przeze mnie poniosła porażkę.

Dzień 371

Środa, 24 lipca 2002

Telefonuję do Mary, żeby jej przypomnieć, że ma przyjechać po mnie w sobotę i zabrać mnie na moją pierwszą wizytę w mieście, która poprzedza przepustkę do domu. Nie jestem w stanie o nic zapytać, bo wszystko staje się nieważne wobec nowiny, że Mary została mianowana prezeską rady nadzorczej szpitala Addenbrooke'a.

Jestem tak uszczęśliwiony, że zapominam, po co dzwoniłem.

Dzień 374

Sobota, 27 lipca 2002

7.00 rano

Dzisiaj wyłączono centralne ogrzewanie, co wystarczy, żeby zrozumieć, jak North Sea Camp jest zarządzany.

10.00 rano

Mój pierwszy od roku dzień poza więzieniem.

Mary przyjeżdża po mnie, a ponieważ przy portierni czekają dziennikarze, nie jedziemy do Bostonu. Trafiamy na pole, gdzie się pasą krowy, i urządzamy sobie piknik. Prawdziwy raj, chociaż prasa musi koniecznie zdobyć zdjęcia⁴¹.

POWRÓT



Przy lunchu, składającym się z sałatki z szynką i indykiem, a następnie sera cheddar, popitego dietetyczną coca-colą, rozmawiamy z Mary o jej nowych obowiązkach prezeski szpitala Addenbrooke'a.

Po przejażdżce po okolicy Mary zawozi mnie z powrotem do North Sea Camp tuż po piątej, gdyż jutro rano wylatuje do Japonii na konferencję.

Podczas pierwszej wizyty w mieście więźniowi nie wolno się oddalić poza najbliższe okolice Bostonu (dziesięć mil) i musi wrócić do więzienia przed 7 wieczorem. W przyszłym tygodniu, przy założeniu, że nie przekroczylem żadnego z przepisów, nie zapędziłem się poza dziesięć mil, nie piłem alkoholu i nie popełniłem żadnego przestępstwa (najczęstsze są kradzieże w sklepie), będę mógł pojechać „prosto jak strzeł” na odległość pięćdziesięciu pięciu mil, co obejmie Cambridge i Grantchester.

Wróciwszy do szpitala, postanawiam zadzwonić do Mary, żeby podziękować za jej wszystkie starania. Sięgam do szuflady przy łóżku i przekonuję się, że nie ma tam żadnej karty telefonicznej. Mija kilka minut, zanim do mnie dociera, że włamał się tu jakiś współwięzień i ukradł wszystkie moje karty (osiem sztuk o wartości 16 funtów). Nie zapominajcie, że zarabiam 11,70 tygodniowo. Jednak kiedy sprawdzam okno naprzeciwko mojego łóżka, spostrzegam, że zasuwka jest ustawiona inaczej, niż ją zostawiłem. Teraz przynajmniej wiem, którędy złodziej się dostał.

Żeby jakoś przetrwać w nadchodzącym tygodniu, muszę pożyczyć parę kart

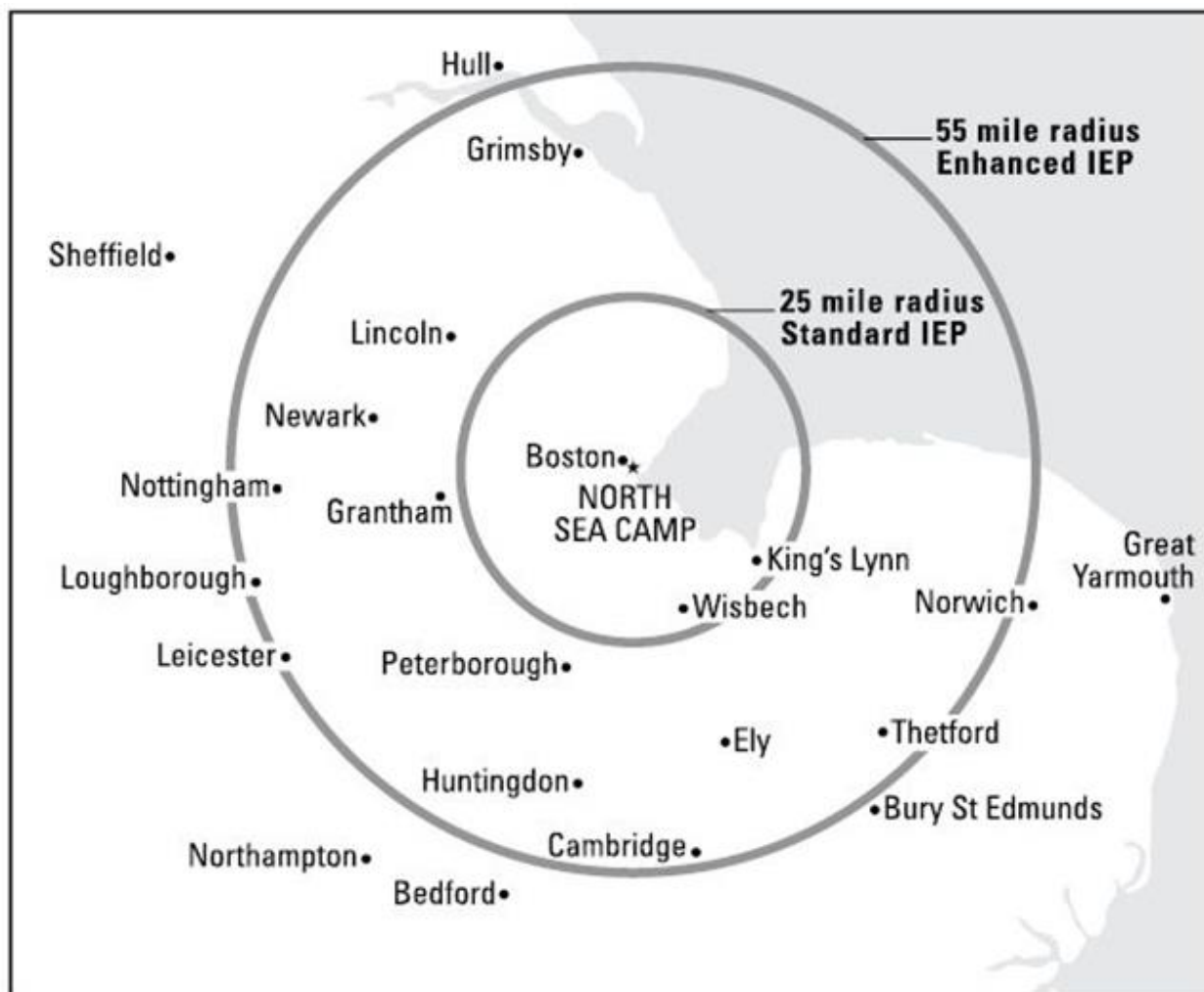
od Davida, dwie od Stephena i dwie od Tony'ego.

Dzień 382

Niedziela, 4 sierpnia 2002

Ponieważ moja pierwsza wizyta w mieście przebiegła bez incydentów, teraz przysługuje mi prawo do jazdy do Cambridge (w promieniu pięćdziesięciu pięciu mil od North Sea Camp). (Zobacz poniżej). Mary jest w Japonii na konferencji, a Will nadal pracuje w Centrum Kennedy'ego w Waszyngtonie, więc spędzam ten dzień z Jamesem.

POWRÓT



Gdy wjeżdżamy do Grantchester, nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Old Vicarage. Przez pierwszą godzinę krążę po trochę zbyt zarośniętym ogrodzie – nasz ogrodnik wyjechał na dwutygodniowe wakacje – podziwiając kwiaty, staw pełen karpia i rzeźby zdobiące trawnik.

James przygotowuje lunch i przeczytawszy niedzielne gazety, zasiadam do uczty: kawałeczki melona z szynką parmeńską, następnie spaghetti bolognese (mój wybór) i dietetyczna coca-cola. Normalnie wypilibyśmy po kieliszku wina, ale to nie wchodzi w grę jeszcze przez rok. Na koniec sery – mnie interesuje tylko cheddar – i znów spacer po ogrodzie w bezchmurny dzień. Wracamy do domu, żeby obejrzeć igrzyska Commonwealthu. Wspaniały triumf Manchesteru!

Odjeżdżam o 5, gdyż muszę się zameldować przed 7 wieczorem w więzieniu, gdzie zbadają mnie alkomatem i zrewidują. Gdyby wykryto, że wypilem choćby łyk wina, straciłbym stanowisko sanitariusza i nie miałbym szansy na pracę społeczną w przyszłości. Musiałbym też wrócić do dwuosobowej celi w bloku północnym i iść do pracy na farmie. Czy ktoś może być tak głupi?

Tego wieczoru wykryto u dwóch więźniów poziom alkoholu we krwi przekraczający dozwoloną normę. Obydwaj stracili wszystkie przywileje.

Na ilustracji powyżej: IEP to skrót od „incentives and earned privileges scheme”, system motywacji i nagród; podstawowy (standard) i rozszerzony (enhanced) (przyp. tłum.).

Dzień 384

Wtorek, 6 sierpnia 2002

Wszyscy więźniowie, którzy osiągnęli formalnie możliwy termin zwolnienia warunkowego, mają prawo do pracy w społeczności poza więzieniem, jeśli od daty zwolnienia warunkowego nie dzieli ich więcej niż dwanaście miesięcy (moja data wypada 19 lipca 2003 roku). Więzień może wtedy pracować poza więzieniem w godzinach od 7 rano do 7 wieczór przez pięć dni w tygodniu i nawet szósty dzień wykorzystać na szkolenie. Z chwilą zakwalifikowania się do programu przystosowawczego więzień wprowadza się do jednego z bloków mieszkalnych usytuowanych w pobliżu bramy (pojedyncze pokoje) i może przez cały czas nosić własne ubranie. Może też jeździć do pracy własnym samochodem i wolno mu posiadać telefon komórkowy (ale nie wolno go zabierać z samochodu).

Celem programu przystosowawczego jest udzielenie więźniom wsparcia, żeby sami mogli sobie pomóc, zarabiając na utrzymanie od 150 do 250 funtów tygodniowo. Jeżeli ktoś jest niezależny finansowo, te zasady nie mają zastosowania. Jednak taka osoba może pracować jako wolontariusz bądź zatrudnić

się w organizacji charytatywnej, za co więzienie zapłaci 12,50 funta tygodniowo (obecnie jako sanitariusz zarabiam 11,60 tygodniowo).

Naczelnik Berlyn (odpowiedzialny za program przystosowawczy) już odrzucił moje podanie o pracę u doktora Wallinga w Parkside Clinic w charakterze pielęgniarskiego stażysty. Podał dwa motywy tej decyzji: część personelu North Sea Camp to pacjenci przychodni, a doktor Walling jako jej kierownik jest, formalnie rzecz biorąc, członkiem personelu, a więc nie może mnie zatrudnić. Ale Berlyn dostał list od niejakiego Moreno z Teatru Królewskiego Lincoln, który proponuje, żebym pomagał w realizacji społecznego programu teatru. Berlyn pojedzie ze mną do Lincoln w przyszły wtorek na rozmowę. Teatr jest organizacją charytatywną, gdyż jest subsydiowany przez radę hrabstwa Lincoln.

Dzień 386

Czwartek, 8 sierpnia 2002

8.00 rano

Jakiś kpiarz wywiesił na tablicy ogłoszeń napis: „Pasuje ci, to zwróć”. Jak się wydaje, w ostatnich dwóch tygodniach włamano się do ponad dwudziestu cel i skradziono ponad dwieście kart telefonicznych. Recydywiści mi mówią, że to pewno jakiś kokainista, skoro był tak zdesperowany, żeby się włamywać do szpitala. Pod koniec tygodnia złodziej się włamał do kaplicy i do kantyny.

Niektórzy więźniowie twierdzą, że wiedzą, kto to jest.

6.00 wieczorem

Więzień, który niedawno przybył z Highpoint, mówi, że zanim go zwolnią, sprawi mi manto. Zagroził mi w trakcie moich porannych obchodów przed grupą swoich kumpli. Chyba ma koło trzydziestki i został skazany za ciężkie uszkodzenie ciała.

Przyznaję, że pierwszy raz od miesiący się boję.

Dzień 387

Piątek, 9 sierpnia 2002

8.00 rano

Dzisiaj rano ten sam więzień zjawia się w szpitalu. Udaje spokój. Przeprasza za wczorajsze słowa i twierdzi, że żartował i że go źle zrozumiałem.

– Nigdy bym ci nie wyrządził krzywdy, Jeff – mówi.

Podejrzewam, że się zląkł, żeby jego groźba nie dotarła do uszu jakiegoś funkcjonariusza i żeby go nie odstawiono do więzienia kategorii B. Znęcanie się uważane jest za gorsze przestępstwo niż używanie narkotyków. Odpowiadam skinieniem głowy i więzień szybko opuszcza szpital.

6.00 wieczorem

David (obrabowanie poczty) mówi mi, że więźniowi z Highpoint, który mi groził, w środku nocy złożyli wizytę Jim (rabunek, tylko antyki), Mo (terrorysta) i Big Al (ciężkie uszkodzenie ciała). Wyjaśnili mu, co mu się stanie, jeżeli Jeffowi spadnie włos z głowy.

Jestem wzruszony, że trzech towarzyszy niedoli, których dobrze nie znam, do tego stopnia dba o moją skórę.

Podczas ostatniego meczu krykieta wykluczyłem Big Ala z gry za nieprzepisowe zatrzymanie piłki i od tamtej pory wciąż zrzędzi.

Dzień 391

Wtorek, 13 sierpnia 2002

Berlyn zawozi mnie do Lincoln na rozmowę z Chrisem Moreno i Chrisem Colbym, właścicielem i dyrektorem Teatru Królewskiego Lincoln.

Obydwaj panowie są nadzwyczaj przyjaźni i uprzejmi. Nie pozostawiają Berlynowi cienia wątpliwości, że potrzebują „wolontariuszy” i chętnie powitają innych więźniów, którzy do mnie dołączą. Berlyn wydaje się zadowolony, że naprawdę jest coś do zrobienia i że ja mogę być przydatny społeczności. Mówi, że zaleci, abym zaczął pracę od poniedziałku.

Dzień 393

Czwartek, 15 sierpnia 2002

2.00 po południu

Więzień imieniem Hugh zaatakował funkcjonariuszkę w bloku północnym. Kobieta zjawia się w szpitalu z pękniętą kością policzkową. Hugh zostaje natychmiast odtransportowany do więzienia Lincoln i będzie oskarżony o napaść. Funkcjonariuszka mówi Lindzie, że wystąpi o odszkodowanie i że prawdopodobnie dostanie zwolnienie z pracy na co najmniej cztery miesiące.

5.30 po południu

Do North Sea Camp przybywa „Szczęśliwa Kulka” – facet, który twierdził, że wygrał na loterii, i przystąpił do wydawania nieistniejącej wygranej.

7.00 wieczorem

To mój ostatni dzień w roli sanitariusza. Na moje miejsce przychodzi Stephen (dwa lata, oszustwa z podatkiem VAT, 160 000 funtów). Będę pracował w szpitalu w soboty, kiedy Stephen będzie miał wolny dzień, więc zachowam przywilej codziennej kąpieli.

Dzień 396

Niedziela, 18 sierpnia 2002

8.00 rano

Jim (dyżurny w sali gimnastycznej) zawozi mnie do Cambridge, więc mogę spędzić dzień z Jamesem. Mary wciąż jest w Japonii. Kupujemy z Jamesem cztery nowe karpie koi w miejscowym sklepie ogrodniczym. Wolność jest niedoceniona.

5.00 po południu

Wracam do North Sea Camp samochodem Mary i zostawiam go na więziennym parkingu. Będę nim jeździł codziennie do Lincoln i z powrotem. Postanowiłem nie używać swojego BMW 720, żeby nie prowokować dziennikarzy, personelu więziennego i innych więźniów. Siedząc za kierownicą samochodu, czuję się trochę jak Ropuch na motorze, pędzący przed siebie pustą drogą.

Dzień 397

Poniedziałek, 19 sierpnia 2002

9.00 rano

Dziś zaczynam pracę w teatrze i pierwszy raz od roku mam na sobie koszulę i krawat. Nie mogę znaleźć miejsca do parkowania i zjawiam się w teatrze z kilkuminutowym opóźnieniem. Czeka na mnie ponad setka dziennikarzy, fotografów i kamerzystów.

Pierwsze, co mi się rzuca w oczy, to kraty w oknie mojego malutkiego biura.

Kiedy przemierzam ulice w przerwie na lunch, ludzie odnoszą się do mnie życzliwie i z uprzejmością. Trudno mi wyjść o piątej, zjeść coś w przelocie i zdążyć z powrotem na siódmą.

Docieram do North Sea Camp trzy minuty przed czasem. Gdybym się spóźnił, straciłbym wszystkie przywileje pierwszego dnia i prawdopodobnie wysłano by mnie do pracy na farmie.

Dzień 424

Niedziela, 15 września 2002

Mogę teraz co niedziela opuszczać więzienie i jeździć do Grantchester, gdzie spędzam z Mary i rodziną cały dzień.

Dzisiaj, czwartej niedzieli, jesteśmy zaproszeni z Mary na lunch do Gillian i Toma Shephardów w ich domu w Thetford; ma być także kilkoro przyjaciół gospodarzy. Ponieważ Thetford leży po drodze do North Sea Camp i znajduje się w promieniu pięćdziesięciu pięciu mil od niego, postanawiamy jechać osobno dwoma samochodami, żebym po lunchu mógł wrócić do więzienia⁴².

Wyjeżdżamy z Old Vicarage o 12.15 po południu⁴³.

Dzień 434

Środa, 25 września 2002

Pięć idyllicznych tygodni pracy w teatrze. Odbywają się próby musicalu *Annie* z Su Pollard, Markiem Wynterem i Louise English. Ja zajmuję się dziećmi, a zwłaszcza wyszukiwaniem im lokum, kiedy zwiedzają kraj. Moreno jest przekonany, że – w świetle strasznych wydarzeń w Soham – rzeczą najwyższej wagi jest bezpieczeństwo. Spędzam wiele godzin na załatwianiu kwater, w których dziewczynki i ich opiekunki będą się zatrzymywać w każdym z miast.

Dzisiaj o 2.30 po południu uczestniczę w próbie generalnej *Annie* w Klubie Liberalnym i opuszczam aktorów, kiedy Chris Colby kończy czytać swoje uwagi⁴⁴. Życzę im powodzenia i wychodzę kilka minut przed szóstą. Czuję teraz, że należę do zespołu, a ponadto, że wykonuję interesującą pracę.

O szóstej jestem w Bostonie i idę do restauracji „Pod Orłem” na moją ostatnią, o czym wtedy nie wiedziałem, zapiekankę z mięsa i cynaderek.

Kiedy wracam do North Sea Camp, wysoki rangą funkcjonariusz Elsen żąda, żebym poszedł z nim do gabinetu naczelnika. Gorączkowo myślę, co też mogłem zrobić źle. Naczelnik Beaumont i jego zastępca Berlyn czekają na mnie. Naczelnik nie traci czasu i zapytuje, czy w niedzielę piętnastego zatrzymałem się w drodze do więzienia na lunch u członkini parlamentu, pani Gillian Shephard.

– Tak – odpowiadam bez wahania, bo nie uważam Gillian ani jej gości za przestępców.

Beaumont oznajmia mi, że nie dotrzymałem zobowiązania, opuszczając mój dom w Cambridge. I to mimo że pozostawałem w dozwolonym promieniu od więzienia, byłem razem z żoną, nie piłem nic poza sokiem jabłkowym i wróciłem do North Sea Camp przed czasem.

Bez możliwości wytłumaczenia się zostaję odprowadzony do bloku izolacyjnego; nie wolno mi nawet zatelefonować.

Zimne, przynębiające pomieszczenie, długie na pięć i szerokie na trzy kroki, na podłodze przy ścianie cienki materac, metalowa miska do mycia i muszla klozetowa bez klapy.

Dzień 435

Czwartek, 26 września 2002

5.00 rano

Od dziesięciu godzin zamknięcia w celi ani na moment nie zmrużyłem oka.

8.00 rano

Pierwsza odwiedza mnie doktor Razzak, która zapewnia, że poinformuje naczelnika, że nie powinno się mnie przenosić ze względów zdrowotnych⁴⁵.

10.00 rano

Odwiedza mnie Forman (przewodniczący IMB, Niezależnej Rady Monitoringu Więzień) i zapewnia, że nie zostaną przeniesiony, jeżeli moim jedynym wykroczeniem jest uczestnictwo w lunchu u Gillian Shephard.

11.30 rano

Zostaję odprowadzony pod eskortą do naczelnika, żeby wysłuchać orzeczenia. Prędko się okazuje, że wszelkie decyzje podejmuje Narey, dyrektor generalny Służby Więziennej. Kiedy to sobie uświadamiam, pojmuję, że nie ma nadziei na sprawiedliwość.

Naczelnik Beaumont oznajmia, że z powodu niedotrzymania zobowiązania zostaję przeniesiony do więzienia kategorii B w Lincoln, mimo że do tej pory zachowywałem się wzorowo i ani razu nie stawałem do raportu. Beaumont dodaje, że w następstwie artykułu w prasie postawiłem Służbę Więzienną w kłopotliwym położeniu. Gazeta oskarżyła mnie o picie szampana na torysowskim jublu.

– Jaka gazeta? – pytam z głupia frant.

– „Sun” – odpowiada Beaumont, zdradzając, jaką Narey co rano czytuje gazetę i na podstawie jakich artykułów podejmuje decyzje.

W zeszłym tygodniu w North Sea Camp więzień, który wrócił spóźniony i pijany, został pozbawiony wszystkich przywilejów na miesiąc, inny, który wniósł do obozu wódkę, dostał na miesiąc szlaban. Zaledwie tydzień temu więzień o przezwisku Ryży udał się na przepustkę do domu i wrócił trzy dni później. Tłumaczył, że zniewoliła go jego dziewczyna (wzbudziło to zazdrość i wesołość wśród więźniów). Ukarano go tylko zakazem opuszczania North Sea Camp przez krótki okres. Od tamtej pory kilku byłych więźniów skontaktowało się z moją żoną, żeby powiedzieć, że kiedy byli na przepustce do domu, regularnie odwiedzali przyjaciół i rodzinę, zabierali dzieci do parku czy na basen i nigdy nikt nie powiedział słowa, że to wbrew przepisom.

Nie dano mi okazji, żeby się odwołać.

Potem się dowiedziałem, że doktor Walling (główny lekarz więzienny) zaprotestował przeciw umieszczeniu mnie w izolacji i przeniesieniu do więzienia Lincoln. Walling powiedział mi, iż go ostrzeżono, że jeśli publicznie da wyraz swoim opiniom, to jego dni w North Sea Camp będą policzone.

3.45 po południu

Jeden z funkcjonariuszy nazwiskiem Masters jest tak zbulwersowany orzeczeniem, że podchodzi do furgonu Grupy 4, żeby uścisnąć mi rękę.

30 kwietnia 2004

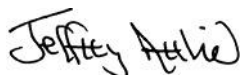
Szanowny Panie Wragg,
**DOCHODZENIE W SPRAWIE ZACHOWANIA KEITHA
BEAUMONTA**

O ile wiem, prowadzi Pan dochodzenie w sprawie zachowania pana Keitha Beaumonta jako głównego naczelnika Więzienia Jej Królewskiej Mości North Sea Camp.

Jak się Pan zapewne orientuje, byłem więźniem North Sea Camp od października 2001 roku do września 2002 roku, kiedy to w trybie natychmiastowym zostałem przeniesiony do więzienia Lincoln przez pana Beaumonta.

Jest kwestią zasadniczą, abym złożył Panu zeznanie w tych sprawach, gdyż sporządzałem w tym czasie notatki na ten temat. W tym celu mogę się stawić w każdej chwili. W ciągu tygodnia można mnie zastać pod wyżej wymienionym numerem telefonu, a podczas weekendu pod numerem 01223840213.

Z poważaniem



Jeffrey Archer

Do wiadomości:

Pan Phil Wheatley, dyrektor generalny Służby Więziennej⁴⁶

1 SMU – ang. *sentence management unit* – wydział zarządzania wyrokami (przyp. tłum.).

2 North Sea Camp składa się z dwóch bloków, północnego i południowego. W każdym mieszka około 110 więźniów.

3 Więzień, któremu założono lokalizator, musi przebywać w domu między 7 wieczór a 7 rano następnego dnia.

4 Z więzienia otwartego nie można uciec, tylko samowolnie się z niego oddalić. Nie ma tu murów, lecz szlaban dla samochodów przy wejściu i publiczna ścieżka na tyłach. Większość więźniów, którzy się oddalają, robi to w ciągu dwóch pierwszych tygodni. Dziewięciu spośród dziesięciu trafia z powrotem do pudła przed upływem czterdziestu ośmiu godzin.

5 Naczelnicy uszeregowani są według pięciostopniowej hierarchii; szefa albo szefową więzienia nazywa się naczelnikiem zarządzającym lub głównym. Najwyższych szarż wciąż jeszcze nie spotkałem.

6 The Wash – płytką zatoką Morza Północnego u wybrzeży Anglii (przyp. tłum.).

7 Ostatecznie Matthew odsiedzi pięć i pół miesiąca.

8 Wielki Szlem (ang. Grand Slam) to wygrana w Pucharze Narodów (sześć najlepszych zespołów świata), Potrójna Korona (ang. Triple Crown) to zdobycie mistrzostwa Wielkiej Brytanii (grają cztery wyspiarskie zespoły narodowe) (przyp. tłum.).

9 Odnosi się to tylko do zakładów karnych kategorii D – więzień otwartych.

10 W oryginale: *two of them solicitors and one a barrister*. W Anglii adwokaci dzielą się na dwie kategorie. Pierwsza to barysterzy (*barristers*), którzy udzielają porad prawnych w sprawach przekazanych im przez solicitorów oraz występują przed sądami. Przed Wysokim Sądem Sprawiedliwości występować może w zasadzie tylko baryster. Druga kategoria to solicitorzy (*solicitors*), którzy załatwiają wszystkie sprawy prawne swych klientów. Występują też przed sądami pokoju i niekiedy przed Sądem Koronnym (przyp. tłum.).

11 Wieczorem 5 listopada pali się kukłę Guya Fawkesa na pamiątkę wykrycia tzw. spisku prochowego w 1605 roku (przyp. tłum.).

12 Colditz – miasto w Niemczech. Podczas drugiej wojny światowej tamtejszy zamek służył jako supertajny obóz dla alianckich jeńców, skąd podejmowano wiele śmiałych prób ucieczek; niektóre były udane (przyp. tłum.).

13 Dwa lata obowiązkowej służby w jednym z rodzajów sił zbrojnych, co przestało obejmować osoby urodzone po 1940 roku.

14 MP, Member of Parliament – członek parlamentu, poseł (przyp. tłum.).

15 MC – Military Cross – Krzyż Wojskowy; DFC–Distinguished Flying Cross – Lotniczy Krzyż Walecznych; DSO – Distinguished Service Order – Order za Ofiarną Służbę (przyp. tłum.).

16 *Daffodil* (ang.) – żonkil, narcyz żółty; w slangu – młoda męska prostytutka lub niewieściuch; *daff* – debil, ćwok, ale również dupa, gówno (irlandzkie) (przyp. tłum.).

17 Herodot, *Dzieje*, t. I, s. 300–301, przeł. Seweryn Hammer, Czytelnik, Warszawa 1959 (przyp. tłum.).

18 Drzwi do pokoju każdego więźnia mają wmontowaną dużą szybę osłoniętą siatką drucianą. Na zewnątrz jest zielona zasłona uniemożliwiająca przypadkowym przechodniom zajrzenie do środka. Jednak wieczorem strażnicy odsuwają zasłonę, żeby sprawdzić, czy pensjonariusz jest w łóżku i nie oddalił się samowolnie z więzienia.

19 New zakazał trzymania w kantynie wszelkich płynów do płukania ust po podobnym wypadku rok wcześniej. Ponieważ Storr kupił swój w poprzednim więzieniu, New wydaje dodatkowe zarządzenie, że nowym więźniom przybywającym do North Sea Camp butelki z takim płynem będą konfiskowane.

20 Jeeves – postać z powieści P.G. Wodehouse’a, kamerdyner, nienaganny, niewzruszony i roztropny dżentelmen, uosobienie człowieka, który zawsze wszystko wie (przyp. tłum.).

21 Rząd odrzucił projekt w marcu 2004.

22 Nigdy nie telefonuję do Mary na jej komórkę, bo wtedy moja dwufuntowa karta zostaje pochłonięta w ciągu paru chwil.

23 W ciągu roku w prasie krajowej nie było żadnej wzmianki o skandalu w Spring Hill.

24 W Belmarsh czarni stanowili około 70 procent więźniów, w Wayland 30 procent, a w North Sea Camp na 211 więźniów mamy czterech czarnych. Nie jestem pewien, czego to dowodzi: możliwe, że więcej czarnych więźniów dopuściło się przestępstw z użyciem przemocy niż oszustw.

25 Więzień, który odsiedzi jedną czwartą kary i zasłuży na miano wzorowego, kwalifikuje się do pracy poza terenem więzienia. Najpierw musi zaliczyć dwie wizyty w mieście bez żadnych incydentów. Potem może się ubiegać o pracę społeczną w charakterze wolontariusza, na przykład w domu starców albo w sklepie Oxfam. Jeżeli uda mu się przepracować w tej roli miesiąc bez żadnych kłopotów, może przejść do pracy zarobkowej, w której otrzyma 200–250 funtów tygodniowo. Dzięki temu będzie mógł wysyłać pieniądze żonie albo partnerce i zgromadzić trochę oszczędności, które mu się przydadzą, kiedy wyjdzie na wolność.

26 Interesujący błąd stylistyczny.

27 Frank przyleciał z Los Angeles do Londynu na mój proces, żeby zaprzeczyć zeznaniu Angie Peppiatt, że byłem w Rzymie z kochanką, kiedy w rzeczywistości byliśmy z Frankiem na Mistrzostwach Świata w Lekkiej Atletyce. Ale nie przypuszczam, żeby zrobiło to jakieś wrażenie na sędzi Pottsie, ponieważ i tak już zdecydował, że jestem winny.

28 Państwo Barkerowie są obecnie w separacji. Pani Barker ustąpiła z komisji do spraw zwolnień warunkowych we wrześniu 2001 roku.

29 Paragraf czwarty statutu Partii Pracy formułujący cele partii (przyp. tłum.).

30 Był bardzo zmartwiony, gdy się dowiedział w zeszłym roku, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zamierza zamknąć to więzienie.

31 Tacy wydawcy chętnie opublikują ci książkę – jeżeli do tekstu załączysz czek na 3000 funtów.

32 W 1987 roku Jeffrey Archer wytoczył proces o zniesławienie gazecie „The Star”. Sędzia urzeczony urodą i postawą Mary Archer nazwał ją „elegantką” i „pachnącą”, i to ostatnie określenie przylgnęło do Mary. Archer proces wygrał i otrzymał wysokie odszkodowanie (przyp. tłum.).

33 Jak już pisałem, w lipcu 2001 roku baronessa Nicholson napisała do sir Johna Stevensa, komendanta stołecznej policji, domagając się „dochodzenia odnośnie do uczestnictwa Jeffreya Archera w sprawie funduszy zebranych i wydanych w ramach kampanii Simple Truth”. Stało się to powodem nie tylko

wszczęcia śledztwa przez policję, ale również długotrwałego i kosztownego dochodzenia, prowadzonego przez KPMG na rzecz Czerwonego Krzyża. Insynuacja baronessy Nicholson, że ukradłem pieniądze zebrane w trakcie kampanii, była nieodpowiedzialna i bezpodstawsna, i 23 stycznia 2002 roku policja zamknęła śledztwo „w związku z... nieprzedstawieniem żadnych dowodów przez informatorkę”.

34 Potem napisał do mnie z wiadomością, że dawna firma przyjęła go z powrotem i potraktowała jego sześciotygodniową nieobecność jako pełnopłatny urlop.

35 Środek przeciwbólowy, o który najczęściej proszą więźniowie, to Kapake, mieszanina paracetamolu i kodeiny. A to dlatego, że w teście narkotykowym kodeina wykazywana jest jako opiat, dzięki czemu można ukryć obecność nielegalnych opioidów. Narkoman może wtedy tłumaczyć, że zażywa Kapake, środek przepisany przez lekarza. Lekarze więzienni starają się obecnie ograniczać zapisywanie tego leku oraz diazepamu, jeżeli więzień brał w przeszłości narkotyki.

36 Leighton nie może sam podjąć decyzji. Nazajutrz informuje mnie, że BBC już się zwróciła do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i otrzymała odmowę.

37 Pełny tekst został opublikowany w „Criminal Law Review” z sierpnia 2003 roku.

38 Byłem przewodniczącym Światowego Związku Snookera do czasu aresztowania, kiedy to zarząd zażądał mojej rezygnacji. Jeszcze dwie inne instytucje wydalily mnie ze swego grona: Royal Society of Arts i Marylebone Cricket Club.

39 Dwóch więźniów oddaliło się samowolnie w pierwszym tygodniu pracy. Obydwu schwytano i odesłano do zakładu kategorii B w Nottingham. Dwóch przyłapano w pubie i skierowano do robót na farmie, natomiast trzech wyrzucono z pracy za niewłaściwe zachowanie – niechciane zaloty do personelu żeńskiego. I to wszystko w pierwszym tygodniu.

40 Większości sprawców przestępstw seksualnych osadzonych w więzieniach otwartych, na wypadek gdyby ich pytano, za co siedzą, podsuwa się inną wersję przestępstwa.

41 Sfotografowali nas. Zdjęcie zostało zamieszczone w „Sunday Mirror” następnego dnia. (Zobacz TUTAJ).

42 Zobacz mapka TUTAJ.

43 Gdy tego wieczoru pisałem powyższe słowa, nie miałem pojęcia, jaki ten lunch okaże się ważny.

44 Kiedy pierwszy raz przekroczyłem próg Klubu Liberalnego, jakiś starszy dżentelmen zauważył: „Więzienie to jedno, Jeff, ale Klub Liberalny?”.

45 Przypuszczam, że Beaumont otrzymał zalecenie doktor Razzak. Jeżeli tak, to je zignorował.

46 Po tygodniu dostałem od Wragga faks, w którym odrzucił moją prośbę. 18 kwietnia 2004 roku Beaumont został zawieszony w swoich obowiązkach aż do zakończenia śledztwa w sprawie jego postępowania jako naczelnika North Sea Camp. 30 kwietnia 2004 roku napisałem do Wragga, przewodniczącego trybunału, z prośbą o zezwolenie złożenia zeznań.

POWRÓT DO PIEKŁA

4.19 po południu

Furgon Grupy 4 wjeżdża w bramę Więzienia JKM Lincoln tuż po 4 po południu. Więzienie jest odległe od tutejszego teatru o niecałą milę, ale równie dobrze mogłoby to być tysiąc mil.

Idę pod eskortą do rejestracji, gdzie spotykam funkcjonariusza nazwiskiem Fuller. Zdumiewa się, co tu robię. Sprawdza zawartość mojej plastikowej torby i pozwala mi zostawić przybory do golenia i parę adidasów. Zapewnia mnie, że resztę rzeczy otrzymam przy przenosinach do innego więzienia albo przy zwolnieniu. Wypełnia kilka formularzy, co trwa ponad godzinę, podczas gdy ja chodzę tam i z powrotem zadymionym korytarzem, usiłując ogarnąć myślą, co się wydarzyło w ciągu minionych dwudziestu godzin. Kiedy zostaje wypełniony ostatni formularz, inny funkcjonariusz prowadzi mnie do dwuosobowej celi w mającym złą sławę skrzydle A.

Gdy wkraczam do głównego bloku, pod moim adresem sypią się szydercze uwagi i przekleństwa. Zatrzymujemy się przed celą czternastą. Otwierają się potężne żelazne drzwi i zatrząskują się za mną. Mój nowy współtowarzysz spogląda na mnie z łóżka, uśmiecha się i przedstawia się imieniem Jason. Gdy rozpakowuję resztki dobytku, Jason mi mówi, że siedzi za ciężkie uszkodzenie ciała. Został swoją żonę w łóżku z mężczyzną i tak go pobił, że ten ledwo uszedł z życiem.

– Żałuję, że nie załatwiłem go do końca – dodaje.

Został skazany na cztery lata.

Jason dalej opowiada, a ja leżę na twardym materacu i wpatruję się w zielony sufit. Mówi, że próbuje się pogodzić z żoną. Zobaczy się z nią pierwszy raz od czasu, kiedy został skazany (dziesięć tygodni temu), w sobotę. Dowiaduję się też, że Jason służył dziesięć lat w lotnictwie wojskowym, dostał trzy medale za udział w wojnie w Zatoce i był bokserskim mistrzem RAF-u w wadze półciężkiej. Opuścił wojsko z nienaganną opinią i ma nadzieję, że to mu pomoże w złagodzeniu zarzutu z usiłowania morderstwa na ciężkie uszkodzenie ciała.

Zapadam w sen, ale tylko dlatego, że przez trzydzieści dziewięć godzin nie zmrużyłem oka.

Dzień 439

Poniedziałek, 30 września 2002

6.00 rano

Podczas kilku ostatnich dni pisałem jak szalony, ale właśnie zastępca naczelnika skonfiskował wszystkie moje zapiski – to tyle, jeżeli chodzi o wolność słowa. Wyraźnie dał mi do zrozumienia, że wprost z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dostał polecenie, aby zapobiec wysyłaniu wszelkich moich tekstów poza mury więzienia. Spisuję ponownie jeden dzień i ten tekst przesyłam – co nie będzie trudne, skoro blisko stu więźniów siedzi tu w areszcie śledczym i co dzień opuszczają więzienie, żeby się stawić w sądzie.

8.00 rano

Po śniadaniu zostaję zaplombowany w celi i zdany na towarzystwo Jasona przez następnych osiem godzin.

6.00 wieczorem

Marsh, wyższy rangą funkcjonariusz, który odznacza się rzadką umiejętnością panowania nad sytuacją, otwiera drzwi i mówi, że mam spotkanie z szefem regionu¹. Idę pod eskortą do osobnego pomieszczenia, gdzie zostaję przedstawiony panu Spurrowi i pani Stamp. Spurr tłumaczy, że powierzono mu przeprowadzenie dochodzenia w mojej sprawie. Nie jest to jakaś wielka niespodzianka, skoro w ostatnich czterech dniach dostałem około 600 listów (wszystkie zatrzymano) z wyrazami oburzenia na decyzję dyrektora generalnego.

Inteligentne pytania Spurra przekonały mnie, że szczerze pragnie naprawić krzywdę. Opowiadam, co się naprawdę wydarzyło.

W piątek 27 września Służba Więzienna ogłosiła, że wysunięto wobec mnie „dalsze poważne zarzuty”. Jak się okazało, chodzi o lunch w restauracji Zucchiniego w Lincoln (blisko teatru), który spożyłem w towarzystwie Paula Hockinga, starszego funkcjonariusza oddziału ochrony w North Sea Camp, i policjantki Karen Brooks z komendy policji Lincolnshire.

Wyjaśniłem Spurrowi, że z mojej strony jedynym celem tego spotkania było podzielenie się własnymi spostrzeżeniami o narkokulturze w więzieniach brytyjskich z Karen Brooks, która niedawno wróciła do pracy w wydziale do spraw narkotyków policji hrabstwa Lincoln. W końcu w przeszłości miałem kilka spotkań z Hockingiem i Brooks związanych ze sprawą narkotyków. Nie wiedziałem, że funkcjonariusze więzienni nie powinni spożywać posiłków z więźniami, zresztą skąd mógłbym to wiedzieć. Poza tym, kiedy starszy rangą funkcjonariusz prosi więźnia o spotkanie, nawet w kontekście towarzyskim, rozsądny więzień nie będzie tego kwestionował.

Jeżeli chodzi o Hockinga, to z przykrością się dowiedziałem, że 27 września został zmuszony do natychmiastowej rezygnacji z pracy w Służbie Więziennej pod groźbą utraty emerytury w razie odmowy². Karen Brooks miała więcej szczęścia. Jej rola została poddana szczegółowemu śledztwu przez głównego inspektora Gossage'a i sierżanta Kenta z policji Lincolnshire i Karen Brooks nadal pełni służbę. Inspektor Gossage i sierżant Kent przesłuchiwali mnie podczas późniejszego śledztwa w sprawie lunchu i wyraźnie dali mi do zrozumienia, że ich zdaniem Służba Więzienna postąpiła pochopnie i niewspółmiernie surowo, przenosząc mnie do więzienia Lincoln.

Na odchodnym Spurr zapewnia mnie, że postara się jak najszybciej sporządzić raport, chociaż musi jeszcze przesłuchać kilka osób. Powtarza, że pragnie, aby naprawiono krzywdę wobec każdego więźnia, którego potraktowano niesprawiedliwie.

Dopiero po pewnym czasie się dowiedziałem, że „Daily Mail” doniosła, iż minister spraw wewnętrznych zmusił Nareya do podjęcia decyzji o przeniesieniu mnie do więzienia Lincoln.

Kolejność wydarzeń, jeśli mogę to ustalić, wyglądała następująco: Z gazety „Sun” zatelefonowano do biura Martina Nareya w środę 25 września wieczorem, a nazajutrz „Sun” zamieścił mocno ubarwiony opis lunchu u Gillian Shephard. To sprowokowało ministra spraw wewnętrznych do wysłania niezwyklego faksu (zobacz poniżej) do Martina Nareya z żądaniem, żeby podjął wobec mnie „natychmiastowe i stanowcze kroki dyscyplinarne”. Narey, który przedtem przeciwstawiał się zakusom dziennikarzy usiłujących dowieść, że cieszę się wyjątkowymi przywilejami, ugiął się i polecił Beaumontowi bezzwłocznie przenieść mnie do więzienia Lincoln. Narey wystąpił także w kilku programach telewizyjnych i radiowych z krytyką pod moim adresem, nie szczędząc osobistych uwag, co „Independent on Sunday” określił jako „bezprecedensowy atak na konkretnego więźnia”, szczególnie w świetle późniejszych obłudnych zapewnień, że Służba Więzienna „nie jest w stanie dyskutować szczegółowo na temat poszczególnych więźniów z osobami trzecimi”.

Osobiste i poufne

Od: Ministra Spraw Wewnętrznych

Queen Anne's Gate

Dnia 26 września 2002

Martin Narey

Drogi Martinie,

Byłbym wdzięczny, gdybyś mi złożył osobiście relację o dwóch incydentach, w których sprawie prowadzisz dochodzenie w związku z Jeffreyem Archerem.

Jeżeli którykolwiek z tych incydentów jest prawdziwy, oczekuję od Ciebie podjęcia natychmiastowych i stanowczych kroków dyscyplinarnych.

Jestem zdegustowany i zmęczony czytaniem opowieści o komfortowych warunkach, w jakich Jeffrey Archer został umieszczony, wolności, jaką mu się umożliwiała, okazjach, jakie mu się stwarza, żeby robił, co mu się podoba, i tym, że nam wszystkim gra na nosie.

Łączę pozdrowienia



David Blunkett

Beaumont naraził się na jeszcze większe kłopoty: nie zapytał mnie o lunch w restauracji, a więc nie mógł na tej podstawie wydać polecenia przeniesienia mnie. Zawiadomienie o przeniesieniu, które podpisał, po prostu stwierdzało: „W następstwie poważnych zarzutów relacjonowanych w mediach i potwierdzonych przez Pana, że w dniu 15 września 2002 roku uczestniczył Pan w przyjęciu, zamiast spędzić dzień w miejscu zamieszkania w Cambridge z żoną, nie jest właściwe, aby pozostawał Pan dłużej w więzieniu JKM North Sea Camp”.

Moja przepustka *nie* ograniczała mnie do przebywania w moim domu w Grantchester. Jednak w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych rozpowszechniono e-mail o treści: „Więzenie (North Sea Camp) wydało J.A. przepustkę uprawniającą do wizyty w domu, ale z zastrzeżeniem, że nie powinien udawać się nigdzie indziej. W świetle tego naruszył on warunki przepustki i stanie przed naczelnikiem w celu wydania orzeczenia”. W tym czasie moja więzienna „księga przepustek” (rejestr zachowywany w więzieniu, odnotowujący wszystkie zwolnienia więźnia na przepustkę) nie zawierała takich klauzul, nigdy też naczelnik nie orzekał, że takie klauzule naruszyłem.

Później Spurr napisał w liście, że „nie był w stanie odnaleźć” owej księgi, kiedy prowadził dochodzenie w sprawie mojego przeniesienia, co uznał za fakt „godny ubolewania”. Można się zastanawiać, dlaczego i w jaki sposób zniknęła. Jednakże Narey polecił mi, żebym więcej nie pisał do niego na ten temat, ponieważ sprawa została zamknięta.

Dzień 444

Sobota, 5 października 2002

5.52 rano

To jest mój dziesiąty dzień w więzieniu Lincoln.

6.01 rano

Sprawa publikacji pierwszego tomu *Dzienników więziennych – Belmarsh: Piekło* wiadomością numer jeden w mediach. Fakty są uczciwie relacjonowane. Wydaje się, że nikt nie sądzi, by Ministerstwo Spraw Wewnętrznych próbowało nie dopuścić do tej publikacji. Jednakże dyrektor generalny sprawdza, czy nie złamałem jakichś więziennych przepisów. Pana Nareya szczególnie niepokoi podawanie nazwisk więźniów. Używam nazwisk więźniów, gdy są ważnymi postaciami występującymi w dzienniku i tylko jeśli udzielają mi pozwolenia³.

Przedstawiciel Związku Funkcjonariuszy Więziennych stwierdził w programie *Today*, że ponieważ ukrywałem się przez cały dzień w celi, nie będę miał do powiedzenia o więzieniach nic godnego uwagi. Może byłoby mądrzej, gdyby otworzył usta po przeczytaniu książki, dowiedziawszy się, jak jego koledzy skorzystali z moich doświadczeń.

7.32 rano

Otwierają się drzwi celi i zostaję przeniesiony ze skrzydła A do skrzydła J. Uważa się to za przywilej dla tych wybrańców, którzy pracują w kuchni. Cele są o wiele czystsze i wyposażone w telewizory. Moim nowym towarzyszem jest już niepalący więzień imieniem Stephen (ma trzydzieści dziewięć lat), najważniejszy w kuchni.

Stephen odsiadyuje siedmioletni wyrok za przeschmuglowanie półtorej tony marihuany do Anglii. Jest inteligentnym człowiekiem, który kieruje zarówno skrzydłem, jak i kuchnią z wdziękiem i przykładnie.

8.00 rano

Strażnicy prowadzą grupę czternastu więźniów do kuchni. Tylko dwóch z pięciu, którzy zgłosili się na test narkotykowy wczoraj wieczorem, jest nadal w tej grupie.

Wyznaczają mnie do pracy w obieralni warzyw. Mam pomagać dwudziestotrzylatkowi o imieniu Lee, który tak dobrze radzi sobie ze wszystkim – krojeniem ziemniaków i cebuli, tarciami sera i gniecieniem brukwi – że jestem tylko

jego nieudolnym pomocnikiem. Mój brak wprawy zdaje się go nie martwić.

Funkcjonariusz zarządzający kuchnią, Tasker, okazuje się jednym z najprzystojniejszych i najbardziej profesjonalnych ludzi, z jakimi miałem do czynienia, od kiedy mnie uwięziono. Jego kuchnia przypomina lotnisko w Singapurze: można tu jeść z podłogi. Zadaje sobie wiele trudu, żeby mi wyłożyć, iż dysponuje tylko kwotą 1 funta i 27 pensów na trzy posiłki dla jednego więźnia. W tej sytuacji to, co osiągnął on i jego personel, graniczy z cudem.

Dzień 450

Piątek, 11 października 2002

7.30 rano

Wyjątkowo nadgorliwy, prostacki funkcjonariusz otwiera drzwi celi i rzuca mi jakieś papiery. Oznajmia z wyraźną przyjemnością, że o 4 po południu zostanie wniesione przeciwko mnie oskarżenie.

Kilkakrotnie czytam te papiery. Nie mam przecież dużo do roboty. Wydaje się, że publikując *Dzienniki więzienne*, złamałem przepis 51 paragraf 23 regulaminu więziennego, „nazywając personel tak, że może zostać zidentyfikowany”, co jest sprzeczne z przepisem 5 paragrafem 34 (9) (d).

8.10 rano

Kiedy wychodzę z celi do pracy w kuchni, dziwię się na widok czekających na mnie Spurra i pani Stamp. Prowadzą mnie do bocznego pokoju. Spurr mówi mi, że zakończył śledztwo i że w przyszłym tygodniu zostanę przeniesiony do Hollesley Bay (kategoria D). Czy pamiętacie słowa naczelnika Lewisa: „Cokolwiek byś robił, unikaj Hollesley Bay”...?

10.30 rano

Robię przerwę w obieraniu ziemniaków, nie żebym miał się czym chwalić. Spostrzegam, że Tasker siedzi w swoim biurze i czyta „Daily Mail”. Przywołuje mnie skinieniem i poleca mi zamknąć drzwi.

– Właśnie czytałem o pańskim pobycie w Belmarsh – mówi, uderzając palcem w środkowe strony – i widzę, że sugeruje pan, że siedemdziesiąt procent więźniów używa narkotyków, a w tym aż trzydzieści procent to heroiniści. – Unosi

twarz ze zbolalą miną i dodaje: – Myli się pan.

Nie komentuję, spodziewając się, że odrzuci moje twierdzenia i przypomni oficjalne statystyki, zawsze ilekroć wspomniany jest problem narkotyków, powtarzane do znudzenia przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

– Jakiego pana zdaniem jest najbardziej popularne zajęcie w więzieniu? – pyta Tasker, składając gazetę.

– Niewątpliwie praca w kuchni – odpowiadam. – Z oczywistych powodów.

– Racja – mówi. – Każdego dnia przynajmniej pięciu osadzonych stara się o pracę w kuchni. – Milknie, pociąga kilka łyków kawy i dodaje: – Czy poddał się pan wczoraj badaniu pod kątem narkotyków?

– Tak – odpowiadam. – Wraz z czterema więźniami.

– I ilu z was zaproszono do kuchni?

– Tylko Phila i mnie.

– Zgadza się, ale nie wie pan, że mam prawo zatrudnić w kuchni dwudziestu jeden więźniów, a obecnie jest ich tylko siedemnastu. – Pociąga łyk kawy. – Ani razu podczas ubiegłych dziesięciu lat nie udało mi się zapełnić wszystkich wakatów, mimo że nigdy nie mamy tu mniej niż siedmiuset osadzonych. – Tasker podnosi się z krzesła. – Nie jestem matematykiem – powiada – ale myślę, że uzna pan, iż siedemnastu z siedmiuset nie stanowi trzydziestu procent.

3.00 po południu

Ten sam nadgorliwy, prostacki gbur, który rano otworzył drzwi mojej celi, wraca, żeby zabrać mnie z kuchni i zaprowadzić do izolatki. Tym razem tkwię tam tylko około czterdziestu minut, po czym zostaję zawleczony przed oblicze Peacocka, głównego naczelnika. Peacock siedzi u szczytu stołu z zastępcą naczelnika po prawej i funkcjonariuszem z mojego skrzydła z lewej. Tamten drab stoi za mną i czuwa, na wypadek gdybym chciał zwiać. Naczelnik odczytuje zarzut i pyta, czy przyznaję się czy nie do winy.

– Nie jestem pewien – odpowiadam. – Nie jest dla mnie jasne, jakie popełniłem przestępstwo.

Wtedy pokazują mi cały więzienny regulamin. Z pewnym zdziwieniem mówię, że wręczałem każdą stronę dziennika *Belmarsh: Piekło* więziennemu cenzorowi, a on był tak uprzejmy, że przysyłał je wszystkie mojej sekretarce i nigdy nie sugerował, że popełniam przestępstwo. Naczelnik jest, jak należało oczekiwać, zakłopotany, kiedy proszę, żeby spisywano każde moje słowo. Robi to.

Peacock zwraca uwagę, że każdy osadzony ma dostęp do regulaminu więziennego w bibliotece.

– Tak, ale każdy, kto czytał mój dziennik – a przed naczelnikiem na stole leży egzemplarz *Belmarsh* – wie, że tam nie wolno mi było odwiedzać biblioteki

i że nie miałem dostępu do zajęć edukacyjnych. – Wskazuję mu akapit na odnośnej stronie. Przynajmniej ma na tyle przyzwoitości, że się uśmiecha, dodając, że nieznajomość prawa nie jest usprawiedliwieniem.

Potem Peacock zwraca się do funkcjonariusza mojego skrzydła, żeby złożył raport.

– Archer FF8282 pracuje w kuchni i jest uprzejmym, kulturalnym więźniem z przeszłością wolną od narkotyków i przemocy.

Naczelnik zapisuje także te słowa, po czym chrząka i wydaje wyrok.

– Utrata przywilejów na okres czternastu dni i dostępu do kantyny w tym samym czasie – naczelnik robi krótką pauzę – z zawieszeniem na sześć miesięcy.

Wstaję, dziękuję mu i wychodzę. Mam wrażenie, że ucieszy się, widząc moje plecy. Ale ważniejsze, że nie odebrano mi statusu więźnia kategorii D, co dowodzi, że nie mieli powodu, żeby mnie tutaj wysłać.

Upłynie jeszcze sześć dni, zanim zostaną przeniesiony do Hollesley Bay w Suffolk, i nawet to proste przedsięwzięcie potrafią spartaczyć.

Dzień 457

Piątek, 18 października 2002

6.00 rano

Wstaję i pakuję swój dobytek do więziennej plastikowej torby, przygotowując się do następnej przeprowadzki, niczym ktoś, kto opuszcza nędzny motel pod koniec deszczowych wakacji. Zbierając swoje rzeczy, gawędzę z kumplem spod celi, Stephenem (marihuana, siedem lat), który mówi mi, że przyznano mu status D i że ma nadzieję na rychłe przeniesienie do North Sea Camp.

7.00 rano

Drzwi cel w naszym skrzydle zostają otwarte i Stephen ze swoją załogą udają się pod eskortą do kuchni do całodzienniej pracy. Niezgrabnie dziękuję Stephenowi za uprzejmość i pomoc w ciągu ostatnich dziesięciu dni i życzę mu szybkich przenosin.

8.07 rano

Drzwi celi otwierają się z impetem ostatni raz i ukazuje się w nich młody strażnik. Bez słowa eskortuje mnie do rejestracji. To długa podróż, ponieważ muszę wlec ze sobą dwie wielkie, ciężkie plastikowe torby, i chociaż wielokrotnie przystaję, funkcjonariusz nie próbuje mi pomóc.

Kiedy wreszcie docieramy do recepcji, zostaję umieszczony, co nieuchronne, w poczekalni. Od czasu do czasu wzywa mnie niejaki Fuller, żebym podpisał formularze i skontrolował zawartość innych sześciu plastikowych toreb, które trzymano pod kluczem. Wypełniają je prezenty – głównie książki – w ostatnich trzech tygodniach przesłane przez sympatyków. Osobno odkładam te, które można ofiarować bibliotece (z dziewięcioma Bibliami łącznie), ale wciąż zostają mi cztery pełne torby, które muszą pojechać ze mną do Suffolk.

Mija kolejne trzydzieści minut, nim wypełnię ostatni formularz i mogę się udać do następnego miejsca przeznaczenia. Tymczasem wracam do poczekalni.

10.19 rano

W korytarzu pojawiają się dwaj młodzi funkcjonariusze z Grupy 4. Mają towarzyszyć mnie i dwóm innym więźniom w wydobyciu się z tej diabelskiej nory – nie żeby czarci pełniący strażę byli niezyczliwi. W istocie, z jednym chamskim wyjątkiem, byli pomocni i przyjacielscy.

Funkcjonariusze Grupy 4 pomagają mi wnieść niekończący się ciąg moich plastikowych toreb, a potem zostaję zamknięty w małym boksie kolejnej „sauny”. Siedzę skulony w milczeniu, czekając na „rozkaz wymarszu”.

11.49 rano

Wolno otwierają się wrota sterowane elektronicznie i furgon wytacza się na główną drogę. Patrząc przez przyciemnione okienko i widzę kilku fotografów pstrykających zdjęcia. Jedyne, co zdołają uchwycić, to zaciemnione okno.

Tkwię w małym boksie, chociaż jako więzień kategorii D mam prawo zostać zawieziony do Hollesley Bay przez żonę naszym rodzinnym samochodem. Ale Ministerstwo Spraw Wewnętrznych to też udaremniło.

Przez następnych pięć godzin gnieźdźę się w ciasnocie, mając do dyspozycji dwa nieświeże sandwicze i butelkę wody, a tymczasem furgon przemierza cztery hrabstwa w niekończącej się podróży do miejsca gdzieś na wybrzeżu Suffolk.

3.19 po południu

Furgon w końcu dojeżdża do Hollesley Bay i zatrzymuje się przed przysadzistym budynkiem z cegły. Nasza trójka wysiada i pod eskortą ruszamy do

repcji. Znowu wypełnianie formularzy i sprawdzanie bagażu – decydowanie, co możemy, a czego nie możemy posiadać.

W trakcie kontroli moich plastikowych toreb dyżurny funkcjonariusz niechcący zdradza wszystko, rzucając niewinną uwagę: „Po raz pierwszy rejestruję kogoś z Lincoln”. Co gorsza, dwaj inni więźniowie, którzy przybyli ze mną, mają tylko dwa i trzy tygodnie do odsiadki przed zakończeniem wyroku. I mimo że mieszkają w północnym Yorkshire, zostali przesiedleni, gdyż Ministerstwo Spraw Wewnętrznych było skłonne skomplikować im życie tylko po to, żebym nie mógł odbyć tej podróży samochodem.

Gdy zostają załatwione czynności papierkowe, inny funkcjonariusz prowadzi mnie do bloku północnego i zostawia w pojedynczej celi.

I znów zaczynam się rozpakowywać. I znów muszę od nowa się urządzać. I znów poddany zostanę procesowi adaptacji. I znów będę musiał znosić niekończące się docinki, spojrzenia pełne urazy i nieustannie mieć się na baczności. I znów będę musiał znaleźć sobie pracę.

I znów...

1 Szef regionu ma nadrzędną pozycję wobec naczelnika więzienia i może mieć w swojej gestii nawet do pięćdziesięciu zakładów karnych. Podlega bezpośrednio zastępcy dyrektora generalnego więziennictwa.

2 Po zawieszeniu Beaumonta Hocking zwrócił się do sądu z zażaleniem, że został zmuszony do rezygnacji przez Beaumonta pod groźbą wyrzucenia z pracy. Ale kto zmusił Beaumonta?

3 Po dwóch latach i po wydaniu dwóch dalszych tomów *Dzienników więziennych* nie otrzymałem ani jednego listu z pretensjami od więźnia czy funkcjonariusza więziennego, chociaż w ostatnich trzech latach napłynęło do mnie około 16 000 listów.

EPILOG

Podczas ostatnich czternastu miesięcy pisałem dwa tysiące słów dziennie, w sumie napisałem ich blisko milion, co zaowocowało wydaniem trzech tomów dzienników.

Chociaż Hollesley Bay okazało się zupełnie inne niż North Sea Camp, to nie na tyle niepodobne, żeby zasłużyć na czwarty dziennik. Jest wszakże jedna istotna różnica, o której warto wspomnieć. Hollesley Bay to więzienie otwarte, a nie zakład przystosowawczy. Najwyraźniej wybrano je po to, żebym nie mógł pracować poza jego terenem. Kiedy zakończyłem okres wstępny, dyrektor Genesis, projektu Mencap¹ w Ipswich, zaproponował mi pracę. Jego oferta została odrzucona przez Jonesa, naczelnika więzienia, mimo że w tym czasie pracowało tam trzech innych więźniów. Poskarżyłem się więziennemu rzecznikowi praw obywatelskich na tę rażącą dyskryminację, ale odpowiedział, że nie jest upoważniony do zmiany decyzji naczelnika.

Niechętnie przyjąłem funkcję więziennego bibliotekarza z wytycznymi Jonesa, żeby „nakłonić więcej więźniów do czytania”. W pierwszym tygodniu mojej pracy w bibliotece wypożyczono trzydzieści dwie książki, w ostatnim, osiem miesięcy później – dziewięćdziesiąt jeden.

Jednakże, ponieważ biblioteka była otwarta dla więźniów tylko od 12.30 do 1.30 i od 6 do 7 wieczorem, zostawało mi mnóstwo godzin bez zajęcia. Odłożenie co dzień na półki dwudziestu czy trzydziestu książek nie zabiera znowu tak dużo czasu. Mogłem zająć te martwe godziny pisaniem czwartego dziennika, ale jak już wspomniałem, czułem, że nie dałoby to wiele.

W tych pierwszych miesiącach w Hollesley Bay redagowałem *Dziennik więzienny II – Wayland: Czyściec* i co tydzień przemyślałem tekst na zewnątrz przy pomocy więźnia, który pracował w Ipswich. Jednak nawet to absorbujące zadanie nie zajmowało mi całego wolnego czasu.

Następnie zabrałem się do napisania dziewięciu nowelek na podstawie opowieści zasłyszanych w czterech więzieniach. Ten zbiorek ukaże się w 2005 roku pod tytułem *Zasłyszane w kiciu i gdzie indziej*. Niestety, nawet to zadanie, mimo kilku przeróbek, zajęło mi czas tylko do Bożego Narodzenia, pozostawiając sześć beczynnych miesięcy do chwili wyjścia na wolność.

Dopiero śmierć starego przyjaciela skłoniła mnie do działania, które mojemu życiu znowu nadało pewien cel...

Kilka miesięcy przed moim procesem byłem na lunchu u Mosimanna z Chrisem Brasherem i wspólnym przyjacielem Johnem Bryantem. Celem lunchu – a Chris zawsze miał jakiś cel – było, po pierwsze, nakłonienie mnie, żebym wziął udział w Maratonie Londyńskim i spróbował pobić rekord świata, jeżeli chodzi o wysokość sumy zebranej przez jedną osobę na cele charytatywne w tej imprezie (1 166 212 funtów), a po drugie, żebym napisał mój pierwszy scenariusz.

Podczas gdy udział w maratonie trzeba było odłożyć na później ze względu

na rozwój wypadków, nagle dysponowałem wolnym czasem na napisanie scenariusza. Chris Brasher znał też temat, do którego miałbym się zabrać, i opowiedział mi historię George'a Mallory'ego, Anglika, który w 1924 roku, wspinając się na Mount Everest, wszedł na wysokość 800 stóp od szczytu ubrany w garnitur z kamizelką, ze zwojem liny na jednym ramieniu, ważącym pięćdziesiąt pięć funtów plecakiem na grzbiecie, z czekanem w jednym ręku i zwiniętą parasolką w drugim.

O 12.50 17 czerwca (Dzień Wniebowstąpienia) Mallory'ego i jego młodego towarzysza Sandy'ego Irvine'a spowiała chmura i nikt ich więcej nie widział.

Czy Mallory był pierwszym człowiekiem, który zdobył Mount Everest?

Przedwczesna śmierć Chrisa Brashera sprawiła, że wróciło wspomnienie tamtego lunchu.

Postanowiłem przystąpić do realizacji jego drugiego pomysłu.

Dzień 725

Poniedziałek, 21 lipca 2003

5.09 rano

Dobrze spałem i wstałem wcześniej, żeby wziąć prysznic. Pakuję się, żeby nie stracić ani chwili, kiedy mnie wezwą przez głośniki do rejestracji.

Jestem wzruszony, że tak wielu więźniów przychodzi do mnie dziś rano, żeby uściskać mi dłoń i życzyć powodzenia. Jednak nie jest prawdą, jak podawał jeden z brukowców, że opuszczałem więzienie w asyście gwardii honorowej.

7.00 rano

Moje ostatnie śniadanie w więzieniu – płatki kukurydziane i mleko. Nie mogę się powstrzymać, żeby co kilka minut nie spoglądać na zegarek.

8.09 rano

Wzywają mnie do rejestracji, gdzie – co nie jest niespodzianką – czeka na mnie sterta papierów do wypełnienia.

W końcu moje dokumenty zwolnienia podpisuje Swivenbank, który nie kryje uśmiechu, wręczając mi regulaminowe czterdzieści funtów. Wkładam banknoty do stojącego na kontuarze pudełka na cele dobroczynne, wymieniam uścisk ręki

z obydwoma funkcjonariuszami i odchodzę, z siódmą wersją scenariusza pod pachą i ukrytą w kieszeni płytą kompaktową z nagraniem piosenki wykonanej przez Siedem Grzechów Głównych na moim przyjęciu pożegnalnym poprzedniego wieczoru. (Zobacz poniżej).

Will czeka na mnie w samochodzie zaparkowanym przy tylnym wyjściu. Jedzie wolno między tłumem dziennikarzy, którzy roją się po obydwu stronach drogi. Właśnie kiedy przyśpiesza i myślę, że zostawiliśmy ich za sobą, dostrzegamy krążący nad nami śmigłowiec z ekipą wiadomości Sky Television oraz trzy motocykle z kamerzystami przyklejonymi do tylnych siodełek, a tuż za nimi trzy samochody. Will ani razu nie przekracza dozwolonej szybkości w drodze do domu w Grantchester.

Kiedy zajeżdżamy przed Old Vicarage, Mary wybiega mi na powitanie. Wygłaszam krótkie oświadczenie dla prasy.

Oświadczenie Jeffreya Archera

Pragnę podziękować mojej żonie Mary i moim synom Williamowi i Jamesowi za ich niezłomne i bezgraniczne poparcie w tym nieszczęśliwym okresie mojego życia.

Chciałbym też podziękować wielu moim przyjaciołom, którzy zadali sobie trud i odwiedzili mnie w więzieniu, oraz tym licznym osobom, które przysyłały mi listy, kartki i prezenty.

Nie będę udzielał żadnych wywiadów w bliskiej przyszłości.

Jednak przyjąłem zaproszenie, żeby przemawiać na konferencji Ligi Howarda na rzecz Reformy Systemu Karnego w oksfordzkim New College we wrześniu i zgodziłem się poprowadzić kilka aukcji na cele dobroczynne w okresie przed świętami Bożego Narodzenia.

Od tamtej pory nie udzieliłem żadnego wywiadu dziennikarzom ani nie wystąpiłem w prasie ani w telewizji.

W ciągu ostatniego roku po wystąpieniu w New College przemawiałem na spotkaniach kilkunastu instytucji i organizacji, jak Towarzystwo Disraelego, Thirty Club, sportowy Hawks Club i Stowarzyszenie Adwokatów Prawa Karnego oraz Trinity College w Oksfordzie.

Prowadziłem również dwadzieścia aukcji na cele dobroczynne, na których zebrano milion funtów z okładem, i biegłem w maratonie Flora London (5 godzin 26 minut), gdzie przegonił mnie wielbłąd, budka telefoniczna, tort i idąca spacerkiem dziewczyna.

Większość wolnego czasu poświęciłem na zbieranie materiałów do mojej następnej powieści i kontynuację pracy nad scenariuszem *Mallory: poza skraj mapy*.

1 Mencap – angielska organizacja charytatywna, zajmująca się dziećmi i dorosłymi cierpiącymi na upośledzenia zdolności uczenia się (przyp. tłum.).



JEFFREY

(na melodię *Daniela* Eltona Johna)

Jeffrey wybywa i już go nie ma,
na wieczne nigdy robi wam siema;
Prasowe hieny krążą wokół
Hej, czyżby Jeffrey miał łezkę w oku?

Odrobiłeś swój wyrok w piekle na dole;
Brachu, wywal teraz, co chcesz, temu kapo.
Przywal mu słowem, bo nie możesz łapą;
Niech się pieprzą, teraz ty jesteś idolem¹.
1 Wiersz w przekładzie Katarzyny Bratkowskiej.

POSTSCRIPTUM

W ciągu minionego roku wiele osób mnie pytało, do podjęcia jakich reform bym namawiał Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Uważam, że minister spraw wewnętrznych mógłby wprowadzić niewielkim kosztem trzy zmiany, które przyniosłyby dużo pożytku społeczeństwu.

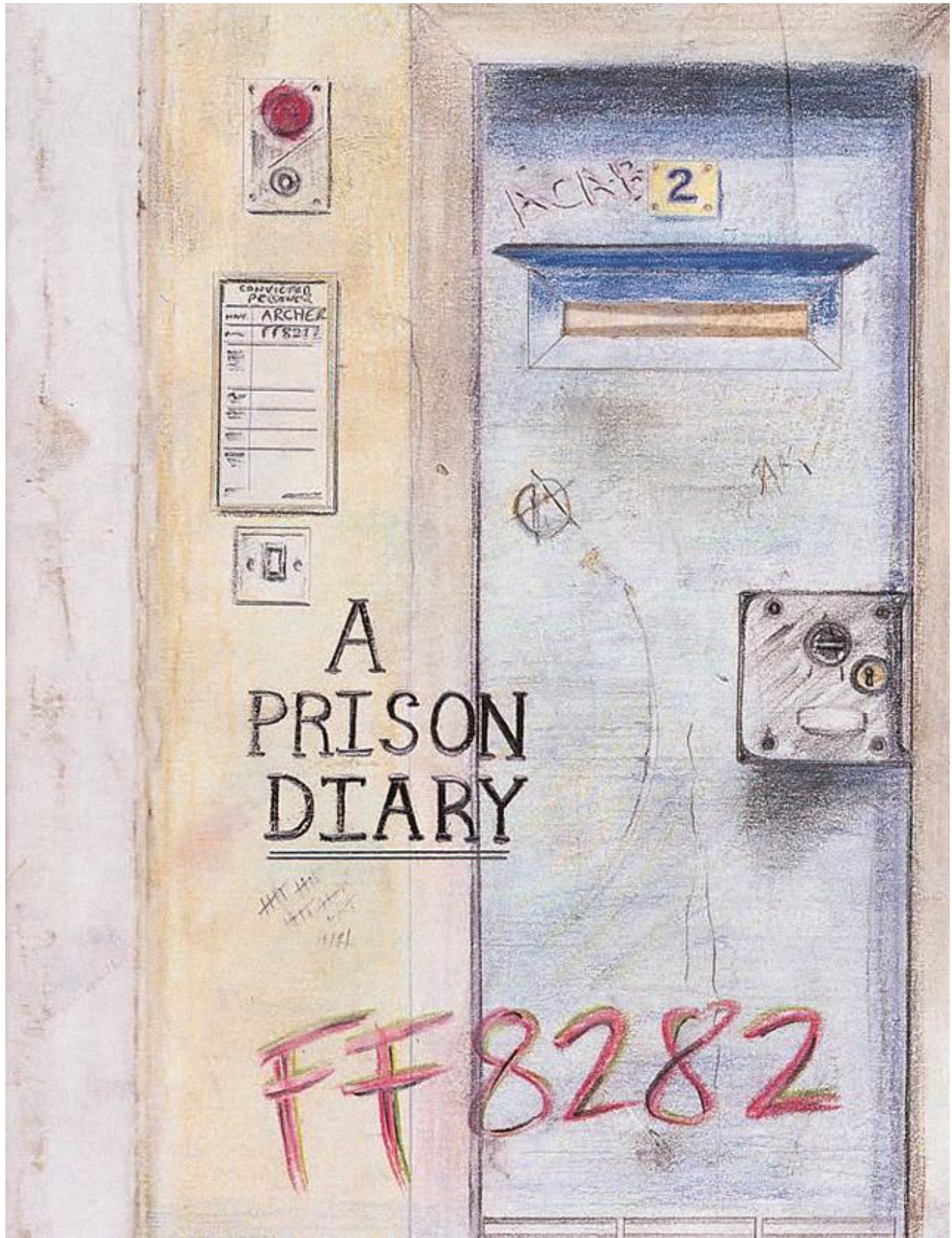
Podczas procesu podsądni powinni zostać zaliczeni do kategorii A, B, C bądź D. Dzięki temu osoby wcześniej niekarane, które nie popełniły przestępstwa z użyciem przemocy i nie miały związku z narkotykami, można by wysyłać od razu do więzienia otwartego, gdzie miałyby mniej okazji do zetknięcia się z zawodowymi przestępcami, brutalnymi bandytami i narkomanami.

Kara za palenie marihuany w więzieniu nie powinna być taka sama, jak za używanie heroiny. Powstrzymałoby to pewną liczbę palaczy marihuany, którzy palą tylko w towarzystwie, przed przerzuceniem się na heroinę z tego jedynie powodu, że marihuana jest obecna w krwiobiegu przez dwadzieścia osiem dni, podczas gdy heroinę można wypłukać, pijąc dużo wody, w ciągu dwudziestu czterech godzin, co pozwala uniknąć niekorzystnego wyniku obowiązkowego testu narkotykowego.

Płaca więźniów za wszystkie rodzaje pracy w więzieniu powinna być powszechna i unormowana, i takiej samej wysokości dla tych, którzy wybierają zajęcia edukacyjne. Gdyby więźniowie wiedzieli, że opłaci im się uczyć czytać i pisać, zdobyć świadectwo ukończenia szkoły średniej albo nawet dyplom studiów wyższych, być może nie tylko podjęliby naukę, ale po wyjściu na wolność nie popełniliby następnego przestępstwa.

Gdyby przyjęto te trzy propozycje, miałbym poczucie, że moje dwa lata w więzieniu nie poszły całkiem na marne.

ILUSTRACJE



A
PRISON
DIARY

HT 24
HT 24
111

FF8282

Alternatywna okładka autorstwa Shauna



JIMMY
kapitan wszystkiego



DALE
Big Mac

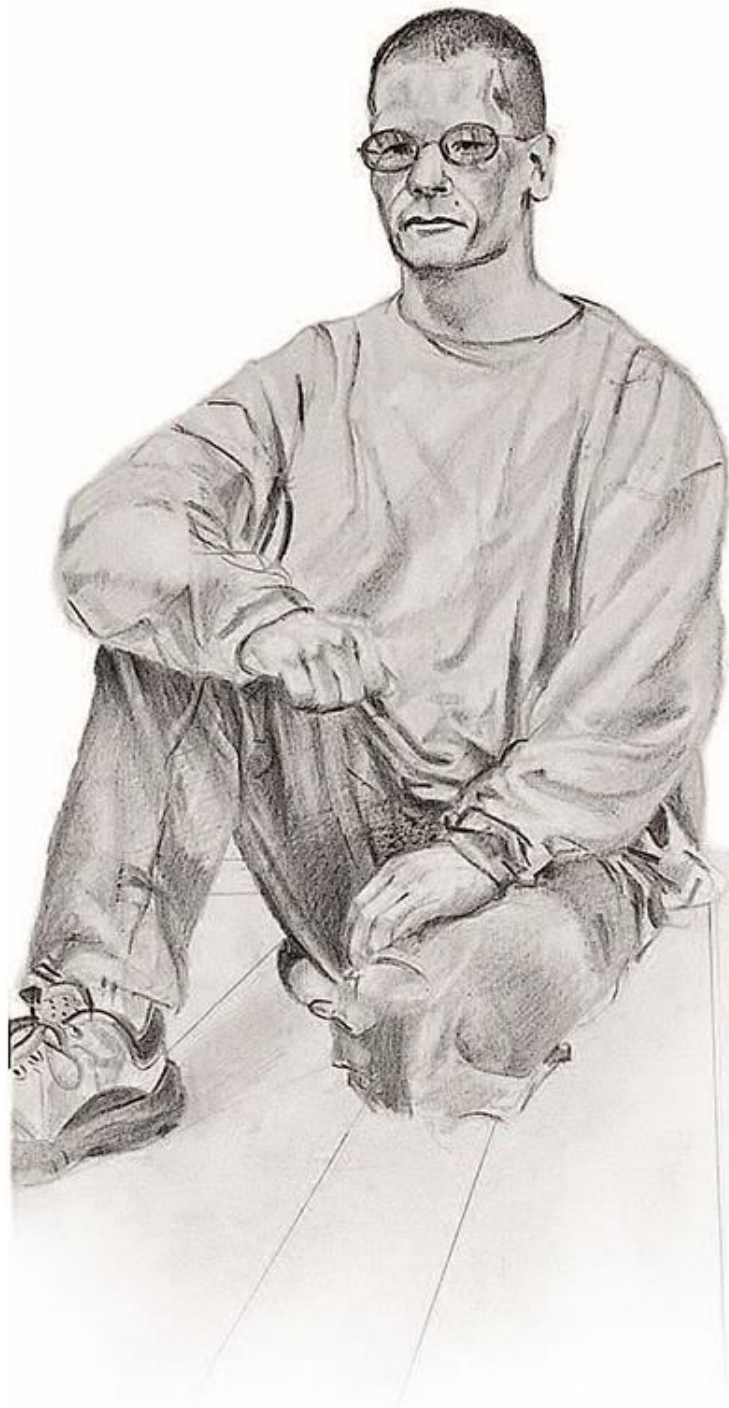


NIGEL
Kaznodzieja



'Darren' J. H. 2/25/01
All rights reserved.

DARREN
kierownik robót



JULES
Powiernik



Montaż Shauna



Phonecard

20 10 0

FOR USE IN PRISONS ONLY

Phonecard

20 units

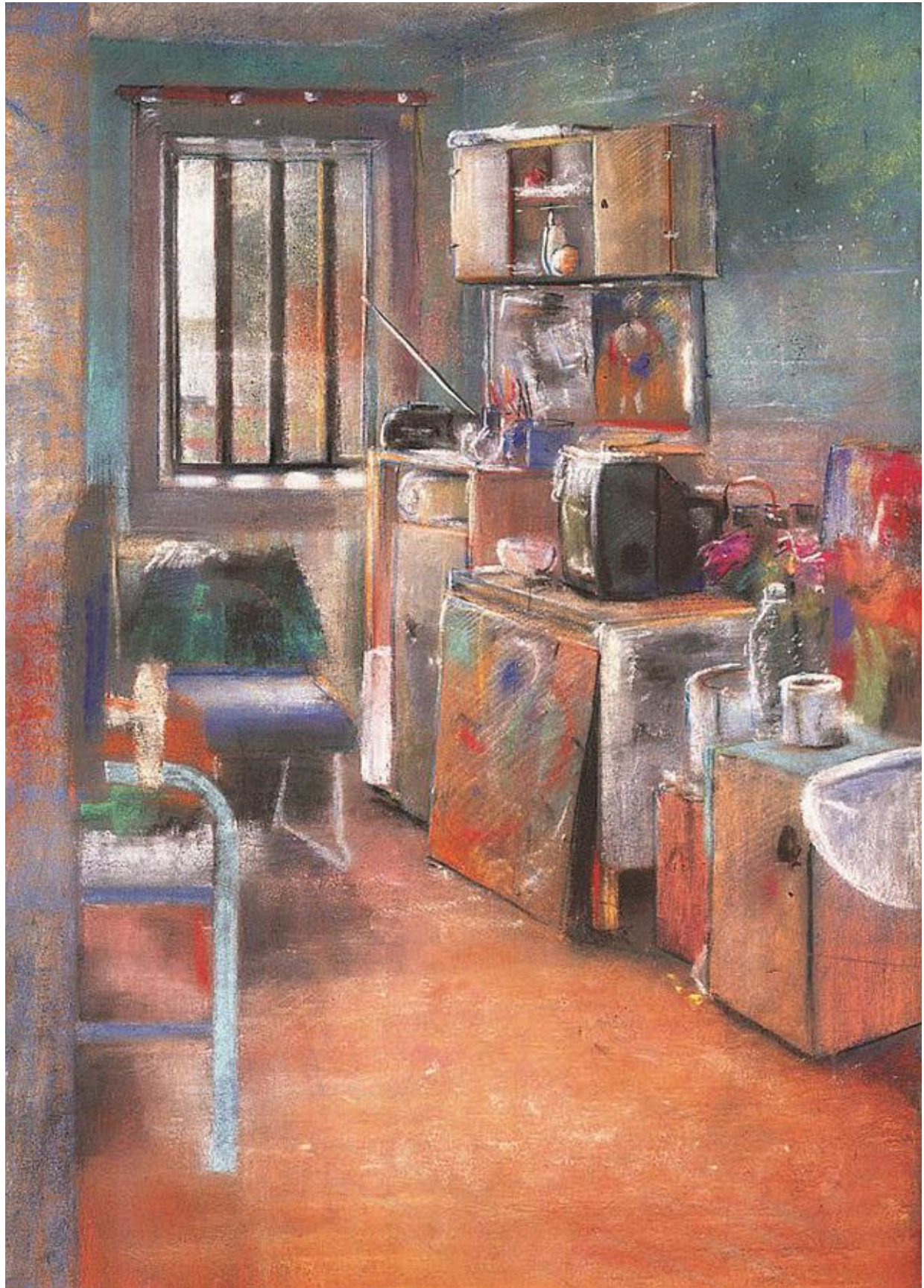
NUMBER F.F8282

NAME (in capitals) ARCHER

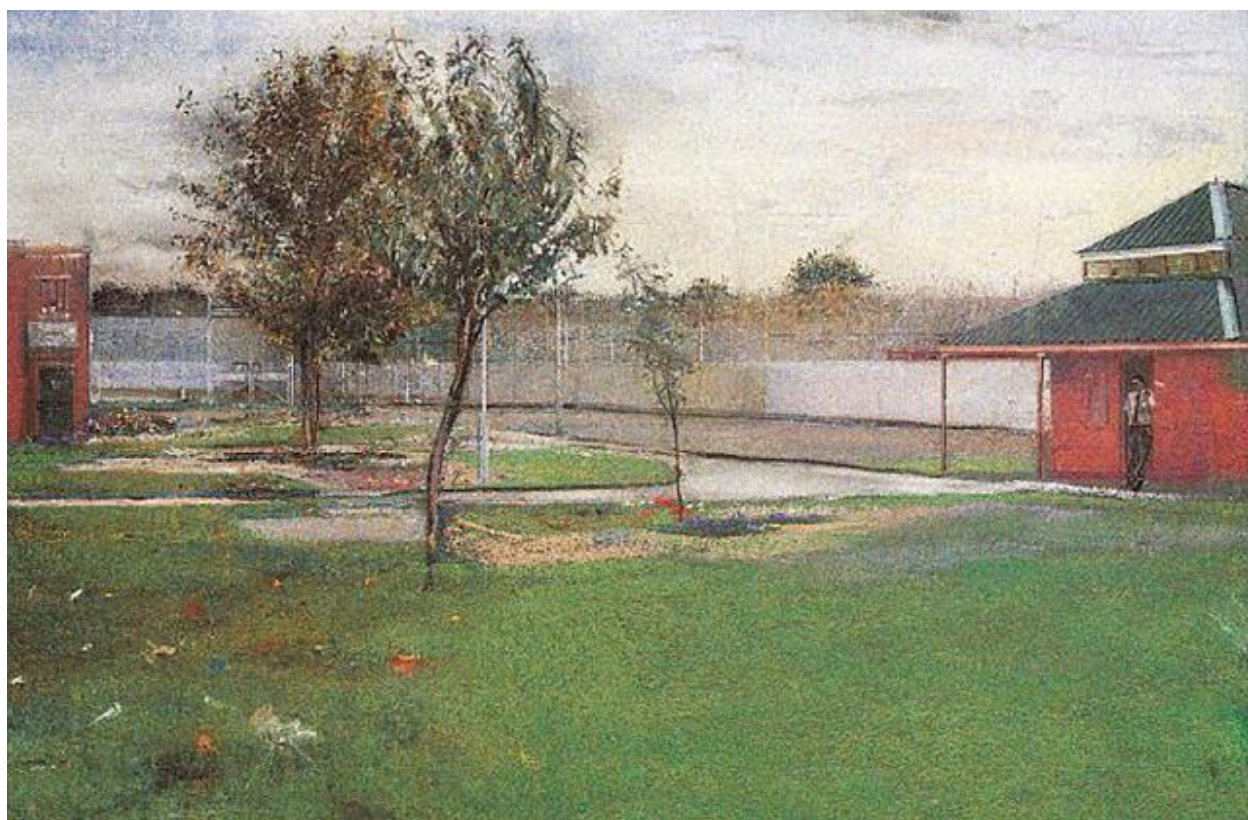
SIGNATURE Jeffrey Archer

203A57813

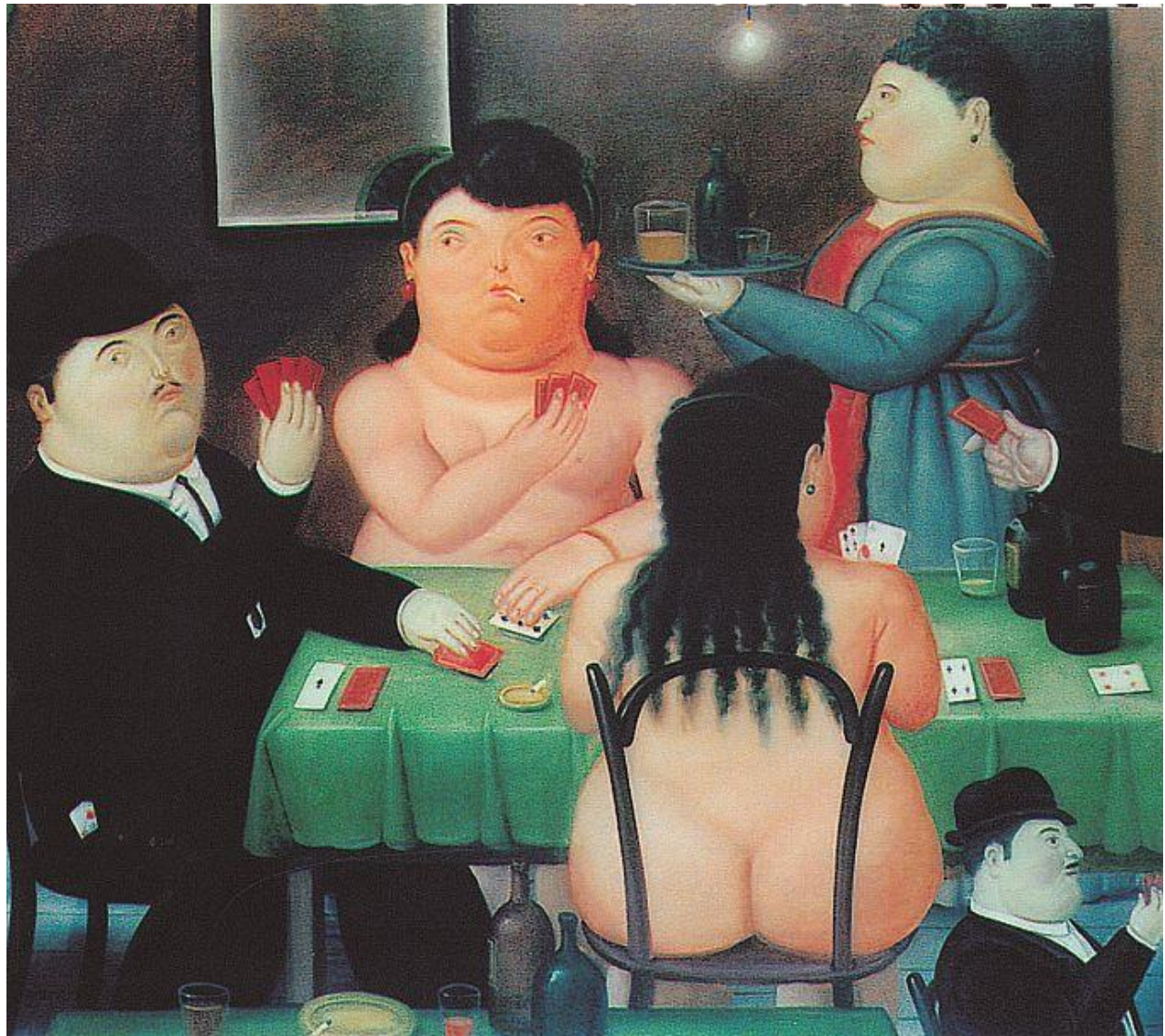
Więzienna karta telefoniczna za 2 funty (proszę zwrócić uwagę na srebrny pasek)



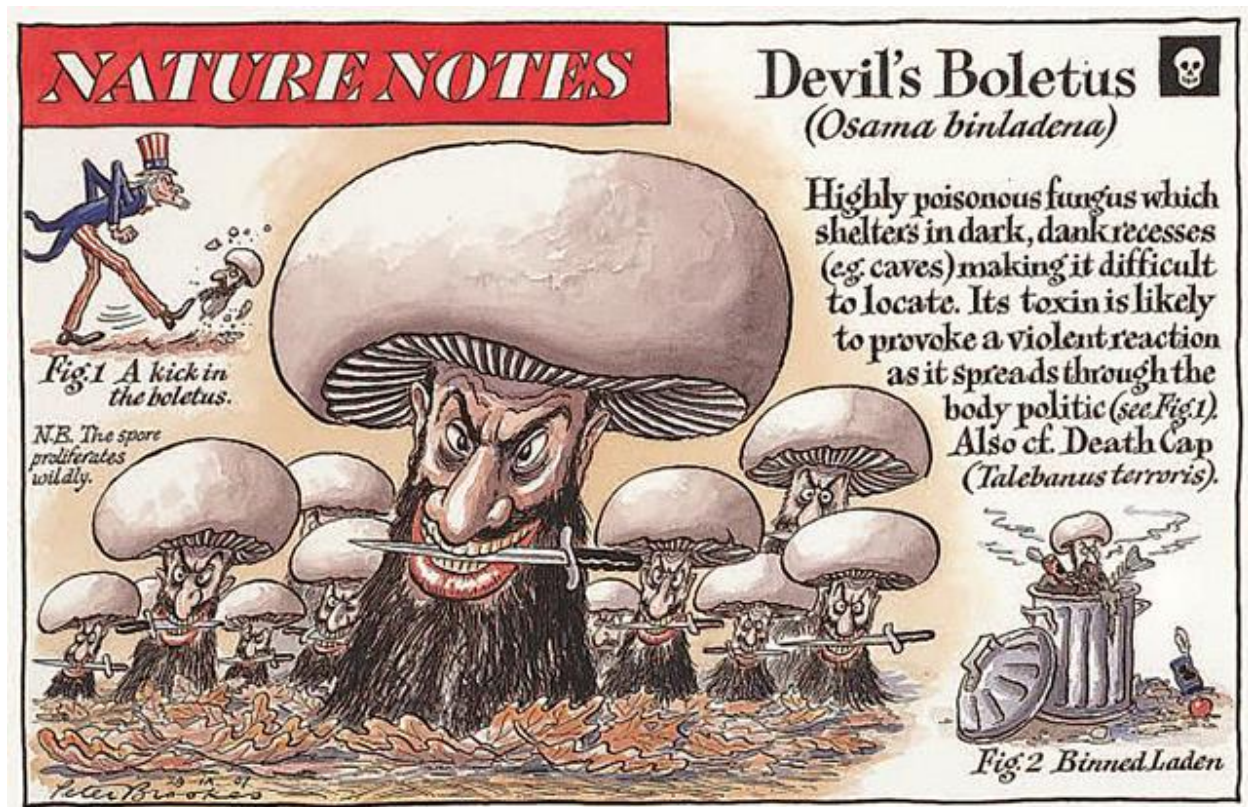
Typowa cela



Widok z okna mojej celi



GRAJĄCY W KARTY, 1989 (190 × 240 cm), BOTERO
Copyright © Fernando Botero, za zgodą Marlborough Gallery, Nowy Jork



Rysunek Petera Brookesa *Ciekawostki przyrodnicze: Usama Ibn Ladin jako grzyb trujący* („The Times”, 6 października 2001 r.)

